Jarosław

GRZĘDOWICZ

TOM IV

PAN LODOWEGO OGRODU

fabryka słów

Jarosław
GRZĘDOWICZ

TOM IV

PAN LODOWEGO OGRODU

fabryka słów

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Książki Jarosława Grzędowicza
Rozdział 1. Węże i kruki
Rozdział 2. Żarłoczna Góra
Rozdział 3. Gościna Kruczego Domu
Rozdział 4. Szepty i cienie
Rozdział 5. Kawerny i Nosiciel Losu
Rozdział 6. Kropla szkarłatu
Rozdział 7. Czas szpiegów
Rozdział 8. Siew
Rozdział 9. Przygotowania
Rozdział 10. Żuraw powraca
Rozdział 11. Niewidzialny Tygrys
Rozdział 12. Ogień i mgła
Rozdział 13. Mury
Rozdział 14. Wieże Czyniących
Rozdział 15. Pojedynek na Wyspie Śmierci
Epilog 1
Epilog 2
Dodatek 1
Dodatek 2
Jarosław Grzędowicz
Karta redakcyjna
Okładka

Jarosław
GRZĘDOWICZ

PAN LODOWEGO OGRODU TOM IV

Ilustracje
Dominik Broniek

fabryka słów

Lublin 2012

Książki Jarosława Grzędowicza wydane nakładem naszego wydawnictwa:

1. Księga Jesiennych Demonów
2. Pan Lodowego Ogrodu – tom 1
3. Popiół i kurz. Opowieść ze świata Pomiędzy
4. Pan Lodowego Ogrodu – tom 2
5. Wypychacz zwierząt
6. Pan Lodowego Ogrodu – tom 3
7. Pan Lodowego Ogrodu – tom 4

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Rozdział 1

Węże i kruki

Salę widziałam: z dala od słońca stoi
na Wybrzeżu Trupów, na północ wychodzą wrota;
jadu krople przez dymnik padają,
z grzbietów węży plecione są ściany.

Tam widzę rzekę, pod prąd żmudnie brodzą
krzywoprzysięzcy i mordercy-wilki;
tam ssie Nidhögg umarłych ciała,
wilk rozrywa ludzi: wiecież teraz, czy nie?

*(Wieszczba Wölwy – Völuspá)**

* Wszystkie cytaty z *Eddy Poetyckiej* za: *Edda Poetycka*, tłum. i oprac. Apolonia Załuska-Strömberg, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1986.

W jaskini wybuchł zgiełk chaotycznych okrzyków. Każdy chciał wiedzieć, co robić, wiedzieć to od razu, i każdy chciał usłyszeć to natychmiast od Drakkainena. To była jedna z tych chwil, kiedy dokładnie przypominał sobie, dlaczego tak nienawidził dowodzić.

– Cisza! Wszyscy pod ściany! – wrzasnął, zagłuszając ich na moment. – Nie zbliżać się do otworu!

To może nie był szczególnie błyskotliwy rozkaz, ale przynajmniej jakiś. W półmroku jaskini widział, jak wciskają się w pokryte bezkształtnymi, lśniącymi naciekami ściany. Dobrze wycelowana strzała posłana z zewnątrz trzasnęła o strop, krzesząc kilka iskier, i pojechała w głąb pieczary, obijając się między stalagmitami.

Spróbował jakoś ogarnąć sytuację, doskonale wiedząc, że ma na to tylko parę sekund. Spojrzeć na wszystko z zewnątrz, jak na jakąś cholerną grę planszową. Jak na partię szachów.

Z przodu miał grupę jeźdźców i kraby. W pierwszej chwili wydawało się Drakkainenowi, że jest ich mnóstwo, co najmniej pięćdziesięciu, ale teraz nie wiedzieć skąd miał głębokie przekonanie, że dwudziestu pięciu, z czego ośmiu jak na tutejsze warunki ciężkozbrojnych, a reszta należy do szybkiej, uniwersalnej lekkiej jazdy, mają łuki i lance, a obok stoi dziesięć krabów. Wiedział to doskonale, zupełnie jakby oglądał fotografię. Jak wtedy, w czasie szkolenia z metodologii wywiadu, kiedy posyłano go z jakimś abstrakcyjnym zadaniem w miasto – chciano, by ukradł czapkę szefa kuchni w trzygwiazdkowej restauracji, zresetował konkretną kasę w domu towarowym albo sprawił, żeby wskazaną osobę zatrzymała ochrona, a potem raptem musiał odpowiedzieć, ile blondynek siedziało na sali, wymienić numery rejestracyjne mobili stojących przed wejściem czy coś w tym rodzaju.

Podsumowując – z przodu jaskini ustawił się szwadron Ludzi Węży, z tyłu znowu wygenerował się dwunastometrowy wąż z koszmarów Passionarii, mimo że w dolinie prawie nie było już magii, a sama czarodziejka zaczynała otwierać przekrwione, straszne oczy w swoim sarkofagu, chociaż dostała porcję drętwej wody, która powinna położyć spać nosorożca w galopie. Filar, chłopak, który wydawał się nie mniej ważny od samej Callo, ktoś, kto w jakiś sposób trzymał w rękach splątane nitki losów tego świata, właśnie odjechał w ręce wrogów wleczony na arkanie, krwawiąc jak prosię. Albo nie żył, albo umierał, a w każdym razie

znajdował się w rękach zaćpanych psychopatów wytatuowanych w żmijowe zygzaki. Szkliste, mgliste widma podobne do embrionów znów zaczynały szeptać i bełkotać w ścianach. Bracia Drzewa, którzy obstawiali odwrót, wyginęli lub w najlepszym razie zostali zdziesiątkowani.

Miewał już lepsze dni i widział lepiej rozgrywane partie szachów.

Minęła pierwsza sekunda.

Wąż przestał syczeć i bełkotać w swojej cuchnącej pieczarze, zapadła cisza, a potem rozległ się potężny grzmot, jakby w wejście uderzyła wielka gumowa ciężarówka. Ziemia drgnęła wyczuwalnie, z sufitu delikatnymi smugami posypał się pył, spadł mały deszcz kamieni. Z tyłu, w ciemnym otworze, z gruchotem potoczyły się odłamki skał.

– Słyszycie mnie?! – rozdarł się ktoś na zewnątrz. Z miękkim, przeciągłym akcentem górala. – Wy w dziurze?! Mamy waszego dzieciaka! Oddajcie nam Czyniącą albo wypruję mu flaki!

Drakkainen spojrzał prosto w ciemne oczy pobladłej Sylfany, wtulonej pomiędzy wapienne nacieki naprzeciw niego. W półmroku jaskini przypominały krople laki, dwie ciemne szczeliny wiodące w mrok i przerażenie. Skulony obok Grunaldi przeżuwał coś bezwiednie, przebierając spoconymi palcami po rękojeści miecza.

Druga sekunda.

Bezoki wąż ponownie uderzył łbem w wejście do korytarza, wstrząsając górą i budząc łoskot osuwających się kamieni.

Drakkainen przeczołgał się na boku w stronę wylotu i przytulił do krawędzi otworu.

– Chcę widzieć, że żyje! – wrzasnął ile sił w płucach, aż echo poszło po jaskini, a Grunaldi skrzywił się z irytacją.

– To chodź tu i sprawdź! – odkrzyknięto mu. – Albo patrz, jak jego kichy wiją się w śniegu! Dawaj Czyniącą albo z nim kończę!

– Passionario... Należysz do mnie, Passionario... – zasyczał wąż.

Trzecia sekunda.

Vuko zgarnął pył z powierzchni sarkofagu, tuż nad twarzą Callo, gdzie pojemnik z magicznego lodu był przejrzysty, niczym okienko serwisowe. Passionaria wierciła się w mięsistych splotach wnętrza kapsuły, poruszała głową na boki, jakby chciała wypluć wpychającą się w jej usta pulsującą mackę, podobną do nogi ślimaka. Powieki jej drżały, oczy skakały rytmicznie na boki, by po chwili wytrzeszczyć się prosto przed siebie,

z upiornie zwężoną źrenicą, a za moment uciec do góry i schować tęczówkę. Pani Nasza Bolesna odjeżdżała w mrok narkolepsji, lecz za wszelką cenę usiłowała się obudzić. Albo przynajmniej utrzymać się w półletargu, w którym spędziła ostatnio większość czasu. Być może drętwa woda dopiero zaczynała działać.

Być może.

Zacisnął dłonie na uchwytach po bokach obłego sarkofagu i pchnął go, jak bobslej.

– Pchajcie od tyłu, *perkele saatani vittu*! – wyrzęził z wysiłkiem, sam się dziwiąc, że wciąż jest taki dowcipny.

– Co zamierzasz zrobić? Chcesz oddać ją Wężom? – Nawet nie zauważył, kto spytał.

– Wykonać, *haaista paska*! Bez dyskusji! Na zewnątrz z tym!

– Passionario... – Wąż uderzył w wejście do korytarza, które w odpowiedzi zawaliło się zupełnie, ukazując wielką dziurę w głąb pieczary. Powiało natychmiast wściekłym, piżmowo-koźlim odorem i jakimś niezdrowym ciepłem. Bezoki, bladosiny łeb cofnął się gdzieś w ciemność na wygiętej jak błyskawica szyi, biorąc zamach, niczym przydepnięta kobra.

Pojemnik z Passionarią wbił się w wylot jaskini i wysunął na zewnątrz, zupełnie jakby góra znosiła lodowe jajo. Gdyby to były szachy, Drakkainen musiałby przyznać, że dostali mata. Ale wcale nie musiał poruszać się do przodu i na boki po wyznaczonych polach. Mógł nawet zdecydować, czy teraz łupie w szachy, czy w pokera. To była wojna, nie gra towarzyska.

– Teraz wszyscy wcisnąć się w ściany! – rozkazał gwałtownie. – Jak najdalej od środka korytarza! Przepuśćcie go!

– Kogo?

– Czyniąca jest zamknięta w kufrze! – wydarł się, czując, że chyba ogłuchł na jedno ucho od własnego wrzasku. – Oddajemy ją!

– Ulf, co ty robisz?!

Wąż wydał z siebie ogłuszający syk, niczym turbina parowa zrzucająca nadmiar ciśnienia, i runął w korytarz. Drakkainen miał wrażenie, jakby chował się we wnęce w tunelu metra. Rozmazane obłe cielsko pokryte łuskami przewaliło się obok niego przez pieczarę, pchając falę powietrza zmieszanego z pogruchotanymi na żwir kamieniami, resztkami wapiennych nacieków, stalaktytów i pyłu.

Trwało to nieznośną, wlokącą się bez końca, pełną przeraźliwego łoskotu i wrzasku sekundę pędu. Vuko leżał z twarzą wciśniętą w żwir i w potwornym hałasie nie słyszał, że sam wrzeszczy.

Mknący korytarzem stwór zaczął się zwężać, aż wreszcie ogon, nie grubszy od męskiego ramienia, wystrzelił na zewnątrz.

Zwiadowca, kaszląc i prychając skalnym pyłem, przeturlał się na środek korytarza, teraz gładki i wymieciony do gołej skały, a przy okazji pokryty śliskim, krwawym śluzem, który przywodził na myśl świeżo oskórowanego węgorza. Pośliznął się, próbując wstać, w końcu rzucił się szczupakiem do wejścia, które teraz stało się pokaźne i niemal idealnie okrągłe. Wystarczyłoby położyć tory i można otworzyć stałe połączenie kolejowe Doliny Bolesnej Pani z Wybrzeżem Żagli.

Wyjrzał na zewnątrz, akurat żeby zobaczyć, jak gładki lodowy sarkofag sunie niczym torpeda po roziskrzonym śniegu prosto w oddział jeźdźców, zostawiając za sobą płytką rynnę.

Węże patrzyli jak urzeczeni na zbliżający się pocisk i na olbrzymiego węża, bladego niczym tasiemiec, który posuwał się za nim zygzakowatymi ruchami, o zakosach długości kilkunastu metrów, ginąc momentami w wyrzucanych wysoko chmurach śniegu. Właściwie chyba dlatego w pierwszej chwili patrzyli głównie na pojemnik, bo ten zjeżdżał im prosto pod nogi. Mężczyzna w nierówno oksydowanej zbroi, wyglądającej jak zrobiona z blach znalezionych na złomowisku, stał przy swoim koniu, trzymając bezwładnego Filara za kaptur anoraka w jednej dłoni i paskudny zakrzywiony kindżał w drugiej. Puścił skłębiony materiał, pozwalając chłopakowi zwalić się jak worek na śnieg, po czym uniósł nogę i zatrzymał sunący coraz spokojniej po łagodnym zboczu sarkofag.

Przetarł pokrywę i popatrzył do wnętrza, a potem wyprostował się, unosząc dłoń z kindżałem do czoła, by osłonić oczy przed słońcem, i dopiero wtedy spojrzał na bezokiego węża.

– Z jaskini i kryć się – warknął Drakkainen. – Sprawdzić, może któryś żyje. Jeśli nie, zabrać broń, zwłaszcza kusze. Biegiem! Rannych do lasu, tam, gdzie miały zostać konie. Odwrót! Wykonać!

Sam zapadł za samotną skałą, szarpiąc się z pokrowcem łuku.

Żmij słabo radził sobie ze zboczem – nic dziwnego. Właściwie nie był zwierzęciem, ani nawet prawdziwym potworem, tylko jakąś obłąkaną freudowską projekcją zbudowaną w oparciu o wyobrażenia na temat węża.

Jednak najwyraźniej miał masę, bezwładność i problemy z koordynacją. Kilka razy przeturlał się od impetu, skłębiając wijącymi się splotami, niczym porzucony niechlujnie wąż strażacki. U stóp zbocza udało mu się wyhamować, wzbijając fontanny śniegu, i zwinąć w kłąb, z którego uniósł łeb jak rozwścieczona kobra.

Tam, z dołu, musiało to wyglądać upiornie, a jednak Węże nie wpadli w panikę. Owszem, ich konie kwiczały i stawały dęba, ale sami jeźdźcy gapili się jedynie w osłupiałym milczeniu. Wąż nie atakował, kołysał tylko łbem, jakby oceniał sytuację, i wodził nim za pojemnikiem z Passionarią, który chwilowo zapomniany pojechał kawałek dalej po zboczu, między konnych. Drugi z ciężkozbrojnych, stojący tuż obok dowódcy, zsiadł, z namaszczeniem oddał komuś wielki labrys i zdjął ciężki hełm podobny do łba tyranozaura, a potem zrzucił w śnieg kosmatą futrzaną szubę, uniósł dłonie i zaczął coś zawodzić.

– Rozumiem – powiedział Drakkainen, szarpiąc się z zesztywniałym od mrozu rzemieniem, by zdjąć osłonę z kołczanu. – Niestety, pomyłka. Pomyliliście węże, chłopcy.

Spojrzał przez ramię, stwierdzając, że jego ludzie brną przyczajeni w śniegu, wlokąc za kołnierze i pasy trzech bezwładnych Braci Drzewa, pojemniki z magią oraz tobół z owiniętym w płaszcz byłym faunem, że Blekot i Tasznik mają już strzały na łożach napiętych arbalet i osłaniają odwrót. Do lasu, gdzie zostawili sanie i zaprzęgi, zostało im kilkanaście metrów. Odwrócił głowę ku głównej części przedstawienia, akurat by zobaczyć, że Węże zdejmują hełmy i klękają w śniegu, a potwór Passionarii wodzi łbem w rytm falującego ruchu ich rąk. Drakkainen spojrzał w górę, usiłując bezradnie uruchomić dawne umiejętności i ustalić kąt strzału, później przesunął brzechwę przez usta, prostując zmierzwione pióra.

A potem wiele rzeczy zdarzyło się równocześnie. Wąż zaczął migotać i rozmazywać się, jakby był hologramem nadawanym z uszkodzonego pliku.

Wysunął się ze zwojów cielska i wyprostował, ile się dało, unosząc łeb na wysokość trzeciego piętra, i przez chwilę górował nad osłupiałymi Wężami, po czym zgiął się nagle, upiorny wrzask: „Passionario!” podobny do huku lawiny zagłuszył skandowanie Ludzi Węży i żmij wystrzelił w nich, wzbijając chmurę śniegu, jakby w tym miejscu rozpętał się blizzard.

Drakkainen porwał się na nogi, nie dbając już, że zdradza swoją pozycję.

Na dole panowało piekło w najczystszej postaci. Jeden chaos śnieżnej kurzawy, ludzi, koni, pancerzy i zwojów galaretowatego cielska. Kakofonia wrzasku, syku, łoskotu blach, kwiczenia koni i upiornego zawodzenia krabów.

Ujął cięciwę, ale nie miał pojęcia, do czego strzelać. Po chwili Węże zaczęli się rozpierzchać, z tumultu wybiegło w różne strony parę spanikowanych wierzchowców z pustymi siodłami, w powietrze wyleciało kilka bezwładnie koziołkujących postaci, zobaczył toczący się sarkofag i żmija sunącego za nim zygzakowatymi ruchami, na śniegu pozostało strasznie dużo krwi i leżących ciał, porzucone hełmy oraz fragmenty pancerzy krabów. Ruszył ostrożnie w dół zbocza ze strzałą na cięciwie, usiłując wypatrzyć leżącego tam gdzieś Filara.

Wąż nadal migotał, to znikał, to się pojawiał, czasem wydawał się obłokiem śnieżnego pyłu, a czasem rozsypywał się w pęk wyładowań, ale wciąż był groźny. Węże najwyraźniej porzucili stan nabożnego zachwytu i próbowali atakować. Potwór przetoczył się nagle, miażdżąc kilku ludzi, i machnął łbem, odrzucając dwóch wrzeszczących wojowników oraz zwalając na bok ciężkozbrojnego na koniu. Odbyło się to z impetem godnym katastrofy kolejowej. Nieszczęsny pancerny i jego wierzchowiec pojechali po śniegu parenaście metrów i wbili się dosłownie w skałę. Wyrzucony w powietrze człowiek poleciał w stronę Drakkainena, koziołkując na koniec niczym narciarz, i znieruchomiał w powykręcanej, nieludzkiej pozycji szmacianej lalki, którą przybierają ofiary upadku z dużej wysokości albo potężnej eksplozji, a która oznacza, że w ciele ani jedna kość nie pozostała cała. I gdzieś w epicentrum tego całego obłędu znajdował się Filar.

Tylko że nie dało się go zauważyć. Zbyt wiele się tam działo i było zbyt daleko. Za dużo zmiażdżonych ciał, kształtów miotających się w panice w kłębach śniegu, za dużo krwi.

I za dużo węża.

Cielsko grubości cysterny i długości przeciętnego mostu zwijało się frenetycznymi splotami, przypominając wyrzuconego na brzeg węgorza. Wydawało się, że był wszędzie i bez przerwy zmieniał pozycję. Chaotyczny, poskręcany, najeżony strzałami i drzewcami włóczni, niczym oszalały Moby Dick.

Drakkainen zrobił jeszcze parę kroków, przyczajony jak pod ostrzałem, przytrzymując grot na łęczysku i z palcami na cięciwie, a potem zatrzymał się niezdecydowany. W pierwszym odruchu zamierzał się tam przekraść, prosto w środek tumultu, powalić każdego, kto się napatoczy, złapać Filara i wywlec za anorak pod górę, w stronę swoich.

Teoretycznie pomysł nie był taki najgorszy, pod warunkiem, że się nie widziało dokładnie, co się tam dzieje. Równie dobrze mógłby wskoczyć w środek tornada, by odzyskać krowę taty.

A co zrobić z pojemnikiem z Passionarią? Odebrać wężowi i pod drugą pachę?

Zdjął strzałę i wsunął do kołczanu, jednym ruchem wpychając łuk w sajdak. A potem zawrócił biegiem w kierunku lasu.

W głębokim śniegu biegło się koszmarnie. Nogi wpadały po kolana, podeszwy się ślizgały, przy oddechu buchało kłębami jak z parostatku, a tymczasem hipotetyczne życie Filara syna Oszczepnika wyciekało niczym wino z przestrzelonego bukłaka. O ile już dawno nie wyciekło.

Pomimo wszelkiej, prawdziwej czy mniemanej magii, miesięcy szkolenia, bionicznego wspomagania, choćby i występującego obecnie pod postacią uskrzydlonej wróżki, pewnych rzeczy nie da się zrobić.

Na przykład nie da się biec pod górę w śniegu i równocześnie wrzeszczeć na całe gardło.

Grunaldi i Spalle czekali na skraju lasu, zdenerwowani i niemogący się zdecydować, co uczynić. Obok nich klęczało dwóch asasynów – Skalnik i Powój – z napiętymi kuszami, wpatrzonych w pandemonium na dole i najwyraźniej ochraniających mu plecy.

– To nawet nie było takie głupie, jak się zrazu zdawało – powitał Vuka Grunaldi. – Czyniąca pociągnęła za sobą węża prosto na tamtych. Aż miło popatrzeć. Tylko co teraz? Jeśli ją jednak zabiorą, to możemy sobie strugać łodzie pogrzebowe.

Zdyszany Drakkainen wyzipał coś takiego, czego sam właściwie nie zrozumiał, i pokazał na migi, żeby cofnęli się pod osłonę drzew. Wbiegł pod ustrojone czapami śniegu gałęzie i oczywiście strącił sobie jedną za kołnierz i do kaptura.

Na udeptanej polance stały sanie i uwiązane konie, Zawilec, Dereń i Jawor leżeli bezwładnie i nieruchomo na rozpostartych w śniegu płaszczach, Wawrzyn klęczał nad nimi z jakimiś pojemniczkami w pokrwawionych dłoniach i nie wiadomo – próbował leczyć albo przeprowadzał jakieś ostatnie obrzędy. Marnie to wyglądało.

Jajowate pojemniki z magią stały bezpiecznie na jednych saniach, porządnie przytroczone do burt rzemieniami.

– Zawilec jest już w Ogrodzie – oznajmił Wawrzyn. – Dereń dostał dwa cięcia przez bok i strzałą w pierś, ale płytko. Jawor cięty przez głowę. Hełm pomógł, lecz stracił dużo krwi. Założyłem owadzią przędzę, jak kazał mistrz Fjollsfinn, i zawinąłem. Dałem im też drętwą wodę. Kiedy człowiek śpi, szybciej się goi. Ci dwaj przeżyją, jeśli Drzewo tego zechce.

Drakkainen słuchał, równocześnie miotając się w jakimś nerwowym tańcu, gdy próbował usunąć śnieg spod anoraka i zza koszuli.

– Dlaczego ich dostali?

– Bo tamtych przyszło wielu i mieli Czyniącego. Prowadził ich do jaskini jak pies do zająca. Bracia nie mogli pozwolić Wężom wejść za wami, więc pojawili się spod śniegu i zaczęli ich zabijać. W końcu ulegli Czyniącemu na wielkim koniu.

– Dlaczego nie pomogliście?

– Sanie i konie były ważniejsze. Oni mieli nie wpuścić do jaskini, my pilnować obozu. Tamci nie mogli go odkryć. Na koniec został tylko Czyniący, który stał w oddali i czekał, aż z dołu przyjdzie więcej Węży, a nasi bracia krwawili w śniegu. Mieliśmy go zestrzelić, ale wtedy młody Fyalar wyszedł z jaskini i tamten mąż cisnął w niego toporkiem, a potem pochwycił na arkan i powlókł za koniem. Strzeliliśmy z kusz i musieliśmy trafić, ale to jest Czyniący i bełty nie uczyniły mu żadnej krzywdy, tylko zaplątały się w pelerynę, którą miał za plecami, mimo że potrafią przejść przez żelazo.

– Zrozumiałem – oznajmił Vuko. – Teraz nie ma czasu. Głóg, Skalnik, Wawrzyn i Powój, wy zostajecie w obozie. Głóg leci na wartę. Będziesz obserwował, co się tam dzieje.

Asasyn poderwał się na nogi i pognał bez namysłu przed siebie, jakby tylko na to czekał.

– Reszta za mną – ciągnął Vuko, starając się mówić jak najszybciej i jak najwyraźniej. – Warfnir, Spalle, Tasznik: biegiem do sań przy jaskini, sprawdźcie, czy nadają się do użytku, i czekajcie na nas. Reszta do koni! Musimy odbić młodego i czarodziejkę. Powój, Wawrzyn i Skalnik: czekacie i patrzycie, co się tam dzieje. Jeśli zginiemy, bierzecie rannych, pojemniki z magią i wracacie na wybrzeże, do okrętu. Brać, co trzeba, i ruchy!

Rozejrzał się, znalazł na saniach bukłak i pił długo chciwie. Potem otarł usta, sprawdził miecz i nagle, jakby sobie coś przypomniał, zdarł z siebie lśniące cienkie blachy paradnej zbroi.

Pozostali również pozbyli się wyszywanych wstążkami giezeł, frędzli i szmacianych kwiatów, ukazując brudnobiałe anoraki z czarnymi, nieregularnymi pasami kamuflażu. Zgrzytnęły miecze wsuwane do pochew, sprawdzano łuki, dociągano paski pancerzy i podpinki hełmów.

Jadran wydał z siebie głęboki hurgoczący dźwięk niczym wielbłąd, który oznaczał u niego sympatię i stanowił odpowiednik parsknięcia u normalnego konia. Drakkainen zdjął hełm i przytulił czoło do rezonatora ukrytego gdzieś w kościach czaszki wielkiego łba.

– Zimno – zabuczało mu w głowie. – Vuko wrócił. Nie zostawia. Jadran obroni. Jadran zabierze. Dom. Ciepła stajnia.

– Jeszcze nie, bracie – mruknął Vuko. – Jeszcze trzeba powalczyć.

– Dużo dziwnego – zauważył Jadran. – Niezdrowe. Źli ludzie. Niebezpieczne. Dziwnie.

– Wiem, konisko.

Założył hełm i wskoczył na siodło, a potem położył się na szyi konia, kiedy wynurzali się spod ośnieżonych gałęzi na otwartą przestrzeń.

– Co się dzieje? – zapytał Vuko, zwracając się do słabo człekokształtnej zaspy.

Głóg, zagrzebany w kopnym śniegu, odwrócił się do niego, odpiął pas futra i kolczugi zasłaniający mu dolną część twarzy.

– Poszli w rozsypkę. Większość leży. Wąż owinął się wokół jaja z Czyniącą, tych kilku, co przeżyło, zebrało się w szyk, ale boją się podejść. Fyalara nie widać. Za dużo ciał. Niektórzy rozbiegli się na boki i mogą gdzieś tu być.

Vuko uniósł dłoń do okapu hełmu i zlustrował sytuację.

Z lasu za jego plecami wyjeżdżały białe postaci na okrytych biało-szarymi czaprakami wierzchowcach. Trzy kolejne truchtały w stronę jaskini, na spotkanie sań stojących z boku i okrytych maskującą tkaniną.

Na dole wąż zwinięty w kłębek wielkości przeciętnego hotelowego basenu unosił łeb, wodząc nim groźnie na boki, a przed nim niewielka grupa Węży osłoniętych tarczami skupiała się w formację klina. Dwóch ciężkozbrojnych stało za szykiem, po bokach kiwały się trzy lub cztery kraby. Słońce schowało się w chmurach, które wypływały zza szczytów niskie, jakieś żółtawe i złowrogie. Zaczął prószyć śnieg.

– Dobra – powiedział Drakkainen. – Ustawić się w szereg. Zjeżdżamy. Ukośnie po pochyłości, dopiero jak stok się zrobi łagodniejszy, uderzamy,

stopniowo do cwału. Rzędem. Obchodzi nas głównie Filar i Czyniąca. Węże są mniej ważni, aczkolwiek zostało ich niewielu. Atak na sposób Hunów, *hit-and-run*, tak jak wam pokazywałem. Zrozumieliście?

– Zawsze o to pytasz – zauważył z niesmakiem Grunaldi, próbując rozruszać bark. – Całkiem jakbyśmy nagle podurnieli.

– Bo jak przychodzi co do czego, to każdy z was robi, co mu strzeli do łba, a mamy działać razem. Zespołowo. Boże, nie wierzę, że to mówię.

Ruszyli. Ostrożnie, gęsiego, trawersując zbocze. Konie ślizgały się w śniegu i porykiwały z niezadowoleniem.

Wśród Węży na dole coś się działo. Jeden z ciężkozbrojnych stał w śniegu na zewnątrz szyku, nagi do pasa i bez hełmu, ukazując łyse czoło i spadający na kark pęk warkoczyków oraz pierś pokrytą żmijowymi zygzakami. Stał w coraz gęściej padającym śniegu, z rozrzuconymi na boki ramionami i chyba coś śpiewał.

Wąż tymczasem skręcał się i wił wokół pojemnika z Passionarią, jakby chciał go wysiadywać, ale jednocześnie wysunął z kłębowiska co najmniej sześć metrów tułowia oraz łeb, którym kołysał groźnie na boki.

Ludzie Węże zwarli ciaśniej szyk i ruszyli naprzód. Drakkainen aż cmoknął zdegustowany. Pomysł był idiotyczny. W ciasnym szyku stanowili dla żmija jeden duży cel. Zupełnie jakby komuś siadło na ramię w jednym miejscu dziesięć komarów. Pokładanie zaufania w drewnianych tarczach i jeżu z trzymetrowych włóczni wyglądało na nadmiar optymizmu.

Śnieg padał coraz gęściej, powietrze wydawało się aż szorstkie od wirujących wszędzie płatków.

Wąż miał się chyba nie najlepiej. Migotał, rozsypywał się w morkę ruchliwych iskier, jak obraz białego szumu, znikał albo upodabniał się do samej śnieżycy, owijającej się długim pasmem wirujących płatków wokół pojemnika z Czyniącą.

– Pokaż mi magię, Cyfral – mruknął Vuko. – Chcę zrozumieć, co robi ten golas.

Z daleka, przez coraz gęstszy śnieg nie widział zwiewnego welonu opalizujących diamentowo iskier, ale coś w rodzaju migotliwej mgły, która skupiała się w kształt węża, wysnuwała z niego dwoma rzadkimi pasmami i płynęła w stronę dłoni stojącego Węża. Przed nimi, jeszcze na przestrzeni stu metrów, stok był zbyt stromy, by zacząć szarżę. I tak już jechali, prawie leżąc na końskich zadach.

– *Perkele paskiainen* ładuje akumulatory – wycedził Vuko. Sięgnął do wszytych pod anorakiem kieszeni i namacał jeszcze dwa pojemniczki ze stabilnego lodu, zawierające pieśni bogów. Niedużo. Do precyzyjnych zastosowań. Kryształy rodzące kokony wsysające magię wykorzystał wszystkie. Co do jednego. Chciał mieć pewność, że oczyści dolinę do zera. Leżały teraz rzędami na saniach, zmienione w metrowe, obłe pojemniki, aż ciężkie od wszechmogącego pyłu. – *Jebal to pas* – mruknął i rozgniótł jeden flakonik o napierśnik, a potem roztarł zawartość w rękach. – Łuki w dłoń – zawołał przez ramię. – Za dziesięć kroków w cwał! Cyfral, włącz coś, co mi podkręci postrzeganie. Jasnowidzenie, noktowizję, prekognicję, radar, cokolwiek.

Ścisnął boki Jadrana udami, ruszył swobodnym kłusem, sięgając po łuk i strzałę. Kiedy zakładał ją na cięciwę, czuł, jak mrowią mu palce. Kłus zmienił się w krótki galop. Spojrzał szybko w lewo, żeby sprawdzić, czy trzymają linię, ale widział tylko Grunaldiego i Sylfanę, reszta znikła w śnieżnej kurzawie i zmieniła się w majaczące ledwie sylwetki, białe na tle bieli.

Przed nim żmij rzucał łbem do przodu, a zbici w osłoniętą tarczami grupkę Węże usiłowali zajść go z boku, co sprawiało groteskowe wrażenie. Półnagi jegomość na uboczu recytował coś żarliwie śpiewnym głosem, z głową odrzuconą w tył i wyciągniętymi dłońmi, jakby chciał objąć wijącego się węża, który migał jak w świetle stroboskopu, na przemian znikając i pojawiając się albo rozpadając w kryształowy obłok. To nie było tylko złudzenie, bo kiedy znikał na moment, wypadały z niego strzały i włócznie, a pojemnik z Passionarią ukazywał się wciśnięty w śnieg jak owalny głaz.

Wszystko to Drakkainen oglądał przez firankę wirujących płatków, drobnych strzępów szarości, które spowijały cały świat. Uniósł się w siodle, ściskając boki konia nogami i wlepiając wzrok w stojącego na uboczu wielkiego, półnagiego zygzakowanego maga.

Wąż skonsolidował się na chwilę i strzelił łbem do przodu, gruchocąc tarcze, wyrzucając w górę wrzeszczących ludzi i złomki włóczni. Szyk zwiadowcy i jego ludzi poszedł w rozsypkę kilka sekund wcześniej, nim zwalili się na Węży.

Drakkainen napiął łuk nad głową i strzelił bez celowania i bez namysłu, usiłując obudzić w sobie duchy zen, nie widząc nic poza nawiedzoną

twarzą z czarnymi szczelinami oczu i rozwartymi w inkantacji ustami wśród żmijowych tatuaży. Prosto w skłębioną śnieżycę. W biały szum mrozu.

I prosto w przygarbionego gościa z włócznią w obu dłoniach, który akurat wbiegł mu na linię strzału. Przelatywał już obok na rozpędzonym koniu, ale zobaczył to jak na stop-klatce: tamtego Węża, jak wypada wprost ze śnieżnego obłoku pod grot, jak zwija się w miejscu z czarną brzechwą wyrastającą mu spod pachy, jak wali się w pół kroku na głowę i bark, a potem toczy w fontannie białego pyłu.

Vuko wydał z siebie ryk wściekłości, galopując wśród kłębiącego się śniegu, w którym majaczyły biegające we wszystkie strony postaci, ktoś wpadł na nich, Jadran sapnął tylko, waląc Węża napierśnikiem niczym czołg, tamten poleciał bezwładnie w śnieżycę. Wokół rozlegał się wrzask, a z tyłu ostre, osie bzyknięcia strzał.

Drakkainen z ludźmi przelecieli na drugą stronę udeptanego, zbryzganego pola bitwy, pełnego czarnych ciał, i zrobili zwrot.

Śnieżyca ustała na chwilę, dosłownie na kilkanaście sekund mknąca poziomo ściana śniegu zrzedła, ukazując pobojowisko i rząd jeźdźców rozdzielających się zgodnie z planem na dwie grupy, jak w tańcu – prawy, lewy, prawy, lewy, leżące ciała, krew i chaos. Oraz Węża, który stał jak przedtem, i potwora Passionarii, który zaczynał się prostować, migocąc w drgawkach.

Wokół dreptały trzy kraby, jak oszołomione kurczaki, wymachując konwulsyjnie swoimi ostrzami.

– Co za burdel – warknął Drakkainen. – Co tu się w ogóle dzieje?!

Żmij runął nagle jak drzewo prosto na kraby, rozgniatając je niczym jajka, rozrzucając wokół kawałki pancerza w rozbryzgach zielonkawego śluzu zmieszanego z krwią. Drakkainen, który wiedział dobrze, co to jest, skrzywił się i odruchowo odwrócił twarz.

Wtem usłyszał gromowy, infradźwiękowy głos, podobny do podziemnego grzmotu trzęsienia ziemi, w którym dosłyszał: „Passionario...”, ale jakieś takie zamierające, ledwo już rozpoznawalne.

A potem żmij uniósł znowu łeb.

I zniknął.

W ułamku sekundy zamienił się w zamieć, która ponownie zwaliła im się na głowy, zatapiając świat w białym szumie. Wtedy wbijali się już

w drugiej szarży. Rozpędzeni, na zboczu, które znikło. Rozpłynęło się w bieli i szarości, w ruchomej mozaice chaosu. Drakkainen schował łuk i wyciągnął miecz. Nie wierzył aż tak bardzo w sztuczki zen, żeby strzelać na oślep. Z zamieci wyłonił się biegnący dokądś facet w hełmie przywodzącym na myśl rybę głębinową, więc ciął go z siodła w miejsce, gdzie bark spotykał się z szyją. Ostrze ugrzęzło w kości, zbroi i kolczudze, szarpnięcie omal nie wyrwało zwiadowcy ręki ze stawu. Uwolnił rozpaczliwie miecz, wypuszczając ciągnący się za stalą rozbryzg krwi, i przejechał kawałek w śnieżnym tumulcie wśród ledwo widocznych postaci, które pojawiały się i znikały jak duchy, ale nie zdołał nikogo dosięgnąć.

Najpierw zobaczył świetlistą płaszczyznę, która wyrosła z migotliwej pustki i przecięła go wpół. Zupełnie jak kiedyś, kiedy uwolniony z Drzewa, osłabiony i chory, walczył samotnie na przełęczy. Dawno temu. Teraz dodatkowo miał jeszcze wizję. W ułamku sekundy. Podprogowy błysk, w którym zobaczył obrośnięty hakowatymi ostrzami brzeszczot wbijający mu się pod płytę napiersnika, kwik stającego dęba konia, oszalały kołowrót nieba, które fiknęło jak na trapezie, przeraźliwe szarpnięcie, prujące mu wnętrzności, i miażdżący upadek. Błysk krótki, niczym flesz. Bez zastanowienia przechylił się na przeciwległy bok Jadrana, czepiając ogłowia, kiedy ta paskudna partyzana czy glewia naprawdę wyrosła ze śnieżycy wraz z trzymającymi ją zawziętymi dłońmi i śmignęła nad siodłem. Sierpowate ostrze nie wypatroszyło Drakkainena, prześlizgnęło się tylko wzdłuż boku, ale za chwilę przyszło szarpnięcie, które faktycznie posłało go na ziemię.

Najtrudniej zamortyzować dynamiczny upadek do tyłu. Zrobił, co mógł, tyle żeby niczego nie złamać, udało mu się przetoczyć przez bark, uderzyć dłonią o śnieg, jednak i tak wstrząs wybił mu powietrze z płuc. Sierp nie wbił się w ciało, ale zaczepił o fałdę anoraka. Wystarczyło.

Widać było, że napastnik to specjalista. Drakkainen nie odzyskał jeszcze oddechu, nie miał czasu ustalić, czy zachował żebra i zęby, nie zrobił właściwie nic poza niemrawym gramoleniem się jak przewrócony żółw, podczas gdy Wąż, nadal trzymający drzewce, doskoczył z boku, jednym ruchem w przód uwolnił zaplątany w kurtę hak przy ostrzu i przydepnął zwiadowcy pierś. Partyzana zakończyła ruch w górę, napastnik przekręcił

biodra i narzędzie ruszyło w przeciwną stronę jak wahadło, mierząc w pierś zwiadowcy wąskim grotem umieszczonym na drugim końcu.

Vuko znów miał błysk wizji, zdawał sobie sprawę, że arachnidowy laminat wytrzyma, ale właśnie dlatego ostrze poślizgnie się po powierzchni pancerza prosto w gardło.

Nie przyszła mu do głowy żadna znacząca ostatnia myśl, nie zobaczył żadnego pokazu slajdów z całego życia ani nie przypomniał sobie żadnego mądrego słowa. Nic poza wybuchem płonącej paniką adrenaliny.

Po prostu nie zdążył.

Ciemny dysk śmignął mu nad głową, przesłonił biały chaos, który otaczał ich ze wszystkich stron, i zmiótł napastnika z powierzchni ziemi. Jakby staranowało go miniaturowe UFO.

Vuko przetoczył się na bok i zaczął wstawać, kiedy ktoś chwycił go za kołnierz i szarpnięciem postawił na nogi.

– Oddaj mi potem tarczę – krzyknął Grunaldi z siodła i zniknął wśród białego szumu.

Taki sam roziskrzony, ruchomy chaos narastał Drakkainenowi w głowie, wśród elektrostatycznych trzasków, które połknęły wszelkie inne dźwięki, dosięgnął go dławiący ból pleców i skurczonej przepony, promieniujący do nerek. I nigdzie nie mógł znaleźć miecza.

Wąż zaczynał się gramolić, charcząc rozpaczliwie, zepchnął z siebie tarczę Grunaldiego. Drakkainen zatoczył się w jego stronę i kopnął w podbródek, sam zwalając się znowu na śnieg. Przewalił się na brzuch, wciąż dławiąc się w konwulsyjnej parodii oddechu, który nie dostarczał ani odrobiny tlenu. Wśród bieli zamajaczył mu jakiś czarny kształt, tnący śnieg stanowczą linią przypominającą ogromny myślnik. Uniósł partyzanę i podpierając się niczym pielgrzymim kijem, dźwignął się do pionu.

Chwycił oddech i razem z nim powrócił świat. Biały szum pozostał, ale pojawił się też wrzask, tupot, tętent koni i wirujący chaos biegających wokół ludzi.

Ktoś wypadł na niego z boku, wywijając mieczem i drąc się przeraźliwie, Vuko zawinął glewią, podcinając tamtemu nogi, i pchnął tylnym ostrzem pod mostek. Wrzask wyprysnął w niebo opętańczym skowytem i urwał się nagle. Inny Wąż z czerwono-czarną twarzą, zmienioną w maskę rozjuszonego demona, ciął go z góry, ostrze szczęknęło o twarde, wyślizgane drzewce. Vuko kopnął przeciwnika w goleń,

odskoczył i ciął ukośnie, prując mu pierś od ramienia aż do biodra, a potem zmiótł z drogi uderzeniem drugiego końca drzewca, padając przy tym z wysiłku na kolano.

A potem ruszył przed siebie jak ślepiec, trzymając nieporęczną broń w gotowości, w poszukiwaniu leżących.

Natrafiał na nich co chwila, przysypanych porudziałym śniegiem, zamienionych w podłużne zaspy, ale obleczonych w kosmate futro, czarną tkaninę podobną do aksamitu i płytowe, wieloczęściowe zbroje z oksydowanej i nabijanej nitami blachy. Szukał prześwitującego przez śnieg białego materiału z czarnymi, postrzępionymi pasami kamuflażu, błysku drobnych ogniw kolczugi, głowy pokrytej rdzawą szczeciną.

I zaschniętą krwią.

Znajdował tylko trupy Ludzi Węży i zgruchotane kraby. I siekący twarz śnieg, zalepiający oczy, pchający się do ust. Słyszał tętent koni wszędzie dookoła i krzyki swoich ludzi, którzy nawoływali się w zamieci. To było dobre, bo w kurzawie wydawało się, że to dziesiątki jeźdźców i że są wszędzie. Próbował im odkrzyknąć, ale tylko wychrypiał coś słabo.

Ze śnieżnego tornada wyrosła lanca blasku, przebijając Drakkainena na wylot. Ustąpił jej z drogi unikiem i ciął odwróconym ostrzem ponad nią, trafiając wyskakującego spośród zamieci Węża, który najwyraźniej chciał go nadziać chytrym, niskim sztychem. Tamten zgiął się wpół i padł do przodu, zwinięty jak robak. Drakkainen szarpnął kilka razy, ale przeciwnik leżał na włóczni, nadziany na przeklęte sierpowate odrosty służące do ściągania jeźdźców z koni, i broń ugrzęzła beznadziejnie.

Zaklął i puścił drzewce, a zaraz potem musiał przykucnąć, kiedy ostrzegawcza płaszczyzna światła przecięła mu szyję, niczym neonowy wirnik helikoptera. Ostrze topora śmignęło mu nad głową, pociągając napastnika, który trafiwszy w pustkę, stracił równowagę. Vuko podparł się jedną ręką w śniegu i półleżąc, wbił tamtemu kopnięcie w pachwinę, a potem przeturlał się, żeby przechwycić topór koziołkujący po ziemi.

Chwycił broń pod głowicą i w dwóch trzecich masywnego styliska, ale jego przeciwnik już dźwignął się ciężko na nogi i odkuśtykał w zamieć. Drakkainen splunął w śnieg i ruszył dalej, błąkając się wśród wirujących płatków i białego szumu. Nie był pewien, czy uszkodził coś w środku, czy przygryzł język albo policzek podczas upadku, ale ewidentnie splunął krwią.

Zatrzymał się na moment, nasłuchując krzyku, tętentu, szczęku żelaza i wrzasków, usiłując wytworzyć sobie obraz sytuacji i przestać błąkać się na oślep w śnieżycy, kiedy rozległ się ryk.

W pierwszej chwili myślał, że to wrócił przeklęty wąż, lecz odgłos był zupełnie inny, przypominał syrenę albo trąbę. Bardziej blaszany i upiorny niż ponure zawodzenie konchy Lodowego Ogrodu.

Ruszył truchtem w tamtą stronę i wtedy wiatr nagle, jak na komendę, ustał. Płatki śniegu przestały walić poziomą kurzawą, zaczęły tańczyć w powietrzu i wyraźnie rzednąć. Przed minutą widział na półtora metra, a teraz nagle pojawiły się zaspy pod nogami, czarne gałęzie krzaków, leżące ciała, zobaczył majaczących w śniegu swoich jeźdźców truchtających wokół na tańczących niepewnie koniach.

I ocalałych Węży, biegnących ze wszystkich stron w kierunku, skąd dobiegał dźwięk.

Do czterech jeźdźców stojących na niewielkim wzgórzu od strony rzeki. Jeden dął w róg, pozostali czekali nieruchomo, a kute smocze pyski ich przyłbic spoglądały obojętnie przed siebie. Słabnący wiatr łopotał czarnymi proporcami na tyczkach sterczących im zza pleców. Pomiędzy dwoma końmi spoczywała kołyska z płata skóry, wypchana przez pojemnik z Passionarią, a przez grzbiet kolejnego wierzchowca przewieszono szczupłe ciało w białym, maskującym stroju z czarnymi pręgami kamuflażu. Dystans wynosił ponad dwieście metrów.

Już w biegu Drakkainen zauważył, że Filar ma związane ręce. W jakimś sensie wydało mu się to krzepiące, bo trupa ani by nie wiązano, ani w końcu nie zabierano. Przed końmi po kolana w śniegu stał przeklęty mag, prezentując nagą pierś, i cały czas zawodził jakąś inkantację, z jedną dłonią wyciągniętą w ich stronę, a drugą o rozstawionych palcach w niebo, jak antenę.

Ściąga jakieś fale z powietrza? Ładuje się, czeka na pioruny? – przemknęło Vukowi przez głowę, kiedy w pędzie przeskakiwał ciała leżące w rudych okrągłych plamach nasiąkniętego śniegu. Wcisnął stylisko topora za pas, sięgając równocześnie po łuk.

Jego ludzie zignorowali maga, za to bez namysłu ruszyli cwałem za biegnącymi w rozsypce Wężami. Znów rozległy się wrzaski, kolejni napastnicy zwalili się w śnieg. Zdążył jeszcze zauważyć, że Jadran biegnie

z pustym siodłem pomiędzy nimi i cały czas kręci nerwowo łbem, rozglądając się po ziemi.

– Odbić Filara i Czyniącą! – wrzasnął Drakkainen, naciągając łuk.

Jego strzała wyprysnęła spomiędzy palców i rozbryznęła się w powietrzu pękiem drzazg, zupełnie jakby trafiła w litą pancerną płytę. Równocześnie zwiadowcę zdzieliła niewidzialna pięść.

Wrażenie było takie, jakby pocisk trafił w kamizelkę kuloodporną. Wyrzuciło go w powietrze na wznak, wyraźnie poczuł, jak folgi jego laminatowego, wielowarstwowego pancerza zapierają się o siebie, rozkładając energię, i na ułamek sekundy składają się w jedną sztywną płytę.

Grzmotnął plecami w śnieg i nawet pojechał kawałek od impetu, wyrzucając fontannę puchu. Nie miał pojęcia, czy to, czym oberwał, było efektem ubocznym zaklęcia, które zniszczyło strzałę, pospiesznym atakiem, czy może pianinem wystrzelonym z katapulty.

– Cyfral... – stęknął, gramoląc się ciężko. – Pokaż mi magię. I dawaj, co tylko jest.

– Masz tylko na sobie! – krzyknęła z wyraźną nutą histerii. – Tu nic nie ma! On ma własne zasoby!

– Pokaż, *da piczki materi*!

Tamten stał jak przedtem, w pozie, którą Vuko uznał za magiczną postawę bojową – na przygiętych lekko nogach, wskazując Drakkainena prawą dłonią, z lewą uniesioną nad głowę, skierowaną palcami ku niebu.

Ciekawe, czy to coś daje, czy to tylko komedia? – zdążył pomyśleć.

Wokół stojącego na wzgórzu maga powietrze lekko wibrowało, jak w upalny dzień nad asfaltem. Otaczało go niewyraźnym kręgiem, niczym bańka mydlana, a po powierzchni sunęły jakieś widmowe smugi, trochę podobne do bladych wyładowań, które spływały do wyciągniętej dłoni i skupiały się wokół niej rozedrganym halo.

– On naprawdę się ładuje, pieprzony kondensator – mruknął do siebie Drakkainen. – Dostałem resztkami, dlatego żyję.

Przesunął dłońmi po własnym napierśniku, usiłując zgarnąć odpryski gwiezdnego pyłu, migocącego jak diamentowy kurz.

– Dawaj mi wszystko na dłonie, Cyfral. Sprawdź, czy coś nie zostało tam, gdzie był ten urojony wąż.

Ruszył naprzód pochylony, biegnąc zakosami, jakby miał przeciw sobie gniazdo karabinu maszynowego, a nie półnagiego człowieka z wyciągniętą ręką. Czuł, że palce zaczynają mu mrowić. Próbował coś wymyślić, ale w głowie miał pustkę.

Tamten przekręcił lekko tułów, przesuwając dłoń w stronę jego ludzi.

Drakkainen rozpaczliwie wyszarpnął topór zza pasa, rozmazał po ostrzu migotliwą poświatę, zamachnął się w biegu i cisnął ciężkim kawałem żelaza.

– *Kuolla, vittumainen!* – wydarł się, żeby odwrócić uwagę tamtego.

Z drugiej strony, od zbocza, rozległ się posuwisty chrzęszczący dźwięk i wrzask. Drakkainen odwrócił głowę, kiedy topór był jeszcze w powietrzu, i zobaczył mknące po stromym stoku sanie, akurat jak wyskakiwały na muldzie w chmurze śniegu. Jego ludzie trzymali się kurczowo burt, ale zdążył zauważyć naciągnięte kusze i błysk ostrzy.

Konie rozciągnęły się w szarży, Ludzie Ognia i Bracia Drzewa stali w siodłach z mieczami w dłoniach i wrzeszczeli.

Topór, kręcąc się jak urwany kawałek helikopterowego wirnika, zaczął opadać prosto w stojących na wzgórzu Węży, przebywszy rekordowe sto kilkadziesiąt metrów i wciąż przyspieszając.

Mag rozejrzał się błyskawicznie z rosnącą dezorientacją, poświata wokół jego dłoni zaczęła się rozpraszać i pulsować.

Trwało to ułamek sekundy, potem czarownik Węży machnął szeroko ręką, jakby chciał wymierzyć komuś policzek grzbietem dłoni – i zniknął w nagłej eksplozji śniegu.

Wraz z całym wzgórzem, Filarem, Passionarią w kołysce i jeźdźcami. Wszystko skryło się w okamgnieniu za ścianą rozpylonego białego puchu, który nagle runął w stronę atakujących jak fala tsunami, zwalając ich w pół kroku, gniotąc wnętrzności upiornym infradźwiękowym łomotem lawiny.

– Jezu... trzeci raz... – stęknął Drakkainen, gramoląc się niemrawo na nogi i plując śniegiem. Przetoczył się na czworaki i rozejrzał po pobojowisku.

Znów zaczęło sypać. I znów całą okolicę zaczął połykać biały szum.

– Do mnie! Ogień i Drzewo! Biegiem! – ryknął na całe gardło.

Ściana zamieci wypluła Jadrana, który gnał z wytrzeszczonymi oczami i wyszczerzonymi smoczymi zębami, prychając parą, i wyglądał jak wierzchowiec z piekła. Vuko odwrócił się do niego przodem, chwycił łęk

i w przelocie wskoczył na siodło. Rzucił się cwałem przed siebie, w pędzie zobaczył rozkrzyżowanego na śniegu trupa w oksydowanej zbroi i sterczący z zaspy miecz. Zsunąwszy się na bok, chwycił rękojeść, a potem wjechał na szczyt wzgórza, okrytego kłębowiskiem śniegowych płatków i dodatkowo mgłą. Jechał na pamięć i właściwie na ślepo, ale wzgórze było puste. Ślady kopyt i ludzkich stóp zmieniły się w ledwie widoczne dołki w lekkim, pierzastym puchu. Węże znikli. Razem z Filarem i Passionarią Callo. Została tylko śnieżyca i mgła. Zawrócił i pognał z powrotem tam, gdzie spodziewał się znaleźć swoich.

– Do mnie! – wrzasnął znowu.

Z kurzawy zaczęli wyłaniać się jeźdźcy. Grunaldi, potem Blekot, koń bez jeźdźca i koniec. Nikt więcej.

– Gdzie Sylfana! – wychrypiał Vuko nieswoim głosem. – Grunaldi, do sań, sprawdź, kto żyje. Blekot, stój tu i wrzeszcz co jakiś czas. Zaraz znowu się pogubimy. Kiedy Grunaldi wróci, biegiem na górę, do tamtych. Niech zwijają obóz i sprowadzają wszystko tutaj, tylko biegiem.

Sanie, które przed chwilą sunęły ze zbocza w absurdalnym szturmie, teraz leżały na boku i wyglądały nieszczególnie, a wokół majaczyły białe, nieruchome sylwetki, przesłonięte kłębami kurzawy.

– *Perkele!* – wykrzyknął, zamykając w jednym słowie wszystkie emocje, które kłębiły mu się w głowie, i ruszył galopem przez śnieg. Miał wrażenie, że wszystko rozłazi mu się w palcach. Zeskoczył prosto w okrągłą plamę krwi wsiąkniętej w śnieg, wśród kilku powykręcanych ciał, po czym zamknął oczy i wciągnął powietrze przez nos, usiłując się skoncentrować.

– Cyfral... Pomóż mi ich znaleźć. Szukaj Sylfany i Dzięgiela.

Wróżka zamigotała przed nim, jakaś pastelowa i zgaszona, z zatroskaną twarzyczką i wyglądała na równie zdezorientowaną co on.

A potem ruszył od jednego trupa do drugiego, prowadząc Jadrana krótko przy pysku.

Spoglądał w obce, blade, pergaminowe twarze, w podobne do studni czarne oczy, wyszczerzone zęby zalane krwią. Odwracał ich twarzami do góry, wbijając pionowo w śnieg znalezioną broń, z wyjątkiem pierwszego miecza, który sobie przywłaszczył. Któryś z Węży poruszył się słabo i raptem chwycił zwiadowcę za nadgarstek. Vuko pchnął go z góry za obojczykiem, zupełnie odruchowo, i dopiero kilka kroków dalej skonstatował ze zgrozą, co się z nim porobiło. Właśnie dobił rannego

człowieka, i to nawet nie tyle z zimną krwią, co w ogóle się nad tym nie zastanawiając.

– Sylfana! – wrzasnął. – Dzięgiel!

Nic. Nic poza wyciem wiatru i krakaniem. I śniegiem siekącym twarz.

Miał wrażenie, że chodzi w kółko i wciąż trafia w te same miejsca, kiedy Jadran zatrzymał się nagle, wydał z siebie smoczy hurgot i pociągnął Vuka w bok.

Dzięgiel leżał na boku wśród ciał trzech Węży, w wielkiej plamie krwi, z dwoma krótkimi mieczami w dłoniach, które zwykle nosił na plecach. Śnieg padał mu prosto w szeroko otwarte oczy, a na masce osłaniającej usta i nos wykwitła plama krwi, zbrązowiałej na mrozie.

Drakkainen przykląkł przy nim i wsunął dłoń pod kaptur, usiłując namacać miejsce z tyłu szyi, prawie na karku, gdzie miejscowi mieli tętnice, ale nie było wątpliwości. Dzięgiel już biegł przez Ogród, wśród lodowych kwiatów, na spotkanie zaprojektowanego przez Fjollsfinna raju.

– Vuko... – Cyfral zawisła zwiadowcy przed twarzą, spojrzał na jej zwieszone ramiona i serce mu stanęło. – Vuko... Znalazłam ją.

Ścierpły mu policzki, a głos wróżki odzywający się w jego głowie utonął w fali białego szumu. Wszystko na moment stało się biało-czarne.

– Gdzie...! – wycharczał.

– Idź za mną. Chyba żyje, ale nie wiem, czy...

– Prowadź – warknął. I poszedł za mżącą bladym światłem wróżką, pomiędzy trupami, wśród zwiewnego całunu zawiei.

Wpółsiedziała na śniegu, przechylona na bok, i miała twarz bladą jak papier. Hełm spadł jej z głowy, długie ciemne włosy wyplątały się z rzemienia i spływały teraz falą na rdzawą plamę wokół. Wciskała przedramię w bok i kołysała się lekko z zaciśniętymi powiekami, spod których ciurkiem toczyły się łzy.

Dopadł do Sylfany i najostrożniej jak mógł odsunął jej ramię od boku. Wszystko było przesiąknięte krwią, świeżą i wciąż płynącą, ale to przypominało ranę ciętą, a nie ślad po sztychu.

– Ulf... Przepraszam... – wyrzęziła. – Tak mi przykro... Wszystko wycieka... I tak zimno...

– Cicho, maleńka... – wymamrotał. – Wszystko będzie dobrze...

Rozpinał przecięty anorak, kolczugę i kolejne warstwy wełny palcami jak kołki. Rana ciągnęła się wzdłuż żeber, najniższe mogło być złamane, ale

nie doszło chyba do odmy. Wzdrygnęła się, kiedy obmywał jej bok garścią śniegu, rozmazując po skórze skrzepy i świeżą krew, która natychmiast wypełniała rozcięcie.

Klnąc zawzięcie po fińsku, polsku i chorwacku, wydłubał zza pazuchy ostatni flakonik, a z bocznej kieszeni spodni zaszyty w świeżym, czystym woreczku kłąb włókniny, porcję owadziej przędzy i bandaż. Rozdarł go zębami i ułożył w śniegu, a potem stłukł szyjkę flakonika o krawędź okapu hełmu i polał ranę wszystkim, co tam było. Dziewczyna krzyknęła i wyprężyła się na śniegu. Vuko zasyczał uspokajająco, starając się zebrać razem krawędzie skóry, i obłożył ją niby pajęczyną podobną do rzadkiej waty włókniną, a w końcu owinął bandażem. A potem siedział nad Sylfaną, trzymając dłonie na opatrunku, z całych sił usiłując sobie wyobrazić zamykające się naczynia krwionośne, dzielące się komórki i krzepnącą krew. Siedział z zamkniętymi oczami, kiwał się jak szaman i mamrotał monotonnie.

– *Parantua... Perkele parantua... pysähtyä veri... poistua perkele haava...*

Słyszał, że go wołają, ale nie przerywał. Siedział długo, patrząc, jak pokryte gęsią skórką piersi Sylfany poruszają się w drżącym oddechu, i czekał, aż opatrunek przestanie nasiąkać, powtarzając swoje monotonnym, drewnianym głosem.

Dopiero potem ich zawołał.

Straciliśmy dwóch ludzi – Zawilca i Dzięgiela. Dereń, Jawor i Sylfana są w ciężkim stanie. Dereń i dziewczyna wydają się stabilni, Jawor wygląda marnie – na dwoje babka wróżyła, przeżyje albo nie. Chudy były faun nieprzytomny. Jedne sanie uszkodzone. Z ich załogi Warfnir przy upadku rozwalił łeb, krwawi jak świnia, zarobił pokaźnego guza i wymiotuje, a Wawrzyn skręcił nogę. Obaj upierają się, że nic im nie będzie. Filar i Callo uprowadzeni.

Tak to mniej więcej wygląda. Reszta grupy uderzeniowej, ze mną na czele, też jest nieźle poturbowana. Zostało mi dziewięciu ludzi i dwie pary sań.

Siedzę na zwalonym pniu, myję dłonie i twarz śniegiem, a wokół trwa krzątanina. Ranni lądują na saniach, zabici też, zawinięci we własne

futrzane śpiwory. Muszę zorganizować ewakuację i zdecydować, kto jedzie ze mną jako grupa pościgowa. Dzielimy sprzęt.

Na śniegu leży rozłożona skóra, futrem do dołu, a na niej lądują zapasy strzał powiązanych w wiązki, paczki suszonego mięsa, omszałe gomółki specjalnego sera, stalowe szurikeny, liny, worki obroku, rozmaite mordercze szpargały.

Grunaldi znajduje swoją tarczę i przy okazji przynosi mi mój miecz. Daję mu w zamian bukłak z piwem. Uczestnicy szturmu są zziajani i ledwo stoją na nogach.

Warfnir co jakiś czas wymiotuje na śnieg i trwa pochylony, wsparty o własne kolana, jakby mógł w ten sposób ukraść parę sekund odpoczynku. Wawrzyn usiłuje skakać na jednej nodze, z workiem w rękach, a ja mam ochotę zwinąć się w kłębek w najbliższej zaspie. To są właśnie te momenty, kiedy zaczyna się przegrywać. Kiedy w obolałym mózgu zapalają się awaryjne kontrolki i nieuchronnie pojawia się komunikat: „Już więcej nie mogę”.

Właśnie po to miałem wszczep. Nie tylko jako wzmocnienie mięśni czy zmianę przewodzenia nerwowego. Kiedy pojawiało się: „Już nie dam rady”, mogłem przerzucić wyimaginowaną wajchę i przejść w tryb turbo. Odłączyć ból, zmęczenie i zniechęcenie i traktować przez jakiś czas organizm jak traktor. Potem się chorowało, rzecz jasna, ale żeby odchorować wysiłek, trzeba najpierw przeżyć.

Wkładam do ust trzy paski suszonego mięsa naraz i obracam je w szczękach, nim zmiękną na tyle, by dały się żuć. Przydałoby się też coś słodkiego. Przynajmniej nie mam już wątpliwości, dlaczego pluję krwią. Uszkodzony policzek puchnie od środka. Twarde mięsne landrynki co chwila dźgają mnie bólem, który mobilizuje jak szarpnięcia wędzidła.

Szczyt wzgórza jest jak wymieciony. Do gołej skały, kamieni i zmrożonej zeszłorocznej trawy, uklepanej niczym filc. To znaczy prawie wymieciony, bo od czasu zniknięcia Węży cały czas sypie śnieg, chociaż już trochę słabiej. Wielkie, luźne płatki przypominają strzępy dartego pierza.

Próbowałem już teleportacji i wiem, ile z tym zachodu. Nie chce mi się wierzyć, że czarownik Węży dokonał tego jednym gestem, obserwując jednocześnie szarżujących na niego jeźdźców i nadlatujący topór. Tylko że

tutaj, w tym świecie, słowo „niemożliwe” należy zapakować do pudełka i odłożyć gdzieś, gdzie nie będzie przeszkadzało.

Jeśli zdołał tego dokonać, to w zasadzie mamy pozamiatane. Jeśli taki jeden wytatuowany świr potrafi w dowolnej chwili przerzucić gdzieś grupkę ludzi albo sprawić, żeby pojawili się, gdzie on chce, nie mamy szans. I już. Teleportuje nam desant w sam środek Lodowego Ogrodu, albo i do słoniarni Fjollsfinna.

Przyklękam na ziemi i obserwuję przysypany puchem stok za wzgórzem, w kierunku rzeki. Powierzchnia jest nierówna, warstwa lekkich kłaczków zniekształca widok, ale wydaje mi się, że widzę rzędy dołków, być może śladów wygniecionych w głębokim zbitym śniegu pod spodem. Oczywiście to równie dobrze mogą być tropy, które pozostawili, idąc w tę stronę.

Schodzę kawałek w dół, przykucam lekko, usiłując spojrzeć pod kątem, ale niewiele to pomaga. Niebo jest powleczone jednolitą pokrywą chmur, wyglądającą jak brudne workowe płótno. I nie ma cieni. Mógłbym poszukać śladów termicznych. Albo posłużyć się węchem i wyczuć trop. Kiedyś. Teraz moje zdolności pojawiają się głównie jako naga, przemądrzała rusałka trzepocząca skrzydłami ważki.

W nozdrzach mam tylko ostry, metaliczny aromat mrozu oraz odór wilgotnego metalu, wełny i własnego potu.

W połowie drogi do rzeki coś znajduję. Podejrzaną brązową plamkę łyskającą spod warstwy śniegu. Postrzępione płatki są stopione i pozlepiane czymś rdzawym, co działało jakby od dołu. Rozgarniam delikatnie palcami i widzę wytopiony dołek wylepiony barwą rdzy pod spodem. Kropla świeżej krwi, która spadła w śnieg i została przysypana świeżym puchem.

Nadzieja.

Wracam do swoich. Podjąłem decyzję.

– Z rannymi jadą Wawrzyn, Warfnir, Tasznik i Blekot. Pamiętajcie: od ujścia jedźcie na północ, aż zobaczycie, że lód zacznie się robić cieńszy. Rozpalcie ognisko na żelaznej tarczy, jeśli zacznie już zmierzchać albo zrobi się ciemno, wsypcie do ognia proszek z tamtego woreczka. Po trochu. Ogień będzie robił się niebieski i zacznie strzelać iskrami. Odczekajcie chwilę, aż zacznie się palić normalnie, i po jakimś czasie znowu. Jeśli zobaczycie na morzu migające światło, to będzie znaczyło, że Oset was zauważył i płynie do was. Nie gaście ogniska. Powiedzcie mu, żeby czekał

jeszcze trzy dni, potem, jeśli nie wrócimy, płyńcie do Ogrodu. Za wszelką cenę ratujcie rannych.

– A my co robimy? Tamci znikli – zauważa sceptycznie Spalle. Siedzi na zwalonym pniu, ciężko, z rozrzuconymi nogami, i pije z obszytej futrem manierki.

– Myślę, że nie znikli, tylko normalnie odjechali pod osłoną mgły i śnieżycy – wyjaśniam.

Spalle wbija zdecydowanym ruchem korek w szyjkę manierki i wyciąga swoją osełkę. Grunaldi nachyla się nad bladą Sylfaną leżącą na saniach i mamrocze coś pod nosem, a potem ogląda krytycznie trzymany w rękach własny hełm i zakłada go na głowę, chrzęszcząc folgowym nakarczkiem i osłonami policzkowymi.

Dziewczyna jest biała jak lód, wydaje się, że spod pobladłej skóry przeświturje błękit. Muskam jej wargi w delikatnym pocałunku i za wszelką cenę nie chcę się rozkleić. Zaciskam mocno powieki i powoli wypuszczam powietrze ustami. Przełykam ślinę, poruszam żuchwą, aż skurcz szczęk i gardła ustępuje.

Sanie ruszają z chrzęstem płóz, prosto do koryta zamarzniętej rzeki. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w nocy powinna być już na statku. Najpóźniej jutro rano. Bezpieczna na morzu, w lodowym kadłubie, wśród ciepła spalających się w piecu brykietów, w zielonym świetle zaklętych w ścianach świecących rybo-smoków.

Ściskamy sobie na pożegnanie nadgarstki i karki.

Dociągamy pasy. Poprawiamy torby i pochwy obciążone żelazem. Przepocone anoraki robią się sztywne i lodowate. W drogę.

– Do mnie, Cyfral – mruczę pod nosem. – Pracujemy dalej.

Pojawiła się natychmiast. Vuko westchnął.

Ruszyli gęsiego w ciszy, buchając parą oddechów.

– Dokąd? – zapytał Grunaldi.

– Na razie na wschód. W dół, przez rzekę i w stronę tamtej przełęczy. A potem zobaczymy.

– Znowu będzie rozmawiał z własnymi rękami?

– Nie gadać!

Zjechali ze zbocza na brzeg rzeki. W jednym miejscu widać było pas wydeptanych i połamanych suchych zeszłorocznych trzcin, ale ani przed nimi, ani na zaśnieżonej tafli lodu na rzece nie dostrzegli śladów.

– Tędy – powiedział Vuko. – Teraz już ich nie zgubię.

– Przecież nie widzisz tropów.

– No właśnie. Spójrz uważnie. Wszędzie indziej na śniegu są nierówności, tropy ptaków, zaspy i ślady od wiatru. A tam, gdzie oni poszli, jest pas gładziutkiego śniegu, równiutki jak obrus. Rzucił zaklęcie, które miało zatrzeć ślady, i zatarło. Wszystkie. Miło popatrzeć, jak ktoś też popełnia błędy.

Po drugiej stronie strumienia pas wygładzonego śniegu ciągnął się dnem płytkiej doliny prosto do lasu.

– Albo chcą się oderwać jak najszybciej, albo przyczają się i poczekają na nas – mruknął Drakkainen. – Uważajcie, w lesie mogą się na nas zasadzić. Kłus, rzędem!

Jednak Węże nie czekali na nich pod osłoną drzew. Ledwie widoczne pasmo wygładzonego zaklęciem puchu wiodło jak strzelił samym dnem doliny prosto między drzewa. Vuko rozdzielił oddział, żeby oskrzydlić tamtych, gdyby rzeczywiście siedzieli ukryci wśród zasp i ośnieżonych gałęzi, ale nic się nie stało. Za to pojawił się normalny trop. Podłużne ślady z nieregularnymi brzegami, kiedy rozpędzone kopyta wyrzucały śnieg, bryłki darni i strzępy mchu, czasem kropla gęstej krwi na bieli. Śpieszyli się.

Jechał przodem, co kilkadziesiąt kroków zeskakując w głębokie zaspy, przypadał wtedy do ziemi niczym pies, gładząc tropy, wypatrując złamanych patyków, czap strąconych z konarów, śladów końskiego nawozu albo kolejnych wytopionych krwawych otworków, a potem w milczeniu wskazywał kierunek i znowu gnał przodem.

Konie buchały parą, owinięte rzemieniami wszelkie metalowe sprzączki i klamry końskich rzędów nie szczękały, śnieg tłumił tętent. Wtopili się w las. Jeźdźcy okutani w biało-szare maskujące stroje, wierzchowce spowite w białe kropierze, sunęli między gałęziami jak oddział widm.

Po jakiejś godzinie las zrzedniał nieco. Vuko uniósł nagle pięść nad głowę, a potem cofnął ją do barku i machnął dłonią w bok. Bez słowa zeskoczyli z siodeł, zdejmując tarcze z pleców i wyciągając miecze.

– Tu zsiedli z koni – wysyczał Drakkainen, buchając parą spod odpiętej maski. – Zostawili jednego koniowodnego i poszli rzędem w tamtą stronę. To chyba polana. Czujecie?

Grunaldi pociągnął nosem.

– Dym. Smoła i jakby przypalona pieczeń.

– A także ludzkie gówno i świeża krew. Dużo krwi – uzupełnił Vuko ponuro. Zapiął pas futra zwisający z boku kaptura, zakrywając nos i usta. – Osłaniajcie mnie. Jeśli to pułapka, pozostawajcie w ukryciu. Strzelajcie albo atakujcie i zmieniajcie pozycję. Nie wychodźcie na otwartą przestrzeń. Na razie rozproszcie się wokół polany.

Rozległ się stłumiony terkot naciągów dwóch arbalet, reszta w milczeniu sięgnęła po łuki, po czym znikli wśród ośnieżonych gałęzi.

Drakkainen wyjął miecz, odczekał, aż wszyscy znajdą pozycję, a kiedy najpierw z jednej, a potem z drugiej strony polany rozległo się pogwizdywanie zimowego ptaszka, wyszedł ostrożnie spomiędzy krzaków i ruszył przed siebie.

Wprost w stronę dwóch obłożonych darnią stożkowatych kopców, z których sączył się gęsty dym. Wokół stosów śnieg był udeptany i zryty do gołej ziemi, wszędzie leżały w nieopisanym nieładzie jakieś kije, kawałki skór i gałęzie, najwyraźniej resztki sporego szałasu, obok ogniska, zmienionego już w kupkę żaru, leżał poczerniały żeliwny kocioł, z którego wyciekło coś brązowego i chyba jadalnego, obecnie przypominającego parującą kałużę błota. Niedaleko zrujnowanego obozowiska stały toporne sanie, do połowy wypełnione bryłami węgla drzewnego, a za tlącymi się kopcami widział jeszcze poruszające się smoliście czarne kłębowisko.

Zrobił następne dwa kroki i wtedy to kłębowisko eksplodowało nagle ogłuszającym chóralnym krakaniem i chmurą fruwających nad polaną kruków, odsłaniając dwa porąbane trupy. Odór jatki i wnętrzności buchnął Drakkainenowi w twarz, przebijając swąd tlących się w kopcach węgli, aż się zakrztusił i odwrócił na moment, przyciskając futrzaną maskę do ust. Kruki miotały się nad jego głową jak czarne kraczące tornado.

Podszedł bliżej, ale żaden z leżących ani nie przypominał Węża, ani Filara. Obrzucił spojrzeniem upiornie białe twarze z wyszczerzonymi zębami i wytrzeszczonymi zmętniałymi oczami, zakrzywione jak szpony palce, kończyny powykręcane w przypadkowe strony, rozwarte ślady cięć, jak otwarte do wrzasku krwawoczarne usta, i poczuł się okropnie

zmęczony. Ci dwaj wyglądali, jakby oberwali z moździerza albo wpadli pod pociąg. Wokół nich rozlewała się wielka plama rudego, krwawego błota.

Obszedł polanę dookoła, czasem przewracając końcem miecza znaleziony przedmiot, czasem przyklękając na chwilę na śniegu. A potem wyprostował się i gwizdnął na swoich.

– Było tu ośmioro ludzi, w tym dwie kobiety i dwoje dzieci – wyjaśnił, kiedy zeszli się ze wszystkich stron, wciąż ze strzałami na cięciwach i kuszami w dłoniach. – Polowali i wypalali węgiel. Chyba zaczęły im się kończyć zapasy. Obozowali tu z dziesięć dni. Węże przyszli stamtąd. – Pokazał końcem miecza. – Ot, tak po prostu i od razu zaatakowali. Obrzucili szałas pochodniami albo smoczą oliwą, a potem zaczepili go kotwiczką i zwalili na głowy ludzi, którzy byli w środku. Tych dwóch walczyło do końca, a kiedy ginęli, wspierali się już plecami o siebie. Nie wiem, z iloma albo z czym walczyli, ale nie widać, żeby kogoś zabili. A potem Węże odeszli i zabrali ze sobą pozostałych. Nic nie rozumiem. Śpieszą się. Gdzieś zmierzają. Zacierają ślady. A potem rzucają się bez namysłu na pierwszych ludzi, jakich spotykają. Pomieszało im w głowach czy co?

Spalle splunął przez zęby.

– To bestie – wyjaśnił Grunaldi. – Zawsze tak było. Nie walczą ani dla łupów, ani dla honoru. Zupełnie jak wściekłe wilki. A teraz pod tym wężowym królem do końca ich pokaziło.

Drakkainen pokręcił głową, a potem machnął ręką na wschód.

– Zebrali tam wszystkich ocalałych. Związali ich jedną liną i powlekli ze sobą. Po co? Do Ziemi Węży mają kawał drogi. Przez te góry przynajmniej ze dwa tygodnie marszu. Na co im jeńcy? Przecież będą ich spowalniać. Niektórzy są ranni, trzeba ich jakoś karmić i ogrzać, bo popadają. Zresztą co to za zysk, kilkoro niewolników? Gdzie tu jakaś logika? Przecież nie powariowali ze szczętem. Musi o coś chodzić. Może i van Dyken namieszał im w głowach, ale nie są aż takimi kretynami.

– Jest zima – zauważył Głóg. – Mówiłeś, że zaczęli żreć ludzi. Może to ma być prowiant Węży?

– Sprawiliby ich – odparł zwiadowca ponuro. – Mięso to mniej kłopotu, nie spowalnia, a na tym mrozie się nie popsuje. Dawać konie. Ruszamy.

Teraz mamy szansę skrócić dystans. Zanim się pozbieraliśmy, zyskali z półtorej godziny, teraz możemy ich dopaść.

Grunaldi złożył dwa palce w kółko, wsadził do ust i gwizdnął na Powoja, który wyszedł z lasu z łukiem przewieszonym przez plecy, prowadząc konie za kantary.

Za polaną ślad rzeczywiście był jeszcze wyraźniejszy, za to las zrobił się gęstszy, pełen zwieszających się nisko poskręcanych konarów, przygiętych pod ciężarem śniegu, skał i czepiających się ubrania kolczastych krzewów.

Bez słowa zeskoczyli z siodeł i brnęli naprzód bez wytchnienia. Co jakiś czas Drakkainen wstrzymywał oddział, zrzucał kaptur i nasłuchiwał, usiłując wyłowić jakiś obcy dźwięk. Skrzypienie i pobrzękiwanie uprzęży, parskanie wierzchowca, szczęk oporządzenia, lament porwanych, cokolwiek. Ale las stał w ciszy. Tylko od czasu do czasu rozlegał się szum wiatru gdzieś w koronach iglastych drzew, pokrakiwanie ptaków, plusk strumienia przedzierającego się wśród oblodzonych kamieni albo mokre plaśnięcie śnieżnej czapy spadającej z drzewa od podmuchu. Nic więcej.

Po godzinie las zrzedniał i wyszli na nachyloną białą halę. Nieskazitelną pokrywę śniegu szpecił tylko wydeptany, szeroki na pół metra trop, trawersujący zbocze na ukos i prowadzący w dół, ku kolejnej granicy lasu i skał. W wydeptanym śniegu widać było więcej bryzgów i kropel krwi, czasem wyraźnie odciśnięty ślad padającego człowieka, czasem tylko dołki pozostawione przez kolana i dłonie. Węży i ich jeńców jednak nigdzie ani śladu.

– Długo ich tak nie dadzą rady gonić – powiedział zdyszany Spalle. – Jeżeli ci jeńcy są Wężom do czegoś potrzebni, będą musieli dać im odpocząć.

– Bawią się z wężami, pieką ludzi, kłaniają się Czyniącemu, który jest niezdrów na umyśle... Widziałeś kiedyś, żeby jakiś Wąż zrobił cokolwiek jak mąż rozsądny? – zapytał Grunaldi.

– Niedługo powinniśmy ich zobaczyć – oznajmił Drakkainen. – Albo oni nas. Gdyby nie ten las, pewnie już by tak było. Nie jedźcie środkiem hali po tropie. Trzymamy się linii lasu i pilnujemy, żeby mieć jakąś osłonę, choćby parę krzaków. Póki się da, nie wychodźcie na otwartą przestrzeń.

W dole zbocza trop prowadził doliną potoku, wśród gęstego lasu i smukłych jak maszty pni. Ledwo wjechali między drzewa, Drakkainen

uniósł pięść i znieruchomiał w siodle, nasłuchując, a potem zrobił kilka gestów. Wskazał palcami swoje oczy, podniósł rękę, zawachlował dłonią.

Skalnik podjechał do Grunaldiego i stanął strzemię w strzemię, a potem nachylił się do żeglarza.

– Co to znaczyło? – tchnął niemal bezgłośnym szeptem.

– Ktoś tu jest. Patrzy na nas – odszepnął Ostatnie Słowo.

– Tak. Też to czuję.

Ruszyli dalej ostrożnie, z tarczami w rękach i obnażoną bronią. Tylko jadący na końcu Powój przełożył nogę nad siodłem i usiadł bokiem z arbaletą w ręku, przepatrując uważnie drogę za nimi.

Trop prowadził traktem, w lecie pewno nawet całkiem przyzwoitym, obecnie zasypanym śniegiem, pełnym oblodzonych kamieni i śliskim jak diabli, ale jechali krótkim truchtem, byle naprzód. Po gałęziach przekicało pręgowane szarożółte stworzenie podobne do wiewiórki, z długim, wijącym się nerwowo ogonem, strącając migocący w powietrzu jak muślin śnieżny pył. Drakkainen odprowadził je wzrokiem i uznał, że albo w pobliżu nie ma zasadzki, albo jest bardzo dobrze ukryta. Na tyle dobrze, by nie płoszyć wiewiórek. Mimo to uporczywe wrażenie, że są obserwowani, nie dawało mu spokoju.

– Leć przodem, Cyfral – mruknął. – Wypatruj ukrytych, zamaskowanych Węży, jakichkolwiek oznak zasadzki.

Za zakrętem natrafili na most. Porządny, drewniany, zbity z grubych bali, nawet wyposażony w poręcze. Potok przecinał szlak z prawej strony na lewą, po obu stronach zbocze wznosiło się stromo, pełne skał i śliskich płytek rudego łupku. Przed nimi otwierał się szeroki widok na posępne granitowe turnie i kolejne zalesione doliny. Tropy prowadziły grzecznie szlakiem widoczne aż do następnego załomu skały, ale i tak nie wyglądało to zachęcająco.

Vuko zatrzymał Jadrana i rozłożył ręce na boki. Jadący za nim Głóg i Spalle natychmiast skręcili i wjechali do strumienia po obu stronach mostu. Konie potykały się na kamieniach, gruchocąc kopytami lód i rozchlapując lodowatą wodę.

Drakkainen zeskoczył z siodła i powoli ruszył mostem, sprawdzając wzrokiem każdą skałę, ostrożnie stawiając nogi na oblodzonych belkach.

Cyfral pojawiła się znikąd, ciągnąc za sobą migotliwą smugę jak animowana kometa, z oczkami okrągłymi z przerażenia.

– Uciekaj, Vuko! – krzyknęła. – Z przodu za skałami!

Zobaczył nagle, jak przeszywają go trzy migotliwe jaskrawożółte widmowe promienie, i zdążył zastawić się tarczą. Laminat załomotał głucho. Usłyszał tętent kopyt, odwrócił się i w biegu wskoczył na siodło Jadrana.

Kolejna strzała wbiła się w poręcz mostu z jędrnym stalowym dźwiękiem jak gwóźdź, następna bzyknęła nad głową niczym szerszeń.

– Są też z tyłu! – wrzasnął Powój, podrywając arbaletę do ramienia.

– Nie strzelać na ślepo! – ryknął Drakkainen. – Diament!

Wierzchowce zbiły się w gromadę, tworząc sześciokąt, po czym zwróciły się zadami do siebie, jeźdźcy unieśli tarcze. Kolejne strzały wbiły się ze stukotem w drewno.

– I co teraz? Nie wiemy skąd, nie wiemy ilu.

– Wypatrujcie ich, musimy się przebić. Pod osłoną dymu. Szykować świece. Grunaldi, krzesz ogień. Cyfral, gdzie są Węże? Ilu?

– To nie są Węże. I jest ich około dziesięciu. Za zakrętem czekają konni. I piechota. Czterdziestu paru. Mają włócznie i topory.

– Sprawdź drogę za nami, galopem!

– To był zaszczyt was poznać – zauważył Grunaldi.

Wróżka znikła. Strzały wbijały się w śnieg i błoto wokół nich z jadowitymi, ostrymi bzyknięciami, tworząc krąg. Miały różne lotki z pstrokatych piór leśnych ptaków. I długie promienie, półtorałokciowe. Węże używali lotek z czarnych kruczych piór albo farbowanych, czarno-czerwonych, i stosunkowo krótkich strzał, grubych niemal na palec.

– Zapalamy świece?

– Czekać! Z przodu droga zablokowana!

Skulili się w siodłach za tarczami, a Vuko przygryzał ze złości wargę i myślał gorączkowo. Na razie napastnicy nie starali się ich wybić. Strzelali raczej na postrach – pod nogi albo w tarcze.

– Nie jesteśmy Wężami! – wydarł się, aż własny głos zadzwonił mu pod hełmem, jak wewnątrz dzwonu. – Ścigamy ich! Nic do was nie mamy!

– Coście za jedni?! – odkrzyknięto gdzieś z góry. – Czego tu chcecie?

– Jesteśmy z Wybrzeża Żagli! Ścigamy Węży, którzy porwali naszych. Chcemy ich tylko pozabijać, zabrać swoich i wrócić do siebie. Nie mamy o co się bić!

– Rzućcie broń, to pomówimy!

– Zawsze to samo – westchnął Vuko z irytacją. – Musi się, kretyn, targować.

Splunął w śnieg i przygotował gardło do następnego ryku:

– Schowamy broń! Nie macie się czego bać, jest nas tylko sześciu! – odkrzyknął, a potem rzucił przez ramię do swoich: – Miecze do pochew! Zdejmijcie strzały z cięciw, może jednak przeżyjemy.

Sam uniósł prawą rękę, w której dzierżył łuk, przytrzymując palcami strzałę na łęczysku. Poluzował dłoń, pozwalając strzale spaść na ziemię, i powoli schował łuk do sajdaka przy siodle. Przełożył drugą dłoń przez rzemień przy tarczy i przerzucił ją na plecy.

Pozostali niechętnie opuścili osłony, ale ukryci strzelcy też dali na chwilę spokój. Konie pomrukiwały nerwowo i potrząsały łbami, chlupotał strumień, a wokół nich sterczał krąg strzał, niczym klomb dziwacznych kwiatów. W górze krakały kruki.

Drakkainen rozłożył na boki puste ręce i pchnął biodrami. Jadran ruszył naprzód, łamiąc kopytami żywopłot z kolorowych lotek i stukając zimowymi podkowami w lód szlaku.

Przed mostem czekało na Drakkainena trzech jeźdźców w czarnych folgowych pancerzach zdobionych oplotowymi wzorami z miedzi i głębokich hełmach z szerokimi nosalami. Ten najbardziej z przodu zdjął powoli hełm, podał go siedzącemu z prawej, a potem zeskoczył na śnieg i ruszył powoli mostem.

Miał starannie rozczesane długie włosy i jasną brodę zaplecioną w dwa warkocze przełożone przez srebrne pierścienie, a z ramion spływał mu niebieski płaszcz podbity białym futrem. Prezentował się raczej godnie i oficjalnie, nawet jego buty z futrzanymi cholewami wyglądały na drogie i eleganckie. Drakkainen w swoim maskującym anoraku i okopconym półpancerzu poczuł się wyjątkowo wyświechtany, niechlujny i podobny do brudnej zebry.

– Niepotrzebnie wyrzucałem tamto błyszczące – mruknął, zsiadając z konia. – Przynajmniej koronę trzeba było zostawić.

Spotkali się pośrodku mostu. Elegant splótł ręce na piersi, całkiem sprytnie – prawą położył na lewym przedramieniu i w efekcie jego dłoń dyskretnie wylądowała tuż nad rękojeścią tkwiącego w pochwie miecza. Stał tak – niby spokojnie i obojętnie, a w razie czego ofensywnie.

Drakkainen zrzucił kaptur i oszczędnie ukłonił się samym ruchem głowy, uznając, że nie ma co przesadzać z uprzejmościami.

– Te trzy strzały poszły w moją tarczę – powiedział tonem towarzyskiej rozmowy. – Gdybym miał gorszy refleks, tobym tu teraz leżał.

– Straciłem wielu ludzi – odparł elegant urażony. – A wy jesteście obcy. Tamci noszą się na czarno, wy na biało, jedno i drugie tak samo dziwaczne. Nawet tarcze macie białe, bez znaków. Skąd mieliśmy wiedzieć? Choć u ciebie coś prześwituje, jakby świstak...

– Miał być wilk – wyjaśnił Vuko z lekkim zniecierpliwieniem. – Ale niezupełnie się udał, dlatego zamalowałem. Jestem Ulf Nocny Wędrowiec. Cudzoziemiec, ale żyję między Ludźmi Ognia, w górze Dragoriny. Pozwólcie nam przejść. Tamci Węże są niedaleko i bardzo nam spieszno. Mają naszych ludzi i coś, co należy do nas. Są dość niebezpieczni, jest z nimi Czyniący.

– Rozmawiasz z Kungsbjarnem Płaczącym Lodem, styrsmanem Ludzi Kruków. To moja ziemia i moi ludzie – rzucił tamten wyniośle. – Węże, którzy przeszli tym szlakiem, to moja rzecz. Należą do mnie, tak samo jak jelenie w lasach i ryby w strumieniach oraz złoto w trzewiach gór. Mówiłeś, że mają coś twojego. Co to jest?

– Nie przyda ci się na wiele – zauważył Drakkainen. – Ma raczej wartość sentymentalną. To trumna.

Kungsbjarn Płaczący Lodem, styrsman Ludzi Kruków, stracił na chwilę rezon.

– Co?

– Trumna – powtórzył Drakkainen cierpliwie. – Używana. Znaczy z zawartością. To... ten, moja ciotka. Ukochana ciotka.

Elegant rozejrzał się trochę bezradnie, kiedy Vuko przypomniał sobie, że na Wybrzeżu Żagli stosuje się ciałopalenie. Postanowił nie brnąć dalej.

– Węże nie mają nic, na czym mógłbyś się wzbogacić. Jeśli zaś postanowisz nas wystrzelać, będziemy się przebijać. W końcu poginiemy, ale nie należymy do ludzi nieudolnych. Natracisz swoich, zupełnie niepotrzebnie, a Węże nadal będą sobie podróżować po twoich ziemiach.

– Ukradli ci trumnę? – zapytał ostrożnie Kungsbjarn.

Drakkainen westchnął, zachodząc w głowę, co go napadło z tą trumną.

– Nie mnie, ciotce. Znaczy ciotkę w zasadzie też ukradli. Puść nas, człowieku! Co ci zależy? Chcesz myto za most? Zapłacimy. Przejedziemy

szlakiem tam i z powrotem i znikniemy, jakby nas nigdy nie było. Zapłacę ci nawet, jeśli upolujemy królika, tylko daj nam dopaść tych Węży. W górę szlaku, na zachód stąd, napadli na smolarzy i wybili ich, a część porwali ze sobą. Ilu chcesz jeszcze stracić ludzi? W najgorszym razie my i Węże powybijamy się nawzajem.

– Jest was sześciu – zauważył Płaczący Lodem. – Co chcecie wskórać przeciwko Wężom, których prowadzi Czyniący?

– Kiedy szli w tamtą stronę, było ich znacznie więcej – zauważył skromnie Drakkainen. – Ci to niedobitki. Tylko że z każdą chwilą oddalają się od nas. I w każdej chwili mogą zabić twoich smolarzy. Tam są niewiasty i dzieci!

– Oni już nie żyją – powiedział Kungsbjarn zagadkowo. – Nawet ja nie zdołam wyrwać ofiary Szepcącym do Cieni.

– To tylko Węże. – Drakkainen wzruszył ramionami. – Przebici mieczem umierają jak każdy. Nawet Czyniący. Wyrwaliśmy im już niejedną ofiarę. Tylko kiedy my tu sobie gawędzimy, oni są coraz dalej.

– Nie mówiłem o Wężach. Posłuchaj, Wędrujący Nocą. Jesteśmy Ludzie Kruki. Inni zwykle chełpią się, że w ogóle nie znają trwogi. Ale to są głupcy, którzy szybko dowiadują się, jak bardzo się mylili. My nie boimy się żadnych ludzi i żadnych cudzoziemców. Ani Amistrandingów, ani miedzianoskórych z Kabirstrandu, ani Ludzi Ognia, ani Węży. Nie boimy się sztormów i morskich potworów. Nie boimy się górskich nyflingów, upiorów zimnej mgły, ani nawet bogów. Boimy się jednak Żarłocznej Góry, jej uroczyska i szalonych mnichów zwanych Szepcącymi do Cieni, którzy tam mieszkają. Wiem, dokąd poszli twoi Węże, i mogę ci pokazać krótszą drogę. Ale nawet gdybym cię nie zatrzymał, i tak nie zdążyłbyś ich dopaść przed Kamiennymi Kłami. Dalej jest tylko uroczysko i zaczyna się moc Szepcących do Cieni. Nikt, kto przekroczy przełęcz, nie przeżyje. Żarłoczna Góra nie wypuszcza nikogo.

– Pokażesz nam ten skrót? – zapytał Drakkainen. – I opowiedz mi więcej o tych mnichach. Czego Węże mogą od nich chcieć? I dlaczego ci Szepcący ich nie zabiją?

– Tego nie wiem. Ale skoro Węże znowu porwali ludzi, to znaczy, że przywiodą ze sobą ofiarę dla Żarłocznej Góry.

– Ci mnisi porywają ludzi? Pozwalasz na to?

– Mnisi nie mogą opuszczać Żarłocznej Góry. Poza nią tracą moc. Gdyby wyszli, pewnie byśmy ich wreszcie wybili. Ale u siebie, w swoim wykutym w skale chramie, są niepokonani. To sama Góra ich chroni. Umieją jednak zwodzić ludzi na manowce, tak by sami przeszli przełęcz Kamiennych Kłów i nakarmili sobą Górę. Myśliwych, wędrowców, zagubionych na szlaku. Sami jednak nigdy nie wychodzą ze swojej doliny. Nie powiem, że jesteś odważny, Nocny Wędrowcze, bo ten, kto nie wie, na co się porywa, nie ma w sobie męstwa, a tylko głupotę. Ja mówię: wracajcie na swoje Wybrzeże i zapomnijcie o tych, których porwano. Albo idźcie do Ziemi Węży i tam wywrzyjcie pomstę. Ale nie idźcie za Kamienne Kły, bo równie dobrze możecie sami poprzebijać się mieczami.

– Dziękuję za radę – odparł Drakkainen. – A ja mówię: musimy iść. Ci Węże nie mogą wrócić do domu. Jeśli tak się stanie, wiosną zajmą całe Wybrzeże Żagli i nie będzie nikogo, kto by ich powstrzymał. Po prostu pokaż nam, proszę, ten skrót i będzie po sprawie.

Rozdział 2

Żarłoczna Góra

Robak pełznie, szepcąc do cieni,
to pożeracz ciał i płomieni.
Skały głodne, skały są głodne,
zwidy mamią zmysły zawodne.

W paszczach jaskiń, w gardłach tuneli
słychać lament tych, co zginęli.
Góra krzyczy, góra zawodzi,
z głębi pieczar nikt nie wychodzi.

Robak ślepy, robak jest ślepy,
robak głodny jest i kaleki.
Niestrudzenie pełznie przed siebie,
żeby pożreć, żeby pożreć dziś ciebie.

*(Słowo o świecie, Lodowy Ogród)**

* Wszystkie wiersze autorstwa Mai Lidii Kossakowskiej.

Powrót do świata oznaczał ból.

Kiedy wyczołgałem się z jaskini, zdążyłem jedynie zobaczyć jeźdźców na wysokich wierzchowcach w dziwacznie wykutych zbrojach, hełmy z osłonami jak pyski jaszczurów, poczerniałe żelazo i drzewca z zębatymi proporcami sterczące im zza pleców, łopocące na tle śnieżnej bieli jak płomienie. W jednym błysku.

Byli jak w moim śnie jeszcze w Dolinie Bolesnej Pani.

A potem odwróciłem się do dziury między skałami, ziejącej niczym rozwarta paszcza w śniegu, która latem pozwoliła mi wyjść na wolność, prosto do wielkiego cudzoziemca o dziwnych rysach, który miał być częścią mojego przeznaczenia, do tego, który zwał się Nocny Wędrowiec, by wykrzyczeć im ostrzeżenie.

A potem zgasłem.

Czułem nadlatujący pocisk, słyszałem, jak koziołkujące żelazo tnie ze świstem powietrze, a potem spadł na mnie cios i koniec.

Pamięć o tej chwili jednak odnalazłem dużo później. Kiedy zbudziłem się przewieszony niczym upolowany jeleń przez grzbiet jadącego krótkim galopem konia, znałem i pamiętałem tylko ból. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem, ani nawet kim jestem. Byłem jednym bólem. Zaczynał się od mojej spuchniętej nad skronią czaszki, wypływał ze mnie gęstymi, toczącymi się jak wosk z płonącej świecy kroplami z rany nad brwią, gnieździł się w brzuchu, na piersi, tam, gdzie każdy krok wierzchowca dźgał mnie potężnym uderzeniem zwierzęcego kręgosłupa.

Uderzenie kopyt o ziemię czułem jak potężnego kopniaka, zupełnie jakby koń galopował po mnie. Dźgał mnie łęk siodła, głowa rozpadała się

na kawałki i w tamtej chwili nie bardzo mnie obchodziło, co się stało i dokąd mnie zabierają.

Nawet nie wiem, jak długo to trwało. Widziałem jedynie sunącą szybko ośnieżoną ziemię i migające końskie kopyta.

W którymś momencie udało mi się lekko przesunąć i zyskałem tyle, że mój brzuch obijał się w innym miejscu niż przedtem, ale ból w innym miejscu już oznaczał ulgę.

Po jakimś czasie wjechaliśmy do lasu i jeźdźcy zwolnili. Zauważyłem też, że między nimi wciąż biegnie kilku pieszych, buchając parą i chrzęszcząc płytami napierśników, a to oznaczało, że wcale nie była to taka szalona jazda, jak mi się zdawało.

A potem wiozący mnie mąż zatrzymał konia i jednym szarpnięciem za kark posłał na ziemię.

Zwaliłem się bezwładnie jak worek i po prostu leżałem w śniegu otoczony bólem i niczym więcej. Nie miałem siły, żeby choć przewrócić się na bok, po prostu leżałem tak, jak upadłem, zupełnie jak coś, co zostało wyrzucone.

Jednak wtedy, po długim czasie, zacząłem myśleć. Trochę. Miałem twarz w śniegu i zacząłem go jeść, lecz nagle przypomniałem sobie, że Ulf mówił, żeby tego nie robić pod żadnym pozorem, bo jest zbyt zimny i skręci mi kiszki. Nabrałem więc odrobinę w usta i czekałem cierpliwie, aż się roztopi, i dopiero wtedy przełknąłem. Uczyniłem tak kilka razy, a potem zwymiotowałem.

Nadal bolała mnie głowa i obite żebra, ale byłem już w stanie zacząć się niemrawo poruszać. Wcisnąłem obolałe czoło w lodowaty puch i czekałem, aż pulsujący ból, który rozpalał się pod moją czaszką przy każdym ruchu, stanie się trochę znośniejszy. Ręce miałem związane z tyłu, lecz nogi wolne. Wędrujący Nocą uczył nas, jak się walczy ze związanymi rękami, a nawet kazał nam tak pływać w basenach w miejskiej łaźni Lodowego Ogrodu.

Wiedza i pamięć o tym wszystkim wróciła do mnie powoli, jak woda wypełniająca puste naczynie. Wciąż leżałem twarzą na śniegu, ale przestałem być już bezwładnym łachmanem. Zdobyczą. Czymś, co po prostu trzeba przetransportować jak zastrzelonego kozła. Należałem do drużyny Wędrującego Nocą. Gdzieś tam, z tyłu, zostali moi ludzie. Węże

uciekali, śpieszyli się, a to znaczyło, że Ludzie Ognia i Bracia Drzewa wciąż żyli. Przynajmniej niektórzy.

„Wszyscy idą i wszyscy wracają” – mówił Ulf. „Także martwi. Nikt nie zostanie porzucony. Nikt nie zostanie z tyłu”.

Byli tam gdzieś i szli po mnie. Na pewno.

Na razie leżałem obolały i sprawdzałem, co mi zostało. Przeliczyłem językiem zęby. Policzki i wargi krwawiły, lecz zęby miałem wszystkie. Zabrali pas z mieczem i nożem, znaleźli przechodzącą przez pierś płaską pochwę z gwiazdkami do rzucania. Zdarli z głowy hełm, który pewnie uratował mi życie. Ale miałem futrzany strój i buty. Miałem białą kurtę i spodnie, które czyniły nas niewidzialnymi w śniegu, a od spodniej strony były czarne, byśmy mogli zniknąć też w ciemnościach. Pod kurtą wciąż miałem drobną, mocną kolczugę.

„Nigdy nie odpuszczamy” – mówił Nocny Wędrowiec. „Do końca. Dopóki żyjesz, walczysz. Dopóki możesz myśleć, walczysz. To umysł jest bronią. Reszta to narzędzia. Nie mają znaczenia. Można je zdobyć, zrobić albo zastąpić”.

Na szyi wciąż czułem łańcuszek z małym kastetowym nożem, który został mi po Brusie. Nie przeszukali mnie zbyt dokładnie. Byłem nieprzytomny i nie mieli czasu. W przypadku takich jak my możesz być pewien, że znalazłeś całą broń, tylko gdy jesteśmy nadzy, a i to nie zawsze. Od wewnętrznej strony pasa trzymającego spodnie miałem, jak każdy w drużynie, wszytą pochwę, a w niej mały nóż wykuty z jednego kawałka stali. Nieco dłuższy od kciuka, ostry jak brzytwa, z kółkiem na końcu rękojeści, w które można było wsunąć palec. Ukryty w miejscu, gdzie związany człowiek może dyskretnie sięgnąć dłonią. Wzdłuż dolnego brzegu kurty krył się trzyłokciowy łańcuch o drobnych ogniwach, z ciężarkami na obu końcach. Jeszcze jedno ostrze, wielkości liścia, ukryte zostało w podeszwie prawego buta, pod obcasem.

Tak naprawdę miałem wiele broni. Potrzebna była mi jedynie siła i wola, by ją wykorzystać.

Oraz sposobność, żeby wsunąć dłonie pod kurtę i namacać pas opinający futrzane portki, a potem dyskretnie wyszukać pod nim kółko wykute na końcu rękojeści i zaczepić je palcem.

A potem jeszcze chwila, by rozciąć oplatające moje nadgarstki rzemienie.

Na razie leżałem twarzą w śniegu, wokół słyszałem chrzęst kroków Węży, chrapliwe szepty, szczęk żelaza i podzwanianie uprzęży. Mdlący ból w głowie stał się znośniejszy. Wciąż miałem wrażenie, że jest rozłupana na kawałki jak gliniany dzban, ale ból już mnie nie oślepiał i nie sprawiał, że nie wiedziałem niczego innego.

Przekręciłem się ostrożnie na bok i powoli uniosłem oblepioną lodowatymi, topniejącymi grudkami twarz.

Byli wysocy, jak wszyscy ludzie żyjący na Smarselstrandzie, jak zwali swój kraj, ale Węże różnili się od pozostałych. Wydawali się chudsi i smaglejsi, a każdy odkryty kawałek ich ciała pokrywały zygzakowate wzory, podobne do tych, jakie miały na grzbiecie tutejsze jadowite węże. Nosili też długie włosy splecione w małe warkoczyki zaczesane do tyłu, wysmarowane czymś czarnym i lśniącym. Mówili tym samym językiem co pozostali mieszkańcy Wybrzeża Żagli, ale wymawiali słowa trochę inaczej, więc w pierwszej chwili ich nie rozumiałem.

Rozejrzałem się szybko i dyskretnie, usiłując zobaczyć i zapamiętać jak najwięcej, a potem znów położyłem głowę na śniegu, by nie zwracać na siebie uwagi, ale też tak, aby móc nadal ich obserwować spod przymrużonych powiek.

Zostało im trzech jeźdźców w ciężkich zbrojach i sześciu albo siedmiu pieszych. Ten, który mnie wiózł, zachowywał się jak dowódca i był to też ten sam, który rzucił we mnie toporkiem. Kiedy zdjął hełm z osłoną w kształcie pyska jaszczura, widziałem, że ma dziwne, senne ruchy i nawiedzony, nieobecny wyraz twarzy, jakby nawdychał się dymu z harhaszu. Sprawiał wrażenie, że porusza się w takt muzyki, której nikt poza nim nie słyszy, a do tego wydawało się, że nie odczuwa mrozu. Tego dnia może nie było jakoś przeraźliwie zimno, jak na tę porę roku na wybrzeżu, ale ten Wąż chodził w rozpiętej kurcie, pod którą świeciła naga pierś pokryta tatuażami. Nie nosił umocowanych za plecami skrzydeł z proporców jak pozostali, a zamiast tego miał dziwną pelerynę z cienkiego materiału, umocowaną do ramion i bioder, która przy każdym ruchu i powiewie wiatru wydymała się niczym żagiel, ukazując wizerunek splecionych węży. Co dziwniejsze, tkwiło w niej kilka strzał, jakby nie miały siły przebić cienkiego niczym jarmakandzki morski muślin materiału.

Postój wypadł na skraju lasu. Między pniami drzew i ośnieżonymi krzewami widać było polanę, na której stały jakieś szałasy, płonęły ogniska

i kręcili się ludzie. Dwóch pieszych Węży opadło na kolana, a potem poczołgało się w śniegu na sam brzeg lasu, obserwując wioskę. Reszta skuliła się na ziemi i siedzieli tak, oparci plecami o drzewa, dysząc i popijając z bukłaka, który puścili w krąg.

Myślałem, że to krótki popas i zaraz ruszą dalej, obchodząc polanę, ale po chwili zrozumiałem, że szykują się do ataku. Patrzyłem, jak na chrapliwy, rzucony ściszonym głosem rozkaz piesi niechętnie podnoszą się ze śniegu, zapinają rzemienie poluzowanych pancerzy i zakładają hełmy, a potem biorą do rąk dziwne włócznie o długich, szerokich ostrzach, najeżone sierpowatymi hakami, dobre do ściągania jeźdźców z koni. Dwaj jeźdźcy dosiedli znów wierzchowców, jeden przygotował sobie kotwiczkę na linie, drugi rozdał pieszym kilka glinianych kul na krótkich łańcuchach.

Patrzyłem na to wszystko i czułem, jak wali mi serce. Nadal leżałem w śniegu niczym martwy i za wszelką cenę usiłowałem nie zwrócić na siebie uwagi, ale dotarło do mnie, że ten moment to moja szansa. Nie bardzo rozumiałem, po co chcą rzucać się na tych ludzi na polanie, ale cokolwiek miało się wydarzyć, musiałem to wykorzystać. Na razie czekałem.

Jeśli postanowią mnie związać, i tak się uwolnię. Jeśli zostawią mnie pod strażą, poczekam, aż pilnujący spojrzy, co się dzieje z towarzyszami, rozetnę więzy i przy nadarzającej się okazji zabiję go i ucieknę w las. Jak najszybciej, w przeciwną stronę, tam, skąd będą nadchodzić ludzie Ulfa.

Wsunąłem dłoń pod pas i namacałem nóż. Był tam. Wystarczyło go wysunąć, obrócić w palcach, a potem rozciąć więzy. Robiłem to wiele razy w Lodowym Ogrodzie i wiedziałem, że zabierze tylko parę chwil.

Dowódca przechadzał się między nimi, wydając szeptem rozkazy, a potem wyprostował się, rozkładając na boki ręce, i powoli przetoczył głową na karku, aż coś mu chrupnęło w kościach. Nasadził swój jaszczurczy hełm i wskoczył na siodło.

Ci, którzy otrzymali kule umocowane do kawałków łańcucha, stłukli je o drzewa, a potem zaczęli nimi kręcić w powietrzu. To, co znajdowało się pod glinianą skorupą, zaczęło najpierw dymić, a potem buchnęło płomieniami. Słyszałem, jak pociski wydają ponury zawodzący dźwięk, wirując na łańcuchach i zmieniając się w rękach Węży w płomieniste koła.

Leżałem spokojnie, czując, jak rozpala się we mnie ogień, a w gardle tłucze mi się serce, zupełnie jakbym połknął rybę. Dwóch włóczników

zostało w lesie i przysiadło pod drzewami, kryjąc się wśród krzewów. Spojrzałem, jak odprowadzają swoich wzrokiem, i mocniej ścisnąłem nóż w palcach. A potem mój ostrożny wzrok padł na tobół z sieci leżący tuż obok nich i zrozumiałem, że to nie tylko mnie pilnują, a wtedy spadło na mnie nagłe przerażenie, zupełnie jakby strzelił we mnie piorun. Uczucie było takie, jakby oblazły mnie tysiące płonących mrówek.

Na śniegu wśród skłębionej sieci spoczywał lodowy sarkofag zawierający Naszą Panią Bolesną uśpioną drętwą wodą. Nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, ani zrazu w ogóle uwierzyć w to, co widzę. Mieli ją. A to oznaczało, że Ulf Nocny Wędrowiec, człowiek, który spadł wraz z gwiazdą i był kluczem do mojego przeznaczenia, pewnie nie żyje. Nie mogłem uwierzyć, że dałby ją sobie wyrwać. Pamiętałem, co to oznaczało, gdyby szalony król Węży dostał Czyniącą w swoje ręce.

W następnej chwili zrozumiałem też z przerażeniem, że nie mogę uciekać. Nie mogę im zostawić Bolesnej Pani. Musiałbym zabrać ją ze sobą, a wlokąc ciężki sarkofag, nie zaszedłbym daleko. Myślałem jeszcze, żeby jednak spróbować ucieczki i potem usiłować jakoś wykraść Czyniącą albo ją ostatecznie zabić, byle nie trafiła do kraju Węży. Tylko że nie miałem pojęcia, jak miałbym to uczynić. Lodową skrzynię stworzył mistrz Fjollsfinn, który był potężnym Czyniącym, i postarał się, by nie dało się jej łatwo zniszczyć, a otworzyć ją umiał z nas wszystkich tylko Ulf. Miałem też marne szanse, by zabić strażników. Mały nóż, dobry do obierania owoców, przeciwko dwóm mieczom i włóczniom? Można nim było zabić z zaskoczenia, lecz nie w równej walce przeciwko przygotowanemu wojownikowi, a co dopiero przeciw dwóm. Dobrze wiedziałem, ile siły mają ludzie z Północy. Widziałem tu już mężów, którzy nadal walczyli, mimo że w ich ciele tkwił miecz przebijający tułów na wylot.

Leżałem przerażony w śniegu, nadal ze spętanymi rękoma, wahałem się pomiędzy niewieloma rzeczami, które mógłbym zrobić, i jak to zwykle bywa w takich razach, w końcu nie uczyniłem nic. Na polanie tymczasem wybuchł krzyk przerażonych ludzi, dobiegał stamtąd huk płomieni, basowe zawodzenie rogu, łomot i trzask, a w końcu pojedyncze przeraźliwe wrzaski. Nie trwało to długo, ale nie miałem wielkiej nadziei, że zajęci swoimi sprawami i niczego się niespodziewający ludzie pracujący w lesie poradzą sobie z nagłym atakiem Węży. Tylko nadal nie mogłem pojąć, po co tamci to robili.

Kiedy hałas na polanie wzmógł się, uniosłem lekko ciało, usiłując spojrzeć między krzewami, i wtem obrócone na płask ostrze włóczni spadło mi na kark, wbijając znowu twarz w śnieg.

– Na ziemię, padlino! – syknął włócznik. Zostałem więc płasko na ziemi. Po chwili lodowate ostrze znikło z mojego karku, lecz nie poruszyłem się, rozumiejąc, że wartownicy są czujni.

Po jakimś czasie postawiono mnie na nogi paroma kopniakami w żebra. Znowu byłem w niewoli. Znów byłem kimś, z kim porozumiewano się za pomocą kopnięć, poszturchiwań i razów. Tym razem jednak miałem pewność, że nie potrwa to długo. Nie zamierzałem ponownie tego znosić i przyrzekłem to sobie już dawno.

Węże kręcili się na zdeptanej polanie i o ile mogłem się zorientować, było ich tyle samo co przedtem. Szałas stał się już płonącym rumowiskiem, wszędzie leżały strzępy ubrań, rozrzucone bezładnie różne narzędzia i rzeczy codziennego użytku. W wielkiej plamie krwi na śniegu drgały dwa potwornie rozszarpane i porąbane ciała, a resztę ludzi zgromadzono pośrodku i zmuszono, by uklękli. Wartownik uderzeniami drzewca zapędził mnie w tamtą stronę, po czym kopniakami zgiął mi oba kolana.

Klęczałem wraz z innymi i musiałem patrzeć na stojące opodal sanie, gdzie Węże wrzucili jedyną wśród jeńców młodą dziewczynę. Ręce przywiązali jej do burt, a nogi w kostkach do płóz, po czym rozcięli spódnicę aż do pasa i gwałcili ją po kolei, śmiejąc się i pokrzykując do siebie. Po jakimś czasie dziewczyna przestała krzyczeć i tylko rzucała głową na boki, gryząc wargi do krwi i szarpiąc zaciśnięte na nadgarstkach rzemienie.

Oglądałem tę scenę martwym wzrokiem i myślałem o nożu spoczywającym w pochwie pod moim pasem. Nie czułem już zgrozy, tylko zimny gniew i coś jakby znużenie. Było tak, jak kiedyś powiedział mi Brus. Napatrzyłem się na okrucieństwo i w końcu przywykłem, ale część mnie umarła, zamieniła się w kamień. Czułem, jak ciąży mi w piersi, zimny i chropawy niczym otoczak ze strumienia, ale odczuwałem niewiele więcej.

Ich dowódca zrzucił płaszcz i kurtę, po czym półnagi sięgnął do sakw, skąd wyjął coś, co zrazu wziąłem za kawałki grubej, kolorowej liny, ale to były węże. Tutejsze jadowite węże, całe w czerwono-czarne wzory, grube jak mój nadgarstek, teraz zwisające mu niemrawo z dłoni. Pomyślałem, że są martwe, ale kiedy owijał je sobie wokół szyi jak chustę, jeden z nich

wysunął na chwilę język, a drugi słabo poruszył łbem. Węże tu śpią całą zimę, więc te jego były otępiałe od mrozu i senne.

– Serce! – krzyknął nagle chrapliwie czarownik.

Jeden z jego ludzi wyciągnął szeroki, zakrzywiony niczym sierp nóż i pobiegł do leżących bez ruchu dwóch porąbanych obrońców. Nachylił się nad nimi, usłyszałem chrzęst i trzask rozrąbywanych żeber, po czym Wąż wrócił, trzymając w dłoniach wycięte z piersi serce, niczym lśniący czerwony owoc, ze sterczącymi odciętymi żyłami jak odłamane pędy. Serce poruszyło się jeszcze kilka razy w ręku Węża, kiedy podawał je Czyniącemu. Tamten ujął je ostrożnie, po czym ścisnął w dłoni. Strumyki krwi pociekły mu spomiędzy palców, a potem z nadgarstka, spadając cienką strugą w śnieg. Czarownik zaczął coś nucić, wodząc dłonią nad śniegiem i rysując splątaną szkarłatną linię, zwijającą się w zagmatwane spirale i węzły.

Pomyślałem, że jeśli moi ludzie jeszcze żyją, to każdy moment postoju zwiększa nasze szanse. Niech gwałcą dziewczynę, babrzą się krwią, napadają na jakichś nieszczęsnych myśliwych czy węglarzy. Tam nadciąga piętnaścioro jeźdźców, żeby wybić ich jak wściekłe psy. Już tu jadą. Biali na śniegu, z ostrzami w ręku, powodujący końmi z wytłumionymi kopytami. Cisi niczym śmierć. Jednak choć usiłowałem o tym nie pamiętać, jednocześnie widziałem lodową skrzynię z Panią Bolesną i wiedziałem, że musiało stać się coś złego. Więc dobrze, nie będzie ich piętnaścioro. Ale jeśli przeżył choć jeden, to już tu jedzie. A wtedy przynajmniej będzie nas dwóch.

– Niech zabłąka się, idąc po śladach Węża, niech zginie na żmijowych manowcach, niech ogłuchnie na syk, niech oślepnie na znaki na ogonie, niech się zaplącze i zginie – mamrotał Czyniący. – Bowiem są na świecie tylko Węże i karma dla Węży, niech będzie błogosławiony wielki mistrz Aaken.

Jeden z jego ludzi ruszył kłusem w stronę sań, kopnął z siodła tego, który właśnie kładł się na dziewczynie, a potem wyjął miecz i ciął z góry kilka razy. Usłyszałem jej nagły, stłumiony krzyk i wzdrygnąłem się. Wąż jednak przeciął tylko rzemienie, raniąc ją przy tym w nogę, po czym chwycił dziewczynę za włosy i powlókł przy swoim wierzchowcu, by cisnąć między nas, klęczących na śniegu. Dziewczyna zwinęła się w kłębek, wciskając ręce między uda i dławiąc się stłumionym szlochem.

Czyniący opadł na kolana, zdjął oba gady z szyi, jednego po drugim, odwijając je ostrożnie, klepnął każdego lekko otwartą dłonią w płaski łeb, a potem ułożył na szkarłatnych zygzakach wijących się na śniegu. Nie widziałem nigdy z bliska, jak ktoś czyni, ale to, co ten robił, wydało mi się tylko niedorzeczne.

Jego ludzie usiedli dookoła kręgiem, unosząc dłonie w stronę zachmurzonego nieba i wydając dziwaczny grzechoczący dźwięk. Nigdy dotąd nie słyszałem, by coś takiego wydobyło się z ludzkiego gardła. Oba gady zaczęły wić się na wzorach widocznych na śniegu i wydało mi się, że pełzną dokładnie po wyrysowanych liniach. Czyniący pochylił się, wyciągając nagie ramiona pokryte zgrubiałymi bliznami, a wtedy najpierw jeden, a potem drugi wąż zwinęły się w kłębek i skoczyły nagle na jego ręce, wbijając w nie jadowe kły. Kapłan odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie ni to syk, ni to krzyk. Węże zaciskały przez moment szczęki i wisiały mu na rękach, a potem odpadły nagle, bezwładne jak pijawki. Pozostali opadli Czyniącego, ktoś narzucił mu futro na ramiona, ktoś pozbierał węże, znów osowiałe i bezwładne, wrzucając je do skórzanego worka. Pomogli wstać czarownikowi, tratując wzory na śniegu, ten wyszarpnął się z ich ramion i zasyczał znowu, a wtedy zobaczyłem, że ma czarny, rozdwojony język i straszne żółte oczy z małymi czarnymi szczelinami, martwe niczym wypolerowane kamyki, takie same jak u jego węży.

Po tym wszystkim szybko ruszyliśmy w drogę. Piesi otoczyli nas, klęczących na śniegu, a potem, okładając drzewcami i kopiąc, zmusili do powstania i ustawienia się w szereg. Ruszyliśmy truchtem przed siebie, prowadzeni przez trzech jeźdźców i otoczeni włócznikami.

Nie skrępowali jeńcom rąk, wzięli tylko długą linę, którą powiązali co kawałek w zaciskające się pętle i założyli nam na szyje. Dwaj jadący na koniach powiesili między sobą sieć z Panią Bolesną i tak brnęliśmy najpierw przez sięgający kolan śnieg, a potem kamienistym szlakiem między drzewami, wzdłuż jakiegoś strumienia.

Cały ten korowód nie szedł wcale cicho. Co chwila ktoś się przewracał, pociągając za sobą innych i szarpiąc ich za karki, wszyscy szlochali, dyszeli rozpaczliwie albo dławili się przekleństwami. Konie parskały i porykiwały, piesi szczękali zbrojami i bronią.

A mimo to, kiedy brnąc szlakiem, zaczęliśmy mijać zaczajonych ludzi, ci nie zwrócili na nas najmniejszej uwagi. Najpierw był to mąż stojący z łukiem między skałą a pniem drzewa. Gdyby bardziej się przyczaił, w ogóle nie byłoby go widać, ale on opierał się o drzewo i wpatrywał w trakt szklanym wzrokiem, nasłuchując, jakby nikt nie szedł po kamieniach, jakby nie docierał do niego stukot kopyt, jęki i złorzeczenia.

Za nim wśród skał i drzew siedzieli następni i również nie dbali, by być niewidoczni. Pogryzali coś, trzymali w rękach łuki z założonymi strzałami, ale nie napinali ich, tylko kładli płasko na kolanach, drapali się, a nawet ziewali, jakby wciąż na coś czekali, mimo że przed ich oczami szlakiem przechodziło półtora tuzina ludzi. Ktoś z jeńców zaczął ich wołać z rozpaczą i usłyszałem, że Węże się śmieją. Któryś zdzielił więźnia w głowę, ale wcale nie wyglądali na zaniepokojonych. Wokół nas powietrze drgało dziwacznie, jakby z gorąca, tak samo jak nad piaskiem pustyni, i wędrowaliśmy, zupełnie jakbyśmy już byli duchami, niewidocznymi dla oczu żywych. Przeszliśmy mostem nad strumieniem na dnie skalistego wąwozu, a kawałek dalej spotkaliśmy kolejnych ludzi czekających w zasadzce. I tak samo jak poprzedni, ci również nie zaszczycili nas nawet spojrzeniem. Jeńcy na ten widok zaczęli płakać i złorzeczyć. Było jasne, że siedzący tu zbrojni w mgnieniu oka rozbiliby podjazd Węży w puch, a tymczasem gapili się tylko przed siebie szklanym wzrokiem i czekali, aż traktem przejedzie ktoś widzialny.

Kiedy minęliśmy zasadzkę, jeńcy zupełnie stracili nadzieję i ducha. Szlochali jedynie i szli krok za krokiem, zupełnie bezwolnie. Widywałem już ludzi w takim stanie i wiedziałem, że łatwo się z niego nie obudzą. Nawet gdyby ktoś teraz zaatakował Węży, zacząłby ich zabijać i przeciął sznur, staliby i gapili się zupełnie jak kowce.

Szliśmy potem jeszcze wiele godzin, cały czas pod górę. Przewracaliśmy się na oblodzonych kamieniach, potykaliśmy o korzenie. Do tego ja miałem się znacznie gorzej niż inni, bo wciąż miałem związane z tyłu ręce. Pozostali cały czas ściskali sznur, starając się poluzować dławiące ich pętle, a mnie drętwiały spętane ręce i traciłem czucie w palcach, a co gorsza, jeśli się potykałem albo ktoś obok mnie upadł i pociągnął mnie w dół, po prostu wieszałem się na linie.

Cały czas myślałem o nożu i walczyłem ze sobą, żeby go nie dobyć i nie przeciąć sznura, ale wtedy nie dałoby mi to nic poza sposobnością szybkiej

śmierci.

Usiłowałem zamiast tego obserwować, tak jak uczył mnie Nocny Wędrowiec. Wypatrywać okazji, budować plany. Jednak dla kogoś podduszonego i poranionego szorstką liną, z obolałym ciałem i zdrętwiałymi dłońmi nie jest to wcale takie łatwe.

Węże szli szybko w milczeniu i nie robili już żadnych postojów. Byłem pewien, że nie będą tak gnać dziesiątki staj, aż na drugą stronę gór, do swojego szalonego króla, zatem teraz zmierzali do jakiegoś miejsca gdzieś po drodze, bo wyraźnie się śpieszyli. Góry zaczęły się robić strome, skaliste i posępne. Po kilku następnych godzinach weszliśmy już tak wysoko, że nic tu nie rosło, nawet pokręcone kolczaste drzewka, był tylko śnieg i skały. I szare zimowe niebo oraz ciemne szczyty, dźgające je jak szpony.

To była najbardziej posępna okolica, jaką widziałem. Zbyt wysoko, by wchodził tu człowiek, żadnych śladów zwierząt prócz kruków i orłów wysoko nad nami, nic tu też nie rosło. Tylko śnieg, skały, górskie szczyty wokół i szare niebo nad naszymi głowami. Było to równie upiorne i jałowe miejsce jak pustkowia pod Nahilgył, aczkolwiek góry wyglądały zupełnie inaczej. Wysokie, o ostrych wierzchołkach, szare i groźne, jak świeżo wykute ostrza.

Przy zboczu będącym jednym skalnym rumowiskiem Węże dali nam odpocząć. Zatrzymali się i wówczas cały nieszczęsny korowód jeńców po prostu zwalił się w śnieg.

Jeźdźcy zeskoczyli z koni, bo dalej zrobiło się po prostu za stromo. Piesi siedli ciężko wokół nas, buchając parą spod futer i pancerzy jak przegrzane konie. Nadal nie miałem żadnej szansy na ucieczkę i wciąż nie miałem pojęcia, co zrobić z Naszą Panią Bolesną spoczywającą w lodowym sarkofagu. Siedziałem więc na podwiniętych nogach, starałem się oddychać głęboko, zaciskałem dłonie w pięści, żeby zaczęła w nich krążyć krew, i czekałem.

A potem znów szliśmy w górę po oblodzonym gołoborzu, wśród skał i kamieni poznaczonych zielonymi i żółtymi plamami porostów, pod dobiegającym z góry krakaniem. Po jakimś czasie stało się jasne, dokąd zmierzamy. U szczytu zbocza pokazało się wąskie pęknięcie w skalnej ścianie, przez które przeświytywało blade niebo. Kiedy podchodziliśmy bliżej, zobaczyłem, że przesmyk przypomina rozwartą paszczę bestii, ze skalnymi złomkami po obu stronach, które na tle nieba wyglądały jak

wyszczerzone kły. Jeńcy, zdaje się, rozpoznali ten widok, który tak straszliwie ich przeraził, że ocknęli się zupełnie ze swojej głuchej rezygnacji.

Najpierw usłyszałem szepty:

– O bogowie, to Kamienne Kły...! Ratuj, Hindzie...

A potem ich szemranie i szlochy wezbrały nagle jak woda powodzi, nieszczęśni brańcy zaczęli błagać, krzyczeć, złorzeczyć, z każdym krokiem szarpać się coraz rozpaczliwiej na sznurze. Nie wiedziałem, co ich tak przeraziło, ale wydało mi się, że za chwilę komuś uda się uwolnić głowę albo po prostu rozciągnie pętlę i być może rozbiegną się we wszystkie strony, a wtedy pojawi się sposobność ucieczki. Namacałem nóż pod pasem, lecz nie zdążyłem spróbować niczego więcej. Dowódca chwycił sznur, uwiązał go do siodła swojego konia i klepnął zwierzę w zad, wykrzykując jakiś rozkaz. Wierzchowiec ruszył pod górę żwawym, miarowym krokiem, pociągając jeńców, pętle zacisnęły się i pobiegliśmy rozpaczliwym truchtem za Czyniącym. Krzyki zamieniły się w charkot, jeńcy zaczęli się przewracać i wtedy pozostali stawiali ich na nogi, po czym padali kolejni. Sam, mając związane ręce, padałem bardzo często i pętla zaciskała mi się na szyi, a wtedy ktoś chwytał mnie za ubranie i podnosił szarpnięciem.

Przesmyk, poza tym że przypominał drapieżną paszczę, sam w sobie nie wyglądał szczególnie groźnie i nie rozumiałem, o co chodziło moim towarzyszom niedoli. Za nim ciągnął się posępny płaskowyż otoczony skałami sterczącymi w niebo jak odłamki stłuczonego dzbana albo dziwaczna korona, a pośrodku wznosiła się góra o tępym wierzchołku. Prócz tego wszędzie było mnóstwo skał i sączył się cuchnący opar. Blady i gęsty snuł się wstęgami przy ziemi, roztaczając zgniły, siarkowy odór.

Miejsce wyglądało ponuro i trochę przerażająco, ale jeńcy byli aż sini ze strachu i dygotali na całym ciele. Poczułem się nieswojo, bo dobrze już wiedziałem, że ludzie z Wybrzeża nie boją się byle czego. Widywałem, jak bez trwogi stawali w kilku przeciwko wielu albo podnosili broń na jaskiniowe niedźwiedzie i skalne wilki. Właściwie tylko jeden raz widziałem ich w takiej trwodze – było to w domu Smildrun Lśniącej Rosą, kiedy nadeszła zimna mgła i wokół osady zaczęły krążyć roiho. Pomyślałem więc, że miejsce, do którego nas zawlekli, to pewnie uroczysko.

Ruszyliśmy w stronę ściętego wzgórza, wbijającego się w szare niebo poznaczone mknącymi przed siebie ciemnymi obłokami. Wśród śniegu, kamieni i skalnych ścian czasem widziałem jakiś ruch, dostrzegalny tylko kątem oka. Jednak kiedy spoglądałem tam uważniej, nie mogłem nic wypatrzyć. Jedynie skały, śnieg, cienie i snujące się przy ziemi wstęgi oparu.

W miarę jak szliśmy, robiło się coraz bardziej pochmurno i coraz ciemniej. Po obu stronach szlaku wiodącego wśród skał i gorących źródeł o cuchnącej, parującej wodzie zatknięto krzywe tyczki zwieńczone czaszkami ludzi, odmienionymi przez uroczyska i ozdobionymi pękami kolorowych wstążek i gałganków. Czaszki o wielkich szczękach, czaszki z trojgiem oczu albo czaszki o dziwnych kształtach, wydłużone lub spłaszczone. Wszystkie koślawe, spotworniałe i patrzące pustymi oczodołami na sunący pomiędzy nimi żałosny korowód. A pod nimi na krzywych poprzeczkach wiszące na rzemykach żebra, piszczele i kości palców, które grzechotały i podzwaniały w podmuchach wiatru.

Szliśmy.

Stukały kopyta jeźdźców, wiatr świstał na podziurawionych czerepach i powybijanych zębach jak na flecie, łopotał kolorowymi proporczykami, śląc gdzieś mroczne modlitwy wypisane czarnym inkaustem w alfabecie, którego nie znałem. Ktoś z jeńców mamrotał drżącym głosem, ktoś zawodził nieustannie przerażoną skargę, zawierającą lament i błagania.

Sam zacząłem drżeć, zauważyłem, że mój oddech stał się gwałtowny i urywany, jak po długim biegu, poczułem, że trwoga wypełnia mój brzuch, jakby skręcał się tam wąż, napełnia nogi ołowiem.

Szliśmy.

Wśród czaszek, zawodzenia wiatru i dobiegających nie wiadomo skąd niewyraźnych szeptów.

Prosto ku ściętemu szczytowi pośrodku płaskowyżu, gdzie coś miało nastąpić.

Śmierć.

Część mnie trzęsła się ze strachu, ale część nie mogła uwierzyć, że cała ta droga rozpoczęta pod płonącym Tygrysim Pałacem w Maranaharze, całe to poszukiwanie przeznaczenia, to, że miałem być Nosicielem Losu wszystkich ocalałych Kirenenów, miało się skończyć tu, w tej posępnej dolinie. Przebyłem Erg Krańca Świata, wyzwoliłem się, dziesiątki razy

ustrzegłem się śmierci od ludzi i bestii, odnalazłem człowieka, który spadł z gwiazdą, i nagle wszystko miałoby się tak zakończyć? On zginął, tracąc sarkofag z Czyniącą, a ja zginę za chwilę? Być może wśród splątanych ścieżek losu znalazłem taką, która wiedzie donikąd.

Miałbym już nigdy nie spotkać Wody córki Tkaczki i nie dowiedzieć się, czy przeszła przez most z wybranym u boku?

Jakaś cząstka mojej duszy wciąż czekała, aż obudzi się przeznaczenie Nosiciela Losu i zabierze mnie stąd. Ale nic takiego nie następowało.

Zaprowadzili nas na wymiecione ze śniegu kamienne pustkowie, doskonale okrągłe, jak kebiryjska tarcza, szerokie na jakieś dwieście kroków i otoczone stożkowatymi skałami sterczącymi dookoła.

Wszystko było idealnie gładkie i lśniące, jak zwykle w nawiedzonych ruinach pradawnych ludów. Góra, u której stóp stanęliśmy, też miała gładkie ściany i okrągłą podstawę, jakby pradawni umieli kształtować skały niczym glinę. Na wprost nas wznosiły się schody prowadzące do wąskiej pieczary. Stopnie były za wysokie dla ludzi, więc pomiędzy nimi postawiono drabiny. U podnóża góra rozpływała się niczym zaspa topniejącego śniegu albo wosk postawiony na gorącej płycie, przynajmniej tak to wyglądało. Ta rozlana część rozdzielała się na wijące się kawałki grubości tułowia wołu, które dalej dzieliły się na mniejsze, i przypominało to całkiem korzenie ogromnego drzewa, tylko twarde, z ciemnego, lśniącego kamienia. Korzenie wiły się wśród skał i po ścianach góry, a też i po schodach, sięgały wszędzie i wrastały w każdą szczelinę, mimo że były skałą.

Kazano nam usiąść, Węże stanęli wokół i tak trwaliśmy pośrodku okrągłego placu, czekając nie wiadomo na co. Czyniący, który wyglądał, jakby nagle się ocknął z ciężkiego przepicia, zadął w swój róg, który wydał ponury odgłos, jak krzyk agonii jakiegoś morskiego stwora. Dźwięk odbił się od skalnych ścian i brzmiało to jak nawoływanie całego stada potworów. Upłynęła dłuższa chwila, zanim echo ucichło, i wtedy Czyniący zatrąbił po raz kolejny.

Klęczałem z pochyloną głową, dotykając palcem kółka na końcu rękojeści noża pod pasem, i czekałem. Plac był jedną płytą, gładką jak marmur, bez łączeń i spoin, miał mleczny biały kolor, a w głębi pojawiały się i gasły świecące wzory.

Kiedy ryk trąby ucichł, usłyszeliśmy szepty. Chór tysięcy szeptów w nieznanym języku, zupełnie jakby otworzyły się wrota krainy umarłych. Wśród skał i snującego się smrodliwego oparu coś zaczęło się poruszać i mrowić, ale nie zdołałem dostrzec, co to było.

Dał się słyszeć zgrzyt i stożki otaczające plac zaczęły się obracać, ukazując wąskie nisze, a w każdej stała sylwetka obleczona w luźną szatę, tak że nie było widać, kim byli ci, którzy tkwili w niszach, a nawet czy w ogóle byli ludźmi.

Ich szaty w kolorze szkarłatu sięgały do samej ziemi, a materiał wyglądał jak bardzo cienki trzcinowy papier, który ktoś zmiął mocno i wyprostował. Cały pomarszczony, w drobnych zagięciach i załamaniach. Ręce mieli założone z przodu, dłonie schowane w rękawach, twarze ginęły w mroku dziwacznych kapturów, sterczących do przodu jak rura. Wyglądało to, jakby ktoś zgiął tuleję na zwoje. Każdy, kto nosi głęboki kaptur, ma twarz ginącą w cieniu, ale tutaj wydawało się, jakby spoglądała na nas noc albo smolista ciemność jaskini. W pierwszym momencie pomyślałem, że w tych sylwetkach w ogóle nie ma nic ludzkiego, dopiero po chwili widziało się, że mają ręce, a zagięte do przodu tuleje pewno kryją głowy. Spod szkarłatnych płaszczy, które rozchodziły się na ziemi, nie było widać nawet stóp.

Kapłani ustawieni w stożkach wokół nas kręgiem szeptali chórem jakieś monotonne słowa, a za nimi, wśród skał, pojawiały się mgliste, niewyraźne sylwetki, płaskie i szare jak cienie.

– Kim jesteś i dlaczego niepokoisz Szepcących do Cieni? – głos dobywał się zewsząd, wydawało się, że to sama góra przemówiła.

– Jestem tym, który już raz tędy przeszedł i teraz wraca. Wzywam was imieniem mistrza Aakena i chcę, byście przyzwali dla mnie Robaka.

Dwaj kapłani stojący naprzeciw siebie wyprężyli się jak struna, opuścili dłonie po bokach, patrząc na nas ciemnymi otworami kapturów, które zaczęły kurczyć się i cofać, a potem złożyły się na ich ramionach jak szerokie kryzy, ukazując zniekształcone, pokryte bliznami twarze.

– Nie należymy do waszego świata... – powiedział ten z dwiema szczelinami zamiast nosa, o skórze pokrytej białymi, zakrzywionymi kolcami. – Należymy do Góry i do cieni.

– Jesteśmy Bractwem Okaleczonych i czekamy na nowy świat, w którym narodzimy się na nowo – powiedział drugi, z naroślą podobną do

głowy śpiącego niemowlęcia na szyi, pod uchem przypominającym rybią płetwę. – Nie możesz wzywać nas imieniem nikogo z żyjących, bo oni odejdą, kiedy wypełni się czas, i są jak popiół na wietrze.

– Nie możesz nam rozkazywać...

– Nie możesz grozić... Jesteśmy Górą i szepcemy do cieni...

– Góra jest stara i głodna...

– Góra chce jeść... Nakarm ją, to może przyzwiemy dla ciebie Robaka.

– Mistrz Aaken przysyła dużo padliny dla waszej Góry. Obiecaliście, że przyzwiecie Robaka dla Węży, gdy będzie potrzeba. Zawsze kiedy przechodzę, daję wam nakarmić Górę.

– Kiedy Góra jest słaba, Robak nie przybędzie.

Czyniący wskazał nas klęczących na gładkim jak talerz placu, całkiem wymiecionym ze śniegu.

– Nakarmcie nimi Górę i przyzwijcie Robaka.

– Powiedź ich na zbocze, gdzie otwierają się usta Góry. Nakarm ją obficie, to może Robak dla ciebie przybędzie.

Szepcący do Cieni przestali mówić jeden przez drugiego, a ich kaptury zaczęły rosnąć ponownie, aż pochłonęły głowy kapłanów, wysunęły się do przodu i spowiły twarze mrokiem. Na to obaj schowali dłonie w rękawy, opuścili głowy i nie dało się ich odróżnić od pozostałych.

Koń jednego z Węży szarpnął i pociągnął powiązanych ze sobą jeńców w stronę góry. Brańcy wpadli w panikę, ale kiedy człowiek jest wleczony na zaciskającej się pętli, może walczyć tylko o to, żeby odzyskać oddech, i niewiele więcej. Wyjąłem spod pasa nóż i obróciłem w dłoni, a potem przeciąłem rzemienie na nadgarstkach, lecz w ogólnym krzyku, panice i zamieszaniu nikt nie zwrócił na to uwagi. Wsunąłem ostrze do lewego rękawa, pod skórzaną opaskę na przedramieniu, a potem poluzowałem pętlę, wpychając pod nią palce, i jak najszybciej przebierałem nogami. Drugi ode mnie jeniec, siwiejący starzec ranny w ramię, omdlał i pętla go zadusiła. Sąsiedzi usiłowali podtrzymywać mężczyznę, ale jego nogi wlokły się już bezwładnie, konwulsyjnie drapiąc podeszwami skały.

Zawlekli nas wokół góry do miejsca, w którym skała zapadała się, tworząc gładką półkulę, jak misa, i wepchnęli na dół. Zjeżdżaliśmy splątani ze sobą po gładkiej niczym szkło skalnej ścianie, a ci, którzy jeszcze mogli wydobyć z siebie głos, krzyczeli z rozpaczy, gniewu i przerażenia. Węże zjechali za nami, a potem widziałem, jak łapią pierwszego z jeńców, jeden

zdziera mu z głowy pętlę, a dwóch chwyta za ramiona. Ściana niecki zaczęła się nagle kruszyć i odpadać płatami, a pod nią pokazało się coś, jakby pomarszczona skóra olbrzymiego stwora, w której otworzyła się okrągła jama, niczym wylot tunelu, i wionął stamtąd odrażający smród. Węże podcięli nogi trzymanemu człowiekowi i wrzucili go tam głową naprzód. Tunel zamknął się nagle, przy wtórze przeraźliwego wrzasku dobiegającego ze środka, i został tylko niewielki, pomarszczony otwór, z którego popłynęły strugi ciemnej krwi.

Pozostali jeńcy ocknęli się na ten widok; zaczęli walczyć, szarpać się z więzami i miotać po jamie, gładkiej jak wypolerowany i nasmarowany oliwą lód, w której nagle otworzył się rząd takich otworów dookoła całego brzegu. Zbocze było tak śliskie, że nie dało się wyjść na górę, a ci, którzy próbowali, zjeżdżali na brzuchach na samo dno, prosto w ręce Węży. Co chwila przeraźliwy wrzask i ohydny odgłos zamykającej się gęby rozwartej w ścianie niecki oznaczał, że kolejny człowiek przegrał walkę o życie.

Sam zrzuciłem pętlę z szyi, krztusząc się i charcząc, ale nie skoczyłem szturmować gładkiej ściany misy. Zostałem na środku, kryjąc odwrócone ostrze w dłoni i starając się tylko, żeby nie zbili mnie z nóg w tłoku. Zdołałem ciąć jednego z pieszych Węży przez żyłę na szyi i kopnięciem w bok kolana posłałem go na ziemię. Ktoś z jeńców zdołał skręcić kark jeszcze jednemu Wężowi, wielu też brańcy powalili, walcząc o życie, ale Węże za moment stali już na nogach, a z ofiar zostaliśmy tylko ja i zgwałcona przedtem dziewczyna. I ją już też wlekli do otworu w ścianie. Usłyszałem jej straszny krzyk, który urwał się nagle, gładka powierzchnia misy była cała zbryzgana krwią, która ściekała na sam dół, a przeciwko mnie jednemu, stojącemu w kałuży czerwonej posoki, z ostrzem ukrytym w prawej dłoni, zwróciło się sześciu Węży, w tym jeden w ciężkiej zbroi jeźdźca.

Sam wiedziałem tylko, że chcę zginąć w walce i nie pozwolić się zawlec żywym do rozdziawionej cuchnącej gęby w skale.

Za plecami miałem brzeg lśniącej skalnej misy, a przed sobą sześciu Węży, którzy szli na mnie ławą przez całą szerokość jamy.

„Efektywnie może cię zaatakować najwyżej trzech naraz” – tłumaczył Nitj’sefni. „Reszta będzie sobie tylko nawzajem przeszkadzać”.

Zaatakowali mnie z dwóch stron, wywinąłem się więc raz w jedną, raz w drugą stronę i Węże wpadli na siebie, kiedy ja byłem już z boku i ciąłem

płasko ostrzem, które zgrzytnęło tylko po czymś żelaznym. Skoczyłem jednak na obłą ścianę, chcąc wbiec jak najwyżej, a kiedy moje buty pośliznęły się już, obróciłem się w powietrzu, by paść na plecy, i pojechałem w dół, podcinając kolejnych dwóch i wjeżdżając na ścianę naprzeciwko. W przelocie ciachnąłem jednego z Węży przez wewnętrzną część uda, jakieś ostrze szczęknęło w skałę tuż obok mojej głowy, nie robiąc na niej nawet rysy. Obróciłem się nogami w dół i wstałem, zjeżdżając na butach. Któryś z Węży chwycił mnie za ramię, złapałem go za dłoń i wygiąłem, łamiąc mu nadgarstek ruchem, który Ulf nazywał w swoim dziwnym języku „kotegajeszi”. A potem ktoś podciął mi nogi, a inny z tyłu zablokował kark i ramię. Dźgnąłem wściekle nożem, ale wybito mi go z dłoni i powleczono mnie do rozwartego otworu.

– Zostaw! – ryknął ktoś nagle. Nad brzegiem misy stał Czyniący w swojej rozpiętej kurcie i wzdymającej się za plecami pelerynie, patrząc przez wizury jaszczurczego hełmu. – Tego musi zobaczyć mistrz.

Ci, którzy wlekli mnie za wierzgające nogi, puścili, zostało tylko ramię oplatające mi barki i kark. Stojący z tyłu zasyczał wyraźnie, jak zwierzę.

– Będzie za mało – powiedział Wąż stojący za moimi plecami. – Robak nie przybędzie. Trzeba więcej jadła dla Góry.

– Dodaj tych trzech, co leżą – zauważył Czyniący. – Już są padliną. Węży jest wielu i jeden się nie liczy.

– Dodam, ale i tak będzie za mało – upierał się tamten i znów zasyczał, nadal ściskając mi ramię.

Czyniący wyciągnął dłoń przed siebie, szybkim ruchem, jakby chciał coś odepchnąć, a napastnik puścił mnie nagle i runął z krzykiem prosto w rozwarty otwór, jakby uderzył w niego rozpędzony bawół.

– Teraz będzie dość – powiedział Czyniący. – Na górę go. Powiedziałem, że mistrz go zobaczy. Razem z nami zostanie połknięty przez Robaka. Wrzucić też tamtych trzech. I uciszyć przedtem tego, co wrzeszczy. Wąż musi wiedzieć, że jest częścią jedności. Ciało jednego jest jak wylinka.

A potem znów klęczałem pomiędzy Wężami, ze spętanymi rękoma, na okrągłym placu, patrząc, jak pod moimi nogami zapalają się i gasną kolorowe linie oraz koła. Wokół Szepcący do Cieni ukryci w swoich rurowych kapturach trwali nieruchomo w niszach, sześciu Węży siedziało obok mnie na ziemi, a górą po szarym niebie kłębiły się ołowiane chmury. Na razie przeżyłem i nie nakarmiłem sobą Żarłocznej Góry. Nie pochłonęła

mnie otwierająca się w ścianie paszcza i mogłem siedzieć, znów wzięty na postronek jak pies, wciąż drżąc i krwawiąc z rany na czole. Niewiele więcej mogłem zrobić, więc siedziałem.

I cokolwiek to miało znaczyć, czekałem na Robaka.

Miałem „zostać połknięty”, lecz wraz z nimi, a jednocześnie miał mnie zobaczyć mistrz – czyli zapewne szalony król Węży. Przestałem próbować cokolwiek z tego zrozumieć i myślałem tylko o tym, co działo się wokół mnie w tej chwili. Tym razem ręce spętano mi z przodu, zostało zatem jeszcze ostrze w podeszwie oraz nóż Brusa na szyi, głęboko pod wszystkimi ubraniami, i jeszcze łańcuch ukryty w pole kurty. No i wciąż żyłem.

Kazano nam tak siedzieć dość długo, ale Węże nie okazywali zniecierpliwienia ani przestrachu. Wydawało się, że nie odczuwają też chłodu ani nudy. Nie rozmawiali, nie jedli niczego, nie palili bakhunu, tylko siedzieli martwo, nieruchomo – zupełnie jak prawdziwe gady.

Dookoła nas wciąż słychać było szepty, przypominające szelest martwych liści, a wśród skał cały czas przemykały i kłębiły się szare sylwetki. Chwilami nawet udawało mi się coś dostrzec, wyglądało to jak tłum ludzi utkany z dymu. Ludzi, którzy przebiegali chyłkiem wśród skał, a czasem przystawali i gapili się na nas. Kiedy jednak usiłowałem im się przyjrzeć, bledli, zamieniali się w cień i kłęby siarkowych wyziewów.

Po jakimś czasie kolumny znów obróciły się, ukazując kapłanów w ich szkarłatnych szatach, stojących niczym posągi w swoich niszach. W posadzce pod moimi nogami pojawiły się świecące czerwienią i żółcią ogniste koła, które kurczyły się i rozszerzały.

– Nakarmiliście Górę – stwierdził jeden z Szepcących, lecz nie było wiadomo który.

– Przyzwaliśmy dla was Robaka – powiedział inny.

– Możecie wejść po schodach – oznajmił kolejny.

Węże wstali i ruszyli przez okrągły plac, prosto w stronę zbocza, tam, gdzie wykute zostały gładkie stopnie, tak szerokie i wysokie, że można by je wziąć raczej za tarasy, wzniesione coraz wyżej, aż ku szerokiej, prostej pieczarze, z której zaczęło pobłyskiwać zielone, nienaturalne światło.

Wchodziliśmy po belkowanych, szerokich schodach wzniesionych pomiędzy stopniami, jeźdźcy prowadzili konie za ogłowia. Nie zamierzali ich zostawić, więc obok położono im pochylnie z desek z przybitymi

szczeblami. Czterech pieszych niosło między sobą sieć, w której spoczywał sarkofag z Czyniącą, a dwóch prowadziło mnie. Jeden trzymał postronek założony na moją szyję, a drugi pilnował z włócznią w rękach, co jakiś czas dźgając mnie drzewcem w plecy.

Wiedziałem, że z każdą następną chwilą jest trudniej uciec, ale niewiele mogłem na to poradzić, bo dotąd nie zauważyłem żadnej sposobności.

Kiedy wreszcie podeszliśmy na górę, schody doprowadziły nas do szerokiej pieczary, jak ślad poziomego cięcia, zupełnie jakby ktoś chciał podciąć górze gardło. Weszliśmy do wnętrza, z każdym krokiem podążając w grobową ciemność i zostawiając za plecami świat i resztki światła wpadające przez otwór.

Dalej było jak zwykle w jaskiniach. Mrok, mokre, zastałe powietrze, odgłosy kroków wzniecające echo gdzieś daleko, śpiewny dźwięk spadających kropel wody.

Bywałem w takich pieczarach i choć ich nie lubię, to jednak zwykle mnie nie przerażają. Tu jednak unosił się dziwny zapach, niepodobny do żelazistego czy siarkowego oddechu wnętrza ziemi, jaki zwykle czuje się w grotach. Czułem natomiast ciężki, piżmowy odór, jakbyśmy wchodzili do legowiska wielkich zwierząt, trochę jak smród dzikich leopardów, a trochę jak stada wołów.

Wśród dźwięku kropel i naszych kroków dały się znów słyszeć szelesty i szepty, jakby otaczał nas tłum. Poza tym jednak wokół panowała ciężka podziemna ciemność, jakiej nie można doświadczyć nawet najgłębszej nocy.

Potykałem się o kamienie, więc wyciągnąłem związane dłonie i próbowałem wymacywać drogę przed sobą. Natrafiałem na dziwaczne, bezkształtne twory, jakie zwykle spotyka się w jaskiniach, ale nie były to skały, przypominały w dotyku oślizgłe mięso morskich stworów, zupełnie jakbyśmy nie znaleźli się w leżu bestii, ale w jej wnętrznościach. Ustępowały pod naciskiem dłoni, a nawet miałem wrażenie, że się poruszają.

Po jakimś czasie ujrzałem światło. Blade i migotliwe, niczym poblask wielu kaganków, malujący rozbłyski i cienie na naciekach oraz kamiennych soplach jaskini. Kiedy znaleźliśmy się bliżej, ujrzałem kolejnego otulonego tuleją ze szkarłatnego materiału mnicha z tych, którzy nazywali siebie Szepcącymi do Cieni.

Ten siedział pośrodku okrągłej komnaty w skale, otoczony strzelającymi wprost z podłogi chybotliwymi płomykami, podobnymi do błędnych ogni na bagnach. Skierował na nas otwór swojego kaptura i zobaczyłem, że z tyłu wnika w niego jeden z tych skalnych tworów, wbijając się w szatę i zapewne potem w ciało, ale mnich nic sobie z tego nie robił i nie sprawiał wrażenia, jakby cierpiał.

– Jeśli pojawi się światło, to będzie znaczyło, że dostatecznie nakarmiliście Górę i przyśle dla was Robaka. – Trudno było stwierdzić, czy to mnich powiedział, czy głos spłynął wprost ze stropu jaskini albo ulągł się między opętańczymi szeptami wśród cieni i zakamarków.

A potem coś szczęknęło i cała jaskinia rozjarzyła się białym światłem, ukazując ruszające się narośla i twory, które powinny sterczeć nieruchomo, jak przystało kamieniom, a tymczasem wiły się niczym macki podmorskich stworzeń. Przeciwległa ściana, także mieniąca się od blasku, pękła nagle, krwawiąc brudnożółtym płynem, podobnym do ropy z gnijącej rany. Pęknięcie rozchyliło się na boki i buchnął w nas ohydny odór, niczym rozprutych wnętrzności.

– Idźcie – powiedziała jaskinia, spoglądając ciemnym jak paszcza otworem kaptura. – Robak przybędzie.

Znów pchnięto mnie drzewcem włóczni w plecy i ruszyliśmy wprost ku rozwartej ranie, teraz przypominającej ropiejące łono. Przeszliśmy przez korytarz zalany jasnym światłem, w którym wyraźnie widać było, że to wszystko jest jak kamień, jak gładkie, szkliste budowle przedwiecznych i jak wnętrzności jakiegoś olbrzymiego potwora zarazem.

Dalej znów była komora, zupełnie pusta i gładka, nadal zalana tym upiornym białym światłem i tak wielka, że można by w niej trzymać tabun koni. Przez środek prowadził idealnie prosty rów dzielący ją wzdłuż, szeroki na tyle, że pomieściłby sporą rzekę. Na ścianach zapalały się i gasły niepodobne do niczego świetliste znaki, ale nie widziałem nic, co można by nazwać robakiem. Komora była z obu stron zarośnięta żółtawą, falującą błoną.

A potem rozległ się pojedynczy odgłos podobny do krzyku upiora, który wzbudził echo pod sklepieniem. Gdzieś z oddali dał się słyszeć narastający szum i świst, cała komora zaczęła dygotać, gdzieś z góry posypały się drobne odłamki. Odgłos stawał się coraz potężniejszy i coraz bardziej przejmujący, zamykająca komorę błona wydęła się nagle i pękła raptownie

jak pęcherz, wpuszczając podmuch lodowatego, cuchnącego wichru, który omal nie zbił wszystkich z nóg, konie Węży zaczęły kwiczeć i stawać dęba, a potem z szumem, wizgiem i łoskotem, jakby walił się cały świat – przybył Robak.

Wystrzelił z otworu niczym drapieżna ryba czająca się w podwodnej jamie i w jednej chwili wypełnił sobą cały rów pośrodku jaskini. Przypominał właśnie rybę, jedną z tych o wężowatym ciele, które kupcy sprzedawali po zawieszeniu na dzień czy dwa w gęstym dymie albo jako kawałki pieczone na węglach i nadziane na patyki. W zalanym słońcem, gwarnym Maranaharze. Mieście, które umarło. Dawno i daleko stąd.

Gdzieś w mojej pamięci.

Tylko że ten stwór był sto razy większy niż wężoryby wiszące na hakach przekupniów. W jaskini zmieścił się tylko łeb i fragment cielska, podejrzewałem, że w dziurze, z której wychynął, czeka jeszcze przynajmniej drugie tyle ciała Robaka.

Stwór nie miał oczu, był pokryty wzorem w jaskrawe pasy, jego boki wibrowały i falowały nieco i sączyła się z nich cuchnąca mgła. Wysunięty daleko w przód płaski pysk zaczął się otwierać i zrozumiałem, że teraz zostanę połknięty, ale udało mi się nie wpaść w panikę. Pamiętałem, że dowódca powiedział „połknięty wraz z nami” oraz że dzięki temu „zobaczy mnie mistrz”. Niewiele z tego rozumiałem, ale i to wystarczyło, żebym uczepił się jakiejś nadziei.

Robak spoczywał na razie zupełnie nieruchomo na dnie niecki i dyszał z otwartym pyskiem, zupełnie jak rzeczne jaszczury z Południa. Wydawało się, że nie widzi ani stłoczonych koni, ani Węży, którzy na jego widok zaczęli dziko wrzeszczeć i hałaśliwie tłuc trzymaną w ręku bronią albo pięściami po napierśnikach.

Po prostu leżał wielki jak przewrócona wieża i czekał.

Z otwartą paszczą, przypominającą bramę miejską. Zwrócił łeb w bok i oparł szczękę na podłodze pieczary.

Rozległ się stukot kopyt, kwik przerażonych wierzchowców prowadzonych za ogłowia prosto w rozwartą gardziel, ktoś pchnął mnie drzewcem między łopatki. Węże ruszyli bez namysłu wprost w otwarty olbrzymi pysk, całkiem jakby była to zwykła rzecz, jakby zmierzali za miejskie mury.

Nie tak wyobrażałem sobie „połknięcie”. Robak czekał z rozwartą paszczą, a myśmy maszerowali wprost do jego wnętrza.

Trząsłem się z przerażenia, ale szarpany za postronek musiałem iść. Do paszczy Robaka, wprost w odór jego oddechu, krok za krokiem.

Do paszczy.

Wprowadzali rzędem konie, jednego za drugim, nieśli sieć z lodowym sarkofagiem, popychali mnie przed sobą.

Między palisadami niezliczonych zębów, sterczących na podniebieniu w wielu rzędach, lśniących jak polerowana kość, zakrzywionych do wewnątrz i długich jak moja dłoń. Wyglądało to jak tunel ozdobiony na bokach i suficie niezliczonymi ostrzami sztyletów.

W brzuchu Robaka wcale nie było ciemno. Sinawy blask lał się ze ścian żołądka, a od wewnątrz skóra potwora wydawała się trochę przejrzysta, jak wyprawiony rybi pęcherz. Widziałem przez nią zarysy jaskini, dziwaczne znaki zaklęć migające na ścianach. Kiedy popędzili mnie przez gardziel, kuliłem się, czekając, aż zmiażdżą mnie te tysiące zębów, ale nic takiego się nie działo. Nie zostałem zamieniony w krwawą papkę.

Z jakiegoś powodu Robak połykał nas w całości.

Spodziewałem się też żołądka, wnętrzności, kłębowiska jelit, sam nie wiem czego. Stwór był najwyraźniej żywy, więc sądziłem, że jest zbudowany podobnie jak wszelkie istoty na tym świecie, tymczasem za żebrowaną gardzielą było dużo miejsca, jakby był pusty w środku. Zupełnie jakbyśmy weszli do wielkiego, cuchnącego skórzanego namiotu.

Gardziel zacisnęła się, potem usłyszałem znów ponury, zawodzący dźwięk, wszystko zatrzęsło się i zrozumiałem, że Robak zamknął paszczę.

A potem cielsko szarpnęło gwałtownie i omal nie wrzasnąłem ze strachu. Czułem, że jakaś siła ciągnie mnie w głąb, w kierunku ogona, próbowałem chwycić się czegoś związanymi rękami, ale wnętrze potwora było gładkie niczym napięta skóra na bębnie. Od strony paszczy w kierunku tyłu, tam gdzie coś mnie ciągnęło, przez skórę przebiegały świecące wzory, na zewnątrz, za prześwitującą skórą, zrobiło się nagle ciemno i zrozumiałem, że potwór z nami w żołądku ruszył przez podziemne korytarze Żarłocznej Góry.

Nie przypominało to niczego, co odczuwałem do tej pory. Ani jazdy wozem, ani na grzbiecie ornipanta, ani żadnego innego wierzchowca. Najbardziej przypominało przebywanie pod pokładem lodowego okrętu,

którym przybyłem tu z miasta na wulkanie. Teraz jednak cały czas wszystko drżało i kołysało się na boki i czułem tajemniczą siłę ciągnącą mnie lekko i niepowstrzymanie do tyłu. Stwór tego rodzaju powinien był się raczej wić, żeby poruszać się naprzód, ale ten sunął mniej więcej prosto, jak prawdziwy robak, tylko przez jego ciało przenikały fale przejmujących do kości dreszczy.

Szybko dopadły mnie mdłości, lecz na pociechę miałem to, że Węże nie wyglądali wiele lepiej. Twarze pod tatuażami im poszarzały, przełykali nerwowo ślinę i zataczali się na śliskim podłożu, usiłując przytrzymać się czegoś. Wokół migotały światła i dobiegał nas dziwny świszczący grzmot, z jakim potwór mknął przez podziemne korytarze. Czasami Robak zakręcał i wówczas rzucało nami na przeciwległą ścianę, konie zaczynały kwiczeć przeraźliwie i zastanawiałem się, co będzie, kiedy któryś wpadnie w panikę i zacznie wierzgać w brzuchu Robaka.

Komora, w której staliśmy, kończyła się ścianą, zaciśniętą jak wylot związanego worka, ale sądząc po prześwitujących przez skórę światłach, z tyłu była kolejna taka sama, a może i następne.

Staliśmy tak długo, czekając nie wiadomo na co, wewnątrz Robaka, który sunął przez kręte jaskinie w głębi ziemi jak kornik w drewnie. Być może cały świat był już przez niego stoczony na podobieństwo starej belki. Być może czerw mógł wychynąć na drugim końcu gór albo gdziekolwiek, o wiele staj od wybrzeża, gdzie wznosiła się przeklęta Żarłoczna Góra. Zostanę połknięty i stanę przed obliczem króla Węży... Zaczynałem rozumieć i ogarnęło mnie przerażenie.

Dowódca stał na rozstawionych szeroko nogach, jedną ręką oparty o ścianę, i kołysał się lekko z tym swoim nawiedzonym wyrazem twarzy i przeraźliwymi oczami przypominającymi żółte kamyki. Jako jedyny nie bladł, nie wymiotował i nie zataczał się dookoła ani nie próbował siadać na dnie żołądka Robaka. Pojąłem, że wchodził do brzucha potwora już wcześniej i że miałem rację.

Kiedy myśmy mozolnie wędrowali przez kraj, brnąc w śniegu całymi tygodniami, Węże dawali się połykać potworowi i sunęli gładko podziemnymi tunelami, wychodząc znienacka na powierzchnię jak szczury w spichrzu. Jeśli nawet ktokolwiek z Wędrujących Nocą – sam Ulf, Ludzie Ognia albo Bracia Drzewa przeżyli, mogli liczyć tylko na mięśnie swojego konia i własne nogi. Nie mogli dogonić Robaka ślizgającego się na skróty

wygryzionymi we wnętrzu ziemi korytarzami, jak czerw w gnijącym mięsie.

W cielsku potwora było ciepło, a mimo to poczułem, że moje ciało ścina mróz. Być może zdążyłbym sięgnąć po ostrze Brusa wiszące na piersi i przeciąć żyłę z boku szyi. Życie wyciekłoby ze mnie, zanim serce uderzyłoby sto razy, i moja Droga pod Górę dobiegłaby końca. Uniknąłbym króla Węży i czekających mnie męczarni. Tylko co powiedziałbym ojcu i cieniom wszystkich zabitych Kirenenów, którzy złożyli w moje ręce los całego narodu? Jak wytłumaczyłbym, że zbłądziłem na ścieżkach losu, splątanych jak wygryzione w belce korytarze, że pozwoliłem, by szalony król dostał w swoje ręce moc Bolesnej Pani, a Nahel Ifrija zamieniła mój kraj w pustynię najeżoną lasem Czerwonych Wież?

Zachowałem kastetowy nóż na szyi, nie większy od małego liścia, i łańcuch ukryty w pole kurty oraz maleńkie ostrze w podeszwie. Przeciwko sobie miałem siedmiu ludzi, w tym dwóch w ciężkich zbrojach i jednego Czyniącego. Jedynym wyjściem było zabić ich wszystkich, odebrać Czyniącą, a gdy Robak wychynie ponad ziemię – uciekać. Tyle tylko, że nie miałem na to żadnych szans. Może powaliłbym jednego albo dwóch, korzystając z zaskoczenia, a potem, dobywszy łańcucha, którego się nie spodziewali, mógłbym bronić się jeszcze przez jakiś czas, ale to wszystko. A na koniec pozostawał Czyniący, który zapewne umiał jednym gestem sprawić, by zapłonęły mi oczy. Równie dobrze mogłem poderżnąć sobie gardło – tak byłoby szybciej i prościej.

Wydawało mi się, że zawsze zdążę to zrobić, więc czekałem, klęcząc, szarpany skurczami i podskokami cielska potwora, ogłuszony szumem i rykiem dobiegającym z zewnątrz i oślepiany błyskami światła. Trwałem nieruchomo i zbierałem siły, a w głowie rozbrzmiewała mi pieśń o Dolinie Czarnych Łez. Chciałem oczyścić umysł ze strachu, zbędnych myśli i rozpamiętywania. Ten czas przeminął. Teraz musiałem obudzić w sobie ogień i rozpalić go tak, by całe moje ciało stało się ogniem. Płomieniem, którego nie można powstrzymać ostrzem, a który niszczy wszystko. Nadchodził mój koniec i musiałem przestać rozmyślać o tym, dokąd sam odejdę, a skupić się na chwilach, które nastąpią przedtem. Musiałem zabić siedmiu mężów. Starszych ode mnie, znacznie silniejszych i lepiej uzbrojonych. To, czy to możliwe, czy nie, nie miało znaczenia. Nic więcej nie pozostało do zrobienia. Liczyła się sposobność, która mogła nastąpić

w każdym momencie, i sposób dokonania tego. Ruchy ciała, przebiegłość, szybkość. Miejsca nieosłonięte pancerzem, w które można trafić ostrzem. Broń, którą można wytrącić z zaskoczonej dłoni i przechwycić. Ruch, który pozwoli ich wymanewrować, sprawić, by wpadali na siebie i stawali sobie na drodze. Może mógłbym nawet zabić Robaka, kalecząc go od środka, i sprawić, by pozostał w krętych korytarzach wnętrza ziemi i nigdy nie dotarł do króla Węży. Ruch. Sposobność. Ogień. Tylko tyle.

Klęczałem i pilnowałem oddechu pracującego jak miech w kuźni, podsycający płomień, aż stanie się biały, huczący i zdolny przepalać żelazo.

Czekałem.

A potem Robak zaczął skręcać coraz częściej i coraz gwałtowniej, cielsko szarpało tak, że nawet dowódca stracił równowagę i zatoczył się, a na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

Konie znów zaczęły kwiczeć, a Ludzie Węże przewracać się na siebie, chwytać wypukłości na ścianach i siebie nawzajem. Uniosłem ręce i wsunąłem kciuk pod łańcuszek, na którym wisiał mój nóż po Brusie, ale czekałem jeszcze, bo coś się działo i chciałem zobaczyć co. Węże zaczęli wykrzykiwać jeden przez drugiego, ale Czyniący uciszył ich krótkim chrapliwym okrzykiem. Z zewnątrz Robak odpowiedział przeciągłym zawodzeniem, jakby mu wtórował.

Stwór szarpał się długo, dowódca uchwycił się czegoś nad głową i rozglądał niepewnie, ze zmarszczonymi brwiami. A potem znów poczułem, że niewidzialna siła zaczyna pchać moje ciało, tylko teraz nie w kierunku ogona, ale do przodu, w stronę pyska potwora. Węże, którzy stracili równowagę, potoczyli się po śliskiej podłodze, oba konie stały na szeroko rozstawionych nogach i kwiczały przeraźliwie.

Panowało zamieszanie, lecz to nie był dobry moment do ataku, bo gdybym tylko spróbował wstać na nogi, natychmiast sam straciłbym równowagę i nie umiałem wyobrazić sobie, jak miałbym w takiej sytuacji walczyć.

Po dłuższym czasie uciążliwe wrażenie pchania osłabło, potem nastąpiło kilka potężnych szarpnięć, jakby okręt wbijał się w falę, a na koniec wszystko wreszcie ucichło.

Ustały hałas i wstrząsy, potwór znieruchomiał, tylko dziwne świecące wzory i znaki nadal migotały na ścianach.

Zaciśnięta gardziel rozciągnęła się nagle, ukazując wnętrze pyska najeżone palisadami kłów, przekręciła się w bok, do środka wpadło sine, migotliwe światło i buchnęło chłodne, stęchłe powietrze podziemi.

Węże dźwignęli się na nogi, dwóch ujęło sieć wypchaną lodowym sarkofagiem, ktoś chwycił prychające i targające łbami wierzchowce za ogłowia, ktoś znów trącił mnie środkiem drzewca w plecy i wyszliśmy z wnętrzności Robaka.

W dokładnie takiej samej pieczarze jak ta, w której do niego wstąpiliśmy.

Dowódca jednak nie był zadowolony, bo stanął jak oniemiały, a stwór w tym czasie zamknął paszczę, odwrócił łeb, a potem rzucił nim do przodu, rozciągając cielsko, i wystrzelił przed siebie w głąb podziemnych tuneli, a jego ogon ciągnął się za naszymi plecami jeszcze długo, rozmazując od pędu.

– Jak śmiecie, Szepcący! Nakarmiliśmy Górę! Gniew Węża będzie bezlitosny! – wrzasnął Czyniący, unosząc głowę do kamiennych ścian i sufitu, na których zapalały się i gasły dziwne świetliste znaki.

W odpowiedzi rozległ się niezrozumiały okrzyk w obcym języku, brzmiący trochę jak: „Bireti do Hontro-i!”, i w nagłej, osłupiałej ciszy krótki, masywny bełt arbalety wbił się w czoło kapłana Węży.

Ten wyprężył się z ogłuszającym sykiem, który zamienił się w prychnięcie i bulgot, gdy z jego ust bluznęła krew, a potem zwalił się w koryto na dnie jaskini, w którym przed chwilą spoczywało cielsko Robaka.

Nie czekałem dłużej.

Wyszarpnąłem spod kurty, kolczugi i kaftana łańcuszek z pochwą kastetowego noża, przeciąłem rzemień pomiędzy nadgarstkami i wywinąłem się piruetem z uchwytu pilnującego mnie Węża. A potem po prostu powtórzyłem to, co w myślach zrobiłem już sto razy, doskonaląc każdy ruch. Wykręciłem mu rękę z mieczem i przypadłem do ziemi, prując wewnętrzną stronę uda ostrzem ukrytym między palcami drugiej dłoni, tak by przeciąć znajdujące się przy pachwinie wielkie żyły.

Potem mogłem znów wywinąć się jak płomień na wietrze i ciąć Węża pod hełmem jego własnym mieczem, gdy już padał.

Ogień we mnie zapłonął, a powietrze w pieczarze na mgnienie oka zrobiło się gęste od strzał i bełtów.

Rozległ się wrzask wielu głosów, zwielokrotniony echem, trzech naszpikowanych strzałami Węży skręcało się na ziemi, a ostatnich dwóch zdolnych jeszcze do poruszania się skoczyło w ślad za swoim Czyniącym na dno kamiennego koryta, w którym przed chwilą sunął Robak.

Jeden z nich ocalał, bo chroniła go ciężka zbroja jazdy, a drugi miał bark przeszyty strzałą, ale nie zwracał na to uwagi. Głębokie dno parowu skryło ich, więc rzucili się do beznadziejnej ucieczki w kierunku wylotu tunelu, znów zarośniętego żółtawym pęcherzem.

Stałem zaskoczony, ze zdobycznym mieczem w dłoni, wśród trupów i konających wijących się na skalnej podłodze. Nie bardzo rozumiałem, gdzie jestem i kto zabija Węży, pilnowałem tylko lodowego sarkofagu, zdecydowany bronić go do końca.

Na razie nie widziałem żadnego z atakujących i nawet nie umiałem stwierdzić, gdzie się ukryli. Pieczara była długa na jakieś sto kroków i wyglądała identycznie jak ta, gdzie wprowadzili nas Szepcący do Cieni na spotkanie z Robakiem, ale nie miałem pojęcia, czy to jakimś cudem jest to samo miejsce, czy tylko tak samo wygląda.

Komora była pusta i wydawało mi się niemożliwe, żeby ktokolwiek mógł się w niej ukryć, kiedy zobaczyłem ludzi ubranych w białe stroje, z zasłoniętymi twarzami, jak wychodzą w wielu miejscach jakby wprost ze ścian i rzucają się w pogoń za Wężami.

Dwóch wskoczyło w biegu do parowu i dobyło mieczy, a dwóch innych, którzy wyłonili się ze ściany dalej, przecięło Wężom drogę i też dało susa na dno koryta, odcinając ich od wylotu tunelu.

Patrzyłem na ich brudne białe kaftany i kaptury z wymalowanym wzorem z czarnych postrzępionych pasów, przy którym Ulf upierał się, że sprawia, by łatwiej było się ukryć. Słyszałem znajome głosy, widziałem, jak rozkręcają w rękach liny z kotwiczkami, które woziliśmy do wspinania się po skałach i murach, patrzyłem, jak zabijają obu uciekinierów bezlitośnie i beznamiętnie, nawet nie wdając się specjalnie w walkę, pomagając sobie nawzajem, niczym gospodarze znakujący byki. Tego przeszytego strzałą zarąbali od razu i nie trwało to nawet chwili. Jeden z atakujących rzucił mu w twarz żelazną gwiazdką, drugi przerąbał od tyłu ścięgno, a wtedy ten od gwiazdki przebił gardło. Ciężkozbrojny zabrał im więcej czasu, ale też nie poświęcili mu wiele uwagi. Jedna kotwiczka zaczepiła się Wężowi za nogę, druga oplątała kark i uniesioną rękę, po czym powalili go na skałę, a jeden

z zakapturzonych przydepnął zbrojnemu pierś i wepchnął ostrze między płyty pancerza.

Dwóch kolejnych podeszło do mnie, z mieczami w ręku, i nie zauważyłem, skąd się wzięli. Ten wyższy przyklęknął przy każdym leżącym i przyłożył dwa palce z boku szyi, jednocześnie przyciskając kolanem prawą rękę, a potem wstał bez słowa, schował miecz i odpiął maskę z futra i kolczugi, która zasłaniała usta i nos. Chwycił mnie jedną ręką za kark i przycisnął do swojego barku.

Poczułem, że moje nogi robią się miękkie i ogarnia mnie znużenie.

– Myślałem, że nie żyjesz – powiedziałem. – Widziałem lodowy sarkofag i pomyślałem, że cię zabili.

– Ja to samo myślałem o tobie, synu – odparł i odwrócił się szybko, bym nie zobaczył, że lśnią mu oczy. Wiedziałem już, że nie wiadomo dlaczego wstydzi się takich rzeczy.

– Tylko sześciu? – zapytałem ostrożnie. – Czy reszta...

– Dzięgiel i Zawilec odeszli – rzucił, nadal stojąc bokiem. – Sylfana, Dereń i Jawor ranni. Czterech innych odwiozło ich na okręt. Dziewczyna... – Odchrząknął. – Nie wiem, czy przeżyje. Tak samo Jawor. Moment.

Otarł twarz, a potem wskoczył do parowu i przyklęknął przy leżącym na wznak Czyniącym.

– Odwalił kitę, *paskiainen*, ale z tym nie będę ryzykował. Z niczym już nie będę ryzykował.

Wyrzucił coś z wnętrza niecki, co uderzyło z ohydnym łupnięciem i potoczyło się po skale, zostawiając za sobą krwawą ścieżkę. Spojrzałem na rozchylone usta, tatuowane policzki i półprzymknięte wężowe oczy, teraz już mętne i zalane krwią, i poczułem mdłości.

– Tak trzeba, synu – oznajmił Ulf, gramoląc się na podłogę komory. – To nie bezmyślne okrucieństwo, tylko zabezpieczenie. Nie wiemy, czym jest Czyniący, poza tym, że działa wbrew naturze i niełatwo go zabić. A bez głowy nawet ten tutaj niewiele wskóra.

Odwrócił się do swoich ludzi.

– Sprzątać tam! Wywleczcie Węży, nakarmimy nimi Górę! Ruchy!

– Mały żyje? – odkrzyknął któryś.

– Zdrowy! Zbieramy się! Stąd nie ma bezpośredniego połączenia do domu!

– Co on znowu gada? – zapytał kolejny wojownik.

– A kto go wie? Czasami mi się zdaje, że nie ma dobrze w głowie.

Kiedy wywlekaliśmy trupy z komory, czułem, że wciąż drżą mi ręce i kolana uginają się pode mną. Byłem między swoimi, zostałem ocalony, ale nie rozumiałem, jak do tego doszło. Wciąż drążyło mnie koszmarne poczucie, że to tylko sen, majak, z którego lada chwila obudzę się skulony w brzuchu Robaka albo przewieszony przez siodło, ze związanymi rękami.

Wiedziałem, że Ulf nic mi teraz nie wyjaśni. Szedł szybkim krokiem, pogrążony w myślach, i mamrotał do siebie pod nosem, jak miał w zwyczaju, a to znaczyło, że się śpieszy i w ogóle jest zajęty.

– Jak wyszliście ze ścian? – spytałem Grunaldiego, który szedł obok mnie. Nie wiem dlaczego, to akurat wydało mi się teraz najważniejsze.

– Normalnie. Ja tak zawsze robię, kiedy widzę ścianę – odwarknął.

– Nie słuchaj go – powiedział Spalle. – Tam są tunele, którymi się chodzi, ale zamiast drzwi mają jakieś takie... No, coś, co się rozsuwa i zamyka. Jak jest zamknięte, to tego z drugiej strony nie widać. Poczekaliśmy za tymi... no, żywymi zasłonami i porozsuwaliśmy je tylko trochę, tak żeby coś było widać i bełt się zmieścił. A potem powychodziliśmy i już.

– A skąd Robak wziął się tu z powrotem? Przecież od dawna pełzł w głąb ziemi.

– Szepcący do Cieni są mu posłuszni. Zawrócili Robaka. Wezwali go z powrotem. Jego spytaj, ja sam nic z tego nie pojmuję.

– Są posłuszni Ulfowi? Kim nakarmiliście Górę?

– Mało brakowało, a nakarmilibyśmy ją nami samymi. Ogarnęły nas cienie. Widma pożartych przez Górę. Jak upiory uroczyska, ale wchodzą człowiekowi do głowy i pokazują mu jakieś okropieństwa. Strach, smutek, śmierć, aż sam lezie nakarmić sobą Górę, byle to się skończyło. Myśmy jednak przeżyli. Zdaje mi się, że Szepcący zobaczyli w głowie Ulfa coś takiego, co im się bardzo spodobało, i naraz odwołali od nas cienie. Najbardziej zaś podoba im się to, co może sprowadzić koniec świata, dlatego trochę mnie to martwi. Ulf to aż się trzęsie ze złości, bo najchętniej sam by powrzucał tych Szepcących do paszczy Góry. Ja jednak wolę, że stało się tak, jak się stało, bo inaczej już dołączylibyśmy do cieni.

Wyszliśmy do jaskini, w której siedział Szepcący zrośnięty ze skałą, w otoczeniu wieńca płomyków migocących na podłodze.

Zwaliliśmy martwych Węży na stertę, a po chwili z ciemności pojawiło się kilku mnichów, którzy w milczeniu odwlekli ich korytarzem. Nocny Wędrowiec stał z kciukami zatkniętymi za pas i rysował coś na podłodze czubkiem buta. Odpiął maskę i widziałem, jak pulsują mu mięśnie na szczęce koło uszu, co oznaczało, że jest wściekły i nie chce tego dać po sobie poznać.

– Dokąd biegną korytarze Robaka? – zapytał.

Siedzący zwrócił w jego stronę otwór kaptura, jak studnia pełna czarnej wody.

– Kto to wie? Kiedyś, przed wiekami, oplatały pewnie cały świat. Dziś nikt nie wie. Jedne zarosły, inne się zawaliły... Przez wieki nawet góry rosną i wędrują, choć żyjący tego nie widzą. Inne rozsypują się w proch. Ziemia przeciąga się i rodzi skały, rzeki zmieniają bieg, wyspy wynurzają się z morza.

– Nie opowiadaj mi tu bajek, starcze! – warknął Nitj’sefni. – Przyzywasz Robaka dla tego ścierwa w wężowej koronie i jego ludożerców, dobrze wiesz, dokąd go posyłasz. Gdzie jeszcze może się udać Robak? Jeśli chcesz, żebym zrobił to, co zamierzam, musisz mi pomóc.

– My, Szepcący do Cieni, nie pomagamy śmiertelnym ani nie trzymamy żadnej strony. Ty jednak chcesz rozjuszyć wszystkich bogów i sprawić, by świat zatrząsł się w posadach. Jesteś niczym lis w kurniku. Płonący lis w kurniku. Tak, chcemy, byś mógł biegać po całym gospodarstwie, roznosząc płomienie na ogonie. Bracia zaprowadzą cię do serca Góry, byś poznał ścieżki Robaka. Ale wiedz, że jeśli przybędzie tu król Węży i nakarmi Górę, też przyzwiemy dla niego Robaka i nie powiemy ci o tym. My chcemy chaosu, który sprowadzi martwy śnieg i zakończy czas tego świata, by potem mógł się narodzić nowy, dając nam zdrowe ciała. Wiedz też, że jeśli będziesz chciał, by Robak poniósł cię w swoim brzuchu, będziesz musiał nakarmić Górę, jak każdy. Góra jest bardzo stara, może umiera. Musi jeść.

Na to Ulf nie powiedział ani słowa, tylko patrzył przez chwilę po ścianach, przygryzając wargę.

– Prowadź – rzekł w końcu.

– Ja należę do Zrośniętych z Górą i nie opuszczę kręgu płomieni, zanim nie nadejdzie martwy śnieg.

Ulf ze zniecierpliwieniem ponaglił mnicha gestem dłoni.

– A ja należę do Niezrośniętych z Niczym i zaczyna mi się śpieszyć. Zaczynam wierzyć, że ten martwy śnieg spadnie, zanim skończysz ględzić, starcze.

– Poprowadzi cię światło. Podążaj za nim, a znajdziesz serce Góry.

– Wiecznie to samo – westchnął Ulf. – Podążaj za światłem i podążaj za światłem. Co to, *perkele*, ma być? To tylko pieprzona stacja kolejowa. Skrzyżowanie owsika z shinkansenem.

Przynajmniej tak to jakoś brzmiało. Nie zrozumiałem z tego wiele, poza tym, że Nitj'sefni jest zniecierpliwiony.

Nie pozwolono nam pójść razem z Ulfem, zatem wyszliśmy na zewnątrz. Zeszliśmy po wielkich stopniach aż na dół, do kręgu obelisków, w którym nadal tkwili Szepcący do Cieni, wśród oparów i smrodliwych wyziewów, jednak nie widziałem już snujących się wśród mgły widm.

Staliśmy więc, patrząc, jak Szepcący wrzucali ciała zabitych Węży do jam, w których drzemały paszcze Góry. Nie musieli nawet wrzucać ich do samych otworów, tak jak robili to przedtem Węże, bo jeśli pokarm poleżał chwilę w jamie, z wnętrza otworów zaczynały wyskakiwać pomarszczone białe gardziele zakończone wieńcem kłów, jak olbrzymie morskie robaki, które same rozszarpywały ofiarę i ciągnęły do swoich dziur. Spojrzałem tam tylko raz i żołądek podszedł mi do gardła. Z drugiej strony ci sami Węże jeszcze niedawno wrzucali tu innych ludzi, zanim sami stali się jadłem dla Góry.

– Chodźmy stąd – powiedział Grunaldi. – Wiele w życiu widziałem, ale to jest najbardziej parszywe miejsce, do jakiego trafiłem. Wolałbym podcierać zadki kowcom, niż kiedykolwiek tu wrócić. Skąd na świecie mogło wziąć się coś podobnego?

– Jeśli dobrze zrozumiałem, przedwieczni tak właśnie podróżowali, dając się połknąć Robakowi.

– Nic mnie tak nie cieszy jak to, że wymarli.

Odeszliśmy od jam jak najdalej i siedliśmy na kamieniach, a Spalle wydobył bukłak mocnego korzennego piwa zwanego gryfim mlekiem, które zaczęliśmy sobie przekazywać w krąg. Wokół snuły się cuchnące siarką opary, a gdzieniegdzie stali Szepcący do Cieni, nieruchomo jak skały, w milczeniu wpatrując się w nas studzienną czernią kapturów. W górze krakały wrony, a wiatr niósł drobiny miałkiego jak mąka śniegu. Czułem, że całe zmęczenie i strach wlewają mi się w nogi niczym płynny ołów,

i musiałem z całych sił powstrzymywać się, by nie położyć się w śniegu wśród skał i nie zasnąć. Jednak siedziałem tylko i co jakiś czas odruchowo dotykałem bolesnej opuchlizny na skroni. Pierwsze łyki gryfiego mleka sprawiły, iż moje opuchnięte od rzemienia gardło zmiażdżył taki ból przy przełykaniu, że zakrztusiłem się i z oczu poszły mi łzy. Kolejne przyniosły już ulgę.

Czekaliśmy.

– Nadal nie pojmuję, jak do tego doszło, że ci mnisi chcą się układać z Ulfem, a nawet oddali mu Węży, od których wzięli zapłatę. Przecież jeśli Aaken się o tym dowie, będzie chciał wziąć pomstę – odezwałem się.

– Żaden z nas nie pojmuje – powiedział jeden z Braci Drzewa, ten, którego zwali Skalnik. – Zdaje się, że uważają się za niedosiężnych, dopóki nie opuszczają doliny, i robią wszystko, co uważają za korzystne dla siebie.

– Król Węży nie będzie o niczym wiedział – zauważył Grunaldi. – Bowiem nie ocalał nikt, kto mógłby mu o tym opowiedzieć, a sami ci Szepcący na pewno tego nie zrobią. Mnie zaś martwi, że uznali pomaganie nam za korzyść, bo ich największym marzeniem jest doprowadzić do końca świata, a to jest niezupełnie to, o co mnie akurat chodzi. Mam nadzieję, że Ulf będzie miał dość sprytu, żeby dojść z tym do ładu.

– Jeśli mowa o tym, że odwołali opętujące nas cienie, a potem przywołali z powrotem Robaka, dając nam odbić Fyalara i Czyniącą, to o resztę możemy zamartwiać się kiedy indziej. Cokolwiek sobie roją, najlepiej, żebyśmy poszli stąd i zajęli się własnymi sprawami – powiedział powoli Spalle. – Jeśli idzie o mnie, to czy świat miałby się skończyć w chwili, kiedy pożera mnie jakaś żywa góra, czy parę dni później, nie bardzo robi mi różnicę.

Siedzieliśmy tak potem jeszcze dosyć długo, ale nie doszliśmy do niczego mądrego, patrzyliśmy tylko, jak w dolinę wpełza powoli zmrok.

Kiedy Ulf pojawił się w szerokim otworze pieczary i ruszył samotnie w dół po schodach, właściwie straciłem nadzieję, że pozostał przy życiu, i zaczynałem naprawdę się bać kolejnego podstępu ze strony Szepcących. Wciąż nie rozumiałem, dlaczego zostawiają nas przy życiu.

– Wynośmy się stąd – powiedział, kiedy znalazł się już przy nas. – Dowiedziałem się, ile się dało, ale chcę opuścić to miejsce, i to zaraz. Muszę wszystko przemyśleć, jednak zanosi się na to, że będziemy musieli ich jeszcze wykorzystać.

Nie podobało mi się to, co powiedział, lecz wiedziałem, że dalsze wypytywanie nic nie przyniesie. Opuszczaliśmy dolinę Szepcących do Cieni i to przynajmniej była dobra wiadomość.

Kiedy szli tu po mnie, Nocni Wędrowcy wspięli się po skałach za pomocą haków i lin, a potem przebyli grzbiet i opuścili się na linach na dno doliny. Bezgłośnie i niepostrzeżenie, tak jak mieliśmy w zwyczaju, nie gorzej od cesarskich tropicieli. Potem jednak obudzili cienie, które zawładnęły ich umysłami, i o mały włos idący mi na odsiecz podzieliliby los wszystkich wchodzących do tego miejsca, zapewne i mój. Teraz jednak mogliśmy wyjść tak samo, jak wchodzili tu i wychodzili Węże – wygodnym, choć stromym traktem przez przełęcz zwaną Kamiennymi Kłami.

Mieliśmy dwie lodowe latarnie kryjące wewnątrz świecące stworzenia, których używaliśmy w Dolinie Bolesnej Pani, ale dopóki nie zapadł prawdziwy mrok, Ulf nie pozwolił obudzić ich blasku. Schodziliśmy więc wśród skał i śniegu w zapadających ciemnościach. Tej nocy po niebie wędrowały oba księżyce i wydawało się, że cały śnieg świeci mdło, a nawet widziałem, że w ich świetle człowiek rzuca cień. Szliśmy zatem nadal bez światła, ale to wcale nie było aż tak trudne, zwłaszcza kiedy oczy przywykły do półmroku.

Lodowy sarkofag stale niosło dwóch ludzi, na pasach przewleczonych przez uchwyty po bokach, a kiedy droga wiodła mniej więcej równo, po prostu ciągnęli go po śniegu jak sanie. Zmienialiśmy się często. Dwóch opiekowało się lodową trumną, dwóch pilnowało drogi z przodu i dwóch z tyłu, stale z łukami i arbaletami w rękach.

Była to męcząca podróż, ale pamiętałem, jak przebyłem ją w tamtą stronę – spętany, wleczony na dławiącym szyję arkanie, wśród szlochających jeńców, prowadzony na śmierć jak kowca.

Teraz miałem w ręku tę dziwną broń, podobną do zmniejszonej arkabalisty, o której wiedziałem, że strzela płasko i celnie, a miotany przez nią ciężki bełt potrafi przebić zbroję jeźdźca i zmieść go z siodła na sto kroków. Na plecach czułem ciężar miecza i nie byłem już kowcą. Byłem znowu Nocnym Wędrowcem. Jednym z nich. Fyalarem Kamiennym Ogniem. Moje kolejne imię.

Imię wojownika.

Mieliśmy zejść na polanę u stóp Żarłocznej Góry, gdzie pod osłoną gałęzi zostały spętane konie, a potem dojechać nocą przynajmniej do rzeki, gdzie czekał nas popas.

Schodząc ze zboczy, dwa razy odpoczywaliśmy, leżąc w śniegu wokół sarkofagu i mierząc we wszystkie strony grotami gotowych do strzału arbalet i giętych okrętowych łuków Ludzi Ognia. Kiedy ruszaliśmy dalej, szliśmy bezgłośnie, trudno widoczni na śniegu. Koszmary Żarłocznej Góry z każdym krokiem zostawały dalej za naszymi plecami i coraz trudniej było uwierzyć w to, co widzieliśmy na własne oczy.

Przebyliśmy częściowo zamarznięty strumień, a potem weszliśmy w zagajnik.

Idący na przedzie Ulf zatrzymał się tak nagle, że omal na niego nie wpadłem. Zobaczyłem, że pokazuje „zatrzymać się i przyczaić”, więc przykląkłem natychmiast, unosząc arbaletę, ale nie widziałem nic prócz lśniących lekko zasp, ośnieżonych gałęzi i pni. Wszyscy przysiedliśmy nisko, bez jednego dźwięku, zapadając się wśród zasp jak duchy. Ulf płynnym ruchem sięgnął jedną ręką po tkwiący mu w sajdaku za plecami łuk i założył strzałę, a potem pokazał najpierw „klin, powoli naprzód”, a potem „chronić rannego”. „Klin” wyglądał tak jak w naszej armii „grot”. Nie było rannego, ale mieliśmy pogrążoną w drętwym śnie Czyniącą. To oznaczało, że niosący akurat sarkofag Głóg i Grunaldi muszą przy nim pozostać gotowi do walki, a reszta kroczy trójkątnym szykiem za Ulfem.

Nitj’sefni wstał z uniesionym łukiem, mierząc przed siebie, ale nie naciągał jeszcze cięciwy, tylko ruszył naprzód, przyczajonym, ostrożnym krokiem.

Spalle szedł obok niego ze swoim łukiem, a ja i Skalnik o półtora kroku z tyłu, mierząc z arbalet. W taki sposób weszliśmy pomiędzy ośnieżone krzewy i niskie drzewka. Pamiętałem, jak trzymać arbaletę przy ramieniu oraz że zawsze muszę mierzyć tam, gdzie patrzę, i odwracać się całym ciałem z bronią niczym przyrośniętą do barku, a także o tym, że nie wolno trzymać palców na dźwigni spustowej, dopóki nie ma się strzelać, lecz wciąż nie widziałem żadnego celu.

Kilkanaście kroków dalej zobaczyłem wreszcie na drzewach migotliwy poblask płomieni, a potem nasze konie otoczone przez zbrojnych z pochodniami.

Ulf przytrzymał strzałę na łęczysku, uniósł dłoń i pokazał „rozwinąć skrzydła”, a potem „czekać na rozkaz ataku”. W tej sytuacji oznaczało to, że mamy rozdzielić się po jego bokach i przyczaić na obrzeżu polany. Przemykaliśmy więc wśród oblepionych śniegiem gałęzi, trzymając się cienia i unikając blasku pochodni.

Zapadłem wśród śniegu i wczołgałem się pod iglaste gałęzie zwieszające się tuż nad ziemią.

Nawet jeśli zbrojni przy naszych koniach górowali nad nami liczebnie, czułem pociechę dzięki temu, że okazali się butnymi głupcami, niewiele sprytniejszymi od krewnych Lśniącej Rosą. W tej krainie im ludzie byli silniejsi, tym częściej pycha przyćmiewała rozsądek. Stali tam, na pustej polanie, otoczeni nocą i lasem, z czterema płonącymi pochodniami, i widziałem przed grotem każdego z mężów, widziałem błyski płomieni na ich hełmach i napierśnikach, oni zaś nie widzieli niczego poza kręgiem śniegu wokół, oświetlonym przez ich własny ogień.

Wybrałem sobie rosłego męża w hełmie zasłaniającym twarz aż po usta i wymierzyłem mu bełt w krocze, tam gdzie jego folgowy pancerz kończył się zasłoną z łańcuchów. Stał z prawej pośrodku, dlatego był mój. Wiedziałem, że grot arbalety Skalnika wskazuje teraz tego, który stał najbardziej z brzegu.

Obserwowałem zbrojnego zmrużonymi oczami, pamiętając, by nie patrzeć wprost na płomienie, i czekałem.

Usłyszałem porykiwanie i kwik zaniepokojonych koni oraz cichy chrzęst śniegu.

– Czego sobie życzysz od moich koni? – usłyszałem głos Ulfa, który pojawił się znienacka tuż za kręgiem oświetlonego pochodniami śniegu. Schował łuk i stał całkiem spokojnie, z ostrzem miecza ukrytym za ramieniem. – Może mógłbym ci w czymś pomóc? – dodał Nocny Wędrowiec swobodnie.

Tamci aż przysiedli z zaskoczenia, niektórzy wysunęli miecze do połowy z pochew, ale nie rzucili się na Ulfa, co oznaczało, że nie potracili do reszty rozsądku. Powoli uniosłem jeden palec i przesunąłem zapadkę blokującą dźwignię spustu oraz obracający się mosiężny walec, który trzymał plecioną z włosia i drutu grubą cięciwę. A potem wciągnąłem bardzo powoli powietrze przez nos, nie spuszczając oka z punktu, który wskazywał mój grot.

– Sądziliśmy, że poszedłeś za Kamienne Kły, a to znaczyło, że twoje konie sczezną tu z zimna i głodu. Długo ich szukaliśmy – odezwał się mąż w głębokim hełmie z nosalem podobnym do dzioba kruka.

– Zwykle zostawiam koniowodnego – odparł Ulf nadal lekkim tonem, jakby rozmawiał z sąsiadem spotkanym na polowaniu. – Ciekawe, jaki byłby jego los?

– Gdzie twoi ludzie?

– Wszędzie wokół – odpowiedział Nitj'sefni. – Wśród zasp i pni. Patrzą sobie na was i z nudów bawią się cięciwami. Nie wiedzieliśmy, kim jesteście i jakie macie zamiary.

– Weszliście za Kamienne Kły?

– Załatwiliśmy, cośmy chcieli. A konie są nam potrzebne, żeby opuścić wasze ziemie i więcej się wam nie naprzykrzać.

– Widzieliście Szepcących do Cieni?

– Poszliśmy tam zabić Węży i to właśnie zrobiliśmy.

– Skoro żyjecie, możecie spędzić noc w naszej siedzibie.

– Czy to znaczy, że wy, Ludzie Kruki, dajecie nam gościnę i mir? Poręczysz słowem waszego styrsmana? Nie widzę go tutaj.

– Kungsbjarn Płaczący Lodem ma lepsze rzeczy do robienia, niż uganiać się po nocy za jakimiś końmi. Jednak ceni sobie ludzi mężnych i mających coś do powiedzenia, a noce są teraz długie i mroźne. Dajemy wam gościnę. Zasiądźcie przy naszym stole i ogniu. Styrsman jest też mężem honorowym. Chyba nie chcesz, wędrowcze, wzgardzić jego domem. Patrz, oto chcę podzielić z tobą łyk morskiego miodu.

Mężczyzna uniósł futrzany bukłak zatkany korkiem.

Ulf uporczywie patrzył na niego w milczeniu, prosto w oczy, aż tamten skinął głową i jego ludzie schowali miecze do pochew. Nitj'sefni odwrócił swój tak, że ostrze zalśniło w mdłym świetle księżyców, i także je schował.

– Przyjmujemy gościnę – rzekł. Po czym wziął bukłak, napił się, uniósł palce do ust i gwizdnął.

Sygnał brzmiał „do mnie, czysto!". Inaczej niż samo „do mnie!", które oznaczało, że zanosi się na walkę, albo „do mnie, na odsiecz!", które znaczyło zgoła jeszcze co innego.

Uniosłem się z zaspy i ruszyłem powoli naprzód, z opuszczoną lekko kuszą, widząc, że spomiędzy krzaków wychodzą inni, tak samo jak ja

obleczeni w biel i czerń, z pasami białego futra i kolczugi zasłaniającymi twarze aż po oczy.

Na końcu pojawili się Głóg i Grunaldi, ciągnąc po śniegu lodowy sarkofag. Zeszliśmy się ze wszystkich stron prosto do naszych koni, nie zwracając uwagi na stojących pomiędzy nimi zbrojnych.

Wypatrzyłem wolnego wierzchowca i dopiero gdy do niego podszedłem, uniosłem sprężynujący zacisk utrzymujący bełt na łożu i zdjąłem pocisk, a potem zwolniłem cięciwę.

Jechaliśmy krętym górskim szlakiem przez zaśnieżony las, częściowo wzdłuż strumienia, który mijałem za dnia, a potem znów pod górę.

Siedziba kogoś, kogo nazwano Płaczącym Lodem, stała nad skalnym urwiskiem, na szczycie wzgórza sterczącego wśród lasu jak samotny ząb w szczęce starca i otoczonego lasem. Jeszcze dalej wokół wznosiły się szczyty, ostre, skaliste i lśniące niczym strzaskane szkło. Przypominała dwór Lśniącej Rosą, w którym mieszkałem jako niewolnik, tylko ta była wyższa i więcej zbudowano z ciosanego kamienia. Miała też dwie wieże nakryte strzelistymi hełmami, które rysowały się niewyraźnie czernią na tle nieba, i częstokół sterczący wysoko z kamiennego wału. Po bokach bramy w dwóch żelaznych misach wiszących na łańcuchach płonął ogień. Wokół szczytu obu wież miotały się dziesiątki górskich kruków, wypełniając powietrze krakaniem.

Mąż, który jechał na przedzie, wyjął oprawiony w srebro róg i zadął, na co ze szczytu ostrokołu nad bramą odpowiedziało podobnie ponure zawodzenie, jakby dwa stare ornipanty wołały się we mgle.

Kiedy podjeżdżaliśmy bliżej, widziałem, że Ulf rozgląda się, lustrując wysokość częstokołu, zerka w dół urwiska i uważnie przypatruje się wieży bramnej, którą wpuszczano nas do środka.

Do wnętrza siedziby wjeżdżało się wąską drogą wzdłuż murów, mając z drugiej strony strome zbocze wzgórza. Droga zawracała tuż przed urwiskiem i dopiero tam pozwalała ustawić się na wprost bramy. Z boku nie było fosy ani rowu, ale trudno byłoby sobie wyobrazić, jak ktoś miałby wtoczyć tędy machiny oblężnicze czy choćby taran. Do bramy trzeba było podejść, klucząc pomiędzy kilkoma samotnymi skałami, które uniemożliwiały ustawienie szyku, a pod samym wejściem znajdowało się rozpadlisko ciągnące się wzdłuż czołowego wału. Mieli też podnoszony most na łańcuchach, a potem bramę zbitą z potężnych tramów i okutą

żelazem, prowadzącą do kamiennej wieży bramnej. Wewnątrz prowadziliśmy konie oświetlonym paroma pochodniami korytarzem o kamiennych ścianach, w których dostrzegałem wąskie otwory strzelnic. Jakieś otwory widniały też w stropie, a po drugiej stronie czekała nas krata z grubych belek, na dole okuta żelaznymi zębami.

Była to najbardziej podobna do twierdzy siedziba, jaką tu widziałem, nie licząc Lodowego Ogrodu. Fort zapewne wydawał się przytulny komuś, kto siedział w środku i wiedział, że wszystkie te urządzenia bronią dostępu intruzom, ja jednak wchodziłem z zewnątrz i wydawało mi się, że to niegościnne miejsce. Sądziłem też, że wyjść stamtąd może być równie trudno, jak wedrzeć się siłą do środka, i to podobało mi się jeszcze mniej.

Potem czekaliśmy na pierwszym dziedzińcu za bramą, stojąc pod krakaniem kruków miotających się po nocnym niebie.

W kraju zwanym Wybrzeżem Żagli nie jest to przejaw arogancji. Większość siedzib znajduje się w oddaleniu od innych i niespodziewany gość zwykle zatrzymuje się w bezpiecznej odległości, po czym czeka, aż zostanie zaproszony. Jeśli nikt nie wyjdzie zapytać, czego sobie życzy, i zaprosić do środka, spędza noc tam, gdzie stoi, i odchodzi, zresztą zwykle jest tam szałas albo drewniana szopa chroniąca przed deszczem i wiatrem, miejsce na ognisko i suchy opał. Nas wpuszczono wprawdzie za mury, lecz nadal byliśmy niespodziewanymi gośćmi i gospodarze musieli się zastanowić, co z nami uczynić. To kraina, gdzie na co dzień ludzie nie mają innego prawa niż miecz przy boku i chętnie po niego sięgają, więc uznają tam wiele takich obyczajów i uważają je za rodzaj uprzejmości. Ten zaś, kto w ich mniemaniu zachowuje się nieuprzejmie, zwykle żyje krótko.

– Pewnie będą nas chcieli rozbroić – powiedział Ulf, kiedy czekaliśmy, trzymając konie. – Oddajemy miecze, tarcze, kto ma, łuki i kusze, ale noże i ukryta broń zostają.

– Według obyczaju broń idzie do komory przy stajni, gdzie zaprowadzą nasze wierzchowce, a my mamy prawo sprawdzić, czy należycie je zaopatrzono, i wiedzieć, gdzie jest ta stajnia – powiedział Grunaldi. – Tylko nie wiem, jak będzie tutaj, bo te Kruki mieszkają zbyt blisko granicy Pustkowi Trwogi i są to ludzie równie dzicy jak Niedźwiedzie.

– Należało pozabijać tamtych i odjechać – powiedział Skalnik. – Musimy wracać na statek, i to szybko. Niedobrze siedzieć tak długo poza

Ogrodem. Musimy wywieźć stąd Czyniącą. Co będzie, kiedy zacznie się budzić?

– Oddali konie z dobrej woli – powiedział na to Ulf. – I wiem, że będziemy musieli się jeszcze pojawiać w tej okolicy, więc nie chcę, żebyśmy byli ludźmi ściganymi, bo to niepotrzebnie komplikuje pracę. Co do Czyniącej, to drętwa woda wreszcie na nią działa i na pewno teraz się nie obudzi. Jutro dostanie nową porcję rozwodnionego eliksiru i potem powinna spać aż do powrotu do Ogrodu. To zresztą załatwia sam sarkofag. Tak został zrobiony. Dopóki siedzi w środku, nic się nie stanie. Co do nas, wszyscy są poharatani i noc pod dachem dobrze nam zrobi. Już teraz idzie mróz. Sam średnio się cieszę na tę kolację, ale nie ma wyjścia. Trzymamy się razem, nigdzie nie łaźcie samotnie, nawet do wychodka, i nie opowiadajcie niczego o tym, co widzieliśmy. W razie konieczności bajkę opowiadam ja. I ostrożnie z piwem. Niech nikomu nie strzeli do głowy urżnąć się w sztok albo brać udział w jakichś pijackich zawodach. Nie dajcie się sprowokować, popijać ostrożnie i miejcie oczy dookoła głowy. Mamy tu przeżyć, a rano zniknąć, zanim wyleczą kaca, i nic więcej. Sarkofag zabieramy ze sobą i nie wolno spuszczać go z oka. Owińcie go jakimś kropierzem, żeby nie przyciągał uwagi.

– Słowo daję, byłem już w gościnie z raz czy dwa i nie trzeba mnie pouczać – zauważył Grunaldi.

– Ja też – powiedział Nitj’sefni. – I za każdym razem kończyło się jakąś awanturą.

A potem wyszło do nas na dziedziniec kilku mężów, jak na ten kraj, dostatnio ubranych, w płaszcze z jarmakandzkich materiałów, podbite delikatnym futrem, mieli też haftowane ubrania i pasy nabijane srebrnymi ozdobami.

– Trzeba zapytać, czy Warfnir nie ma tu aby krewnych – mruknął Spalle.

Poproszono nas, byśmy oddali miecze, a potem kilku chłopaków odprowadziło wierzchowce, a jeden niósł nasze miecze owinięte płaszczem, trzymając je przed sobą niczym naręcze polan. Grunaldi poszedł z nimi i nikt przeciw temu nie protestował.

Potem zaś poprowadzono nas przez kolejne bramy pomiędzy budynkami na drugi dziedziniec, do starego dworu z wysoką podmurówką z kamieni i poczerniałych belek, gdzie krokwie i słupy zwieńczono rzeźbionymi krukami.

W wielkiej hali, wysklepionej aż po dach, płonął huczący ogień w palenisku otoczonym kutymi kratami, a wokół ustawiono długie stoły. Dym wychodził przez trójkątne dymniki wycięte w szczycie dachu po obu stronach budynku, a na ścianach wisiały futra, malowane tarcze i broń zdobyta w odległych krainach.

Kiedy tam weszliśmy, na półmiskach i wokół nich na stołach leżały głównie ogryzione kości, kawałki kiszonych warzyw i okruchy chleba, a siedzący przy stołach możni interesowali się już tylko dzbanami z piwem. Niektórzy leżeli w rzuconej na kamienną podłogę słomie, owinięci futrami, które zdarli z okutych skrzyń stojących wzdłuż ścian.

Kiedy tak przechodziliśmy, niektórzy spoglądali na owinięty końskim kropierzem i owiązany liną sarkofag, który nieśliśmy między sobą, ale nie mogli dostrzec, co to takiego, poza tym, że był duży jak pół czółna i obły.

Poprowadzono nas do niezbyt wielkiego, rzeźbionego stołu przed paleniskiem, gdzie siedział mąż o starannie utrefionych włosach zaplecionych przed czołem w wąskie warkocze i ujętych w srebrną obręcz, który obracał w palcach rzeźbiony srebrny kielich, wyglądający na dzieło złotników z Nahdilii albo Alkumaru.

Siedział sam, tylko opodal na pokrytym skórą podwyższeniu przycupnęły dwie niewiasty, starsza i zupełnie młoda, która trzymała na kolanach płaski instrument podobny do cintaru. Cały czas trącała struny palcami z założonymi żelaznymi naparstkami, grając smętną melodię bez początku i końca.

– Witaj, Kungsbjarnie, styrsmanie Kruków – powiedział Ulf. – Wracamy do domu i opuszczamy twoje ziemie. Nie chcieliśmy ci się naprzykrzać, ale mąż, który przyszedł zadbać o nasze konie, rzekł, że twoim życzeniem jest, byśmy zasiedli przy twoim ogniu. Zatem jesteśmy.

– Witaj, Nocny Wędrowcze, styrsmanie Żeglarzy. Widzę, że wróciło was więcej, niż wyszło. Jeśli to prawda, że weszliście za Kamienne Kły i wróciliście, chcę wiedzieć, jak tego dokonaliście. Teraz usiądźcie przy moim ogniu i pokrzepcie się. Strawa jest skromna, ale zima trwa już długo i zapasy zaczynają się kurczyć.

Siedliśmy więc po obu stronach stołu, a kiedy ogarnęło mnie ciepło bijące od paleniska, poczułem, że jestem przeraźliwie zmęczony. Byłem też głodny, ale na to znalazła się rada, bo wkrótce na stole postawiono srebrne tace z pieczonym mięsem obłożonym gotowanymi jajami i bulwami

rzepniaków, faski kiszonych warzyw, dzbany parującego mięsnego wywaru i piwa oraz kosz chleba.

Wtedy nawykłem już do ciężkiego jadła ludzi Północy, a nawet ich piwa, choć często przyprawiało mnie o wzdęcia i biegunkę. Tego dnia jednak zbyt wiele razy spojrzałem w ciemność i teraz, kiedy okazało się, że jednak przeżyłem, czułem, że zjadłbym cokolwiek, co nie byłoby w stanie uciec, a choćby i zdechłego baktriana.

Moi towarzysze również nie mieli nic przeciwko odrobinie mięsa i chleba i choć zachowywali się na swój sposób powściągliwie, zrumieniona tusza górskiego koziołka szybko została rozerwana na kawałki, a na tacy zostało tylko trochę resztek.

Kungsbjarn Płaczący Lodem siedział na swoim końcu stołu na dziwacznym krześle z drewna i plątaniny jelenich rogów, z oparciem zwieńczonym sylwetką kruka, i patrząc na nas ponuro, skubał zębami niewielki kawałek pieczeni, który trzymał w trzech palcach.

Obracał w zamyśleniu kielich, do którego nalewano mu wina z wysmukłego dzbana, i czekał cierpliwie, aż napełnimy brzuchy. Młódka siedząca na podeście zaczęła grać nieco żywiej, ta druga natomiast śpiewać, ale Kungsbjarn ze zniecierpliwieniem strzepnął dłonią i śpiew umilkł. Pozostała tylko muzyka.

Ogryzaliśmy kości, rwaliśmy placki chleba, popijaliśmy łykami piwa. Trwało to czas jakiś. Usiłowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zjadłem przyzwoity posiłek, i uznałem, że to musiała być miska zupy jeszcze na rzece, kiedy zmierzaliśmy saniami na wyprawę. Niektórzy z nas jeszcze wtedy żyli, niektórzy byli zdrowi, tak jak ta czarnowłosa dziewczyna, smukła niczym łania, teraz leżąca z gorączką wśród pokrwawionych opatrunków i z porąbanymi żebrami gdzieś na lodowym okręcie albo w saniach i zmierzając dopiero do niego.

Była piękna na swój dziki, północny sposób i najwyraźniej pomiędzy Ulfem a nią coś było. Czułem, że kiedy Nitj’sefni milknie i patrzy w przestrzeń, zagryzając wargę, cały czas myśli o niej. Ciężko mu będzie wejść na pokład i zapytać, czy przeżyła.

Najpierw jedliśmy pospiesznie, potem coraz wolniej, aż w końcu przyszedł taki czas, kiedy jeden po drugim zaczęliśmy odkładać ogryzione kości i ocierać usta kawałkami chleba, a palce w poły kaftanów. Przyniesiono nam więcej piwa.

Widywałem na Wybrzeżu Żagli już wiele uczt, ale ta była inna. Powinien tu panować gwar, tymczasem rozmawiano półgłosem, nikt nie śpiewał, nikt nie ryczał z uciechy ani nie opowiadał sprośnych historii. Nikt nie tańczył ani nie zabawiał się żadnymi grami, które zazwyczaj tak tutaj lubiano. Nie mocowali się, nie przeciągali za splecione dłonie przez leżący na ziemi oszczep, tylko siedzieli, pili i gapili się na siebie. Czuło się coś dziwnego i wydawało mi się, że w tej hali mieszka strach.

– Chcę teraz usłyszeć, co jest za Kamiennymi Kłami – powiedział Kungsbjarn, patrząc na Ulfa, który wycierał starannie palce kawałkiem chleba. – Co jakiś czas rodzi się u nas styrsman, który chce zrobić porządek z Szepcącymi do Cieni i ich przeklętą doliną. Tak też zdarzyło się za czasów mojego ojca. Mężowie przeszli przez przełęcz i żaden nie wrócił. Byłem wtedy dzieckiem, ale pamiętam dobrze, dlatego nie mam ochoty być następnym, który wytraci najlepszych z naszego klanu i sam zostawi kości pod Żarłoczną Górą. Niewielu potem przeżyło mężów i przyszły na nas ciężkie lata. Pamiętam to dobrze.

– Szepcący do Cieni sami nie biorą oręża do ręki – powiedział ostrożnie Ulf, nalewając sobie piwa. – I nie da się ich pokonać żelazem. Mają na swoje usługi upiory uroczyska. Ci, którzy wchodzą tam bez wiedzy Szepcących, spotykają plączące się we mgle cienie. Gubią drogę i błąkają się wśród skał, słysząc w głowie westchnienia cieni. Po jakimś czasie zaczynają też widzieć obrazy. To jak sen na jawie. Każdy widzi to, czego najbardziej się boi, i to, co przynosi smutek. Spotyka swoich ukochanych, a oni zwracają się przeciw niemu. Spotyka przyjaciół i zostaje przez nich zdradzony. Patrzy na śmierć swoich dzieci i na klęskę swojego klanu. Widzi, jak toną jego łodzie i płonie rodzinny dom. Trwa to, aż wszyscy popadają w szaleństwo i przebijają się nawzajem albo sami rzucają się w przepaść. Dlatego nikt nie wraca spod Żarłocznej Góry.

– Wyście jednak wrócili – powiedział Płaczący Lodem. – Przyprowadziliście tego młodzieńca, który jest między wami, i przynieśliście to, co macie w tym tobole. Coście uczynili, że majaki cieni nie sprowadziły na was szaleństwa?

– Szepcący do Cieni to Czyniący i tylko mocą Czyniących można się im przeciwstawić. Ja jestem wojownikiem, ale czasem umiem okiełznać moc uroczyska – zaczął powoli Nocny Wędrowiec, a potem opowiadał.

Opowiadał bajkę.

Zazwyczaj bajką nazywał, tak samo jak mój przyboczny i przewodnik Brus, umiejętne kłamstwo. Rodzaj parawanu ze słów, za którym musi schronić się ten, kto walczy samotnie, sam przeciw wielu, otoczony wrogami. Tutejsi nie bardzo się na tym wyznawali. To ludzie prości, którzy najchętniej walczą twarzą w twarz i nie ukrywają niczego. Zazwyczaj znają fortele, mają nawet jakieś opowieści o jednym ze swoich nadaku, które wędrując po ziemi jako istota ludzka, chętnie korzysta z przebrań i podszywa się pod różne postaci, ale na co dzień moneta ukryta między palcami, udawanie martwego, zaczajenie się za pniem drzewa albo wciągnięcie żagla ze znakiem innego plemienia to już była dla nich wymyślna intryga i dowód wielkiego sprytu.

Znają też sztukę opowiadania zmyślonych historii tak, by słuchacze wierzyli, że zdarzyło się to naprawdę, oraz często koloryzują, bawiąc innych opowieściami o swoich przygodach.

To, co opowiadał Ulf, jednak zawierało to, co powinna dobra bajka szpiega. Było tam akurat tyle prawdy, żeby brzmiała prawdopodobnie, i tyle wymysłów, by słuchający nie dowiedział się zbyt wiele. Wprawdzie nie wiedziałem, co naprawdę wydarzyło się pod Żarłoczną Górą, ale byłem pewien, że Ulf nie posiadł umiejętności miotania z dłoni piorunów, które mogły rozpraszać roiho, jak wiatr rozwiewa dym, pierwsze też słyszałem, by posiadał morski kamień z dziurką pośrodku, który jeśli się przez niego zerkało, pozwalał widzieć i słyszeć prawdę ukrytą pod każdym urokiem i zasłoniętą każdą ułudą stworzoną przez Czyniącego. Kamień, który pozwolił Ulfowi rozproszyć cienie, rozprysnął się na proch, a wraz z nim odeszła też moc miotania błyskawic.

W pierwszej chwili miałem nawet nadzieję, że dowiem się czegoś z tej opowieści, ale wystarczyło spojrzeć na Grunaldiego, który wpatrywał się w krokwie z niewinną miną, ściskając w zamyśleniu dolną wargę.

Miałem nadzieję, że bajka Nocnego Wędrowca wystarczy, by zaspokoić ciekawość naszego gospodarza. Ludzie z Wybrzeża wprawdzie często podróżują za morza, ale patrzą na wszystko po swojemu i niezależnie, gdzie dotrą, pozostają potem nadal raczej ciemni i naiwni. Zwłaszcza ci, którzy mieszkają w pobliżu jakiegoś uroczyska, potrafią uwierzyć we wszystko, co im się powie. Z drugiej strony sam widziałem już takie rzeczy, że gdyby ktoś mi o nich opowiedział, nie dałbym mu wiary.

– Prawdę powiadają – odezwał się Kungsbjarn – że odkąd zaczęła się ta cała wojna bogów, na świecie dzieją się dziwne rzeczy. Wszyscyśmy widzieli już niejedno, tak na morzu, jak i na lądzie, i trudno już teraz powiedzieć, co roi się tylko prostym ludziom w głowach, a co dzieje się naprawdę. Są jednak rzeczy bardziej i mniej godne wiary. A do takich należy historia tego, co ukradli ci Węże i co właśnie odzyskałeś. Powiedziałeś mi, że to skrzynia z twoją martwą krewną. Tylko że mnie, Ulfie, łatwiej uwierzyć, że patrzyłeś przez kamień albo miotałeś ręką błyskawice, czego ponoć już nie umiesz, niż że ktoś ukradł ci umrzyka. Dlatego ja myślę, że czymkolwiek jest to, co leży pod ławą, ma coś wspólnego z pieśniami bogów i służy do tego, by bezpiecznie przejść przez uroczysko, takie jak to pod Żarłoczną Górą. Myślę też, że to nie Węże ukradli je tobie, ale ty Wężom. Dobrze się stało, że ich pozabijałeś, i dobrze, że odzyskałeś swojego człowieka. Jednak ta rzecz jest zdobyczą zyskaną na mojej ziemi i należy do mnie. Ty zaś, jako człowiek bywały, wiesz, że gospodarzowi należy się gościniec. Tobie ta rzecz jest już niepotrzebna, a ja chcę ją jako gościniec od ciebie.

Rozejrzałem się ostrożnie po hali i zobaczyłem, że prócz wrót, którymi tu weszliśmy, są jeszcze cztery inne wyjścia, po jednym w każdej ścianie. Zacząłem się też zastanawiać, czy broń powieszoną na ścianach dałoby się zdjąć. Pozostali Nocni Wędrowcy też zaczęli siedzieć jakoś inaczej, rozluźniając ręce, układając nogi tak, by móc błyskawicznie wstać, i przyglądając się uważnie różnym ciężkim przedmiotom w zasięgu ręki. Grunaldi odchylił głowę do tyłu i poruszył nią, aż chrupnęło mu w karku, a Spalle splótł palce, aż strzeliły stawy.

– Kungsbjarnie – odrzekł Ulf – jesteś człowiekiem bywałym i mądrym. Na pewno pamiętasz, że przez swojego człowieka ofiarowałeś mi pokój. Nie wierzę, że chciałbyś napełnić Hinda obrzydzeniem i gniewem, podnosząc rękę na gościa w twoich progach. Gościniec ci się należy i chętnie ofiaruję ci miecz albo złoto, ale szczątki mojej ciotki należą do mnie i tak już zostanie, bez względu na to, co o tym myślisz. Nie wierzę też, że chciałbyś je odbierać siłą. Pamiętaj, że właśnie wróciliśmy zza Kamiennych Kłów, a ciała tych, którzy nam coś odebrali, leżą tam w śniegu.

Kungsbjarn oparł się w swoim krześle i położył ręce na podłokietnikach zwieńczonych łbami kruków.

– Według obyczaju – powiedział – jest tak, że skoro posiadasz cenną rzecz, którą zdobyłeś na mojej ziemi, i ja ją chcę, musisz się o tę rzecz bić, żeby ją zatrzymać.

Nocny Wędrowiec przymknął powieki i wypuścił powietrze przez nos.

– Mam się z tobą bić? – zapytał cierpliwie.

– Ja jestem styrsmanem, w swojej siedzibie, siedzącym na kruczym tronie i otaczają mnie najznamienitsi z mojego rodu. Ty zaś w tej chwili jesteś wędrowcem na szlaku, bogatym w to, co ma na grzbiecie, i dlatego nie jesteśmy całkiem równi, ty i ja. Ktoś będzie bił się za mnie, ty zaś możesz poprosić któregoś ze swoich ludzi, jeśli chcesz.

Spojrzeliśmy na Ulfa, ale machnął tylko ręką.

– Sam załatwię tę sprawę. Z kim mam się bić, Kungsbjarnie?

– Zaraz sam zobaczysz. Walczyć będziecie na dziedzińcu, i to nie używając żadnej broni i nie chroniąc ciała żadnym pancerzem. Nie jest to walka na śmierć i życie, ale jeśli stanie się tak, że któryś z was zginie, musicie przysiąc, że wasi bliscy nie będą szukali pomsty. Jeśli będziecie leżeli obaj na ziemi, ten, który nie będzie mógł walczyć dalej, niech krzyknie „dość!” albo uderzy w ziemię dłonią, jeśli stanie się tak, że nie będzie mógł mówić. Walkę przegrywa ten, kto się podda albo padnie na ziemię bez zmysłów. Jeśli to będziesz ty, będziesz musiał oddać tę rzecz. Jeśli zaś przegra twój przeciwnik, będziesz mógł ją zatrzymać. Tak powiedziałem i nikt nie może uznać, że to nie są uczciwe reguły.

– Niech ci będzie – powiedział Ulf z irytacją. – Chodźmy na ten dziedziniec i załatwmy sprawę, zanim przyjdzie gorszy mróz.

Poszliśmy więc na zewnątrz, gdzie kto tylko mógł, wyległ na krużganki i schody, by przyglądać się walce. Było tam jasno od ognia płonącego w kutych żelaznych koszach, które ustawiono wokół brukowanego podwórca, odgarniętego ze śniegu do gołych kamieni.

– To mi się nie podoba – powiedział Grunaldi. – Ten cały Kungsbjarn coś knuje. Nie mam pojęcia, co to miałoby być, ale nie zdziwię się, jeśli się okaże, że masz walczyć bez broni z nyflingiem albo niedźwiedziem.

– Ja pamiętam tylko, jak Ulf pouczał nas, że mamy nie dawać się wciągać w awantury – zauważył Spalle.

– Nie wymyśliłem tej bzdury – zauważył Ulf. – I nie podoba mi się to tak samo jak wam, tyle tylko, że nie bardzo mam wybór. To, żeby Czyniąca trafiła do Ogrodu, jest teraz najważniejsze. Może się zdarzyć tak, że zginę

albo zostanę powalony. Bierzcie wtedy sarkofag i przebijajcie się na zewnątrz.

– Dużo łatwiej powiedzieć, niż uczynić – sarknął Grunaldi. – Zróbmy może inaczej: to ja zemdleję, a ty przebijaj się w tym tłumie z sarkofagiem do bramy.

– Ktokolwiek przyjdzie, lepiej go pokonaj, Ulfie, bo inaczej wszystko, co przeżyliśmy, będzie na nic – powiedział Powój ponuro. – Nie zdołamy się stąd wyrwać. Najwyżej poginiemy, broniąc go do końca.

– Z tego też będzie niewielki pożytek – zauważyłem. – Zdaje się, że musisz zwyciężyć za wszelką cenę. Masz chyba te swoje tajemnicze sposoby?

– Słyszałem cię – powiedział Nitj’sefni ponuro, zdejmując kurtę i kolczugę. – Zrobię, co się da, ale żaden sposób nie jest doskonały. I każdy może dostać po pysku, lepiej tylko, żeby nie stało się to akurat dziś.

Wszedł na podwórzec i stanął na środku, czekając.

– Może już zaczniemy? – zaproponował. – Robi się zimno.

Jakiś jegomość otulony podbitym futrem płaszczem wyszedł na majdan, ale to nie był jego przeciwnik.

– Odbędzie się walka! – krzyknął gromkim, schrypniętym głosem. – Na rozkaz styrsmana ten tutaj wędrowiec zmierzy się wręcz z tym, którego tej zimy widzieliście już na tym dziedzińcu kilkakrotnie i który nigdy nie został pokonany. Stawką jest zdobycz, którą wędrowcy posiedli na naszych ziemiach i którą trzymają tam, pod płótnem. Po stronie Domu Kruków stanie drugi przybysz z daleka, któremu daliśmy gościnę.

Otworzyły się drzwi z boku dziedzińca, wypuszczając ze środka jasne światło, w którym pojawiła się sylwetka ogromnego męża smukłej budowy i wyższego o głowę od pozostałych.

– Patrzcie! Nadchodzi Tancerz Pięści!

W blasku pojawił się N’Dele.

Tancerz Pięści – Klangadonsar. Kebiryjczyk. N’Dele Aligende. Mój człowiek. Wciąż w niewoli, walczący dla Kungsbjarna Płaczącego Lodem.

Przeciwko nam.

Rozdział 3

Gościna Kruczego Domu

Mądry jest ten, co umie pytać
i odpowiedź dać umie;
nigdy człowiekowi nie uda się ukryć,
Jakim jest w istocie.

(...)

Ani o krok nie wolno mężowi
oddalić się od swej broni,
bo nie wiadomo, czy wieść się nie rozniesie
po drogach, że brak mu oszczepu.

(Pieśni Najwyższego – Hávamál)

Facet jest piekielnie wysoki, jak na tutejsze warunki – mierzy lekko ponad dwa metry, co znaczy, że jest prawie o głowę wyższy ode mnie, ale to nie problem. Ma długą, pociągłą twarz, miedzianą skórę

i niepokojący, hipnotyzujący wyraz żółtych, tygrysich oczu. Dziwnie regularne rysy, jak etiopska ikona, do tego płynne, sprężyste ruchy. Nie wolno go lekceważyć.

Cieszę się, że to nie oswojony yeti, kolejny czteroręki mutant ani nic w tym rodzaju, ale czuję, że będzie ciężko. Koleś porusza się faktycznie jak tancerz, długie ciało w niczym mu nie przeszkadza. Dążyć do zwarcia czy próbować aikido? Escrima czy raczej krav maga?

Wychodzi, splata ręce na piersi i patrzy na mnie obojętnie tym tygrysim wzrokiem, a z wrót za nim wychodzą jacyś faceci z bębenkami w rękach i instrumentem szarpanym, wyglądającym jak rondel z bardzo długą rączką. Zanosi się na pojedynek taneczny? Jeśli tak, to jestem zgubiony.

Rozprostowuję barki, gimnastykuję przez chwilę nadgarstki, robię prawie szpagat poprzeczny, żeby rozciągnąć ścięgna udowe, ale to raczej dla rozgrzewki. Mroźne powietrze jest jak nóż. Krew mam jeszcze ciepłą, jednak to długo nie potrwa. Mam nadzieję, że przy jego akromegalnej budowie zacznie marznąć prędzej. Może zwlekać, aż padnie na hipotermię?

Aktywuję Cyfral, choć bez większej nadziei. Rozmaite magiczne fajerwerki nie zastąpią mi hiperadrenaliny i niesionego przez nią przyspieszenia synaptycznego. Cała ta instalacja powinna gdzieś we mnie być, tylko że nie odpowiada. Z drugiej strony mój wszczep zmienił się w nagą wróżkę na skrzydełkach ważki, więc hiperneurotransmitery, biosprzęg synaptyczny i cała kaskada skomplikowanych biochemicznych reakcji, które robiły ze mnie maszynę bojową, też mogły przeistoczyć się w zapach jaśminu i głos fujarki o świcie.

Pojawiła się, kiedy grajkowie za plecami olbrzyma rozsiedli się ze swoimi bębenkami i zaczęli wybijać natrętny rytm, kojarzący się odlegle z muzyką derwiszów i odgłosem tam-tamów. Przemknęła mu przez pole widzenia z zatroskaną i wystraszoną minką i tyle ją widział.

Wysoki Kebiryjczyk zrzucił z ramion płaszcz, ukazując nagą pierś poznaczoną bliznami, i wszedł na środek dziedzińca, a potem stanął, zamykając oczy.

Filar przecisnął się między stojącymi ciasno gapiami i chwycił Vuka za ramię.

– To mój człowiek! Jeden z tych, których szukam! Nazywa się N’Dele Aligende. Musisz mu powiedzieć, że tu jestem i że rozkazuję mu przegrać tę walkę!

– Wątpię, czy będziemy mieli okazję pogawędzić – zauważył Drakkainen kwaśno.

Stojący pośrodku dziedzińca N’Dele wyglądał jak posąg z polerowanej miedzi, ale po chwili skłonił się przed zwiadowcą, dotykając dłonią czoła i piersi, na co Vuko odpowiedział oszczędnym ukłonem. Kebiryjczyk uniósł dłonie, klaszcząc do rytmu bębenków, a potem zaczął przytupywać i przestawiać nogi na boki.

– Mam robić to samo czy jak? – mruknął Drakkainen i uniósł gardę, stając w postawie gotowości.

N’Dele podskakiwał monotonnie jak piłka i coraz wyżej, ale nie atakował ani nie robił nic więcej, za to zaczął śpiewać.

– Zdziwniej i zdziwniej – oznajmił Drakkainen. – Może też zacznę skakać, bo zaczynam marznąć.

Jego przeciwnik zupełnie niespodziewanie runął w bok, podpierając się dłonią o bruk dziedzińca, i strzelił podwójnym nożycowym kopnięciem. Vuko zablokował jedno, które mogło mu urwać głowę, a drugie z konieczności przyjął na bok pod ramieniem, skracając trochę dystans, i poleciał jak szmaciana lalka. Zamortyzował upadek przewrotem, wstał, krzywiąc się z bólu, i uniósł gardę, uznając, że żebra ocalały. Przeciwnik skakał wokół niego, wzlatując na dobre pół metra i nucąc swoją dziwaczną szantę.

– Coś jakby capoeira – mruknął. – *Dobrodoszli*. Tego nie przerabialiśmy.

N’Dele podskoczył wyżej, robiąc piruet, co Drakkainen uznał za wstęp do podwójnego obrotowego kopnięcia i zablokował je, a potem skoczył do przodu, prąc do zwarcia. Przez pół sekundy zablokował trzy krótkie ciosy, nadgarstkiem, łokciem i pięścią, ale raz dostał w kość policzkową, aż mu pociemniało w oczach.

– Człowieku – wyrzęził – jest ze mną... – I runął na bruk, podcięty chytrym, niskim kopnięciem. Przetoczył się błyskawicznie, unikając tupnięcia, które przybiłoby go do bruku jak motyla w gablotce, i wstał podrzutem.

Nie dogadamy się tak, pomyślał. Może facet nie nauczył się mowy Wybrzeża? Jego praca nie sprzyja nauce języka. Nie czuł się na siłach

próbować kebiryjskiego.

Odchylił się, unikając kolejnego wierzgnięcia, i przeskoczył nad drugą nogą, która miała go podciąć z przeciwnej strony.

– Jest ze mną Filar syn Oszczepnika! – wrzasnął po amitrajsku z okropnym akcentem. – Ty N’Dele Aligende! On twoja tohimon! Stojący tam w tłum! Powiada: ty przegrać, to ważne!

Uchylił się ponownie i poczuł tylko podmuch czegoś podobnego do ura mikazuki geri, co omal nie zdarło mu skóry z twarzy.

– My koniecznie zabierać nasza rzecz! – dorzucił, sam się właściwie nie rozumiejąc. Zauważył, że N’Dele zmienił na moment wyraz twarzy. Trudno ocenić, czy grymas, który przemknął mu przez oblicze, to był błysk zrozumienia, czy cokolwiek innego.

– Nie mogę przegrać, człowieku – odpowiedział cicho Kebiryjczyk w mowie Wybrzeża i ruszył miękkim krokiem, obchodząc Drakkainena po łuku. – Ten pies Płaczący Lodem zabije wtedy mojego przyjaciela, którego trzyma w lochu. Nie mogę tego zrobić. Wybacz.

Doskoczył do Vuka w dziwnej przyczajonej pozycji, wystrzelił w górę i raptem grzmotnął go kolanem w skroń. Drakkainen zablokował kopnięcie skrzyżowanymi dłońmi, ale i tak poleciał na bruk, tocząc się po kamieniach do wtóru chóralnych owacji Ludzi Kruków.

– Muszę się zastanowić – powiedział Kebiryjczykowi, usiłując trafić go podstawą dłoni w bok szczęki. Tamten zablokował cios i chwycił Drakkainena za nadgarstek, więc odpowiedział dźwignią, zanurkował mu pod ramieniem i rzucił wielkiego N’Dele na podwórzec. Udało się tylko częściowo, bo Kebiryjczyk zrobił salto w powietrzu i wylądował na nogach, co wydawało się już całkiem niemożliwe. Z niejaką irytacją Vuko kopnął przeciwnika w splot słoneczny i udało mu się posadzić go na moment na ziemi. N’Dele odbił się jak piłka, fiknął w powietrzu i znów stał.

W chwilę potem jego noga wystrzeliła jak taran. Vuko zdołał ją zablokować i wbił rozpaczliwe boczne kopnięcie yoko geri keage w krocze Kebiryjczyka. Brudna, niesportowa sztuczka, która jednak dała mu chwilę czasu i przy okazji okazało się, że kopnięcie między nogi istoty humanoidalnej należącej do płci męskiej wywołuje efekt stanowiący stałą na skalę kosmiczną. Spróbował kopnąć Kebiryjczyka w pochyloną twarz, ale ten zdołał się uchylić, aczkolwiek nieco zezowato.

Drakkainen zdecydował się sprowadzić N’Dele do parteru, czego nie znosił, bo był w tym kiepski, a na dodatek przeciwnik sprawiał wrażenie zwinniejszego i miał dłuższe kończyny. Tyle tylko, że to mogła być jedyna szansa, żeby porozmawiać. Zderzył się z nim, skracając dystans, zdołał zablokować krótki morderczy cios zewnętrzną stroną nadgarstka i spróbował rzutu przez biodro, ale N’Dele skontrował zmianą postawy, ich nogi splątały się i obaj runęli na lodowaty, twardy bruk. Ich ręce splotły się jak walczące węże, usiłując znaleźć dostęp do szyi przeciwnika albo pozycję do dźwigni, w końcu Drakkainen zdołał przetoczyć się na bok i na sekundę znalazł się na wierzchu. N’Dele walczył brutalnie, ale w pewnym sensie sportowo. Szkolenie zwiadowcy w zwarciu przewidywało głównie przegryzanie tętnic, wbijanie kciuków w oczy i tchawicę, miażdżenie jąder i tym podobne sztuczki, których nie mógł tu użyć. Wytresowano go do walki o życie, nie do pojedynków.

– Rzuć mną w moich ludzi, N’Dele – wydyszał Vuko. – Muszę im powiedzieć, jaka jest sytuacja. A potem przegraj, udaj omdlenie. Nie pozwolimy zabić twojego człowieka. Odbijemy go.

– Jest w lochu – odpowiedział Kebiryjczyk, usiłując dosięgnąć dłonią do twarzy Drakkainena. – Co zrobisz? Ja nie wiem, jak tam trafić. Zamknięty. Pod strażą.

– To znaczy, że Kungsbjarn będzie musiał tam kogoś posłać. Moi ludzie sobie poradzą. Jeśli go uwięził, to zawsze będzie ci groził, że go zabije. To jego jedyna szansa. Dostałeś rozkaz, żołnierzu.

– *Mosu kando*. Szykuj się, zaraz polecisz.

Ucisk na pierś zelżał, Vuko skorzystał z tego, podgiął nogę i odrzucił N’Dele, a potem wstał i zaatakował go, skacząc na wprost. Kebiryjczyk przechwycił jego ramię i udo, po czym zarzucił sobie na kark jak jagnię. Wyprostował się i obrócił wokół osi, rozglądając po wiwatującej publiczności, co pozwoliło Drakkainenowi obejrzeć tłum i dziedziniec z takiej wysokości, że zyskał pewność popełnienia najgorszego błędu w życiu.

Żegnajcie, było miło, pomyślał i poleciał prosto w tłum.

A potem zastygł.

Jeszcze w powietrzu, które wchłonęło go miękko jak ściana żelu. Na wpół zgęstniałej galarety o zapachu mrozu, własnego potu i krwi. Wbił się

w nie i został tak, z rozrzuconymi ramionami, poziomo, przyjmując wykręconą, idiotyczną pozycję.

Wokół niego wszędzie wisiały płatki śniegu, metr pod nim w nagłej, głuchej ciszy, która spadła jak kurtyna, trwała wybrukowana głowami powierzchnia, inkrustowana wyciągniętymi w górę rękami, przypominającymi powykręcane gałęzie. Głowami o zadartych twarzach, z zastygłymi przeróżnymi grymasami, niczym kolekcja przesadnie ekspresyjnych masek teatru kabuki.

Gapił się na nie przez chwilę i stwierdził, że światło malujące dziedziniec, przedtem rozedrgany blask pochodni i kutych koszy pełnych bierwion, teraz obrośniętych zastygłymi płomieniami jak nieruchome strzępy tkaniny, przesunęło się w stronę ultrafioletu i blask ognia zrobił się zimny i niebieskawy, podobny do płonącego gazu. Za twarzą zwiadowcy ciągnął się ogon drobniutkich kropli potu i pary.

– Może już wystarczy tych samczych popisów? – zauważyła Cyfral, pojawiając się w swój irytujący bajkowy sposób, w sferze migocących diamentów.

Odwrócił głowę i spojrzał na nią z irytacją.

– Daruj sobie te neofeministyczne brednie, bo przysięgam, znajdę tu gdzieś pole magnetyczne, wsadzę tam łeb i cię wykasuję. Co to ma być? I gdzieś ty się podziewała? Wywołałem cię jeszcze przed walką.

– W twojej głowie. Szukałam czegoś, co może się przydać. Zwarłam parę kabli i udało się coś takiego. Zejdź, przestań tam wisieć.

– Zejść? – zdziwił się.

Przemieścił nogi, a potem usiadł w powietrzu. Obróciło go jak w stanie nieważkości. Zamachał ramionami, zwracając stopy ku ziemi, i wylądował lekko na kamieniach.

– Świetnie. I co teraz? Mam odpocząć i napić się czegoś, a potem wrócić? Muszę przekazać swoim informację, dlatego tam leciałem.

– Gdy skręcisz kark, to niewiele im przekażesz. Poza tym jak chcesz się z nimi dogadać w tym zgiełku? Skorzystaj z zawieszenia. Idź i wytłumacz im, czego chcesz. Kiedy czas wróci, powinno do nich dotrzeć, jak przekaz telepatyczny, w jednej pigule.

– Chwileczkę, znowu zatrzymałaś czas? To żart?

– Pewnie, że nie, głupku. Przyspieszyłam twój subiektywny czas. Jak we śnie. Zrobiłam z sekundy jakieś trzydzieści siedem minut.

– Ile potrwa ta stop-klatka? Może po prostu pójdę i załatwię wszystko sam?

– Nie wiem dokładnie. Miałam niewiele pyłu. Ale wiem, że jeśli potrwa za długo, spali ci korę czołową i przysadkę. Bezpiecznie masz jakieś subiektywne trzy minuty.

– Nie było już pyłu – zauważył podejrzliwie Drakkainen. – Trzymasz jakieś zaskórniaki, *pimppi*?

– Nie. Zostało na ubraniu i rękach, gdzie rozmazałeś koncentrat z fiolki, ale tego nie ruszałam. Zawsze masz trochę w płucach i we krwi, a ja zrobiłam ingerencję na poziomie subatomowym. Zwarłam parę synaps i spięłam trochę aksonów. Tak jak wtedy z cieniami. Też niedużo to kosztowało, tylko było skomplikowane. Do operacji na biochemii mózgu pył z krwiobiegu przydaje się najlepiej, bo jest pod ręką.

– Przerażasz mnie. Zdaje się, że rozmawialiśmy już o grzebaniu mi w korze mózgowej?

– Szesnaście promili twojej kory jest sztuczne, hodowlane, a ja jestem systemem operacyjnym tego wszystkiego. Nishima Biotronics, pamiętasz? Ruszaj, czas się kończy. Tylko mów powoli i wyraźnie.

W miejscu, gdzie wisiał przed chwilą, powietrze było zgęstniałe i przypominało galaretę jeszcze bardziej niż wokół. Energia pędu, którą Vuko mu przekazał jako pocisk, nadal w nim tkwiła. Fizyka została oszukana na moment, ale czekała tam, wraz z całą maszynerią wszechświata, gotową ruszyć w dalszą drogę.

Przedarł się przez powietrze do swoich, rozganiając ciałem wiszące w powietrzu śniegowe gwiazdki. Stali tam jak ekspresyjna rzeźba zbiorowa przedstawiająca zaskoczenie, troskę i rozczarowanie. Uchylone usta, rozwarte oczy, ręce uniesione w obawie przed nadlatującym przyjacielem.

– Filar – powiedział głośno i wyraźnie oraz bardzo powoli, prosto w ich zastygłe twarze – Grunaldi i Powój. To ja, Ulf Nitj’sefni, oto mówię do was pieśnią bogów. Słuchajcie uważnie. Kungsbjarn zagroził, że każe zabić przyjaciela N’Dele, którego trzyma w lochu, jeśli przegra. Zaraz go pokonam, a wy musicie uwolnić tego człowieka. Wyjdźcie dyskretnie z tłumu i wypatrzcie posłańca. Idźcie za nim, zneutralizujcie straż i uwolnijcie go. Zabijajcie tylko w ostateczności, ale macie wrócić cali. Jeśli nie będzie innego wyjścia, to trudno. Zabijcie kogo trzeba. Spalle, Skalnik i Głóg. Teraz wy. Zostajecie tutaj. Zaraz wygram walkę. Czekajcie

i przesuńcie się w stronę ludzi Kungsbjarna. Kiedy zrobię coś dziwnego, a zwłaszcza kiedy wykrzyknę: „Ogród!”, rozbrójcie najbliżej stojących i przebijajcie się do mnie. Macie być szybcy jak łasice. Ustawiacie się wokół N’Dele i mnie półdiamentem i chronicie nam plecy. To mówiłem ja, Nitj’sefni. Łubu-dubu.

Wrócił w miejsce, gdzie przed chwilą lewitował w pozycji kopniętego w powietrze króliczka, i rozprostował ramiona.

– Mała, dasz radę powtórzyć ten numer za jakąś minutę? Chociaż na chwilę?

– Muszę to przygotować. Spróbuję. Ale na krócej niż teraz. I tak spodziewaj się epickiej migreny, torsji i omdleń.

– Podkręć mnie czymś na parę godzin. Będziemy uciekać. Muszę być przytomny. Mogę się zregenerować dopiero na drakkarze.

– To cię w końcu zabije, Vuko...

– Taka praca, *pimppi*. Taka praca. Zatrzymaj film, kiedy powiem „stop!”. Muszę się tam kłaść z powrotem na powietrzu?

– Nie musisz. Spróbuję. Teraz przygotuj się, odpalam rzeczywistość. Może zaboleć.

To było jak uderzenie w twarz.

Deską.

Zupełnie jakby ktoś wylał mu na głowę kubeł lodowatego zimna, bólu, wrzasku i smrodu. Skandowanie Ludzi Kruków przebijało głowę niczym rytmiczne ciosy w potylicę.

Powietrze rozpędzone jego ciałem trzasnęło z dźwiękiem otwierającego się spadochronu i zwaliło ludzi zwiadowcy na ziemię, ale Drakkainen stał na dziedzińcu, mimo że mgnienie oka wcześniej szybował nad nim ku nieuchronnemu miażdżącemu upadkowi.

Skandowanie ucichło.

Vuko klasnął w dłonie w osłupiałej ciszy i rozłożył ramiona.

– *Op! Arretéz! Voilà!* Nie róbcie tego w domu.

N’Dele stał pochylony w wykroku, z wciąż uniesionymi rękoma, równie osłupiały jak pozostali.

Vuko doskoczył do gramolących się z ziemi swoich, chwycił jedną ręką za kurtę na piersi Filara, drugą Grunaldiego i obwisł na chwilę, jak omdlały bokser, przyciągając ich do siebie.

– Zrozumieliście wiadomość?!

Obaj potrząsali głowami i mrugali, jakby dopiero się obudzili.

– Zrozumiałem... – wymamrotał Filar.

– Co to „rubudubu”? – zapytał Grunaldi.

– Nieważne. Do roboty!

Puścił ich i chwiejnie wrócił na dziedziniec. Grajkowie podjęli rytm, a nieznośny Kebiryjczyk ponownie zaczął podskakiwać i klaskać.

– Ty to musisz lubić... – westchnął Drakkainen i podniósł gardę. Uchylił się przed wysokim kopnięciem, przeskoczył nad niskim, a potem zrobił ku tamtemu pytający gest ruchem głowy i brwi, zastanawiając się jednocześnie, czy z humanoidem z drugiego końca Galaktyki można porozumiewać się bez słów, samymi grymasami. Kiedy N’Dele dyskretnie skinął, doszedł do wniosku, że jednak można. Najwyraźniej efekty konwergencji ewolucyjnej sięgały głęboko, głębiej niż u Azjatów i Bułgarów.

Zablokował wysokie, akrobatyczne kopnięcie, które obróciło go wokół własnej osi, po czym odpowiedział low kickiem w bok uda i trzasnął N’Dele nagłym prawym sierpowym w nasadę szczęki. W cios ten włożył całą frustrację i zmęczenie.

Kebiryjczyk odskoczył z sennym wyrazem zaskoczenia na twarzy, zrobił kilka kroków godnych lunatyka, nagle ugięły się pod nim kolana i zwalił się jak wieża na dziedziniec. Wyglądało to tak naturalnie, że dyszący Vuko nie był w stanie ocenić, czy rzeczywiście ogłuszył przeciwnika, czy też zostało to tak dobrze zagrane.

Zapadła ponura cisza, grajkowie bębnili jeszcze przez chwilę, ale coraz bardziej niemrawo i niepewnie, a w końcu ucichli i zaczęli się dyskretnie zwijać.

Drakkainen oparł dłonie o uda i trwał tak, czekając, aż uspokoi mu się serce i oddech wróci do normy na tyle, by mógł mówić.

Uniósł twarz i patrzył na otulonego futrem Kungsbjarna Płaczącego Lodem, trwającego z rogiem w pół drogi do ust, na kruczym tronie, który wynieśli mu na dziedziniec, i gapiącego się osłupiałym wzrokiem spod zmarszczonych brwi.

– Walka skończona – zauważył Drakkainen. – Moja rzecz należy do mnie, tak jak powiedziałeś.

– Walka skończona – przyznał Płaczący Lodem. – Teraz muszę to rozważyć jak styrsman. Co jest ważniejsze: obyczaj gościnności wobec

kilku przybłędów, których nikt nie będzie szukał, czy przetrwanie rodu. Czy mam oddać rzecz, która pozwala przejść przez uroczysko i pozostać bezbronnym?

Umilkł. Drakkainen podszedł do N’Dele, poklepał go po twarzy z przeciwnej strony, niż trafił ostatnim ciosem, i wyciągnął ku niemu dłoń. Kebiryjczyk chwycił za nadgarstek i dźwignął się z ziemi. Trzech ludzi zwiadowcy znikło z tłumu, zobaczył, jak przemykają pod krużgankami, zanim wtopili się w cień, pozostali trzej zaczęli przeciskać się między gapiami w jego stronę.

– Bierzemy Kungsbjarna – mruknął Vuko, nadal ściskając Kebiryjczykowi dłoń. – Zaraz będę przy nim. Jak to zobaczysz, doskakuj do mnie, moi ludzie osłonią nam plecy.

Odwrócił się do Płaczącego Lodem, macając językiem wnętrze opuchniętego policzka, i powrócił do pochylonej pozycji, opierając dłonie o uda.

– Prawo jest ważne – oznajmił Kungsbjarn. – Bez prawa bylibyśmy jak zwierzęta, a cały świat ogarnęłaby wieczna wojna wszystkich ze wszystkimi. Jednak klan to coś więcej niż kilku ludzi i ich małe prawa. A nasz klan i tak toczy wojnę.

– Oż ty mendo, kanalio, *pasi kurče* – skomentował Drakkainen. – Cyfral, czas stop!

I nic się nie wydarzyło.

Przez jedną okropną sekundę Płaczący Lodem patrzył na Vuka ze zdziwieniem, a potem jego twarz ściągnęła się gniewem, otworzył usta, by krzyknąć rozkaz, i zastygł tak. Wraz z dźwiękiem, tańczącymi nad dziedzińcem śniegowymi płatkami i całym tłumem.

Cały świat zatrzymał się nieruchomo zalany posiniałym nagle światłem i znowu ruszył.

A potem znowu stanął.

– No, no – powiedział ostrzegawczo Vuko. – Uważaj trochę.

Pomiędzy nim a Kungsbjarnem rozpartym władczo na swoim dziwacznym fotelu na szczęście nie było nikogo. Drakkainen podszedł do niego, ostrożnie, żeby nie zaczepić o niczyją rękę, i stwierdził, że wokół wodza jest w miarę luźno. Nic dziwnego – pojedynek pojedynkiem, ale nikt nie będzie się pchał na styrsmana.

Płaczący Lodem trwał uniesiony lekko w fotelu, z rozwianymi włosami i prawą ręką zatrzymaną poziomo przed brzuchem, w drodze do rękojeści miecza. Vuko bardzo ostrożnie, jakby miał do czynienia z cukrową atrapą, wysunął mu miecz z pochwy i bardzo wolno przemieścił w powietrzu, żeby go nie złamać i nikogo nie zaczepić. Rozejrzał się po przybocznych, którzy zastygli, zwracając się w stronę przedzierających się przez tłum Skalnika, Głoga i Spalle, po czym pstryknięciem palców złamał jednemu głownię wysuniętego do połowy z pochwy miecza, a kilku pozostałym machnął dłonią w stronę ucha, jakby chciał wymierzyć policzek, ale zatrzymał cios pięć centymetrów od głowy, klaszcząc dłonią o zastygłe, galaretowate powietrze. W końcu stanął za wodzem, przykładając mu ostrze do szyi, i nachylił się do jego ucha.

– To ja, przybysz z Wybrzeża. Czyniący. Teraz jestem za tobą i trzymam ci ostrze przy szyi. Jeśli twoi ludzie spróbują nas zabić, poderżnę ci gardło. Każ im natychmiast złożyć broń, przyprowadzić nasze konie i rzeczy. A potem każ dać nam wolną drogę do bramy. Ty idziesz z nami. Jeśli choć zobaczymy z daleka jednego z twoich ludzi, wytrzebimy cię jak tryka.

Odetchnął głęboko ciężkim powietrzem i jeszcze raz rozejrzał się po najbliżej stojących, sprawdzając, czy nic nie uszło jego uwagi.

– Czas start, Cyfral! Ruszaj!

I rzeczywistość zwaliła mu się na kark całym ciężarem, a świat ruszył naprzód.

Powietrze huknęło jak wypełniający się wiatrem żagiel, stojący wokół runęli na ziemię niczym kręgle, krwawiąc z oczu i uszu, inni zwalili się jedni na drugich. Drakkainen sięgnął pod ramieniem Kungsbjarna, chwycił go za utrefioną i nasmarowaną czymś tłustym brodę i odgiął do góry, a potem leciutko poruszył mieczem, żeby zaciąć naskórek i wypuścić trochę krwi. Po prostu lubił być traktowany poważnie.

– Ogród! – wrzasnął. Jego ludzie wyrośli z tłumu, przewracając stojących wokół, N’Dele wyprysnął w czymś w rodzaju trójskoku. Jakiś dryblas z toporem zaszedł mu drogę, Kebiryjczyk runął na ziemię, robiąc nożyce, tamten zwalił się jak zdmuchnięty, a N’Dele wstał i miał już topór w ręku.

Po półtorej sekundy obaj stali przy sterroryzowanym Płaczącym Lodem, a wokół trwali rozstawieni w trójkąt wojownicy w białych, pręgowanych kurtach, przyczajeni, na przygiętych nogach, z wystawionymi ostrzegawczo

dłońmi i uniesionymi do prawego ramienia trzymanymi poziomo mieczami, mierząc sztychem prosto w twarze stojących przybocznych.

– Co ci powiedziałem? – spytał Drakkainen, ponownie lekko poruszając ostrzem do przodu.

– Rzućcie broń! – krzyknął Kungsbjarn. – Wszyscy!

Rozległ się brzęk wielu ciężkich narzędzi z drewna i kutej stali spadających równocześnie na kamienny dziedziniec i Drakkainen uznał, że to jeden z piękniejszych dźwięków, jakie słyszał ostatnio. Nachylił się do zakładnika.

– Co jeszcze?

– Przyprowadźcie ich konie i przynieście rzeczy! – zakrzyknął styrsman. – Niech nikt nie śmie sięgnąć po broń!

– No. A teraz poczekamy.

– Jego druh i tak zginął! – zaskrzeczał Płaczący Lodem i stęknął mimowolnie, kiedy szczerbate ostrze przesunęło się kawałek tam i z powrotem. Krew potoczyła się szkarłatnymi wężykami po jego szyi, ale to nie był wielki krwotok. Skóra została przecięta na dwa milimetry na odcinku jakiegoś półtora centymetra. Za to bolało.

– Robisz tylko to, na co pozwolę – wysyczał Drakkainen. – Teraz masz milczeć i oddychać. Nic więcej.

Ludzie Kruki trwali wokół nich murem, bladzi i roztrzęsieni z wściekłości, ale spoglądali tylko niepewnie i nikt nic nie robił. Najwyraźniej nie spotkali się dotąd z taką sytuacją. Kilku jednak wykrzesało z siebie inicjatywę i poszło po konie.

– Spalle, widać gdzieś Grunaldiego, Powoja i Filara?! – zawołał.

– Njegatijf! – odkrzyknął tamten służbiście.

– A po ludzku?

– Nie widzę!

Drakkainen czuł, że Kungsbjarn dygocze pod jego ramieniem, próbuje przełknąć ślinę tak, żeby nie poruszyć grdyką, i zobaczył, że tamten przewraca oczami jak koń, usiłując dojrzeć własny przecięty bok szyi, co z zadartym podbródkiem nie było takie łatwe.

Tłum zaczynał szemrać złowrogo. Taki pat nie mógł trwać za długo.

– Mają zniknąć z dziedzińca i z całej drogi do głównej bramy. Do środka, natychmiast! – tchnął Krukowi do ucha. – Wszyscy prócz tych, którzy prowadzą nasze konie.

– Wszyscy precz z dziedzińca! Dajcie im drogę do bramy! Nikogo ma tam nie być! Tutaj tylko ci z końmi i rzeczami!

– Słyszycie styrsmana – zawołał ktoś. – Robić, co mówi!

– Rozsądny się pojawił – skomentował Vuko. – Jest jeszcze dla was nadzieja.

Tłum zrzedniał i zaczął się wycofywać, sarkając półgłosem. Podchodzili ostrożnie do różnych wierzei, widać było, że czają się na krużgankach i tkwią przy oknach, ale na to nie można było nic poradzić. Na przyprószonym śniegiem dziedzińcu zostało tylko kilka nieruchomych ciał, porzucone miecze i łopocący ogień w kutych koszach.

Czekali.

W górze wciąż krakały kruki.

Po kilku szarpiących nerwy minutach rozległ się kamienny, dźwięczny stukot kopyt i nadeszli ponurzy woje prowadzący konie Nocnych Wędrowców, niosący sakwy i zawiniątko z bronią.

– Położyć wszystko na ziemi i cofnąć się! Puścić konie! – zawołał twardo Drakkainen. – Przyprowadzić trzy dodatkowe osiodłane wierzchowce, tylko migiem. Chcesz coś dodać, misiu? – Nachylił się do zakładnika i lekko nacisnął ostrze.

– Róbcie, co mówi!

– Spalle, sprawdź, czy nic nie brakuje.

Spalle opuścił miecz i przyklęknął przy stercie bagaży.

– Chyba wszystko!

– Jeden pakiet z opatrunkiem i krótką linkę do pętania, biegiem! Szykować konie, sarkofag między dwa wierzchowce. Ponaciągaj i naładuj arbalety. Głóg, pomóż mu, N’Dele, do szyku, zamknij trójkąt, jeśli mogę prosić.

– Stój, kto idzie?! – wrzasnął Głóg, unosząc naciągniętą i właśnie naładowaną arbaletę.

– Ogień i Drzewo, dudku! – wrzasnął Grunaldi, chowając się z powrotem za drzwiami.

– Wszyscy cali?! Macie więźnia?! – krzyknął Drakkainen.

– Powój cięty w nogę. Może chodzić, tylko kuśtyka. Więzień jest.

Wyszli na dziedziniec, Grunaldi w lekko wgniecionym i przekrzywionym nie swoim hełmie szedł przodem, z tyłu szedł brodaty, wysoki rudzielec w skórzanej czapeczce, a na końcu Powój podskakujący

na jednej nodze, z drugą przewiązaną przesiąkniętymi szarpiami oddartymi od czyjejś koszuli, ciężko wsparty na ramieniu Filara, obaj ze zdobycznymi mieczami w ręku.

– Nawet nie od razu się zorientował, że za nim idziemy – tłumaczył Grunaldi. – Tych dwóch przy pierwszych drzwiach do piwnicy wystarczyło ogłuszyć i poprosić, żeby nas dalej poprowadził. Dopiero na dole spotkaliśmy jakichś strasznie nieuprzejmych, których trzeba było pozabijać. Kata, niestety, też.

– Dobra. Spalle, opatrz Powoja. Fyalar i Głóg, pozbierajcie te bezpańskie miecze i do studni. Zbierajcie sprzęt i wynosimy się.

Czterech posępnych wojów pojawiło się ponownie, prowadząc osiodłane dodatkowe wierzchowce.

– Dobra, Grunaldi, sprawdź te konie, czy nie dali jakichś ochwaconych. Jeśli tak, wasz styrsman zapłaci za to uchem.

– Mogą być. Na targu bym nie kupił, ale kawałek pojadą.

– A może mogliby skoczyć do komory gościnnej nad stajnią po nasze worki? – zauważył facet z lochu. – Miałem tam ulubioną kościaną wykałaczkę.

– Niestety – powiedział Drakkainen. – W Ogrodzie kupisz sobie inną.

– Nasze rzeczy są tu, za drzwiami. – N’Dele wskazał pomieszczenie, z którego wyszedł. – Przynajmniej to, co najważniejsze.

Drakkainen wepchnął przedramię głębiej pod brodę Kungsbjarna i zmusił go do uniesienia się z krzesła.

– No, jazda, wstajemy, misiu. Ręce do przodu. Spalle, wiąż. W nadgarstkach i kciuki. Wychodzimy. Szyk ubezpieczony pieszy, konie na zewnątrz, wywiesić tarcze na bokach. Sarkofag i ja z zakładnikiem w środku. Filar, Głóg i Skalnik, arbalety. N’Dele i facet od wykałaczki, straż tylna. Spalle, pokaż im, jak wygląda szyk ubezpieczony. Macie już swoje worki? Do bramy, prowadzisz, misiu, najkrótszą drogą i żadnych żartów po drodze, bo wyrżnę ci klejnoty, a potem spalę ten wychodek. Jestem Czyniącym. Pieśniarzem. A teraz wkurzonym Pieśniarzem. Wbij sobie do utrefionego łba, że nie tylko cię zarżnę, ale nie zostawię tu nawet dwóch desek na krzyż. Tylko podskocz.

Pod bramą było pusto. Jedynie kwadratowy dziedziniec pomiędzy budynkami z ciosanego kamienia, płonąca maźnica na łańcuchach i zamknięta na głucho krata, a dalej podniesiony most, zasłaniający

przejście. I krakanie cierpiących na bezsenność kruków, miotających się po zimowym niebie.

Drakkainen szarpnął Kungsbjarna do siebie i zrobił mu następną płytką szramę pod tamtą. Płaczący Lodem zaskowyczał krótko. Dygotał jak w febrze.

– Zaczynam się naprawdę wkurzać, misiu – warknął zwiadowca. – Brama ma być otwarta. Już.

– Otworzyć bramę! Dajcie im drogę! – wydarł się styrsman Kruków, aż poszło echo po dziedzińcu, a ptaki na chwilę umilkły.

Nic nie nastąpiło. Tylko gdzieś z tyłu Vuko usłyszał cichutkie skrzypienie, jakie wydaje mechanizm oparty o sprężynujące, skręcone włókna i napięty kawał elastycznej stali.

– Cyfral, czas stop!

Tym razem śniegowe płatki zamarły od razu, zapadła cisza, a kruki zastygły jak czarne kleksy, ciemniejsze od nocnego nieba.

Drakkainen przesmyknął się na zewnątrz szyku, ostrożnie, żeby niczego ani nikogo nie dotknąć.

– Vuko, wykończysz się – odezwała się Cyfral.

– Nie przeszkadzaj, *pimppi*, teraz pracuję.

Wszedł pod krużganek, mijając kilku ludzi zaczajonych z łukami pod osłoną drewnianych kolumn, i wszedł po schodach, stromych jak drabina, na piętro. Z tyłu, na krużganku na wprost bramy, zobaczył dwóch strzelców z arbaletami, dużo bardziej prymitywnymi niż jego własne, naciąganymi nogą za pomocą strzemienia, a nie integralnym, trójchodowym, składanym lewarem i pewnie słabsze, lecz nadal piekielnie niebezpieczne.

Cięciwy, najpierw jedna, potem druga, ustąpiły pod ostrzem noża jak papierowy sznurek pakowy, ale nie zdążyły się odkształcić, tylko trwały jak przerwane druty. Potem tym samym krużgankiem Vuko pobiegł jeszcze pod bramę i kolejną drabiną wszedł na górę, do pomieszczenia, w którym tkwiły urządzenia sterujące kratą i mostem. Przez kilka bezcennych sekund podziwiał mechanizm złożony z drewnianych przekładni zębatych, kamiennych przeciwwag na łańcuchach i kół zapadkowych, usiłując rozwikłać algorytm działania, a potem zdjął ze ściany w zbrojowni rezerwowy topór, wyrywając przy tym haki, i przerąbał dwa łańcuchy oraz urwał dwie zapadki. Wszystko, czego dotknął, metal i drewno, zachowywało się jak wytwory cukiernicze. Atrapy z bezy i karmelu. Na

koniec zlokalizował jeszcze jednego typa z jakimś podejrzanym żelaznym kotłem oraz włócznią, czatującego nad otworem w stropie korytarza wieży bramnej, i delikatnie wysunął mu szalik, którego koniec, w spowolnionym czasie rozłażący się w palcach niczym pajęcza przędza, wplótł w zęby jednego z kół. Potem wrócił na dziedziniec, rozdzielając przyczajonym ludziom serię ciosów otwartą dłonią, zatrzymywanych przed ich ciałami.

A potem stanął w szyku i uniósł dłonie do ust.

– Słuchajcie mnie, Kruki! Jestem Ulf Nitj’sefni! Nocny Wędrowiec. Czyniący. Nigdy więcej nie wchodźcie mi w drogę, bo was zgładzę! Co do ostatniego dziecka! Nikt więcej nie usłyszy o Ludziach Krukach! Wiosną ma nadejść wielka wojna z Wężami i ich szalonym królem Aakenem, która może zniszczyć świat. Zamierzam go powstrzymać, więc nie próbujcie wchodzić mi w drogę!

Odetchnął głęboko.

– Dobra, mała. Czas start!

Śnieg ruszył, kruki rozdarły się, a na krużganku z tyłu rozległ się trzask pękających cięciw. Kusze dosłownie eksplodowały strzelcom w rękach, jeden padł na wznak, z twarzą rozchlastaną pękniętą struną, drugiego wyrwany z osady fragment mechanizmu spustowego trafił prosto w usta, krusząc zęby i wbijając się głęboko w szczękę. Kilkunastu zaczajonych ludzi równocześnie zwaliło się bezwładnie na krużgankach wokół całego dziedzińca od niewidzialnych miażdżących ciosów rozpędzonego i nagle twardego jak żelazo powietrza, które rozrywało im bębenki uszne i wysadzało oczy.

Stojący w otoczeniu swoich ludzi, za murem z koni Ulf uniósł władczo rękę. Wewnątrz wieży bramnej rozległ się szczęk łańcuchów, kamienne przeciwwagi runęły z hukiem w dół, ogniwa zaturkotały w kluzach. Krata pojechała do góry i zakleszczyła się krzywo, a most osunął się z łoskotem, nakrywając zapadlisko.

Kiedy przechodzili korytarzem, gdzieś z góry słychać było charkot i spazmatyczne bębnienie nóg o podłogę, które ucichło, gdy wyjechali na zewnątrz.

Było ciemno i mroźno, padał drobny śnieg.

Szlak stał przed nimi otworem.

Galopowali w ciemnościach, jedynie w świetle dwóch sinych satelitów, pierwszego w pełni, drugiego w drugiej kwadrze, niczym przelatujące po śniegu księżycowe cienie. Kamienny szlak, most, las, zaśnieżona polana wciąż zasłana zrujnowanymi resztkami obozu, plamy krwi, czarne jak smoła, rozwłóczone, obżarte do kości ciała zamordowanych, potem znów las, długa, zaśnieżona dolina, kolejne drzewa... Szlak sunął jak film puszczony od tyłu. Nie za szybko, żeby nie zmordować wierzchowców i nie wywracać się na wykrotach, ale jednak szybko.

Drakkainen obijał się w głębokim siodle, usiłując nie zemdleć i nie spaść. Wszystko go bolało. Trzymał się tylko kurczowo łęku i galopował przed siebie. W lesie kładł się niemal na szyi Jadrana, żeby uniknąć wyciągających się po niego drapieżnie ośnieżonych konarów.

Jedynym pocieszeniem było to, że Kungsbjarn, jadący z workiem na głowie i trzymający się kurczowo łęku związanymi dłońmi, obijał się jeszcze bardziej, telepiąc się w siodle niczym pajacyk.

Konie prychały parą jak smoki, śnieg eksplodował pod kopytami i tłumił tętent.

Jechali. Drakkainen czuł, że głowa podryguje mu bezwładnie na karku, pękają mięśnie łydek ściskające boki konia, a za każdym wzgórzem pokazywało się drugie i za każdym leśnym traktem otwierała się kolejna kotlina i następny las.

Kiedy zatrzymali się na krótki odpoczynek, upadł najpierw na łęk i tkwił tak, zwisając bezwładnie, a potem wyjął stopy ze strzemion, przełożył nogę przez koński grzbiet i zwalił się w śnieg jak worek.

– Vuko...? Vuko! – krzyczała Cyfral.

– Ulf...? Ulf! – zagłuszał ją Filar.

– Co z nim? – wołał Grunaldi.

Głosy mieszały się z coraz gęstszymi płatkami śniegu i napływającym zewsząd białym szumem. Uchylił powieki i zobaczył przenikające się twarze i nałożoną na nie rozdwojoną sylwetkę roztrzepotanej wróżki. Zamknął ponownie oczy. Za opuszczonymi powiekami, wewnątrz jego głowy, było ciemno, sucho, ciepło i spokojnie.

Ocknął się ponownie, tonąc w ostro-słodkim, korzennym, lodowatym napoju. Zakrztusił się i prychnął nim, a potem zdołał przełknąć kilka łyków, przetoczył się na bok i zwymiotował. Trwał przez chwilę na czworakach, z kolanami i dłońmi wbitymi w śnieg, po czym zagarnął garść i przemył

twarz. A potem ukląkł i następną garść przycisnął do czoła. Siedział tak przez jakiś czas, nie poruszając się, tylko lodowa kasza w dłoniach topniała mu powoli.

– Cyfral, uwolnij mi jakieś endorfiny, musimy jechać dalej.

– Co on gada...?

– Po swojemu. Jakieś modlitwy albo zaklęcia. U niego to normalne.

– No nie wiem... Mój wujek też tak robił, ale on dostał obuchem przez łeb. I długo nie pociągnął.

– Vuko... Nie możesz się tak przeciążać...

– Muszę, Cyfral – wychrypiał. – *Piczku materinu*, przecież nas tu wybiją, jeśli się nie ruszymy.

Przetarł twarz śniegiem i dźwignął się ciężko na nogi. Prawie czuł w głowie, jak w przysadce mózgowej skrzypią jakieś zawory i kojące hormony zaczynają się sączyć do krwiobiegu, jak syczy krew, kiedy się z nimi miesza, i jak buchają parą ośrodki bólu w korze, kiedy omywa je niosący ulgę strumień.

Splunął gęstą śliną w śnieg, chwycił łęk siodła i uniósł nogę, usiłując wepchnąć czubek buta w strzemię.

Jechali.

Było trochę lepiej, zwolnili też tempo. Nadal kiwał się w siodle, ale przynajmniej widział, gdzie jedzie. W jego głowie wciąż huczał pożar lasu, ale nie była to już zatrzymana w czasie eksplozja nuklearna.

Resztę pamiętam jak sen. Jak malignę i gorączkowe majaki.

Kępy krzaków i trzcinowisko majaczące w ciemności, lśniącą autostradę rzeki, przysypaną warstwą migocącego niczym hałdy diamentowego pyłu śniegu. Tym razem nie dają mi zsiąść, tylko ściągają z końskiego grzbietu. Wiele rąk czepia się za fałdy ubrania i pas, zdejmują mnie na ziemię, przytrzymują jak w sztok pijanego.

Protestuję słabo, ale słyszę własny pijacki bełkot i daję spokój. Ktoś rozkulbacza Jadrana, nakrywa go derką i oprowadza po lodzie wraz z innymi końmi, widzę, że trzech kuszników rozstawia się wokół grupy w trójkąt i mierzy bełtami w mrok przetykany śniegiem.

Rozścielają mi kawałek futra, a potem sadzają troskliwie, jak niedołężną babcię, opierając plecami o siodło. Jakbym był ze szkła i mógł się w każdej

chwili potłuc.

Grunaldi kieruje się prosto w zwartą ścianę wyschłych trzcin, bambusów, czy jak to się tutaj nazywa, sterczących z lodu i zwieńczonych połamanymi wachlarzami zeschłych kwiatów. Widzę jego plecy, kiedy odsuwa starannie uplecione snopki stojące na lodzie, maskujące wycięte w trzcinach przejście. Nie mam pojęcia, jak mógł wypatrzyć je w równym płocie milionów łodyg, nieróżniących się od siebie, stojących równym szpalerem. Potem prowadzą mnie korytarzem między ścianami traw aż do wyciętej okrągłej polanki, na której osłonięte kolejnymi snopami stoją jedne prowizorycznie naprawione sanie, te same, które złamały się na zboczu podczas bitwy. Znajdują worki z podstawowym sprzętem biwakowym, rozciągają zesztywniałą od mrozu tkaninę, stawiając namiot, ktoś szczęka włożonymi w siebie kociołkami. Potem słyszę cichy zgrzyt krzesiwa, walce lodowego paliwa syczą dyskretnie i obrastają błękitnymi płomykami.

Siedzimy przy saniach, wokół błękitnego ognia, w kociołkach coś bulgoce i paruje, burobiała napięta płachta namiotu wznosi się nad nami, słyszę, jak z cichym szelestem przesypuje się po niej drobny śnieg.

Ktoś wkłada mi do ręki metalowy, głęboki kubek z wetkniętą łyżką, który paruje ziołami, rozgotowanymi warzywami i mięsnym wywarem. Rozgarniam jednak warstwę naciętych trzcin, na której leżę, i stawiam go na chwilę na żywym lodzie, żeby zawartość trochę przestygła.

W migotliwym blasku walcowatego kawałka płonącego paliwa widzę Powoja opartego o siodło jak ja, z bladą, ściągniętą bólem twarzą, Głóg rozchyla mu rozciętą na udzie nogawkę i zmienia opatrunek.

Czuję, że opuchlizny na mojej twarzy pulsują tępym bólem, wargi i policzek protestują, kiedy zupa ścieka z łyżki i atakuje zmiażdżone tkanki, pokarm przedziera się przez gardło, a kiedy przełykam, protestują obite żebra, dźgając mnie ostrym bólem, jakby tkwił we mnie pęk strzał. Potem polewka sadowi się ciepło w żołądku i dopiero tam przynosi ulgę.

Wypijam resztkę prosto z kubka, przełykając boleśnie papkowate warzywa i rozgotowane na włókna mięso oraz galaretowate kawałki tłuszczu, a potem czekam, aż przestanie boleć.

– *Perkele*, *piczku materinu*, czekolada... – mamroczę. – Kawałek czekolady...

Kungsbjarn siedzi ponuro na snopie trzcin, siorbiąc z kubka trzymanego związanymi dłońmi, co chwila krzywi się i przechyla głowę, usiłując dosięgnąć pokaleczoną szyją futra na ramieniu.

A potem czołgam się do swojej torby i grzebię wśród ciasno spakowanych przedmiotów. Pojemniki, zawiniątka, skórzane kabury...

Rzecz jasna, nie szukam czekolady, bo jej nie mam.

Nie mam i wiem o tym. Nawet się nie łudzę.

Jak ślepy robak macam jeszcze przy siodle, aż ktoś szlachetnie wręcza mi moje sakwy. Kiedy pełznę z powrotem do mdłego, pełgającego na metalowej podstawce ognia, dzierżąc już piersiówkę ze śliwowicą, kapciuch, fajkę oraz rozpuszczalną tabletkę kompleksu regeneracyjnego i drugą przeciwbólową, słyszę, jak ktoś orzeka:

– Będzie żył.

Potem przysypiam z wygasłą fajką w ręku i czuję, że znowu mnie wloką, szarpią i prowadzą. Jacyś nieznośni ludzie, którzy nie dadzą człowiekowi ani chwili spokoju. Wpychają mnie na skrzynię sań, gdzie leży już Powój z nowym opatrunkiem na nodze, owinięty w futrzany śpiwór. Naciągają na mnie kosmaty, ciężki wór, a ja nie mam siły protestować. Spadam na dno czarnej, cichej i suchej studni.

Budzę się szarym, mglistym popołudniem wśród padającego wciąż śniegu, słysząc stukot kopyt i ciągły dyskretny świst wydawany przez oklejone futrem płozy sunące po zamarzniętej rzece. Leżę na saniach, za mną siedzi okutany śpiworem Powój, oparty o burtę, i żuje kawałek suszonego mięsa.

Powożący saniami mężczyzna nie ma maskującej kurty moich ludzi, którzy sami zaczęli się już nazywać Nitj’sefnaar, Nocni Wędrowcy, bez względu na to, czy pochodzą z Ludzi Ognia, czy są Braćmi Drzewa. Ten nosi płaszcz z burego futra i taką samą kapuzę. Odwraca się do mnie przez ramię i powiada:

– Zwę się Njorvin. Uratowaliście mi życie. N’Dele mówi, że idzie z wami, w takim razie ja też. Ktoś się musi nim opiekować, przecież jest jak dziecko. Dzięki temu człowiekowi zarobiłem sporo pieniędzy i dlatego kocham go jak brata. A skoro jesteś tu styrsmanem i jeszcze nie umarłeś, chcę cię zapytać, co zrobimy z tym Kungsbjarnem, który jedzie tam w worku na głowie. Tak się złożyło, że mam do niego własną sprawę i chciałbym go zabić. Proszę tylko, żeby dano mu miecz, nie jestem

bowiem takim tchórzem jak on, który najchętniej szlachtuje związanych ludzi.

Siadam, nie rozsznurowując futrzanego śpiwora, i czuję, jaki jestem słaby. Uniesienie ciała na tyle, by oprzeć się o burtę sań, jest takim wysiłkiem, że omal upadam z powrotem. Przechodzi mi przez głowę, żeby poprosić Powoja o coś do picia, ale wiem, że poda lodowate gryfie mleko, i żołądek podchodzi mi do gardła. Napiłbym się czegoś, ale najchętniej gorącej herbaty. Albo kakao. Albo jeszcze lepiej czekolady, firmy Kraš. Parującej, gęstej i aromatycznej.

Zamiast tego przełykam tylko ślinę.

– Wybacz, Njorvinie, ale to chyba będzie musiało poczekać. Zabicie tego całego Płaczącego Lodem sprowadzi na nas tylko kłopoty, a będziemy musieli jeszcze pojawiać się w tej okolicy. Jeśli spróbuje uciekać albo rozrabiać, wtedy możesz go zabić, ale nie wcześniej. Nadchodzą ciężkie czasy. Wojna bogów zamieni się teraz w wojnę Pieśniarzy i podejdzie pod nasze domy. Rozumiem, że chcesz się zemścić, lecz zrób to na wiecu, pod okiem prawomówcy. Potem.

– Słyszałem, co powiedziałeś – odpowiada. – I jest mi teraz przykro. Nie tylko nie oddał mi tego, co przegrał, ale jeszcze zamknął mnie w lochu i zagroził, że zabije, jeśli N’Dele nie będzie walczył dla niego zupełnie za darmo. To najgorsza podłość, jaka przychodzi mi do głowy. I jeszcze powiem ci, cudzoziemcze, że wielu się ucieszy tam, w Kruczym Dworze, jeśli ich styrsman nie wróci do domu. Kto wie czy nie zyskałbyś tam więcej przyjaciół, gdybyś pozwolił mi go zabić, niż puszczając tego kundla wolno.

– Porwaliśmy go tylko dlatego, żeby wyciągnąć cię z lochu – przypominam mu. – I trochę jeszcze po to, żeby wypuścili nas z zamku. Nie musimy go zabijać, a teraz jest taki czas, że warto myśleć o tym, co musi być zrobione, a nie co chcielibyśmy robić.

Kręci głową i strzepuje lejcami, poganiając konie. Patrzę na przesuwające się brzegi rzeki obrośnięte lasem trzcin i jeźdźców wokół, obstawiających sanie. Opatulam się staranniej śpiworem i naciągam kaptur na głowę, a potem nabijam fajkę. Głowa boli mnie znacznie mniej, tylko jestem słaby. I wciąż w głębi mojej duszy mieszka straszliwy, czarny strach przed tym, co zastanę na statku. Chodzi o wyraz twarzy Osta albo Warfnira, czy ktokolwiek wyjdzie mnie powitać. O jego oczy i znaczące milczenie, jeszcze zanim zadam pytanie.

Patrzę na góry zmieniające się pomału we wzgórza i czasem zdaje mi się, że czuję słony wiatr znad zamarzniętej zatoki, ale panuje tylko mróz. Siedzę tak niezbyt długo i powieki zaczynają mi ciążyć. Korzystam z taryfy ulgowej, osuwam się pomiędzy trzcinowe snopki oraz warstwę futer i odpuszczam.

Naprawdę nie muszę robić wszystkiego sam. Szyk jeźdźców ustawiono prawidłowo, broń mają w pogotowiu, nawet jeśli ktoś nas zaczepi, będą wiedzieli, co mają robić, a ja i tak nie nadaję się do niczego. Odpuszczam.

We śnie nie muszę się zastanawiać, czy Sylfana żyje. Nie muszę mieć przed oczami tego, co będzie na mnie czekało na pokładzie.

Owijam się w futra, układam wokół siebie kokon jak poczwarka i rozluźniam mięśnie. Mam ochotę płakać albo się modlić, ale mam wrażenie, że mój Bóg został po drugiej stronie Galaktyki. Jestem tak daleko od domu, że trudno mi uwierzyć, że w ogóle miałem jakiś inny dom. Że istnieje cokolwiek poza tą białą rzeczną drogą, zimą, stłumionym kląskaniem kopyt i świstem płóz. Inny świat poza tym składającym się z kutego żelaza i krwi wydaje się tylko wątpliwą hipotezą.

Znów zapadam w suchą ciemność. Takie letargi nie są normalne, wywołuje je Cyfral. Ja tonę w nieświadomości, a gdzieś głęboko w mojej głowie maleńka wróżka trzepoce skrzydełkami, wędruje wzdłuż pęków pozrywanych kabli, wymienia bezpieczniki, bocznikuje przepalone końcówki, klepie powyginane blachy i nituje rozdarcia. Jestem jak okręt po bitwie i ciężkim sztormie, desperacko naprawiany przez załogę na pełnym morzu.

Płynę w ciszy, wśród czarnego, pluszowego morza, i tylko od czasu do czasu jakiś nieostrożnie muśnięty splot aksonów eksploduje nagle jak raca wspomnieniem z dzieciństwa, ze wszystkimi dźwiękami, zapachami i emocjami, i nie zawsze są to miłe wspomnienia. A potem wspomnienie znika, jak zmieniony kanał, i ponownie zapadam w głuchy spokój.

A w tle Cyfral znów łączy pozrywane kable, dalej mozolnie przeprowadza defragmentację mojej kory, partycja po partycji, zmiatając pod dywan uszkodzone sektory pamięci.

Znowu wybucha raca i nagle stoję na dnie doliny Żarłocznej Góry, widzę nienormalnie regularny, geometryczny graniastosłup piramidy ginący we mgle, oddycham mroźnym powietrzem o zgniłym zapachu siarczanych wyziewów i jakichś podejrzanych węglowodorów, czuję pod podeszwami

nierówny, gruby piarg i czaję się z dłonią na oplecionej taśmą rękojeści miecza. Słyszę świst kostek zjazdowych na linach, moi ludzie spływają jeden za drugim ze skalnej ściany i suną kocim, bezgłośnym krokiem od jednej skały do drugiej, ustawiając szyk.

Wokół nas kłębi się mgła pełna szeptów, spojrzeń i ruchu widzianego tylko kątem oka. Wzrok porządkuje przypadkowe fraktale wysnute z oparu i maluje w nich złowrogie twarze, wyciągnięte szpony i czające się sylwetki, uosobione fragmenty widzialnego chaosu o kształtach bestii.

Ignorujemy to i idziemy naprzód. Gotowi, skoncentrowani, niebezpieczni. Cały oddział jest jak napięta sprężyna. Szkoliliśmy się.

Najpierw ja, mozolnie, dogłębnie i ze wszelkim możliwym wspomaganiem w tajnym ośrodku treningowym w Darkmoor oraz na poligonie Costa Verde. A potem przekazałem to, co umiałem, reszcie. Dlatego ignorujemy szepty, twarze, lśniące w nocy ślepia, kły i kolce.

Wiemy, że w ciemnościach i idąc mroczną doliną, to nas należy się bać. To my tu jesteśmy najgorszymi sukinsynami.

To się wydarza w jednej chwili, kiedy przekraczamy niewidzialną granicę. Jeden krok za daleko w kierunku majaczącej we mgle piramidy. Opar gęstnieje, dostaje kolców, a potem pojawiają się w niej galaretowate, zimne, ruchliwe paluchy, które wnikają w sam środek mózgu. Czuję ich dotyk prosto w zakręcie czołowym dolnym, w ośrodku Broki, czuję, jak prześlizgują się pomiędzy zwojami substancji szarej, jak wdzierają się do ośrodków pamięci autobiograficznej. I wszystko znika.

Nie ma już doliny.

Jest jawa. Przebudzenie. Nie można niczego pomylić z doświadczeniem znalezienia się na jawie.

Jawa to okrągła sala wyłożona imitacją drewna, jak pudełko, widownia z kręgami pulpitów i siedzisk, i w dole scena, na której znajduje się półokrągły stół, mżący płaszczyznami hologramów. Ludzie za podkową stołu, spowici w ciemne lamowane kapy, mają nijakie, blade twarze przypominające maski.

Widownia jest pusta, a ja patrzę na scenę przez grube ściany przejrzystej klatki, podobnej do akwarium, wokół której lewitują dyskowate i kuliste drony, najeżone obiektywami skanerów i oklejone barwnymi logotypami infostron telnetu. Cały rój pasożytniczych owadów, które chciwie wysysają mi duszę.

Jawa to szorstki kombinezon o ostrzegawczej barwie tartej marchewki, chitynowy kubeczek z wodą na maleńkim pulpicie i zimny dotyk neurokajdanek. Pole jest dezaktywowane, mogę ruszać rękami, zostały tylko kanarkowożółte bransoletki opinające moje nadgarstki.

Przed siedzącym w milczeniu prezydium, pod granatową kurtyną z wieńcem gwiazdek, stoi holograficzny gigant spowity w czarną kapę, przybierając oratorską pozę. Gładka twarz bez wyrazu, wieku i płci, o rysach stanowiących uosobienie biurokracji.

– Tu nawet nie chodzi o przepisy, o tę podstawę naszej kultury, porządku i człowieczeństwa – głos dobiegający z głośników jest jak grzmot piorunów, jak klątwa rzucona z gardła rozjuszonego prehistorycznego boga. – O pogwałconą brutalnie świętą zasadę omnipotencji państwa. Nie chodzi o procedury i złamanie zasad nadzoru i kontroli. Chodzi o najcięższe zbrodnie skierowane przeciwko ludzkości. Wysoka komisjo, to my dopuściliśmy się tej zbrodni. My, ludzkość. Kierując się źle pojętym humanitaryzmem, troską o zaledwie kilka jednostek, wysłaliśmy do obcego świata obdarzonego niewiarygodnym cudem, kulturą istot rozumnych, misję ratunkową. Takie było założenie. W rzeczywistości posłaliśmy tam to, co nasza kultura ma najgorszego: prawopółkulową bestię. Mordercę. Psychopatę, który w swoim krwawym marszu przez świat niewinnych istot dopuścił się długiej serii brutalnych aktów mordu. Misja ratunkowa? Ten osobnik przemierzył dziewiczy świat, siejąc przemoc i śmierć. Dotąd zbrodnią przeciwko ludzkości były masowe zabójstwa dokonane na naszym własnym gatunku. Teraz jednak dzięki oskarżonemu my jako ludzkość dokonaliśmy ponurego historycznego zwrotu. Ten osobnik przekroczył barierę międzygatunkową niczym śmiercionośny wirus. Ledwo zyskaliśmy pewność, że ludzkość jest pojęciem obejmującym nie tylko nas, ale także istoty odmienne gatunkowo, obdarowaliśmy ich zbrodnią. To, co plugawiło dotąd nasz ułomny gatunek, teraz zaatakowało kolejny. Oto, wysoka komisjo, po raz pierwszy w historii mamy ponury obowiązek osądzić odrażający przypadek ksenocydu. Mordu, który zakaził kosmos.

W tle rozwija się kolejne holo, wielkie jak w multipleksie, rozpada na kolejne obrazy, na których widać wywijającą mieczem, obleczoną w skóry, wyjącą bestię. I krzyczących ludzi, bryzgi krwi, agonalne drgawki. Pikselowaty, trzęsący się obraz przedstawiający leżące na ziemi powykręcane trupy. Mętne oczy, wyszczerzone zęby, muchy chodzące po

policzkach. Trupy porąbane brutalnymi cięciami, złomki kości sterczące z rozwartych ciał, dziką twarz mordercy obryzganą cudzą krwią.

Moją twarz.

Jawa zaczyna migać niczym stroboskopowy obraz, a potem powraca.

Prześwitujący cień prokuratora zyskuje ostrość, przestaje być szklistym, holograficznym widmem i rusza w moją stronę, z każdym krokiem nabiera ostrości i widzę, że to van Dyken. Ze swoim nawiedzonym pociągłym obliczem i rozrzuconymi ciemnymi włosami. W ręku ma miecz, którym wskazuje na szklaną bańkę, gdzie siedzę.

Mój miecz.

– Twierdzę, i jak dowodzą badania społeczne, mówię w imieniu całej postępowej części populacji, że nigdy jeszcze ludzkość nie wydała gorszego zbrodniarza, mimo że wlecze za sobą długi korowód męskich potworów. I nigdy, choćbyśmy obradowali miesiącami, nie znajdziemy adekwatnej kary, która mogłaby zawierać choć pozór sprawiedliwości. Możemy jedynie spełnić żądanie uczestników naszej infolinii. Niech zatańczy z ogniem!

– Niech zatańczy z ogniem! – skanduje tłum na Picadilly Circus.

– Niech zatańczy z ogniem! – krzyczą na Syntagma Square.

Wielkie holo zaczyna migać kolejnymi obrazami krzyczących głów, lasem wzniesionych pięści, płonącymi kukłami z naklejoną na szmaciane łebki moją podobizną.

– Niech zatańczy z ogniem!

Central Park. Pola Elizejskie. Plac Czerwony, plac Niebiańskiego Spokoju, stadion Hajduk Split. Colosseum. Unter den Linden.

– Niech zatańczy z ogniem!

Pole aktywuje się, przenika wibracjami mój kręgosłup, przyszpilając mnie do fotela, który prostuje się, staje się pionową deską, podłokietniki rozsuwają się na boki, przysysając bransolety. Fotel rozciąga mnie i wstaję razem z nim do pionu. Sala otwiera się od góry, ukazując błękitne niebo, a mój pal męczarni strzela wysoko, sunąc jak winda przez kondygnacje budynku aż na dach. Na rozległe lotnisko dla grawipterów, gdzie wieje wiatr i otwiera się lazurowa hemisfera nieba.

Gdzie czekają moi rodzice, klęcząc z ostrzami mieczy na szyi, skuci topornymi okowami kowalskiej roboty, otoczeni wojami z żelazem w ręku, w hełmach z okularowymi nosalami.

I Deirdre Mulligan z wielkim dzbanem, zatkanym szczelnie ołowianym korkiem i uszczelnionym woskiem.

– Zgadnij, co mam dla ciebie, kochanie – mówi Deirdre i wyciąga korek, uwalniając ostry zapach utleniającej się smoczej oliwy.

Drony telnetu otaczają nas wirującym rojem, łapiąc zbliżenia, kiedy Deirdre przysuwa usta do mojego ucha.

– Byłam ci wierna, sukinsynu – szepce i unosi dzban nad moją głowę.

Jawa staje w ogniu.

Pali się niczym staroświecka, celuloidowa taśma, ogień wyżera w niej owalne otwory, rzeczywistość kapie płonącymi kroplami, zostawiając dziury, za którymi jest tylko biel.

I doskonale znana mi polana, otoczona białym szumem, gdzie Cyfral tuli moją głowę do sprężystych piersi, jak kule wypełnione ciepłą wodą.

Teraz jest jawa.

Chyba.

Przez sekundę czy dwie dławię się krzykiem, krztuszę własnym spazmatycznym oddechem i pozwalam przytulać się do silikonowych piersi.

– Mogę skasować to wspomnienie.

– Wspomnienie...? Stałem przed sądem... Na Ziemi...

– Stałeś przed sądem, twój ojciec pluł ci w twarz, dzieci zmieniały nazwiska, widziałeś, jak płonie twój dom, a w rzeczywistości leżałeś wśród swoich ludzi we mgle za przełęczą Kamienne Kły. Ale wspomnienia zostały i coś z nimi musimy zrobić. Czy chcesz przenieść te zapisy do kosza? Umieścić na grafie zero? Opieczętować i zamknąć w nieświadomości?

– Zawsze mnie irytował wybór pomiędzy skrajnymi opcjami. Nie chcę mieć ich stale przed oczami, ale chcę zachować dostęp w razie czego. Masz opcję „tylko do odczytu”?

– Mogę zmienić ich status na taki jak wspomnienie sennego koszmaru. Będzie trochę zamazane, lecz bez warstwy emocjonalnej. Bez zapachów, dźwięków i szczegółów.

– Zachowaj je w tej formie. Muszę wiedzieć, jak się z tego wywikłać. Będę musiał znowu przejść przez Kamienne Kły. Właściwie nie rozumiem, co się stało.

– To jest interaktywne. Mechanizm odstraszający, wykorzystujący wewnętrzną strukturę emocjonalną. Tylko że przeznaczony dla mózgów

tubylców. Struktury są funkcjonalnie podobne, ale nie kompatybilne. Wizje zaczęły się sypać, a światy mieszać. Zrobiły się alogiczne i w efekcie zawiesiłeś system.

Chwyta moją twarz w dłonie i zbliża oczy do moich. Ma nieludzkie, fosforycznie zielone tęczówki, które robią się coraz większe, a za źrenicami widzę przesypujące się, maleńkie niczym bakterie znaki kodów maszynowych. Wpadam w te źrenice jak w otwarte wrota śluzy wysysające mnie w kosmos.

Patrzę przez holograficzny sufit promu, dający złudzenie unoszenia się w orbitalnej pustce, widzę pod spodem rozlewający się na pół horyzontu błękitno-brązowy bezmiar Ziemi, a na kursie skomplikowany tytanowo-kewlarowy fraktal SpaceGateOne stojący nad Antarktydą na orbicie geostacjonarnej, jak odwrócony do góry nogami gotycki zamek. Wokół w przestrzeni dryfują potrzaskane wraki okrętów Ludzi Wybrzeża, obracając się w warkoczach zestalonego w pył powietrza. Kiedy stacja wyrasta pod nami lasem anten, modułów i habitatów, widzę wirujące w zero grawitacji sylwetki ludzi o spękanych twarzach, broczących z ust, oczu i nozdrzy krwawym lodem, rozwarte do krzyku usta, pancerze z kutych płytek, miecze i tarcze płynące wokół niczym fragmenty rozerwanych satelitów. Światy okazały się niekompatybilne. Nie można pokazać mi, jak mój port pada ofiarą najazdu, bo dochodzi do zaburzenia wewnętrznej logiki. Próby łatania jednego anachronizmu wywołują następne i cały proces narasta lawinowo. Obracam głowę i obraz, który mam widzieć, dławi się danymi i rozpada, stacja poza poprzednim polem widzenia nagle obrasta niedorzecznymi kształtami, powtórzonym w nieskończoność echem wcześniejszych szczegółów, pączkujących w nieskończoność przestrzeni.

A potem kabina czarterowego promu nagle zatrzymuje się i zatapia w ciszy. Przestaje wibrować, ucicha posykiwanie jonowych silników manewrowych i nieustanny pomruk chłodzenia tokamaków.

Staje się okrągłą jaskinią, zalaną niebieskawym światłem jak płonącego metanu, gdzie Szepcący do Cieni stoją niczym pomięte szkarłatne poczwarki i patrzą na mnie w milczeniu pustką swoich tunelowatych kapturów. A potem rozlegają się szepty.

– Kim jesteś...?

– Czym jesteś...?

– Czym jest świat kuli...?

– Czy sprowadzisz martwy śnieg...?

– Czy umiesz rozpętać ogień z nieba...?

– Czy sprowadzasz chaos...?

– Czy przyszedłeś ze świata bogów...?

– Kim jest GlobeNet...?

Słyszę, że chrząkam, mój głos brzmi jak odtworzone nagranie. Jestem tylko świadkiem, milczącym obserwatorem, skrytym za gałkami ocznymi tego, kto stoi w jaskini.

– Jestem wędrowcem. Przychodzę ze świata skrytego za nocnym niebem – rozlega się głos. Mój głos. – Przychodzę, by usunąć z tego świata Czyniących. Nadchodzę, by rozpętać wojnę Pieśniarzy i zaprowadzić porządek bogów.

– Wojna jest dobra. Zmienianie świata jest dobre, bo sprowadza martwy śnieg. Świat narodzi się na nowo, a my wraz z nim. Na to czekamy. Czy chcesz, by świat narodził się na nowo, wędrowcze?

– Chcę, by powrócił porządek świata, by stał się takim, jakim był.

– Świat nigdy nie staje się taki, jaki był. Jeśli go zmieniono, zmiany pozostają, aż usunie je martwy śnieg, który zmiecie je ze świata i ludzkiej pamięci. To, co chcesz zrobić, jest więc dobre. Nie może doprowadzić do niczego innego. Przybyłeś z ziemi latających miast i potężnej broni. Z miejsca, gdzie wszystko rośnie w chaosie i stale się zmienia. Widziałem. Widziałem twój świat. Nie było jeszcze takiej pieśni, która by to zniosła. Masz w głowie świat bogów. Możesz wstąpić do wnętrza Żarłocznej Góry.

– Najpierw uwolnijcie moich ludzi. Niech się przebudzą. Niech zapomną.

– Tak.

Cyfral już nie tuli mojej głowy do piersi.

Teraz siedzi na mnie, splatając mi dłonie na karku i wbijając fosforyczny wzrok pełen alfanumerycznych matryc prosto w moje oczy, i wolno wachluje żyłkowanymi, opalizującymi tęczowo skrzydełkami.

– Naprawdę chcesz sprowadzić martwy śnieg?

– Nie powiedziałem tego. Kłamałem. Milcząc. Sprawiłem tylko, żeby odczytali moje sugestie po swojemu.

– A jeśli to oni mają rację? Jeśli wiedzą, co mówią?

– To tylko obłąkani czciciele stacji kolejowej. Żywej stacji kolejowej, która oszalała ze starości. Potrzebuję jej i tyle. I tak istnieje.

– Więc co? Zachować jako wspomnienie snu?

– Tak. Bez emocji i zapachów. Tylko znaczenie i fakty. I to, czym było, obwieszczeniem: PROSZĘ NIE ZBLIŻAĆ SIĘ DO TORÓW.

– Wracaj do świata, bo zostaniesz tu na zawsze.

– Idę.

Spadam w mrok snu, czując, że defragmentacja mojego mózgu trwa w najlepsze. Wracają kolejne funkcje, śnię o kalejdoskopowo zmieniających się kształtach i wirujących tęczowo wzorach, a Cyfral nadal mozolnie robi inwentaryzację jednego neuronu po drugim.

Świadomość kolejnych kilku mordów, wspomnienie o kolejnych moich ofiarach ląduje jedno po drugim w beczce i jest zalewane betonem przed wrzuceniem do studni oznakowanej: UWAGA! PODŚWIADOMOŚĆ.

Budzę się, słysząc ostry, głęboki dźwięk pod płozami sań i wibrujące odgłosy kopyt bijących w membranę lodu. To morze. Jesteśmy na zatoce.

Otwieram oczy, sanie podskakują i kołyszą się na boki na zamarzniętych wałach spękanych niegdyś lodowych płyt. Fale z sykiem przedzierają się pod zamarzniętą powierzchnią, morze jest pełne dźwięków. Wstaje dzień.

Moi ludzie układają na śniegu rzędem płaskie żelazne misy, walce lodowego paliwa, przygotowane zawczasu wiązki chrustu, sypią odczynnik ze szklanych słoiczków, a na koniec wylewają po odrobinie smoczej oliwy.

Wzdrygam się lekko na blaknące wspomnienie koszmaru, czuję, że wali mi serce.

Płyn puszcza w powietrze nitkę dymu, rozlewa się po lodowym walcu, w końcu chrust zajmuje się trzeszczącym, chciwym płomieniem i w powietrze strzelają kłęby gęstego czerwonego dymu.

A potem czekamy. Długo.

Wyplątuję się ze śpiwora prosto w ostry mróz, zakładam futrzane spodnie i kaftan, owijam się jeszcze futrem, ale ręce trzęsą mi się tak, że nie jestem w stanie trafić szpilą zapinki na łańcuszek. Na pewno z zimna.

Stoimy wokół sań, konie parskają kłębami pary, w kotłach płonie jaskrawy chemiczny ogień i buchają kłęby dymu. Rozpalam fajkę i podaję tlące się drewienko Filarowi, który wyciąga swój krótki kalumet.

Grunaldi żuje pasek mięsa, Powój siada na worku, by odciążyć nogę, Spalle przeciąga po ostrzu miecza małą osełką, wydając irytujący zgrzyt, który tnie mroźne powietrze. Głóg zdmuchuje śnieg z mechanizmu spustowego kuszy.

Horyzont kłębi się mgłą, widoczność zaczyna maleć.

– Puścić gnoja – cedzę przez zamarznięte na kość szczęki. – Dajcie mu konia i rozetnijcie więzy.

Njorvin sapie z irytacją, Kungsbjarn Płaczący Lodem odjeżdża natychmiast we mgłę, jakby się bał, że zaraz się rozmyślę.

– Zzzzgrzyt...! – powiada osełka Spalle.

I wtedy w skłębionej szarej nicości przed nami rozbłyska mała żółta gwiazdka.

I gaśnie.

A potem rozjarza się na nowo.

Upływa jeszcze dużo czasu, kiedy wytężając wzrok aż do łzawienia oczu, dostrzegamy jakiś znikomy kształt, ledwo zgęstek mgły połyskujący maleńką gwiazdką. A potem jeszcze więcej, nim kształt zaczyna się przybliżać i rosnąć. Widać już białe odkosy dziobowe, bryzgające pianą na boki, a potem pojawia się przysadzisty kształt, niepodobny do niczego, co pływało po tych wodach, kojarzący się raczej z jakimś podwodnym stworem.

A potem staje mi serce, bo widzę, że ktoś stoi na dziobie. Widzę sylwetkę okutaną wodoodpornym futrem, sylwetkę kogoś, kto czeka, by

przekazać mi wiadomość. Bardzo istotną. Coś, co trzeba powiedzieć od razu, czego nie można zobaczyć ani sprawdzić samemu.

Czuję, że puls dudni mi w uszach, i ruszam na spotkanie statku, który sunie do nas, rozbryzgując fontanny piany, ale mam przed sobą jeszcze szeroki pas lodu, który może utrzymać człowieka.

Postać stojąca na dziobie przysiada i przytrzymuje się relingu, kiedy dziób gruchoce lodowe płyty na brzegu firnu, statek gniecie je pod własnym ciężarem i pcha naprzód, rozpychając na boki kawały lodowego gruzu, człowiek na dziobie znów unosi się i czeka cierpliwie. Pewnie obowiązkowy, milkliwy Oset. Już zdecydował się, że to on będzie tym, który przekaże mi wiadomość, i zdecydował się zrobić to od razu. Więc stoi tam mimo wściekłych wstrząsów podczas kruszenia lodu i lodowatych bryzgów fal.

Lodowy okręt grzęźnie w końcu i cofa się, zjeżdżając ze sterty kry, które usypał przed dziobem.

Idę w tamtą stronę, bo chcę spojrzeć w twarz temu, kto stoi na dziobie, chcę zobaczyć jego oczy i milczący komunikat, który zastygł mu na twarzy.

Zrzuca kaptur i widzę rozwiane na wietrze ciemne jak noc włosy Sylfany.

Siadam na lodzie i płaczę. Wiem, że mam na to tylko chwilę, zanim dojadą tu moi ludzie i zanim ona zeskoczy z pokładu.

Tylko małą chwilę wystarczającą, by otrzeć oczy, zanim wszystko zamarznie.

Kiedy dobijają do mnie, mam suche, podpuchnięte powieki i zmarznięte policzki. Tylko tyle.

– Najpierw Czyniącą – mówię. – Prosto do ładowni. Zabierajmy się stąd wreszcie.

Nie mogę chwycić Sylfany w ramiona ani przytulić z całej siły, ma przerąbane żebra. Ale mogę ująć jej twarz w dłonie i otoczyć ramieniem plecy. Mogę ją przygarnąć delikatnie, prawie po ojcowsku. W końcu jestem dowódcą, a ona wojownikiem. Tak udajemy i tego będziemy się trzymać.

– Powinnaś leżeć – mówię.

– Nóg mi nie porąbali – odpowiada. – I chciałam zobaczyć, czy żyjesz. Myślę też, że powinieneś obejrzeć mój bok i sprawdzić, czy dobrze się goi.

Będzie żyła, zdaje się.

Rozdział 4

Szepty i cienie

Jeżeli masz przyjaciela, któremu wierzysz
i życzliwości się spodziewasz,
otwórz mu swą duszę, i dary wymieniaj,
i często spotykaj.

Jeżeli masz innego, któremu nie wierzysz,
lecz chcesz mieć z niego korzyść,
układaj piękne słowa, lecz myśli kryj zdradliwe
i fałsz płać zdradą.

(Pieśni Najwyższego – Hávamál)

To wszystko przypomina raczej pogrzeb niż tryumfalny powrót z wyprawy.

Przypływamy w okolice Ogrodu piątego dnia po południu, ale dryfujemy na wzburzonym morzu poza zasięgiem wież obserwacyjnych, czekając, aż zapadnie ciemność, i dopiero wtedy wypuszczamy nietoperze.

Konwergencyjny odpowiednik nietoperzy. Nazywam je nietoperzami, bo mają jakby gadzi pokrój i błoniaste skrzydła, bywa też, że mieszkają w jaskiniach. Poza tym nic się nie zgadza. Żyją nad morzem, polują na ryby, przypominają miniaturowe pstrokate wywerny, i to z koszmarnego snu, nie wszystkie gatunki prowadzą nocny tryb życia, a do tego te nocne świecą od spodu, przywabiając ofiary na powierzchnię wody. Za to wracają do gniazda z podziwu godnym uporem, no i można je wytresować do przenoszenia wiadomości na odległość jakichś stu pięćdziesięciu kilometrów.

Tym razem to prosty komunikat: „Wracamy, mamy obiekt, straty w dopuszczalnych granicach, są ranni”, zaszyfrowany jako: MIKE, ZULU, FOXTROT, OSCAR.

W odpowiedzi na wieży Górnego Zamku widocznego ponad masywem Kawern rozbłyska trzykrotnie zielone światło. Potwierdzenie.

Oset steruje ostrożnie pomiędzy zapalone w główkach portu wojennego zielone i czerwone lampy, a potem do ukrytego basenu i pod podniesioną w ścianie kutą, ociekającą wodą oblodzoną kratą, w głąb doku wyciętego w skale.

Wszystko w ciszy, pod osłoną nocy, bez świadków, bo nawet straży kazano się nagle zameldować w swoich wartowniach.

A teraz kroczymy odśnieżonym brukiem uliczek Górnego Zamku, pod eskortą Braci Drzewa, którzy prowadzą zaprzężone w osły wozy z ciałami nakrytymi suknem. Zawilec, Dzięgiel i Jawor, który umarł na statku jeszcze przed naszym powrotem. Kolejny wóz transportujący sarkofag pogrążonej w śpiączce Callo, nakryty tak samo jak trumna. Zamaskowane rzędy pojemników z magią, jak wielkie jaja. Ranni. Sylfana, Warfnir, Dereń i Wawrzyn. Chudy młody mężczyzna imieniem Benkej nadal nie mówi, trzęsie się tylko, ściskając w dłoni fujarkę, na której kompulsywnie gra w kółko „Porque te vas”, jeśli spuścić go z oka. Wielki N’Dele i Filar prowadzą go między sobą ostrożnie, Bracia Drzewa przyświecają nam na nocnych ulicach furkoczącymi pochodniami. Wszyscy mamy takie same płaszcze, twarze skryte w kapturach, wozy osłonięte suknem. Wyglądamy jak pokutny korowód mnichów.

Idziemy w milczeniu bocznymi, pustymi uliczkami. W przecznicach mijamy miejskich strażników w kapalinach, z włóczniami, którzy stoją do nas tyłem, blokując wyjazd, a kiedy przejedziemy, natychmiast znikają.

Część idzie prosto do Kaplicy Drzewa, ja z kilkoma Braćmi eskortuję wóz z sarkofagiem.

Fjollsfinn wita mnie w dziwacznym nakryciu głowy, w którym wygląda niczym staroświecki mistrz kuchni, a które ma maskować baszty i wieże na jego czaszce. Ściskamy sobie nadgarstki i przedramiona zwyczajem Wybrzeża Żagli, a potem oszczędnie klepiemy się po plecach. Jednak to człowiek, mimo wszystko. Ziemianin.

– Kto? – pyta ostrożnie. Może to wystudiowane, ale i tak czuję przypływ sympatii.

Wymieniam imiona poległych. Dla mnie to ważne i bolesne, lecz on pewnie o tym wie. Chce pokazać, że dla niego też.

– Nikt z twoich? – pyta niepotrzebnie i w odpowiedzi lodowacieję, mój głos zaczyna brzmieć jak grzechot otoczaków.

– Mało brakowało, mam wielu rannych. Nie wystawiałem Braci. Walczyliśmy tak samo, ramię w ramię. Wojenny los. Ubezpieczali operację, kiedy zostaliśmy zaatakowani. I oddali życie Ogrodowi, tak jak ich uwarunkowałeś.

Kładzie mi dłoń na ramieniu. Lekko, powściągliwie. Skandynaw.

– Przepraszam. Spytałem odruchowo. I nie to miałem na myśli. Co z Callo?

– Nie wiem. Nie zadbałeś o panel diagnostyczny na sarkofagu. Mam nadzieję, że stabilna.

Kapsuła stoi w pustej białej komnacie, pod palmowym sklepieniem, na kamiennym stole, przy którym mogłoby biesiadować ze trzydziestu ludzi.

– Zaraz przeniesiemy ją do jej sali. Sterylnie, pastelowo i pluszowo. A nade wszystko szczelnie. Zrobiłem śluzy, powietrze dochodzi przez filtry neutralizujące magię, własne ujęcie wody, toaleta z zamkniętym odpływem.

– Jakie znowu filtry? Ceramiczne czy jak? Magiczny pył ma średnicę bakterii albo nawet wirusów. Z czego te filtry?

– Z zaklęcia. Tak samo jak pojemniki, którymi oczyściłeś dolinę. Cokolwiek będzie chciała posłać na zewnątrz, skrystalizuje w mój lód. Lodowe kwiaty, podobne do tych w moim ogrodzie. Nie stworzy tu nic innego niż lodowe rośliny, które możemy bezpiecznie usunąć, bo są stabilne, a potem wykorzystać.

Przechodzimy do pomieszczenia obok, czegoś w rodzaju sali kontrolnej. Normalny surrealistyczny, hodowlany gotyk à la Fjollsfinn. Ale cała ściana

jest przejrzystą taflą, za którą widać zalaną zielonkawym światłem białą komnatę, kojarzącą się z akwarium. Jest obła, przypomina postawiony do góry nogami kieliszek do koniaku. Żadnych kantów i ostrych krawędzi, ale też żadnych ostrołuków, kolumn, rozet, pinakli i gargulców. Owalne łoże wyrastające z podłogi, obłożone heblowanym drewnem jak cebrzyk, bez żadnych ozdób. Stół, krzesło, wszystko wylane z bazaltu o zielonkawym kolorze.

Dotykam grubej tafli ściany. Lód. Ciepły lód numer ileś tam, ulubiona zabawka Norwega. Stabilny i mam nadzieję, że więcej niż kuloodporny. Kobieta, która tam zamieszka, jest bardziej niebezpieczna niż dziesięciu seryjnych morderców. To cieknący reaktor termojądrowy. To głowica biologiczna pełna retrowirusów.

– I jak? – Ma minę jak dumny z siebie uczeń, czeka, aż go pochwalę. – Zorientowałbyś się na jej miejscu?

Patrzę przez szybę i nie wiem. Łatwo rozwiązywać zadania od końca. Zresztą szkolono mnie podobnie jak szpiega. Rozejrzyjmy się. Budzę się: gdzie też ja jestem? Midgaard czy Ziemia? Brak elektroniki, nawet sprzęgu telnetu, albo chociażby zwykłego, prymitywnego holomonitora do biernego użytkowania. Żadnych urządzeń diagnostycznych. Brak czujnika dymu. Kamienne meble. Wykładzina wall-to-wall na podłodze może i nie ma wzorów, ale to kobierzec ręcznie tkany na krosnach. Podobnie jak pseudojedwab pościeli. Brak obwieszczeń, pouczeń i zakazów na ścianach. Nigdzie kroplówki, skanera, ektodermalnego ejektora, jakiegokolwiek medycznego szajsu. Nic nie pika i nie świeci na czerwono. Żaden przedmiot nie ma logo producenta. Światło jest zielone. Brak okna.

Patrzę i milczę.

Powiedzmy, że stworzyliby specjalne pomieszczenie, takie w pół drogi pomiędzy światami, żeby nie budzić szoku. Niskotechnologiczny keson, w którym pomieszka komfortowo, ale bez natłoku informacji, aż dojdzie do siebie. Przypuśćmy.

– Zabierz kwiaty – mówię mu.

Jest zaskoczony.

– Wyglądają jak ziemskie.

– Prawie. Nie są ziemskie, i to na pierwszy rzut oka. Chcemy je postrzegać jako kwiaty, lecz przypominają raczej coś, co żyje na rafie koralowej. A jeśli ona zna się na kwiatach? Nie udawaj zbyt nachalnie, że

jest na Ziemi, bo jeśli uwierzy, a potem zorientuje się, że jednak tkwi na Midgaardzie, dostanie szoku i histerii. A wtedy wypłaszczy nam okolicę. Będziemy mieli uroczysko widoczne z orbity.

– Nie zrobi już niczego na tę skalę. Ten pokój wyjałowi ją z reszty czynnika, zanim się obudzi. Chodź, zobaczysz dziewczęta.

Prowadzi mnie z powrotem tam, gdzie na stole spoczywa sarkofag, cały czas zaskoczonego, z wyrazem osłupienia na twarzy. Jednak zanim wygłoszę drwiący komentarz, już rozumiem. Zadbał o personel.

Stoją rzędem, ubrane w zielone kombinezony, trochę przypominające to, co nosił personel medyczny dziesięć lat temu, i jakieś idiotyczne furażerki z woalką na twarzy. Wyprostowały się prawie na baczność i usiłują nie patrzeć na siebie nawzajem, żeby nie parsknąć śmiechem, ale widzę, że pod tym wzbierającym w gardle chichotem są przerażone.

– I jak?

– Niebrzydkie – mówię, zapalając fajkę. Wybrał młode dziewczyny, które mają wszystkie zęby z przodu, żadnych tatuaży i blizn. Zostały porządnie wyszorowane i pachną czymś ziołowym i lekko antyseptycznym, jak organiczna płukanka na gardło.

– A czy wyglądają na pielęgniarki?

– Wystarczająco – wyrokuję. – Co to za kretyńskie woalki?

– Oczy – wyjaśnia. – Oczy mają obce, bez widocznej białkówki. Tego nie zmienię.

– A także dziwne uszy, małe zęby, włosy rosną im na karku aż do ramion, mają wyciągnięte proporcje, wąskie czaszki i wydłużone rysy, nosy jak noże, poza tym noszą ręcznie szyte ubrania z płótna i kierpce, brak plakietek identyfikacyjnych, kluczy chipowych, komórek, biżuterii, rajstop. Oni są tylko podobni do ludzi, Fjollsfinn. Zgoda. Niezrozumiale podobni, niewiarygodnie, jak na obcych, wręcz niepoważnie podobni, zupełnie jak w dwudziestowiecznych fantazjach, ale tylko z tego punktu widzenia. Gdyby niespodziewanie ktoś ją zobaczył na Ziemi w windzie, toby w pierwszej chwili wrzasnął. Z bliska nikt nie weźmie ich za ludzi i daj sobie spokój. Nie ma co próbować. I dlaczego wziąłeś same dziewczyny? To neogenderystka. Ledwo otworzy oczy, zacznie się awanturować.

– Mężczyzn się boi albo nienawidzi, jak zrozumiałem. Widok dziewczyn ją uspokoi, poza tym im nie zrobi krzywdy.

– W ogóle jej nie rozumiesz. Ona nikomu nie robi krzywdy, przynajmniej we własnym mniemaniu. Zamieni cię w krokus albo misia koala przekonana, że wyświadcza ci przysługę. I tak je za bardzo narażamy.

– Zajmą się nią, póki jest w śpiączce. Potem zobaczymy, co się będzie działo.

– A jak ją obudzimy? Wystawimy na pioruny na wieży czy przysmażysz ją maszyną Faradaya?

– Powinna sama się obudzić, kiedy minie działanie drętwej wody.

– Była w katatonii sama z siebie, przypominam.

Fjollsfinn odsyła na chwilę dziewczyny, które wracają z dwoma mężczyznami i wózkiem, rzeczywiście podobnym do szpitalnego. Trzeba się przyjrzeć, żeby zobaczyć, że to kowalska robota.

Sarkofag ląduje na wózku i odjeżdża w asyście przebranego na seledynowo zespołu medycznego. Norweg prowadzi mnie z powrotem do pomieszczenia kontrolnego, ale tym razem patrzymy na wnętrze dużej łazienki z basenem wpuszczonym w podłogę, napełnionym na dłoń opalizującą zielono, parującą cieczą. Mężczyźni uroczyście zdejmują sarkofag z wózka, umieszczają w basenie i wyjeżdżają. Zostają dziewczęta sterczące pod ścianą jak westalki. Wszystko odbywa się w ciszy i przypomina jakiś starożytny obrzęd raczej niż zabieg medyczny.

– Nie otwierasz sarkofagu?

– Nie otwiera się, tylko rozpuszcza. Jak lód. Tyle że trzeba wiedzieć w czym. – Nalewa mi kieliszek gruszkówki. – *Skol*.

Wypijam i wskazuję kieliszkiem lodową taflę.

– Gdy zobaczy, że miałeś podgląd w łazience, to cię zaskarży.

– Do prawomówcy czy jak? Nie stać nas na ryzyko. Damy jej prywatność, żeby się przekonać, że wyhodowała w łazience smoka?

– To są polaryzowane tafle?

– Lepiej, bo nie wyglądają jak lustra. Magia to magia.

– Zaczynam się zastanawiać, gdzie jeszcze masz takie. Długo to potrwa?

– Długo, to powolny proces. Ma zostać uwolniona delikatnie, a i tak teraz jeszcze nie powinna się obudzić. Ciecz spłynie, potem dziewczęta ją umyją w normalnej kąpieli i odkażą.

– Nie chcę na to patrzeć. Nigdy nie była śliczna, a po tygodniu w sarkofagu będzie wyglądać jak hemoroid. Zbieraj się. Idziemy na pogrzeb. Chcę tam być. Jestem dowódcą, a ty królem, *perkele*. Uczestników

tajnych operacji chowa się w tajemnicy, ale z całą pompą i szacunkiem. Jak bohaterów. Po ceremonii zorganizuj najbardziej wykwintną kolację jak to tylko możliwe, a przy stole mają być miejsca i zastawa dla wszystkich, także dla poległych. Tak się robi.

Wracam do spacerów po mieście. Po kilku dniach niezbędnych na wymoczenie się w wannie, odkarmienie i regenerujący sen, trwający po dziesięć godzin na dobę. Dochodzę do siebie. Doglądam Sylfany i odwiedzam pozostałych rannych. Potrzebuję czasu na myślenie. Na knucie. Na budowanie dalekosiężnych planów strategicznych. Krótko. Kilka dni, potem nie będzie już czasu na kombinowanie. Wydarzenia ruszą z kopyta, i to wkrótce.

Zaczynają topnieć sople. To nie jest jeszcze prawdziwa odwilż, ale czuje się, że nadchodzi zmiana. Woda ciurka spod zasp i płynie rynsztokami, a potem zamarza. Nadchodzą śnieżyce. Śnieg osiada na ulicach, a potem znów topnieje. Odgłos spadających z dachów i gzymsów kropli prześladuje mnie nocami, brzmi jak odliczanie. Z każdą kroplą upływa sekunda bezcennego czasu.

Czasu, który powoli się kończy.

Na ulicach Górnego Zamku pustawo jak zawsze, mijani ludzie okutani w długie futra mają blade, wymęczone zimą twarze. Schodzę na Kamienny Targ i wypatruję najbardziej nijakich, tanich ubrań, szczególnie takich, jakie noszą Odrzuceni przez Drzewo, żeby maskować swoje spotworniałe kształty. Płaszcze, kapuzy, kapelusze, buty. A potem przez Fjollsfinna proszę o wysłanie kogoś z tutejszych po zakupy. Jako mieszkaniec Górnego Zamku mogę być postacią rozpoznawalną, moi ludzie też. Jesteśmy tajemniczymi Czyniącymi, którzy najechali gród, a potem zaprzyjaźnili się z królem. Tymczasem chcę móc kręcić się po tawernach i targowiskach, zachodzić do Kawern, Łasztowni, na Dolne Młyny, do Żelazowni i Parnych Studni. W dzielnice, gdzie kręci się wielu ludzi, mieszkańców Ogrodu, przybyszów, Odrzuconych i uciekinierów.

Przez większość dnia jednak siedzę nad kartami papieru i mapami, z ołowianym rysikiem w ręku. Spisuję kolejne plany, czytam je, uzgadniam z Fjollsfinnem, mnę i wrzucam do kominka. A potem opracowuję nowe.

Uzupełniam Nocnych Wędrowców o kolejnych Braci Drzewa przysłanych przez Fjollsfinna, zaprzysiężenie przechodzą też Njorvin

i N’Dele. Benkej nadal jest w ciężkim stanie, Filar spędza z nim dużo czasu, lecz wciąż nie nawiązuje kontaktu. Świeżaki muszą nauczyć się nowych sposobów walki, niepodobnych do tych, których używali całe życie, nauczyć się współpracować ze sobą, opanować obcy sposób myślenia i taktykę. W ich kulturze efekt jest mniej istotny niż sposoby, jakimi się go osiąga. Czyn ma okrywać chwałą. Być dowodem odwagi, mądrości, wielkoduszności i honoru. A teraz będą musieli przyjąć do wiadomości, że liczy się tylko realizacja zadania i efektywność. Mniejsza o pokazy męstwa. To nieistotne. Ważne, by działać po cichu, szybko i skutecznie. I razem. Kebiryjski najemnik, tutejszy rubaszny awanturnik, teoretycznie jego właściciel, kilkunastu fanatycznych asasynów wyznających ogrodową religię Fjollsfinna. Nocni Wędrowcy.

Więc wykładam w dużym refektarzu zmienionym w salę gimnastyczną, a potem oblekam ich w maskujące kombinezony i wyprowadzam poza twierdzę, by tam pędzić ich do ostatniego tchu po pas w topniejącym śniegu. Wśród lasów i skalistych równin na wyspie. Wymyślam ćwiczenia i zadania taktyczne. Do znudzenia. Do siódmych potów.

Robię dużo rzeczy. Bardzo dużo rzeczy naraz.

Tymczasem krople spadają z sopli. Jedna po drugiej. Jak ziarna piasku w klepsydrze. Wieczorami lodowe nacieki znów zamarzają, ale mroźny wiatr nie spowolni ani nie zatrzyma czasu. Tylko że przez chwilę nie słychać spadających kropli.

Lecz czas płynie.

Przesypuje się klepsydra.

Topnieją śniegi.

W Kawernach coś wisi w powietrzu i na pewno nie chodzi o oczekiwanie wiosny. Z pozoru dzielnica wygląda normalnie.

Za wieżą bramną w podcieniach kamieniczek handel idzie jak zawsze. Wśród ubogich straganów kłębi się pstrokaty, różnorodny tłum, przebierający wśród rozwieszonych na kijach ubrań, drobiazgów rozłożonych na płachtach, szukający jakichś ryb i bulw w koszach. A jednak coś jest nie tak jak trzeba.

Przede wszystkim tłum wydaje się mniej gwarny i żywiołowy. Nikt się nie śmieje. Nie słychać rzępolonej na dziwnych instrumentach muzyki z tawern i karczm.

Wśród plączących się wokół przybyszów nadal widać mutantów, ale trzymają się na uboczu. Stoją grupkami w bramach i zaułkach albo przed wejściem do tawern. Nikogo niby nie zaczepiają, jednak przechodząc, czuję ich ciężkie spojrzenia. Pozostali przechodnie też najwyraźniej starają się omijać ich szerokim łukiem. W okolicach burdeli kręci się wyraźnie mniej dziwek i tylko nieliczne to mutantki.

Właściwie nic.

Jeszcze kilka tygodni temu mutanci spowijali się płaszczami i kryli twarze w kapturach. Teraz większość niby też tak robi, ale nie ci stojący to tu, to tam w grupkach. Ci pomimo zimna ostentacyjnie obnażają swoje zniekształcone ciała, jakby pchali je pozostałym pod oczy.

Na ścianach jakby przybyło nabazgranych węglem i ochrą napisów w obcych alfabetach.

Kiedy przechodzi patrol straży, życie wokół nich zamiera na chwilę. Cichną rozmowy, gwardziści w swoich kapalinach i herbowych tunikach narzuconych na futra i kolczugi wymieniają wrogie spojrzenia z mutantami i idą dalej, stukając o bruk drzewcami, a wtedy ulica na nowo odżywa.

Kiedy byłem tu ostatnio, atmosfera była inna. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na patrole. Teraz Fjollsfinn wysłał więcej strażników na ulice, ale to chyba nie poprawia sytuacji. Kiedy przechodzę na drugą stronę długiego placu i wnikam w plątaninę uliczek w stronę muru oporowego i rybackiego portu, robi się jeszcze dziwniej.

Jest prawie pusto, tawerny są zamknięte, lecz za drzwiami słychać szmer głosów. W oknach, za brudnymi kryształowymi szybkami, majaczą pokraczne twarze, które odprowadzają mnie wzrokiem.

Latarnie są potłuczone, działa może co trzecia. W perspektywie zaułka widzę grupkę ludzi na niewielkim ryneczku wokół zabudowanej studni deszczowej, ale kiedy podchodzę, wszyscy znikają jak cienie i placyk jest pusty.

Odchodzę, a wtedy znikąd nadlatuje niewielki kamyk, który mija moją głowę o kilkanaście centymetrów i ze stukotem odbija się od kocich łbów bruku.

Dzieciaki.

Być może.

Kawałek dalej od dachu odrywa się wielki kawał lodu – kilka zrośniętych sopli długich jak moja noga, niczym zestaw piszczałek

z organów. Słyszę świst powietrza, kiedy leci, i w ostatniej chwili udaje mi się wtulić w odrzwia zamkniętej bramy, osłonięte rzeźbionym portalem, a lodowy pocisk rozpryskuje się na bruku w miejscu, gdzie stałem.

Przypadek.

Być może.

Wracam w bardziej cywilizowane rejony, do pierwszej karczmy, licząc od barbakanu, na ulicy Bławatnej. Do „Śledzia”.

Na spotkanie z moim informatorem, wyglądającym niczym skrzyżowanie smoka z pawianem. Na spotkanie z Platanem.

Po drodze kluczę bocznymi, opustoszałymi zaułkami, przeciskam się przez jakieś bramy i stosy beczek, potem pod osłoną sterty drewnianych skrzyń na tyłach jakiegoś składu odwracam płaszcz z niebieskiej strony na żółtą i zakładam futrzaną czapkę.

Kiedy ruszałem na spacer, miałem nadzieję, że ktoś zacznie mnie śledzić, ale teraz chcę chronić informatora.

Najpierw byliśmy umówieni codziennie po sześciu dzwonach na wieży, ale miał niewiele nowin, więc zaczęliśmy się spotykać co trzeci dzień. Za każdym razem kto inny. Filar, Warfnir, Sylfana, potem ja, potem Grunaldi. Kiedy wyruszyliśmy na ląd, przychodzili Bracia Drzewa w cywilu.

„U Śledzia” jest beczkowe sklepienie, wielki stół z poczerniałego drewna, piwo lane z baryłek stojących na krzyżakach, kocioł z rybną polewką wiszący nad paleniskiem i wędzone, powiedzmy, śledzie. W każdym razie to morskie stwory, które Fjollsfinn uparł się nazywać śledziami i tak już zostało.

Sklepienie tego rodzaju robi sztuczki z akustyką. Głos niesie się dziwnie, biegnie wzdłuż krzywizn żebrowania i są tu miejsca, w których doskonale słychać nawet szept dobiegający od stołu położonego po przekątnej sali, nawet kilka metrów dalej. Brzmi, jakby ktoś mówił prosto w ucho, jednak wystarczy przesunąć się dwadzieścia centymetrów w bok i efekt znika. Zazwyczaj porozumiewamy się, wykorzystując ten sposób.

Chyba że Platan okrywa grzebieniastą, smoczą czaszkę kapturem swojej sukiennej peleryny. Oznacza to, że albo nie może rozmawiać, albo nie ma nic do powiedzenia.

Jeśli jednak dotarł do jakiejś plotki, coś zauważył albo ma dla mnie wartościową informację, wtedy najpierw pstryka dwa lub trzy razy palcami zdrowej ręki. To sygnał, a jednocześnie test systemu komunikacyjnego.

Rozmówca w odpowiedzi bębni przez chwilę palcami w bok swojego kufla. To znaczy, że słyszy i jest gotów rozmawiać.

Nie patrzymy na siebie. Po prostu dwóch samotnych gości w tawernie „U Śledzia”, zajmujących się piwem, polewką i mamroczących coś pod nosem o kilka metrów od siebie. Na koniec, jeśli w środku jest gwarno, zamawiam Platanowi piwo, do którego wrzucam kilka monet. Jeśli jest pusto, zostawiam monety pod swoim dzbanem i wychodzę.

Dziś odsłonił pokrytą plamami i grzebieniami narośli czaszkę, to znaczy, że chce coś powiedzieć.

– Odrzuceni się zbuntują – sepleni przez swoje lwie kły i zdrową ręką bawi się cynowym kuflem, obracając go na stole. – Zbierają się w piwnicach i nie wpuszczają nikogo. Podobno czczą cudzoziemskich bogów.

– Amitrajskich? – pytam.

– Nie wiem – odpowiada. Na ile umiem zrozumieć mimikę jego paszczy, jest zatroskany i zmęczony. – Nie jestem dopuszczony.

– Przecież sam jesteś Odrzuconym – rzucam ostrożnie.

– Ale ja chcę służyć Ogrodowi. Wszyscy to wiedzą.

No tak. Kawerny to nie jest wielka dzielnica. Mutanci pewnie wszyscy się znają, przynajmniej z widzenia.

– Ilu się zbuntuje?

– Nie wiem. Nie wszyscy, ale wielu. Na razie pewnie jedna trzecia, ale dołączają do nich inni. Mówi się o lekarstwie. Podobno te gusła, które odprawiają w piwnicach, ich leczą, ale ja nie widzę, żeby się zmieniali. Wyglądają tak jak przedtem, jednak mówią, że teraz nic ich nie boli i że pieśni bogów dają im wielką siłę, taką, jaką mają bestie. No i zaczęli znikać ludzie.

– Jak to znikać?

– Zwyczajnie. Dziś są, jutro nie. Nikt ich nie widział, nikt nie znalazł trupa. Ostatnio już ze trzy razy zdarzyło się coś takiego.

– Co to byli za ludzie?

– Jeden rybak z Wybrzeża, od Ludzi Gryfów. Jeden zwykły mąż, co przybył jesienią na kupieckim statku z Ziemi Słonej Trawy, i jeden cieśla, też z jakiegoś okrętu, którego zatrzymała tu zima. A jeszcze przedtem znikły dwie niewiasty. Wcześniej jeszcze inni. Niektórzy wtedy, kiedy wyszli po zmroku, ale niektórzy w dzień. Nikt nie widział, żeby wdali się

z kimś w spór albo bójkę. Po prostu jednego dnia spotyka się ich na ulicy albo w tawernie, a potem nie, i nikt nie wie, co się z takim stało. Jedno, co wiem, to że wszystko to byli ludzie samotni. Albo wędrowcy, albo nigdzie niemający rodziny.

– A ty masz rodzinę, Platanie?

– Nie w tym życiu. Służę Drzewu. Całe miasto to moja rodzina.

– Widziałeś Ogród – raczej stwierdzam, niż pytam.

Platan prostuje się nad kuflem, jak zbulwersowany smok.

– Widziałem. Ale nie będę o tym rozmawiał. Ani z tobą, ani z nikim. To, co widziałem, zostanie ze mną. Tu. – Stuka się pięścią w środek szerokiej piersi.

– Muszę wiedzieć, czy są tu ludzie króla Węży albo Amitraje. Wiosną pod Lodowy Ogród przyjdzie wojna. Jeśli będziemy mieć ich między sobą, to miasto padnie. Znajdź innych, którzy umieją patrzeć i kręcą się między ludźmi. Niech szukają. Niech zbierają plotki. Jeśli trzeba, zapłać im. Gdzie mógłby schronić się Amitraj, który przybył do miasta ukradkiem?

Platan wzrusza lekko ramionami.

– Jeśli przybył ukradkiem, to wcale nie musi mieszkać w Kawernach ani Łasztowni. Może pójść do Górnego Zamku albo pod Zachodni Mur. Gród jest wielki, większy, niż się zdaje, a ludzi nie tak wielu. Nietrudno znaleźć miejsca, gdzie nikt nie mieszka. Ci, co tu żyją, lgną do siebie, bo człowiek potrzebuje człowieka. Nawet odmieńcy chcą mieć przy sobie podobnych. Chcą handlować, pracować, pić i rozmawiać. Kobiety i mężczyźni chcą spotykać się ze sobą i kłaść razem. Dlatego w jednych miejscach żyje tu dużo ludzi, a w innych są puste ulice i zarośnięte drzwi w izbach. Prowadzą tam zamknięte bramy, ale kto wie jak, ten otworzy. Prawo zabrania samemu zasiedlać domy, jeśli nie dostało się kluczy, lecz jeśli będzie siedział cicho, nie palił w nocy świateł, to kto go znajdzie?

– My. Ty, ja, ludzie, których zatrudnisz. Musimy. Inaczej wbiją nam nóż w plecy, kiedy nadciągną wrogie okręty. Posłuchaj, Platanie. Muszę wiedzieć, gdzie i kiedy zbierają się Odrzuceni. Muszę wiedzieć też, co znaczą napisy na ścianach, które zaczęły się pojawiać ostatnio. Znajdź kogoś, kto umie je odczytywać, i pozapisuj. Zostawiam ci dziesięć marek srebrem w małych monetach. Spotkamy się za trzy dni od dziś o zwykłej porze. Dowiedz się, czego chcą Odrzuceni, znajdź więcej ludzi na przeszpiegi, jeśli będzie trzeba, płać za informacje. Rozpuść wieści, że są

trzy złote gwichty nagrody za wskazanie południowca zwanego Szkarłatem. Wiesz, jak wygląda, mówiłem ci. Opisz go ludziom. Może udawać kapłana, medyka albo Czyniącego. Może używać innego imienia.

W gospodzie jest prawie pusto. Przy ławie bliżej paleniska siedzi pięcioosobowe towarzystwo wznoszące puchary i pogrążone w żywej rozmowie. Przy dwóch innych stołach jeszcze po dwie osoby nad dzbanami i miskami z polewką. Nikt nie siedzi na uboczu, nikt nie patrzy w ścianę, starając się wyłowić z gwaru naszą rozmowę, nikt nie pochyla bezwiednie głowy w naszą stronę, nadstawiając uszu. Karczmarz przeciera szmatą dzbany i gawędzi z siedzącą obok na beczce dziewczyną. Też nie łypie w naszym kierunku.

Zapłaciłem już z góry, więc zostawiam niedopite mętnawe piwo i ruszam do wyjścia, kryjąc w dłoni skórzaną sakiewkę z funduszami dla mojego informatora. Mijając stół Platana, dyskretnie rzucam mu woreczek pod nogi, ale nie spoglądam na niego.

Wychodzę w śnieg i blask latarń, stąpając po oblodzonych stopniach. Marny z Platana agent, ale chwilowo nie dysponuję nikim innym.

Znam już dzielnicę, więc znajduję wąski zaułek między kamiennymi ścianami, w którym znów odwracam płaszcz na drugą stronę i zdzieram z głowy czapkę, po czym przechodzę na ulicę po drugiej stronie.

O tej porze kręci się już niewielu mieszkańców, wiatr kołysze drewnianymi szyldami na łańcuchach i szarpie płomieniami tlących się w kutych koszach węgli. W ciągu dnia przy tych koszach tłoczą się ludzie, trudno się dopchać i ogrzać dłonie albo podpiec kupiony na straganie kawałek wędzonki nadziany na patyk. Teraz jest luźno, tylko przy jednym koksowniku stoi wysoki mężczyzna owinięty płaszczem, z wystającą spod poły pochwą miecza, sterczącą niczym ogon.

Zachodzę do tawern, wypijam kubek morskiego miodu i nasłuchuję rozmów, ale dociera do mnie tylko echo zwykłych, codziennych spraw. Praca, brak pieniędzy, kłótnie z małżonkami, niesforne dzieci, zimowa nuda, ceny węgla drzewnego i mewich jaj na targu, miłość, płatna miłość, znów brak pieniędzy. Jak wszędzie i zawsze, pewnie na każdej planecie zamieszkałej przez istoty podobne do ludzi. Stała kosmiczna.

Wychodzę na ulice kluczące pomiędzy obrośniętymi gotykiem ścianami, potem do kolejnej gospody. Szukam Odrzuconych, cudzoziemców, a zwłaszcza agitatorów. Prawdę mówiąc, szukam czegokolwiek. Szczęścia.

Kuszę los. Prowokuję. Chcę, żeby wydarzyło się cokolwiek, co pozwoli mi ruszyć z miejsca.

Jednak znajduję tylko pustawe ulice, blask gazowych i oliwnych płomyków w oknach i płatki śniegu tańczące wokół latarni.

Idę niespiesznie ulicami i usiłuję stworzyć jakiś plan. Co chcieliby uzyskać agenci van Dykena i Freihoff? Wcale nie twierdzę, że to musi być akurat Szkarłat. Wcale nie. Po prostu jacyś agenci. Wiem, że istnieją, bo w Żmijowym Gardle nadziałem się na obie siatki. Co sam chciałbym zrobić na ich miejscu?

A zatem po pierwsze, zebrać informacje o przygotowaniu grodu do ewentualnej obrony. Po drugie, o Fjollsfinnie i o mnie. Kim jesteśmy, czy stanowimy zagrożenie dla ich mocodawców? Czy chcieliby od razu przeprowadzać jakiś sabotaż? Dochodzę do wniosku, że nie. Sabotaż zwraca uwagę. Alarmuje. Trochę agitacji i jakieś rozruchy ewentualnie. To z kolei odwraca uwagę, angażuje środki i maskuje inne posunięcia.

Jakie? Próbę przeniknięcia do obsługi tajemniczych prac obronnych Fjollsfinna, prowadzonych gdzieś wewnątrz góry, albo wślizgnięcia się do Górnego Zamku.

Mogą istnieć dwie niezależne siatki, mogą składać się z zakamuflowanych agentów udających mieszkańców, piątej kolumny złożonej z Odrzuconych oraz czarnej agentury, ukrywającej się w labiryntach pustych dzielnic, której nikt nie widział i nie wie o jej istnieniu.

Czy tak właśnie dostaje się paranoi?

Wędruję kolejnymi ulicami, kluczę po dzielnicy, żeby nie chodzić w kółko. Mijam czasami grupki mutantów, ale poza tym, że odprowadzają mnie ciężkim spojrzeniem, nic się nie dzieje.

Przemierzam schody, które prowadzą mnie na ulice położone wyżej, tuż pod masywem kawern. Skalną ścianę pokrytą wystającymi portykami, wyciętymi w skale iglicami wież, ostrołukami i przyporami, wyglądającą, jakby wchłonęła rząd katedr. Najniższy poziom to szpalery kolumnad i jeden za drugim koronkowe portale obramowujące masywne zamknięte drzwi prowadzące w głąb góry. Zamknięte i pod strażą. Gdybym był wrogim szpiegiem, te rzeźbione, okute wrota chroniące dostępu do jaskiń nie dawałyby mi spokoju. Po drugiej stronie ulicy, w podcieniach stanowiących lustrzane odbicie kolumnady w ścianie kawern, tłoczą się

stragany i kręci się trochę więcej ludzi. Przechodzę tamtędy leniwie, patrząc na srebrne sterty sztywnych od mrozu ryb, obok malowanych garnków i dzbanów, i jakichś tajemniczych łuskowanych bulw w koszach, kiedy wybucha krzyk. Kilka metrów ode mnie przekupień szarpie się z jakimś wyrostkiem trzymającym w szponiastej, ptasiej łapie owoc. Ludzie najpierw się rozpierzchają, a potem tłoczą ciasnym kręgiem wokół.

– Za to się płaci, pokrako! – wrzeszczy przekupień. – Mistrz daje wam pieniądze! Nie musisz kraść. To my musimy na siebie pracować!

Ostrożnie odkładam oglądaną szpilę na stragan, naciągam głębiej kaptur i potrącany w nagłym tłumie unoszę lekko ramiona i przyciskam ręce do boku. Coś takiego to doskonała okazja dla złodziei. Brakuje mi tylko, żeby mnie tu okradli.

Dzieciak usiłuje się wyrwać, ale nie mówi nic, za to syczy jak jaszczurka. Wygląda trochę gadzio, nie ma uszu, jedynie rzędy podłużnych otworów niczym skrzela oraz dwie pionowe szczeliny nozdrzy. Syczy i szarpie dłonią ściskającą owoc z jakimś bezmyślnym, tępym uporem.

Przytrzymuję poły płaszcza i patrzę po twarzach otaczających ich ludzi, ale widzę tylko zaciekawienie i satysfakcję, że oto powstrzymano złodzieja.

Trzech mutantów pojawia się znikąd, wyciekają niemal ze ścian, jakby wypluły ich cienie kolumnad i portyków. Wdzierają się prosto w tłum i stają przed przekupniem, który więdnie lekko, jakby wiedział, że nikt mu w tym tłumie nie pomoże.

– Dlaczego kradniecie?! – woła sprzedawca. Jego głos nie brzmi już gniewem, tylko jakby skargą. – Przecież macie z czego żyć!

Mutant stojący na wprost niego ma rozciągnięte rysy, długie, zupełnie białe jak pleśń włosy i równie białą skórę niczym wosk, pokrytą arabeskami nitkowatych czerwonych linii. Pozostali stoją krok z tyłu, jeden wygląda trochę jak Minotaur, a trochę jak diabeł, a drugi jest pokryty łuskami niczym krokodyl i szczerzy palisadę zębów.

– Nie kradniemy, psie – cedzi elfowaty albinos. – Bierzemy, co nasze! Wasz mistrz i świat zrobili z nas bestie, a jest jedno prawo dla bestii. Silny zabiera słabemu. I pewnego dnia weźmiemy też całe miasto! Niedługo nadejdą bogowie i wyrównają krzywdy. Prawdziwi bogowie. A ty będziesz skamlał i wykrwawiał się w pyle pod ich ołtarzem.

Wyciąga dłoń i odpycha kupca, a potem odwraca się plecami i razem z młodocianym złodziejem odchodzą przez rozstępujący się trwożnie tłum.

Stojący pod wrotami kawern strażnicy patrzą groźnie spod okapów kapalinów, ale nie ruszają się z posterunków i nie interweniują. Właściwie słusznie. Kawerny są ważniejsze niż przepychanki na bazarze.

Odczekuję chwilę i wchodzę głębiej w podcień, a potem przeciskam się między straganami i ruszam ich śladem, aktywując Cyfral.

Mutanci wcale nie szli pospiesznie i nie próbowali znikać z oczu. Po prostu maszerowali przez tłum, roztrącając ludzi wokół. Kto nie zszedł im z drogi, dostawał barkiem. Na lądzie coś takiego w dwie minuty skończyłoby się obrażeniem czyjegoś honoru i rąbaniną na śmierć i życie.

Kiedy tłum zaczął rzednieć, chłopak zawrócił na bazar, Minotaur i łuskowaty wsiąkli gdzieś pomiędzy kolumnami w wąskie zaułki, ale Drakkainen nie przejmował się tym, bo uwziął się na albinosa.

Mutant był wysoki i szczupły, obleczony w przybrudzoną biel, więc wydawał się najłatwiejszym do śledzenia obiektem w historii. Wśród ciężkich zieleni, ugrów i brązów ulicy, kosmatych futer i niższych o głowę przechodniów wyróżniał się z daleka jak tasiemiec.

Szedł prosto na wschód, ulicą, która dochodziła do kolejnej, prowadzącej wzdłuż wewnętrznego muru, oddzielającego Kawerny od dzielnicy portowej. W lewo ulica kończyła się ślepo przy skalnej ścianie, w prawo ciągnęła się przy murze w stronę portu i Czatowni. Albinos jednak mógł wejść w jakiś zaułek albo w bramę mijanej kamieniczki. Mógł skręcić w prawo i przejść przez Bramę Ryb do portu, wrócić do centrum Kawern albo diabli wiedzieli co jeszcze.

Co gorsza, targowisko pod podcieniami kończyło się za kilkadziesiąt metrów i dalej było niemal pusto. Kiedy będą jedynymi przechodniami na pustej ulicy, dyskretna inwigilacja stanie się co najmniej problematyczna.

Albinos zatrzymał się przy grupce trzech odmieńców i zamienił z nimi parę cichych słów, a Vuko w tym czasie kupił koszyk na jednym straganie i wrzucił do niego garść bulw, suszoną rybę i kilka jakichś pokręconych wodorostów przypominających kłąb splątanej taśmy filmowej. W dalszą drogę wyruszył już jako ktoś niosący zakupy, mając nadzieję, że albinos w razie czego będzie się rozglądał za idącymi bez wyraźnego celu. Jeśli ktoś nie jest wyszkolony w technikach śledzenia, a ma poczucie, że ktoś go obserwuje, z reguły eliminuje z grona podejrzanych przechodniów

robiących coś konkretnego. Targających sprawunki, malujących parkan, wlokących wózek z towarami. Szuka wzrokiem ludzi pałętających się swobodnie, czających się po kątach, czekających nie wiadomo na co. Pod warunkiem, że jest nowicjuszem albo pochodzi ze świata, w którym raczej tropi się po śladach wśród lasów i gór, a nie śledzi kogoś na ulicy.

Vuko szedł miarowym, celowym krokiem, jakby zmierzał do domu z koszem zakupów, od czasu do czasu zerkając na białą sylwetkę spod kaptura. Uliczka zrobiła się pusta i wyraźnie słyszał skrzypienie śniegu pod nogami tamtego oraz własne kroki.

Zmierzch zgęstniał, zaczął zmieniać się w ciężki zimowy zmrok. Samotny albinos dotarł do końca uliczki dobiegającej pod kątem prostym do większej alei ciągnącej się wzdłuż muru i skręcił w lewo, nie oglądając się przez ramię. W stronę, w którą Podmurna kończyła się ślepym zaułkiem w skalnej ścianie, a po drodze było niewiele bram i wylotów uliczek. Drakkainen przyspieszył kroku i też skręcił w tę samą stronę, ale w opłotek kilkanaście metrów wcześniej. Znał już topografię tego miejsca i dobrze wiedział, że ta zaprowadzi go do kolejnego zaułka wychodzącego na Podmurną. Wąskie przejście między kamiennymi ścianami było zawalone śniegiem i bryłami pokruszonego lodu, wymieszanego z przymarzniętymi odpadkami. Zimowy bałagan odwalono tylko tam, gdzie przeszkadzał otwierać wąskie ostrołukowe drzwi na tyłach podrzędnych domostw. Okna widywało się tu jedynie na piętrze i były wąskie jak strzelnice, a co parę metrów ściany łączyła pojedyncza belka albo kamienna przypora. Tkwiła dość wysoko nad głową i nie przeszkadzała bardzo, a latem pewnie suszono na niej pranie. Natomiast w razie oblężenia uniemożliwiała wjazd w te uliczki konno. Raczej teoretycznie, bo koncepcja szturmu konnicy na warownię stojącą na wyspie wydawała się raczej wydumana.

Po krótkim wahaniu odrzucił swój koszyk z tajemniczymi wiktuałami i dobrnął do skrzyżowania zaułków.

– Cyfral, wyjrzyj i sprawdź, czy jest czysto, a potem sprawdź, co robi albinos – zarządził.

– Do wylotu ulicy jest za daleko – oznajmiła nadąsanym tonem. – Nie jestem sokołem, dwadzieścia metrów od ciebie tracę spójność.

– Spójność... – powtórzył Drakkainen. – Jasne. Wyjrzyj przynajmniej, czy nie dostanę po łbie tuż za rogiem.

Sięgnął pod połę i namacał rękojeść maczety, powieszonej dość nisko na plecach rękojeścią w dół, po czym odblokował zatrzask.

– Czysto – oznajmiła Cyfral.

W drugim zaułku leżało mniej śniegu, za to więcej śmieci. Baryłek z połamanymi klepkami, jakichś obierków i skórzanych strzępów sztywnych od mrozu, poobtłukiwanych glinianych dzbanów.

Wyprzedziła go, kiedy zbliżał się do wylotu, i śmignęła nad głową niczym neonowy motyl.

– Zniknął – zameldowała po chwili.

– *Perkele*, *da piczki materi* – oznajmił ponuro Vuko. – Zniknął. Oczywiście.

Wyjrzał zza narożnej przypory, ale albinosa istotnie w uliczce nie było. Nie było też słychać kroków ani w ogóle niczego.

Vuko przeszedł się wzdłuż ścian budynków, obserwując uważnie progi i otoczenie kilku bram wejściowych, a potem powędrował w kierunku zbocza, tam gdzie Podmurna kończyła się ścianą ozdobioną zepsutą gazową latarnią sterczącą ze skały jak dziwaczny zeschły kwiat.

Z lewej strony za rogiem skała i ściana budynku utworzyły surrealistyczny chaos gotyckiej architektury.

Ostrołukowe przypory splecione z gzymsem i portalem owiniętym wokół rozety, wszystko najeżone pinaklami i czołgankami, na tym rozciągnięta i wykręcona spazmatycznie przyrośnięta do ściany kolumnada, a w samym rogu spirala schodów wbijająca się poziomo w ścianę jak odcisk głowicy wiertniczej, kończąca się niskimi wrotami tkwiącymi ukośnie, do góry nogami w ścianie. Wszystko razem wyglądało, jakby ktoś wrzucił do wirówki kawał katedry albo jak architektoniczny odlot na kwasie.

Błędy ziarna. Sporo tu znajdowało się takich miejsc. Proces, który kazał płynącej lawie utworzyć gotowy zamek, działał jak coś żywego, przypominającego biosyntezę i sterowany wzrost kryształów zarazem. I czasem generował błędy, przynajmniej z użytkowego punktu widzenia. Na co komu korytarz będący negatywem wieży, ciągnący się w skale, nagwintowany schodami, z oknami patrzącymi w nicość i kończący się ślepo stożkiem będącym wewnętrzną częścią jej hełmu albo schody wyglądające jak z albumu figur niemożliwych? Tam, gdzie Fjollsfinn dokładnie przemyślał konstrukcję i miał konkretne życzenia, zamek

funkcjonował i wyglądał normalnie. Tam, gdzie wyobrażał sobie kolejne, nie do końca określone rejony twierdzy, zaklęcie działało samo siłą rozpędu i chwilami było mu wszystko jedno, czy okna tworzą się na podłodze, drzwi dokądś prowadzą albo krużganek jest poziomo i na zewnątrz. Mieli tu dwie wieże, które splatały się ze sobą jak łodygi liany, albo mur obronny zwijający się w spiralę niczym wąż. I masę miejsc, w których można było się zgubić, stwierdzić nagle, że korytarz zagina się pionowo w dół lub robi się coraz niższy.

Tu przynajmniej cały ten surrealizm był na zewnątrz i nikt nie chciałby wchodzić po zwijających się w spiralę schodkach prowadzących do przekręconych o sto dwadzieścia stopni drzwi.

A jednak ktoś próbował, sądząc po kawałkach śniegu na stopniach. Zgniecionych i sprasowanych w płaskie płytki, jakby odpadły od podeszwy buta.

Drakkainen rozejrzał się po pustej ulicy, a potem wspiął się na wykręcony portal i wyjął z kieszeni własnej roboty metalową zapalniczkę, działającą dzięki smoczej oliwie. Po prostu blaszany flakonik z knotem, zamknięty zakręcaną pokrywką. Potrząsnął pojemniczkiem, żeby nasączyć knot, zdjął pokrywkę, zaczekał, aż substancja zareaguje z powietrzem, i zbliżył płomyk do szczeliny pomiędzy drzwiami a ościeżnicą. Języczek ognia załopotał i pochylił się lekko.

Drzwi i okna w twierdzy, zanim użyto ich po raz pierwszy, z reguły były zrośnięte cieniutką warstewką kamienia z resztą. Jeśli chciało się otworzyć drzwi, wystarczyło ostukać je młotem wokół ościeżnicy, a potem solidnie szarpnąć. Jeśli nie było dalszych niespodzianek, powinny się otworzyć bez problemu, jednak do tego czasu powinny być przyrośnięte i nic nie mogło stamtąd wiać.

Odwrócone wejście było zaopatrzone w zawiasy, które wyglądały zupełnie prawidłowo i gdyby drzwi stały normalnie, powinny działać bez zarzutu. Najczęściej otwory drzwiowe były puste, zaślepione tylko cieniutką taflą bazaltu i zaopatrzone w połowę zawiasów. Tłuczono kryształ i wieszano normalne drewniane skrzydło drzwiowe z kutą drugą częścią zawiasów, znacznie praktyczniejsze i lżejsze. Ale kamienne drzwi, takie jak te, też się zdarzały.

Usiłował dociec, dokąd mogą prowadzić, jednak nie miał pojęcia. Mur, w którym się otwierały, oddzielał tę uliczkę od strzeżonych wejść do

Kawern i na pewno nie było tam żadnych przekręconych drzwiczek na ścianie, dwa metry nad chodnikiem. Potem mur wspinał się nad kolumnadą kawern i otaczał wyższy poziom zamku, na tarasie wyciętym w zboczu, chyba to była niezamieszkała dzielnica, lecz nad nią znajdował się kolejny mur i kolejny taras i nie był pewien, która jest która. Poszczególne części zamku mimo labiryntu budynków i plątaniny zaułków były w pewnym sensie do siebie podobne i łatwo było stracić orientację. Wykręcone drzwi w murze równie dobrze mogły prowadzić w głąb góry albo gdziekolwiek.

Przekręcił się w otoczonej schodami, zębatej od stopni wnęce, zapierając nogą jak w skalnym kominie, i nachylił do drzwiczek.

Klamki nie było, tylko wytłoczony w skalnej płycie ornament, przypominający ozdobne okucia i główki ćwieków.

– Przydałaby się jakaś flaszeczka „wypij mnie” albo coś w tym rodzaju – mruknął Vuko.

Dziurki od klucza też nie znalazł. A jednak jakoś te drzwi otwierano. Dostrzegł zawiasy, więc odchylały się na zewnątrz. I szczerze mówiąc, wykładały poziomo, jak właz desantowy, pewnie dałoby się po nich wczołgać do środka, ale nie miał zamiaru teraz tego robić. Chciał tylko sprawdzić, czy w ogóle się otwierają. Rozejrzał się jeszcze raz, ale wydawało się, że jest na tej ośnieżonej ślepej uliczce sam. Budynki od tej strony w ogóle nie miały okien, tylko dwa wąskie wejścia obramowane portalami. Latarni tu nie postawiono, tylko niebo i śnieg mżyły bladym, odbitym światłem.

– Kiedy pomyślę, że tam gdzieś w górach leży mój szwajcarski scyzoryk, to szlag mnie trafia. Poświeć mi, Cyfral – mruknął, wyciągając nóż. Uniwersalne stałe ostrze było za grube, by wejść w szczelinę drzwi, ale w rękojeści prócz węglowego ogrzewacza i rezerwowego krzesiwa miał jeszcze pudełko z drobnymi narzędziami z zestawu surwiwalowego. Haczyki, igły, szydła, nici i małe, płaskie ceramiczne ostrze mogące służyć jako skalpel, z płaską rękojeścią powycinaną w rozmaite kształty, dzięki czemu mogło też być kluczem płaskim, śrubokrętem, piłą albo miniaturowym przecinakiem. Najważniejsze, że było wąskie jak liść i prawie nie do złamania.

Przesunął ostrzem wzdłuż skrzydła drzwi, tam gdzie spodziewał się jakiegoś zamka, ale na nic nie trafił. Obmacał też ostrożnie całe skrzydło,

usiłując znaleźć cokolwiek, co dałoby się wcisnąć, przesunąć albo przekręcić, i też bez rezultatu.

Wylazł z wnęki, rozejrzał się ostrożnie po pustej ulicy, a potem cofnął o krok i krytycznie zlustrował cały pokręcony architektoniczny chaos tłoczący się w rogu.

– To musi być jakiś typowy tani numer, Cyfral – mruknął. – „Patrzysz w lewo, idziesz w prawo, a facet stoi jak wryty, mówisz jedno, robisz drugie, oto przekręt z Kansas City”. Blondas nie miał czasu się z tym gimnastykować. Wszedł od razu jak do siebie. – Przekręcił głowę i spojrzał jeszcze raz. – Wyprostujmy to. Przypuśćmy, że stałoby normalnie. Kolumnada ciągnęłaby się w bok, ten cały bałagan poszedłby w górę i stał się absydą nad portalem, a w takim razie próg od tych drzwiczek wypadłby tu...

Wspiął się znów do wnętrza wnęki i starannie obejrzał ostatni stopień skręconych i zniekształconych schodów, który wypadał ukośnie nad jego głową. Wyjął swój ceramiczny lancet i objechał kamień ostrzem.

– Szczelina chyba jest – wymamrotał. – A gdyby drzwi stały pionowo, to tu by się stąpnęło nogą...

Przekręcił się w ciasnej wnęce i popchnął stopień podstawą dłoni. Wydawało się, że ustąpił lekko, a za drzwiami coś zazgrzytało. Rozparł się nogami, po czym pchnął lekko drzwi. Ciężkie kamienne skrzydło puściło nagle i opadło na zewnątrz, niemal waląc Drakkainena w głowę. Puścił próg i zablokował je barkiem, a potem delikatnie pchnął na miejsce. Wewnątrz ściany rozległ się kamienny zgrzyt, a potem głuchy stuk. Odwrócone drzwi znów były zamknięte.

Drakkainen wyskoczył z wnęki prosto w niewielką zaspę, a potem przytulił się plecami do muru, wyciągając maczetę.

– Chcesz tam wejść? – spytała Cyfral bezradnie.

– Nie upadłem na głowę. Z marszu, bez wsparcia? Na razie będziemy obserwować. Zobaczymy, kto tam włazi i kiedy.

– Nagle zmądrzałeś?

– Nie stać mnie na radosną improwizację. Za dużo się dzieje naraz.

Przestał mamrotać i zamarł z maczetą w ręku, ale nic się nie stało.

Schował ostrze, wytarł płaszczem resztki śniegu wokół drzwi i zamaskował odciski butów w zaspie, a potem założył kaptur i ruszył w puste ulice, do domu.

Czekali na niego tuż za rogiem, na Podgórnej. Spotkany już wcześniej Minotaur stał na drodze z rękoma splecionymi na piersi, w prowokacyjnej pozie, z parą buchającą z nozdrzy, a jego krokodylowaty kolega wynurzył się z zaułka za plecami Drakkainena.

– Chcę twój płaszcz – zadudnił rogaty gardłowym tonem, ziejąc przetrawionym piwem i jakimś mineralnym smrodem, jakby karbidu.

Nie wiadomo skąd pojawił się neonowy ptaszek, zataczając kręgi nad głową Vuko, jakby chciał go gdzieś prowadzić. Najwyraźniej wiadomość od Fjollsfinna.

– Pięknie – powiedział Drakkainen zmęczonym tonem. – Szkoda, że nie mam komórki. Na pewno akurat zadzwoniłaby mama.

– Chcę twój płaszcz – powtórzył Minotaur z tępym uporem. – I buty.

Łuskowaty zachrzęścił czymś wyjętym z zanadrza. Trzymał w łapach dwumetrowy kawał łańcucha, zakończony podrdzewiałą kulą, która łupnęła ciężko na bruk. Rzecz jasna, to mógł być zwykły bandycki napad. Chuligańska zaczepka coraz bardziej agresywnych mieszkańców Kawern.

Być może.

Rozpiął płaszcz, zrzucił z ramion, robiąc krok w bok, i wyciągnął rękę z okryciem prosto pod pysk Minotaura. Z tyłu dobiegł go szczęk ogniw, a stojący przodem bykowaty rozplótł ramiona, ukazując dwa zakrzywione ostrza.

Zwiadowca wywinął się unikiem, zarzucając Minotaurowi płaszcz na głowę, a potem raptownie zmienił kierunek, żeby skrócić dystans do gadowatego z jego łańcuchem. Tamten rozkręcał właśnie ciężarek na całą długość ogniw i przeciwnik wskakujący mu w zasięg wirującej broni zaskoczył go zupełnie. Drakkainen przechwycił nadgarstek krokodyla, zakładając dźwignię, i obrócił go na spotkanie z rogatym przyjacielem, który rycząc jak prawdziwy byk, ruszył do przodu, zdzierając płaszcz z rogów i wymachując ostrzami. Na chwilę zapanował pat. Vuko obracał się w kółko, zasłaniając się gadowatym, który wciąż ściskał brzęczący łańcuch hurgoczący kulą po kamiennych płytach chodnika, a bykołak skakał dookoła, rycząc, i usiłował dosięgnąć Drakkainena to jednym, to drugim ostrzem. Wyprowadzał błyskawiczne sierpowate pchnięcia to z góry, to z dołu, a Drakkainen szarpał unieruchomionym dźwignią krokodylem, zasłaniając się przed ostrzami, ale i tak jedno cięcie zawadziło mu lekko o policzek, a drugie rozpruło ramię na jakieś pięć centymetrów.

Byk zaryczał nagle i wbił gadowatemu ostrza w boki, przekręcił je i skrzyżował jak ostrza nożyc, wypuszczając tamtemu jelita, a potem rozłożył ręce na boki, tnąc kumpla z obu stron po łuskowatym gardle.

Vuko odskoczył, sięgając za plecy i kopiąc konającego krokodyla Minotaurowi pod nogi, a potem wbił mu maczetę pod gardło. Tamten zatoczył się szeroko po bruku, wydając bulgotliwy, syczący dźwięk, i bryzgając strugami spienionej, ciemnej krwi, zwalił się ciężko na plecy.

Drakkainen osunął się po ścianie, dysząc i buchając parą, i czekał, aż tamten skona. Zgarnął trochę śniegu i przycisnął do rozciętego barku.

Bykołak oddychał chrapliwie i coraz słabiej, za każdym razem prychając z rany strugą rozpylonej krwi, z jego wielkich orzechowych oczu toczyły się ciurkiem łzy, aż źrenice rozszerzyły się nagle i wszystko ustało.

Jaskrawożółty ptaszek Fjollsfinna siedział cierpliwie na gzymsie, czekając, aż Vuko pozbiera się na nogi, znajdzie maczetę i swój sponiewierany płaszcz. Poderwał się na chwilę, a potem znowu przysiadł na gzymsie, kiedy Drakkainen przeszukiwał zwłoki.

– Pracuję teraz, Tweety – wyjaśnił Vuko. – O cokolwiek chodzi, będzie musiało poczekać.

– Jak ty wyglądasz? Co ci się stało w twarz i rękę? – pyta Fjollsfinn, patrząc na mnie niczym na upiora z głową pod pachą ładującego się na kinderbal. – Jesteś cały we krwi!

– Miałem rozmowę z mieszkańcami twojej utopii, nie do końca zadowolonymi z tego, jak się żyje w Lodowym Ogrodzie. A o co chodzi?

– Zaczęła się budzić.

– No i?

– Myślałem, że to ważne.

– Ważne, ale niewiele tu mogę zrobić. Myślałem, że jest zabezpieczona, i ustaliliśmy, że jej nie uświadamiamy. Zapal jej niewielkie światło, niech się nie budzi w ciemnościach. Niech widzi otoczenie i to, że jest przytulne i niegroźne. Ja się muszę opatrzyć, umyć i przebrać w coś mniej pokrwawionego. Jak bardzo się budzi?

– Według pielęgniarki dyżurnej porusza się i zaczyna otwierać oczy.

– No, to jeszcze potrwa – wyrokuję, krwawiąc na podłogę. – Każ jej dać wody i coś od bólu głowy. Z tego, co wiem o drętwej wodzie, wywołuje upiornego kaca.

Niecałą godzinę później zbieram wszystkich w wielkiej białej sali, którą zaanektowałem na centrum dowodzenia. Mamy tu stół i krzesła, kominek, przez rząd kryształowych okien w dzień wpada dość światła, a teraz płoną i cicho syczą lampy gazowe.

Na dębowym prostym stole biesiadnym króluje teraz mój podarty płaszcz pokryty bryzgami i plamami krwi, a na nim leży skromny dobytek obu nieszczęsnych mutantów. Jestem wykąpany i przebrany, na policzku i barku czuję, jak ciągnie skóra maźnięta klejem komórkowym, a w miękkim świetle leżą na podartym suknie odpowiedzi. Enigmatyczne, jak proroctwo zawarte we wnętrznościach ofiarnej owcy.

Dwa zakrzywione ostrza, łańcuch z kulą na końcu, dwie sakiewki pełne drobniaków, mały kuty nóż, nie większy od palca, schowany do połowy rękojeści w grubej skórzanej pochwie, kawałek węgla drzewnego, kawałek kredy i owinięty w szmatę słoik tłustego czerwonego barwnika. A także niewielki, zmięty rulon pergaminu pokryty znakami. Kilka prostych geometrycznych symboli i kilka wersów napisanych w różnych alfabetach.

– Co jest z tymi mutantami, Fjollsfinn? – pytam. – Niektórzy mieszkają tu, w górnych dzielnicach, widziałem też takich w twojej straży

przybocznej. Czym się różnią od tych w Kawernach i Łasztowni?

– Chęcią. W tamtych portowych dzielnicach wcale nie mieszkają tylko mutanci. To są miejsca, w których mogą mieszkać nieobywatele. Ci, którzy są przejazdem albo nie decydują się na próbę Ogrodu. To nie dyskryminacja. Nie są tam zamknięci, po prostu tam mieszkają. To dobrowolny wybór. Między innymi mutanci. Tacy się rodzą, pewnie w pobliżu uroczysk. Są też takie miejsca na świecie, gdzie są hodowani jako niewolnicy o specjalnych zdolnościach. Nie tu. W Ogrodzie nie ma niewolnictwa.

– A ci Odrzuceni przez Drzewo? O co tu chodzi? – Celuję w Norwega cybuchem fajki, jakbym trzymał pistolet.

– To nieliczne epizody. Czasami w kontakcie z mocą Ogrodu dochodzi do niekontrolowanego procesu, którego efektem są zaburzenia i wypadki autometakreacji. Ci, którzy chcą dołączyć do Braci Drzewa, wiedzą, co ryzykują. Podczas treningu w jednostkach specjalnych też zdarzają się wypadki. Opiekuję się nimi. Pracuję nad odwrotnym procesem, żeby ich uleczyć, dostają zasiłki.

– A teraz zaczynają się buntować – wyrokuję. – I ktoś ich umiejętnie podburza. Kto umie przeczytać te wersy?

– To w drugim rzędzie jest w ceremonialnym amitrajskim – mówi Filar. – „Wiosną powrócą prawdziwi bogowie”.

– A te są po naszemu – zauważa Grunaldi. – „Nadciąga ognisty Wąż”. „Z morza nadejdzie gniew”. „Jest jedno prawo dla bestii: słabi będą pożarci”. „Miasto dla wszystkich bestii”, to jakiś nieudany wiersz?

– Twoi mutanci nazywają siebie „bestiami” – wyjaśniam Fjollsfinnowi.

– „Ogień pustyni przybędzie z morza” – odzywa się powoli Filar. – I znam ten znak. To przecięte kółko. To Podziemne Łono. Tak było w moim mieście, zanim upadło. Zanim moim krajem zawładnęła Podziemna Matka. Widziałem przedtem te znaki na murach, malowane ochrą i wycinane na ciałach pomordowanych. I podobne napisy, tylko tam było: „Ogień nadejdzie z pustyni”.

Zapada cisza.

– Ale po co nosił to wymalowane na kawałku skóry? – odzywa się Warfnir. – Żeby nie zapomnieć czy jak?

– To znaczy, że nie umiał pisać. Nosił przy sobie węgiel, farbę i kredę, a potem przerysowywał znaki na ścianę. Trzeba sprawdzić, czy takie napisy

pojawiają się na murach. Musimy wziąć pod obserwację Kawerny. Sprawdzić, co jest za odwróconymi drzwiami. Fjollsfinn, potrzebuję map i jakichkolwiek planów Ogrodu.

– Kawerny nie są duże – zauważa Filar. – Jeśli poślemy tam za dużo szpiegów, szybko się zorientują. To ja powinienem tam iść. Mieszkałem już przy porcie, znam tę dzielnicę i nie wzbudzę podejrzeń.

Waham się przez chwilę.

– Ale nie pójdziesz sam. Weź N’Dele, w końcu to twój człowiek. Samemu się tam niczego nie zdziała. A jak się ma ten twój przyjaciel z Doliny Bolesnej Pani, były koziołek?

– Jego umysł nadal śpi. Prosiłem już mistrza Fjollsfinna o pomoc, ale on nie wie, co zrobić, i boi się czynić, bo mógłby zamienić Benkeja w potwora.

– Już kiedyś obudziłeś go z takiego stanu.

– Nie z takiego. Wtedy żył życiem doliny i można było się z nim dogadać, choć z trudem. Teraz tylko leży i wodzi oczami albo siedzi pod ścianą i gra tę przeklętą modlitwę do Bolesnej Pani. Próbowałem tego, co wtedy, i nawet na mnie nie spojrzał.

Patrzę na Filara przez chwilę, bo coś mi przychodzi do głowy, aczkolwiek nie w bezpośrednim związku z Benkejem.

Potem patrzę na stół. Na rulony map, płaszcz z dobytkiem po mutantach, złowrogie klątwy w kilku alfabetach. Brakuje tylko „Mane tekel fares” albo „Aleho he polis” z murów oblężonego Konstantynopola.

Kiełkujący bunt w Kawernach, rosnąca w siłę dziwaczna obłąkana armia van Dykena, otoczona fanatycznymi wyznawcami Freihoff w swoim pustynnym imperium półtora tysiąca kilometrów stąd, zima, oblężony Dom Ognia, zaginiony człowiek Filara, Sylfana leżąca wciąż z powoli zamykającą się raną w boku, Passionaria Callo w swojej celi, zamieniona w magiczną głowicę termojądrową, która właśnie zaczęła syczeć i tykać, tysiąc okrętów, które nadciągną wiosną. Usiłuję to wszystko ogarnąć i poukładać. Nie szkolono mnie do strategii na skalę globalną. Przysłali mnie, żebym przeprowadził drobną, chirurgiczną operację. Odnalazł kilkoro zaginionych Ziemian, odbił ich z jakichś piwnic albo z otoczonych drewnianą palisadą leśnych fortów, zatarł ślady i posprzątał, a potem zaprowadził personel do punktu ewakuacyjnego na Pustkowiach Trwogi,

jak stadko owiec, odpalił radiolarię i poczekał na prom. Szybko, łatwo i dyskretnie.

SNAFU...

Tak mawiano od dwóch wieków w wojsku. *Situation Normal – All Fucked Up*.

Tradycja. Stara i ugruntowana. SNAFU. Spotkanie teorii i praktyki. Taki kryptonim powinna mieć moja operacja.

Wieczorem siedzę przy łóżku Sylfany, patrzę na jej piękny i obcy profil w mdłym blasku olejowej lampki i słucham jej oddechu. Za oknem wiatr tłucze w kryształowe szyby, miota kłębami śniegu po dachach. W oddali słychać, jak fale eksplodują na skałach klifu i łamią się na pirsach awanportu. Kiedy wiatr przycicha, słyszę, jak kapie woda z sopli. Jak przesypuje się piasek w klepsydrze.

Plan zajmuje cały stół. Jest piękny, iluminowany wszystkimi kolorami tęczy i poznaczony cienkimi liniami pociągniętymi tuszem za pomocą precyzyjnie zaostrzonych piórek wykonanych z trzciny. Pachnie jeszcze atramentem z gruczołu sepiowego jakiegoś stwora. Prosto ze skryptorium. Fjollsfinn ma tu pracownię, gdzie umieścił kilku swoich utalentowanych poddanych, z których zrobił mnichów kopistów. Przepisują mu księgi, plany, rysunki techniczne i robią mapy.

– Jest piękny, ale trochę to schematyczne. Widać tylko zewnętrzną część twierdzy z lotu ptaka. A ja chcę wiedzieć, jaki jest rozkład korytarzy, sieć kanałów i jaskiń.

– To, co wiem, masz tutaj. – Przysuwa w moją stronę niewielką stertę kart pergaminu poznaczonych brązowymi liniami schematów.

– Jak to: to, co wiesz? Nie znasz własnego zamku?

– Oczywiście, że znam. Te części, które pamiętam, te, które dokładnie wymyśliłem i zaprojektowałem. Program ziarna jest jak żywa istota. Nie wiem, w jaki sposób uzupełnił brakujące miejsca albo gdzie zaczął działać chaotycznie. W tych rejonach, które obecnie są czynne, wszystko jest znane, działa jak należy i jest na tych planach. Poza nimi przebieg korytarzy, przejść i budynków może być regularny lub losowy. To jak stworzenie topografii dziur w serze bez krojenia go na plasterki. Zamknięte

części twierdzy trzeba by badać niczym kompleks jaskiń. Kiedyś to zrobię, ale na razie po prostu nie było czasu.

– A wewnątrz góry? Tam, gdzie wpływają okręty?

– Tam są doki, spichrze, szkutnie, kuźnie, cysterny i warsztaty. Tam budujemy sprzęt, prowadzimy eksperymenty nad metakreacją i produkujemy broń. To ściśle strzeżone rejony.

– I w tych strategicznie wrażliwych miejscach też masz korytarze wiodące nie wiadomo gdzie i przypadkowe ukryte przejścia?

– Zablokowane, zamknięte i pod strażą.

– A instalacje gazowe i wodne? Ktoś je konserwuje?

– Nie trzeba. Są w zasadzie bezobsługowe, musimy tylko pamiętać układ zaworów.

– Zaworami na razie nie będziemy się zajmować – odpowiadam, patrząc na plan i usiłując zlokalizować kąt między murem a ścianą, gdzie znalazłem tajemnicze drzwi.

Uparłem się.

Uparłem się czepiać nędznej przesłanki – jakichś drzwi w ścianie, jakiegoś albinosa, jakichś plotek i przeczuć, napisów na ścianach. Bo nie mogę znieść bezczynności. Poczucia zapędzenia w kozi róg. Czekania. Zimowej martwoty, która zamraża tu nawet wojnę. Tu się nie da prowadzić operacji na większą skalę niż nasza wycieczka do Doliny Bolesnej Pani. Nikt tu nie toczy wojen zimą, bo to niemożliwe. Przy tym poziomie technologicznym, kiedy wojna w ostatecznym rozrachunku sprowadza się do walki wręcz ludzi wyposażonych w żelazne narzędzia, zaopatrzenie to logistyczne błędne koło. Wojsko musi jeść, musi się ogrzać. Musi nakarmić zwierzęta, więc potrzebne są tabory. Ciągnione przez woły i osły. Zarówno zwierzęta pociągowe, jak i taborowi też potrzebują paszy, jedzenia, wody i opału. Więc potrzebne są tabory do taborów. Armia wymarznie w namiotach, ugrzęźnie w śniegu. Każdy przemarsz przyniesie tyle strat co bitwa. Dlatego zima to czas zerowy. Przerwa. Można tylko zaszyć się z zapasami pod suchym dachem, grzać się przy ogniu i czekać. A ja nie mam czasu czekać. Nie mogę znieść dźwięku kropli spadających z sopli.

Dlatego będziemy zajmować się kiełkującą w Kawernach piątą kolumną. Szukać guza. Wnikać za ukryte drzwi. Penetrować zamknięte dzielnice. Niech coś się wydarzy. Może uda się kogoś sprowokować.

– Fjollsfinn, potrzebujemy wyposażenia jak do badania jaskiń. Przygotuj więcej tych bioluminescencyjnych latarek, środki opatrunkowe i pomyśl o jakimś systemie łączności oraz inwigilacji. Muszę mieć coś, co pozwoli mi podsłuchiwać przez ściany, jakiś sprzęt do obserwacji. Rusz magią i coś wymyśl. Noktowizory, kamery obserwacyjne, mikrofony kierunkowe. Coś do neutralizacji magii. Filar i N’Dele, bierzecie przebrania i dyskretną broń, łatwą do ukrycia. Weźmiecie też drętwą wodę i kilka nietoperzy. Teraz wasze legendy: Obaj chcieliście zostać w Lodowym Ogrodzie. Filar, ty jesteś Amitrajem i wyznawcą Podziemnej Matki. Nie podoba ci się to, że mieszkańcy Ogrodu łamią Kodeks Ziemi, kwitnie tu indywidualizm, handel i rozpasanie. A najbardziej drażni cię mistrz Fjollsfinn, który nie jest prawdziwym Czyniącym. Ogród jest bezbożny i tak dalej, a ty szukasz prawdziwej religii. Próba nawrócenia cię na wiarę w Ogród była dla ciebie obelgą. Łaź po tawernach, pij tylko napary, psiocz i narzekaj. Powtarzaj wszystkim, że w Amitraju jest zupełnie inaczej, ludzie są bogobojni, znają swoje miejsce, są równi przed boginią, że świątynia jest sprawiedliwa, prorokini robi cuda, uzdrawia i tak dalej. Znasz te bzdety lepiej ode mnie. Teraz N’Dele. Jesteś najemnikiem szukającym pracy. Chciałeś zostać Bratem Drzewa, ale nie przeszedłeś próby. Może cię nie zniekształciło, ale i tak jesteś chory. Śnisz koszmary, jesteś słaby jak dziecko, boli cię w wątpiach. Może masz jakieś omamy. Uważasz, że Fjollsfinn cię oszukał, jego obietnice, że znajdzie lekarstwo, to kłamstwo i poszukujesz prawdziwego uzdrowiciela. Czyniącego medyka, który postawi cię na nogi. Poza tym pałasz żądzą zemsty.

– Zabiorę mój kij szpiega i nóż tropiciela – powiada spokojnie chłopak. – Niczego więcej nie potrzebuję.

Rozdział 5

Kawerny i Nosiciel Losu

Są miasta piękne jak klejnot
i skarbce większe niż grody,
raje na wyspach szczęśliwych,
gaje, co słyną z urody.

Są twierdze mocne jak skała,
skały jak zamki warowne,
na całym świata przestworze
cuda znajdziesz czarowne.

Są rzeki szersze niż niebo
i trakty wartkie jak rzeka,
lecz samotnemu na szlaku
do szczęścia droga daleka.

(Pieśń skalda, Wybrzeże Żagli)

Kiedy przed miesiącami napotkany przypadkiem na rzece okręt, na który nająłem się jako wioślarz, przywiózł mnie do Lodowego Ogrodu, zaczął się dla mnie okres dziwnego życia. Wszystko zrobiło się dwoiste i nijakie, jakbym co chwila trafiał na rozstaje. Przede wszystkim zostałem porwany i nie porwany. Prawda, że okręt, na którym wiosłowałem, minął ujście i popłynął na pełne morze, rozwijając żagle i sunąc wprost na północ. Ale też nikt mnie nie spętał ani nie uwięził. Mąż, który dowodził tym okrętem, Arvin Psi Cień, nawet nie wyjął kciuków zatkniętych za pas, kiedy groziłem mu dobytym z kija szpiega mieczem.

– Chcesz, skacz za burtę – oznajmił. – Brzegi jeszcze widać, choć trzeba się nieźle wytężyć, żeby je podziwiać. Sądzę też, że dopłynięcie do plaży w samym ujściu rzeki nocą to niezłe wyzwanie. Możesz też z nami walczyć i jasne, że cię zabijemy, choćbyś ciął jak demon, bo jesteś jeden, a nas wielu. Na tej łodzi płynie jeszcze dziesięciu innych, których zgarnęliśmy ze szlaku, i wszyscy mają taki sam wybór. Mianowicie płyń z nami na północ, do grodu na wyspie, który zwą Lodowym Ogrodem, a gdzie mieszkają Ludzie Wulkanu. Są bogaci i ich port jest pełen cudów, jakich nie widziałeś w miastach Południa, ale wielu rzeczy im brakuje, a wśród nich nie tylko skóry, wosku, drewna, wołów, żelaza, smoczej oliwy i zboża, ale także ludzi, bowiem uważają, że jest ich niewielu. Zarówno mężowie, jak i niewiasty to coś, za co Ogród płaci srebrem.

Na te słowa uniosłem miecz wyżej i musiałem zmienić się na twarzy, bo Psi Cień cofnął się trochę i wysunął do mnie dłonie, a jego towarzysz chwycił inaczej długi topór, na którym się wspierał.

– Nie sprzedam cię w niewolę. Zawieziemy cię jedynie do miasta, które za ciebie zapłaci, z czego sam otrzymasz od nas dwie marki srebrem, a potem pójdziesz, gdzie chcesz, jako człowiek wolny. Tak tam postępują, a dlaczego, to już nie moja rzecz. Wybieraj więc: woda za burtą, w której znajdziesz się w całości lub w częściach, albo podróż na północ na dwa sposoby: przymusowo i za darmo, lub też z dobrej woli za dwie marki srebra. Spójrz, oto w jednym ręku mam róg morskiego miodu, w drugim zaś miecz. Tak jak twoi Księżycowi Bracia, jestem i tym, i owym naraz. Wybieraj.

Nie podobało mi się to, ale rozumowaniu żeglarza niewiele mogłem zarzucić, schowałem więc miecz i sięgnąłem po róg. Zginąć zawsze jeszcze mogłem, wybrałem zatem podróż ze względnymi wygodami i obietnicę

dwóch marek srebrem za sprzedaż samego siebie, po której miałem pozostać wolny.

Nie bardzo mogłem pojąć, o co tu chodzi, ale było też prawdą, że gdyby wysadzili mnie u ujścia tamtej rzeki, także nie wiedziałbym, co dalej począć i dokąd pójść. Gdyby się okazało, że to pierwsza rzeka od zachodu na ziemiach Wybrzeża Żagli, mógłbym czekać na moich ludzi, ale kto wie jak długo. Co miałbym tam robić? Siedzieć miesiącami na piasku? Mógłbym może mieszkać w szałasie i łowić ryby, ale wzdłuż rzeki i jej nurtem ciągnął szlak handlowy, dalej na wschód były jakieś osady i nie upłynęłoby dużo czasu, zanim ktoś zacząłby mi się naprzykrzać. Do tego szła jesień, po niej zaś zima. Widziałem, jak tu wyglądają zimy, i nie chciałem stawiać jej czoła w chatce z kijów i trzciny. Dotąd nie widziałem tu żadnych miast, lecz zdawało mi się, że cokolwiek tak nazywał Psi Cień, łatwiej tam będzie o ogień i schronienie niż na zasypanym śniegiem pustkowiu nad zamarzniętą rzeką.

Zachowałem więc swój hamak pod pokładem, gdzie w żelaznej misie na zawiasach żarzyły się węgle, oraz prawo do chleba i miski gorącej zupy z kotła.

Najbardziej zaś przemawiało do mnie to, że byłem Nosicielem Losu. Dotarłem do kresu podróży, którą zlecił mi mój ojciec, a dalej miał upomnieć się o mnie los wszystkich Kirenenów, jeśli wierzyć Mrokowi, delikatny jak pajęcza nić, którą łatwo zerwać. Traf wiódł mnie do Lodowego Ogrodu, czymkolwiek było to miejsce, więc postanowiłem mu zawierzyć. Tak prowadziła moja ścieżka, zatem nią kroczyłem.

Cały czas obawiałem się, że znowu trafię w niewolę, zwiedziony naiwną bajką, w której na próżno doszukiwałem się sensu, ale na to niewiele mogłem poradzić.

Po paru dniach przybiliśmy do jakiejś wyspy, na której stała rybacka osada i cały brzeg zasłany był ogromnymi kośćmi morskich potworów. Ktoś układał je w wielkie stosy, każdy rodzaj osobno, a ci, którzy tam mieszkali, budowali z nich też szkielety swoich domostw oraz łodzie. Na przystani stało sporo statków o wysokich burtach, innych niż ten, na którym przypłynęliśmy. Co jakiś czas pojawiał się kolejny, holujący następne ogromne cielsko o długiej szyi i ogonie, pokryte zębatym pancerzem, w płytkich wodach zatoki uwijali się ludzie, którzy za pomocą ostrzy na długich drzewcach ćwiartowali potwory na kawałki, na kamienistej plaży

płonęły ogniska, a w nich w żelaznych kotłach łowcy topili kawały białego tłuszczu wyrąbywanego z cielsk, zatoka była szkarłatna od krwi, jakby toczyła się tam straszliwa bitwa, a nad całą przystanią unosił się potężny fetor spalenizny, padliny i wytapianego oleju. Nad tym wszystkim miotały się stada morskich ptaków, wrzeszcząc przeraźliwie, a w głębszych wodach za rafami obramowującymi zatokę kłębiły się inne drapieżne ryby, niektóre dłuższe od łodzi, o zębatych paszczach, które ściągnął smród krwi.

– Jeśli to według ciebie ma być miasto cudów, których nie znajdziesz nigdzie na świecie – powiedziałem Psiemu Cieniowi – to powinieneś częściej podróżować.

Zaśmiał się na to i nazwał mnie głupcem.

– Lodowy Ogród to coś zupełnie innego. Przecież to zwykła przystań łowców płaskud. Ogród jest zaś cały z lśniącego kamienia, ma sto wież i zębate mury, które wznoszą się wyżej, niż zadrzesz głowę. Tylko że niełatwo znaleźć go wśród tych dzikich wód, wysp i raf. Dlatego przypłynęliśmy tu po przewodnika. Powiadają nawet, że wyspa, na której wznosi się Ogród, pływa, dlatego nie można jej odnaleźć.

Naszym przewodnikiem okazał się posępny jednooki żeglarz, który dobijał targu z mieszkańcami osady, zabierając cały ładunek beczek przetopionego tłuszczu oraz wielkie płaty biało-czerwonego mięsa.

Cieszył się tam wielkim poważaniem, bo płacił żywym srebrem, monetami z wybitym symbolem drzewa o rozłożystych gałęziach, a jego obwieszeni bronią ludzie najwyraźniej budzili respekt. Długi korowód tragarzy wędrował pomostem na jego okręt, podobny do naszego, ale porządniej wykonany, tocząc beczki oleju i dźwigając olbrzymie połcie mięsa.

Arvin Psi Cień rozmówił się z nim, po czym jednooki mąż z dwoma zbrojnymi wsiadł na nasz okręt i obejrzał wszystko bardzo uważnie. Zszedł do ładowni, obejrzał walce wosku oraz buły żelaza ułożone zamiast balastu, a na koniec zapytał o ludzi.

– Tamten młody mąż ma na ręku znak wolności – rzekł, wskazując na mnie. – Lepiej nie sprowadzaj ludzi przemocą. Pamiętaj, że w Ogrodzie niewolenie ludzi na handel karze się śmiercią. Dostaniesz zwrot kosztów za przywiezienie ochotników do miasta, tylko jeśli płyną z dobrej woli. – A potem oznajmił gromkim głosem: – Kto chce, może teraz zejść z tej łodzi. Otrzyma pieniądze, żeby opłacić sobie miejsce na jednym ze statków,

które przypływają tu po morski olej, i wrócić na Wybrzeże, a ja odbiję to sobie na tobie, Arvinie, jeśli chcesz dalej handlować z Lodowym Ogrodem. Wiesz bowiem, jakie rządzą tym handlem zasady.

Nikt jednak nie skorzystał z tej możliwości, bowiem wszyscy, których Arvin zwabił na swój pokład, byli samotnymi wędrowcami ze szlaku i jeżeli nawet mieli przed sobą jakiś cel, to najwyraźniej nie był pilny. Wszyscy uznali też, że warto odwiedzić miasto o stu wieżach, które zapłaci im srebrem za to tylko, że się tam pojawią.

Na koniec kupiec oznajmił, że mamy płynąć za nim, wypatrując jego żagla z symbolem drzewa, i w taki sposób trafiliśmy do Lodowego Ogrodu.

Kiedy ujrzałem go z pokładu trzeciego dnia o świcie, który malował różowy blask na lśniących od bazaltu dachach i sterczących w niebo wieżach, patrzyłem jak urzeczony. Twierdza wyglądała zupełnie inaczej niż miasta i warowne grody, które zostawiłem za sobą w Amitraju. Inne były dachy, hełmy wież, korony murów, kształty budynków. Lodowy Ogród widziany z morza wydawał się bardziej zwarty, kolczasty i twardy niż jakiekolwiek miasta w moim kraju. Był jak zwinięty w kłębek, gotowy do ataku smok albo zakuty w żelazo oddział ciężkiej piechoty, zastawiony ze wszystkich stron tarczami, osłonięty kopułami hełmów i najeżony ostrzami włóczni.

U nas wszystko było niższe, szersze i bardziej masywne. Sprawiało wrażenie ulepionego z gliny i w gruncie rzeczy właśnie tak było. Miało kolor piasku i ochry bądź oślepiającą biel wapna. Dachy były płaskie, bo toczyło się na nich życie. Ulice wąskie, by zawsze tonęły w cieniu, a reprezentacyjne aleje obramowane kolumnadami, by chronić przechodniów przed słońcem. Tam, w Maranaharze, Jarmakandzie czy Kangabadzie, miasta były budowane z powodu słońca. Miały dawać cień. Na płaskim dachu można było liczyć na orzeźwiający powiew wiatru. W cieniu ulicy skryć się przed skwarem. W ciemnym domu, za grubymi glinianymi murami o niewielu wąskich oknach, znaleźć odrobinę zachowanego nocnego chłodu. Mury naszych miast były znacznie niższe, ale grube i masywne, podobnie jak donżony i barbakany. Okładano je wzorami z barwnych ceramicznych płytek odpornych na ogień i kamiennymi płytami, budowano z wielu warstw – ciężkich i luźnych oraz twardych i sztywnych, by wytrzymywały impet pocisków z bojowych machin, wieńczono wymyślnymi blankami o kształcie półksiężyców lub

obłych garbów, ale od wieków nikt tych ścian nie szturmował. Nasze miasta chełpiły się murami, lecz ich nie potrzebowały. Były chronione przez niewidzialny mur cesarskiej armii, ciągnący się pomiędzy kwadratowymi twierdzami garnizonowymi rozsianymi po całym ogromnym kraju. Przez tymeny piechoty, jazdy i wozów bojowych, które mogły na jedno skinienie wznieść żelazną ścianę z tarcz, machin i ostrzy, gdziekolwiek było trzeba. Dachy państwowych budynków wieńczyły kalenice z ostrych bawolich rogów na pamiątkę koczowniczych namiotów, wszędzie też powiewały zębate proporce przypominające o istnieniu władzy. Nasze miasto rozsiadało się na dużej połaci, ciężko i nieruchomo, jak odpoczywający w kucki stepowy koczownik ani na chwilę nieodkładający broni. Zajmowało cały teren i mówiło: „Ja tu rządzę”. Patrzyło się na nie i myślało: „Władza”.

Lodowy Ogród zapierał się plecami o górę, najeżał setką grotów, osłaniał lśniącym pancerzem i mówił: „Nie przejdziesz”. Kiedy na niego spojrzałem, pomyślałem: „Schronienie”.

Inni, z którymi podróżowałem, najwyraźniej także nigdy nie widzieli niczego takiego, bo stali obok mnie na pokładzie z otwartymi ustami.

Nasz statek wpuszczono do wielkiego, zamkniętego zewsząd kamiennymi pirsami basenu, gdzie rzuciliśmy kotwicę i czekaliśmy wśród innych łodzi i okrętów. Gdziekolwiek spojrzałem, napotykałem wzrokiem ciężkie machiny bojowe, przy których stali zbrojni i płonął ogień w żelaznych koszach. Coś mi mówiło, że mogliby w każdej chwili zatopić nas na wiele sposobów, ale nic się nie działo. Po jakimś czasie przysłano do nas wiosłową łódź, a w niej wyższego rangą męża w asyście kilku zbrojnych, którzy przejrzeli ponownie nasz ładunek i przeszukali bezceremonialnie cały okręt. Psi Cień nie protestował, najwyraźniej spotykał się wcześniej z takim traktowaniem i uznał, że opłaci mu się zachować pogodę ducha.

Przybyli mężowie nosili się trochę inaczej, niż dotąd widziałem na Wybrzeżu Żagli, wszyscy mieli też narzucone na wierzch białe tuniki z wyhaftowanym wizerunkiem drzewa, a zachowywali się tak, jakby nie widzieli żadnego z nas, tylko myszkowali po pokładzie. Kiedy uznali, że mogą nas wpuścić, kazali nam zwinąć cały takielunek i usiąść do wioseł, po czym jeden z nich stanął przy sterze, a drugi poszedł na dziób. Nasz statek ruszył ciężko popychany wiosłami i bardzo powoli popłynął do główek

portu chronionych kolejnymi murami, przysadzistymi basztami i balistami stojącymi na kamiennych parapetach. Drogę zamykał nam największy łańcuch, jaki w życiu widziałem, o kolczastych ogniwach długości rosłego męża, który osunął się w wodę, kiedy przepływaliśmy. Gdyby go nagle napięto, przeciąłby statek na pół w jednej chwili.

Skierowali nas do jednego z portów wewnętrznych, otoczonych murami, gdzie na nabrzeżu wznosiły się zabudowania twierdzy oraz wysokie drewniane żurawie. Używano ich do rozładunku, choć równie dobrze mogły posłużyć do spuszczenia na pokład ogromnej, okutej prażnicy w kształcie kafara albo wylać maźnicę pełną płonącego oleju.

W końcu zeszliśmy na duży kamienny plac u stóp góry i wznoszących się jeden na drugim pierścieni murów o kwadratowych blankach. Nabrzeże całe było z czarnego kamienia, niby wykute z jednej ogromnej skały, i nigdzie nie widziałem żadnych szczelin ani łączeń kamiennych płyt. Dalej tkwił rząd niewielkich budowli ze szpiczastymi dachami ciągnących się wzdłuż pierwszego muru, po obu stronach masywnej wieży bramnej, która prowadziła do dzielnicy zwanej Łasztownią na tyłach kilku portów, ale wtedy o tym nie wiedziałem.

Po jakimś czasie, który spędziliśmy, siedząc na nabrzeżu lub kręcąc się po nim, by patrzeć na inne statki zacumowane rzędem obok naszego, nadeszło kilku ludzi w zarzuconych na kaftany tunikach ze znakiem drzewa. Przynieśli ze sobą mały składany stół i podobne krzesło na krzyżakach, z siedziskiem z płata skóry.

Jeden mąż zasiadł za stołem, położył przed sobą kartę papieru, butelkę, w której miał rozrobiony tusz, i trzcinkę, a potem zapisał imiona nas wszystkich, pytając, czy przybyliśmy do Lodowego Ogrodu z dobrej woli. Później dali każdemu z nas drewniany amulet z wypalonym znakiem podobnym do okrętu pod żaglami, na którym inny mąż szybko posługujący się metalowym dłutkiem i młotkiem wybił nasze imiona znakami, jakich używano na Wybrzeżu Żagli. Deseczka miała też otwór, przez który dawało się przeciągnąć rzemień i nosić to na szyi albo uwiązać u paska. Powiedziano nam, że z tym znakiem możemy poruszać się po twierdzy, nie będąc jej stałymi mieszkańcami, jednak powinniśmy pokazywać go strażnikom, ilekroć sobie tego zażyczą.

Na koniec jeszcze inny mąż odważył Arvinowi srebro za przywiezienie nas do miasta, a było to warte ponad pięćdziesiąt pięć marek. A każdy z nas,

w tym ja, dostał od Psiego Cienia obiecane dwie marki i rozstaliśmy się.

Urzędnik i jego ludzie zabrali swój przenośny kantor, stół, zydel i kosz z amuletami, a potem kazali nam iść ze sobą. Poprowadzili nas bramą w głąb twierdzy, za pierwsze mury, i wtedy miasto otoczyło nas swoimi wąskimi, wysokimi budynkami, kolumnami oplecionymi kamiennymi liśćmi i czającymi się wśród nich dziwacznymi stworami z kamienia, siedzącymi na narożnikach oraz gzymsach. Wszystko tam zdawało się ostre, kolczaste i skierowane ku niebu. Wszystko, nawet odrzwia i okna, zakończone było szpiczastymi łukami, obrośnięte jakby pąkami skamieniałych kwiatów i oplecione plątaniną rzeźbionych łodyg.

Szliśmy szeregiem, z zadartymi głowami, gapiąc się na te cuda, i niewiele do siebie mówiliśmy, bo podczas niezbyt długiej podróży nie nawiązała się między nami jakaś większa zażyłość. Każdy zbyt był pochłonięty własnymi sprawami i niepewnym losem, który nas tu czekał. Może zresztą to ja byłem zbyt przygnębiony stratą własnych ludzi i pogrążony w zadumie, by cieszyć się nowym towarzystwem. Zauważyłem tylko, że podczas gdy mnie ciekawiło, co widzę, Ludzie Wybrzeża wydawali się zupełnie oszołomieni, zbici z tropu, a nawet, co u nich rzadkie, onieśmieleni i ogarnięci zabobonnym strachem.

Nie poszliśmy wtedy daleko, bo urzędnicy wskazali jakiś dość okazały budynek, jeszcze bardziej strzelający w niebo ostrymi dachami i wąskimi wieżyczkami przypominającymi groty włóczni, i oznajmili, byśmy tam weszli, bowiem miasto chce się z nami przywitać. Zapewnili, że nic nas złego tam nie spotka i że jest to chram miejski, wewnątrz zaś kapłani dadzą nam powitalny poczęstunek i podarunki. Potem poszli sobie we własnych sprawach i nie było przy nas żadnych strażników ani żadnych w zasięgu wzroku prócz dwóch, którzy wsparci na włóczniach nie ruszali się z wieży bramnej, patrząc obojętnie spod swoich nitowanych hełmów podobnych do kapeluszy z szeroką kresą. Nie musieliśmy więc tam wchodzić, ale nikt się nie wahał z powodu tego, co urzędnicy mówili o poczęstunku. Żeglarze pod tym względem są jak dzieci i myślę, że ucieszyliby się nawet z pocisku wyrzuconego z katapulty, gdyby im powiedzieć, że to prezent i że jest za darmo.

Chram oglądany od środka wydawał się jeszcze bardziej strzelisty niż na zewnątrz, rozświetlało go kolorowe światło wpadające przez wąskie, wysokie okna w kształcie grotów włóczni, gdzie pomiędzy szprosami ze

splecionych kręgów umieszczono barwione szkło. Na wprost, w najwyższym miejscu, wznosiło się ogromne, lśniące drzewo, całe ze srebra, zaś pośrodku pnia dostrzegłem podobiznę spokojnej twarzy, ni to kobiety, ni mężczyzny, oraz dwoje ramion podobnych do konarów, które wyciągały się w naszą stronę, jakby chciały przygarnąć każdego do piersi. Przed pniem w wielkiej kamiennej misie płonął ofiarny ogień.

Nic tu nie przypominało podziemi Czerwonej Wieży, a mimo to czułem, że wali mi serce. Po tym, co przeszedłem, nauczyłem się już bać wszelkich kapłanów siedzących w kamiennych świątyniach i przywykłem, że do własnych amitrajskich bóstw modlę się w sercu, a do Stworzyciela wolę wołać wśród gór i lasów, które sam umieścił na świecie, niż pod dachem.

Jednak w tym miejscu nigdzie nie dostrzegłem ofiarnego stołu ani innego urządzenia, za pomocą którego można by spętać człowieka. Nie było ostrzy, śladów czy rowków odprowadzających ofiarną krew do stóp bóstwa. Nie wyczuwałem też nawet delikatnego i choćby przygłuszonego kadzidłem trupiego odoru.

Skądś dobiegał słodki dźwięk fletów, który pod strzelistym dachem brzmiał bardzo pięknie, ale pamiętałem równie piękne pieśni z podziemi Czerwonej Wieży, gdzie śpiewano o wspólnocie i oddaniu się pod opiekę nadaku, a w chwilę potem rozpoczynano rzeź.

Stałem wraz z innymi w szerokim przejściu pomiędzy kamiennymi, rzeźbionymi ławami, wsparty na kiju szpiega, w którym poluzowałem pierścień blokujący ukryty miecz, i czekałem, co się wydarzy.

Wkrótce wyszło do nas dwoje kapłanów w powłóczystych płaszczach z bardzo głębokimi kapturami, więc zrazu nie wiedzieliśmy, że to mąż i niewiasta, dopiero gdy zrzucili kaptury, zobaczyliśmy ich twarze oraz dziwaczne nakrycia głowy, podobne do wysokich kołpaków ze srebra, przedstawiające baszty i strzeliste wieże miasta. Oboje mieli na piersiach łańcuchy z okrągłym symbolem drzewa. Wokół siebie słyszeliśmy płynącą zewsząd muzykę i chór wielu głosów, a kapłani unieśli w naszą stronę ramiona. Żeglarze zamarli w bezruchu, na ich twarzach rysowała się niepewność, gdyż nigdzie nie dostrzegali pieczonego mięsa lub dzbanów z piwem, a żaden z nich ani na chwilę nie zapomniał wzmianki o poczęstunku.

Ja zaś widziałem w życiu więcej kapłanów, chramów i ceremonii niż oni wszyscy razem wzięci i wiedziałem, że mieszkańcy świątyń bardzo chętnie

sami przyjmują ofiary z tłustego ptactwa, wołów i dzbanów piwa, które potem spożywają w imieniu bóstw i na ich chwałę, ale rzadko sami częstują kogoś czymś konkretniejszym od woni kadzideł, blasku ognia i kruszcu oraz kunsztownych słów, więc nie spodziewałem się niczego konkretniejszego niż miska rzadkiej zupy oraz okrętowy suchar, którymi pokrzepiłem się nad ranem.

Śpiew przycichł, pozostała jedynie muzyka fletów, delikatna niczym świst wiatru wśród trzcin, a kapłani zapalili od płomienia dwie żagwie umieszczone dotąd w srebrnych rękojeściach i podpalili coś w dwóch misach stojących na trójnogach po bokach. Poczułem delikatny zapach harhaszu. Niezbyt natrętny, a do tego wnętrze chramu było rozległe i wysokie, więc nie obawiałem się, że zostaniemy oszołomieni dymem i zaczniemy błądzić wśród widziadeł. Niemniej trucizny w dymie było dość, by wszyscy popadli w lekką, głupkowatą wesołość i stali się odrobinę bezwolni, a to już mnie zaniepokoiło.

– Witajcie, wędrowcy! – powiedziała kobieta. – Oto miasto zwane Lodowym Ogrodem wyciąga do was ramiona. Jeśli mieliście kiedyś dom, który utraciliście, znajdziecie go tutaj. Jeśli znużyła was tułaczka, oto dotarliście do kresu wędrówki. To miasto, które nie odrzuca nikogo i ma wiele pokoi dla swoich zbłąkanych synów. Tu nie musicie obawiać się wrogów, bo miasto osłoni was niezdobytymi murami. Tu, jak u matki, zawsze znajdziecie dach, suchy kąt i strawę.

Potem zaczął mówić mężczyzna, a potem znów kobieta. Przemowa została starannie złożona, słowa piękne, a głosy obojga dźwięczne i wyraźne, tak jak powinny brzmieć głosy kapłanów. Kiedy się ich słuchało, to było jak otulić się ciepłym pledem przed ogniem i drzemać. Mówili wciąż to samo, że miasto jest najlepszym miejscem na ziemi i że zwykłym ludziom żyje się tu lepiej niż gdziekolwiek indziej możnym i bogatym. Że każdy znajdzie zajęcie, które najlepiej mu odpowiada, ale nie będzie musiał harować do zdarcia rąk i skrzywienia grzbietu i że zawsze zje do syta, i tak dalej.

Każdy człowiek bywały doskonale wie, że takie bajki łatwo tworzyć i że w świecie często się je powtarza. Opowiadają je naganiacze szukający załóg na statki albo rekrutów do wojska, opowiadają je mężowie niewiastom i niewiasty mężom. Ladacznice opowiadają je klientom, ci, którzy najmują ludzi do pracy, i ci, którzy chcą coś sprzedać. Jednak tu, na

posadzce najdziwniejszego i jednego z najbogatszych chramów, jaki można znaleźć, w jeszcze dziwniejszym mieście, które na naszych oczach zapłaciło za to, że tu przyjechaliśmy, w dymie kadzideł i Żywicy Snów, pod lśniącym drzewem ze srebra, wśród kryształowych tonów fletów, dawało się łatwiej w to uwierzyć niż kiedykolwiek.

Być może coś takiego było w ich głosie i brzmiącej wokół muzyce, może to po prostu tumaniący wpływ harhaszu albo wszystko naraz, ale widziałem, że inni wędrowcy uśmiechają się lekko do wtóru i bezwiednie potakują, słuchając tych banałów.

– Możecie pójść z nami do samego Lodowego Ogrodu. To miejsce pełne cudów, serce miasta i całej wyspy. Tam czeka was uczta powitalna, jakiej nie umiecie sobie wyobrazić, tam wypijecie łyk wody ze świętego źródła, który uczyni was mieszkańcami miasta. Jednak ostrzegam: piękno Lodowego Ogrodu potrafi utkwić na zawsze w duszy. Jeśli gdzieś mieliście inny dom, nie zechcecie go już odwiedzać. Zapomnicie o innych siedzibach, a staniecie się obywatelami tego miasta. Możecie też pozostać bezdomnymi wędrowcami i poszukać mieszkania w dzielnicach dla cudzoziemców, bojąc się przejść przez Lodową Bramę. Ogród nadal będzie dla was lepszym miejscem niż wszystkie, które widzieliście na świecie, ale większość jego cudów zostanie dla was zamknięta, bowiem one są dla obywateli. Pamiętajcie jednak, że Lodowa Brama zawsze jest otwarta i codziennie ktokolwiek zapragnie, może zaczerpnąć ze źródła i zasiąść do powitalnej uczty. Wystarczy wejść do jednego z miejskich chramów i powiedzieć: „Pragnę wstąpić do Ogrodu Drzewa”. Uczta czeka. Ten, kto chce zasiąść za stołem, niech idzie z nami.

Unieśli ramiona, w których wciąż trzymali żagwie, i zetknęli je tak, że utworzył się jeden płomień, a skądś znów napłynął śpiew.

Obszedłem powoli chram, uważnie patrząc na pokrywające ściany rzeźby, wypatrując symboli tego kultu i szukając demonów, krwi lub śmierci. Znajdowałem jednak tylko splecione kunsztownie łodygi, liście i kwiaty. Kiedy natrafiłem na posągi, były to sylwetki spokojne i dostojne. Oto mężczyzna idący z koszem ryb, oto kobieta siedząca nad otwartą księgą, żeglarz trzymający ster łodzi, myśliwy z łukiem i psem przy nodze, obejmująca się para spleciona w pocałunku. Wszystkie te rzeźby miały głowy zwrócone w jedną stronę i z różnych kątów, zza kolumnad i wykuszy spoglądały na srebrne drzewo. W pobliżu ofiarnego znicza znalazłem

jeszcze jedną kamienną misę, wypełnioną drobnym czarnym wulkanicznym żwirem, a obok kamienny postument, na którym postawiono drewnianą szkatułkę oraz naczynie pełne kadzidlanych pałeczek. Pod tym na srebrnej blasze wybito litery w wielu językach: „Wędrowcze, jeśli chcesz prosić o coś miasto, wrzuć miedziak i weź kadzidło”.

Za pazuchą miałem zawiniątko z moimi dwiema markami, składało się na nie kilka srebrnych monet o mniejszej wartości i sporo miedzianych peningów. Wrzuciłem więc jeden do szkatuły i wziąłem kadzidło, które odpaliłem od znicza i wbiłem końcem w żwir, wśród wielu starszych, upalonych resztek.

Nie zamierzałem modlić się do posągu drzewa ani do bliżej mi nieznanego nadaku, chciałem tylko własnym sposobem zdecydować, co robić. Lodowy Ogród nigdy nie był moim celem. Nie zmierzałem do niego ani go nie szukałem. Znalazłem się tu, bo tak poprowadził mnie los, a to jego ścieżką miałem teraz podążać. Nie wiedziałem, co czynić dalej, więc postanowiłem, że zdecyduje przypadek. Przede mną w żwirze tkwiło tlące się kadzidło, zmieniające się powoli w pałeczkę lekkiego popiołu, który musiał się wcześniej czy później złamać. Postanowiłem, że jeśli ten pierwszy kawałek spadnie po lewej od kadzidła, pójdę na ucztę powitalną, by dołączyć do mieszkańców Ogrodu, jeśli po prawej, wyjdę z chramu i będę radzić sobie samemu.

A w chwilę potem przypomniałem sobie, co rzekli nam kapłani. Ich słowa o tym, że kto przejdzie przez Lodową Bramę, zapomni o swoich bliskich i swoim domu, olśniony cudownościami Ogrodu. Miałbym więc zapomnieć o Kirenenach kryjących się gdzieś w górach, o moich zwiadowcach zagubionych w Ziemi Żeglarzy, o Wodzie córce Tkaczki, o Benkeju uwięzionym w Dolinie Naszej Pani Bolesnej? Zapomnieć o moim ojcu wysyłającym mnie z misją ostatniej szansy? Zamiast tego utkwić tutaj i patrzeć z bezmyślnym uśmiechem na wieże Lodowego Ogrodu? Z drugiej strony skąd miałem wiedzieć, czego chciało ode mnie przeznaczenie? Dokąd wiodła wiotka jak nić, kręta ścieżka Nosiciela Losu? Rozpocząłem obrzęd i zdałem się na traf, który miał mi wskazać drogę. Postanowiłem odwrócić się i odejść, zanim popiół na trociczce udzieli mi odpowiedzi, ale w tej samej chwili lekki jak puch spalony kawałek kadzidła zaczął przechylać się na dno misy, a ja poczułem, jakby moje serce zamarzło. Zacisnąłem powieki.

Nie było już odwrotu. Poprosiłem siły losu, by wskazały mi drogę, i odpowiedź została udzielona. Musiałem przyjąć ją do wiadomości.

Otworzyłem oczy.

Wiotki wałeczek szarego popiołu nie spadł ani po jednej, ani po drugiej stronie misy. Upadł dokładnie pośrodku, wskazując na mnie. Nawet drobin, które rozsypały się na żwirze, było tyle samo po obu stronach.

Znów zamknąłem oczy, tym razem z ulgi. Odpowiedź oznaczała, albo że powinienem postąpić, jak uważam, albo że nie ma znaczenia, co wybiorę, bo efekt będzie ten sam. Wstałem więc, założyłem kapelusz i wyszedłem ze świątyni.

Słońce już wstało i na ulicach zaczął się ruch. Mijali mnie ludzie spieszący gdzieś we własnych sprawach, przejeżdżały dwukółki zaprzężone w dziwnie wielkie, kosmate osły albo platformy na dwóch kołach pchane i ciągnięte równocześnie przez ludzi. Wszystkie kierowały się mniej więcej w tę samą stronę, wziąłem zatem kosz podróżny na plecy i poszedłem za nimi.

Przemierzyłem kilka wąskich ulic, przechodząc pod ostrołukami i przez kilka bram, aż trafiłem na spory plac, kamienny jak wszystko tutaj, z jednej strony ograniczony rzędem wąskich, wysokich na trzy piętra domów z kolumnadą na dole, a z drugiej niewielkim, otoczonym kamiennymi pirsami portem. Większą część placu zajmowały kamienne stoły, wyglądające, jakby wyrosły wprost ze skały, którą miałem pod nogami, i na tych stołach wykładano rozmaite towary, ale głównie kosze ryb i morskich stworzeń, jakie przywożono wózkami wprost z rybackich łodzi cumujących opodal.

Zacząłem swoje samotne życie w Lodowym Ogrodzie od targu, bo musiałem dowiedzieć się, ile warte są moje pieniądze. Dwie marki srebra po przeliczeniu to spora garść różnych monet, wśród których znajdowały się i miedziaki, i cienkie srebrne skojce, i parę większych monet. Gdybym znajdował się w Maranaharze za czasów panowania mojego ojca, taka ilość srebra pozwoliłaby mi oszczędnie przeżyć jakiś miesiąc. Z kolei w pustynnym mieście Nahilgył, pełnym uciekinierów próbujących skryć się przed wojskiem Pramatki, za te same pieniądze mógłbym kupić może ze dwa korce suszonej durry i bukłak wina palmowego. Co innego jeszcze ta suma znaczyłaby na szlaku, gdzie mógłbym spać pod gołym niebem, polować i łowić ryby, z rzadka tylko płacąc za nocleg albo kupując coś

w wioskach, a co innego w kamiennym mieście, gdzie musiałem komuś płacić, ilekroć chciałem choćby przysiąść czy znaleźć schronienie na noc.

Chodziłem więc po targowisku, usiłując się dowiedzieć, ile może tu kosztować życie. Najłatwiej się w tym zorientować, pytając o ceny najtańszych towarów, które są małe i trudno je podzielić. Pojedynczy owoc lub jakieś niewielkie warzywo, jajko, mały bochenek chleba. Trzeba tylko pamiętać, że coś, co jest niepozornym, pospolitym produktem w jednym miejscu, jak u nas miodowa śliwa czy owoc kalecznika, gdzie indziej może być egzotycznym rarytasem. Mieszkańcy Lodowego Ogrodu mieli większy wybór niż ludzie żyjący w głębi lądu, których poznałem już wcześniej, ale bardzo wiele produktów leżących na straganach było mi zupełnie nieznanych i nawet nie umiałem powiedzieć, do czego służą. Bałem się brać na oślep, bo łatwo mogłem skończyć, usiłując zaparzyć orzechy, z których robi się barwnik do tkanin, albo żując pędy, które służą do prania.

Kupiłem w końcu płaski bochenek chleba z otrębami, wielkości dwóch złożonych dłoni, gomółkę uwędzonego w dymie słonego sera, taką jak moja pięść, i fioletową bulwę, którą widziałem już w domu Lśniącej Rosą i wiedziałem, że pod łatwo odchodzącą skórą jest biały, lekko ostry miąższ, chrupiący jak palmowy rdzeń. Zapłaciłem za to wszystko trzy ćwierci miedzianego peninga.

Potem wszedłem pod kolumnadę wzdłuż ciągnących się przy placu kamienic, gdzie znajdowały się kantory, faktorie kupieckie oraz miejsca, gdzie sprzedawano jedzenie. Zatrzymałem się przy jednym, gdzie w ciasnym pomieszczeniu w dużej misie nakrytej rusztem płonęły polana, a właściciel sprzedawał porcje jedzenia i piwo przez otwarte okno wychodzące na podcienia i można było pożywić się, siedząc na stopniach pomiędzy kolumnami albo przy drewnianym stole, o ile nie był zajęty.

Zamówiłem to, co miał najtańszego, i piwo, które dostałem w małym glinianym kuflu. Usiadłem przy prawie pustym stole i zjadłem swój pierwszy posiłek w tym mieście. Była to płaska ryba, ledwo większa od mojej dłoni, upieczona na patyku, którą podał mi na placku chleba.

Kosztowało to pół peninga. Wynikało z tego, że na jedzenie potrzebuję od jednego, żeby utrzymać się przy życiu, do jakichś dwóch peningów, jeśli mam jadać mniej więcej do syta. Przynajmniej pod tym względem wydawało się, że w Lodowym Ogrodzie żywność jest trochę tańsza niż w Maranaharze. Wtedy przywykłem już do gorzkawo-słodkiego piwa

Ziemi Żeglarzy i dziwnych przypraw, jakie sypali do jedzenia, poza tym ryba była świeża, chleb też i uznałem, że jakoś da się żyć.

Dwóch ludzi, którzy siedzieli po przeciwnej stronie stołu, wkrótce zakończyło posiłek i odeszło bez słowa, a ja siedziałem sam.

Wprawdzie trafiłem za morza do dziwnego kamiennego miasta i nie wiedziałem, co robić dalej, ale był piękny dzień, ostry poranny chłód gdzieś zniknął i zaczęło się robić niemal ciepło, ja byłem syty, wolny i nawet miałem w kieszeni za pazuchą garść monet. Na jedną markę wchodziło sześćdziesiąt peningów, jednak życie w mieście to nie tylko jedzenie. Nie miałem pojęcia, jak uzyskać schronienie i jakie tu panowały obyczaje. W moim Amitraju przybyły do miasta obcy mógł nocować w kupieckich gospodach na obrzeżach i przy targowiskach. Wielu gości mogło zatrzymać się u krewnych lub przyjaciół, a ci, co przyjeżdżali w interesach, korzystali z gospód, gdzie zależnie od zamożności można było wynająć całkiem przyzwoite mieszkanie, skromną klitkę albo zapłacić za miejsce do spania w dużej sali na podłodze lub nawet w budynku gospodarczym. Jeśli ktoś najął się do pracy, często zyskiwał też możność rozłożenia maty w warsztacie, sklepie czy pod straganem, gdzie pracował. Ponadto w całym Maranaharze wielu było takich, którzy mieszkali pod gołym niebem, za całe schronienie mając tylko podcienia, łuk bramy, most bądź kępę krzewów na miejskim placu. Zapewne tu też zdołałbym znaleźć jakiś kąt, gdzie nie lałoby mi się na głowę, ale mogłem tak nocować ledwie kilka dni. Lato się kończyło, poranki i noce robiły się wręcz zimne i nadchodziła jesień, z ulewami, sztormami i wściekłym zimnem. Za jakiś czas w nocy zacznie chwytać mróz, a potem nadejdzie zima.

Było jasne, że muszę poszukać sobie jakiegoś zajęcia.

Zamówiłem jeszcze jedno piwo, co kosztowało mnie ćwierć peninga, wyjąłem fajkę, woreczek z bakhunem i rozsiadłem się wygodnie, obserwując targowisko i kręcących się wokół ludzi, wypuszczając obłoczki dymu. Przypomniałem sobie, co mówił Węzeł syn Ptasznika, kiedy mnie przesłuchiwał. Zaczął od błahej, dobrodusznej pogawędki i wtedy radził mi, bym trafiwszy w obce kraje, przyjrzał się codziennym sprawom, takim jak śniadanie, bo wtedy dowiem się, czy trafiłem między ludzi cywilizowanych. To wspomnienie nieuchronnie łączyło się z innymi, ale udało mi się je od siebie odepchnąć. Niezależnie od tego, że potem kazał

mnie torturować, a ja poprzysiągłem mu śmierć, w tym, co mówił, miał rację. I tak już nie żył, i to nie z mojej ręki.

Znalazłem się w miejscu, w którym zjadłem przyzwoite śniadanie, a teraz siedziałem sobie bezczynnie, piłem piwo i pykałem fajkę. W Amitraju Pramatki te trzy ostatnie rzeczy wystarczyłyby, żeby mnie uwięzić i wysłać na świątynne pola, gdzie zapewne bym zginął.

Znaczy tu, gdzie trafiłem, nie było tak źle.

Ludzie kręcący się po targowisku byli to głównie mieszkańcy Wybrzeża Żagli. Kiedy przyjrzałem się dokładniej, zauważyłem, że niektórzy nosili srebrne amulety ze znakiem drzewa uwięzionym w kole, a niektórzy drewniane, z wypalonym kształtem statku, tak jak ja. Byli też tacy, którzy musieli przybyć z dalekich stron, widziałem błyskającą w tłumie szkarłatną, żółtą i błękitną wełnę nassimskich płaszczy, czasem, wystając o łokieć nad głowami innych, przez tłum przedzierał się miedzianoskóry Kebiryjczyk, niczym koń wśród kowiec. Nagle przyszło mi do głowy, że może spotkam tu kogoś z moich ludzi. Któryś może trafić tu tak samo jak ja, albo nawet już tu trafił. Targowisko przy porcie wydawało się najlepszym miejscem dla cudzoziemca i zrozumiałem, że powinienem tu bywać.

Przez jakiś czas serce mi się ściskało za każdym razem, gdy ujrzałem w tłumie znajomą sylwetkę, odwracałem się za każdym przechodzącym Kebiryjczykiem albo każdym, kto przypominał Snopa, ale to był taki krótkotrwały rodzaj nadziei, która szybko wygasa i do niczego nie prowadzi. Zauważyłem natomiast, że widuje się tu wyjątkowo dużo odmieńców. W Amitraju dzieci odmienione mocą uroczyska prawie się nie zdarzały, bo same uroczyska były otoczone strażą i nikt się do nich nie zbliżał, a jeśli nawet się rodziły, natychmiast je zabijano. Odmienianie ludzi mocą imion bogów mój ojciec karał śmiercią, podobnie jak wszelkie próby czynienia. Nieliczni odmienieni cudzoziemscy niewolnicy kupowani byli przez bogaczy i trzymani w rezydencjach, na pewno nie chodzili po ulicach. Tu było ich wielu, a pozostali w zasadzie nie zwracali na nich uwagi, traktując jak innych przechodniów.

Zastanawiałem się przez chwilę nad zajęciem, jakiego mógłbym się imać. Ostatnie miesiące uczyniły ze mnie wojownika, ale jednak byłem człowiekiem z Południa. Żaden Żeglarz, z których najdrobniejszy górował nade mną wzrostem i posturą, nie uzna, że warto płacić za moją sztukę

walki. Wątpiłem też, by potrzebowali tu doskonale przygotowanego władcy.

Każdy Kirenen czci święte umiejętności pochodzące od naszych nadaku, to część naszej religii. Nie ma u nas tak bogatego, zarozumiałego albo wyniosłego, by ośmielił się gardzić szlachetnym trudem rąk, który wynosi nas ponad bezrozumne bestie. Ja byłem snycerzem. Gdybym żył w normalnych czasach, już dawno odebrałbym przynajmniej święcenia czeladnika, a wkrótce pewnie i mistrza. Jednak moją edukację w tym względzie nieco zaniedbano, kiedy ojciec zdecydował, że to właśnie ja mam objąć tron cesarski. Wydawało się, że na tradycyjne rzemiosło jeszcze będzie czas. Snycerka zresztą to sztuka na spokojne czasy i nie na wiele mogła mi się zdać tutaj. Niemal każdy znany mi Kirenen miał o niebo pożyteczniejsze umiejętności. Gdybym był szkutnikiem jak ojciec Snopa albo cieślą, powroźnikiem, sieciarzem, rybakiem, albo chociaż tkaczem jak ciotka Wody. Niechby i oszczepnikiem jak mój ojciec, nie miałbym kłopotu, by znaleźć tu zatrudnienie. Niestety, jakiś kapłan idiota wybrał mi rzemiosło odpowiednio wytworne, by było godne cesarza. I na koniec znalazłem się w sytuacji, w której trzeba było zarabiać na chleb pracą rąk, tymczasem umiałem jedynie robić ładne wzorki w metalu i drewnie. Tyle tylko, że radziłem sobie wystarczająco dobrze z narzędziami, żeby może dać sobie radę jako pomocnik cieśli lub kowala.

Cóż z tego, skoro znajdowałem się w mieście, które całe wyrosło z kamienia.

Na razie siedziałem w cieniu, oparty wygodnie o ścianę, popijałem małymi łykami piwo i patrzyłem na kłębiących się na targu ludzi.

Obserwowałem.

Nie czekałem na nic konkretnego, po prostu wypatrywałem okazji, która pozwoliłaby mi ruszyć z miejsca. Nie chciałem tak po prostu pytać właściciela rusztu. Kiedy ktoś ma na sobie cudzoziemski strój, u stóp kosz podróżny, a dopytuje się o nocleg i pracę, zarazem mówi o sobie zbyt wiele: „Jestem tu sam, pierwszy dzień w obcym mieście, gdzie nikt mnie nie zna, natomiast przed chwilą otrzymałem dwie marki srebrem. Nikt o mnie nie wie, nikt nie będzie mnie szukał ani nikt nie będzie płakał, jeśli podążę z obcymi w jakieś zaułki i piwnice, skuszony obietnicą pracy i taniego noclegu, nikt też nie przejmie się szczególnie na widok moich szczątków leżących wśród szczurów i kruków na wysypisku śmieci”. Może po prostu

ostatnimi czasy zrobiłem się zbyt nieufny, jednak dzięki temu wciąż żyłem i wolałem, żeby tak zostało.

Siedziałem więc i obserwowałem targowisko.

Zauważyłem, że tłum na ulicach Lodowego Ogrodu różnił się od tego, co widywało się w innych miastach. Przede wszystkim mało tu żyło kobiet, a wszystkie były albo młode, albo przynajmniej dosyć młode, takie w sile wieku. Prawie wszystkie też należały do tego szczególnego gatunku niewiast, które chętnie wyruszają na wyprawy wojenne razem z mężczyznami i wolą nosić miecz niż klucze od domu. Łatwo je poznać, bowiem zakładają inne stroje, podobne do męskich, inaczej wiążą włosy oraz nie rozstają się z bronią. Zachowują się też buńczucznie i wyzywająco, znacznie gorzej niż mężowie i zwykłe niewiasty, jakby co chwila pragnęły wywołać bójkę. W tłumie przechadzały się też zwykłe niewiasty, ubrane tak, jak zwykle nosiły się na Wybrzeżu Żagli, noszące przy pasku klucze oraz kordy, ale było ich mniej. Widziałem kilka w ciąży, ale nigdzie w zasięgu wzroku nie dostrzegałem małych dzieci lub niemowląt. Również w ogóle nie widziało się ludzi sędziwych. Najstarsi z krzątających się między straganami wciąż byli w sile wieku, mimo siwych włosów i zmarszczek. Nie widziałem też ludzi okaleczonych na tyle, by nie mogli chodzić o własnych siłach i wieść normalnego życia. Wyglądało na to, że ludzie, na których patrzę, pochodzą z pokładów wilczych okrętów i wszyscy osiedli tu dość niedawno albo zostali uprowadzeni tak jak ja.

Po jakimś czasie gapienia się na ludzi ze swojego kąta pod kolumnadą i spod kresy mojego kapelusza dostrzegłem kilku sprzedawców oszukujących na wadze, zarówno przy rozważaniu kruszcu, jak i towarów, widziałem też, jak ktoś świsnął owoc ze straganu, i odtąd przyglądałem się uważniej. Nieśmiały plan zaczął kiełkować mi w głowie.

Pewne rzeczy są takie same na całym świecie. Miasta mogą być zbudowane rozmaicie, na targowiskach mogą leżeć inne towary i brzmią tam rozmaite języki, ale trzech umorusanych wyrostków plączących się tam, gdzie jest największy tłum, w jednej chwili siedzących razem na nabrzeżu, wśród pustych koszy i suszących się sieci, a w następnej błąkających się po placu osobno, jakby w ogóle się nie znali, zawsze oznacza to samo.

Najstarszy nie miał więcej niż trzynaście lat, najmłodszy może dziesięć. Mieli znoszone, podarte ubrania i ten sam zawzięty wyraz twarzy miejskich

szczurków, jaki widywałem jeszcze w zaułkach Maranaharu, które przemierzałem pod opieką mojego nauczyciela i przybocznego, Brusa syna Piołunnika.

Miałem już przynętę. Pozostało przyczaić się i czekać.

Trwało to jakiś czas, właściciel garkuchni kilka razy wystawił głowę przez okno, żeby sprawdzić, czy wciąż siedzę przy jego stole, ale nadal miałem piwo, więc nie mógł mnie przepędzić. Zdecydowałem, że jeśli będzie trzeba, zamówię jeszcze jedno. Ze swojego miejsca co chwila dostrzegałem chłopaków myszkujących w tłumie, ale żeglarze pilnowali swoich sakiewek. Każdy miał ją przesuniętą na przód pasa, a kiedy musiał przeciskać się między ludźmi w tłoku, przytrzymywał mieszek dłonią. Sam jako podrostek, niewiele starszy od nich, zostałem kiedyś okradziony w czasie suszy w Maranaharze i wiedziałem, że mali złodzieje potrafią być zręczni jak kuglarze. Umieli wykorzystać najmłodszych, wiedząc, że dorośli nie zwracają na nich większej uwagi, potrafili też przeciąć rzemienie trzymające sakiewkę jednym lekkim jak podmuch wiatru muśnięciem maleńkiego ostrza. Ja miałem tę przewagę, że obserwowałem z oddali i wiedziałem, gdzie patrzeć. To było tak, jakbym siedział na drzewie, widział z góry pasące się dzikie kozły i ukryte wśród traw, osaczające je szakale.

Stepowe drapieżniki przyglądają się stadu i wybierają sobie zwierzę w jakiś sposób okaleczone, ranne albo chore. Oni wybrali postawnego jegomościa, który lekko, ale wyraźnie utykał na jedną nogę. Miał jasną brodę i długie włosy barwy słomy, które przytrzymywał skórzaną opaską ze srebrnymi okuciami. Nie miał przy sobie innej broni prócz myśliwskiego kordelasa przy pasie, niemal całkowicie schowanego w głębokiej pochwie z miękkiej, grubej skóry, także nabijanej srebrem. Widać było, że jego odzież jest z dobrego, jaskrawo barwionego sukna i zdobiona haftami, a zwłaszcza krótki płaszcz, zafarbowany na zielono rzadkim i drogim barwnikiem. Także po jego postawie i mowie, kiedy się targował, znać było możnego męża.

Wokół niego szło, stało, mówiło i wykrzykiwało wielu ludzi, ale ja patrzyłem tylko na tych trzech, jak pojawili się z trzech stron, gdzieś spomiędzy straganów, wózków i koszy, osaczając go dokładnie jak szakale.

Znienacka, niby na niedostrzegalny rozkaz, dwóch zaczęło się przepychać, szturchać, wrzeszczeć i wreszcie gonić, roztrącając ludzi

i przeciskając się między stołami. Mąż o złotych włosach spojrzał na nich bez wielkiego gniewu i zainteresowania, kiedy mijali go w pędzie, bowiem żaden nawet go nie potrącił.

Poczuł jednak, jak najmłodszy, skryty pod straganem z suknami, odcina mu sakiewkę, bo krzyknął ze złością i chwycił go za kaftan. Mały wrzasnął piskliwie jak szczur i ugryzł żeglarza w dłoń, a potem szurnął pomiędzy nogami stojących wokół ludzi. Okradziony mąż okrzyknął złodzieja na całe gardło, po chwili kolejni ludzie puścili się w pogoń za kluczącym niczym królik brzdącem, kiedy zeskakiwałem już ze schodków mojego podcienia i ruszyłem w zupełnie inną stronę niż pogoń i inną niż ta, w którą zmierzali zaalarmowani krzykiem strażnicy.

Bo patrzyłem z daleka i wiedziałem, na co patrzeć.

Zasady są takie jak przy grze w trzy kubki.

Widziałem, że złapali małego, który wił się w uchwycie strażnika i kopał zajadle, widziałem rozzłoszczonego możnego szarpiącego na nim kaftan i wiedziałem, że niczego nie znajdą.

Widziałem tamtych dwóch, jak przemykają śpiesznie, ale już nie biegiem na brzeg bazaru, i wszedłem za nimi w ten sam zaułek. W pierwszej chwili nie zaszczycili mnie uwagą, więc odwrócili się, dopiero kiedy byłem o krok.

Zdążyłem tylko rzucić: „Oddawaj...”, kiedy najstarszy syknął coś do pomocnika, a ten bez namysłu skoczył na mnie z wysokości trzech schodków, którymi ulica wznosiła się do góry, a sam zanurkował w boczny, jeszcze węższy zaułek.

Trwało to tyle, co trzy uderzenia serca.

Wywinąłem się temu średniemu, tak że tylko chwycił powietrze, i podciąłem mu nogi, wiedząc, że runie ciężko na bruk, po czym zamachnąłem się i cisnąłem moją wartą ćwierć peninga bulwą prosto w potylicę uciekającego. Dostał z trzech kroków, więc niespodziewane uderzenie aż odrzuciło mu głowę na bok. Zachwiał się i upadł na kamienny chodnik.

Doskoczyłem, kiedy się podnosił, potrząsając głową, i kopniakiem w brzuch posłałem go z powrotem na skałę. Mimo że młodszy o parę lat, był mojej postury. Odwróciłem się natychmiast bokiem do tego drugiego, bo sądziłem, że stoi już na nogach, i nie myliłem się. Uciekłem przed sztychem wąskiego niczym trzcina do pisania ostrza, przekręcając tułów,

zbiłem chłopakowi nadgarstek w dół, jednocześnie podstawiając kolano pod łokieć, a potem wbiłem mu łokieć w ucho i z wyskoku kopnąłem w dołek, posyłając na ziemię. A potem znów odwróciłem się, wymierzając kolejnego kopniaka wstającemu złodziejowi.

Ten z kolei nie dobył noża, na palce miał nasadzone cztery połączone rzędem żelazne pierścienie. Gdyby zdzielił mnie czymś takim, połamałby mi kości, więc nadepnąłem mu na dłoń całym ciężarem.

– Bardzo proszę o sakiewkę – powiedziałem, kiedy poluzowałem nacisk podeszwy, a on przestał wrzeszczeć. Sięgnął drugą ręką, skomląc i jęcząc.

Doskonale wiedziałem, że to sztuczka i że ma w zanadrzu jeszcze wiele niespodzianek, więc nie zamierzałem się nad nim nachylać.

– Rzuć na ziemię – poradziłem, po czym podniosłem ciężki zamszowy mieszek, uważnie patrząc złodziejowi na ręce, jednak zajął się tuleniem do piersi pokrwawionej dłoni. Kiedyś byłoby mi go żal, myślałbym, że jest biedny i nie ma się gdzie podziać, ale od tamtej pory minęło sporo czasu i wiedziałem już, że tacy jak on zwykle po prostu wolą kraść, niż robić cokolwiek innego, i że zabiłby mnie bez wahania, bo jest w wieku, w którym najpierw się coś robi, a dopiero potem myśli, i to niekoniecznie.

– Pierścienie też zdejmij, to może nie oddam cię straży – wycedziłem.

Zabrałem je, schowałem mieszek i odszedłem. Nóż tego drugiego nic nie był wart, zrobiono go z rozklepanego szkutniczego bretnala, tyle że wyostrzono jak balwierską brzytwę, więc złamałem ostrze, wsunąwszy między jakieś kamienne drzwi a ościeżnicę.

Kilkanaście kroków dzielących mnie od bazaru przebyłem prawie biegiem, bo bałem się o własny kosz podróżny, ale okazało się, że stoi, gdzie stał, więc ruszyłem w stronę zbiegowiska, gdzie możny wykłócał się ze strażnikami. Po najmłodszym złodzieju nie było już ani śladu, ponieważ, rzecz jasna, nic przy nim nie znaleźli. Kiedy odciął sakiewkę, spadła na jego drugą dłoń, ukrytą pod połą kaftana, po czym natychmiast została rzucona w bok, gdzie chwycili ją przebiegający opodal pozostali. Nie zauważyłem, który ją złapał, ale wiedziałem, że w bezpiecznym zaułku znajdzie się już za pazuchą najstarszego.

Podchodziłem, trzymając mieszek na wyciągniętej przed siebie dłoni, żeby nie było wątpliwości, iż nie zamierzam go przywłaszczyć.

– To chyba należy do ciebie – powiedziałem. – Przebiegali tuż obok. Udało mi się wyrwać mieszek, ale uciekli.

Okradziony przerwał kłótnię ze strażnikami i spojrzał na mnie z osłupieniem.

– Odebrałeś złodziejom moją sakiewkę, a teraz oddajesz? – upewnił się takim tonem, jakby niedosłyszał i niedowidział.

– Wiem, jak to jest zostać okradzionym – wyjaśniłem. – Sam jestem wędrowcem i mam bardzo niewiele, ale nie potrzebuję cudzego.

– W odpłatę należy się znaleźne – zauważył jeden ze strażników. – Ogród potrzebuje ludzi zacnych i uczciwych.

Możny pokiwał głową.

– Takie czyny należy nagradzać – zgodził się. – Mogłem ponieść dziś sporą stratę, wędrowcze.

– Nie chcę twoich pieniędzy – powiedziałem mu. – Jednak proszę cię w zamian o coś równie cennego. O kilka rad, jak poradzić sobie w tym mieście.

– Nie chcesz moich pieniędzy? – powtórzył niepewnie, jakby nie wiedział, czy go to cieszy, stanowi obelgę, czy też wygląda na podstęp.

– W mojej sytuacji rada jest więcej warta niż srebro – westchnąłem. – A ponieważ jesteś mi coś winien i wyglądasz na męża zacnego, który ceni swój honor, wiem, że poradzisz mi najlepiej jak umiesz.

– Zgoda więc – odparł. – Chodźmy do karczmy, gdzie postawię dzban morskiego miodu i odpowiem na twoje pytania.

Poprowadził mnie uliczkami wśród murów i stłoczonych kamiennych domów o strzelistych dachach, aż pokonawszy kręte schodki, wyszliśmy na wyższy poziom twierdzy, do kolejnego szeregu wysmukłych kamienic ozdobionych kolumnami, schodami i balkonami. Ulica ciągnąca się przed frontami budynków była wąska i przylegała do zębatej korony muru, za nią widać było dachy domów poniżej, bazar i rybacki port, kolejne pirsy i maszty kołyszących się statków, a dalej morze.

W Lodowym Ogrodzie nie widywałem zaniedbanych i nędznych budynków, niczego skleconego naprędce z tego, co może zdobyć człowiek ubogi. Wszystkie domy wzniesiono z kamienia, lecz nie dostrzegłem nigdzie spoin ani cegieł, wszystkie miały w oknach gomółki prawdziwego szkła, warte fortunę, czasem nawet kolorowego. Wszystkie pyszniły się misternymi ozdobami w kamieniu, kolumnami i balustradami. Na cokolwiek spojrzałem, wydawało się zupełnie nowe i nieużywane. Tak było i przy samym porcie, i tak było tutaj, ale czuło się, że tu, na wyższym

poziomie murów, ponad smrodem ryb, mięsa i gnijących warzyw, jaki roztaczał każdy bazar, gdzie morska bryza rozwiewała dym z węglowych rusztów, na których piekły się groszowe przekąski, i gdzie można było patrzeć z własnego okna prosto w morze, mieszkają możniejsi mieszkańcy twierdzy.

Karczma miała własny szyld, kołyszący się na łańcuchach przed wejściem, z nazwą wypaloną na desce kanciastymi znakami Żeglarzy, miała dębowe stoły w podcieniu i jeden wystawiony na bastei przy samych blankach. Dzień był ciepły, więc siedliśmy właśnie tam, patrząc na morze i port u naszych stóp, a przepasany szmatą karczmarz przyniósł nam spory gliniany dzban i cynowe, zdobione kubki. Sam dzban był barwiony i o szlachetnej linii, wylew o kształcie dzioba czapli miał zatkany srebrną klapką, a mój gospodarz bez namysłu zapłacił od razu srebrnego peninga.

– Skąd pochodzisz? – zapytał, patrząc, jak nabijam fajkę. – Masz na sobie rzeczy przypominające to, co noszą w Amistrandzie, ale twoje rysy i włosy są inne. Sięgasz też po piwo bez lęku, jak człowiek rozsądny. Nosisz także normalny pas i inne rzeczy jak zwykli ludzie. Do tego jesteś smagły i nikczemnej postury jak południowiec. Na deseczce przybysza zaś wybito ci nasze imię: Fyalar. Nosisz też znak wolności jakiegoś klanu Ludzi Niedźwiedzi. Twoja odzież jest bardzo nędzna i znoszona, ale znać po tobie, że możesz pochodzić ze znacznego rodu. Wyglądasz na bardzo młodego, lecz oczy masz stare, jakbyś zbyt wiele widział.

– Jestem z Południa. Pochodzę z plemienia dawno temu podbitego przez Amitrajów i bardzo długo już wędruję. Uciekłem z mojego kraju, kiedy powróciła tam stara wiara, bo nie chciałem żyć pod Czerwonymi Wieżami. Moje imię to Filar, ale urzędnik w porcie nie bardzo wiedział, jak je zapisać, i poradził sobie jak umiał. Wydaje mi się jednak, że to ja miałem pytać, skoro to ja oddałem twoją sakiewkę, a nie ty moją.

Roześmiał się.

– Skoro nie lubisz, by wiedziano o tobie za dużo, zachowaj sobie to imię, które nadano ci w porcie. Każdy z naszych będzie po nim sądził, że twój ojciec nazywał się Fyalardi, zaś twój pierwszy syn będzie Fyalund. Jeśli zaś będziesz miał córkę, nazwiesz ją Fyalla. Ja zwę się Snidulf Płonący Koń, z czego łatwo wywnioskować, że mój ojciec zwał się Snidar.

Uśmiechnąłem się smutno i skrzesałem ogień, po czym rozdmuchałem żar i przypaliłem od niego suchą drzazgę.

– Znałem niegdyś pewną Fyallę. Dawno już nie żyje i na pewno nie pochodziła stąd. Ale jeśli kiedyś będę miał córkę, dam jej takie imię. Dopiero postawiłem nogę w tym mieście, Snidulfie. Nie wiem, gdzie się podziać ani gdzie znaleźć jakieś zajęcie. Widziałem wiele miast i krajów, lecz wszędzie panują inne obyczaje. Szukam taniego mieszkania i prostej pracy, jednak nie chciałem pytać byle kogo.

– To nie jest zwykłe miasto – oznajmił. – Powstało na uroczysku i przepełnia je moc pieśni bogów. Wielu się tego boi i krążą o nim różne opowieści. My, którzy tu żyjemy, nie boimy się ani grodu, ani Pieśniarza, który nim włada, a zwie się mistrz Fjollsfinn. Bowiem wszyscy byliśmy w Lodowym Ogrodzie i dostaliśmy jego ochronę. Możemy chodzić wszędzie, gdzie zapragniemy, i mimo że czuje się tu moc uroczyska, nam nic nie grozi. Jesteśmy częścią miasta i ono nas obroni nie tylko przed własnymi upiorami, ale także przed wojną bogów i zimną mgłą. Przez Lodową Bramę może przejść każdy, kto chce i umie pokonać strach przed uroczyskiem, i dlatego najlepsza odpowiedź na twoje pytanie i najlepsza rada jest taka: znajdź miejski chram i powiedz, by zaprowadzili cię do Ogrodu na powitalną ucztę. Robią to co dzień rano. Potem będziesz mieszkańcem miasta. Zerwiesz drewniany amulet z imieniem i znakiem wędrowca, a otrzymasz srebrny ze znakiem drzewa. Miasto da ci dom, za który wcale nie będziesz płacił, oraz pomoże znaleźć godziwe zajęcie. Miasto potrzebuje ludzi do pracy, by wszystko działało jak powinno.

– Byłem w miejskim chramie – odparłem. – Mówiono mi o powitalnej uczcie i bramie do Ogrodu, ale nie mogę przez nią przejść. Kapłani mówili, że kto tak uczyni, zapomni, skąd pochodzi, i jego serce na zawsze zostanie w Ogrodzie. Ja natomiast mam swój dom, mam też bliskich mi ludzi. Chcę kiedyś wrócić do swojej ojczyzny i nie mogę zapomnieć o tych, których pozostawiłem za sobą. Do tego miasta trafiłem przypadkiem i nie jest moim zamiarem pozostać tu na zawsze.

Snidulf zasępił się lekko, zdjął z głowy swoją skórzaną opaskę i podrapał się po ciemieniu.

– Skoro tak, to wszystko zależy od tego, czy masz srebro. Bowiem dla tych, którzy chcą pozostać wędrowcami, życie w tym mieście jest takie jak wszędzie na świecie. Wielu przybyszów boi się pieśni bogów i nie chce przejść przez Lodową Bramę. Niektórzy przybywają tylko po to, by handlować z miastem, i chcą jedynie przezimować, a z wiosną wracają na

Wybrzeże. Inni chcą tu pozostać, podobają im się solidne kamienne ściany, własne źródło w izbie, ciepło płynące z podłogi, to, że nie muszą wypatrywać zimnej mgły ani nasłuchiwać nocą rabusiów pod częstokołem. Wolą kupować mięso na targu, niż hodować zwierzęta, wolą pracować dla kogoś i brać za to miedź, niż uprawiać własną ziemię, i sądzą, że zimą lepiej słuchać muzyki w karczmach niż wycia wilków. A jednak boją się uroczysk i pieśni bogów. Tacy muszą pozostawać w dzielnicach dla cudzoziemców wokół portów handlowych, tu, przy rybackiej przystani, i na górze, przy Kawernach. Tu nie ma mocy uroczyska, więc są bezpieczni. Tylko tu mogą też znaleźć mieszkanie. W górnych dzielnicach jest miejsce dla tych, którzy nie boją się mocy Ogrodu i mają jego ochronę. Nikt nie zabrania cudzoziemcom tam chodzić, ale nic ich tam też nie chroni przed dziwnymi rzeczami, które mogą im się przytrafić, bowiem są obcy dla miasta, które ich nie zna i nie poznaje. Temu, kto wcale nie ma pieniędzy, najlepiej znów poradzić, by udał się do miejskiego chramu. Kapłani mają przy swoich świątyniach izby, gdzie wieczorem dają za darmo miskę zupy i chleb. Kto nie ma gdzie pójść, może spać w tej izbie na stole, ławach bądź na podłodze, o ile potem pomoże w kuchni. To nie najlepsze mieszkanie, ale jest tam ciepło i zimą to lepsze niż zawierucha na dworze.

– Mam trochę srebra, ale nie jest tego wiele – oznajmiłem ostrożnie. – Z pewnością nie wystarczy na długo, lecz nie chcę żyć na niczyjej łasce, a już szczególnie na łasce kapłanów. Dlatego proszę cię o radę. Nie wiem, ile tu się zwykło płacić za kąt do spania ani gdzie go szukać.

– Jak wszędzie na świecie, tak i tu ten, kto nie ma własnego dachu, musi korzystać z gościny albo spać w gospodach. W dzielnicach dla cudzoziemców są prawie same gospody i wszędzie nad salą biesiadną są też miejsca dla gości. Także tutaj, ale tu płaci się najmniej pięć peningów za nocleg. Trzeba iść do Łasztowni albo Kawern. Wiem, że są tam ulice, gdzie tawerny i gospody ciągną się jedna za drugą.

– Domyślałem się tego – oznajmiłem. – Bowiem rzeczywiście wszędzie na świecie jest podobnie. Jednak gospody są lepsze i gorsze. Potrzebne mi miejsce, gdzie będę mógł zamknąć swój dobytek i nie martwić się o niego, nie chciałbym też mieszkać wśród złodziei i ladacznic. Szukam spokojnego kąta, z dala od ludzi uciążliwych, z którymi prędzej czy później musiałbym się zmierzyć.

– Nie znam tych miejsc dobrze, bowiem jestem mieszkańcem od samego początku, odkąd przybyłem do Lodowego Ogrodu. Nigdy nie musiałem spać w dzielnicach dla cudzoziemców, ale chyba wiem, jak się dowiedzieć, które gospody są tanie i przyzwoite. Zaś co do zarobku, to wszystko zależy od tego, co umiesz.

Odpowiedziałem mu na to oględnie, choć dość dokładnie, pomijając sprawy związane z tym drobiazgiem, że byłem cesarzem, Panem Świata i Pierwszym Jeźdźcem.

– Ze wszystkiego, w czym osiągnąłeś pewną biegłość, istotnie niewiele może się tu przydać, jeśli nie zostaniesz mieszkańcem – oznajmił. – Miasto umiałoby wykorzystać snycerza, który umie się bić, zna pracę na roli, a także wiele języków, wie dużo o różnych krainach i potrafi grać na cudzoziemskich instrumentach, pisać obcymi znakami i liczyć, ale wędrowiec o takich umiejętnościach niewiele wskóra, a jeśli nawet, to ja nie wiem jak, jeśli nie zna odpowiednich ludzi. Pozostanie ci więc zdać się na pracę rąk, ale skoro byłeś kiedyś niewolnym, pewnie sobie poradzisz. Wystarczy przyjść o świcie na plac zwany Targiem Solnym, a tam przybywają ci, którzy najmują ludzi do pracy. To różne prace, czasem na dzień, czasem dwa albo tydzień. Czasem pod dachem, czasem na dworze i bardzo różnie płatne. Zależnie, jak są ciężkie i ilu można znaleźć chętnych, zwykle płacą od pięciu peningów dziennie do dziesięciu czy piętnastu, ale to zwykle praca, której nikt inny nie chce.

– Nie wydaje mi się, żeby była gorsza od tego, co musiałem robić jako niewolny, jednak nie zniosę, by ktokolwiek zachęcał mnie do niej pletnią. Przyrzekłem sobie, że nikt już nie poznaczy mi pleców bezkarnie.

– To Lodowy Ogród – powiedział na to. – Tu nie ma niewolnych i chłosta jest zakazana, nawet na własnych dzieciach lub współmałżonkach, choć niektórzy burzą się na to i uważają, że to niedorzeczność. Jedyni, którzy mogą to zrobić, to miejscy strażnicy, jeśli sąd prawomówców uzna kogoś winnym niektórych przestępstw, lecz to się zdarza rzadko. Zwykle każe im się odpracować krzywdę.

Dopiliśmy piwo i poprosiłem jeszcze, by pokazał mi, gdzie znajduje się ten Targ Solny i gdzie zbierają się szukający pracy, a potem poszliśmy do położonej za drugim pierścieniem murów dzielnicy zwanej Kawernami, w której mieszkali obcy przybysze i niewielu obywateli.

Zarówno dzielnice portowe, jak i Kawerny wydawały się dość ludne. W porównaniu z dzielnicą kupiecką Maranaharu i tak było tam pustawo; prawie nigdzie nie musiałem przeciskać się między ludźmi, żeby gdzieś przejść, bez kłopotu mogłem też iść podcieniami albo wejść do jakiejś tawerny. Jednak Kawerny tętniły życiem, w odróżnieniu od tych miejsc, które mijałem rano, idąc na targ rybny. W wielu zaułkach stały stragany, z których sprzedawano różne rzeczy, na ulicy poniewierały się odpadki, rynsztokiem płynęły nieczystości wylewane z jatek, pralni i kuchni, gdzie warzono jadło na sprzedaż. Na ścianach widziałem napisy w wielu językach. Przez chwilę ze strachem wypatrywałem znajomych znaków i symbolu Podziemnego Łona, ale na ścianach wiły się tylko węglowe linie naiwnych, sprośnych rysunków i zwykłe napisy. Te, które umiałem jako tako odczytać, były to głównie przekleństwa, pozostałych alfabetów nie znałem, lecz towarzyszące im obrazki mówiły same za siebie. Budynki były takie jak wszędzie w grodzie, ale tu nikt nie dbał o drogocenne szyby albo ornamenty. Rzeźby bywały poutrącane i zapaskudzone, a w wielu oknach dziury pomiędzy szprosami zaklejono szmatami lub rybimi pęcherzami. Pod nogami biegały jakieś utytłane w błocie, brzydkie zwierzęta, wydając przeraźliwe dźwięki, i drepczące ptaki podobne do malutkich ornipantów, najwyraźniej nieumiejące latać, a których nie potrafiłem nazwać.

Szliśmy dosyć szeroką ulicą, na której rzędem ciągnęły się karczmy z drewnianymi szyldami na łańcuchach, jednak Snidulf oznajmił, że w tej okolicy będzie za drogo.

– Większość ludzi wchodzi tamtą bramą – wyjaśnił. – Wolą nocleg przy głównej ulicy, bo nie znają miasta, nie chcą też już dłużej szukać. Ale my pójdziemy w boczne zaułki. Nie tam, bo tam mieszkają rozmaici odmieńcy i Odrzuceni przez Drzewo, ani nie tam, bo tam są same domy uciech. Znajdziemy małą, lecz czystą gospodę w jednej z tych uliczek. Są na tyle blisko Bławatnej, którą chodzą strażnicy, żeby było spokojnie, a wystarczająco na uboczu, by miały dobre ceny.

Tak też zrobiliśmy i wkrótce znaleźliśmy w odchodzącym od gwarnej ulicy zakątku prowadzącym wzdłuż muru wąski i wysoki dom, wciśnięty pomiędzy dwa inne, jak wszędzie tutaj, z niepozornym szyldem nad wejściem.

Na dole znajdowała się wspólna sala, podobna do halli, jakie widywałem w tutejszych siedzibach na lądzie. Było to pomieszczenie z paleniskiem,

ławami i stołami, gdzie wszyscy domownicy spędzali najwięcej czasu, pijąc, ucztując, grzejąc się przy ogniu, zabawiając się, grając i słuchając muzyki. Tu było podobnie, choć domownicy pochodzili z różnych krajów i klanów i nic ich nie łączyło prócz tego, że nocowali w tej samej gospodzie.

Nazywała się „Wilcza Gawra” i należała do krępego Żeglarza z bielmem na lewym oku oraz jego córki. Dziewczyna była trochę starsza ode mnie, wysoka i wyniosła. Nosiła wąskie skórzane spodnie i haftowany kusy kaftan oraz skórzane, nabijane guzami karwasze, miała kędzierzawe fioletowe włosy podgolone na skroniach i cienki srebrny diadem. To z nią miałem się umówić, choć nie było mowy o targowaniu.

– Za noc trzy peningi – oznajmiła, patrząc na mnie wzgardliwie bladozielonymi oczami. – Za miesiąc zapłacisz więc markę, trzy szelągi i jednego siekańca. Za te pieniądze masz własną alkowę z oknem na poddaszu, rano wrzątek, o zmierzchu miskę zupy z kotła i kawałek chleba. Sam sprzątasz u siebie, nosisz sobie wodę do umywalni i wynosisz nocnik. Na dole jest łaźnia, gdzie możesz pójść dwa razy dziennie. Światło lamp i ciepło z otworów w podłodze jest wliczone, jednak nie wolno ci zapalać gazowych lamp samemu, bo nie umiesz. U siebie za oliwę płacisz sam, musisz też zapłacić swoją część za opał na palenisko, dwa peningi na tydzień, albo przynieść dwie wiązki w tygodniu. Za to możesz warzyć własne jedzenie i siedzieć przy ogniu, kiedy tylko chcesz. Jeśli spróbujesz mnie dotknąć, obrazić, wszczynać burdy z gośćmi lub zabijesz kogoś bez powodu, obijemy cię z ojcem i oddamy straży.

– Nie zgadza się. O pół peninga za dużo – oznajmił Snidulf. – Nie mówiąc już o tym, że skoro płaci z góry, powinnaś mu coś opuścić. Coś drogo liczysz za swoją zupę i opał. Marka srebrem z góry to powinno być dosyć, jak za nocleg w tej okolicy.

– Nie pierwszy raz liczę komuś za miesiąc – warknęła. – Idzie jesień i za chwilę nie znajdziecie posłania taniej niż za dwa skojce za noc. Mogę opuścić siekańca, niech zapłaci markę i trzy szelągi.

– Tyle opuściłaś co nic – powiedziałem. – Dam markę i dwa szelągi, skoro dodatkowo liczysz za opał i muszę sam oświetlać sobie alkierz, a ja płacę z góry i nie będziesz miała z tym kłopotu.

Na tym też stanęło, wkrótce Snidulf pożegnał się ze mną i poszedł w swoich sprawach, ciesząc się odzyskanym srebrem. Dziewka, która

rzekła mi, że nazywa się Sfavla, ani na chwilę nie porzuciła butnej miny, kiedy odważyła przeszło połowę moich pieniędzy, jednak i tak byłem zadowolony, że wytargowałem dziesięć i pół peninga.

Potem poszliśmy na górę, poprowadziła mnie krętymi korytarzami, a w końcu otworzyła żelaznym kluczem drewniane drzwi do wąskiej klitki, gdzie mieściło się łóżko, zydel i mały stół ze stojącym na nim dzbanem. Obok łóżka było tyle miejsca, by dało się z trudem przecisnąć do okna, niemniej były tam ściany i opadający stromo sufit, a także drzwi, do których otrzymałem własny klucz z kutego żelaza.

Dziewczyna odeszła, a ja postawiłem swój kosz podróżny na kamiennej posadzce i usiadłem na łóżku, obracając w dłoni moją kulę życzeń.

Po raz pierwszy od pewnej burzowej nocy w Maranaharze dokądś dotarłem. Zatrzymałem się.

Przestałem uciekać.

Nie osiągnąłem żadnego widocznego celu, ale też nie miałem pojęcia, jak miałby on wyglądać. Nie umiałem sobie nawet powiedzieć, jak długo trwała moja ucieczka. Zostawiłem za sobą bardzo wiele miejsc, w których straciłem poczucie czasu. Na pustyni, w niewoli u Lśniącej Rosą, w Dolinie Bolesnej Pani, ale też na początku, podczas wędrówki bezdrożami Zewnętrznego Kręgu Amitraju.

Teraz dotarłem do końca, zostałem zupełnie sam i nie wiedziałem, co dalej.

Siedziałem na poplamionym sienniku i patrzyłem na kawałek nieba za oknem, na lśniące spadziste dachy wokół. Zaczął się wtedy dla mnie czas czekania, aż mój los się obudzi, lecz nie mogłem opanować strachu, że zgubiłem wątłą jak nić ścieżkę, która miała mnie prowadzić. Aż do tej chwili, cokolwiek się działo, miałem przed sobą cel. Wędrowałem na skraj pustyni, do Ergu Krańca Świata. Przemierzałem piach Nahel Zymu ku krainie Ludzi Niedźwiedzi. Uciekałem z niewoli i wędrowałem na północ. W końcu zupełnie przypadkiem płynąłem przez północne morza ku Lodowemu Ogrodowi. Po co? Zawsze mogłem mieć nadzieję, że odpowiedź czeka na mnie za kolejnym zakrętem szlaku, za wzgórzem lub piachem pustyni. A na koniec usiadłem tu, w Kawernach, w gospodzie „Wilcza Gawra”, na brudnym barłogu i to był koniec podróży. Odpowiedź nie nadeszła.

Rozpakowałem mój kosz, przejrzałem nędzny, znoszony dobytek. Miałem amitrajskie ubranie Sindara, które teraz przestało mieć barwę szafranowej żółci, a stało się szarobrązowe, zimowy kaftan i spodnie, kilka przepasek i tunik, szalik, skarpety, pustynny płaszcz. Wszystkie te rzeczy usiłowałem naprawiać i prać, kiedy się tylko dało, lecz i tak były poprzecierane i postrzępione. Miałem jeszcze dwie pary połatanych butów, ochronne wojskowe sandały w zupełnie niezłym stanie, miski, kubek, łyżkę, szczypczyki do jedzenia, chustkę, trochę drobiazgów, fajkę Brusa i jego kij szpiega, nóż tropiciela oraz moją kulę życzeń.

Całego majątku zostało mi pięć szelągów, dwa skojce i jeden pening.

Przypomniało mi się, że miałem miecz, tarczę, hełm i kolczugę, a także łuk i strzały, które przepadły w Dolinie Bolesnej Pani. Gdyby ocalały, mógłbym przynajmniej je tu sprzedać. Wprawdzie były zniszczone i marnej jakości, ale myślę, że wziąłbym za nie co najmniej pięć marek. Nie wspominając już o rynsztunku zwiadowcy, który nosiłem wcześniej, a który sprzedano na przygranicznym targu.

Zszedłem do łaźni i uprałem ubrania, resztę dobytku rozłożyłem na parapecie okna i rozwiesiłem na kołkach wbitych w ścianę. Odłożyłem sobie garść monet, mniej więcej dwa skojce, a pozostałe ułożyłem w równą stertę, zawinąłem w chustkę i schowałem wewnątrz kija szpiega, który wcisnąłem pomiędzy żerdziami łóżka i oplotłem rzemieniami, tak że nie różnił się specjalnie od innych drągów, na których leżał siennik.

Kiedy zakończyłem tę domową krzątaninę, minęło już południe, więc schowałem odłożone pieniądze do sakiewki, którą ukryłem w jednej z kieszeni za pazuchą kurty zwiadowcy, i poszedłem do miasta.

Bez większego celu. Potrzebowałem glinianej taniej lampy i oliwy do niej, jeśli nie chciałem obijać się po mojej izdebce po ciemku, poza tym nie miałem po co siedzieć w alkierzu. Zapragnąłem poznać okolicę, może kupić kilka warzyw i coś na polewkę, sprawdzić, czy znają tu orzechy na napar, poszukać bakhunu i kłączy mydlnicy. Przysiąść gdzieś i napić się piwa. Błahe, nieistotne sprawy. Nikt mnie tu już nie ścigał. Nie miałem dalej dokąd dążyć. Nie miałem ważniejszych spraw niż zwykłe czynności pozwalające przeżyć dzień. Nie nawykłem do tego i zaczął mnie ogarniać niepokój. Głęboki i bez jasnego powodu.

Przez resztę dnia błąkałem się po mieście, tak jak za młodych lat po ulicach Maranaharu. Leniwie, bez celu, przyglądając się towarom na

straganach albo przysiadając w podcieniach z kubkiem piwa w ręku, żeby obserwować przechodzących ludzi. Tylko że wtedy dostawałem pieniądze za nic, za to jedynie, że byłem następcą tronu, a także nigdy nie odstępował mnie mój nauczyciel, przewodnik i przyboczny. Przyjaciel. Brus. Tu, na spokojnych ulicach Lodowego Ogrodu, poczułem, jak bardzo mi go brakuje. Jak bardzo brakuje mi wszystkich innych, którzy odeszli gdzieś w nieznane albo Drogą pod Górę.

Przed zmierzchem wróciłem do gospody z lampą, butelką taniego tłuszczu, który trochę kopcił i zalatywał rybą, a także glinianym garnkiem, kilkoma rzepniakami, płasolą, cebulą i kawałkiem mięsa pochodzącym z nie wiadomo jakiego zwierzęcia. Miałem też szmatkę, a w niej zawiniętą sporą szczyptę soli i trochę przypraw, których zapach mi się podobał i wydawał znajomy. Usiadłem w halli na dole i uwarzyłem sobie polewkę, a potem siedziałem i patrzyłem w ogień, pykając fajkę.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Tylko trzech mężczyzn siedzących przy ławie, którzy wykładali na stół niewielkie, gładkie deseczki pokryte dziwnymi znakami, jakieś kamienne krążki i monety, zaprosili mnie do gry. Odmówiłem uprzejmie, tłumacząc, że nie znam tej gry i do tego mam zbyt mało pieniędzy, by trwonić je przy stole.

Siedziało tam jeszcze przy innym stole kilka krzykliwie ubranych kobiet, paplających do siebie, chichoczących i czeszących sobie nawzajem włosy, a także jeden chudy mąż, który gapił się w płomienie jak ja, tylko po drugiej stronie paleniska, i trącał lekko struny niewielkiej harfy o dziwnym kształcie, trzymanej na kolanach.

Poszedłem wreszcie do swojej izdebki i zamknąłem za sobą własne drzwi na skobel, co nie zdarzyło mi się od bardzo dawna. Później leżałem w ciemności, słuchając dobiegających z ulicy okrzyków, chichotów i śpiewów, tupania na schodach i różnych dźwięków, których nie umiałem rozpoznać. Długo nie mogłem zasnąć, trawiony dziwnym niepokojem.

Następnego dnia wstałem jeszcze przed świtem, zjadłem kawałek sera i poszedłem na Targ Solny szukać tych, którzy potrzebowali ludzi do pracy. Okazało się, że trafiłem bez kłopotu. Targ Solny był kolejnym kwadratowym placem wciśniętym pomiędzy domy i pierwszy pierścień murów, patrzącym na niewielką przystań. Sól sprzedawano z długich kamiennych stołów osłoniętych daszkami i wyglądała zupełnie inaczej niż różowobiałe kwadratowe płyty, które eskortowałem w karawanie. Tutaj

leżały hałdy białych kryształków usypane w stosy. Zauważyłem też, że była tańsza niż moja, sprzedawana u Ludzi Niedźwiedzi. Szukający pracy stali bezładną gromadą z boku, tuż przy wejściu do portu, siedzieli na pirsach albo wśród ustawionych w stosy pustych koszy. Ci, którzy chcieli kogoś wynająć, mieli długie rózgi, które unosili wysoko nad głową, by było ich widać w tłumie, wykrzykując rodzaj pracy, na ile dni potrzebowali oraz ile zamierzali płacić za dzień.

Wtedy, pierwszego dnia, poszedłem „do rozładunku, na trzy dni, osiem peningów za dzień, bez jedzenia!”. Po czym zaprowadzono mnie do innego portu, tego przy targu rybnym, gdzie przez cały dzień wędrowałem po pirsie, potem po drewnianym trapie i schodni pod pokład okrętu, a wracałem z workiem na ramieniu, koszem pełnym ryb albo baryłką, by zanieść to na wozy i wózki podstawione szeregiem na nabrzeżu. Towary były ciężkie, ale nie aż tak, żebym nie dawał rady ich nosić, a za każdym razem, kiedy na wieżach miejskich chramów odzywały się dzwony, ogłaszając mieszkańcom upływ czasu, pozwalano nam usiąść na krótko, napić się wody z beczki i rozprostować grzbiety. Kilka razy widziałem, jak nadzorca groził komuś swoją rózgą lub wrzeszczał na niego, ale nikogo nie uderzono naprawdę.

Mimo to kiedy odezwało się sześć dzwonów, byłem już solidnie zmęczony, bolały mnie ramiona, kark i nogi. Tylko że ciągle pamiętałem swój czas spędzony jako niewolnik i w porównaniu z tym rozładunek okrętów wydawał się zabawą. Czułem zmęczenie, ale nie padałem z wycieńczenia. Przy sześciu dzwonach, które wypadały mniej więcej na godzinę psa, słońce stało jeszcze wysoko, w dworze Lśniącej Rosą pracowałbym jeszcze wiele godzin wśród razów, kopniaków i obelg, a na swój barłóg dowlekłbym się już w ciemnościach. Po sześciu dzwonach ten sam kupiec, który nas zatrudnił, przyszedł w towarzystwie dwóch zbrojnych, zasiadł za niewielkim stołem ustawionym na nabrzeżu, wypłacił nam po szelągu i przypomniał, byśmy przyszli nazajutrz od razu tutaj, a nie na Targ Solny.

Kiedy odważał srebro wyjmowane z niewielkiej, obitej skórą skrzyneczki, za zasłoną z koszy i stojaków z suszącymi się sieciami, która oddzielała nas od targu, zauważyłem niewielkie sylwetki, które przycupnęły rzędem w miejscach, gdzie tylko dało się wdrapać nieco wyżej, i patrzyły na usypane w słupki monety. Były to te same wyrostki, które widziałem

poprzedniego dnia, tyle że dziś w większej gromadzie. Jeden z nich miał dziwną trójkątną twarz z ostrymi zębami jak szczur i jakby błoniaste skrzydła złożone za plecami, inny kostne haki wystające ze skóry, jak rzędy zębów, jeszcze inny porośnięty był na głowie dwubarwnymi kolcami, które jeżył co chwila. Siedzieli daleko i tylko gapili się głodnym, nieruchomym wzrokiem niczym szakale na ucztującego leoparda, ale i tak poczułem chłód na plecach.

Kiedy odbierałem swoją zapłatę, zauważyłem, że jeden z wyrostków lekko trącił łokciem drugiego i wskazał mnie ręką. Tamten wyprostował się, spod kaptura błysnęła wykrzywiona szkarłatną opuchlizną twarz i nasze oczy się spotkały.

Jeden z przybocznych gwizdnął na palcach i pogroził chłopaczkom solidną pałką o rękojeści okręconej rzemieniem, z nabitymi na drugi koniec żelaznymi pierścieniami. Niechętnie pozłazili z murów i stojaków do sieci, ale odsunęli się tylko o kilka kroków. Inni tragarze też ich zauważyli i kiedy zakładali swoje złożone na wybrzeżu kurty i kaftany, zabierali torby i kosze, w których przynieśli sobie coś do jedzenia, zobaczyłem, że każdy ma przy sobie pałkę, kawałek łańcucha, kord albo krótki miecz. Wszystko to łatwo dałoby się ukryć pod kaftanem, ale teraz tragarze umieścili broń na wierzchu, tak żeby była widoczna i łatwa do dobycia. Ja nie zabrałem nic, więc ucieszyłem się, widząc, że wszyscy wychodzą na targ zwartą gromadą, i przeklinając własną głupotę, pilnowałem, żeby iść w środku.

Na szczęście, kiedy wchodziliśmy na targ, pojawiło się trzech miejskich strażników, przyboczny gwizdnął i wskazał na złodziei, strażnicy ruszyli w tamtą stronę, a wyrostki poznikały nagle jak stado szczurów.

Następnego dnia zabrałem już ze sobą nóż tropiciela i kastet małego złodzieja. Po długim, znojnym dniu, który ciążył mi bardziej niż poprzedni, znów wyszliśmy stamtąd całą gromadą, a ja miałem na sobie starą sukienną kurtę z kapturem, którą kupiłem poprzedniego wieczora, wyglądającą jak strój zwykłego mieszkańca Wybrzeża Żagli. Kiedy grupa tragarzy wyszła z targu i rozpadła się na ulicach grodu, ruszyłem do domu okrężną drogą, klucząc po całym mieście, przemykając przez zaułki i rozglądając się czujnie. Sądziłem, że poradzę sobie z takimi oberwańcami, pod warunkiem, że mnie nie zaskoczą albo nie będzie ich zbyt dużo naraz, ale na pewno nie chciałem, żeby udało im się wypatrzyć, gdzie mieszkam. Kilka razy zachodziłem do tawern, które opuszczałem tylnym wyjściem przez

podwórza pod pretekstem szukania wychodka, zanim w końcu pojawiłem się w okolicy „Wilczej Gawry”, do której z kolei wszedłem przez tylne drzwi.

Po trzecim dniu i tak zaczęło mi się wydawać, że wszędzie widuję młodych oberwańców, więc kiedy poszedłem na Targ Solny, wziąłem pracę w innej części miasta i potem unikałem okolicy tamtej przystani.

Robiłem wtedy różne rzeczy – pomagałem w warsztacie u wozarza, pracowałem w cuchnących garbarniach gdzieś głęboko wewnątrz góry, gdzie w jaskiniach zbudowano wiele różnych warsztatów, kuźni i wielkich szkutni. Zgodziłem się pracować przy zbiorze owoców, zawieziono nas na wozach daleko w głąb wyspy, poza gród. Wtedy po raz pierwszy od długiego czasu znalazłem się pod otwartym niebem, wśród drzew i rozległych łąk, i poczułem, że miasto mnie męczy.

Tak czy owak, w Lodowym Ogrodzie wyraźnie brakowało rąk do pracy, i to bardziej, niż wynikało z liczby mieszkańców. Obywatele najwyraźniej niechętnie imali się takich prostych prac jak to, co robiłem, i dlatego nietrudno było zarobić na utrzymanie. Wkrótce miałem trochę oszczędności, które wymieniałem w kantorach na grubsze monety, żeby łatwiej je chować, jadłem do syta, zacząłem też trochę zbyt często pić.

Wiodłem skromne życie i mimo wszystko każdego dnia zarabiałem parę peningów więcej, niż potrzebowałem na utrzymanie. Nie pracowałem też codziennie. Mogłem pozwolić sobie od czasu do czasu na pozostanie w oberży przez dzień czy dwa, kiedy pogoda była wyjątkowo paskudna albo czułem się bardzo zmęczony.

Wiodłem życie, którego jedynym celem było zarabianie na utrzymanie i nic więcej. Mój niepokój narastał. Wstawałem przed świtem, szedłem do pracy, wracałem, jadłem, wypijałem kilka kwart piwa, spałem. Czekałem, aż mój los mnie odnajdzie, ale nie umiałem rozpoznać, na czym miałoby to polegać. W końcu zaczęło mi się wydawać, że jedyne, czego się doczekam, to starość, której dobiegnę, nosząc skrzynie i beczki, sprawiając mięso i ryby albo kopiąc w ziemi.

Znów straciłem poczucie czasu. Wszystkie dni zdawały się podobne. Przesypywały się pomiędzy palcami jak piasek, a gdzieś tam skryci wśród gór i wąwozów Kireneni oczekiwali na ratunek lub właśnie ich wyrzynano. Podziemna Matka pożerała cały kraj, spalone kości moich poddanych rozrzucano na świątynnych polach. Ja zaś w tym czasie toczyłem beczki albo rąbałem drewno na węgiel drzewny, by zarobić szeląga czy półtora i przeżyć kolejny dzień.

Któregoś dnia znalazłem sklep, w którym sprzedawano różne dziwne przedmioty, przywiezione z dalekich krain albo zrabowane na morzu, głównie takie, co do których żeglarze nie bardzo wiedzieli, do czego służą. Długo grzebałem wśród porozrzucanych towarów, drżącymi palcami przekładając kościane grzebienie z Jarmakandy, nahdilijskie wonne pałeczki, przetykane jaskrawymi nićmi kebiryjskie chusty, wachlarze pogrzebowe, grające kamienie, dzwonki przywołujące duchy. Jakbym dotykał zapomnianego świata. Te małe kawałeczki Południa piętrzyły się przede mną, pachniały wonią dalekich bazarów, ciepłych, turkusowych mórz i istniały. Były kolorowe, lepkie i ciężkie. W powietrzu unosił się zapach kebzegarskich pachnideł, bakhunu, wyschniętej bahalavy w pudełkach, której nikt tu nawet nie kosztował, bo nie wiedział, że to należy jeść.

Wszystkie te przedmioty istniały naprawdę i dowodziły, że istniał też świat, który je wydał, a który zaczynał mi się wydawać kolorowym, gorączkowym snem, zaczynającym się już zacierać w mojej pamięci.

Do domu wróciłem z bakhunem oraz orzechami i po raz pierwszy w mojej alkowie zapachniało jak w domu. Ale co najważniejsze, kupiłem zwój trzcinowego papieru poskładanego w zygzak jak do podróżnego użytku, kamień tuszu, miskę i tłuczek do rozcierania, a także kilka naostrzonych trzcinek.

Od tamtej pory, kiedy wracałem z pracy albo postanawiałem zostać w domu, parzyłem czarkę orzechowego naparu, nabijałem fajkę i pisałem w świetle lampy. Nie wiedziałem po co, ale kiedy zacząłem stawiać sepiowe znaki na papierze, wrócił do mnie biały od słońca Maranahar, przed moimi oczami kołysały się palmy, znów ujrzałem cały korowód twarzy tych, którzy odeszli. Patrzyli na mnie, uśmiechali się i przemawiali, a ja znowu miałem trzynaście lat i mieszkałem w Domu Stali. Słyszałem dźwięki, czułem zapachy i widziałem kolory, mimo że przede mną nie było nic, tylko pożółkły papier i rzędy brązowych znaków.

Wtedy wydawało mi się, że moje życie znów nabiera jakiegoś sensu, ale niepokój mnie nie opuszczał. Mój los milczał, a ja wiodłem żywot pozbawiony znaczenia, czekałem i traciłem czas. Kiedy spisywałem swoje losy, przynajmniej pamiętałem, kim jestem i po co tu przybyłem.

Wciąż starałem się unikać małych złodziei z targu rybnego i stale miałem się na baczności. Obawiałem się, że mogą mnie jednak wytropić. Miasto nie było takie znowu wielkie, a oni znali je jak własną kieszeń. Nie napadli mnie jak dotąd, ale dość często widywałem to tego, to tamtego. Kilka razy zgubiłem ich w ciasnych zaułkach i podwórkach. Kilka razy jakiś kamień śmignął koło mojej głowy, raz przy pracy, kiedy szedłem ze skrzynką w rękach, trafił mnie w plecy. Był to ołowiany pocisk z procy, zwężający się na obu końcach, z wydrapanym przekleństwem. Na szczęście nadleciał z daleka, a ja miałem gruby kaftan, ale i tak miałem siniaka wiele dni potem. Jakiegoś dnia wytropili mnie, gdy pracowałem przy rąbaniu zbieranego na plaży drewna do węglarni. Wtedy celny kamień stłukł mój dzban z piwem. Tak żebym pamiętał i wiedział, że mnie obserwują. Że patrzą i czekają na dogodną chwilę.

W tym samym sklepie znalazłem zioła, których koczownicy z okolic Kangabadu używali do malowania znaków klanowych na twarzy i rękach. Zmieszałem je z gorącą wodą i umyłem nią głowę, dzięki czemu moje rude włosy stały się ciemnobrązowe, przestałem się też golić i dochowałem czegoś w rodzaju nędznej, krótkiej brody. Nosiłem tutejszy kaftan i kaptur

lub czapkę. Starałem się chodzić różnymi ulicami i zawsze miałem przy sobie broń. Zwykle nóż tropiciela oraz ciężką laskę z czarnego drewna, od góry okutą żelazem, w kieszeni miałem jeszcze taką samą broń, jaką kiedyś zrobiliśmy z Benkejem jeszcze w niewoli. Kawałek zdrewniałej trzciny z tłokiem i wywarem z wściekiełki, zatkanej korkiem. Wściekiełkę znalazłem w nieocenionym antykwariacie Południa, zresztą używałem jej do potraw. Wszystko to pomogło na chwilę i sprawiło, że zgubili mój trop.

A kiedy już uznałem, że mój wygląd zmienił się dostatecznie, któregoś dnia nie poszedłem do pracy, za to wybrałem się do portu rybackiego. Nadeszła już jesień, ale czasami wychodziło słońce, morze było ciemne i wzburzone, rozbijało się o dalekie, zewnętrzne falochrony i kołysało malowanymi łodziami rybackimi w przystani, a powietrze pachniało solą, morzem, rybami i dymem z węglowych rusztów.

Posiedziałem trochę przed tą samą tawerną co kiedyś, nawet zjadłem taką samą pieczoną na patyku rybę, czekając, aż się pojawią. Sam nie byłem pewien, co zamierzam. Chciałem zyskać odrobinę przewagi – dowiedzieć się czegoś o nich, wyśledzić, gdzie nocują, ot tak, na wszelki wypadek. A ostatecznie sprowokować do ataku i dać im nauczkę.

Siedziałem jednak długo, sącząc piwo, ale żadnego nie było widać. Po jakimś czasie dwaj pojawili się jak zwykle przy pirsie, siedząc na beczkach, lecz ja czekałem na tego najstarszego.

– Daleko zawiódł cię twój los, młodzieńcze – odezwał się jakiś głos. Spojrzałem ze zdziwieniem i lekkim przestrachem. Nie miałem tu przyjaciół, mijałem tylko ludzi, z którymi zamieniałem kilka zdawkowych słów. Nawet z tymi, którzy mieszkali w tej samej gospodzie, niewiele rozmawiałem. Człowiek, który zasiadł na ławie naprzeciw mnie, wydawał mi się znajomy, ale nie wiedziałem skąd.

Bardzo niski i chudy, o pobrużdżonej twarzy, nosił skórzany kapelusz z szeroką kresą. Kiedy spojrzałem mu w twarz, dostrzegłem, że nie ma jednego oka, a oczodół zasłonił kościaną rzeźbioną płytką uwiązaną rzemieniem. Ubrany był zwyczajnie – w sznurowany kaftan z miękkiej skóry, nabity w różnych miejscach okrągłymi ćwiekami.

Przed sobą na stole trzymał sakiewkę, z której na chybił trafił wyciągał jakieś niewielkie malowane klocki powycinane w najróżniejsze kształty i łączył je ze sobą, nie patrząc na to, co robi, za to łypiąc na mnie jednym

okiem spod ronda swojego kapelusza. Klocki, którymi się bawił, przypominały trochę kawałki potłuczonej drobno mozaiki.

– Kim jesteś i czego chcesz ode mnie, starcze? – spytałem. – Rzeczywiście trafiłem do tego miasta przypadkiem, jednak poza tym, że można tu znaleźć schronienie na zimę, nie widzę w tym większego sensu, więc nie ma potrzeby plątać do tego spraw losu. Co więcej, mój los to nie twoja rzecz.

– Mimo wieku mam lepszą pamięć do ludzi niż ty. Może dlatego, że starcy niewiele już myślą o sobie, a więcej o innych. Choć prawda, że większość głównie o tym, jak nimi rządzić i dokuczać. Dotrzymałeś mi kiedyś towarzystwa na szlaku i wtedy powiedziałeś, że wiedzie cię los. Wielu mówi coś takiego, kiedy chcą uchodzić za wielce tajemniczych, jednak tyś wtedy posmutniał, jakbyś naprawdę tak sądził. Mówiłeś, że zwiesz się w obcej mowie Filar, i jadłeś ze mną przy ogniu.

Coś zatrzepotało i zakryło na chwilę słońce rozedrganym cieniem, po czym na stole tuż obok niego usiadł czarny ptak z wielkim szarym dziobem, który złożył skrzydła i spojrzał na mnie paciorkowatym okiem, czarnym jak agat, zupełnie bez lęku, jakby był tresowanym sokołem.

– Wybacz, Cieniu Kruka. Mijałem w drodze wielu ludzi, a tak się składa, że mam więcej spraw i zgryzot niż inni, więc nie pamiętam tak dobrze, jak bym chciał. Co zaś do podążania ścieżką, jaką dał mi los, to istotnie tak jest, jednak rzecz w tym, że nie wiem, dokąd ona prowadzi. Tak samo jak każdy. Pewien mądry człek rzekł mi kiedyś, że linie losu są niczym pajęczyna i łatwo je zgubić lub pozrywać, zaś przyszłość jest niczym płynąca woda lub dym. Stale w ruchu. Dlatego nikt nie umie ich odczytać.

– Tylko głupcy chcą znać przyszłość daleko naprzód – zgodził się. – Im dalej, tym więcej zmian. Przyszłość jest jak konar drzewa. Rozdziela się na setki coraz mniejszych gałązek i nie wiadomo, która będzie tą najważniejszą, ale przecież całą gałąź widać. Widać jej główne odrosty, a także to, czy rośnie w lewo, czy w prawo od pnia. Schnie czy pokryta jest liśćmi.

Jego palce poruszały się coraz szybciej, sięgając do mieszka i łącząc ze sobą wymyślne kostki, które czepiały się razem, tworząc kulę. Znad morza nadciągnęło przenikliwe zimno, ale nie czułem podmuchu wiatru. Kula z połączonych drobnych elementów jak w dziecięcej układance miała teraz taką wielkość, że dałoby się ją ująć w palce obu dłoni.

– Kup mi piwa, Wędrujący za Losem – powiedział starzec. – To powiem ci, gdzie jest twoja ścieżka.

Wypuścił kulę z dłoni, a ta potoczyła się po stole w moją stronę, jakby była jedną całością, i zatrzymała tuż przy moim glinianym kuflu.

Westchnąłem i poszedłem do okna, na którym siedział karczmarz, gdzie wysupłałem całe pół peninga za średni dzban piwa i wziąłem kufel dla starca.

– Kupiłem ci piwo, ale to dlatego, że dzieliłeś ze mną ogień i chleb. Podróżowałem też na twoim wozie, nie raniąc nóg na szlaku i nie musząc napinać grzbietu pod podróżnym koszem, a nic ci za to nie dałem. Nie chcę natomiast twoich jarmarcznych sztuczek. To tylko czcza zabawa, co więcej, wiem, że wróżbici potrafią wyzuć naiwnych z ostatniego grosza, nie dając im nic poza fałszywą nadzieją i kłamstwami. Droga, której szukam, naprawdę jest nieodgadniona. Nie znajdę jej w dymach świątyń ani na jarmarku. Wedle mojej wiary prowadzi Drogą pod Górę, na spotkanie ze Stworzycielem, który jest ponad waszymi bogami i ich zaginionymi imionami, a o którym nic nie wiecie. Zabierz swoje kule, swoje sztuczki, zręczne palce i zwinny język. Na nic się tu nie zdadzą, bowiem nie dostaniesz ani peninga.

Trąciłem dziwnie lodowatą kulę lekko dłonią, by odtoczyła się w stronę jednookiego starca, ale ta rozsypała się nagle lawiną drobnych, powycinanych w dziwne kształty płytek, która popłynęła po stole z grzechotem, jak garść drobnych muszli ciśnięta falą na plażę.

Zamarłem zaskoczony, a tamten zaśmiał się i wypił solidny łyk piwa.

– Nie chciałem prosić, byś zrobił cokolwiek więcej, niż zrobiłeś – oznajmił, kiwając głową. Jego ptak wydał z siebie chrapliwy wrzask i przekrzywił lekko łebek, patrząc na leżące na stole tokeny.

– Tego, czego szukam, nie przeczytasz na malowanych kostkach – powiedziałem.

– Pewnie nie – zgodził się. – Do tego trzeba dokładniejszych sposobów. Ale co nieco otworzy się przede mną. Spójrz tylko.

Przewróciłem oczami ze zniecierpliwieniem, spojrzałem na wygładzony słonym wiatrem blat i zmartwiałem, czując lodowaty dreszcz na karku.

Spodziewałem się rozsypanej bezładnie na stole garści drobnych malowanych klocków, tymczasem kostki ułożone były równo, jakby przez cały dzień cierpliwie układał je mistrz mozaiki. Wzór przedstawiał

Odwróconego Żurawia. Znak, jakim zapisywało się moje klanowe miano, zamknięty w kręgu oplecionym przez gałęzie drzewa. Pień był z mojej strony, a gałęzie wyciągały się w stronę starca. Nachylił się do nich, mamrocząc coś i wodząc węźlastym palcem po starannie ułożonych kostkach.

– Kiedyś byłeś naprawdę potężny – oznajmił. – Daleko stąd. U szczytów władzy, tak jak ją rozumieją w krajach Południa. Przepych i strach. Piękno i okrucieństwo. Potęga i zazdrość. Spowijałbyś się w jedwab, słuchał muzyki i jadł słodkie owoce, wciąż zerkając w cień i ściskając w dłoni rękojeść miecza. Słuchałbyś szeptów i układał misterne intrygi, wplatając je w dziwne rytuały. Ale spójrz tu: to wszystko pochodziło od obcych. Tak jakbyś wszędzie był cudzoziemcem zmuszonym do mówienia obcą mową. Tak jak teraz, tylko że ty się chyba urodziłeś w obcym kraju. Była też wojna i zdrada. Bębny... I szczekanie ogarów razem... Nie rozumiem. Zupełnie jakby bębny były zarazem mową... Potem tułaczka i maski. Wiele masek, jedna za drugą. Wiele krwi i cierpienia. Miecz. I sól. Sól zwykle oznacza ochronę przed zgnilizną. A tu stale traciłeś najbliższych. To młode drzewko ociosywane z gałęzi. Ale drzewko bez gałęzi staje się kijem. Bronią, może drzewcem włóczni. W tej części życia stał nad tobą wędrowny ptak. Dzika gęś, czapla, może żuraw. Stale wędrujący na północ. Przez pustynie i śniegi, byle na północ. Choćby jako ostatni z klucza.

Starzec zaczerpnął oddechu.

– A tu okowy i wąż obok siebie. Wiele razy trafiałeś w pęta, lecz zawsze umiałeś je zrzucić, bowiem nikt nie umie zakuć węża... A ten znak to wilk, który odgryza sobie łapę, by uwolnić się z wnyków. I znów na północ, ku gwieździe... Jest też przyczyna tego wszystkiego, jednak z tych kości trudno ją dokładnie odczytać. Wydaje się, że to kobieta, ale to nie jest cała prawda. To coś, co tylko wygląda jak kobieta. Jest owładnięta władzą i potęgą. Jest też przedwiecznym podziemnym ogniem. Nie, nie wiem. To coś strasznego, co przybyło z otchłani, ale żyje. Jakby demon, lecz żywy i śmiertelny. Nie widziałem jeszcze czegoś takiego. To coś, co przypomina istotę z zaświatów, ale może chodzić po ziemi. Coś, co stale cię wypatruje i tropi. Są też wrogowie, których za tobą posłała. Nie tylko za tobą. Dotrą za tobą wszędzie i nie przestaną tropić. Znów coś martwego, ale i żywego, dzięki zemście. Z tego rzutu niczego więcej się nie dowiem. Te kości nic więcej mi nie powiedzą.

– A znak? – spytałem przez nagle zaschnięte i ściśnięte gardło, wskazując Odwróconego Żurawia.

Wzruszył ramionami.

– Przyświeca twojemu życiu. Prowadzi cię. Lecz niewiele umiem o nim powiedzieć, bo nie znam tego pisma. Gdybym umiał go przeczytać, może rzekłbym więcej. Wpisał się w Drzewo Przeznaczenia. Najwięcej można zrozumieć nie z układu, ale ze znaków na kościach i tego, jakie leżą blisko siebie. Często kości wiedzą dużo więcej, niż wróż umie odczytać. To jakby ktoś mówił ci coś na migi.

Zgarnął nagle kości do woreczka i zaciągnął sznurek.

Długo siedziałem w milczeniu, patrząc na swoje dłonie na deskach stołu, osłupiały i pełen niepokoju.

– Nic mi nie rzekłeś o tym, gdzie mój los wiedzie dalej – powiedziałem wreszcie.

– Och, bo to tylko jarmarczne wróżby, jak sam zauważyłeś. Tyle, ile mogłeś dostać za piwo. Czcza zabawa, nic więcej. Niewarta nawet peninga. Fałszywa nadzieja i kłamstwa.

– Dam ci peninga, ale rzuć jeszcze raz.

– Przed chwilą nie pamiętałeś mojego imienia, jednak byłeś pewien, że nie jestem Wiedzącym, tylko jarmarcznym oszustem. Teraz spojrzałeś na garść kości i znowu uważasz mnie za wyrocznię.

– Przecież nawet głupiec dostrzeże, że zdarzyło się coś dziwnego. Zawsze gdy rzucisz garścią kamieni albo monet, układają ci się w znaki? Nie jesteś ciekaw, co jeszcze powiedzą? W tym, co mówiłeś, można było rozpoznać sporo prawdy, także wtedy, gdy ci się zdawało, że znaki nie mają sensu.

– Chcesz zawierzyć swoje życie wróżbie wartej kufel piwa i peninga?

– Los jest kapryśny, ale z tego, co mi powiedziałeś dotąd, zrozumiałem, że chce mi coś powiedzieć. O ile wiem, w takich razach może przemawiać przez cokolwiek, co porusza się siłami przeznaczenia. Lot ptaków, wirowanie liści na wietrze, ruch wody albo zachowanie ławicy ryb. Dlaczego więc nie kości, nawet jeśli zwykle dają odpowiedzi warte peninga?

– Bo te kości są kapryśne i udzielają wymijających odpowiedzi. Mówią symbolami i są mało dokładne. Do poważnej wróżby trzeba innych rzeczy.

Zwykle tego, co nazywasz mocą imion, a my pieśniami bogów. Z tym jednak, jak pamiętam, nie chcesz mieć nic do czynienia.

– Nie, dlatego wolę twoje kości.

– One ci już nic nie powiedzą. Co do innych sposobów, to nie sądzę, żeby pozwolili nam zawlec kogoś na uroczysko, zatłuc kamiennym młotem, potem ułożyć na znakach uczynionych jego własną krwią, po czym w środku nocy sprowadzić jego ducha uwięzionego przez krew i kazać mu mówić. Sam z wiekiem nabrałem rozsądku i wolę nie robić takich rzeczy, jeśli nie trzeba. Mam inny sposób, lecz nie zrobię tego wśród gapiów na targu i nie za peninga.

– Mów, Cieniu Kruka.

– Dwanaście marek, pięć szelągów, dwa siekańce.

Zmartwiałem. To były wszystkie moje oszczędności ukryte w izbie. Co do peninga. Gdybym mu tyle zapłacił, zostałoby mi tyle, ile nosiłem przy sobie na codzienne wydatki, oraz odłożona osobno suma, którą i tak musiałem zapłacić za kolejny miesiąc mieszkania. Nic więcej.

– Oszalałeś – powiedziałem. – Nie stać mnie na to. Zrujnowałbyś mnie.

– Trzeba, żebyś przypomniał sobie, po co tu przybyłeś. Na pewno po to, by ciułać srebro i układać pod deską podłogi? Taki był twój cel? Zgromadzić garść srebra, która w każdej chwili może zniknąć? Wiesz, jak rozkładają się linie losu: niczym żyły pod skórą albo gałęzie drzewa. Teraz jesteś w miejscu, które się rozwidla, i musisz wybrać. W lewo czy w prawo? Oddać srebro szalbierzowi i być może otrzymać odpowiedź czy nadal siedzieć, ciułać peningi i za cały cel mieć polowanie na garstkę obdartych kundli, wartych tyle co szczury? Przyjdź po zmroku do kupieckiej tawerny przy Kamiennym Targu zwanej „Pod Morskim Oraczem” i pytaj o Kruczego Cienia. Albo siedź przy oknie i licz swoje peningi. Dziękuję za piwo.

Resztę dnia spędziłem, wędrując bez celu, patrząc na wodę w porcie i kołyszące się w przystaniach obłe kadłuby statków. Potem wróciłem do gospody i przez jakiś czas chodziłem jeszcze w tę i z powrotem po izbie. Kilka razy sprawdziłem, czy moje srebro jest w kryjówce, i przeliczyłem, by sprawdzić, czy czasem się nie mylił. Nie mylił się. Chciał wszystkiego, co do peninga. I skądś wiedział dokładnie, ile tego jest.

Kamienna halla „Pod Morskim Oraczem” była trzykrotnie większa niż w mojej gospodzie i wychodziła na duży kwadratowy podwórzec otoczony

kolumnadą, zastawiony ciasno wózkami, wozami oraz stertami beczek, skrzyń, skórzanych i płóciennych worków. Stale kręcili się tam ludzie pilnujący towaru, z masywnymi mieczami, pałkami okutymi żelazem, w hełmach i pancerzach ze stalowych płytek i utwardzanej skóry, patrzący spode łba na każdego, kto choćby zbliżył się do wozów. Wszedłem przez bramę i od razu pod krużganek, trzymając się jak najdalej od towarów, ale i tak zaraz trzech osiłków zastąpiło mi drogę, pytając, czego sobie życzę.

Jeden z nich zaprowadził mnie do ciemnej halli, prosto do stojącego pod ścianą stołu, gdzie siedział Kruczy Cień i niespiesznie posilał się soloną owsianką z dzbana.

Bez słowa rzuciłem na stół sakiewkę, która łupnęła ciężko o deski. Odłożył łyżkę i jednym ruchem zgarnął mieszek z blatu. Nie przeliczał, tylko podrzucił lekko w dłoni i schował do skórzanej torby stojącej obok na ławie.

– Nie rzuca się tutaj pieniędzmi – zauważył. – Tu mieszkają sami kupcy. W tej gospodzie szanuje się srebro.

Usiadłem naprzeciw niego i pełen niecierpliwości patrzyłem, jak spożywa swoją mleczno-zbożową breję. Nie mówił nic, tylko czerpał łyżką z dzbana, poświęcając temu całą uwagę, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. Wiedziałem, że jeśli powiem cokolwiek, będzie mnie pouczał i szydził, więc milczałem. Oparłem brodę na splecionych dłoniach i patrzyłem na niego z politowaniem.

Po jakimś czasie przechylił dzban i zaczął skrobać w nim łyżką, wydrapując resztki. Nadal milczałem. Spodziewałem się zresztą, że zaraz przyniesie sobie więcej owsianki, ale w końcu oblizał do czysta łyżkę, wyjął z kieszeni chustkę, którą starannie wytarł twarz, potem łyżkę, którą schował w zanadrze, po czym wstał, zaniósł dzban do stojącego pod ścianą cebra z wodą, wypłukał i postawił do góry nogami na drewnianej półce. Wszystko to trwało naprawdę długo.

– Chodźmy – oznajmił, wróciwszy do stołu. – Potrzebujemy odosobnienia, z dala od ciekawskich.

– Nie, czemu? – odparłem. – Chętnie popatrzę jeszcze, jak ogryzasz pieczoną kaczkę. Niegłupio byłoby też na koniec zjeść kawałek placka ze śliwkami.

– Szanuję to, co mam – rzucił dobitnie. – Żyję dość długo, by wiedzieć, że nigdy nie wiadomo, kiedy się zje następny posiłek. Jest to, co jest. Zaś

to, co będzie, to mgła i dymy.

– Czemu nie powróżysz sobie w tej sprawie – warknąłem, kiedy szliśmy do bocznego pomieszczenia.

W gospodzie takiej jak moja mieszkali różni ludzie, ale potrzebowali tylko miejsca do spania, łaźni, wychodka oraz wspólnej sali, by posiedzieć wieczorem przy ogniu oraz mieć gdzie zjeść. Ta gospoda była dla kupców. Każdy z nich przyjeżdżał otoczony pomocnikami, służbą oraz oddziałem zbrojnych przybocznych do pilnowania towaru, sam towar też trzeba było gdzieś przechowywać, zapewne mieli tu również zamykane skarbce, magazyny i stajnie dla zwierząt. Nie wystarczała im jedna halla, bo zapewne często musieli spotykać się z kimś na osobności i temu służyły umieszczone wzdłuż ściany wielkiej sali izdebki, takie jak ta, do której właśnie zmierzaliśmy.

Kruczy Cień otworzył ciężkie dębowe drzwi i weszliśmy do środka. W izbie znajdował się stół, dwie ławy i kominek, w którym tliły się polana, i nic więcej. Nie było nawet okna, za to świeciła się tam jedna z tych dziwnych lamp wyrastających ze ściany, dzięki czemu w ogóle coś widzieliśmy.

Starzec grzebał przez chwilę w swojej skórzanej torbie, po czym wyjął na stół kilka niewielkich desek, które połączył w jedną całość, jakieś woreczki, butelki i jeszcze inne rzeczy. Siedziałem cierpliwie i czekałem, co z tego wyniknie.

– Poprzednim razem – powiedział Kruczy Cień, łypiąc swoim jedynym okiem – zobaczyliśmy, jak zaczęła się twoja droga. Teraz spróbujemy spojrzeć, dokąd prowadzi. Ale nie myśl, że to, co usłyszysz, będzie tym samym, co na pewno się stanie. Zobaczymy, jak wygląda droga, która jest przed tobą, ale ty jesteś tutaj. W tej gospodzie. Teraz. Nie wiadomo, czy dojdziesz do jej końca, nie wiadomo, czy gdzieś nie skręcisz albo czy ktoś cię z niej nie zepchnie. Przez krótką chwilę będziemy widzieli konar, po którym wędrujesz niczym robaczek. Lecz wiatr kołysze konarami, ptaki polują na robaczki, droga jest długa i często można spotkać gałązki, które obiecują łatwiejszą drogę donikąd...

– Zapłaciłem za to całym swoim majątkiem, starcze – oznajmiłem. – Moja przyszłość wygląda tak, że będę musiał nieźle zgiąć grzbiet i zedrzeć dłonie, żeby w ogóle przeżyć, i to coraz częściej harując w śniegu

i deszczu. Na pewno zaś nie zapłaciłem za to, byś opowiadał mi o robaczkach na gałęzi.

– Wysłuchaj tego, co ci mówię – odparł ze złością – zanim usłyszysz przepowiednię, to będziesz może miał z tego pożytek. Mówimy o rzeczach, które są zakryte. Jeśli sądzisz, że powiem coś takiego jak: „Pójdź tam, gdzie jest tylko wejście, a dookoła mury, a gdy nadejdzie niebezpieczeństwo, zaśpiewaj kołysankę, a zobaczysz płomień ze śniegu i trafisz tam, gdzie trzeba”, to jesteś głupcem. Z samej wróżby zapewne dziś nic nie zrozumiesz. Zapewne ja też nie. Ona cię poprowadzi dopiero wtedy, kiedy znajdziesz się na rozdrożu, o ile przypomnisz sobie właściwe słowa.

Drewniana płyta, którą złożył na stole i oświetlił czterema kagankami, była wymalowana w tajemnicze znaki i pokryta żłobieniami, które trochę przypominały gałęzie lub żyły, a trochę ślady, jakie w drewnie mógłby zostawić kornik. Kruczy Cień podał mi skórzany mieszek.

– W środku są małe figurki z kości. Sięgaj, nie patrząc do środka, aż wybierzesz tuzin.

Wyciągnąłem więc dłoń i zanurzyłem w mieszku, wymacując palcami drobne kształty, lodowate, jakby trzymał je w śniegu. Przypominały piony jakiejś skomplikowanej kebiryjskiej gry. Były bardzo misternie rzeźbione, każda o jedną trzecią mniejsza od mojego małego palca, a żeby uzyskać takie szczegóły, trzeba by użyć precyzyjnego imadła oraz pilników, dłut i wierteł niewiele większych od igły, i to wykutych z dobrej stali.

Wybrałem dwanaście postaci ludzi, zwierząt i dziwnych stworów, które postawiłem przed sobą na stole, i czekałem, co dalej.

Starzec trzymał w metalowych szczypczykach niewielką bryłkę czegoś podobnego do wosku i przypalał ją nad płomieniem kaganka, lekko dmuchając na żarzący się koniec.

– Te figury mają swoje nazwy – powiedział. – Pokazują najważniejszych ludzi, jakich spotkasz, ale też mogą oznaczać zdarzenia, żywioły czy nawet działanie demonów.

Ustawił je na planszy w różnych, najwyraźniej ważnych miejscach. Teraz wyglądało to zupełnie tak, jakbyśmy mieli w coś zagrać. Bryłka zaczęła się tlić i sączyć dymem, więc wrzucił ją do metalowej miski. Pociągnąłem podejrzliwie nosem, ale to nie była przeklęta Żywica Snów. Zwykłe kadzidło, choć dziwnie pachnące. Podniósł miskę i dmuchnął w nią, kierując dym na deski i stojące tam figury. Opar osiadł dziwnie,

jakby przykleił się do planszy i snuł po niej falującą warstwą niczym mgła na bagnach, nie rozpierzchając się nigdzie po kątach ani nie ulatując w górę.

– Będę musiał skaleczyć cię w dłoń. – Jednooki wyjął wąski sztylet z rękojeścią oprawioną w kość i srebro. – Wyciągnij rękę nad stół.

– Pracuję rękami na chleb, starcze – powiedziałem ze złością. – Nie dość, że pozbawiasz mnie wszystkich pieniędzy, to jeszcze chcesz mnie okaleczyć?

– Nie mazgaj się – warknął. – Muszę mieć twoją krew. Prawda wymaga poświęceń. Zresztą opatrzę cię potem tak, że nawet nie zauważysz.

Wyciągnąłem rękę, a on chwycił mnie bardzo mocno za nadgarstek i pociągnął ostrzem w poprzek przez moją dłoń, jakiś cal od palców. Zabolało krótko i ostro, jak oparzenie.

– Zaciśnij teraz palce i przekręć, jakbyś chciał wbić sztylet w stół. – Przesunął moją pięść we właściwe miejsce i krew najpierw zaczęła kapać na planszę wielkimi kroplami, a potem potoczyła się wąskim strumyczkiem.

Patrzyłem, jak krople spadają na drewno przez warstwę dymu, wypełniają żłobienia w desce, a potem płyną nimi, jakby wypełniały żyły w ciele. Niektóre ryflowania pozostały puste, a inne czerwieniały od mojej krwi, tworząc kolejny rysunek na rysunku.

– Masz. – Rzucił mi zwinięty w rulon czysty gałgan. – Wystarczy. Możesz opatrzyć dłoń.

Obwiązywałem skaleczoną dłoń, pomagając sobie zębami, kiedy usłyszałem zgrzyt. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że figury się poruszają. Sunęły w różnych kierunkach po planszy, jakby ożyły, rozgarniając falujący opar, który okrywał je mniej więcej do połowy. Podniosłem podejrzliwy wzrok na Kruczego Cienia, ale wydawało się, że nie robił żadnych sztuczek. Oparł podbródek na splecionych palcach i patrzył na planszę z uwagą, jakby obserwował ruch, który zrobi jego przeciwnik.

– Matka stoi na polu Klanu – oznajmił. – Stoi i czeka. To ona wysłała cię w podróż. Nie tylko uciekasz. Wypełniasz również misję. „Matka” niekoniecznie oznacza akurat matkę. To może być równie dobrze ojciec, dziecko albo wszyscy ludzie twojego rodu czy plemienia. Grozi im niebezpieczeństwo, na ich tropie jest wielu wrogów, a ty masz ich ocalić. Istotne dla ciebie jest to, że ta Matka wciąż żyje. Bardzo skomplikowany

układ... Bardzo wiele odpowiedzi na bardzo wiele pytań. Wszystko się krzyżuje. Odpowiedzi są w tym, gdzie krew dociera do pól Żywiołów, Domów i Zamiarów. W tym, gdzie stają figury.

– A gdzie ja jestem w tym wszystkim? – spytałem, wyciągając szyję.

– Na zydlu w karczmie „Pod Morskim Oraczem” – burknął. – To nie ciebie mamy tu oglądać, ale los, który cię otacza. Dużo tu wszystkiego, więc wybierzmy najważniejsze pytanie i spróbujmy znaleźć na nie odpowiedź.

Otworzyłem usta, by powiedzieć, że nie zadawałem żadnego pytania, ale spiorunował mnie wzrokiem i pochylił się nad planszą, a jego twarz zniknęła w cieniu ronda kapelusza.

– W miejscu, w którym się znalazłeś, nie grożą ci starzy wrogowie. Zgubili twój trop. Jest bezpieczne. Są tu nowi wrogowie, ale to nie szkodzi. Nie wydaje się, żeby cię zabili, o ile spadnie deszcz. Raczej to ty przelejesz krew i potem będą cię szukać mściciele. Dużo potężniejsi od tamtych, tacy, których nie zdołasz pokonać. To niezupełnie będą ludzie, krew łączy ich z polem Uroczyska, Złej Przemiany i polem Bestii. Jednak kiedyś spotykałeś już ludzi bestie. Kiedyś miałeś zaklęcie, które pozwalało ich odpędzić. Jeśli je sobie przypomnisz, nadejdzie odsiecz. W tej samej chwili też znajdziesz to, czego szukasz. Ach tak, nie wiesz, co to jest. Sprawdźmy.

Zawachlował dłonią, wzburzając opar, i kilka figur przesunęło się ze zgrzytem.

– To, czego szukasz, to człowiek. I nie człowiek. Tak jak twój wróg, o którym wcześniej mówiłem, tamten żywy demon. Ten jednak stanowi jakby jego przeciwieństwo, choć pochodzą z tej samej otchłani poza światem. Ten jest potężny w inny sposób. Czasem jego słabość jest jego siłą. Szukasz Wędrowca. Wokół niego zaplatają się linie losu. Krew łączy go z polem Gwiazdy. Zwykle oznacza to tęsknotę za nieznanym, której wy na Południu nie znacie, a my tutaj mamy ją we krwi, dlatego musimy ruszać na morza. Ale może oznaczać też wiele innych rzeczy. Wiele jest dziwnych rzeczy w tym Wędrowcu. Jest obcy i niewiele rozumie, ale szybko się uczy. Czasem patrzy i nie widzi, bo patrzy innymi oczami. Czasem jest niezwyciężony, czasem słaby jak dziecko. Przybył z daleka, lecz nie płynął morzem. Nie szedł też lądem. Tak jak ciebie, prowadziła go gwiazda. Ta sama gwiazda północy. Gwiazdy czasem spadają. On także spadł. Tak. Wypluły go gwiazdy.

– Dlaczego mam go znaleźć? – spytałem.

– Bo wtedy będziesz mógł połączyć swój los z jego losem. Nie będziesz musiał szukać drogi, tylko iść za nim. Wędrowiec pragnie tego samego co ty. Tylko że w odróżnieniu od ciebie on może tego dokonać. Może obalić Królów Otchłani. Będzie potrzebował jedynie lodu, ognia, krwi i gniewu. Będzie musiał sprowadzić wojnę bogów na ziemię.

– Czy to pomoże Matce? – Wskazałem figurkę niewiasty z dzieckiem na ręku, okutanej płaszczem.

– Matka jest połączona krwią z polem Kresu oraz polem Przemożnej Potęgi. Otaczają ją wrogowie. Nie ma dokąd pójść. Na tym polu nie przeżyje. Musiałaby znaleźć się na zupełnie innym polu: Ogrodu, Lasu albo Domu. Jednak ktoś, kto mierzy się z Królami Otchłani oraz rozpętuje wojnę bogów, może tego dokonać, o ile otrzyma pomoc, o ile nie zginie i o ile zdąży. Tak wygląda gałąź losu w tej chwili, chłopcze. Ale linie prowadzą do Wędrowca, kogoś, kto co chwilę zaplata te linie na nowo i nawet o tym nie wie. Z jego rąk może zaraz wyjść układ, w którym Matka stoi na polu Ogrodu czy Lasu. Mędrzec, który poradził Matce, by wysłała cię do niego, właśnie na to liczył.

Spojrzałem na starca i zauważyłem, że od dłuższego czasu wcale nie patrzy na planszę.

– Gdzie jest ten człowiek? – spytałem.

– On umarł, chłopcze. Daleko stąd. W górach.

– Umarł...?

– Tak. Ale niedługo się obudzi. Może nawet budzi się w tej chwili. Trzeba czasu, żeby doszedł do siebie i trafił tutaj. Trzeba cierpliwości. Nadejdzie.

– Umarł, a jednak nadejdzie...?

– To przepowiednia, synu. Zawsze jest niejasna. Powiem ci tylko, że czasami można umrzeć na wiele różnych sposobów i zdarzają się drogi między światami żywych i umarłych, którymi nie każdy może podążyć.

Odchylił się ciężko na ławie, oparł o ścianę. Światło kaganka padło na jego twarz i zobaczyłem, że jedyne oko przygasło, twarz pobruździła się jeszcze bardziej i nabrała niezdrowej barwy maski z wosku. Z nosa pociekła Kruczemu Cieniowi strużka krwi. Uniósł drżącą dłoń i otarł twarz, zostawiając szkarłatną smugę w poprzek policzka.

Dym, cały czas snujący się po planszy, rozszedł się nagle, pozostawiając tylko ostry żywiczny zapach.

– Podaj mi dłoń – wychrypiał Kruczy Cień.

Wyciągnąłem rękę owiniętą przesiąkniętą szmatą. Potrząsnął głową jak pies, po czym wyprostował się z wysiłkiem i odwinął opatrunek, który cisnął prosto do kominka. Rana przyschła lekko, ale wiedziałem, że jeśli poruszę choćby palcami, znowu się otworzy i zacznie krwawić. Nie była bardzo głęboka, ale musi upłynąć tydzień, zanim będę mógł polegać na tej dłoni, o ile nie zacznie się jątrzyć.

Starzec sięgnął znów do swojej torby, wydobył stamtąd dwie buteleczki i zatkany korkiem słoik. Płyn, którym polał mi ranę, był rubinowoczerwony, lecz przejrzysty jak dobre wino, a nie gęsty niczym krew. Zapiekło mnie tak, że wzdrygnąłem się odruchowo. Starzec zaczerpnął białej, podobnej do łoju maści i jednym ruchem pokrył ranę. Pieczenie ustało, poczułem za to lodowate zimno. Wziął jeszcze mały pasek czystej tkaniny, który namoczył w kolejnym płynie, tym razem żółtym i gęstym jak miód, po czym owinął mocno mój napięstek oraz nadgarstek, zostawiając kciuk na wierzchu, tworząc coś w rodzaju częściowej rękawicy. Szarpie przylgnęły mocno do skóry i wydawało się, że w żadnym razie nie rozwiną się ani nie odpadną.

– Jutro rano możesz zdjąć gałgan – powiedział. – Nie wcześniej. Przylepi się, więc wsuń pod spód nóż i przetnij go, a potem zerwij. Teraz odejdź. Nic więcej ci nie powiem. Muszę się położyć.

Wyszedłem na pustą o tej porze ulicę prowadzącą na Kamienny Targ. Do żelaznej kraty bramy na podwórzec odprowadziło mnie dwóch zbrojnych, którzy zamknęli za mną furtę na noc. Przed gospodą stał jeszcze jeden sługa, bardzo wysoki, smukły Kebiryjczyk, mimo chłodu noszący skórzaną kamizelę bez rękawów. Wspierał się na solidnym drągu, okutym z obu końców, a u pasa nosił zakrzywioną szablę. Spojrzałem na niego z nagłym drgnieniem serca, ale ujrzałem tylko obcą twarz. Twarz barwy polerowanej miedzi, piękną i dziką zarazem, przekreśloną przez nos oraz policzki czarnym pasem pokrytym białymi kropkami, błyskającą tygrysimi oczami, lecz niewątpliwie obcą. To nie był mój przyjaciel. Po prostu jakiś Kebiryjczyk.

Kamienna ulica lśniła od deszczu, świeciły na niej wszystkie latarnie, nie to, co w Kawernach, a do tego jeszcze przed „Morskim Oraczem” płonęły

na stojakach dwie misy z olejem. Kupiecka gospoda szykowała się na noc, jak zawsze uzbrojona po zęby i pewna siebie.

Przez całą drogę do domu obracałem w głowie słowa przepowiedni i rozmyślałem nad nimi. Nie mogłem się zdecydować, czy wierzę w nią, czy nie. Usłyszałem rzeczy, które pasowały do mojej sytuacji i miały sens, ale może każdy wróż to potrafi. Może usłyszałem to, co chciałem usłyszeć, a te same słowa można by zrozumieć zupełnie inaczej. A może po prostu dałem się oskubać ze wszystkich pieniędzy.

Im mocniej się nad tymi słowami zastanawiałem, tym bardziej zapadały mi w pamięć.

Szedłem pogrążony w myślach, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, dokąd zmierzam. Mimo zmroku i mżawki na ulicach wciąż kręciło się sporo ludzi. W zwykłych osadach i gródkach na Północy, tam, gdzie bywałem, o zmroku zasiadano już do uczt w domach, ryglowano drzwi i mało kto potem odchodził od pieczystego, piwa i ognia. Bali się nocy przynoszącej zimną mgłę, mrozu i tego, co czaiło się w lasach.

W Lodowym Ogrodzie było zupełnie inaczej. Tu również ucztowano i pito, ale głównie w tawernach i gospodach, czasem wędrując od jednej do drugiej, od domu uciech do karczmy, czasem też na ulicach i placach, wśród wciąż zawalonych towarami straganów. Niekiedy można było spotkać takich, którzy wypili zbyt wiele, jak błąkali się chwiejnym krokiem, wykrzykując coś, wymachując dzbanem i zaczepiając innych przechodniów. Jeśli jednak zaczynali wymiotować na ulicę albo wszczynać bójki, a w pobliżu napatoczyli się strażnicy, zabierano ich do miejskiego aresztu. Ponoć noc spędzona na zimnych kamieniach bez kropli wody, a także razy drewnianych pałek, jeśli ktoś awanturował się za bardzo, zapadały w pamięć na długo i bardzo sprzyjały późniejszej wstrzemięźliwości w piciu.

Tamtej nocy jednak nie widziałem nikogo, machinalnie przeciskając się między przechodniami i obojętnie odpędzając ladacznice, niektóre odmienione i obdarzone najdziwniejszymi kształtami.

Ocknąłem się, dopiero kiedy zauważyłem, że zawędrowałem w mało znajomą część miasta i będę musiał nadłożyć drogi, by trafić do „Gawry”. Na dodatek, gdy stanąłem, by się rozejrzeć, mój wzrok padł niespodziewanie na znajomego mi złodzieja z targu.

Nie widział mnie. Stałem w sporym tłumie przechodniów, miałem niewyróżniający się kabat i kaptur naciągnięty głęboko na głowę, on zaś przemykał chyłkiem w boczny zaułek, jak szczur.

Nie wiem, dlaczego za nim poszedłem. Może dlatego, że wcześniej tego dnia miałem w ogóle taki zamiar. Może wydało mi się, że trafia się sposobność, by się z nim policzyć. Wolałem nie marnować okazji, kiedy to ja mogę zaskoczyć złodziejaszka, a nie on mnie, a przy tym najwyraźniej jest sam. Pomyślałem, że kogoś takiego jak on mogę zniechęcić tylko kijem. Jeśli staną przy nim kompani, będzie kąsał do końca, bo inaczej straci twarz. Teraz był sam. Nie będzie musiał przynajmniej martwić się o swoją pozycję, a nauczka pozostanie i może zniechęci go do zemsty.

Zaułek był zawalony rozmaitymi gratami, co ułatwiało mi pozostanie w ukryciu. Znajdowały się tam sterty pustych beczek, jakieś wózki, kilka połamanych ław opartych o ścianę, na ziemi walały się kości, obierki i potłuczone dzbany. Obejrzał się tylko raz za siebie, lecz pozostałem skryty w cieniu.

Złodziej dotarł do otwartych na oścież drzwi jakiejś tawerny, z której dobiegał gwar wielu głosów i padało światło, ale nie wszedł do środka, tylko szepnął coś potężnemu mężowi, który stał przed wejściem. Twarz tamtego wyglądała dość przeraźliwie, zamiast nosa i górnej wargi miał coś w rodzaju dzioba i dziwne oczy – okrągłe i wielkie, z jarzącym się na zielono kręgiem pośrodku. Przy tym był wielki jak niedźwiedź. Wysłuchał chłopaka, po czym zniknął we wnętrzu, a wyrostek czekał cierpliwie na ulicy, a potem powlókł się kawałek dalej, do skrzyżowania z drugim zaułkiem, gdzie pomiędzy narożami kamienic powstał miniaturowy kwadratowy placyk ze studnią deszczową pośrodku.

Z tawerny wyszedł inny mąż i ruszył w stronę złodzieja. Z daleka i po tym, jak szedł, widziałem, że to odmieniec, których nazywali Odrzuconymi przez Drzewo. Mignął mi tylko w świetle, więc zdążyłem dostrzec jedynie, że był zniekształcony i miał w sobie coś bykowatego, choć nie wiem, dlaczego tak pomyślałem, skoro nie miał rogów.

Pozostałem w swojej kryjówce w cieniu i tylko obserwowałem przez szczelinę między beczkami. Byk patrzył na złodzieja, wsparłszy się pod boki, i wycedził coś do niego władczo, a tamten pochylił się kornie i wydobył z zanadrza zawiniątko, które podał, pochylając jeszcze niżej głowę.

Byk rozsupłał szmatę, usłyszałem brzęk kruszcu, kiedy przeliczał, po czym zwinął wszystko z powrotem, wsunął w zanadrze i niespodziewanie zdzielił wyrostka otwartą dłonią w twarz. Zrobił to bez wysiłku, właściwie od niechcenia, ale i tak efekt był piorunujący. Złodziej wydał z siebie zaskoczony skowyt, wylatując w górę niczym szmaciana kukła. Impet obrócił nim w powietrzu, chłopak odbił się od ściany i zwalił na kamień ulicy. Zdarzyło się to tak szybko i gwałtownie, że byłem pewien, że byk go zabił tym jednym ciosem. Jednak złodziej po niezbyt długiej chwili zaczął ruszać się niemrawo, podciągnął nogi i w końcu, czepiając się studni, zdołał wstać koślawo. Byk ruszył z powrotem do tawerny, kiedy wyrostek zawołał za nim płaczliwie i żałośnie. Okutany płaszczem odmieniec odwrócił się przez ramię i wygłosił dłuższą mowę, zrazu cicho i uprzejmie, a potem nagle głośniej, więc usłyszałem jedynie to, co wykrzyczał na koniec: „...tuzin albo nie będziecie żreć, *hajsfynga*!”, i poszedł dalej. Leżący na ziemi złodziej wyskamlał jeszcze coś, na co byk odwarknął całkiem wyraźnie: „Nie ma harhaszu!”.

Po tym wszystkim zniknął w otwartych drzwiach gospody i wtopił się w jej gwar. Złodziej gramolił się przez chwilę przy studni, po czym usiadł nagle i zaczął rozpaczliwie płakać, smarkając i plując krwią. Uznałem, że może tak spędzić sporo czasu, więc wycofałem się, trzymając się cienia prawie do wylotu uliczki, a potem odwróciłem się i ruszyłem do domu.

Po drodze zrozumiałem, że mimo tej żałosnej sceny nie czuję ani krzty współczucia czy litości. Zupełnie jakbym był świadkiem tego, jak pogryzły się psy. Przeraziło mnie to. Najwyraźniej moje serce zdążyło już skamienieć.

Następnego dnia rozciąłem i zdjąłem opatrunek, ku mojemu zdumieniu ujrzałem na wpół zabliźnioną ranę, zupełnie jakby upłynęło z pięć dni, a nie jedna noc. Zacisnąłem kilka razy pięść i okazało się, że mimo bólu mogę pracować. Poszedłem więc na Targ Solny.

Kolejne kilka dni spędziłem, pracując na zewnątrz, bo z powodu zimna, mgły i deszczu nie było na tego typu pracę zbyt wielu chętnych i płacono za nią najlepiej.

Opadałem z sił, nabawiłem się odcisków, jadłem tylko chleb i wodnistą zupę, którą dawali w gospodzie, przemarzłem do szpiku kości, ale zarobiłem prawie markę srebrem.

Gdyby nie łaźnia w mojej gospodzie i to, że po powrocie z pracy siedziałem tam wśród pary, mocząc się na zmianę w gorącej i zimnej wodzie, cała ta heroiczna harówka skończyłaby się na tym, że zległbym z kaszlem i gorączką, a świeżo zarobione pieniądze podzieliłbym pomiędzy znachora i zielarza. Tymczasem odzyskałem jaki taki majątek i mogłem sobie pozwolić, żeby odpocząć przez dwa dni. Zaszedłem do kantoru z towarami z dalekich stron, kupiłem orzechy, zrobiłem napar i znów mogłem zasiąść nad zwojami z fajką w zębach, a mój duch snuł się nad wyschniętą rudą ziemią krain Południa i zamykał dawne czasy w znakach stawianych na papierze.

Coś się jednak we mnie zmieniło. Nie czułem już zagubienia i niepewności. Czekałem na znak. Wiedziałem, że prędzej czy później spotkam Wędrowca, który spadł z gwiazdą. Zarobionych na nowo pieniędzy nie przeliczałem już w kółko, nie pakowałem w rulony i nie skrywałem wewnątrz kija szpiega. Wrzucałem je po prostu do nieużywanego dzbana na zupę, który stał na najwyższej półce i trudno go było zauważyć. Zrozumiałem już, że dla mnie ważne jest coś innego.

To jakoś wtedy mnie dopadli.

Było to paskudne, wietrzne popołudnie, po niebie sunęły postrzępione ołowiane chmury, cały dzień było ciemnawo, zimno i jakoś tak ciężko. Wracałem z pracy głęboko w trzewiach twierdzy, wewnątrz góry, gdzie od kilku dni nosiłem ciężkie, cuchnące płaty sadła morskoni i płaskud, odcinane szerokimi ostrzami na masywnych drzewcach, przypominającymi włócznie do walki z jazdą, by wytapiać z nich morską oliwę. Na zmianę taszczyłem na ramieniu połcie, ciąłem je, stojąc we krwi i tłuszczu, albo mieszałem w wielkich bulgocących kotłach, gdzie biało-czerwone kawały topiły się wolno, dając cuchnący płyn, który potem stawał się olejem do lamp, mazią do osi i wieloma innymi rzeczami.

Po sześciu dniach całe sadło na wozach zostało przetopione, zdjąłem ciężki, cuchnący skórzany fartuch i wracałem do domu bogatszy o dziewięć szelągów, zamierzając nie imać się żadnego zajęcia przez co najmniej trzy dni.

Miasto wyglądało tak, jakby wicher wymiótł też jego mieszkańców z ulic. Znikły dziwki i przekupnie ze swoimi wózkami, nawet strażników widziało się mniej, stojących w bramach lub podcieniach, okutanych wełnianymi płaszczami aż po uszy i wspartych na włóczniach. Z rzadka

tylko ktoś przemykał po mokrym bruku, ściskając w garści łopocące poły płaszcza lub kaptur, i zaraz znikał za jakimiś drzwiami.

Morze było groźne, prawie czarne, lśniące tylko białymi grzywami fal, pachniało solą, wodorostami i sztormem. Grzmot i syk fal rozbijających się na umocnieniach portów słychać było aż w Kawernach. Wicher toczył po ulicach połamane beczki i kosze, miotał podartymi szmatami i śmieciami.

Myślałem tylko o dzbanie gorącej zupy, a potem o łaźni w „Wilczej Gawrze”, gorącej jak pustynie Zewnętrznego Kręgu, a także o tym, że nieźle byłoby zabrać tam dzban morskiego miodu i spotkać może którąś z ladacznic mieszkających w tej samej gospodzie. A także o mojej izdebce, świetle lampy, fajce, czarce naparu i o zwoju.

Nie przypuszczam, by na mnie czekali. Poszedłem na skróty, sam nie wiedząc, że wybiorę ten akurat zaułek. Myślę, że śledzili mnie od samego rana i podążali za mną, odkąd wyszedłem z olejarni. Po prostu uznali, że znalazłem się tam, gdzie chcieli.

Uliczka była wąska, co parę kroków wspinała się w górę kilkoma stopniami i biegła pomiędzy murami domów prawie zupełnie bez okien. Co jakiś czas przecinały ją poprzecznie jeszcze węższe zaułki przy tylnych wyjściach z kamienic i tawern, piętrzyły się dzbany, beczki i kosze, wszędzie leżały śmieci. Gdybym przeszedł nią do końca, trafiłbym na mur i ciągnącą się wzdłuż niego uliczkę, potem skręciłbym jeszcze trzy razy i trafił pod tylne drzwi „Wilczej Gawry”. Tak zamierzałem.

W rzeczywistości zdołałem przejść tylko kawałek. Kiedy dotarłem do skrzyżowania z kolejnym zaułkiem, wiatr błądzący po labiryncie grodu dmuchnął tak, że aż się zatrzymałem i zrobiłem bezradne dwa kroki gdzieś w bok, pchnięty impetem powietrza. To dlatego pocisk z procy zboczył z toru jak odepchnięty zaklęciem i minął moją głowę. Mimo odległego ryku fal i zawodzenia wichru wyraźnie usłyszałem jego wściekły furkot. To nie były psoty. Gdyby mnie dosięgnął, strzaskałby mi czaszkę. Obejrzałem się gwałtownie, ale nie zobaczyłem nikogo, w gęstniejącym półmroku coś śmignęło między jakimiś wrotami a zaułkiem, wydając z siebie piskliwy, irytujący chichot.

Kolejny pocisk nadleciał od przodu, zwykły kamień. Zobaczyłem go na tle nieba i zdążyłem się uchylić. Znów usłyszałem tupot wśród cieni i chichot. Kawał skały ze stukotem potoczył się po bruku.

Tego dnia miałem swoją okutą laskę, która na co dzień była wygodniejsza niż kij szpiega, oraz nóż tropiciela, z którym się nie rozstawałem. Nie miałem jednak więcej broni. Pukawka wypełniona wywarem z wściekiełki w tym huraganowym wietrze nie zdałaby się na nic. Przeszło mi przez myśl, że to najgorszy dzień z możliwych. Byłem zmordowany, bolały mnie wszystkie mięśnie, do tego jeszcze ten wiatr, który wył w uszach i wysysał z człowieka resztki sił.

Ruszyłem naprzód. Znów usłyszałem chichot i tupot stóp. Machnąłem laską, lecz przecięła tylko powietrze. To byli ci najmłodsi. Mieli mnie zdezorientować i rozproszyć, ale najważniejsi byli ci starsi. Dzieciaki będą biegać wokół mnie, rzucać czymś albo próbować dźgać, ale nie zaatakują otwarcie. Na razie nie mogłem nawet się zorientować, ilu ich jest.

Dwie niewyraźne sylwetki wychynęły gdzieś z przodu, spomiędzy beczek i koszy. Obróciłem pałkę w dłoni, chwytając za drugi koniec i kierując ku napastnikom żelazną głowicę. Wiedziałem, że nie wolno mi lekceważyć tych małych, przebiegających wokół mnie, poza zasięgiem ciosu. Zasady walki wręcz z kilkoma napastnikami mówią, że trzeba ich wyeliminować najpierw. Trudniejszy przeciwnik zabierze więcej czasu, a wtedy zlekceważony malec może wbić ci nóż w udo albo podciąć ścięgno. Nade wszystko nie wolno stać w miejscu i trzeba chronić plecy. Znów któryś przebiegł i znów uskoczył poza zasięg laski, jednak ciął mnie w przelocie, rozpruwając rękaw kurty. Ostrze prześliznęło się po skórzanej opasce, którą miałem na przedramieniu, nie czyniąc mi krzywdy. Wokół słyszałem tupoty i chichot.

Zdążyłem zauważyć, że przede mną stoi ten o czaszce pokrytej kolcami, które jeżył co chwila, oraz mój ulubieniec, dziś o twarzy okrytej sukienną kapuzą.

Nie zamierzałem się przed nimi cofać, dopóki stałem na skrzyżowaniu, mogli mnie obiegać dookoła, w wąskim zaułku nie będzie już tak łatwo przede mną uskoczyć. Walczyłem już ze skrytobójcami, amitrajską ciężką piechotą i jazdą na rydwanach. Nie sądziłem, bym miał paść z ręki kilku wyrostków w tym dziwnym, odlanym z kamienia mieście.

Jak dobrze pamiętałem, także wyrocznia nie wróżyła mi takiego końca.

I wtedy zostałem oblany.

Któryś z tyłu chlusnął we mnie czymś cuchnącym i lodowatym.

Tupot i chichot.

Kolejny chlusnął z przodu, ale uchyliłem się, osłaniając twarz ramieniem.

Płyn ściekał ze mnie dymiącymi kroplami, które spadając na skałę u mych stóp, zaczęły strzelać małymi płomykami.

Wtedy zrozumiałem – oblali mnie smoczą oliwą. Piekielnym płynem, który widziałem tu po raz pierwszy. Płynem, który sam się zapala i którego nie można ugasić.

„Nie sądzę, żeby cię zabili...”

Kurta na plecach zaczęła dymić, czułem, jak zaczyna się nagrzewać. Wokół mnie rozlegały się tupoty i chichot i wiedziałem, że zaraz w zaułku zrobi się jasno. Wydawało się, że pomiędzy jednym uderzeniem serca a drugim upływa mnóstwo czasu, że świat wokół mnie zwolnił bieg. Strach ścisnął mi pierś, przeraźliwy, zwierzęcy, jakiego jeszcze nie czułem. Miałem wrażenie, że zemdleję.

Wiatr na szczęście ustał na moment, ale nic nie mogło powstrzymać piekielnego płynu przed buchnięciem płomieniami, słyszałem też z przodu, jak dwóch najstarszych biegnie na mnie, i wiedziałem, że nie zdążę już rozpiąć pasa i zrzucić kurty.

Gdzieś z daleka napłynął dziwny syczący szum, narastając zewsząd i potężniejąc. Na moich dymiących plecach i ramionach pojawiły się pierwsze płomyki.

Dopadłem w kilku skokach wylotu uliczki, biegnąc wyrostkom na spotkanie, wrzeszczałem z przerażenia i furii, wciąż nie mogąc uwierzyć, a jednak wiedząc, że zaraz spłonę jak słomiany chochoł. Bardziej poczułem, niż usłyszałem ruch za sobą. Przyhamowałem gwałtownie, robiąc unik, przerzuciłem laskę prosto do lewej dłoni i zadałem potężny cios nisko, na wysokości swoich bioder, trafiając przebiegającego dzieciaka okutą głowicą w sam środek twarzy. Nie wiedziałem, czy to ten, który oblał mnie płynnym ogniem, ale nic mnie to nie obchodziło. Nie zdążył nawet krzyknąć, uderzenie odwróciło go w powietrzu, zanim runął na plecy.

„Nie wydaje mi się, żeby cię zabili...”

Wijąca się plama ognia wyrosła na moich plecach z cichym fuknięciem. I wtedy napływający zewsząd szum ogarnął mnie. Ścianą wody.

„...o ile spadnie deszcz”.

Tak powiedziała wróżba. Smoczej oliwy nie można ugasić wodą, bo jest od niej lżejsza i pływa. Jeśli chluśnie się z wiadra na płonącą kałużę tego

oleju, jedynie podsyci się ogień. Ale to nie był zwykły deszcz, tylko jakiś niebiański wodospad, a smocza oliwa nie zdążyła się na dobre rozpalić. Strumienie ulewy spłukały ze mnie znaczną część oleju, który parował wokół mnie, i zdławiły ogień na kurcie, która już tylko dymiła.

Sięgnąłem w zanadrze po nóż, jednym ruchem przeciąłem pas, wyrzuciłem w górę pałkę, strząsając kurtę z jednego ramienia, przerzuciłem nóż do lewej dłoni, uwalniając drugi rękaw, i cisnąłem kaftan prosto w twarz mojemu wrogowi. Wybiłem się mocno do długiego skoku, chwytając prawą ręką spadającą pałkę. Herszt odskakiwał właśnie do tyłu, osłaniając twarz przed moją dymiącą kurtą, jego kolczasty druh wykręcał ciało w uniku, żeby puścić mnie bokiem, i wyrzucał przed siebie dłoń z wąskim sztyletem, kiedy zdzieliłem go laską, gruchocąc mu nadgarstek, i zaraz poderwałem głowicę w górę, trafiając okuciem w poprzek twarzy, po czym odwróciłem się gwałtownie, zadając krótki sztych lewą ręką. Szerokie ostrze noża tropiciela ugrzęzło natychmiast z odgłosem prucia.

Zderzyłem się z hersztem, który wtulił się we mnie całym ciałem, kurczowo chwytając mnie za rękaw i połę przemoczonej koszuli, poczułem smród jego brudu i potu, a po chwili także fetor kloaki. Spojrzał na mnie rozpaczliwie, jakby chciał coś powiedzieć, po czym zwymiotował na swój podbródek falą niemal czarnej w półmroku krwi, którą cały czas zmywał deszcz. Uwolniłem ramię i cofnąłem się o krok, wyszarpując ostrze z obrzydliwym chlupotem wypadających jelit. Zwalił się na schody w potoki wody, które płynęły wokół jak strumień, dygocąc konwulsyjnie nogami. Niemal nie myśląc i niewiele czując, pochyliłem się nad nim, przyłożyłem czubek ostrza do jego karku i uderzyłem dłonią w głowicę. Chłopak wyprężył się, zatrzepotały jego kończyny, po czym zwiądł zupełnie bezwładnie.

„Męczył się” – usłyszałem w głowie głos Brusa. „Tak trzeba”.

Stałem potem z nożem w jednym ręku, pałką w drugim, spłukiwany od góry do dołu strumieniami lodowatej wody i nasłuchiwałem, ale w zaułku panowała cisza. Żadnych tupotów.

Żadnych chichotów.

„Nie wydaje mi się, żeby cię zabili, o ile spadnie deszcz”.

Znalazłem swoją kurtę, która wciąż dymiła, cuchnąc jakby saletrą i siarką, przecięty pas, potem opróżniłem kieszenie kabata ze swoich drobiazgów i wepchnąłem je za pazuchę koszuli. Kiedy brnąłem wzdłuż

muru w potokach deszczu, rzuciłem kurtkę do kanału burzowego, zamienionego w rwący strumień, który porwał ją gdzieś w stronę morza.

Jakiś czas później siedziałem w piwnicy „Wilczej Gawry”, wśród gładkiego jak szkło, jasnego i zielonego kamienia łaźni, w świetle lamp, w powietrzu kłębiła się para, a ja tkwiłem w gorącej wodzie, a mimo to długo nie mogłem przestać się trząść.

Przynajmniej wiedziałem już, że stąpam szlakiem mojego przeznaczenia. Nie zabili mnie, ponieważ spadł deszcz. Banda wyrostków z targu rybnego nie miała mnie już niepokoić. Tyle że mieli nad sobą swoich panów. Istoty okaleczone przez imiona bogów. Odrzuconych przez Drzewo. Tych, którym już nie dam rady i którzy pewnego dnia mnie odnajdą. Wtedy będę musiał zawierzyć słowom przepowiedni i zdać się na kołysankę dla Naszej Pani Bolesnej. Nie wiedziałem, co miałaby mieć z nimi wspólnego, skoro nie pochodzili z jej doliny, ale nie pozostawało mi nic innego. Byłem Nosicielem Losu i musiałem za nim podążać.

Na razie siedziałem w kamiennej niecce pełnej gorącej wody i dygotałem.

Rozdział 6

Kropla szkarłatu

Jedenastą znam: gdy mam na bój
druhów wieść,
śpiewam w tarczę, a oni siłą naprzód pędzą,
zdrowi do boju
i zdrowi z boju,
żadna ich szkoda nie spotka.

Dwunastą pieśń znam: gdy widzę wisielca
na drzewie się kołyszącego,
tak rysuję runy,
że człowiek zstąpuje
i ze mną mówi.

(Pieśni Najwyższego – Hávamál)

Noc była naprawdę paskudna. Daleko za murami morze piekliło się i miotało pływającymi po wodzie pogruchotanymi płytami lodu,

a potem wybuchało fontannami białej piany na pirsach i łamaczach fal awanportu. Tu, na skraju Kawern, pod samym zboczem, wydawało się trochę zaciszniej, ale i tak wiatr siekł topniejącymi płatkami śniegu i drobnymi kroplami wody, które kłuły skórę jak ziarna piasku. Wiatr wydawał się cieplejszy od tego zimowego, ale było to względne ciepło. Rozumiane w odniesieniu do temperatury zamarzania wody i podobnych abstrakcji. W rzeczywistości niósł wilgoć, wdzierał się pod okrycie, nasączał sukno i filc odzieży lodowatą wodą i moczył skórę, więc marzło się gorzej niż w solidny mróz. Taki niby ciepły wiatr potrafi wychłodzić człowieka w parę godzin i wpędzić w hipotermię, bo nie pozwala się rozgrzać.

Niedawno na Splecionych Wieżach uderzyły trzy dzwony i ulice od dawna wyglądały jak wymarłe. Najwytrwalsi bywalcy tawern i karczm porzucili już cynowe kufle, zdmuchnięto świece i olejowe lampy. Ogryzione kości, resztki mięsa i warzyw zrzucono z drewnianych tac do kotłów na jutrzejszą polewkę, zamieciono kamienne podłogi, pozwolono wygasnąć paleniskom.

Wypędzono wszystkich, którzy usiłowali spać na ławach, stołach albo na podłodze. Ostatni goście powlekli się, chroniąc twarze i dłonie przed topniejącym śniegiem, do swoich mieszkań, jeśli się ich dochrapali, albo do izb i klitek dziesiątek gospód i noclegowni, których było pełno w Kawernach. To dzielnica włóczęgów. Tu wszyscy byli przejazdem. Niektórzy rozważali pozostanie w Ogrodzie, ale wtedy i tak zamierzali się przeprowadzić za wieżę bramną, do lepszych części twierdzy. Na razie wystarczyło, że znaleźli swoje łóżka, swoje toboły pod nimi, swoje zydle i stoły, swój kawałek dachu chroniącego przed przedwiosenną zawieruchą, i ulice opustoszały.

Zostały tylko mokre kamienne płyty i plucha siekąca światło latarń. Na pustej i cichej od wielu godzin Podmurnej płomień dwóch czynnych jeszcze latarń skurczył się nagle, a potem zgasł. Ulica zatonęła w mroku.

Na wewnętrznych murach przeważnie nie widywało się strażników, ale nawet gdyby ktoś postanowił na samym dnie nocy plątać się w lodowatej mżawce po Kawernach i wleźć w zaułek Podmurnej kończący się ślepo blankowaną ścianą dochodzącą do zbocza i wędrującą gdzieś wyżej, w stronę kolejnej dzielnicy, to z pewnością nie chciałoby mu się spoglądać w górę, by wypatrzyć w mroku kilku mężczyzn wędrujących za blankami.

A jeśliby spojrzał, to nie zobaczyłby w nich nic szczególnego. Nosili lśniące od deszczu kapaliny z pochylonymi okapami, przemoczone białe tuniki z czarnym symbolem drzewa narzucone na kolczugi i przeszywanice, byli uzbrojeni w krótkie, masywne okrętowe miecze Ludzi Wybrzeża i partyzany na solidnych drzewcach. Ot, strażnicy. Widywało się ich od czasu do czasu na ulicach, a przy porcie i w Górnym Zamku sterczeli na murach przy koszach pełnych płonącego węgla, gapiąc się w morze.

Tych było siedmiu i wędrowali za blankami muru bez pochodni, bez żadnego innego światła. Doszli do skalnej ściany, gdzie zęby blanek skręcały i wspinały się trawersem na górę, po czym znikli, jakby zapadli się pod ziemię. W rzeczywistości zeszli po prostu na niższy parapet muru, kryjąc się za koroną. W zupełnej ciszy odłożyli ostrożnie partyzany, zdjęli hełmy i odpięli miecze, wszystko ostrożnymi, wystudiowanymi ruchami, by nie szczękać żelazem, a potem pozdejmowali tuniki i przeszywanice, ukazując luźne czarne kaftany i spodnie. Po chwili jeden z nich wskoczył lekko jak kot na szczyt blanek, po czym zrzucił z muru koniec liny, tak by spadł w samym rogu na bruk Podmurnej. Szybkim ruchem przeplótł ją przez ramiona, żeby przechodziła mu za plecami, po czym pochylił się, jakby miał zamiar runąć na twarz, i poszedł w dół, stąpając po pionowej kamiennej ścianie i przepuszczając linę przez ramiona. W mroku zalegającym pod zboczem w ogóle nie było go widać. Tylko plamę w ciemności i siekącym deszczu. Dwa metry nad ziemią odbił się od ściany i zjechał na bruk, natychmiast przypadając nisko na ugiętych nogach. Nosił czarną kapuzę, która odsłaniała jedynie oczy i grzbiet nosa.

Za chwilę na szczycie pojawił się kolejny, a potem następny, aż pięciu bezgłośnie zjechało z muru i wsiąkło w cień.

Pozostali dwaj pozbierali hełmy, broń i oporządzenie strażników, które wepchnęli do wielkiego skórzanego wora i spuścili na przeciwną stronę muru, prosto na wóz załadowany słomą. Woźnica w zwykłym, nierzucającym się w oczy odzieniu i skórzanym kapeluszu z szerokim rondem chwycił wór, wcisnął go do stojącej na wozie beczki, zakrył denkiem i strzepnął lejcami, a potem niespiesznie odszedł, idąc obok wózka, gdzieś w stronę wieży bramnej. Dwaj mężczyźni na murze odwiązali linę, zwinęli ją i znikli w ciemnościach.

Mężczyzna, który jako pierwszy zszedł z muru, wtulił ciało w okrągłą wnękę w samym rogu, okoloną zębatą spiralą zniekształconych schodów,

wyglądającą jak odcisk głowicy wiertniczej. Pchnął przekręcony do pionu próg, przytrzymał skrzydło drzwi, a potem wśliznął się do środka. Pozostali trwali pod murem nieruchomo w niskich, przyczajonych pozycjach, a jeden z nich mierzył w pustą ulicę z krótkiej kuszy. Z ciemności za drzwiami dobiegł cichy świst i ubrani na czarno mężowie jeden po drugim wsiąkli w otwór, jak plamy atramentu spływające do kanału. Jako ostatni wszedł strzelec z kuszą, który wgramolił się tyłem, cały czas lustrując Podmurną, a potem kamienne drzwiczki zamknęły się i w zaułku ponownie niepodzielnie zapanował mrok, wiatr i mżawka zmieszana z topniejącym śniegiem.

Wewnątrz przywitała ich ciemność doskonała. Było tak czarno, że nie miało najmniejszego znaczenia, czy ma się otwarte, czy zamknięte oczy. Tyle że nie docierał tu deszcz ani lodowata zawierucha. Siedzieli stłoczeni w ciasnocie i studziennym mroku, starając się nie oddychać za głośno i nie szeleścić ubraniami. Słychać było tylko, że gdzieś pod podłogą z pluskiem płynie woda. Kanalizacja, kanał burzowy albo część skomplikowanego systemu napędowego twierdzy, prowadzącego wodę do niezliczonych kół wodnych, które uruchamiały mechanizmy otwierające bramy, poruszające windy, dźwigi i portowe żurawie.

Po jakimś czasie rozległ się cichy szelest, a potem coś z twardym stukotem potoczyło się wzdłuż kamiennego korytarza i rozjarzyło bladym, zielonkawym światłem. Najpierw była to słaba poświata godna robaczka świętojańskiego, jasna plamka oświetlająca ledwo kawałek podłogi, ale zaraz zaświeciło mocniej i blask rozlał się po ścianach. Mdłe, fosforyczne światło dobywające się ze szklanej kuli nie większej od jajka, ale w porównaniu z absolutnym mrokiem przed chwilą wydawało się niemal oślepiające.

Korytarz miał z metr szerokości i ciągnął się wewnątrz muru, utrzymując surrealistyczną, pijaną perspektywę, na której sam widok można było dostać mdłości. Ściany przechylały się na boki, to w jedną, to w drugą stronę, łukowe sklepienie przybierało falujące kształty, podłoga też wydawała się poskręcana i pofalowana i wszystko razem przypominało zastygły w bezruchu zawrót głowy.

Patrzyli na to chwilę w podziwie, po czym prowadzący machnął dwa razy wyprostowaną dłonią przed siebie i ruszyli ostrożnie naprzód, starając

się nie zataczać i nie wpadać na koślawe ściany, stawiając niepewne kroki, jak na cienkim lodzie.

Prowadzący podniósł kulę, która zaczęła przygasać, i rzucił ją naprzód, jakby grał w kręgle. Blask wzmocnił się i odmalował kolejny fragment korytarza, równie pokręcony jak poprzedni.

Zamykający pochód człowiek kroczył tyłem, mierząc w głąb korytarza z kuszy. Co kilka metrów zdejmował dłoń z kolby i wyjętym z kieszeni kawałkiem kredy robił na ścianie znak. Ten rozbłyskał zielonkawym blaskiem, a potem, kiedy się oddalali, przygasał. W rozchwianym korytarzu znów zapadała ciemność.

Poruszali się bez słowa, bardzo ostrożnie. Kiedy podchodzili do świetlnej kuli, zatrzymywali się, mierząc bełtami w ciemność, a idący z przodu Drakkainen podnosił ją, potrząsał, ożywiając uwięziony wewnątrz blask, i rzucał przed siebie z wyczuciem, jakby grał w boules. Kiedy napotykali na dzielące korytarz przechylone portale albo niespodziewane ornamenty, znowu przystawali, a wtedy do przodu wysuwała się krótka, skręcona z kilku elementów włócznia i delikatnie jak laska ślepca ostukiwała i szturchała nadproża, zaczajone w wykuszach gargulce i powyginane kolumny, szukając pułapek, zapadni, i zdradliwych miejsc.

Korytarz zakończył się nagle małym pomieszczeniem, kryjącym ustawione w okrąg siedmioro drzwi w ostrołukowych portykach, i przynajmniej tu kąty były już proste, sufit na górze, a podłoga z mozaiką z różnych odcieni malachitu na dole. Obłąkana perspektywa kończyła się wraz z korytarzem, w którym stali.

Drakkainen uniósł pięść, zatrzymując szyk, i zamarł w przyczajonej pozycji przed wylotem. Siejąca zielonkawym blaskiem kula wturlała się do okrągłego przedsionka, odbiła od przeciwległych drzwi i potoczyła dookoła wzdłuż ściany.

Vuko sięgnął za pazuchę, wyciągnął lusterko z polerowanej stali, założył je na uchwyt na drzewcu włóczni i wysunął za załom korytarza to z jednej, to z drugiej strony.

Pomieszczenie miało jakieś trzy metry średnicy i było zupełnie puste.

Drakkainen cofnął włócznię, ale nadal kulił się w wylocie. Zdemontował lusterko, po czym zastąpił je zapalniczką i odkręcił pokrywkę, uwalniając pięciocentymetrowy płomyk smoczej oliwy.

Z tyłu, za jego plecami, Grunaldi sapnął z irytacją i zachrzęścił oporządzeniem.

Drakkainen w odpowiedzi cmoknął karcąco i wysunął włócznię, wodząc końcem wokół futryn wszystkich siedmiorga drzwi. Badanie trwało w sumie może ze dwie minuty, ale dla stłoczonych w ciasnym korytarzu ludzi ciągnęło się bez końca.

Zdjął zapalniczkę, odwrócił włócznię i zaczął ostrożnie sprawdzać podłogę. Okuty koniec drzewca oparł o płyty posadzki i nacisnął całym ciężarem w najbardziej podejrzanych punktach, szukając zdradliwych miejsc, czekając na szczęk zapadki, zgrzyt sunących po sobie ciężkich kamiennych płyt, jakikolwiek dźwięk zapowiadający pułapkę.

W końcu wyciągnął dłoń do tyłu na ślepo i zrobił kilka szybkich gestów. Któryś z przyczajonych w korytarzu zwiadowców zdjął z ramienia zwiniętą w buchtę linę, rozplótł i podał mu wolny koniec. Vuko opasał się dwoma pewnymi ruchami i zrobił na linie niezaciskający się węzeł ratowniczy, a potem wyszedł z korytarza, ostrożnie stawiając nogi, jakby stąpał po cienkim i do tego podlanym wodą lodzie. Pozostali rozwinęli i napięli linę, a Drakkainen stanął pośrodku okrągłego przedsionka i podskoczył w miejscu. Podłoga wytrzymała. Nie otworzyła się zapadnia ani nic nie spadło mu na głowę.

Pozostało proste zadanie z topologii wyobrażone siedmiorgiem ustawionych w krąg zamkniętych drzwi. Jeżeli nie znajdowali się głęboko w skalnej ścianie, przynajmniej część od tej strony, z której nadeszli, nie mogła prowadzić donikąd.

Tak przynajmniej sugerowała logika – zestaw formalnych przyczynowo-skutkowych założeń, słabo sprawdzających się w rzeczywistości Lodowych Ogrodów, ludzkich organizmów intencjonalnie zmienionych już po narodzinach i mechaniki zaklęć.

Zakończone ostrołukiem drzwi otwierały się po energicznym pchnięciu nasadą drzewca. Po drugim – pierwsze odblokowywało tylko coś w rodzaju zamka, potem przy drugim pchnięciu skrzydło ustępowało na zewnątrz tak raptownie i nagle, że gdyby nie zabezpieczenie w postaci liny, poleciałby na łeb prosto w lodowatą pustkę, czarną jak przestrzeń międzygwiezdna.

Drzwi, te, które nie były przyrośnięte i za którymi udało mu się wykryć ruch powietrza, otwierały się w nicość.

Lewe i prawe, patrząc od strony korytarza, którym weszli, a także ukośne prawe oraz te na wprost, których okropnie nie chciało mu się otwierać. Były zbyt oczywiste i zbyt zachęcające. Każdy, kto nie wie dokładnie, dokąd zmierza, postawiony przed takim wyborem najchętniej nadal idzie w tym samym kierunku co przedtem.

A poza tym pewnie i tak otwierały się w czarną pustkę jak pozostałe, więc na razie zostawił je w spokoju.

Sięgnął do torby i wyjął kilka przezroczystych kulek, podobnych do tej, która dogasała na podłodze, tylko mniejszych, o średnicy piłek do golfa.

Cisnął pierwszą do otworu z lewej, kryjąc się za futryną, jakby wewnątrz coś miało wybuchnąć. Piłka odbiła się kilka razy, za każdym zderzeniem rozbłyskując coraz bardziej jaskrawym zielonym światłem.

Akwariowy blask odmalował zdobiony żebrowaniem korytarz, który prowadził przed siebie jakieś dwa metry, a potem skręcał.

Prosto w górę.

Drakkainen ujął w dłoń kolejną kulkę i wrzucił za drzwi po prawej stronie. Podskakujące światełko odmalowało kolejny kawałek ożebrowanego sufitu, ciąg kolumienek na ścianach, a potem spadło w dół.

W okrągły otwór, jak studnia, kończący korytarz.

Odległy stukot gdzieś nisko dobiegł po upływie kilku zniechęcająco długich sekund.

Za drzwiami ukośnie po prawej również pojawił się fragment korytarza, ale tym razem kulka potoczyła się przed siebie i wyskoczyła prosto w ciemność. Zanim zgasł seledynowy poblask, dało się zobaczyć jedynie biegnącą pod kątem przez podłogę krawędź, jakby korytarz był ukośnie uciętą łodygą trzciny. Kulka znikła w ciemności i tym razem nie dobiegł ich żaden odgłos upadku.

Za to w głębi wciąż otwartego korytarza po lewej, tego zaginającego się ku górze, zalanego gasnącym powoli fosforycznym poblaskiem, coś zaczęło się poruszać. Odgłos zwielokrotniony przez echo i ściany korytarza wydawał się niepokojąco głośny, ale dobiegał jeszcze z oddali.

I zbliżał się.

Dziwaczne, furgotliwe sapanie, jakby miks smarkania, szlochu i wielogłosowych szeptów, a równocześnie dźwięk, z jakim przesuwało się korytarzem coś ciężkiego, mokrego i śluzowatego.

Drakkainen sięgnął do boku i zwolnił zatrzask rękojeści miecza, a potem wysunął przed siebie włócznię i próbował zaczepić o krawędź uchylonych w głąb korytarza drzwi. Należało je pociągnąć, tyle że nie było klamki, żadnego uchwytu, ani nawet wyraźnego ornamentu, o który można by zahaczyć grot.

Wewnątrz lewego korytarza, gdzieś z góry, coś dużego przeciskało się coraz bliżej, wionąc ciężkim smrodem mułu, rybiego śluzu i amoniaku i wydając gumiaste, oślizgłe odgłosy, jakby ktoś otworzył pełną żywych ryb sieć nad kamienną studnią. W dogasającym fosforycznym świetle cierpliwie usiłujący zahaczyć drzwi końcem włóczni Drakkainen zobaczył, że coś czarnego cieknie po ścianach i suficie z prowadzącego w górę korytarza, niczym strugi atramentu. Uniósł pięść, potem rozprostował dłoń i dwukrotnie machnął w stronę ukośnego korytarza po prawej. Ruszyli jeden po drugim za jego plecami, kiedy wychylił się i pociągnął za skrzydło drzwi, ile się dało, nie przycinając palców. Kamienna płyta ruszyła ciężko i zaraz się zatrzymała. Zdążył jeszcze zauważyć, że światełko zgasło jak połknięte, oraz poczuć podmuch cuchnącego powietrza wypychanego z wnętrza korytarza.

Uniósł się z przykucniętej pozycji i wysunął do połowy ostrze z pochwy.

Stał, nasłuchując zbliżających się szeptów, westchnień i mlaskania, czekając, aż drzwi się otworzą, kiedy lina, którą miał owiązaną pod pachami, została nagle napięta siłą wielu ramion i szarpnięciem pociągnęła go w tył, a równocześnie coś dużego i ciężkiego uderzyło od wewnątrz w drzwi, zatrzaskując je.

– Co to było? – tchnął Spalle niemal niedosłyszalnie, kiedy Vuko pozbierał się na nogi i przeciskał do przodu.

– Nie wiem – odszepnął. – Nie widziałem. Zamknęło się po tamtej stronie. Duże. Śmierdziało rybą i kanałem.

– Dlatego u nas nie robi się wychodków wewnątrz domu – mruknął Grunaldi. – Nigdy nie wiesz, co się zalęgnie.

– Tamtędy już nie pójdziemy – szepnął ktoś w ciemności.

– Na razie do przodu – odpowiedział Drakkainen, przeciskając się w stronę otworu.

Wymacując drogę, zbliżył się do uciętej skośnie podłogi, za którą trwała głęboka ciemność, usiadł i odwrócił swoją włócznię. Szybkimi ruchami zdemontował ostrze i odwróciwszy je, wsunął w gniazdo na końcu

drzewca, potem rozkręcił je pośrodku i rozsunął, dopasowując długość tak, żeby była szersza od otworu, ale mieściła się w wylocie. Następnie zawiązał drugi koniec liny pośrodku drzewca, oparł końce włóczni o ściany wylotu, tworząc prowizoryczną rozpórkę, szarpnął kilka razy i wypełzł na zewnątrz w ciemność, głową do przodu.

Zszedł po ścianie, przesuwając linę za plecami. Po chwili zatrzymał się, zaplótł jedną nogę na linie, zawisł głową w dół niczym wielki gekon, wydłubał z torby jedną ze swoich świetlnych kulek, potrząsnął, budząc wewnątrz zielonkawy poblask, i spuścił ją ostrożnie w dół.

A potem zaklął, kiedy spadła na bruk półtora metra niżej, przed jego twarzą.

Druga kula, ta, którą wrzucił przedtem, badając korytarz, mżyła zielonkawym poblaskiem próchna głęboko w zaspie.

Przewinął się na linie, lądując na nogach, po czym schował obie świecące kule do kieszeni i przypadł w półprzysiadzie z ręką na mieczu, nasłuchując i usiłując cokolwiek wypatrzyć w całkowitej ciemności.

Odczekał chwilę, po czym świsnął cicho przez zęby. Pojawili się wokół niego w ciągu kilku sekund, jak cienie. Towarzyszył temu tylko nikły syk lin ślizgających się przez kute oczka zjazdowych ósemek i lekki szelest materiału, kiedy opadali na bruk i odskakiwali zająć pozycję i zamykając pięciokąt. Ostatni zakapturzony wojownik wciągnął zwisającą z wylotu linę, przywiązał jej drugi koniec do małego ucha pośrodku rozpartego w korytarzu drzewca, a potem wyrzucił złożoną wpół pętlę liny na ulicę i zjechał po jednym końcu, po czym szarpnął drugi, wyciągając niewielką przetyczkę. Włócznia złożyła się wpół i spadła mu prosto w wyciągniętą dłoń.

Szyk został zamknięty, czarne, skulone sylwetki wsiąkły w mrok pustej ulicy i zamarły w bezruchu.

Na długo.

Tak długo, że każdemu obserwatorowi powinny puścić nerwy. Tak długo, żeby się ujawnił, niepewny, czy coś rzeczywiście widział albo słyszał.

I jeszcze dłużej. Niekończące się sekundy mroku, lodowatego wiatru zacinającego mżawką i topniejącym śniegiem. Trwali tak, aż rozległo się cmoknięcie przerywające ciszę.

– Co teraz? – szepnął Spalle.

– Witamy w nieczynnej dzielnicy – zaszemrał w odpowiedzi Drakkainen. – Trzymajcie się blisko ścian. Szukamy pootwieranych drzwi, śladów czyjejś bytności, czegokolwiek. Zachowujcie się jak najciszej. Dwie grupy, obie strony ulicy wzdłuż ścian. Ruchy!

Nieczynna dzielnica sprawiała jeszcze bardziej złowrogie i posępne wrażenie, niż gdyby była zwyczajnie porzucona. W ciemnościach rozpraszanych blaskiem dalekiego nocnego nieba po obu stronach tłoczyły się gotyckie kamieniczki, z gąszczem potrójnych kolumienek, łuków, krużganków, płaskorzeźb i gargulców. Wieńczące domy dachy przytłaczały mansardami, wykuszami i wieżyczkami ściśniętymi jak kolonia krytych łuską grzybów, zupełnie jakby nachylały się po obu stronach nad wędrowcami i miały ich pogrzebać pod sobą.

Najwyraźniej dzielnica została pomyślana jako kupiecko-rzemieślnicza, prawie każdy mijany dom miał okazały ganek prowadzący do pomieszczenia handlowego – kantoru, warsztatu czy sklepu, pod gankiem pomyślano o wejściu do podziemnych izb, piwnicy lub składu, a na piętrach wznosiły się części mieszkalne. Na razie jednak to wszystko było puste. Na sterczących ze ścian ozdobnych wysięgnikach kołysały się puste szyldy, za taflami wąskich okien martwo drzemała ciemność i kamieniczki czekały na wykoncypowaną przez Fjollsfinna, mającą nastąpić w nieokreślonej przyszłości handlową prosperity.

I wszystkie drzwi były zarośnięte.

Metodycznie skradali się po schodach na ganki, przypadali po obu stronach futryny, a potem prowadzący przytulony plecami do ściany sięgał do klamki i szarpał z wyczuciem, a skuleni za nim wojownicy spinali się, ściskając broń, gotowi wlać się do pomieszczenia jak wezbrana rzeka.

I nic.

A potem kolejne drzwi, ganki, wejścia do nieistniejących lokali i warsztatów.

Ciemność, wiatr, mżawka, martwe okna, jak studnie w nicość, i zamknięte drzwi.

Dziesiątki drzwi.

Ulica, którą szli, prowadziła od fałszywego muru pod górę stosunkowo stromo. Co kilkanaście metrów wznosiła się ciągiem długich stopni, jednak przy ścianach zamiast stopni znajdowały się łagodne pochylnie. Albo

Fjollsfinn przebiegle przewidział, że ludzie będą tu wciągać towar na jakichś wózkach, albo odruchowo zadbał o niepełnosprawnych.

Nie wiadomo jednak, dlaczego tu było tak ciemno. Gaz do lamp pochodził z wnętrza wulkanu, nie było sensu go oszczędzać, i tak co jakiś czas musieli spalać nadmiar niczym jakaś rafineria. Wszystkie dzielnice Lodowego Ogrodu, zamieszkałe czy nie, mogły sobie jaśnieć jak Las Vegas, bo naturalne paliwo i tak szło w powietrze. Albo zadziałała tutaj odruchowa skandynawska skrzętność, albo ktoś, kto nawiedzał tę dzielnicę, życzył sobie, żeby tonęła w ciemności, i zablokował kanały lamp ulicznych.

Jak dotąd nie spotkali jednak nawet szczura.

Przekradli się do końca uliczki, na niewielki okrągły ryneczek ze studnią i oktogonem zwieńczonym spiczastym hełmem, górującym nad dzielnicą i sterczącym w nocne niebo, wpatrującym się w horyzont z cierpliwością kamienia.

Drzwi do wieży tkwiące w ozdobnym portyku były oczywiście zarośnięte.

– Tak nie da rady – wymruczał Drakkainen. – Przyjdzie lato, zanim sprawdzimy wszystkie drzwi i przejścia. Boję się, ale nie da rady inaczej.

Przycupnęli w kącie, skryci pod krużgankiem, otaczając Vuka z bronią w gotowości i wpatrując się w ciemność.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurty pod pancerzem i wydobył metalową buteleczkę. Potrząsnął, a potem odkręcił zatyczkę zakończoną srebrnym sztyftem, niczym w opakowaniu perfum.

– Kiepski pomysł – mruknął Grunaldi.

– Vuko... Nie wiadomo, czy to zadziała – jęknęła Cyfral, unosząc się przed jego twarzą.

– Wiem, jak cholera – wycedził Nitj’sefni.

Wydobył jedną ze swoich świecących kulek i postawił ostrożnie na bruku, a potem spuścił na nią kroplę roztworu z buteleczki. Kula zadrżała lekko, a potem rozjarzyła się czerwonawym blaskiem niczym dogasający węgielek.

Vuko zadarł twarz do góry, westchnął i wpuścił sobie kroplę płynu do oka. Zacisnął powieki, po czym spuścił głowę, cedząc przez zęby ciąg fińskich wypowiedzi, jakby zaklęć, ale bardzo ekspresyjnych.

– *Nähdä, perkele totta*... – wymamrotał w końcu i uniósł twarz, otwierając oko.

Upiorne, lśniące ognistą, przelewającą się czerwienią, jak podbiegnięte świecącą krwią. Sięgnął pod swój kaptur i zsunął z czoła opaskę, przesłaniając zdrowe oko. Patrzył teraz na świat tylko jednym, jarzącym się w mroku krwawym ślepiem, niczym cyklop z piekła rodem.

– Widzisz coś w ogóle? – zapytał ktoś z troską.

– Na razie widzę – odparł ponuro, tocząc wokół płomienistym wzrokiem.

Nachylił się nad pełgającą żarem kulką i podniósł.

– *Etsiä, pallo! Löytää, kusipää!*

Kula rozżarzyła się na chwilę jakby w odpowiedzi, potem przygasła, tylko w środku przelewał się pełgający żar.

Drakkainen podrzucił kulkę na dłoni, a potem puścił ją przed siebie, skaczącą po płytach placyku. Kulka potoczyła się prosto, odbiła od ocembrowania studni, przeturlała jeszcze kawałek i stanęła.

Jak należało przypuszczać.

Jednak po sekundzie zadygotała lekko, a potem ruszyła jak ciągnięta przez ukryty pod bazaltem nawierzchni magnes.

– Idziemy – wycedził Drakkainen. – Za kulką, *piczku materinu*. I jeszcze wkropiłem sobie do oka jakieś magiczne szczyny. Nie wierzę, że to robię.

Jarząca się szklana bańka toczyła się raźno dookoła placu, a potem wzdłuż kolejnego zaułka. Szli za nią, przemykając wzdłuż ścian, skradając się pod krużgankami i przeciskając między kolumnami.

Kilka metrów dalej Vuko zachwiał się nagle, chwytając z rozmachem za oczodół, i oparł bokiem o kolumnę, wciągając z sykiem powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Cyfral, co jest... *piczku materinu*... – wyrzęził stłumionym głosem. Jego ludzie zastygli w bezruchu, patrząc na niego z osłupieniem.

– Włączyłam to, Vuko. Zaraz przestanie boleć, to tylko nakładka i chyba działa. Spróbuj popatrzeć.

Odjął dłoń od oka, mrugając nerwowo, jakby zaprószył je pyłem.

– *Perkele saatani vittu...!* Co to jest?!

– Tak było najczytelniej – wyznała ze skruchą. – Po prostu wzięłam z zasobów pamięci.

Widział świat wyraźnie, ale w dziwnych kolorach, wśród których dominowały odcienie czerwieni, jak poblask pożaru. To tu, to tam jarzyły się niewidoczne gołym okiem żarowe linie, zacieki i tropy. Ślady butów na

ulicy, ślady dłoni i palców na ścianach i kolumnach, jakieś plamy, jak rozbryźniętej fluoryzującej farby. Widział resztki magicznego oddziaływania, aktywny „gwiezdny pył”, ale tego się spodziewał i tak miało być. Nie spodziewał się jednak, że będzie patrzył na świat przez panel sterujący. Ramkę wokół pola widzenia upstrzoną rozmaitymi symbolami i napisami. Z boku miał słupek znacznika podobny do szklanego cylindra, w jednej trzeciej wypełniony fosforyzującą cieczą. Stylizowane na gotyckie, płonące literki głosiły: MAGICZNY PYŁ. Na dole świecące kropeczki oznaczały świetlne kule, które wciąż miał w kieszeniach, wzdłuż lewej krawędzi miał pionowo ciąg piktogramów przedstawiających rozpostartą dłoń, płomyk, piorunek, tarczę, parę kocich oczu i lupę. A co najgorsze, w centrum pola widzenia plątało mu się coś jakby celownik.

– Jeśli to mi zostanie na stałe, skoczę z wieży – oznajmił ponuro. – Jak tak można? Co za infantylny kretynizm!

– Już ci lepiej? – zapytał jeden z zakapturzonych wojowników skulonych w mroku.

– Idziemy – rzucił tylko.

Kulka stała w miejscu, wibrując, jakby na niego czekała. Kiedy odbił się ramieniem od kolumny, potoczyła się raźno naprzód.

Przez kolejny wąski zaułek wznoszący się rzędami schodów, wśród tylnych wejść, krenelaży i podcieni. Marker toczył się przed siebie dokładnie po bladym, ledwo prześwitującym łańcuszku śladów.

A potem znalazł przyklejone do ściany niepozorne schodki prowadzące na krótki krużganek pod dachem i zaczął po nich wskakiwać jak piłka na filmie puszczonym od tyłu.

Mżące na rudo ślady prowadziły po schodach w górę i były blade, ledwie widoczne, co mogło oznaczać, że są stare. I było coś jeszcze. Potykacz rozciągnięty w poprzek stopni mniej więcej pośrodku, Vuko widział go rozjarzony jak wiązka lasera, co znaczyło, że miał coś wspólnego z magią. Podszedł bliżej, kiedy nad rubinową nitką wyrosła nagle nachalna, migająca, neonowa strzałka.

– Zabierz to natychmiast, Cyfral, bo dostanę szału – wycedził. – Widzę.

Nitka była napięta, cienka, ale wyglądała na mocną. Jednym końcem przywiązano ją do tralki poręczy, a drugi przewleczono przez oczko zrobione z zawiniętego, wbitego w ścianę gwoździa i poprowadzono wyżej,

wiążąc do ucha zwykłego glinianego dzbana stojącego w ściennej wnęce. Akurat nad głową tego, kto wpadłby na potykacz.

Przewód zabarwiono na czarno i nikt dysponujący normalnym wzrokiem nie miał szans go zobaczyć. Drakkainen wyciągnął kawałek świecącej jak fosfor kredy, skruszył odrobinę w palcach, złapał linkę przy ścianie, a potem przeciągnął palcami w stronę tralki, nacierając ją fosforyzującą substancją. Pokazał ślad pozostałym, po czym ostrożnie wspiął się po stopniach.

Wokół tkwiącego we wnęce dzbanka unosiły się świetliste, delikatne smugi, splatając się w ulotne fraktale i wirując niby obłoczek delikatnego dymu. Do tego zjawisko wydawało coś jakby brzęczący dźwięk na granicy słyszalności, który bardziej czuł gdzieś w zębach, niż rzeczywiście słyszał. Doszedł do wniosku, że tak widocznie wygląda zaklęcie, ale nie miał zamiaru sprawdzać, co miało zrobić po aktywacji.

Wyciągnął dłoń w kierunku drzwi, jednak zrezygnował. Obok wierzei na ścianie znajdowało się ostrołukowe okienko, zarośnięte taflą sześciokątnych kryształów.

Jego ludzie wśliznęli się już na schody i balkon, stłoczeni w przytulonym do ściany szeregu. Zatrzymał ich gestem i kazał podać sobie włócznię. Złożył ją, a potem pchnął lekko futrynę okna i zajrzał ostrożnie.

Wnętrze widziane jego pałającym ognistą czerwienią, rozpoznającym magię okiem nie tonęło w absolutnej ciemności, ale przecinała je siatka świetlistych rubinowych linii, jakby wzdłuż ściany z drzwiami zainstalowano rząd laserowych czujników, a potem puszczono parę. Nawet coś mżyło wzdłuż wiązek, jak podświetlone drobiny kurzu. Tylko że to nie mogły być lasery ani para. Przez chwilę analizował przebieg rozjarzonych linii, rysujących chaotyczny zygzakowaty ścieg między sufitem, ścianą i drzwiami, niczym ślad oszalałych rykoszetów, po czym uznał, że można wejść przez okno, ale bardzo ostrożnie, żeby nie zawadzić prawą nogą o wiązkę niknącą ukośnie w podłodze, i od razu iść w lewo, wzdłuż ściany, w żadnym razie nie postępując ani kroku naprzód. Do tego nie należało zbyt szeroko otwierać okna ani opierać się o ramę dłonią.

Na migi wydał swoim ludziom rozkaz, żeby czekali, splótł palce, aż chrupnęło mu w stawach, i wśliznął się do środka. Czuł się, jakby wykonywał cyrkowy numer, przemykając pomiędzy strunami rubinowego ognia i wijąc się jak w idiotycznym tańcu. Postąpił kilka ostrożnych

kroków bokiem, przykucnął, obrócił się, wstał, zrobił krok do tyłu, odchylając ciało, jakby przechodził pod niewidzialną poprzeczką, uchylił się, a potem uczynił krok w bok.

Nie zawadził o nic i stał wewnątrz, poza plątaniną ochronnych wiązek, które teraz oddzielały go od ściany z drzwiami i okienkiem. Wcale nie był pewien, czy dałby radę powtórzyć tę całą ekwilibrystykę od tyłu i wyjść.

W każdym razie wszedł.

Przez chwilę podziwiał geometryczną fastrygę z płonących nici, które oplatały wejście i ścianę, jakby były siecią ognistego pająka, oraz pęk kolejnych wiązek, które strzelały z punktów węzłowych w głąb pomieszczenia i spotykały się w jednym miejscu. Wypadającym na piersi siedzącego na krześle, wyszczerzonego trupa, jakby miały symbolizować jakieś błogosławieństwo płynące z jego serca.

Trup był dość stary i wysuszony, raczej przypominał mumię, dlatego w izbie specjalnie nie cuchnęło. Unosił się tylko lekki fetorek zgnilizny, przyduszony ciężkim swądem spalonych ziół i kadzideł.

Mumię posadzono na drewnianym prostym krześle. Siedziała z lekko przechyloną głową, patrząc mętnymi niczym na wpół ścięte białko oczami w drzwi i zaciskając zęby na owalnym rzecznym otoczaku, a promienie z serca płynęły do ściany i drzwi wejściowych, gdzie zaczynały skakać zygzakiem i tworzyć laserowe zasieki.

Kamień w ustach siedzącego trupa był spory, wielkości średniego ziemniaka, i chyba byłby kłopot, żeby wepchnąć mu go między szczęki, nie łamiąc zębów. A jednak tam tkwił. Rozciągający wargi, dodatkowo zaszyte kawałkiem drutu, jak makabrycznym kagańcem. Na skórze widać było rdzawobrązowe plamy zaschniętej krwi, więc zrobiono mu to za życia.

W miejscu, w którym ogniskowały się wiązki, powoli kłębił się delikatny, migoczący seledynem fraktal zaklęcia, niczym duch kwiatu utkany z dymu i mgły.

Vuko przykucnął ostrożnie i dopiero wtedy wypatrzył za wijącymi się powoli smugami blasku wiszący na chudej piersi trupa amulet. Drobny metalowy łańcuch i okrągły wisiorek ze wzorem przypominającym dwa przeplecione przez siebie półksiężyce. Wiązki spotykały się na nim, grzęznąc w migotliwym fraktalu otaczającym symbol.

Drakkainen sięgnął za plecy, wyciągając włócznię, rozkręcił ją pośrodku, regulując długość drzewca, a potem założył ostrze.

Ustawił się z boku i z dokładnie takim uczuciem, jakby grzebał śrubokrętem wewnątrz bomby, wyciągnął włócznię w stronę nieboszczyka. Zauważył jeszcze, że siedzący trzyma w każdej dłoni nieprzyjemną broń o sierpowato zakrzywionym ostrzu.

Oblizał wargi i przekręcił ostrze poziomo, a potem przesunął je bardzo precyzyjnie przy samej skórze trupa, żeby nie zawadzić żadnej ze świetlnych wiązek, a potem wsunął pod łańcuch amuletu.

Zamarł na chwilę, robiąc kilka oddechów ibuki, a potem bardzo delikatnie uniósł wisior, czując, że poci się pod swoim pancernym kapturem, zwłaszcza na karku i za uszami. Ze wszystkich sił usiłował zignorować barwny panel obramowujący mu pole widzenia, na którym coś migotało, oraz przeklęty celownik w środku.

– *Perkele*, zgaś to gówno, Cyfral – wycedził, przygryzając wargę.

Symbol strzałki pociemniał, a potem wysunął się z punktu ogniskowania, wlokąc za sobą falującą wokół świetlistą mgławicę. Celownik skurczył się do punktu, a wskaźniki na panelu przestały szaleć.

Świetlne struny w pomieszczeniu zamigotały i zgasły.

Drakkainen omal nie wrzasnął, sam nie wiedząc, czego się spodziewa: eksplozji czy syreny alarmowej.

Amulet wędrował do góry, otoczony wielokierunkowym, wijącym się nimbem, kołysząc się na ostrzu włóczni, kiedy rozległ się żelazny, ciężki łomot.

Vuko znów drgnął nerwowo, ale nie upuścił amuletu, choć niewiele brakowało.

Oba sierpy kołysały się na podłodze, tam gdzie spadły, wysunąwszy się z martwych palców, a głowa nieboszczyka opadła na pierś, kiwając się lekko na boki.

Obrócił włócznią jak najdalej od trupa, znalazł odsunięty pod ścianę stół i ostrożnie zsunął naszyjnik z ostrza na blat.

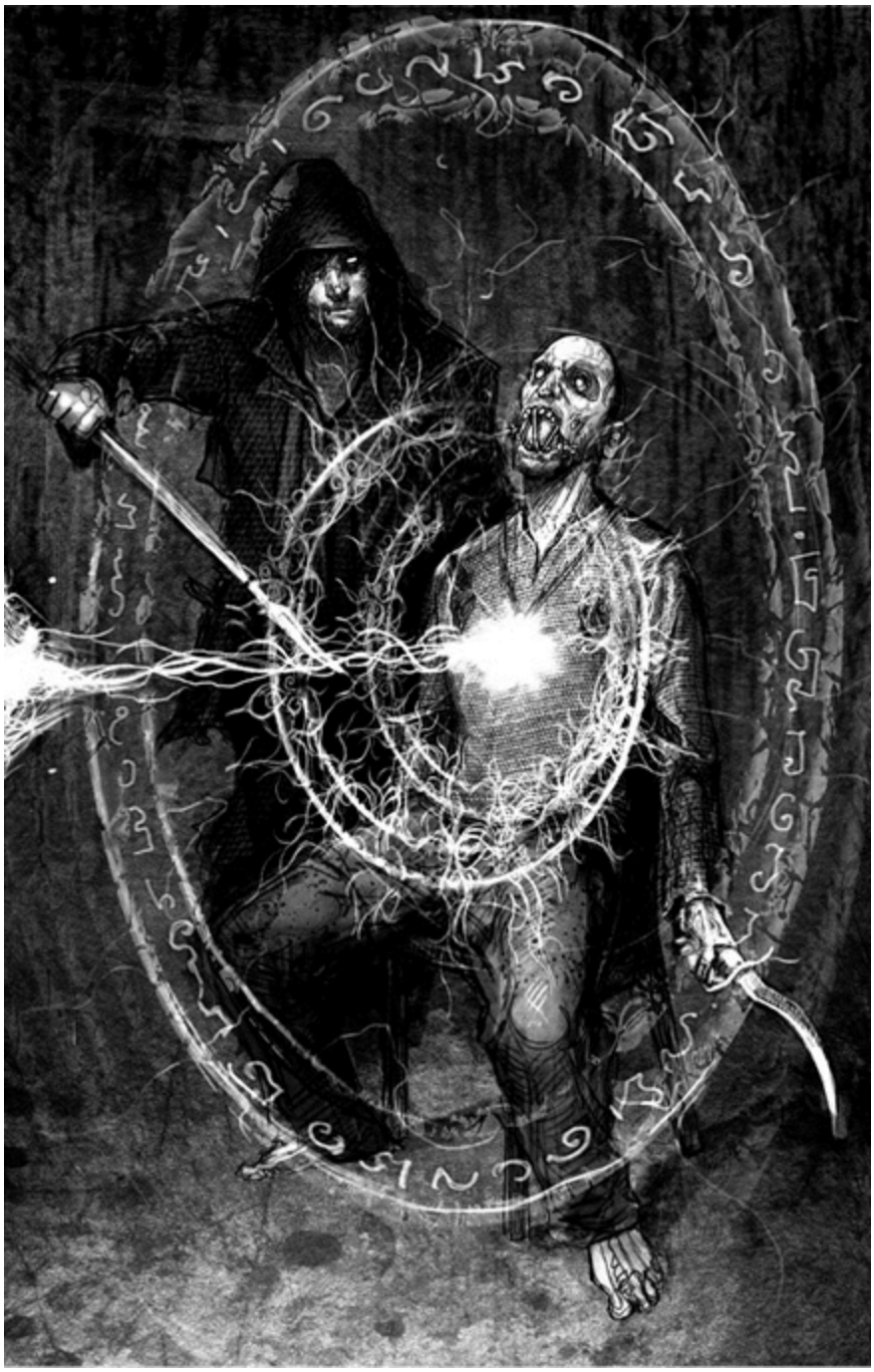

Nic się nie wydarzyło, tylko nimb wokół wisiora poruszał się jakby leniwiej, a fraktal skurczył się i trochę przygasł.

Machnął włócznią przed siedzącym na krześle nieboszczykiem, a potem przed drzwiami i obejrzał je jeszcze dokładnie, szukając kolejnych potykaczy, nitek chytrze przewiązanych pomiędzy klamką a futryną albo

wepchniętych w szparę drobin wosku, które wskazywałyby, że drzwi zostały otwarte, lecz nic nie znalazł.

Wyjął z kieszeni trzy świecące kule i rzucił je na podłogę w różne miejsca komnaty, uwalniając dość zielonkawego światła, by dało się w środku czytać.

Otworzył ostrożnie drzwi, wpuszczając do wnętrza lodowaty podmuch wiatru, a potem świsnął niegłośno.

Jego ludzie wśliznęli się do środka szeregiem i rozstawili w izbie, przyczajeni, z mieczami w rękach.

– Nie żyje – wyjaśnił Drakkainen półgłosem. – I to od dawna. Ktoś go tu posadził i rzucił na niego klątwę pieśnią bogów. Miał amulet połączony w jakiś sposób z drzwiami. Gdybyśmy otworzyli je normalnie, coś by się stało. Nie wiem co, ale ten biedak siedział prosto z mieczami w obu rękach, jakby gapił się na drzwi, i dlatego myślę, że wstałby z martwych, żeby nas atakować. Ktoś może słyszał o czymś podobnym?

– Wielu, którzy pływali do Amistrandu i zapragnęli skarbów z grobowców dawnych królów – powiedział Spalle. – Spotyka się tam takie kurhany z wielkich kamiennych bloków, zwłaszcza na pustkowiach. Stoją od bardzo dawna i rozsądni ludzie dawno by je splądrowali, ale Amistrandingowie boją się nawet do nich podchodzić, twierdzą bowiem, że strzegą ich martwi strażnicy. Niektórzy z naszych próbowali tam wchodzić i mało który potem wychodził, tak że reszta straciła część zapału. Myślę więc, że chodzi o coś takiego jak tu i dobrze się stało, Ulfie, że zdjąłeś zaklęcie.

– Jeden trup jest tylko jeden, choćby był nawet zajadły – zauważył Skalnik.

– Ciężko zabić tego, który już umarł – odrzekł mu równie filozoficznie Grunaldi.

– Żywy czy martwy, porąbany na dzwona wiele ci nie zrobi.

– Tak się mówi – przyznał Ostatnie Słowo. – Dopóki nie musisz potem biegać z łbem upiora wgryzionym w zadek.

– Tu raczej nie ma skarbów – zauważył Oset. – Po co go więc posadzono?

– Ktoś tu mieszka – wyjaśnił Drakkainen. – I lubi spokój. W tej izbie nie ma nic, tylko ten umrzyk, stół i krzesło, więc myślę, że mieszka w następnej, za tamtymi drzwiami. Boże, kolejne drzwi.

Tym razem nie było szczególnie wymyślnych pułapek, tylko linka w poprzek futryny, mniej więcej na wysokości pasa. Podobnie jak na schodach, została zaczepiona pętelką na gwoździu, przewleczona przez ucho po drugiej stronie i prowadziła w górę. Widział ją wyraźnie, więc odpiął bez większych ceregieli i wszedł do środka z mieczem w ręku.

Linka prowadziła do wnęki nad łukiem drzwi, gdzie stał kolejny gliniany garnek.

– Jakoś nie chce mi się sprawdzać, co jest w tych dzbankach – oznajmił Vuko. – Bo coś mi mówi, że raczej nie woda.

Izba miała potrójne okno wychodzące na wewnętrzny dziedziniec okolony krużgankami, na którym znajdowała się jedynie ocembrowana studnia pośrodku.

Wewnątrz było dosyć ciepło, najwyraźniej odczopowano otwory w podłodze ziejące ciepłym powietrzem z wnętrza wulkanu. Przy oknie ustawiono prosty stół, blat z trzech desek ustawiony na krzyżakach, wyglądający jak zabrany z jakiejś tawerny, toporny taboret i wypełniony słomą materac na podłodze, ze zwiniętym w rulon wełnianym kocem.

– Nie ruszajcie niczego – ostrzegł Drakkainen. – Jeśli nikogo nie znajdziemy, nie chcę, żeby wiedział, że ktoś tu był.

– Jeśli to może być ten, o którym myślę – zauważył Spalle – to i tak się zorientuje.

Vuko nie odpowiedział. Myszkował po izbie. Przenieśli tu świecące kule z pomieszczenia, w którym królował odźwierny zombie, spoczywający na swoim krześle bezwładnie, smutno i bezużytecznie, i zrobiło się niemal jasno, ale blask padał tylko na pusty podwórzec, którego pilnował Spalle. Drzwi pozostały otwarte na oścież, Vuko wysłał Osta, żeby dotrzymywał strażnikowi towarzystwa i obserwował pustą, tonącą w mroku uliczkę oraz schody.

Stół pod oknem i drewniany zydel. Na stole trzy tanie gliniane lampki oliwne do kupienia za grosze na byle straganie. Dziki lokator nie chciał uruchomić gazowej lampy, obecnej w każdym pomieszczeniu Lodowego Ogrodu, albo uznał, że zbyt jaskrawe światło jest mu niespecjalnie potrzebne. Być może zresztą instalację trzeba było specjalnie uruchomić, zasiedlając mieszkanie, założyć jakieś zawory, coś odblokować albo włączyć i przy okazji zwrócić na siebie uwagę. Siedział więc przy mdłych płomykach oliwnych lampek, przy surowym stole, mając z boku potrójne

okno z widokiem na puste podwórko otoczone krużgankami, na których nie pojawiały się nawet duchy. Obfajdane przez mewy i jakieś górskie ptaki kamienne balustrady i kolumnady, bazaltowe płyty i dziurę studni.

Na blacie prócz ustawionych rzędem lampek nie było nic. Pod blatem także nic. W kamiennej ścianie znajdowała się zakończona półkoliście wnęka, w którą wstawiono jedną półkę z deski. Na półce stał kolejny dzbanek, tym razem niezdradzający żadnych magicznych właściwości i niezaopatrzony w żadne potykacze i linki, zawierający ciecz, pod każdym względem przypominającą wodę. Obok w karnym klasztornym porządku stały drewniany talerz, gliniana miska i wstawiony do niej kubek z wetkniętą drewnianą łyżką i jakąś szpatułką podobnej wielkości. Naczynia były typowe, najtańsze, takie, jakie dawano w tawernach w Ogrodzie i jakich używano w koszarach straży. Rudobrązowe, z matowej terakoty, z najprostszą polewą i skąpym wzorem odciśniętym na brzegach i na dnie za pomocą metalowej puncy. U straży z reguły był to symbol drzewa, a tutaj oplotowy abstrakcyjny ornamencik. Midgaardowy odpowiednik jednorazowych nakryć – anonimowe, groszowe i nierozpoznawalne. Drewniana łyżka mogła pochodzić z dowolnego straganu albo z darmowej garkuchni, a równie dobrze być samoróbką. Na półce stał dodatkowo dzban oliwy, zwykłej, jadącej tranem, tutejszej taniej oświetleniowej mieszanki oleju z morskich stworów i wytłoczyn roślinnych. Jeszcze proste drewniane pudełko zawierające zwitek wiórów, krzemień i żelazne krzesiwo.

– Chyba jada na mieście – stwierdził Drakkainen.

Obmacał ostrożnie posłanie, ale prócz niezbyt świeżej, pokruszonej słomy z czegoś podobnego do sitowia w parcianym worku i wełnianego koca godnego aresztu miejskiego nie znalazł nic. Podłoga była, jak wszędzie w Ogrodzie, jedną bazaltową płytą, więc nie było co marzyć o obluzowanych deskach i schowkach. W bocznej ścianie znajdował się jeszcze jeden otwór, prowadzący do niewielkiej wnęki z bazaltowym korytem, suchym, bo wprawdzie w ścianie chlupotała woda, ale nie przebito otworu do korytka pełniącego rolę kranu, oraz kwadratowa kamienna skrzynia na podłodze z owalną dziurą na górze, przypominająca rzymską latrynę. Było kamiennie, ciemno i pusto.

– Chyba tracimy czas – zauważył Grunaldi.

– Jasne – odrzekł jadowicie Drakkainen. – Czym tu się ekscytować? Po prostu znaleźliśmy przemyślnie ukryte sanktuarium, zaszyte w sercu pustej dzielnicy grodu, za niezliczonymi drzwiami opatrzonymi chytrymi magicznymi pułapkami, chronione przez tresowanego zombie uzbrojonego w drogi magiczny system alarmowy, przeznaczone do tego, żeby móc bez przeszkód zasiąść za starym stołem i w ciszy spożyć przyniesioną ze sobą kaszę, napić się wody z dzbana, a gdy zapadnie zmrok, skrzesać ogień i zapalić aż trzy lampki oliwne, a potem gapić się w ich płomyki, aż przyjdzie czas iść spać na worze starego sitowia.

– Ale co zrobisz, skoro tu rzeczywiście nic innego nie ma?

Drakkainen spojrzał na przyjaciela swoim jedynym odsłoniętym okiem, w którym przelewał się szkarłatny ogień, jak wybroczyna płonącej juchy.

– Oni chcą, żebyś właśnie tak myślał – oznajmił tonem rasowego paranoika.

– Co to „zjombar”? – spytał kapryśnie Spalle.

Vuko zignorował go, taksując swoim krwawym wzrokiem izbę.

– Dawajcie kulę – oznajmił. – Czas spytać kulę.

Marker zahurgotał po podłodze, popychany lekkimi kopniakami. Ufali Drakkainenowi, pozwalali stosować magię, prowadzić się za toczącą się bilą potraktowaną pieśnią bogów, ale żaden nie miał zamiaru dotykać jej rękoma. Drakkainen podniósł kulę, w której ledwo już migotała czerwona iskierka, i spuścił na nią kroplę płynu z fiolki. Kula rozżarzyła się, jak węgielek zamknięty w szkle, a Ulf powtórzył szeptem zaklęcie i puścił ją ostrożnie na ziemię.

Bila stała przez chwilę nieruchomo, a potem zaczęła wibrować i potoczyła się powoli przed siebie. Wykonywała takie same szarpane ruchy jak żelazna kulka poruszana po stole za pomocą magnesu przesuwanego pod blatem. Wszystko to razem przypominało tanią sztuczkę i pachniało jarmarkiem.

Kula przesuwała się dookoła pomieszczenia, jakby obwąchiwała kąty. Zwiadowcy usuwali jej się trwożnie z drogi, jakby była jadowita albo naprawdę rozżarzona. Otoczyła pokój, a potem wróciła do czekającego cierpliwie Drakkainena i niepewnie zakreśliła kółko wokół taboretu. Zwiadowca chwycił go, odwrócił do góry nogami i położył na blacie stołu, ale nie znalazł nic szczególnego, więc sięgnął pod pachę, wyciągnął nóż i ostukał stołek głowicą rękojeści. Obrócił go kilka razy, uważnie

przyglądając się konstrukcji, po czym ostrożnie wybił z boku drewniany sworzeń i podwójne siedzisko rozłożyło mu się w rękach, uwalniając krótki sztylet z kościaną rękojeścią, schowany w drewnianej pochwie. Drakkainen wysunął go do połowy, skrzywił się z obrzydzeniem i schował z trzaskiem.

– Szklany – oznajmił. – *Dobrodoszli*. Jesteśmy w domu.

– Jad żagiewnicy? – spytał Grunaldi.

Vuko skinął głową.

– Wiedziałem – warknął Spalle. – Wiedziałem. Jak ścierwojad się tu dostał?

– O kim mówicie? – spytał rzeczowo Skalnik.

– Amistrandzkie ścierwo, które zwą Szkarłat – wyjaśnił Grunaldi. – Sprytny jak wąż i tak samo jadowity. Szpieg władców Amistrandu i zarazem Pieśniarz, żeby mu chwost oparszywiał. Już się kiedyś spotkaliśmy. Zdaje się, że to on tu mieszka.

– Na razie znaleźliśmy jedynie dziwny sztylet schowany w stołku. Pewnie nie tylko on jeden taki ma.

– To rzadka i droga broń. Pochodzi z Południa i należy do skrytobójcy. Ostrze jest szklane, nie nadaje się do walki. Ale jeśli wrazisz je komuś, kto się tego nie spodziewa, tłucze się i wypuszcza jad, który zabija w ogromnych boleściach. No i jest jeszcze to. – Vuko wskazał półkę.

– Miska? Kubek? Łyżka?

– W kubku, obok łyżki.

Skalnik sięgnął na półkę i wydobył drewniane szczypczyki tkwiące w towarzystwie struganej łyżki. Dwie płaskie listewki długości dłoni, połączone z jednej strony klockiem. Koniec jednej listewki zaostrzono, a drugiej zacięto, tworząc jakby widełki.

– Co wam to przypomina?

– Filar ma takie, tylko metalowe.

– Południowcy tym jedzą – domyślił się Grunaldi. – Normalnym ludziom wystarczą palce, łyżka albo nóż. Szczypczyki, więc Amistrand. Sztylet z jadem żagiewnicy, więc skrytobójca. I to nie byle jaki. Możny. Ilu takich kręci się w okolicy? Tylko jakim sposobem kula go znalazła?

– Wyczuwa pieśni bogów. Widocznie sztylet ma z tym coś wspólnego. Nie widzę zaklęcia, ale jad trochę się jarzy, więc pewnie został podkręcony magią.

– Zostawiasz go?

– Wolę, żeby się nie zorientował, że tu myszkowaliśmy.

– I tak się pozna. Ja mówię, zabierz tę rzecz. Lepiej, żeby jej nie miał.

– Jeden zużył, żeby zabić Wędzonego Ulle – oznajmił Spalle. – Jeśli miał dwa, pewnie ma i następne. Tak go nie rozbroisz.

Vuko westchnął, odłożył sztylet na miejsce, zmontował taboret i odstawił go starannie.

– To nie może być wszystko – oznajmił. – Sztylet w stołku był na wypadek, gdyby ktoś go tu zaskoczył, jak siedzi nad tą swoją kaszą.

Dmuchnął na marker i znów puścił go na podłogę. Bila zadrżała, a potem potoczyła się przed siebie, prosto w ciemny otwór wnęki.

– Twoja piłka chce do wychodka – zauważył Grunaldi.

– Więc idziemy z nią.

Ustronna komnatka była mała, ciasna i pusta. Nie znaleźli tam nic prócz bazaltowych ścian, palmowego sklepienia, kamiennego prostokątnego siedziska, umywalki i małej wnęki w ścianie. Kiedy wnieśli wszystkie świecące kule, zrobiło się jasno i nawet schludnie, ale poza tym nie dało się zauważyć nic niezwykłego. Tropiąca kula toczyła się tam i z powrotem wzdłuż sedesu.

– Chcesz na górę? – spytał Drakkainen i postawił ją ostrożnie na kamiennej płycie. Bila zawibrowała, po czym pewnie potoczyła się w bok i znikła w otworze.

Po chwili coś łupnęło głucho poniżej.

– Nie! – oznajmił Spalle. – Tylko nie to. Odmawiam.

Vuko wzruszył ramionami, sięgnął za plecy i wyciągnął swoje nieocenione narzędzie. Spojrzał na Skalnika, który niósł pasy z dodatkowym oporządzeniem, i zamontował na końcach teleskopowego drzewca tępą, lekko zakrzywioną końcówkę oraz na drugim końcu ostrze zagięte pod kątem prostym, produkując wymyślny łom.

Płyta z dziurą osłaniająca wychodek okazała się leżeć luźno pod własnym ciężarem i dała się przesunąć dosyć łatwo.

– Też mam nadzieję, że chcesz tylko odzyskać swoją kulę – zauważył Grunaldi. – Nie zwykłem nurkować w wychodkach.

– Tamten też nie – oznajmił Drakkainen, potrząsając świecącą kulą i pochylając się nad dziurą. – To jest suche. Zupełnie nieużywane. Linę.

Przewiązał linę w połowie drzewca i zrzucił ją na dół, niemal natychmiast słysząc łupnięcie złożonej buchty o kamienną posadzkę. Cisnął

jeszcze w czeluść wychodka dwie świecące kulki i wsunął się do wnętrza.

Z dołu dobiegło kilka dyskretnych szelestów, zgrzyt obcasa na kamieniu, zwielokrotniony w pustym kominie, a potem zapadła cisza.

Czekali.

A potem czekali jeszcze dłużej.

– Co teraz? – spytał Spalle.

– Teraz siedzimy cicho i czekamy – warknął stłumionym głosem Grunaldi.

Więc czekali, nasłuchując, lecz z wnętrza kamiennego klozetu nie dobiegał najmniejszy szelest.

Stali stłoczeni wokół wychodka w zielonkawym półmroku dogasających kul, kiedy znienacka z wewnątrz wysunęły się ręce, dłonie chwyciły drzewce oraz krawędź otworu. Odskoczyli nerwowo, chwytając za broń, ale z kamiennej obudowy wynurzyła się głowa i tułów Drakkainena, aż wreszcie cały zwiadowca.

– Czysto – wydyszał. – Jest przejście do pomieszczenia piętro niżej. Schodzimy. Najpierw Grunaldi, potem reszta, ja na końcu. Trzeba tu wszystko pozamykać i pouzbrajać tak, jak było.

Zluzował wartowników i posłał ich do łaźni, a sam wszedł do pierwszej izby.

Zombie nadal siedział zgarbiony na krześle, z opuszczonymi bezwładnie ramionami i zwieszoną głową. Kiedy zabrali oświetlające kule, w pomieszczeniu widzianym krwawym okiem zrobiło się niemal zupełnie ciemno, jedyne światło, sine i rozedrgane, rzucał leżący na stole amulet. Wijące się wokół macki i smugi poświaty teraz mniej kojarzyły się Drakkainenowi z kwiatem, a bardziej z jakimś morskim, planktonowym stworem, galaretowatym i świecącym, dryfującym w mrocznych głębinach. Było to coś, czego nie widział nikt poza nim, wizualizacja zaklęcia, a mimo to pozorne światło wijącego się fraktala dla jego oka rzucało poblask na ściany i sufit, wywołując poruszające się cienie.

Co gorsza, patrzył tylko jednym okiem, więc stracił stereoskopię, a widząc wszystko płasko, nie bardzo potrafił ocenić odległość, tymczasem tu trzeba było precyzji.

– Cyfral, ten panel naprawdę mi przeszkadza. I tak ledwo widzę – wycedził półgłosem.

– Jest częścią całej nakładki. Lepiej naucz się go używać, zamiast ignorować. To ma ci pomóc zapanować nad magią.

Wyciągnął ostrożnie włócznię, na powrót zaopatrzoną w liściowaty grot, i wsunął ostrożnie pod łańcuch amuletu, przygryzając wargę.

– A co to są te znaczki dookoła? Wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa nad konsolą gier?

Uniósł wisior, zapierając drzewce pod pachą, i drugą ręką wydłubał z olstra miecz razem z pochwą.

– Pasek stanu z prawej strony pokazuje ci, ile jeszcze masz... powiedzmy, „magicznego oka”. Zanim się skończy, będziesz musiał zakropić je jeszcze raz, chociaż to może być niebezpieczne.

Odczekał, aż amulet przestanie się kołysać, i wsunął w łańcuch koniec pochwy. Z jednym tylko okiem do dyspozycji to wcale nie było takie proste.

– Z lewej strony masz przygotowane zaklęcia, które już niby opanowałeś. Pirokineza, telekineza, zatrzymanie czasu, tarcza, wizualna prekognicja, mantoskopia...

– Sama powymyślałaś te nazwy czy wzięłaś z czegoś? Brzmi jak katalog schorzeń psychicznych.

Powoli, ostrożnie rozsunął włócznię i pochwę, rozszerzając łańcuch, i pomału przeniósł amulet nad pochyloną głowę trupa.

– Chcesz, to sobie ponazywaj inaczej – odparła nadąsanym tonem. – Możesz je aktywować do natychmiastowego użycia albo trzymać w gotowości. Zaoszczędzi ci to czasu na koncentrację.

Nie odpowiedział, przemieszczając rozsunięty łańcuch coraz niżej, aż dotknął nim czaszki trupa. Ostrzem włóczni podtrzymywał amulet, a końcem pochwy odsuwał łańcuch w stronę potylicy i karku. Potem lekko opuścił oba narzędzia, tak by ogniwa poluzowały się i rozsunęły na głowie martwego strażnika. Czuł wielkie, zimne krople potu toczące się po twarzy, łaskoczące skórę jak leśne mrówki. Jedna kołysała się na czubku nosa, druga sunęła po jego grzbiecie, a kolejna, niestety, toczyła się gdzieś po łuku brwiowym, gotowa w każdej chwili wpłynąć żrącą rzeką do jedynego czynnego oka.

Łańcuch ześliznął się, ale oczywiście zaczepił się na uszach. Vuko wstrzymał oddech, zamrugał, chcąc strącić przeklętą kroplę potu z powieki, i przez irytująco długi, nieznośny moment manipulował końcem pochwy.

W końcu łańcuch opadł na kark strażnika z cichym brzękiem ogniw i Drakkainen ostrożnie wycofał miecz, pozostawiając tylko grot podtrzymujący amulet z wijącym się wokół mglistym polipem zaklęcia.

Wsunął miecz po samurajsku za pas, wziął kilka oddechów, zlizał słoną kroplę z warg i opuścił amulet na pierś nieboszczyka, po czym odskoczył, nastawiając włócznię do ciosu.

Łańcuch zabrzęczał cicho, medalion szczęknął, opadając na pierś nieboszczyka, a fraktal ożył nagle, wirujące pasma i smugi zajaśniały silniejszym światłem, malując na ścianach migotliwe refleksy, pojawił się też jaskrawy poblask, który jakby wsiąkł w pierś trupa.

Zombie uniósł powoli głowę, z kamieniem wciśniętym w szczęki i tak samo mętnymi, ściętymi oczami nieświeżej ryby jak przedtem, po czym oparł się na krześle.

Drakkainen trwał w postawie bojowej, na przygiętych, napiętych nogach, a jego mózg pracował niczym komputer artyleryjski, układając sekwencje ciosów, ruchów, uników, cięć i pchnięć, jakby grał równocześnie w kilka partii szachów.

Strażnik siedział jednak nieruchomo i nie odwracał w jego stronę głowy ani nie unosił się z krzesła. Amulet na jego piersi kołysał się coraz wolniej, fraktal zaklęcia też pulsował coraz łagodniejszym światłem.

A potem siedzący trup poruszył nagle rękoma. Jego dłonie zaczęły zaciskać się w pięści, przebierać palcami, jakby były obdarzone niezależną wolą, niczym nerwowe ośmiornice.

Przez obłędną chwilę Vuko rozważał, czy nie posunąć tamtemu sierpów, ale zrezygnował. Tułów przechylił się nagle powolnym, zegarowym ruchem, przywodzącym na myśl japońskie nakręcane zabawki, jedna dłoń trafiła na rękojeść, potem druga, ostrza zgrzytnęły po posadzce i trup wyprostował pierś, znieruchomiał, wbijając wzrok w drzwi.

Medalion strzelił nagle prosto przed siebie pękiem promieni, które rzeczywiście odbiły się od narożników i krawędzi ścian, splatając na powrót sieć rubinowych wiązek.

I wszystko znieruchomiało.

Drakkainen odczekał jeszcze chwilę, a potem poruszył się ostrożnie, cały czas gotów wystrzelić sekwencją ciosów i pchnięć, ale strażnik nie poruszał się, wbijając mętny wzrok w drzwi.

W końcu wyprostował się z uczuciem, że popękają mu napięte mięśnie, i wyszedł tyłem z izby, cały czas mierząc ostrzem w plecy siedzącego strażnika.

Zamknął drzwi, na powrót ostrożnie założył potykacz w poprzek futryny i w myślach jeszcze raz zlustrował wszystkie zabezpieczenia.

W łaźni wsunął na miejsce płytę, sprawdził, czy zmieści się w otworze, i okazało się, że nie ma o tym mowy. Przesunął więc płytę częściowo, położył włócznię nad otworem, po czym przełożył złożoną na pół linę, jeden koniec przywiązał do sworznia, drugi przeplótł przez oczka klucza zjazdowego i wśliznął się w ciemność wychodka, wciskając się w szczelinę obok płyty. Zaraz pod spodem zablokował klucz, rozparł się grzbietem i nogami w ciasnym kominie, po czym przesunął płytę nad głową na miejsce i spokojnie zjechał w dół. Na odpowiedniej wysokości odbił się nogą od ściany i trafił w ciasny otwór prowadzący do łaźni piętro niżej. Tam szarpnął drugi koniec liny, wyrywając sworzeń, i wsunął dłoń do kanału, by chwycić złożoną spadającą włócznię, zanim rąbnie o kamienie i narobi hałasu.

Jego ludzie siedzieli lub kucali pod ścianami, czekając cierpliwie w mroku.

Drakkainen przysiadł na częściowo rozkutym i rozbitym sedesie, zwijając linę w porządną, ciasną buchtę, i dyszał ciężko.

– Ma ktoś wodę? – zapytał.

Pomieszczenia na dole miały inny rozkład niż piętro wyżej, ale tym razem nie znaleźli żadnych pułapek. I tak wchodził jako pierwszy, ostrożnie, lustrując wszystko swoim pałającym okiem.

Pośrodku stał stół, inny niż piętro wyżej, kamienny i masywny, który najwyraźniej wyrósł z podłogi razem z całą komnatą, pod ścianą był też kominek i wszędzie wokół prowizoryczne półki pozbijane z nieheblowanych desek, zastawione glinianymi i szklanymi naczyniami, z boku na stojaku z umieszczonym poziomo drągiem wisiały rzędem ubrania, z haków wbitych w półki zwieszały się pęki ziół i wodorostów. Wszystko razem przypominało pracownię alchemika albo aptekarza. W powietrzu unosił się swąd spalenizny zmieszany z ciężkim zapachem ziół, kadzideł, a także jakby octu i karbidu. Wokół niektórych naczyń widział poblask i wijące się leniwie smugi zaklęć, ale nic nie jarzyło się ostrzegawczą rubinową czerwienią.

– Rozejrzyjmy się – rzucił Vuko. – Każdą rzecz, którą bierzecie do ręki, odkładajcie dokładnie w to samo miejsce.

Popiół w kominie był zimny, ale gdzieś w głębi paleniska wyczuwało się jeszcze leciutkie, szczątkowe ciepło. Ogień wygasł pewnie z dobę temu.

Drakkainen podejrzliwie obejrzał stojące przy stole siedzisko, zwykłe drewniane karło, a kiedy usiadł ostrożnie, obmacał blat stołu od spodu, potem ukląkł, potrząsając świetlną kulą, i zlustrował je jeszcze raz.

Na blacie stała metalowa puszka z knotem, kojarząca się z palnikiem albo przenośną kuchenką, drewniane pudełko z zaostrzonymi ukośnie trzcinkami, noszącymi ślady jakiegoś tuszu, ceramiczne miseczki, podobny porcelanowy moździerz z tłuczkiem, kilka butli i słojów z grubego szkła, żelazne szczypce, ukradzione chyba kowalowi, misa pełna tajemniczych grudek i kawałków jakichś minerałów, mały miedziany alembik, wąski, ostry sztylet – jak to na biurku.

– Ubrania nie za piękne – zawyrokował Spalle, unosząc połę poplamionego i przetartego gdzieniegdzie sukiennego płaszcza.

– Takie mają być – odparł Drakkainen. – To przebrania. Pewnie znajdziesz też jaskrawe, które z kolei mają przyciągać uwagę. Potem wystarczy je zrzucić i już go nie zauważysz w tłumie.

Wśród płaszczy i okryć znajdowały się najróżniejsze, w rozmaitym stopniu zużycia, bogatsze i biedniejsze, ale wszystkie były pozbawione jakichkolwiek charakterystycznych elementów, żadnych wymyślnych ozdób, wyszywań i haftów. Korzystając ze zgromadzonej tu garderoby, dałoby się przebrać za kupca, portowego oberwańca, typowego wojownika Wybrzeża albo oblec w cudzoziemskie szaty należące do przedstawicieli bliżej nieznanych narodów.

W rogu pomieszczenia w prostej drewnianej skrzyni leżały trzy komplety ubrań zamkowych strażników wraz z kapalinami, pasami i tunikami ze znakiem drzewa.

– Uważajcie z tymi słojami. Większość tego, co tu leży, to trucizny lub jakieś oszałamiające substancje – zawyrokował Vuko, ostrożnie wąchając zawartość butelki zatkanej szklanym korkiem. – Albo mamy tu truciciela, albo to wyjątkowo żądny przygód narkoman.

Stojący z boku kolejny regał – stelaż z powiązanych rzemieniami kijów, z półkami z desek – najwyraźniej przeznaczono na broń, ale nie było tego wiele i wyglądała niepozornie. Znów kilka słojów z gęstą brunatną

substancją o konsystencji miodu, rozwijany skórzany pokrowiec z rzędem niewielkich sztyletów do rzucania, każdy z ostrzem zaopatrzonym w zbrocze, upapranym tą samą lepką mazią, komplet wąskich jak igły grotów strzał oraz płaskich, liściowatych, o paskudnie ponacinanej głęboko powierzchni, chyba po to, by łamały się w ranie, podobne do kukri narzędzie z rękojeścią owiniętą rzemieniem, ale o ostrzu dziwacznego kształtu, pełnym odrostów, haków i kolców.

– Jeden z jego ludzi, tam, w domu Wędzonego Ulle, wyszedł na mnie z takim czymś – stwierdził Vuko.

– A laska leżąca na górze jest podobna do tego kija z ukrytymi ostrzami, który nosi Fyalar – zauważył Grunaldi, wskazując tyczkę z wygładzonego ciemnego drewna, okutą w kilku miejscach mosiężnymi pierścieniami.

– On to nazywa „kijem szpiega” – podsumował Drakkainen. – Jakby jeszcze komuś brakowało dowodów, z kim mamy do czynienia.

Podszedł do jednej z półek, obmacał dokładnie konstrukcję, zatrząsł nią, a potem zaczął ostukiwać tępym grzbietem noża.

– Czego szukasz? – zainteresował się Spalle.

– Nie wiem – odparł Drakkainen. – Jak znajdę, to się dowiem.

Przykucnął, lustrując spodnie powierzchnie desek pełniących rolę półek, obmacał szwy płaszczy wiszących na drągu, ostukał karło, tarmosząc za różne elementy. Noga jednego z regałów z półkami go zastanowiła. Nie spodobał mu się dźwięk, jaki wydawała przy ostukiwaniu, a do tego stanowiąca ją żerdź była wyraźnie grubsza niż pozostałe. Regały zbudowano z połączonych zaciosami i powiązanych rzemieniem tyczek, tworzących coś w rodzaju dwóch zwężających się u góry drabin. Pomiędzy nimi, oparte o niby-szczeble, stały półki z desek, nadając konstrukcji sztywność. Vuko kazał dwóm swoim ludziom przytrzymać regał, a sam ukląkł przy wsporniku, manipulując nim i ostukując nożem.

– Hop! – powiedział znienacka i odłączył fragment „nóżki”, który okazał się ukośnie przecięty i pusty w środku jak bambus. Dał się zdemontować, ale regał nie wykazywał skłonności do przewracania się, być może pozostałe zostały dociążone.

Wewnątrz drewnianego pojemnika znajdowały się ciasno zwinięte rulony papieru, podobnego trochę do kalki kreślarskiej, a trochę do papieru ryżowego.

Część była czysta, po prostu zostawiona na zapas. Być może miał jakieś szczególne właściwości, a być może tu, w dolnych dzielnicach, to nie był łatwy do kupienia i popularny towar. Kilka arkuszy jednak pokrytych było drobnym, starannym pismem, stawianym nieznanymi Drakkainenowi literami. Znalazł też rysunek, plątaninę cienkich jak włos linii, w którym zobaczył fragment twierdzy z lotu ptaka, upstrzony makiem objaśnień tymi samymi znakami składającymi się z półksiężyców, kółek i haczyków. Oraz kilka całkiem udatnych szkiców przedstawiających umocnienia portowe wraz ze schematem mechanizmów przekładni unoszących łańcuch zamykający wejście do portu albo jakieś najeżone kolcami wysięgniki.

Ułożył je na stole w takiej kolejności, w jakiej znajdowały się w rulonie, po czym przycisnął różnymi przedmiotami, żeby nie zwijały się z powrotem.

Spojrzał jeszcze do wnętrza nakładki, zmarszczył brwi, potrząsnął, po czym odwrócił ją i stuknął o blat. Z wnętrza wypadł złocisty krążek wielkości mniej więcej tekturowej podstawki pod kufel. Był płaski, wycięty z czegoś podobnego do mosiądzu, składał się z trzech koncentrycznych kręgów, jednego w drugim, pokrytych drobnymi znakami tajemniczych alfabetów.

– To złoto? – zainteresował się Grunaldi, spoglądając krytycznie znad rozłożonych na blacie zwojów.

– To jest lepsze od złota – zawyrokował Drakkainen, obracając swoje znalezisko w dłoni i przekręcając tarcze. – To urządzenie szyfrujące. – Spojrzał na ich twarze i westchnął. – Pozwala zapisać wiadomość tajemnymi znakami, których nie odczyta nikt, tylko ten, kto ma takie coś i umie tego używać.

– A po co? Kto umie czytać cudzoziemskie znaki? Nawet nasze nie każdy zna.

– Są tacy, co umieją. A on chce mieć pewność, że to, co zapisał, dotrze tylko do tego, co trzeba – odpowiedział Drakkainen, nie czując się na siłach tłumaczyć zawiłości działania wywiadu.

Położył klucz szyfrujący na blacie, nakrył jednym z czystych arkuszy papieru, a potem sięgnął po pałeczkę suchego tuszu i zaczął ostrożnymi ruchami wcierać barwnik w papier, przesuwając płasko rysik.

– A teraz co się dzieje?

– Teraz robię kopię. Na papierze będzie dokładny odcisk i po powrocie zrobimy sobie takie samo kółko. W ten sposób, jeśli przechwycimy jego listy, będziemy mogli je przeczytać.

– A po co, skoro będziemy już je mieli?

– Bo je przeczytamy i poślemy dalej, tam, gdzie miały pójść, matołku – wyjaśnił Grunaldi. – Będzie tam napisane, że wychodzisz do wychodka zawsze o wschodzie słońca, i tak też tamci będą sądzić, kiedy się na ciebie zaczają. Ale ty będziesz wiedział, kiedy przyjdą, i jeszcze wcześniej zaczaisz się na nich.

– Później – powiedział Drakkainen, oglądając krytycznie swoje dzieło. – Później mu to wyjaśnisz. Rozejrzyjcie się i szukajcie dalej, ale nic nie mówcie. Teraz muszę chwilę posiedzieć w ciszy.

Sprawdził jeszcze raz karło, szczególnie pod kątem jakichś ostrych, zatrutych niespodzianek, przycisnął je nogą, wreszcie usiadł ostrożnie, położył ręce na kamiennym blacie i spojrzał na rozłożone przed nim arkusze.

– Kiedyś to umiałem, *da piczki materi* – mruknął. – Cyfral, muszę to skopiować. Zapamiętać, sfotografować na siatkówce, cokolwiek.

– To pójdzie łatwiej, bo masz magiczny pył w oku, a nie chcesz manipulować zewnętrzną materią. Skup się i zachciej tego jak najprecyzyjniej, a na koniec zaklnij.

Siedział przez chwilę z zamkniętymi oczami, wparty dłońmi w krawędź blatu, oddychając rytmicznie, a potem otworzył pałające rubinowo oko i westchnął, widząc stół obramowany przez wyświetlający mu się ozdobny panel.

– Dobra. Jedziemy. *Jäljennös... perkele kopio!*

Najpierw wpatrywał się po prostu w rozłożony arkusz, usiłując zapamiętać obraz tego, co widział, czysto graficznie, jako kształty, tak jak go uczono. Przebiegał okiem wzdłuż kartek, systematycznie od lewej do prawej i z dołu do góry, jakby jego wzrok był głowicą skanera, ale nie poczuł niczego i wcale nie miał wrażenia, że pamięta obraz, na który się gapi, a szczególnie nie wydawało mu się, żeby potrafił cokolwiek z niego odtworzyć za dwie godziny.

Kiedy tak patrzył bezradnie na strony upstrzone plątaniną brązowawych, przypominających zakrzepłą krew cienkich linii oraz rzędami obcych, abstrakcyjnych znaczków, papier w miejscu, gdzie patrzył, nagle

pociemniał, jak trzymany nad płomieniem. Vuko zesztywniał z przerażenia, patrząc, jak ciemna plama rozszerza się, otoczona nieregularnym wianuszkiem pełgających czerwonych iskier, i powoli, ale systematycznie rozlewa na całą kartę, a wszystkie hieroglify i linie zaczynają płonąć jaskrawą czerwienią, jakby rozżarzył się atrament.

Nitj'sefni zaklął bezradnie, widząc, jak plama sadzy pożera kolejną kartę, zapalając rozjarzone nici żaru w miejscach, gdzie zaostrzona trzcinka pozostawiła ślady tuszu.

Zamknął oko i nagle zobaczył na wewnętrznej stronie powieki obie leżące obok siebie karty pokryte płonącym wzorem, jak wypalony na siatkówce powidok.

Spojrzał na stół, obie kartki znów były kredowe, pokryte makiem sepiowych znaków i linii. Po zwęgleniu nie zostało ani śladu.

– Jasne – powiedział. – Nakładka graficzna. Kiedyś wpadnę pod jakąś katapultę przez takie numery.

Znów zamknął powiekę. Ślad na siatkówce zrobił się zielony i zaczął się już rozmywać, ale Vuko nagle był pewien, że pamięta każdą linię rysunku i każdy znak. Wystarczy, że weźmie kartkę i cokolwiek do pisania, a odtworzy wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Schował za pazuchę zwinięty starannie odrys szyfrującego kółka, a potem odłożył karty na miejsce i kazał sprzątać.

Po paru minutach gorączkowej krzątaniny komnata wyglądała dokładnie tak jak wtedy, gdy do niej weszli.

Vuko zlustrował każdy szczegół po kilka razy, sprawdził wzajemne położenie wszystkich przedmiotów na półkach, każdego mebla, ostrożnie usunął z blatu każde ziarno węglowego pyłu. Wydawało się, że pokój wygląda jak przed ich wizytą, ale i tak miał złe przeczucia.

Wystarczył drobiazg – niewidoczna nić, którą zerwali, włos położony na przedmiocie, który wzięli do ręki, a jeszcze pozostawał skradziony arkusz papieru, którego nie miał czym zastąpić. Szkarłat, o ile to był on, wyglądał na wyjątkowo przebiegłego i skrupulatnego sukinsyna.

Przeszli do następnego pomieszczenia, gdzie znów do znudzenia sprawdzali drzwi, podłogi i każdy zakamarek, ale pusty pokój pełnił rolę składu. Piętrzyło się tam trochę drewnianych skrzynek i koszy, głównie z ziarnem, bulwami i jakimiś suszonymi warzywami, oraz szklane słoje tajemniczych ciekłych substancji. Z pomieszczenia wychodziło się przez

drzwi zamykane na prosty skrzynkowy zamek, który Drakkainen otworzył, a potem zamknął wytrychem bez większego problemu. Wyjście prowadziło tym razem na krużganek od strony wewnętrznego dziedzińca.

Deszcz ustał, lecz nadal wiało i było ciemno. Tylko w górze, na mrocznym niebie, majaczyły przesuwające się obłoki, ciemne w ciemności, acz wyczuwalne, jak złe przeczucia.

Tropiąca kula sunęła niespiesznie wzdłuż krużganka, zataczając się zakosami i zatrzymując, jakby węszyła, a za nią bezgłośnie przemykały niewyraźne sylwetki, jak strzępy cienia.

Przy każdym narożniku krużganek opadał kilkoma długimi stopniami w dół, więc po paru okrążeniach dziedzińca zeszli w końcu na ostatni poziom i stanęli przy wznoszącej się pośrodku kamiennej studni.

Pod ścianami zalegały hałdy topniejącego śniegu, woda sączyła się z dachów i ciurkała z rzygaczy, a potem toczyła się czterema rynsztokami i znikała z pluskiem pod kamienną płytą pokrytą otworami.

Marker potoczył się w tamtą stronę i zatrzymał, a potem zaczął zataczać kręgi wokół ścieku, jakby domagał się otwarcia kratki.

– Przyjdzie zmoknąć – mruknął Drakkainen, sięgając po swoje teleskopowe drzewce, i wyciągnął na ślepo dłoń do Osta. – Ostrze poprzeczne – bąknął pod nosem.

Osłona ścieku wyrosła razem z całym zamkiem, idealnie pasująca do otworu, połączona z nim tylko cienką bazaltową błonką, jak plastikowa wylewka. Tutaj jednak kamienna pępowina została skruszona – ktoś już kiedyś otwierał klapę, a sądząc po zadrapaniach na kamieniu, robił to nie raz.

Ostrze umocowane do drzewca, upodobniające go do kilofa, weszło w jeden z otworów wentylacyjnych na włazie i podważyło. Kamień zazgrzytał, ale uniósł się i przesunął bez większego oporu.

– Jak ja żyłem przed wynalezieniem tego sprzętu? – mruknął Vuko pod nosem. – Powiedzmy: „Taktyczna Wajcha Drakkainena”.

Wrzucił do wnętrza kanału kilka świetlnych kul i przykucnął nad dziurą.

Przepust był owalny, pokryty gładkim bazaltem i ciągnął się prosto gdzieś w ciemność. Środkiem kanału wartko płynęła woda, ale na razie tylko tam. Gdy roztopy przybiorą na sile, woda wypełni cały przepust, ale do tego było jeszcze daleko. Płonąca mroczną czerwienią jak iskra w smole

kula tropiąca obiegła odsuniętą klapę i spadła w głąb kanału, a potem potoczyła się gdzieś dalej.

Drakkainen trącił kciukiem zatrzask ostrza i skoczył w dół. Przypadł od razu w niskiej pozycji, wysuwając miecz do połowy, ale podziemny korytarz okazał się pusty.

Spojrzał do góry, na wianuszek czujnych twarzy wokół otworu, ledwie majaczący w ciemnościach, podmalowany zielonkawym blaskiem świecących kul, i zasygnalizował: „Za mną, szyk ubezpieczony, usunąć ślady”.

Ruszył dalej, zatrzymując się tylko przy kulach, które posyłał kopniakami wzdłuż kanału. Marker czekał na niego kilkanaście metrów dalej, wibrując niecierpliwie.

Za plecami usłyszał cichy zgrzyt zasuwanej klapy, a potem czujne kroki wielu miękkich podeszew. W tle cały czas rozbrzmiewała wodna muzyka podziemi. Zwielokrotniona echem symfonia chlupotu, plusku i kryształowych tonów pojedynczych kropel. Światło kul malowało na suficie mozaikę rozedrganych zielonkawych poblasków.

Kanały prowadziły zgodnie z jakąś podstawową myślą, towarzysząc zabudowie grodu, wzdłuż ulic i zaułków, ale ich chaotyczna natura wywołana przez tajemniczy biogeologiczny paradygmat zaklęcia brała górę i pojawiały się rozgałęzienia, mniejsze i większe, w których trudno było doszukiwać się urbanistycznej logiki. Koniec końców szli niczym wewnątrz gigantycznego systemu krwionośnego, w którym dawno by się zgubili, gdyby nie fosforyzujące znaki na ścianach pozostawiane przez idącego na końcu Głoga oraz tocząca się przed nimi, płonąca czerwienią kula tropiąca.

Marsz odbywał się z ciągiem taktycznych rytuałów wymuszonych szkoleniem. Najpierw toczył się marker, za nim w korytarz wpadały oświetlające kule, potem wchodził Drakkainen wypatrujący pułapek, potykaczy, tajemniczych dzbanów pulsujących złowrogą magią, następnie jeden człowiek z kuszą i drugi z jedyną tarczą, którą dotąd nosił na plecach, potem reszta, a na końcu jeden łucznik i Głóg ze swoją kredą znaczący drogę powrotną. Przy rozgałęzieniach kula czasem marudziła, tocząc się pomiędzy różnymi odnogami, albo kręciła się w kółko, ale wystarczyło dać jej trochę czasu i wtedy wybierała szlak według sobie tylko znanych kryteriów.

Kiedy dotarli do skrzyżowania dwóch równie wielkich kanałów, marker potoczył się prosto, ale Vuko zatrzymał się, unosząc pięść, a potem skręcił ostrożnie w bok, unosząc w dłoni jedną ze świetlnych kul.

– Nie idziemy za tamtą? – upewnił się cicho Grunaldi.

– Ktoś tędy chodził – odparł półgłosem Drakkainen, unosząc światło. – Często.

Znak na ścianie wykonany po prostu kopciem z kaganka lub pochodni z grubsza przypominał znane im już złowrogie Podziemne Łono. Vuko przeszedł na drugą stronę skrzyżowania i w głębi kanału znalazł kolejny, a potem jeszcze jeden, tym razem dokładniejszy, wykonany czerwonawym, tłustym barwnikiem, prawdopodobnie nałożonym palcami. A potem znane już strzałki i zygzaki run Sonermanna-Veigla: „Ogień nadejdzie z morza”.

– Znaki są pewnie wzdłuż całego tego kanału – mruknął Drakkainen, pocierając w zamyśleniu podbródek palcami. – A jednak nasza kula nie zwraca na to uwagi, tylko przecina go i idzie przed siebie. Ciekawe...

Spojrzał na swoich ludzi skulonych wzdłuż ścian, łypiących na niego spod kapturów w spokojnym wyczekiwaniu.

– Dobra – zawyrokował w końcu. – Idziemy za kulą. Na razie się sprawdzała. Te znaki nie znikną ze ścian. Zawsze można tutaj wrócić.

Ruszyli z powrotem do głównego korytarza, gdzie marker czekał na nich, wibrując na bazaltowej podłodze z rozpalającym się i przygasającym na przemian wewnętrznym światłem.

– Zasuwaj, Fafik – cmoknął na niego Drakkainen.

Woda ciurkająca dnem kanału płynęła teraz o wiele raźniej i towarzyszył jej głośniejszy plusk. Korytarz zakręcił wyraźnie i wyczuwalnie biegł pod górę.

– Teraz zmierzamy w tę samą stronę co tamten oznakowany korytarz, tylko że jesteśmy wyżej i trochę z boku – oznajmił cicho.

– Ja wiem tylko, że jestem pod ziemią – nie wytrzymał Spalle. – Nienawidzę tego.

– Później nam o tym opowiesz.

Rozbrzmiewające w podziemiu wodne odgłosy zmieniły charakter, stały się głośniejsze, wyrazistsze, jakby katedralne. Korytarz skręcił w prawo, wznosząc się jeszcze bardziej stromo. Drakkainen pozbierał świetlne kule, bo i tak staczały mu się z powrotem pod nogi, i szedł, trzymając jedną w zaciśniętej dłoni, skierowaną do przodu jak latarkę.

Za rogiem kazał im się zatrzymać i sam przytulił się do ściany, a potem wyjrzał ostrożnie i zasygnalizował: „Pomieszczenie, wchodzimy”.

Rozjarzone zielenią kule poleciały do środka jedna za drugą jak granaty, jednak Vuko nagle uniósł pięść, każąc swoim ludziom zastygnąć w bezruchu, a sam prześliznął się pod chytrze rozpiętą w poprzek wejścia nicią i przestąpił nad kolejnym potykaczem.

Górny napięty miedziany drut prowadził tradycyjnie do umieszczonego na skalnej półce glinianego dzbana, który musiałby stłuc się u stóp intruza i uwolnić zawartość zamkniętą pod zatyczką, dodatkowo przytrzymaną oplotem drutu, niczym korek szampana. Zawartość, która wydawała ciche szeleszczące odgłosy i dźwięk przypominający jakby delikatne drapanie.

Dolny potykacz prowadził do zawleczki tkwiącej w drewnianej konstrukcji ustawionej na lewo od wejścia. Wewnątrz zauważył gruby jak ramię pionowy walec skręconych lin i tkwiącą w nim okutą żerdź najeżoną żelaznymi ostrzami. Obie linki można było rozbroić, ostrożnie zdejmując oczka na ich końcach z wbitych w ścianę haków. Więcej zabezpieczeń przy wejściu Vuko nie znalazł.

Komorę tworzyła naturalna jaskinia. Nie komnata, nie piwnica ani żadne pomieszczenie o możliwym do przewidzenia zastosowaniu, ale zwyczajna pieczara, być może starsza niż sam zamek, o nieregularnej podłodze pełnej skał i z sufitem najeżonym wapiennymi naciekami.

Gdzieś pluskała, kapała i chlupotała woda, wypełniając powietrze symfonią ech. Powietrze było zimne, wilgotne i zalatywało podziemnym, siarkowo-mineralnym oddechem uśpionego wulkanu oraz jakimś uporczywym, nieznośnym odorem. Ostrym i przykro znajomym.

Kula tropiąca kręciła się niezdecydowanie na podłożu, jak zabawka, która nie może wydostać się z kąta.

– Coś tu musi być – mruknął Drakkainen.

Powiódł po jaskini swoim pałającym wzrokiem, usiłując dostrzec cokolwiek szczególnego, ale znalazł tylko słabe ślady użycia magii, rozproszone i nic niemówiące, jakieś rozbryzgi na ścianach, odciski dłoni na powierzchni skał, maźnięcia i zacieki. Może doszło tu do magicznej potyczki, a może po prostu przeszedł się tędy ktoś, kto przedtem miał jakiś napromieniowany magią artefakt w rękach i zostawił resztki pyłu na tym, czego dotknął. Co gorsza, leżące wśród skał i kamieni świetlne kule słabo radziły sobie w nieregularnym, najeżonym stalaktytami i głazami

pomieszczeniu, wszędzie nasiało się dziwacznych ruchomych cieni i poblasków na biało-rudych zaciekach. Dla kogoś z jednym czynnym okiem był to koszmar. Przemknęło mu przez głowę, że zaraz powybija tu zęby.

Pewnie dlatego nie od razu go zobaczył.

Najpierw dostrzegł kątem oka ruch. Zmianę układu cieni i poblasków wśród ścian. A potem w chaosie błysków i plam mroku zauważył unoszącą się pod stropem sylwetkę. Niewyraźną, utkaną z mgły, oparu i bladych bagiennych poblasków, zwieńczoną potworną rogatą głową, z płonącymi zielenią ślepiami i oleistym błyskiem na krzywej palisadzie wyszczerzonych zębów.

Kiedyś odruchowo usiłował uczyć swoich zwiadowców określeń kierunków na podstawie tarczy zegara. Tych wszystkich „na czwartej, na dwunastej”, ale pomysł rozbił się natychmiast o barierę kulturową. Nie ogarniali tego totalnie, próbowali uczyć się mechanicznie, myląc się raz za razem. I nawet nie chodziło o tarczę zegara, która z niczym nie mogła im się kojarzyć, ale o to, że w ogóle nie zwykli myśleć w kategoriach liczbowych. Niektórzy wyczuwali położenie stron świata jak jaskółki, a inni nie, i nie było w tym żadnej reguły. Nawet pojęcia „lewo” i „prawo”, które przecież znali, nie miały dla nich większego znaczenia. Wtedy dał spokój i postawił na instynkt.

Dlatego teraz też wrzasnął tylko:

– Wróg! Przede mną, pod stropem! – Sam już przeskakując skałę i dobywając miecza, ale zareagowali prawidłowo. Kiedy łapał równowagę między skałami, lustrując kołyszącego się nad jego głową demona, miał już dwóch strzelców po bokach i chronione plecy.

Potwór nie zareagował jednak, nadal unosił się metr nad nimi, tocząc fosforycznym wzrokiem znad zębatej paszczy pod koroną zakrzywionych rogów, powiewając resztą ciała, jak unosząca się w wodzie meduza.

– Kusza, strzała w gardło – wycedził Drakkainen.

Cięciwa spadła z hukiem ogłuszającym w zamkniętej przestrzeni, bełt trzasnął gdzieś o kamienie, ale poza tym nic się nie wydarzyło. Tylko z tyłu rozległ się potrójny terkot zębatki lewara.

Vuko zlustrował otoczenie potwora, przekręcając po ptasiemu głowę, po czym zeskoczył ze skały, chowając miecz.

– Bezpiecznie – rzucił. – To kukła. Pusta, wisząca w jaskini kukła.

– Nawet nie to – odparł ktoś z tyłu. – To jakby płaszcz z nadzianym na wierzch łbem.

Vuko zatrzymał się nagle, oparł dłoń o skałę i zamarł na moment ze zwieszoną głową, przyciskając dłonie do powiek i szczerząc zęby.

– Co się dzieje? – zapytał Grunaldi rzeczowo.

– Nic... – wysyczał. – To ten magiczny pył, który mam w oku. Niedługo trzeba będzie stąd wyjść...

Potrząsnął głową jak bokser, a potem się wyprostował.

Kiedy przynieśli z pozostałych kątów jaskini świetlne kule i pobudzili je do żywszego działania, okazało się, że maszkara wisi nad głęboką szczeliną prowadzącą gdzieś w mrok.

Drakkainen obszedł wyrwę ostrożnie i uniósł trzymaną w dłoni kulę.

– No pięknie! – powiedział, oświetlając drewniany stelaż z umieszczonymi po bokach przekładniami. Przez chwilę lustrował urządzenie, po czym ostrożnie zdjął zapadkę i obrócił kilka razy korbą. Potwór wiszący u stropu zjechał płynnie w dół i zatrzymał się przed ich twarzami, powiewając strzępami muślinu, kołysząc się nad dziurą. Zwiadowca założył zapadkę i słychać było, że krząta się w ciemnościach. Po chwili wynurzył się, trzymając niewielki gliniany garnek.

– Ostrożnie...

– To nie jest żadna z tamtych pułapek – wyjaśnił im. – Czuję, że nie zawiera niczego magicznego. To tłuszcz... – powąchał ostrożnie palce i odsunął dłoń poza zasięg światła kuli – z fosforem.

– Z czym?

– Jest taki proszek, który świeci w mroku. Ta maska jest tym upaćkana, dlatego świeci.

Wyciągnął ostrożnie swoją składaną włócznię i delikatnie rozsunął zwisające pod maską pasy zwiewnej tkaniny, odsłaniając uprząż z szerokich skórzanych pasów.

– Ktoś to zakłada, a potem opuszcza się do tej szczeliny. Dlaczego?

Wstrząsnął solidnie jedną ze swoich kul i wrzucił ją do otworu. Słychać było, jak spada na coś twardego, a potem toczy się i podskakuje, wzbijając na dole uparte echo, huczące wśród ścian. Ale nie poleciała daleko.

– Pięć metrów, nie głębiej – zawyrokował Drakkainen, zaglądając za kulą. – Zobaczmy, co tu jeszcze mamy. Oset, Spalle, poszukajcie naszego bełtu.

– Słyszałeś, co powiedział – mruknął Grunaldi.

Z tyłu za szczeliną i stojącym nad nią stelażem z wyciągarką Vuko znalazł jeszcze drewniane pudełko pełne jakichś szarych odłamków przypominających połamaną kredę oraz dwie rury z miedzianej blachy, wystające z podłoża. Jedna była krótsza i szersza, kończyła się na wysokości kolan, a druga miała grubość szyjki butelki, wznosiła się na wysokość twarzy, po czym zaginała do przodu i kończyła blaszanym rozszerzeniem. Wyciągnął ostrożnie rękę i pstryknął w mosiężną blachę. Ponury brzęczący dźwięk przetoczył się gdzieś w głębi rozpadliny.

– Karbid i szprechrura – oznajmił Drakkainen zagadkowo. – Powiedzmy: nagłośnienie i efekty specjalne. Zwijajmy się stąd. Pozbierajcie kule. Jak z tym bełtem?

– Rozleciał się – wyjaśnił Oset ze skruchą. – Trochę mamy.

Uzbroili pułapki przy wejściu, po czym wrócili tym samym korytarzem do skrzyżowania i teraz poszli tak, jak prowadziły napisy na ścianach.

Korytarz kierował się wyraźnie w dół. Ściany upstrzono napisami w kilku językach, a bazaltową podłogę znaczyły brązowe rozbryzgi i ślady gęstych kropel. Zdarzały się też ślady rozmaitych podeszew. Odciski błota, gliny i brązowawej cieczy, która kapała niegdyś na podłoże. Vuko przyklęknął i roztarł brud na palcach.

– Szli tędy, krwawiąc – powiedział bez zdziwienia. – Powłóczyli nogami, niektórych wleczono. Ale większość szła spokojnie i raczej w sporych grupach. Kilka dni temu i pewnie też wcześniej, ale wtedy się ociepliło i kanał został przelany wodą.

Korytarz kończył się cysterną – okrągłym pomieszczeniem z wylotami kilku kanałów, które na wprost otwierało się na naturalną pieczarę, być może dolne piętro tej, w której byli kwadrans wcześniej.

Po ścianach i rdzawo-białych stalaktytach toczyła się woda zbierająca się w naturalnych basenikach przypominających półkoliste muszle, ułożone symetrycznie jak płatki kwiatu. Pośrodku znajdował się wielki niegdyś wapienny twór, pewnie górujący nad jaskinią, ale ucięto go metr nad podłożem, tworząc coś w rodzaju gładkiego, nieregularnego stołu o blacie pokrytym skomplikowanym rysunkiem mineralnych warstw, co dodatkowo upodabniało go do pnia pozostałego po potężnym drzewie. Kawałek za stołem wyrastał następny stalagmit, nieco mniejszy, ale tego nie obcinano, a zamiast tego zmieniono w trochę bezkształtny posąg kucającej grubej

olbrzymki z rozchylonymi kolanami i wyciągniętymi do przodu ramionami, które najwyraźniej wyrzeźbiono z osobnych kawałków kamienia i przymocowano. Wszystko to było krzywe, wapienna skała słabo nadawała się do obróbki, a do tego kamieniarzowi nie wystarczało talentu, choć bardzo się starał.

Prócz tego śmierdziało tu przeraźliwie i znacznie gorzej niż w komorze powyżej.

Drakkainen rozstawił na stole świecące kule, kolejne ułożył w kaskadowych wapiennych basenikach i oświetliwszy całość jak się dało, cofnął się trochę i zlustrował wszystko swoim jedynym okiem, znów przekręcając głowę na boki jak struś. A potem zrobił kilka kroków w tył i zamarł.

Rzeźbiarz pracowicie wyciukał słabo człekokształtną pałubę, ale wystarczyło. Jeśli się oświetliło posąg, to w jaskiniowym półmroku wapienna powierzchnia skały, stale pokryta warstewką wody, zmieniała się w lśniące sine ciało, zerodowane i bezkształtne fragmenty potworniały nagle grą cieni, a jednocześnie wzrok rozpaczliwie porządkował chaos, rozpoznając w nim rozchylone nogi, pomarszczone piersi, oczy jak jamy i wyszczerzoną paszczę, a przede wszystkim wyciągnięte zaborczo sękate i powykręcane ręce. Jeśli oświetlali to żywym ogniem kaganków, lamp i pochodni, to posąg pewnie wydawał się poruszać, oddychać i żyć w pełgającym i chybotliwym świetle płomieni.

Za plecami usłyszał cichy metaliczny trzask, rozejrzał się i stwierdził, że jego ludzie dopiero się prostują i chowają już do połowy wydobyte ostrza, rozluźniają ramiona i zaczynają normalnie oddychać. Ktoś rozkaszlał się, wciągając cuchnące powietrze, i splunął.

– To miejsce kultu – wyjaśnił Ulf krótko. – Mamy amistrandzki chram pośrodku własnej twierdzy, panowie. Posąg bogini i ołtarz ofiarny.

Sięgnął po jedną z kul i potrząsnął energicznie, a kiedy zapłonęła jaskrawym światłem, uniósł ją wyżej, oświetlając dokładnie posąg.

– Wszystko jasne – zawyrokował. – Jesteśmy dokładnie pod tamtą salą i szczeliną.

Obszedł dookoła ołtarz i w kilku miejscach przykucnął, lustrując go z boku.

– Tak jak sądziłem – rzucił przemądrzałym tonem. – Cztery żelazne haki i wyżłobienia w blacie.

– Stąd ten smród – zauważył Njorvin ponuro. – Z tego, co wiem o cudzoziemskich bogach...

Drakkainen odszedł w głąb jaskini i oświetlił mroczną jamę pod ścianą, a potem odwrócił się gwałtownie, kaszląc.

– Smród idzie stamtąd – oznajmił. – Kolejna rozpadlina. I zdaje się, też nieszczególnie głęboka.

– Wielu?

– Przynajmniej kilku. Dziesięcioro, może więcej – odpowiedział Vuko. – Nie za dobrze widać.

– Co robimy?

– Wynosimy się stąd. A potem opracowujemy plan.

– Wracamy tą samą drogą?

– A po co mielibyśmy wracać do Kawern? Na górę kanałem i do jakiejkolwiek bramy w murze, do którejś czynnej dzielnicy, w stronę Górnego Zamku albo na koronę muru. To nasza twierdza. My się tu nie musimy ukrywać. Byle nie zobaczył nas nikt z tamtych, ale teraz ich tu nie ma i jest noc. Znikniemy tak, jak się pojawiliśmy. Niepostrzeżenie.

– Znaleźliśmy coś?

– Tak. Jedną kroplę szkarłatu. A jak jest jedna, to znajdą się i następne. Pojawi się trop.

Rozdział 7

Czas szpiegów

Wąż mieszka w moim sercu,
mam tysiąc imion.
Co dnia w życia kobiercu
tkam nowe linie.

Jestem wrogiem wśród wrogów,
królem bez ziemi,
wybrańcem martwych bogów
i władcą cieni.

Bywam głupcem przebiegłym,
frywolnym herosem.
Będę pieśnią poległych
i ślepym losem.

(Saga o Wojnie Cieni, Kirenen)

Aż do spotkania z mężem, który spadł z gwiazdą, a którego zwali Ulfem Nocnym Wędrowcem, przeżyłem w Kawernach jakieś pół roku, może więcej, i w końcu zacząłem traktować porty, niskie dzielnice, Łasztownię i Kawerny jako swój dom. A jednak po tym czasie mogłem uważać, że właściwie nikt mnie tam nie zna. Kiedy szedłem ulicą, rzadko kogo pozdrawiałem i mnie mało kto zauważał. W Lodowym Ogrodzie było inaczej niż w grodach, które odwiedzałem wcześniej. Wielu z mieszkańców dzielnic dla cudzoziemców noszących znak okrętu na szyi czuło się tam jak na nocnym popasie w czasie wędrówki. Byli tu przez chwilę i zaraz mieli zamiar ruszyć w dalszą drogę, więc nie zwracali większej uwagi na ludzi. Ogród był dla nich miejscem, w którym można zrobić dobre interesy i z którego wraca się do domu z kabzą srebra, a jednocześnie przeklętym uroczyskiem, o którym lepiej nie mówić za wiele. Woleli zachować dla siebie wiedzę o kamiennym mieście za morzem, gdzie można zdobyć majątek, a także bali się, że zostaną uznani za ludzi tkniętych mocą uroczyska, którzy przynoszą pecha.

Kiedy przybyłem do Ogrodu, było późne lato. Potem nastała jesień, a wraz z nią nadciągała pora sztormów i okręty wracały na południe, ku Wybrzeżu Żagli, a wraz z nimi znikali kolejni mieszkańcy Kawern. Im bliżej było zimy, tym więcej statków opuszczało porty, a przybijało już niewiele, zaś ich szyprowie nie mieli ochoty wyruszać w piekło, w jakie zamieniało się Północne Przejście wśród Wysp Ostrogowych, i musieli zostać do wiosny. W gospodach stale pojawiali się nowi ludzie, jedni odpływali, inni przybywali, a każdy pilnował własnych spraw.

To dlatego mogłem pojawić się w Kawernach w nowym przebraniu i z nową historią, z N’Dele u boku, spokojny, że nikt nie będzie mi się naprzykrzał pytaniami. Mogłem uznać, że ten, którego znali jako Fyalara Kamiennego Ognia, zginął kiedyś z ręki Odrzuconych przez Drzewo, a ja nie mam z nim nic wspólnego.

Do Kawern weszliśmy nie przez wieżę bramną prowadzącą do dzielnic Górnego Zamku, z jej płonącym ogniem i kamiennymi, lecz żywymi smokami, ale od strony Kamiennego Targu i portów. Dwóch mężów – Kebiryjczyk i Amitraj.

Chory Kebiryjczyk, wstrząsany dreszczami, idący tak, jakby był stary lub osłabiony, i ponuro wyglądający młody Amitraj, z zadawnioną blizną od ostrza na szczęce i na policzku, o czarnych włosach zaplecionych z tyłu

w warkoczyk weterana, z jednosiecznym jasarganem amitrajskiej piechoty u boku, z żelaznym amuletem dwóch księżyców na piersi obok drewnianego miejskiego z wypalonym znakiem korabia i imieniem: Ardjung. Tak bowiem miejski urzędnik zapisał cudzoziemskie imię Ardżuk. To ja.

Znów Ardżuk Hatarmał. Ale tym razem nie Sindar urzędnik, ale wojownik. Osiemnasty „Morski” tymen z Kangabadu, trzeci binlik, pierwszy binhon, służba – galera „Niezwyciężona Klacz”, łucznik, drugi pokład, prawa burta, tarcza czternasta. Wierny wojenny pies Podziemnej Matki, niech wszystko stanie się jednym.

Wzięty do niewoli na dalekim morzu przez wilczy okręt żeglarzy z Ziemi Niedźwiedzi i sprzedany w niewolę. Uwolniony przez styrsmana Kalgarda Kroczącego z Ogniem za uratowanie życia w napadzie, potem najemnik. Obecnie wściekły, zbuntowany wyznawca Podziemnej, który już słyszał o powrocie Czerwonych Wież w swoim kraju. Obrażony przez miejską religię Ogrodu.

Mistrz Fjollsfinn uwarzył miksturę, po której moje włosy i broda na trzy dni stają się czarno-fioletowe, a rzęsy i brwi wydają się czarne jak węgiel, do tego puchną powieki i nadają inny kształt oczom. Mam ją przy sobie. On i Ulf ukręcili kolejną, którą wymalowali mi tatuaż płaszczki na lewym barku, znak kangabadzkiego tymenu, i czarne pasy na kościach dłoni oraz napięstku, bowiem pochodzę ze stepów pod Sauragarem. Dodali mi bliznę, przesunąwszy przez twarz umoczone w czymś pióro. Wykrzykiwali nade mną imiona bogów, po czym czułem, jakby moje kości przesuwały się w twarzy, a skóra ściągała, zwłaszcza na policzkach i wokół oczu.

A potem spojrzałem w lustro i skamieniałem, bowiem w moje oczy spojrzał obcy Amitraj. Znikły kireneńskie rysy, twarz niby ta sama, ale wyglądała jakoś inaczej. Była inna, ale zdawała mi się tak samo głupia jak przedtem, tyle że jej nie znałem.

Uszyli mi wojskową bluzę w błękitnej barwie osiemnastego tymenu, a potem zmaltretowali tak, że kiedy w końcu ją dostałem, wyglądała, jakby przeszła piekło, po czym została pocerowana i wyprana.

Na targu rybnym znaleźliśmy niewielką tawernę, gdzie kupiłem N’Dele miskę polewki i nakarmiłem go, bo zbyt trzęsły mu się ręce, a sam gniewnie domagałem się dla siebie do picia skwaśniałego mleka lub wody,

czego, rzecz jasna, nie mieli, zjadłem więc tylko kawałek chleba, burcząc i złorzecząc pod nosem.

N’Dele pokornie przyjął kilka łyżek strawy, ale potem odsunął moją dłoń i spróbował sam wypić resztę zupy, lecz ręce i głowa trzęsły mu się tak, że rozlał część na stół.

Kiedy wychodziliśmy, karczmarz spojrzał na mnie przelotnie i odwrócił wzrok, a potem słyszałem, jak cedzi coś z cicha o „parszywych trzebionych południowcach”, kiedy wycierał szmatą stół. Zdaje się, że nawet nie chodziło o rozlaną zupę, ale o pogardę, z jaką odmówiłem jego piwa.

Bywałem tu wcześniej, pijałem piwo i kilka razy zamieniłem parę słów z gospodarzem, który chciał wiedzieć, skąd pochodzę i jakie tam panują obyczaje w sprawach pomiędzy mężami i niewiastami. Wtedy mu nie przeszkadzałem i mówił ze mną uprzejmie. Teraz uważnie patrzyłem na jego twarz i widziałem, że nie tylko mnie nie poznał, ale nawet nie przeszło mu przez głowę, iż kogoś przypominam.

Nitj’sefni nie przesadzał – Kawerny zmieniły się, od czasu kiedy tu mieszkałem. Wszystko niby było takie samo, ale coś wisiało w powietrzu. Może sprawiały to napisy wysmarowane na ścianach, okiennicach i odrzwiach, może dziwna pustka i cisza, może pozamykane drzwi tawern i gospód, ale z jakiegoś powodu, którego nie umiałem nazwać, wydawało mi się, że dzielnica przypomina Maranahar tuż przed buntem.

Oczywiście nie do końca – tu nie było suszy, zarazy ani w ogóle jakiejś szczególnej niedoli. Na ulicach nie leżały trupy. Wzdłuż ulic nadal stały stragany, a za drzwiami tawern tak samo siedzieli ludzie, pijąc, gwarząc i słuchając muzyki. A jednak wszyscy trochę zachowywali się jak ludzie Lśniącej Rosą, kiedy nadeszła zimna mgła, a wraz z nią upiory uroczysk. Wydawali się cichsi, smutni i, jak na Żeglarzy, nieźle wystraszeni.

Nocleg znaleźliśmy bez większego kłopotu, z dala od „Wilczej Gawry” i innych gospód, w których wcześniej mieszkałem. Wystarczyło zapytać w trzech. W pierwszej nie mieli miejsc, w drugiej karczmarz odprawił nas, ledwie na mnie spojrzał, a w trzeciej dostaliśmy podwójną izbę za sześć peningów dziennie. Odegrałem całe przedstawienie, przewracając oczami, targując się, szarpiąc za brodę i złorzecząc, w końcu obniżyłem cenę o jakieś dwa skojce i zapłaciłem za miesiąc z góry. Mówiłem dość topornym językiem, starając się wymawiać słowa z gardłowym pogłosem

i przydechem amitrajskiego, zaś N’Dele w ogóle się nie odzywał, tylko siedział pod ścianą oparty o mój kij szpiega i dygotał jak w febrze.

– Co z nim? – zapytał gospodarz, wskazując głową. – Nie rozniesie jakiejś zarazy?

– Tydzień temu on zdrowy jak ty czy ja – odrzekłem sucho. – My jesteśmy woje do wynajęcia. Słyszeli, że w Ogrodzie biorą najemnika, to poszli. I jego tak pokazili wasze pieśni bogów. On chory przez fałszywa religia Drzewa. Na niego kara, bo jest tylko jedna religia od Podziemna Pramatka, niech wszystko stanie się jednym.

– Mogę ci przysłać znachora – powiedział. – Bierze ledwo szeląga i potrafi każdego postawić na nogi.

– Jemu na nic wasz znachor – warknąłem. – Na nic zioła i proszki. Jego wyleczy słowo od prawdziwej mocy. Dlatego ja szukam prawdziwego kapłana z Południa. On go wyleczy słowami mocy, silniejszymi od te, które go pokaziły. Tu, na Północy, nie ma nic, tylko grzech, chciwość, mróz i ciemność. Gdybyście znali słowa prawdy...

– Posłuchaj, chłopcze – przerwał mi gospodarz. – Przyjmij dobrą radę, to będziesz miał z niej pożytek, przynajmniej dopóki jesteś w kraju Żeglarzy i żyjesz tu, między nami. A u nas jest tak, że każdy wierzy, w co chce, poważa bogów lub nie, powierza im swój los albo stara się, żeby go nie zauważyli. Dopóki nie krzywdzi innych, nikogo to nie ciekawi. Nasi bogowie nie wtrącają się do takich rzeczy, jak to, co jesz, pijesz, mówisz albo jak chcesz żyć. I tym bardziej nie spotkasz tu nikogo, kto pozwoliłby wtrącać się do tego ludziom. Będą go szanować lub nie, ale to ich rzecz. Jeśli zaś chcesz tu pouczać innych, zaglądać im do dzbana i do alkowy, naprzykrzać się, wyklinać i wzywać na nich pomsty demonów, długo nie pożyjesz. Mówię ci to ja, Skafnir Trop na Śniegu. Za młodu opłynąłem świat, bywałem też na Południu i widziałem, jak wygląda twoja prawda i jak postępują u was ludzie kłaniający się waszej bogini. I póki chcesz mieszkać w tej gospodzie, postępuj jak człowiek rozsądny. Rób, co chcesz, ale pilnuj własnych spraw i omijaj cudze, chyba że chodzi o takie rzeczy, jak zabójstwo, kradzież czy napaść. To jest bowiem moja gospoda, a ja nie zniosę tu mądrzącego się Amistrandinga. I nie kiwnę palcem, jeśli ktoś inny rozwali ci łeb, kiedy będziesz zsyłał na niego klątwę jakiegoś swojego bóstwa. Teraz jest wojna bogów i ludzie mogą być w tych sprawach drażliwi, bo nigdy nie wiadomo, kiedy przekleństwo oblecze się w ciało.

Pamiętaj też, że u nas jest prawo, w takich miejscach jak to bywa też władza i po mieście chodzą strażnicy, ale pierwszy wyrok wydaje tu zwykle miecz, który jest szybszy niż prawomówca, nawet jeśli się nie zgadzają.

Wysłuchałem Skafnira cierpliwie i postanowiłem nie przesadzać.

– Z ciebie zacny mąż, chociaż niewierny – oznajmiłem. – A ja zamieszkam pod twoim dachem i dlatego zamknę oczy i uszy na ohydę waszego pękniętego świata, choć Matka nakazuje niszczyć zło w zarodku. Będę między wami jak ten, który śpi i nie widzi niczego.

– Gdybyś był starszy, dużo krócej byśmy rozmawiali – odparł. – Ale przeżyłeś niewiele lat, ja zaś mam synów i córki, dlatego mi cię żal. Sądzę, że z czasem nabierzesz rozsądku, kiedy zobaczysz więcej niż dotąd i kiedy zapomnisz trochę z tego, co nakładli ci do głowy wasi kapłani. Widziałem, że opiekujesz się też swoim towarzyszem. Pomagałeś mu wejść na schody i szukasz dla niego pomocy, masz więc jakieś ludzkie uczucia i gdzieś w sercu wiesz, że jedni ludzie więcej dla ciebie znaczą od innych i nie są zupełnie tacy sami, jak ryby w ławicy.

Zamieszkaliśmy więc w gospodzie Skafnira, w niewielkiej izdebce, gdzie ledwo mieściły się dwa zbite z belek łóżka oraz nasz skromny dobytek.

Kiedy sprawdziliśmy sąsiednie puste alkierze, dokładnie obszukaliśmy izdebkę oraz zbadaliśmy, w jaki sposób można się z niej wydostać przez okno, zamknęliśmy drzwi i mogliśmy przestać udawać.

Mikstury nadal działały i tak już miało być. Ja wciąż czułem obrzęk na wargach i powiekach, ale N’Dele mógł wypluć liście, które żuł, a które przyprawiały go o mdłości i pot na twarzy.

– Postaram się wyglądać jak chory bez tego – powiedział. – Kręci mi się w głowie, a to może być niebezpieczne. Nie wiem, czy dałbym sobie radę w poważnej walce po całym dniu żucia tego świństwa.

– Zrobię naparu – zaproponowałem.

– Ktoś bywały może poczuć zapach – odparł. – Chyba jako Amitrajowi nie wolno ci tego pić?

– Nie bardzo, ale ty jako Kebiryjczyk możesz. A ja patrzę na to przez palce, ponieważ jesteś chory. Zresztą napar to nie piwo ani wino. Poza tym tak naprawdę wojsko i tak pije co popadnie.

Jeszcze tego samego dnia wyruszyliśmy na poszukiwanie miejsc, gdzie mogliby się gromadzić niezadowoleni.

Zaglądaliśmy do wielu karczm, na początku tylko po to, by siadać w kącie i obserwować innych.

Udawanie Amitraja okazało się okropnie uciążliwe. Nie mogłem napić się piwa ani morskiego miodu, ani właściwie niczego. Nie mogłem zapalić fajki. Usiłowałem cały czas wyobrażać sobie, co zrobiłby Ardżuk Hatarmał, były łucznik z galery „Niezwyciężona Klacz”. Większość żołnierzy, jakich spotykałem w gospodach Maranaharu, bez problemów raczyła się korzennym winem, całymi dniami pociągali dym harhaszu, podając sobie tytę – bulgocącą drewnianą rurę pełną wody, przez którą filtrował się dym żywicy i węgla – albo po prostu palili bakhun, ale to było za władzy mojego ojca. Ja miałem odgrywać takiego pobożnego, lecz nie mogłem przesadzać. Hatarmał może i tęsknił do opieki Podziemnej, jednak znalazł się daleko od domu i kapłanów, zaś o powrocie Czerwonych Wież tylko słyszał. Trzymałby się uparcie Kodeksu Ziemi czy pofolgował sobie, wiedząc, że wokół są sami niewierni? Nie umiałem zdecydować, więc przez pierwsze wieczory piłem wodę z octem i tyle.

Większość rozmów, które słyszeliśmy, nie miała żadnego znaczenia. Siedzący na ławach przy ogniu ludzie czekali na wiosnę i snuli plany morskich wypraw, które uczynią ich bogatymi. Mężowie flirtowali z kobietami, a kobiety z mężami. Opowiadali sobie nawzajem swoje przygody na morzach i w obcych krajach. Narzekali na wojnę bogów i podłe czasy, w których przyszło im żyć. Niektórzy psioczyli, ale jakby z nudów. Uważali, że o takim paskudnym przedwiośniu piwo jest wodniste i mdłe, wywodzili, że wojna bogów przywołuje dziwną pogodę, a chciwi kupcy na targu podnoszą ceny mięsa i ryb poza wszelki rozsądek.

Nic z tego wszystkiego nie wynikało. Często ktoś się do nas dosiadał, ale też nie miał nic ciekawego do powiedzenia.

Od czasu do czasu rozpytywałem o jakiegoś uzdrowiciela, kapłana albo Czyniącego z Południa, który mógłby pomóc N’Dele, ale niewiele to dało. Pytany z reguły radził nam iść do miejskiego chramu albo słyszał o tym, że mistrz Fjollsfinn znajdzie lekarstwo dla wszystkich odmienionych. Ewentualnie polecał nam doskonałego znachora, przy czym z reguły był to jego szwagier, brat lub ktoś taki. Co do cudzoziemskich kapłanów, modlitw i pieśni bogów, zapewniał nas, że od takich rzeczy trzyma się jak najdalej, zabierał swój kufel i odchodził gdzie indziej.

Niewiele więcej wskóraliśmy na targach i przy straganach. Z reguły znajdowałem karczmę, zostawiałem N’Dele siedzącego na ławie, wspartego na moim kiju szpiega i z kuflem piwa, wyglądającego wyjątkowo nędznie, a sam szukałem straganu, gdzie ktoś sprzedawał lecznicze korzenie, proszki i maści z dalekich stron. Niemal każdy kupiec miał doskonałe lekarstwo, które mogło postawić mojego przyjaciela na nogi, przeważnie za byle szeląga, natomiast żaden nie chciał rozmawiać o żadnych magach ani uzdrowicielach z Południa.

Bycie szpiegiem wymaga niebywałej cierpliwości. Całymi dniami trzeba udawać kogoś innego, pamiętać, by ani razu się nie pomylić, i czekać. Jest jak polowanie w okolicy ubogiej w zwierzynę. Trzeba siedzieć cicho, zakładać i sprawdzać wnyki, uzupełniać przynętę. Tak tłumaczył mi N’Dele, kiedy dni upływały jeden za drugim, a my nie wpadliśmy na najmniejszy nawet trop.

Błąkaliśmy się więc po karczmach, żołądek skręcał mi się od wody z octem, słuchaliśmy wrzasków żeglarzy, ich dziwacznych skocznych pieśni, które ryczeli chórem, rozchlapując piwo i wymachując kuflami.

I wydawało się, że nie spotkaliśmy nigdzie człowieka, którego choć przez chwilę obchodziłyby znaki na murach albo dziwne kulty z Południa.

A jednak ktoś pisał na ścianach: „Powrócą prawdziwi bogowie” czy „Jedno prawo bestii: słabi będą pożarci”.

A jednak ulice dziwnie szybko i dziwnie wcześnie pustoszały.

A jednak głęboką nocą słyszeliśmy czasem wrzaski, tupoty i wołania o pomoc, odbijające się echem gdzieś w kamiennym labiryncie Kawern.

A jednak o poranku znajdowaliśmy czasem bazalt miejskich murów zbryzgany świeżym szkarłatem.

Patrzyłem na żeglarzy siedzących nad swoimi dzbanami, obserwowałem, jak powoli się upijają, jak wrzeszczą z tą swoją dziką, wilczą żywotnością, która się w nich aż gotowała, i wiedziałem, że nie znajdę tu szpiegów Pramatki. Kodeks Ziemi nakazywał, by zapomnieć o zdobywaniu dostatku dla siebie i najbliższych, a zamiast tego wtapiać się w jedność ze wszystkimi innymi i działać tylko razem. Uczył, że to daje siłę i bezpieczeństwo. Kazał być jak ptak w stadzie, jak kropla w strumieniu. Prawdziwy Amitraj nie troskał się nigdy o byt, bo niczego nie miał. Wszystko, od plonów po rzeczy codziennego użytku, było własnością Pramatki, która przemawiała przez swoją świątynię. Ustami kapłanów,

którzy nie mieli płci, twarzy ani żadnych ziemskich potrzeb i którzy rozdzielali obowiązki, żywność i schronienie każdemu według tego, co mówił Kodeks, stosownie dla każdej kasty. Po to, by matczyną opieką wyzwolić ich od rozterek rodzących zło: od pokusy, by najbliższym dać więcej niż pozostałym albo samemu sięgnąć po co innego, niż dane jest reszcie. By wyróżnić siebie albo kogokolwiek.

Ci, którzy siedzieli przede mną na swoich ławach, siłowali się na rękę, wieszali na sobie złoto i srebro, śmiali się i krzyczeli, byli czymś dla pobożnego Amitraja niewyobrażalnym. Byli zwierzętami. W czasach władzy Czerwonych Wież taki krzyk, głośny śmiech, rubaszne żarty i gry zostałyby natychmiast ukarane jako wyraz egoizmu. Tu każdy był osobno, sam sobie radził i liczył na siebie oraz na przyjaciół, których uważał za ważniejszych ludzi od pozostałych, więc o nich dbał, a o resztę rzadko. Nikogo nie dałoby się przekonać, że wszyscy są „jednym”. Ci ludzie chcieli się wyróżniać pod każdym względem. Każdy chciał być bardziej znany, lepszy, szlachetniejszy i bogatszy. Każdy chciał być inny i wyjątkowy. Każdy nawet wyglądał inaczej. Według nich taki porządek był po prostu naturalny, a ten, który przedstawiał Kodeks Ziemi, wymyślony, dziwaczny i sprzeczny z rozsądkiem, a wszelkie takie rzeczy wydawały im się obrzydliwe.

Z drugiej strony pomyślałem, że żeglarze bywają chciwi i butni. Któryś mógłby zgodzić się pomagać szpiegowi tylko dla złota, przekonany, że głupi kapłan z Południa i tak niewiele wskóra i nikomu nie zaszkodzi.

N’Dele twierdził, że najwięcej można dowiedzieć się z plotek, więc chodziliśmy tam, gdzie ludzie plotkowali. Wysłuchaliśmy mnóstwa rzeczy, ale nie zrobiliśmy się od tego mądrzejsi.

Czasami dosiadali się do nas mężowie, którzy rozpoznawali we mnie Amitraja i pragnęli opowiedzieć mi o przygodach, jakie przeżyli gdzieś na Północnym Wybrzeżu, w okolicy Kanadiru czy Kebzegaru, chełpiąc się, ilu takich jak ja położyli w portach oraz na pokładach kupieckich i wojennych galer. Sprzeczałem się z nimi wtedy, lecz bez wielkiego gniewu, bo nie chciałem doprowadzać do bójki.

Ten, który w końcu powiedział mi coś pożytecznego, także nie chciał mnie właściwie prowokować, bo najbardziej ze wszystkiego wydawało mu się zabawne to, że Amitraj i człowiek z Wybrzeża mogli kiedyś walczyć przeciwko sobie, a teraz siedzą w tej samej karczmie w Lodowym Ogrodzie

i przy tym samym stole. Koniecznie chciał się dowiedzieć, czy czasem moja galera nie walczyła przeciw jego okrętowi, i opisywał mi go na wszystkie sposoby, to bowiem wydawałoby mu się jeszcze zabawniejsze.

– Wszystkie wilcze okręty dla nas wyglądają tak samo – powiedziałem mu. – To po prostu rozbójnicy, którzy rabują nasz kraj, porywają kobiety i mordują mężów. Zabijamy takich na szlakach karawan tak samo jak na morzu. Nie ma dla nas różnicy.

Wciąż usiłował mnie skłonić, bym z nim pił, jednak uparcie odmawiałem.

– Nie wolno mi tego pić – mówiłem. – Jest to trujące i drąży ciało tak samo, jak czerw drąży drewno. Powstaje ze zgniłego zboża. Widywałem już twoich krajanów, jak umierali przy wiosłach z wycieńczenia i boleści, gdy nie mogli już raczyć się zgniłym sokiem zboża i owoców.

– Skoro tak, to zdaje się, że umierali, gdyż przestali pić – zauważył. – Uwolniłem z waszych galer wielu ludzi i wszyscy oni chorowali tylko ze zmęczenia, głodu i bicia, i nic to nie miało wspólnego z piwem. I mylisz się, nazywając nas rabusiami. Większość nas tu, na Wybrzeżu Żagli, wywodzi się z krain, które leżały na waszym wybrzeżu, ale musieli stamtąd uciec, kiedy nadeszło wasze wojsko, niosąc tysiące buńczuków, włóczni i tarcz i paląc wszystko na swojej drodze. Dlatego to wy jesteście złodziejami, bo odebraliście nam nasz kraj. My tylko odzyskujemy, co nasze. I powiem ci coś jeszcze. Wyrąbałem wiele wrót do tych waszych wież i nigdzie nie widziałem takiego przepychu jak ten, w jakim pławili się wasi kapłani w maskach, ci, którzy niby niczego nie mają i niczego nie potrzebują. A po drodze mijałem wioski i miasta pełne takiej nędzy jak nigdzie. Ludzi w identycznych łachmanach, którzy nie mieli żadnej nadziei w życiu poza harówką od rana do nocy za miskę kaszy. Mówisz, że świątynia o nich dba i że nikt nie martwi się tam o życie, bo kapłani ubiorą go i nakarmią. Ale ja widziałem tylko morze nędzarzy. Spójrz, jak jest tu, w Ogrodzie. Tu też nikt nie martwi się o chleb, lecz nie znajdziesz tu takiej nędzy. Każdy może tu handlować, robić różne rzeczy, ale jeśli nie ma nic, w miejskim chramie ubiorą go i nakarmią dużo lepiej niż gdziekolwiek w twoim kraju. Tam nie pytają, czy jesteś bogaty, czy biedny; skoro przychodzisz, zawsze postawią przed tobą miskę. Ciesz się, że nie jesteś u siebie, że trafiłeś do najlepszego miejsca na świecie, i napij się wreszcie.

Pluń na głupstwa, które wmawiali ci tłuści, kastrowani kapłani, sami wylegujący się na jedwabiach ze złotym pucharem w ręku.

– Spójrz, co zrobili mu w twoim miejskim chramie – powiedziałem, wskazując N’Dele. – Był wielkim wojownikiem, a teraz trzęsie się jak starzec i ledwie wchodzi po paru stopniach. Gdybym nie zabrał go od tych guseł, zamieniłby się w odmieńca. Tyle daje twoje Drzewo i twój Ogród. Dlatego potrzebny mi prawdziwy uzdrowiciel i prawdziwa religia.

– Mistrz Fjollsfinn znajdzie lekarstwo – bąknął mój rozmówca. – A co do kapłanów, to mówiłem ci, że Ogród nie jest miejscem jak inne. Tu znajdziesz wszystko, nawet takich bogów, jakich chcesz. Byłeś na placu Pustych Wież?

Zaprzeczyłem.

– To w Wychodni – wyjaśnił. – Nowa dzielnica, która otworzyła się niedawno za Kawernami. Na pewno tam nie zaszedłeś, bo jest dla obywateli, którzy mają ochronę Drzewa, tak jak ja. Jest tam długi plac z kamienia, ze studniami deszczowymi i rzędem budynków, z których każdy ma dziedziniec i wieżę. Wszystkie są takie same, ale od niedawna zbierają się tam ci, którzy szukają pociechy cudzoziemskich bogów i dziwnych kapłanów. To jak targ, lecz sprzedają tam cuda, obrzędy, amulety, dymy, pienia i cienie. Wielu odmieńców poszło tam szukać pomocy, jeśli chcesz, idź i ty. Ale gdybyś spytał, czy ci tam pomogą, to powiem, że oddasz srebro za to, żeby ktoś wypatroszył mewę, wysłał w niebo gołębia lub nietoperza, pięknie ci zaśpiewał albo puścił dym czy rozsypał popiół z muru. Nic więcej. Jesteś w Lodowym Ogrodzie i tutaj tylko Ogród ci pomoże. Cudzoziemscy bogowie nie mają tu wstępu. A co do tamtych, to pamiętam, jak biegali w przerażeniu po dziedzińcach tych waszych wież w haftowanych szatach i lśniących maskach albo z łysymi łbami, wrzeszcząc niczym przerażone pawie, a ja czekałem na nich z krwawym toporem w ręku i śmiałem się.

Wiedziałem o Wychodni, bo Fjollsfinn otworzył tę dzielnicę, kiedy jeszcze byliśmy na wyprawie po Naszą Panią Bolesną, ale nie wiedziałem, że mają tam jakiś bazar z religiami. Poczułem, że mąż, z którym rozmawiałem, zanim odszedł, zostawił mi jakiś słaby trop.

Im robiło się później, tym mroczniejsze stawały się rozmowy w tawernie. Wreszcie pojawiały się plotki i dziwne opowieści. Żeglarze pili ostrożniej, szeptali o napisach na murach, a wychodzili w grupach po kilku,

z bronią w ręku. I było widać, że teraz, głęboką nocą, kiedy w karczmie robi się pustawo, a do świtu daleko, kiedy wokół nich jest niewielu obcych i siedzą w gronie samych przyjaciół, wesołość i rubaszność z nich opada, a pojawia się strach.

Bali się tego, co miało nadejść wiosną, a co zapowiadały nie tylko klątwy w obcych językach, ale i tajemnicze znaki.

Dotarło do nas, że szeptali o płonącym białym koniu o skrwawionych bokach, który bezgłośnie galopuje po środkowym pierścieniu murów przed świtem, a potem rozpada się w obłok mgły i słychać wtedy straszny krzyk.

O kapłance miejskiego chramu, którą widywano idącą kamiennym pirsem ku morzu. Kapłance w stroju pogrzebowym i koronie drzewa na głowie, która zawodzi przeraźliwym głosem, krzycząc, że miasto upada; jeśli ktoś ją zobaczy z bliska, ujrzy, że ma wydarte oczy, a płacze potokami krwi, które ciekną jej po policzkach.

O tym, że w niektórych miejscach słychać dobiegający spod ziemi głos, który jęczy: „Drzewo umiera!”, i że to skarży się samo miasto.

Kiedy mieszkałem w Kawernach, drzwi gospód zamykano, gdy gospodarz kładł się spać, i zwykle wypadało to na nocne uderzenie jednego dzwonu na wieżach, w połowie nocy, czyli mniej więcej w godzinie sowy. Teraz, mimo że nikt tego nie nakazał, zasuwy zamykano wcześniej, a głęboko w nocy można było dotrzeć do własnego łóżka tylko po długim dobijaniu się do drzwi, o ile zdołało się obudzić gospodarza.

Chcąc więc wyjść na nocne przeszpiegi, musieliśmy wyśliznąć się przez okno na dach, potem przekraść wzdłuż kalenicy, a następnie dotrzeć do rogu, gdzie budynek miał wykusz, ponieważ w samym kącie ścian dawało się całkiem łatwo zejść na dół, korzystając z paru gzymsów, a także kamiennych rzygaczy. Wracaliśmy tą samą drogą i mogliśmy to robić niepostrzeżenie, ilekroć była taka potrzeba. Każdy, kto mieszkał w naszej gospodzie, dałby głowę, że obaj dawno już śpimy w swojej izdebce.

Zakładaliśmy wówczas czarne stroje i kaptury, zabieraliśmy też broń. Mogliśmy narzucić kaptury, zapiąć pod nimi maski zasłaniające twarze poniżej oczu i zniknąć w cieniu, prześliznąć się poza światłem latarni niepostrzeżenie jak kruki, rozpłynąć w zaułkach. Ale mogliśmy też przedzierzgnąć się w wędrujących ulicami niepozornych, ubranych w czerń przechodniów. Nieszczególnie złowrogich i niełatwych do opisania czy zapamiętania.

Wychodziliśmy, bo zdawało się, że najważniejsze dla nas rzeczy dzieją się w Ogrodzie po zapadnięciu zmroku, po wygaszeniu ognia w tawernach i po tym, kiedy ostatni biesiadnik mości się już w słomie swojego posłania, za zamkniętą zasuwą.

Potem ulice przemierzali jeszcze ci, którzy zabrali sobie dzban na mury, by czuć w głębi nocy oddech morza na twarzy, którzy przysnęli gdzieś na ławie przed tawerną albo w podcieniach, a potem ocknęli się, widząc wokół puste ulice i pozamykane drzwi. Także ci, którzy wychodzili szukać łatwego żeru wśród pijaków, oraz jeszcze inni, którzy też mieli podejrzane interesy, choć zupełnie innego rodzaju.

Przez pierwsze noce zakradaliśmy się niepostrzeżenie na miejskie mury i spędzaliśmy wiele godzin skryci w cieniu, bo chcieliśmy zobaczyć widmowego płonącego konia o krwawych bokach, albo czailiśmy się w porcie, żeby ujrzeć błąkającą się po pirsie ślepą kapłankę wieszczącą zagładę miasta.

– Noce, które wybraliśmy, były niedobre – twierdził N’Dele. – Za zimno, deszczowo i pusto. Po co straszyć, kiedy nie ma kogo?

– Teraz nocami zawsze jest prawie pusto.

– Nie zawsze. Tu wystarczy ledwie kilkoro ludzi. Ja bym wybrał noc, kiedy pogoda jest znośna, jak na Północ wiosną, i wiadomo, że ktoś będzie jeszcze chodził po mieście. Człowiek, dwóch, pięciu. Wystarczy. Dwóch zobaczy, dowie się całe miasto, że koń nadal się pojawia. Krwawi na mury. Trzeba biadać i trzeba się bać. Bardzo złe *zimwu* wieszczy miastu zagładę.

– Po co to robią?

– Bo to zabija duszę. Człowiek żyje, dzielny jak każdy żeglarz, myśli: chroni mnie Drzewo, jeśli nadejdą obcy, wezmę topór, stanę na murach i ich pozabijam. Ale co, jeśli miasto umiera? Jeśli wielu widziało *zimwu* zagłady, to może naprawdę ono jest? Co wtedy się stanie? I nosi to w sobie jak truciznę. W sercu. Jeśli taki człowiek zobaczy wrogie okręty na horyzoncie, to ten jego mały strach urośnie i nim zawładnie. On już będzie miał w sobie taką małą klęskę, którą hodował całą zimę. Jego kawałek miasta już upadł. Po to tak robią.

Aby trafić tam, gdzie coś się dzieje, musieliśmy być w ruchu, więc przemierzaliśmy puste ulice i wyglądało na to, że do mrocznych legend niepokojących miasto dołączy kolejna, o dwóch czarnych wędrowcach pojawiających się i znikających gdzieś wśród zaułków i podcieni.

Przez kilka nocy z rzędu bowiem nie znaleźliśmy niczego nadzwyczajnego prócz błąkających się to tu, to tam mężów zbyt pijanych, by trafić do swojego łóżka. Jeśli zwabiły nas krzyki, to okazywało się, że wybuchła awantura między ladacznicami a ich klientami.

Ogień na murach zobaczyliśmy pewnej nocy jeszcze z dachu i pobiegliśmy w tamtą stronę, tak długo jak się dało nie zeskakując w ogóle na ziemię.

Bieganie po dachach to trudna sztuka. Te w Ogrodzie były bardzo mocne i stanowiły jedną część z budynkiem, więc nie baliśmy się, że poszycie zawali się nam nagle pod stopami, ale za to były strome i bardzo gładkie, więc robiły się śliskie. Kilka razy podeszwy moich butów straciły oparcie i wtedy przeraźliwy strach chwytał mnie za gardło, ale zanim zjechałem po śliskiej, pokrytej mozaiką udawanych dachówek skalnej stromiźnie prosto na twardą kamienną płytę ulicy, dłoń N’Dele wystrzeliwała z ciemności jak wąż, by chwycić mój nadgarstek. Kilka razy musieliśmy przeskakiwać między budynkami i mimo że przerwy miały czasem ledwie szerokość zaułka – najwyżej cztery kroki – to kiedy śmigałem nad czarną czeluścią, nigdy nie wiedząc, czy trafię po drugiej stronie i czy zdołam się utrzymać, znów czułem przeraźliwe uderzenie strachu. Odkryłem wtedy, że dla mnie czeluść pod stopami jest jedną z najstraszniejszych rzeczy na świecie, i mimo że potrafiłem zmusić się do skoku, długo potem czułem serce w gardle i drżenie ud.

Koń galopował wzdłuż długiego muru oporowego trzeciego pierścienia, od strony morza, gdzie jego korona ciągnęła się przez dobre trzysta kroków bez żadnych barbakanów, czatowni ani donżonów. W tym miejscu był jedynie mur. Co więcej, pozbawiony wartowni. Po murze trzeciego pierścienia chodziły tylko czasem piesze patrole.

Z dachu, na którym staliśmy, wyraźnie widzieliśmy białą, zbryzganą krwią sylwetkę, wyciągniętą w galopie szyję i wyszczerzone zęby. Koń przebierał nogami w powietrzu, nie dotykając blanek, i świecił od środka.

– Nadchodzi wiosna – wycedziłem szyderczo, łapiąc oddech.

– To jakby sztandar albo lampion – ocenił N’Dele.

– Nie, przyjacielu – powiedziałem mu. – To nie sztandar. To latawiec. Duży, wypełniony powietrzem, bardzo dobry latawiec, podobny do tego, jaki Kireneni puszczają w Święto Rozdzielonych Kochanków, pierwszy dzień wiosny, kiedy zaczynają wiać południowe wiatry.

Koń nadal galopował w powietrzu wśród podświetlonego dymu z nasączonego czymś kłębka waty, który miał w sobie, aż na końcu muru powietrze wewnątrz nagrzało się na tyle, że trzcinowy papier zaczął się palić, i to coraz gwałtowniej. Pomyślałem, że jeśli ktoś nie widział nigdy czegoś takiego, to istotnie widok musiał być przeraźliwy.

– Skoro to latawiec, to... – zaczął N’Dele.

– U stóp muru, na obwodnicy! – zawołałem i znów pomknęliśmy przed siebie, skacząc po dachach, a potem, ześliznąwszy się między uliczki, biegliśmy w ciemnościach, jakbyśmy dosiadali niewidzialnych wierzchowców. Przeskakując śmieci, kosze i beczki, odbijając się od ścian i zjeżdżając po balustradach kamiennych schodów. Chyba nikt nas nie widział tej nocy, ale gdyby nawet, to opowiedziałby tylko o niesionych wiatrem czarnych łopocących płachtach albo kolejnych demonach bez twarzy, frunących zaułkami.

U stóp muru było ciemno i pusto, jak wszędzie; koń zmienił się już w widoczny na tle nieba obłok siwego dymu szarpany wiatrem, w powietrzu unosił się lekki fetor spalonej smoczej oliwy.

Dłoń N’Dele dotknęła lekko mojego ramienia. Spojrzałem na niego, a wtedy wskazał gdzieś w mrok. Wytężyłem wzrok, ale zdołałem cokolwiek zobaczyć dopiero po dłuższej chwili. Wzdłuż muru na kamiennym deptaku leżał cienki, mocny pleciony sznurek. Ruszyliśmy, trzymając się cienia, starając się biec jak najciszej, kiedy koniec sznurka ruszył w tym samym kierunku. Ktoś zwijał go pieczołowicie, nie chcąc pozostawiać śladów.

Parę kroków później N’Dele nagle uderzył mnie w ramię, odpychając w bok, a sam uskoczył w przeciwną stronę. Usłyszałem warknięcie rozdzieranego powietrza, a potem głuche, ciężkie pacnięcie, kiedy ołowiany pocisk z procy trafił w kamień gdzieś za nami. N’Dele zatrzymał się nagle, chwytając równowagę, i machnął ręką. Powietrze znów zaprotestowało, tym razem był to stalowy, świergocący świst, a gdzieś w ciemnościach coś ciężko upadło na ziemię z głuchym odgłosem.

Kiedy tam podeszliśmy, było już za późno.

Chłopak leżał na ziemi z wybałuszonymi oczami i wyszczerzonymi zębami czerwonymi od krwi. Jego czaszkę i ramiona porastały czarne pióra, a w piersi tkwił kebiryjski nóż do rzucania o ostrzu pokrytym dodatkowymi hakami i brzeszczotami. Widywałem już takie narzędzie. Prócz oplecionej

rzemieniem rękojeści właściwie jest to stalowa gwiazda złożona z ostrzy różnej długości i zawsze musi się wbić w cel.

– Źle. Szkoda. Odszedł do *rohokuzima*. Zmarli nie mówią. Ale nie było czasu. Chodź. Musimy go zabrać, nie mogą się dowiedzieć, że go dostaliśmy.

Zabrało nam to dużo czasu, by przekraść się do portu, wlokąc krukowatego ze sobą, ukraść sieć i jakieś żelastwo, by obciążyć ciało, a na koniec spuścić je z pirsu do głębokiego kanału prowadzącego do jednego z portów wojennych i nie zostać zauważonym.

Nazajutrz poszliśmy do Wychodni. Dzielnica przeznaczona została dla obywateli i najwięcej było tam stłoczonych razem kamienic patrzących w morze z kilku tarasów ustawionych na zboczu, wznoszących się jeden nad drugim, wśród młodych drzewek wyrastających z otworów w kamiennej płycie. Na razie ludzi spacerowało tam niewielu, ulice zdawały się ciche i tchnęły spokojem, i wydawało się, że to doskonałe miejsce do zamieszkania.

Jednak przy samym murze wyrosły dwa rzędy budynków przypominających miniaturowe świątynie patrzące na siebie przez długą i szeroką ulicę i wokół nich na pewno nie panował spokój. Każdy chram miał wewnętrzny dziedziniec otoczony pierścieniem zabudowań z kolumnadą, pośrodku niewielką rotundę, która nadawała się na główne sanktuarium, oraz pojedynczą wieżę, nie wyższą od leśnego drzewa. Nie było to wszystko razem bardzo imponujące czy wielkie, ale dzięki temu na placu ciągnącym się wzdłuż murów można było dowolnie przebierać w tym, jakie nadaku chce się przywołać, i oddawać im cześć na najdziwniejsze sposoby.

Na plac wchodziło się przez niewielką bramę i tam, zaraz przy murze, ustawili się kamieniarze. Wszędzie poniewierały się z grubsza obrobione kawały kamienia, ziemia pokryta była ich odłamkami, a kilkunastu mężczyzn w skórzanych kapturach i fartuchach tłukło w bloki z jazgotem młotów i dłut, tworząc kolejne posążki na podstawie rysunków kreślonych węglem na kawałkach skóry i deskach. Najwyraźniej nie brakowało im zamówień, a całe miejsce spowijał obłok białego kamiennego pyłu.

Dalej ustawiono drewniane stragany z żerdzi, gdzie sprzedawano ofiarne zwierzęta. Wszędzie stały klatki z ptakami, drewniane płoty, do których uwiązano kowce, sprzedawano nawet poskoczki, ptaki, ryby i nietoperze.

Wszystko, co można było ofiarować najróżniejszym nadaku, by zwrócić ich uwagę i wybłagać przychylność.

W Maranaharze pod władzą mojego ojca panowała podobna mnogość kultów, religii i bóstw, tylko że tam wszystko było wielkie i rozsiane po mieście. Wydawało się, że chramy i świątynie stoją od zawsze, że wrosły w ziemię i nasiąkły wiarą niezliczonych pokoleń, które wygładzały podeszwami stopnie prowadzące do sanktuariów i wygniatały czołami dołki w kamiennych posadzkach. Pienia wiernych i dymy kadzideł, żarliwe prośby i błagania przez setki lat wnikały w ściany, a świątynie, wydawało się, wrosły w miasto. Tam mogłem nie dowierzać obcym, przywleczonym nie wiadomo skąd bożkom dalekich ludów, ale wyczuwałem ich obecność.

W Lodowym Ogrodzie, w tej dzielnicy, to przypominało raczej bazar. Świątynie były identyczne i nowiutkie, a ich powstaniu nie towarzyszyła żadna głębsza myśl. Nikt ich nie stawiał, próbując znaleźć odpowiedź na pytanie o kształt ludzkiego losu czy sens śmierci człowieka. Nikt nie chciał znaleźć opieki istoty z niebios. To był tylko ślad myśli Fjollsfinna, kiedy zaklęty w lodową krę usiłował wyśpiewać dla siebie twierdzę; albo może nawet błąd imienia bogów, bezmyślnie powtarzający jak refren kształt budynku, błąd taki sam jak schody donikąd czy splecione wieże na Górnym Zamku.

A jednak kręcili się tu ludzie, którzy usiłowali w te małe świątynki tchnąć jakąś treść za pomocą malowanych pospiesznie modlitewnych proporców i tanich kamiennych totemów, nie większych od pachołka do wiązania konia, wykuwanych jeden po drugim przez kamieniarzy przy bramie.

Gdziekolwiek zbiera się więcej Żeglarzy, czy byłby to pojedynek, pożar, czy wielkie obrzędy, zawsze przyjdzie ktoś, kto zorganizuje trochę baryłek, jakieś miejsce do siedzenia i zacznie sprzedawać piwo. Szybko natknąłem się na takie miejsce, więc posadziłem tam N’Dele nad niewielkim kuflem i poszedłem placem wzdłuż szpaleru świątyń. Rozstawione wszędzie stragany z ofiarnymi zwierzętami, kadzidłami, modlitewnymi wachlarzami i proporcami, a także amuletami, olejkami i posążkami tylko pogłębiały wrażenie bazaru, podobnie jak stojący przed wejściami akolici w najróżniejszych strojach, bębniący, tańczący, krzyczący albo recytujący święte wersy niczym przekupnie.

W większości byli to wyznawcy kultów Północy, których nie znałem, wiedziałem jednak, że każde plemię Żeglarzy ma swoje bóstwa, które traktuje bardzo poważnie. Wyglądało na to, że mimo tchnących potęgą miejskich chramów i religii Drzewa tęsknią do swoich dawnych bogów.

Szedłem wzdłuż pstrokatych, wykrzykujących zachęty akolitów i rozglądałem się. Nie potrzebowałem opieki bóstwa mającego zapewnić przychylność obojętnej ukochanej ani błogosławieństwa, które pomoże znaleźć mi drogę w sztormie, ani zrozumienia światła gwiazd, ani możliwości porozmawiania ze zmarłymi, ani napoju, który pozwoli mi przeniknąć do dziedziny bogów.

Mijałem Żeglarzy wyglądających na chorych, z obciętymi kończynami, bielmem na oczach albo bladych od jakichś boleści. Widziałem kobiety z bólem zastygłym na twarzy, piastujące marnie wyglądające niemowlęta oraz młodzieńców grzebiących wśród miłosnych amuletów.

Z dziedzińców świątyń snuły się ofiarne dymy, dobiegały stamtąd jękliwe pieśni, łomot bębnów oraz zawodzenie rogów, powietrze rozdzierały kwiki, gdakanie i beczenie ofiarnych zwierząt. Przedzierałem się przez tłum, lecz większość ludzi wokół była obywatelami albo wędrowcami z drewnianym znakiem korabia na szyi, natomiast odmieńców widziałem niewielu.

Ja szukałem czerwonych płaszczy i srebrnych blaszanych masek kapłanów Pramatki, posągów Pani Żniw i znaków Podziemnego Łona. Nie miałem wprawdzie wielkiej nadziei, bo mimo że Lodowy Ogród był dziwnym miejscem, wątpiłem, by jakikolwiek kapłan Podziemnej ośmielił się paradować tu ulicami w swoim płaszczu i masce. Żeglarze nawet tutaj pozostawali sobą i niczego nie znosili tak jak Amitraju. Prawdziwego kapłana ze wszystkimi atrybutami ktoś zapewne zabiłby odruchowo, tak jak odruchowo rozdeptuje się skorpenicę.

Ja mogłem chodzić ulicami grodu w swojej wyblakłej i połatanej wojskowej bluzie, bo byłem sam i sprawiałem wrażenie bezradnego oraz zagubionego. Byłem nieszkodliwy.

Wypatrzyłem ich w końcu, ponieważ wiedziałem, czego szukać. Kilku odmieńców o zwierzęcych rysach, wypukłych kłach i potężnych ramionach, do tego paru cudzoziemców, wszyscy w pelerynach z kapturami narzuconymi na głowę. Nie zajęli własnej świątyni, po prostu stali z boku, jakby na coś czekali.

– Głupcy! – usłyszałem starczy głos. Mężczyzna o twarzy skrytej w niechlujnej, rozwichrzonej brodzie i skłębionych siwych włosach sfilcowanych w sznury stał na ocembrowaniu studni deszczowej i lżył przechodniów, wskazując ich pokręconym kosturem wystruganym z jakiegoś korzenia. – Spójrzcie wokół siebie! Popatrzcie na miasto wydarte gwałtem matce ziemi! Nadchodzi gniew! Nadchodzi ogień! Już kroczy po morzu! Myślicie, że ochronią was mury zrodzone z bluźnierstwa jakiegoś przybłędy?! Że możecie tkwić w swoich kamiennych chlewach wydartych z krwawiącego ciała Matki i zgarniać pod siebie to swoje złoto, obżerać się ciałami dzieci ziemi i chlać zgniłe soki ze splugawionych owoców? Że możecie tarzać się w swojej chuci i obrażać Matkę, parząc się jak zwierzęta? Że możecie poniewierać córy ziemi? Odmawiać im prawdziwej władzy tylko dlatego, że Matka jest daleko? Ale czas się wypełnia! Nadciąga koniec pękniętego świata! Koniec chciwości i plugastwa!

Nie zwracali na niego większej uwagi. Dla przechodniów był to tylko wrzeszczący starzec. Wykrzykujący coś niezrozumiałego w i tak hałasującym tłumie. Okręcony jakąś szmatą dziadyga niespełna rozumu albo pijany. Znaleźli się jednak i tacy, którzy zatrzymywali się przy nim i słuchali, kiwając lekko głowami. Mniej niż tuzin i większość z tego były to kobiety.

A ja poznawałem słowa kazań Kodeksu Ziemi, takie same, jakie za panowania mojego ojca można było usłyszeć na bazarach. Zawsze to samo: pierwsza nauka to ta, że wszystkie możliwe nieszczęścia biorą się z powodu zaniedbania Kodeksu Ziemi. Każdy doświadcza kłopotów, które spadają na niego bez jasnego powodu, więc może zwrócić uwagę na proroka, który jako jedyny zna odpowiedź na pytanie „dlaczego?”. A potem zapowiedź okropieństw, jakie ogarną świat, jeśli się nie opamięta i nie podąży za jedynym nauczycielem. To też zawsze działa, bowiem bez względu, w jakich czasach przychodzi ludziom żyć, zawsze są pewni, że są one wyjątkowo straszne i że świat zmierza do katastrofy. A wszystko, co widzą, choćby najoczywistsze, wydaje im się to potwierdzać. Zawsze i wszędzie znajdą się zabobonni i zagubieni, potrzebujący, by ich ktoś poprowadził.

Im dłużej patrzyłem na dziadygę, tym więcej rozpoznawałem. Jego brudny płaszcz nie był pierwszą z brzegu kapotą, lecz tradycyjnym amitrajskim malhasztukiem z gęsto tkanej kowczej wełny, zabarwionym niegdyś na czerwień Pramatki. Rozwichrzona, zaniedbana broda i włosy też

nie były przypadkowe, wiedziałem, że cały musi się lepić od brudu, a pod spodem ma strzępy zgniłych łachmanów, bo nic, co nie jest dziedziną Matki, nie ma dla niego żadnego znaczenia. Odrzuca pęknięty świat i gardzi nim. To jedyny niebędący kapłanem mężczyzna, jaki może udzielać nauk: nahardał – pustelnik. Mędrzec z Pustkowi. Ten, który wyrzekł się wszystkiego i dlatego otwiera się na głos Matki dobiegający spod ziemi.

Nie podchodziłem bliżej, obszedłem go skryty w tłumie i przyjrzałem się dokładnie, bo jego pobrużdżona, pociągła, obrośnięta szarymi kłakami twarz wydawała mi się męcząco znajoma. Jedno oko miał zaciągnięte paskudnym bielmem, jasnym jak kożuch na mleku, poznaczonym krwawymi żyłkami, szczerzył długie, pokrzywione zęby, cuchnął jak całe stado kozłów i doprawdy nie przypominałem sobie, żebym kiedykolwiek spotkał na swojej drodze kogoś takiego, a mimo to czułem, że skądś go znam.

Najpewniej chodziło o to, że swego czasu napatrzyłem się na nahardałów w Maranaharze, a każdy wyglądał dokładnie tak samo.

Odmieńcy i przechodnie stojący w grupce z boku przykrywali głowy rąbkami płaszczy na znak pokory, niektórzy sięgali do stojącej na murku miski z jakąś czarną mazią, moczyli dwa palce i malowali sobie pas przez czoło. Nic nie mówili, tylko patrzyli na starca z osłoniętymi głowami.

To miał być symbol pokuty i uległości, dlatego zdziwiło mnie, że to samo robią Odrzuceni. Nie miałem pojęcia, co mogłoby im się podobać w Kodeksie Ziemi, skoro chcą być jak bestie, pożerać słabych i piszą o tym na murach. Przyjrzałem im się dyskretnie i zrozumiałem, że malują na czołach pokutne znaki i zasłaniają głowy jedynie na pokaz. Widziałem ich zmrużone oczy wodzące zaczepnie po twarzach tłumu. Jeden z nich, o masywnej twarzy i jakby byczych rysach, stał na szeroko rozstawionych nogach, trzymał z obu stron rąbek chusty, którą przykrył głowę, i lekko pociągał na przemian za rogi tkaniny, tocząc przekrwionym wzrokiem, i na pewno nie miał w sobie niczego pokornego.

Postanowiłem, że do nich dołączę. Odpiąłem płaszcz i już miałem wysmarować czoło pokutną mazią, gdy ktoś cisnął w starca owocem. Przejrzałą, miękką śliwą, która plasnęła mu w pierś, obryzgując wszystko wokół miąższem. Stojący najbliżej krzyknęli i rozpierzchli się, a dziad zamarł z oburzeniem skamieniałym na chudej twarzy.

– Precz stąd, ścierwojadzie! – zawołał miejski strażnik, wskazując proroka swoją dębową pałką. Miał ze sobą jeszcze dwóch w hełmach i tunikach ze znakiem drzewa i to on cisnął owoc. – Nie po to otrzymałeś gościnę w Ogrodzie, żebyś teraz lżył i wyklinał ludzi. Zamknij jadaczkę i złaź ze studni, zanim cię stamtąd zrzucę. Już!

– Precz, pachołki – wrzasnął ktoś inny. – Możemy się modlić do takich bogów, jakich chcemy! Nadchodzi zagłada!

Odmieńcy sprawiali wrażenie, że na to czekali. Natychmiast równocześnie zdjęli z głów pokutne chusty, zawieszając je sobie na szyi, i runęli w tłum.

Rozległ się wrzask i pierwsze odgłosy razów, strażnicy chwycili za pałki, a ja uwolniłem kaftan z czyjegoś uścisku i wyplątałem się z tłumu, który zmieniał się właśnie w jedno wielonogie, bezkształtne zwierzę zataczające się po placu.

Tego wieczoru na bezpiecznym poddaszu naszej gospody sporządziliśmy kolejny zaszyfrowany list i nocą posłaliśmy nietoperza na Górny Zamek, gdzie czekał na niego Nitj’sefni. Nie udało mi się wmieszać pomiędzy nowych wyznawców proroka, ale natknąłem się na starca i wiedziałem, że będę go odtąd szukał.

Nie trwało to zresztą bardzo długo, bo spotkaliśmy go już następnego dnia w Kawernach. Stał pośrodku ulicy i wymachując swoim pokręconym kosturem, wymyślał żeglarzom pijącym piwo za drewnianym stołem wystawionym przed tawernę.

Usiadłem nieopodal i wystarczył mi jeden rzut oka na żeglarzy, by zrozumieć, że prorok będzie miał kłopoty.

Dopóki dreptał ulicą, mamrocząc klątwy i wyzwiska, nie zwracali na niego uwagi, ale teraz stanął tuż przy ich ławie, nazywając ich nieczystymi świniami chlejącymi płynną zgniliznę świata. Jeden z siedzących, silnie zbudowany mąż o ciemnych włosach ujętych srebrną przepaską, w błękitnym kosztownym płaszczu i z krótko przyciętą brodą, uniósł powoli głowę, jakby dopiero ujrzał starca, i nagle wyszczerzył zęby jak pies, a potem podniósł się powoli, sięgając do miecza. W tym momencie nahardał wrzeszczący: „Nie będziesz spożywał ciał dzieci matki, dosmaczał jadła korzeniami ni solą ani zażywał sfermentowanych napojów” dźgnął kosturem w dzban, przewracając go na stół.

Pijący zerwali się na równe nogi, kiedy piwo chlusnęło po deskach, a bogato ubrany mąż jednym ruchem wskoczył na ławę, a potem zeskoczył na bruk, dobywając ze zgrzytem oręża.

Zerwałem się ze swojego miejsca, stanąłem pomiędzy nim a starcem.

– Wstrzymaj miecz! – zawołałem. – On jest niespełna rozumu, nie okryjesz się chwałą, zabijając go!

– Precz! – warknął. – Coś za jeden, żeby wpychać się pomiędzy Halgroma i jego żelazo!

– Wybacz – powiedziałem szybko. – Nie chcę cię urazić. Zapłacę za wszystkie szkody i za piwo. Obłąkany nie jest w stanie urazić tak zacnego męża jak ty, podobnie jak nie może tego zrobić ujadający pies. Przyjmij w odpłatę szeląga oraz korne przeprosiny.

– Wybryk tego kozła drogo cię kosztuje – oznajmił spokojniej, widząc srebro. – To twój krewny?

– Niezupełnie – odparłem. – Jednak jestem cudzoziemcem, zaś on pochodzi z moich stron i dlatego mi go żal. Nie chcę patrzeć, jak mój krajan ginie z powodu swojego szaleństwa.

– Dobrze więc – rzekł. – Ale zabierz go stąd. Najlepiej daleko. Jeśli zobaczę go znowu, rozdepczę jak żmiję i całe srebro Południa go nie uratuje. Dotąd nie przeżył nikt, kto wylałby moje piwo.

Wziął ode mnie srebro, a potem spojrzał na zalany piwem stół, wokół którego stali jego kompani, klnąc i ścierając napój z kaftanów.

Sięgnął po jeden z kufli, który uniknął katastrofy, po czym odwrócił się i chlusnął na nahardała całą zawartością.

– Teraz może iść, sprawiedliwość została wymierzona – oznajmił wśród śmiechu kompanów.

Przytrzymałem proroka za rękaw, powstrzymując jego ramię ściskające kostur. Płaszcz był lepki od brudu i miałem wrażenie, że na dłoniach zostają mi cuchnące plamy, jakbym dotykał brudnego kowczego runa.

– Odejdźmy, sitar nahargał – powiedziałem po amitrajsku. – To niegodne, byś zginął z ręki niewiernego zwierzęcia z Północy.

– *Hara!* – warknął. – Ani żelazo, ani ogień nie powstrzyma świętego słowa! Prawda jest mocniejsza niż miecz!

– Chodźmy – powtórzyłem cierpliwie, łagodnie, lecz nieustępliwie, ciągnąc starucha za rękaw. Burczał coś i mamrotał, ale ruszył naprzód, stukając kosturem i ocierając twarz z piwa.

– Czy chcesz się oczyścić z nieczystego napoju? – zapytałem, kiedy szliśmy ulicą, zostawiając pół kroku z tyłu powłóczącego nogami N’Dele.

– Ciało jest plugawe tak samo jak powietrze, woda i ziemia pękniętego świata. Nie można zmyć brudu brudem. Czysty jest jedynie duch, który wyszedł od Matki i ma do niej powrócić, ale on nie należy do nikogo.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

– Kim jesteś i dlaczego przerwałeś nauki, które głoszono w obliczu plugastwa? – odezwał się w końcu.

– Aby nie zadano zbędnej śmierci, która nie przyniosłaby niczego dla uszu głuchych na prawdę – odrzekłem.

– Z jakiego plemienia pochodzisz?

– Jestem psem wojny. Z rodu Sindarany. Teraz wędruję wśród obcych i tęsknię do prawdy.

– Prawdę masz nieść w sobie. Raz już została wyjawiona twoim uszom. Co robisz w tej krainie mroku i ohydy, gdzie twoje istnienie nie służy niczemu?

– Rzucił mnie tu los. Mnie i tego Kebiryjczyka, którego pokaziły gusła Lodowego Ogrodu. Szukam dla niego słów prawdy, które go uleczą.

– Czy nie wiesz, że on nie ma znaczenia, tak samo jak ty? Każdy z was jest jeden. To jedna kropla wody rzucona w piach. Kto spoglądałby na kroplę, gdy opodal płynie strumień?

– Chcę wrócić do strumienia. I tego samego pragnę dla niego. Może być użyteczny, tak jak każda kropla wzmacnia rzekę. Strumień składa się z kropel, choć jest większy.

– Jesteś pyskaty i bezczelny, jak na psa wojny. Tam, gdzie służyłeś, tolerowano takie ujadanie?

– Byłem w wielu miejscach, także na pustyni, i wiem, że czasem każda kropla jest bezcenna i nie warto jej marnować.

Teraz to on, sapiąc i drepcząc, prowadził mnie zaułkami Kawern w stronę, gdzie nocowali odmieńcy. Raz przeszliśmy opodal skrzyżowania, gdzie kiedyś napadli mnie młodociani złodzieje z bazaru, i ciarki przebiegły mi po plecach. Na mgnienie oka wrócił do mnie chłód ulewy, potoki krwi i smród smoczej oliwy.

Stanęliśmy pod drzwiami otoczonymi plątaniną niewielkich kamiennych postaci, którym poutrącano kończyny lub głowy. Starzec uniósł swój kostur

i uderzył trzy razy w drzwi, a potem odwrócił się i przewiercił mnie tym swoim kaprawym ślepiem.

– Przyjdź jutro o zmroku pod te drzwi – oznajmił. – Kiedy spytają, czego szukasz, odpowiedz, że pustynnego wiatru, który przynosi ogień prawdy.

Wieczorem poszliśmy do tawerny „U Śledzia”, gdzie spędziłem jakiś czas, popijając wodę i kiwając się za ławą, w oczekiwaniu, aż na drugiej ławie po przeciwległej stronie piwnicy zasiądzie mój informator, ale podobnie jak poprzednim razem i jeszcze poprzednim czekałem na próżno.

W nocy nietoperz dostarczył nam zaszyfrowaną odpowiedź od Nocnego Wędrowca, a potem N’Dele sam wziął szyfrującą pałeczkę, owinął ją paskiem cienkiego papieru i zapisał odpowiedź, następnie odwinął pasek i przepisał na małej kartce znaki tak, jak się ułożyły.

Był to prosty szyfr, ale nikt, kto nie miałby dokładnie takiego samego kijka, nie zdołałby go odczytać, do tego tu, na zamku, ryzyko, że ktoś przechwyci nietoperza, było niewielkie.

Nazajutrz stanęliśmy przed kamienną futryną ozdobioną okaleczonymi rzeźbami i kiedy wygłosiłem zdanie o pustynnym wietrze niosącym płomień prawdy, pojawił się starzec, który rozpoznał mnie i kazał prowadzić do środka. Mąż, który nas prowadził, był niemal wzrostu N’Dele, ale znacznie potężniejszej budowy, jego skóra była całkowicie biała, jak brzuch ryby, a łysa szpiczasta głowa z potężnymi szczękami wyglądała jak żywcem wyjęta z chorobliwych koszmarów, do tego oczy płonęły niesamowitym czerwonym blaskiem.

Szliśmy wąskim korytarzem, potem po stromych schodach cały czas w dół, skąd ciągnęło zapachem morza i szlamu, przewiew był na tyle silny, że pochodnia naszego przewodnika wydawała monotonny furkot płomienia.

Na koniec zatrzymaliśmy się pod jakimiś drzwiami, gdzie biały stwór uniósł wysoko pochodnię, wyciągnął rybią, oślizgłą dłoń i zaskakująco głośno zgrzytnął pazurami po deskach. Otwarto nam, z tyłu znajdowała się spora piwnica, oświetlona mdłym blaskiem paru zaledwie kaganków, i kilka rzędów klęczących ludzi, lecz my widzieliśmy tylko ich plecy i głowy okryte płaszczami. Plecy falujące jak morze, kiedy równocześnie bili czołami w pokłonie.

– Nakryć głowy, oznaczyć czoło i klękać – syknął strażnik z pochodnią.

Pomieszczenie miało trzy wyjścia – to, którym weszliśmy, i dwa prowadzące na boki z drugiej strony. Na wprost znajdowała się oświetlona na czerwono nisza, w której stał posąg Pani Żniw. Wyznawcy klęczeli w czterech rzędach i było ich czterdzieścioro ośmioro. Ten, który nas sprowadził, był jedynym odmieńcem i jako jedyny miał widoczną broń.

Ledwo wszedłem, spojrzałem w wytrzeszczone oczy Azziny i serce omal wyskoczyło mi z piersi. Natychmiast opuściłem twarz, odpiąłem płaszcz, by nałożyć go na głowę, i udało mi się ukryć grymas niechęci.

Mazidło w czarce stojącej na stole z boku było tłuste, pomyślałem, że to się musi ciężko zmywać i na pewno u zdrajców Ogrodu da się znaleźć ślady na czole i skórze palców.

Potem klęczeliśmy na końcu sali, z dłońmi opartymi na udach, unosząc się równocześnie i skłaniając przed posągiem tak głęboko, by dotykać czołem posadzki. Gdzieś, jakby zewsząd, dochodził śpiew kobiety, pieśń bez słów, wznosząca się i opadająca jak nieskończony krzyk. Równocześnie jakiś głos recytował modlitwę do Podziemnej Matki, po jednym wersie na raz, a wszyscy powtarzaliśmy go, pieczętując ukłonem.

Pramatko Matek, zatocz swój krąg!

Ukłon.

Samico Samic, otwórz swój dom!

Ukłon.

Trwało to długo.

Bardzo długo.

Po jakimś czasie otworzyły się drzwi po prawej stronie i weszło tamtędy dwóch zakapturzonych mężów. Znany mi nahardał i ktoś, kto nosił lśniącą srebrem maskę kapłana, mimo że jego płaszcz był czarny, tutejszy.

Muzyka, modły i pokłony ustały, a obaj usiedli pod posągiem na ziemi.

– Plugastwo miasta sprowadza gniew i wojnę bogów! – odezwał się ten w masce mocnym głosem.

– *Salakh akydylla!* – odpowiedział mu chór głosów.

I znowu pokłon.

– Matka upomni się o swoje!

– *Salakh akydylla!*

Pokłon.

To wszystko również trwało dosyć długo.

Ale w końcu ustało.

Potem mąż w masce wskazał kogoś srebrnym wskaźnikiem, który wyglądał jak szkielet dłoni o nadzwyczajnie długich palcach zakończonych szponami, z wyciągniętym wprost palcem wskazującym.

– Ty! Co zrobiłeś dla upadku miasta?

– Sprzedałem straży sos rybny zakażony morskim grzybem.

– Ty! Co zrobiłeś dla upadku miasta?

– Wskazałem Odrzuconym miejskiego szpiega.

I tak to szło. Ktoś dolał gnojowicy do piwnego słodu, ktoś wymalował złowróżbne zaklęcie na murach. W końcu przyszła kolej na mnie. Srebrny szpon wymierzył w moje czoło.

– Uratowałem świętego męża od niepotrzebnej śmierci – rzekłem.

– Jesteś tym, który przejrzał na oczy?

– Jestem tym, który się odnalazł – odparłem.

– Podejdź tu – rzekł ten w masce kapłana, więc podszedłem. – Przyjmij pocałunek prawdy.

Uniósł maskę i pocałował mnie w usta, i było to coś najbardziej odrażającego, co kiedykolwiek przeżyłem. Cuchnął dziwnymi ziołami, Żywicą Snów i jeszcze czymś, czego nie umiałem nazwać. Kiedy przycisnął oślizgłe usta do moich, poczułem jakby lodowatą mackę morskiego stwora obmacującą wnętrze mojej głowy. Było to przeraźliwe wrażenie, przypominające to, co robiły z moją głową kebiryjskie igły. Jednak podchodząc do kapłana, sięgnąłem po wspomnienie Czerwonej Wieży, tamtego ogromnego posągu Pramatki, i usłyszałem brzęczący dźwięk, jakim rozbrzmiewały tamte podziemia. Pozwoliłem, żeby wspomnienie urosło i wypełniło mi głowę, przesłaniając wszystko inne.

– A czego szukasz? – zapytał w końcu.

– Szukam pustynnego wiatru niosącego ogień prawdy. Prawdy, która uzdrowi mojego druha.

– Zapracuj na to, daj Matce, co jej się należy, a wstąpisz do podziemi zdać się na jej łaskę.

Przez kolejne dni musieliśmy wymyślać różne sposoby na to, by szkodzić twierdzy, a jednocześnie nie spowodować zbyt wielkich zniszczeń. To musiało być coś, co przyniesie uznanie zamaskowanego męża, a da się potem odwrócić.

Ulf podsunął nam w liście parę pomysłów, między innymi wskazał na targu kilka dostaw dla Górnego Zamku, które mogliśmy zanieczyścić bądź zniszczyć.

Innej nocy napadliśmy na dwóch strażników. N’Dele powalił pierwszego, zrzucając mu hełm i zadając błyskawiczny cios łokciem w głowę, mnie się udało tylko dzięki nagłemu kopniakowi w krocze, który wymierzyłem drugiemu, ale strażnik był szybki jak wąż, zdążył przekręcić biodra i mimo bólu, który zwinął go wpół, zdzielił mnie pałką. Sparowałem cios swoją laską i zdołałem go ogłuszyć, ale i tak rozbił mi głowę. Ostatecznie opuchlizna przecięta strupem długości mojego kciuka dodała mi nazajutrz przed kapłanem nieco wiarygodności. Po wszystkim zabraliśmy strażnikom broń, kolczugi i hełmy, a także tuniki ze znakiem drzewa, zostawiając nieprzytomnych i półnagich w zaułku, a zdobycz zanieśliśmy kapłanowi w masce.

Poza tym biliśmy pokłony przed posągiem, recytowaliśmy wersy Kodeksu Ziemi i czekaliśmy, kiedy nastąpi Przyzwanie. Nic takiego jednak nie nadchodziło.

Zaprzestaliśmy wtedy przeszpiegów, nocnego biegania po dachach i szukania tropów po gospodach. Ilekroć opuszczaliśmy karczmę, w której mieszkaliśmy, w zasięgu wzroku widać było któregoś z odmienionych, w pobliżu przemykał jakiś małoletni złodziejaszek albo napotykaliśmy wzrok kogoś okutanego kapturem i siedzącego samotnie, bez celu, o rzut kamieniem od wejścia do gospody.

Zacząłem też dostrzegać porozumiewawcze spojrzenia i znaki u przypadkowo napotkanych ludzi. Ślady czarnej farby na dwóch palcach prawej dłoni lub wtartej w zmarszczki na czole, amulet ze znakiem Podziemnego Łona albo dwóch księżyców, dyskretny gest, kiedy ktoś niby przypadkiem dotykał dwoma palcami czoła i ust. Handlarka na targu, przechodzień, roznosiciel drewna. Nie było ich wielu, to nie tak, że miasto zaczęło roić się od wyznawców Podziemnej, ale napotykałem coś takiego niemal codziennie.

Najgorsze jednak okazało się to, że mimo iż zdołaliśmy dostać się pomiędzy wyznawców, nie było sposobu, żeby dowiedzieć się czegokolwiek istotnego. Kapłan wydawał tylko polecenia, zaś nahardał udzielał nauk i pozostawał z boku. Raz spróbowałem zapytać, jak długo będziemy musieli czekać na upadek miasta i powrót prawdziwych bogów,

ale od jednego dowiedziałem się tylko, że „czas nadejdzie, kiedy nadejdzie, i że przelewa się miara plugastwa”, a drugi wygłosił gniewne kazanie o cierpliwości oraz o moim miejscu wśród wiernych, którzy mają być jak mrównice wspólnie dźwigające źdźbło, niezadające pytań i czekające na rozkazy. Po czymś takim przestałem pytać i pokornie biłem czołem w posadzkę, a nocami malowałem na ścianach klątwy w znakach obcych alfabetów, zachodząc w głowę, co zrobić, kiedy pewnego pięknego dnia każą nam kogoś zabić.

Odpowiedź Ulfa Nitj’sefniego była krótka i rzeczowa: „Wtedy natychmiast wyślij nietoperza, kiedy i kogo”. Ulżyło mi, ale tylko trochę, bo nie mogłem wiedzieć, czy będzie wtedy sposobność, by to zrobić.

Na razie wyglądało jednak, że i my czekaliśmy, i spiskowcy. Lód u Wybrzeża Żagli i na rzekach z pewnością zaczynał już puszczać. Tafle w porcie i na zatoce pękały z hukiem, a potem kruszyły się na mniejsze kawałki, pokrywające morze mrowiem kołyszących się białych odłamków. Jeśli wiosną miała nadpłynąć wroga flota, ktoś musiał odczekać, aż powróci czas żeglowania, skrzyknąć ją, wyposażyć i spuścić na wodę, a potem jeszcze znaleźć drogę do Lodowego Ogrodu. Jeśli ludzie kapłana czekali właśnie na to, zanosiło się na długie miesiące nudy.

Nie znalazłem też męża zwanego Szkarłatem ani żadnego śladu po nim, choć prawdą jest, że nie miałem pewności, kto kryje się za srebrną maską kapłana i ilu takich jeszcze snuje się po podziemiach Łasztowni czy Kawern.

Pewnego wieczoru, gdy zakończyliśmy obrzęd pokłonów przed posągiem Azziny, kapłan znów zaczął przepytywać wiernych z postępów walki z miastem. Kiedy nadeszła moja kolej, nie dał mi nawet otworzyć ust, lecz wskazał swoim szponem.

– Zostaniesz, gdy wszyscy wyjdą. Chcę z tobą mówić.

Poczułem lodowaty dreszcz na głowie i plecach, ale skłoniłem się tylko.

– *Hafram akydył* – odrzekłem służbiście, dotykając dłonią czoła i ust.

Rozbrzmiał gong. Wierni wyszli w milczeniu, tyłem, jak nakazywał obyczaj. Zostałem sam, klęcząc pośrodku podłogi w jakiejś piwnicy, przed podświetlonym kagankami posągiem, w ciężkim smrodzie kadzideł. Kapłan siedział sztywno na poduszce obok wnęki z Azziną i wpatrywał się we mnie czarnymi dziurami w swojej podłużnej, połyskującej masce, spowity

szkarłatnym płaszczem. Właściwie wydawało się, że składa się tylko z tej maski i płaszcza.

Po chwili milczenia rękawy jego szaty rozłączyły się, ukazała się biała dłoń, która sięgnęła po uchwyt małego dzwonka i nim potrząsnęła.

Jeden z Odrzuconych postawił przed kapłanem okrągłą tacę z dzbanem i dwoma czarkami, po czym wyszedł, nie mówiąc ani słowa.

– Wskazane jest, by rozmawiający nie siedzieli zbyt daleko – oznajmił kapłan.

Wstałem i ostrożnie podszedłem bliżej.

– Nalej naparu – nakazał.

Taca była miedziana, pokryta rysunkami jeźdźców i koni. Podobnie dzban z wylewem w kształcie dzioba czapli. Wszystko to mogłoby stać w wojłokowym namiocie amitrajskiego jeźdźca wśród rozległych stepów, bardzo daleko stąd, i aż trudno było uwierzyć, że tu trafiło.

– Wypij.

Pokręciłem głową.

– Boję się zgubnych napojów dających nienaturalną radość.

– Jesteś psem wojny – szczeknął. – Możesz dostawać zwolnienia ze świętych ograniczeń. Pozwalam.

Sięgnąłem po czarkę i upiłem łyk. Niechętnie i z wahaniem.

– Ilu ludzi zabiłeś?

Rozejrzałem się bezradnie.

– Byłem łucznikiem na galerze. Tego się nigdy nie wie, szyjąc z łuku w ciżbę czasem przez dym i ogień, sitar.

– „Sitar” mówimy do zwykłych wiernych, nie do kapłana.

– Wybacz, hargan. Nie wiem dokładnie. Wiem o dziewięciu zabitych twarzą w twarz. Mój łuk sięgnął jeszcze kilkunastu, może dwudziestu. Służyłem ledwo drugi rok, kiedy trafiłem na okręt Żeglarzy.

– Miałeś obowiązek umrzeć – zauważył sucho. – Wyschnąć jak ryba, która wypadła z ławicy.

– Zostałem ranny i byłem nieprzytomny, hargan. Potem postanowiłem wrócić do ławicy.

– Chcę, żebyś dla mnie znów zabił, Ardżuk.

Uniosłem wzrok, ale nic nie powiedziałem, czułem tylko, jak wali mi serce i wydawało mi się, że wzbudza echo pod sufitem. Dwie plamki mroku wśród lustra maski wpatrywały się we mnie uporczywie.

– Kogo? – spytałem w końcu.

– Dowódcę straży miejskiej z Łasztowni, który upodobał sobie prześladowanie wiernych i tropi nas nieustannie, za nic mając inne sprawy. Co więcej, bluźni przeciwko Pramatce i Kodeksowi Ziemi. Przyniesiesz mi jego głowę. Jutro.

– Hargan, jestem łucznikiem z galery, nie znam sztuki skrytobójców. Co więcej, mój druh jest chory i nie mogę na niego liczyć. Potrzebuję więcej czasu, by się do tego przygotować.

– Ile?

– Trzech, czterech dni, to zależy, kiedy trafię na odpowiedni moment. Nigdy nie robiłem niczego podobnego.

– Masz trzy dni, nie dłużej. Nazywa się Agnar Morski Wiatr, mieszka na ulicy Węglarskiej w dzielnicy Górny Pierścień, w domu zwanym Smocze Oko. Nie ukrywaj ciała, niech je znajdą. Po prostu go zabij, najlepiej w domu.

– Tak, hargan.

– I pamiętaj. Przynieś mi jego głowę.

Nietoperz od Ulfa wrócił tego samego wieczoru. „Przyjdź tam jutro w nocy i zabierz głowę”. Nitj’sefni zdumiał mnie i przeraził, choć właściwie przywykłem, by się niczemu nie dziwić.

Następnego dnia obudziłem się z żołądkiem pełnym strachu, rozbity i chory. Przed południem wyszliśmy z N’Dele, by zasiąść jak zwykle na ławie przed gospodą. Każdego dnia wyprowadzałem go i sadzałem tam, jakby był starcem, którego trzeba skłaniać do wyjścia na powietrze.

Siedzieliśmy tak, N’Dele siorbał zioła, a ja przeklętą wodę zakwaszoną octem przeciwko chorobom, która jeszcze drażniła mój obolały żołądek. Nie usiedzieliśmy zbyt długo, gdy podszedł jakiś mąż i oparł się o nasz stół.

– Dziwny dziś wiatr – oznajmił. – Czuje się, jakby wiał z pustyni. Jakby miał przynieść ogień prawdy.

Uniosłem na niego wzrok i ujrzałem chudego, niewysokiego męża o szczurowatej, przykrej twarzy i wystających zębach.

– Idź za mną – rzekł. – Coś zobaczysz.

Odwrócił się i odszedł, a ja zostawiłem N’Dele przed gospodą i ruszyłem za nim. Wędrował ulicami i zaułkami, stromymi schodami na mury, potem w dół, przez bramy i podcienia wyższych partii zamku, których prawie nie

znałem. Zatrzymał się przy wąskim domu wciśniętym pomiędzy inne, z wąskim wejściem, nad którym na szczycie portyku rozparł się kamienny smok, wyciągając przed siebie łeb z wytrzeszczonymi ślepiami.

Mój przewodnik klepnął od niechcenia w bramę i poszedł dalej. Zrozumiałem, że widzę dom o nazwie Smocze Oko.

Potem znowu wędrowaliśmy przez kamienne miasto, aż wróciliśmy do Łasztowni, gdzie usiedliśmy na chwilę przy targu rybnym, jak dwóch serdecznych przyjaciół. Takich, którzy albo się właśnie posprzeczali i nie mają ochoty się odzywać, albo znają się tak dobrze, że umieją milczeć, siedząc obok siebie.

Siedzieliśmy, wokół nas przechodzili ludzie, świeciło słońce, handlowano rybami, a my milczeliśmy.

Kilka razy minął nas oddział straży, ale mój przewodnik gapił się przed siebie i nie wyrzekł ani słowa.

Upłynął jakiś czas, aż przeminęło południe i na wieżach uderzył jeden dzwon, który oznaczał godzinę gęsi. Strażnicy snujący się po ulicach i bazarze zeszli się w jedno miejsce i zbili w gromadę, po czym ruszyli na spotkanie drugiego oddziału, który właśnie wyszedł z bramy.

– Pierwszy, idący na przedzie – powiedział mój szczurowaty towarzysz, patrząc nieruchomo przed siebie, nie zerkając ani na mnie, ani na idących strażników. – Nie nosi włóczni, w obszytym płaszczu, ze znakiem na hełmie i naramiennikiem.

Mąż prowadzący strażników miał wyniosłą minę, krótko przystrzyżoną czarną brodę i pobrużdżoną zmarszczkami twarz. Jego czarny płaszcz z białym znakiem drzewa miał naszyty na brzegu pas z żółtego materiału, na hełmie z przodu złocony krąg z symbolem drzewa w środku oraz na lewym ramieniu lśniący naramiennik podobny do trójkątnej tarczy, z takim samym znakiem.

Spojrzał na mnie przelotnie, przechodząc, i nasze oczy się spotkały.

Nie znałem go, ale był raczej przyjacielem – sojusznikiem, nie wrogiem, a mimo to miałem dzisiejszej nocy odebrać mu życie. Nie w walce, broniąc siebie lub towarzyszy, tylko jako morderca na usługach kapłana Pramatki.

„Przyjdź i zabierz głowę”.

Nie mogłem uwierzyć, że naprawdę miałem to zrobić.

Postanowiłem zdać się na Ulfa. Może coś wymyślił? Może wiedział, co robić?

Może...

– Widziałem dość – odezwałem się do mojego szczurowatego towarzysza. – Na pewno go rozpoznam.

– Kiedy tam pójdziesz? – zapytał.

– Dzisiejszej nocy.

– Będę czekał przed twoją gospodą.

Rozzłościłem się.

– Nie znam cię i na pewno ze mną nie pójdziesz. Ostatnie, czego mi trzeba, to nie wiadomo kto plączący mi się pod nogami. Wystarczy, że ja, prosty łucznik okrętowy, mam się brać za fach skrytobójcy.

– Wola kapłana – odparł krótko. – Chce, żebym spojrzał, jak zabijasz dla bogini.

Na to nic nie mogłem odpowiedzieć, więc zmilczałem, nie czując nawet już gorszego strachu, tylko coś w rodzaju rezygnacji. Miałem wrażenie, jakbym musiał przejść po żerdzi pomiędzy wysokimi dachami i na dodatek znienacka jeszcze ktoś założyłby mi worek na głowę.

W gospodzie czekała na mnie kolejna wiadomość od Nocnego Wędrowca. Dłuższa niż zazwyczaj. Kiedy przyszedłem, była już rozszyfrowana, bo N’Dele umierał z nudów uwięziony w pokoju na poddaszu.

„Przyjdź równo z dwunastoma dzwonami na wieżach. Wejdź sąsiednią bramą na podwórze, obok beczki znajdziesz uchylone okno. Cokolwiek się zdarzy, biegnij schodami na piętro. Pilnujemy wszystkiego. Będziemy za twoimi plecami, choć nie będziesz nas widział”.

Ledwo to przeczytałem, chwyciłem papier, szyfrujący kijek i tusz, mimo iż wiedziałem, że będzie za późno. Zapadł już zmrok, to, co Nocni Wędrowcy zamierzali, wymagało wielu przygotowań, a to z kolei oznaczało, że moja wiadomość będzie na próżno czekać na Górnym Zamku.

– Trzeba zaufać – pouczył mnie N’Dele. – Nie jesteśmy tu sami, choć tak się wydaje. Gdzieś tam, wcale nie tak daleko, kilka murów i kilka ulic stąd, jest wielu ludzi, którzy myślą o tym samym co my i mają ten sam cel. Wiele razy gdy wychodziliśmy w nocy na przeszpiegi, widziałem na murach przyczajonych ludzi w strojach Nocnych Wędrowców, jak wypatrywali i mierzyli z kusz w miejsca, z których mogłoby nam cokolwiek zagrażać. Często czuję ich gdzieś poza zasięgiem wzroku. Nie

widać ich, ale są tam. Tak jak napisał Ulf. Jesteśmy Amzika Wazingu, Wędrujący Nocą. Dbamy o swoich. Dlatego przygotuj się tak, jakbyś naprawdę był tym, kto idzie nocą zabić wroga, i nie rozpraszaj myśli. Mają być jak stado antylop, co gna w jednym kierunku, a nie jak spłoszone króliki pierzchające gdzie popadnie. Najgorsze jest zaś to, że najbardziej ze wszystkiego chciałbym iść za ciebie.

Założyłem więc burą, niewyróżniającą się kurtę z kapturem, pod którą ukryłem amitrajski miecz, założyłem na przedramiona skórzane karwasze wzmocnione metalem, zapiąłem pas z ukrytym z tyłu małym nożykiem oraz zawiesiłem na szyi kastetowe ostrze Brusa. Nie zabrałem noża tropiciela. Okrętowy łucznik na pewno nie mógł takiego mieć ani pewnie nawet go nie widział, a kireneńscy zwiadowcy raczej ich nie gubili.

Uścisnęliśmy sobie przedramiona i karki, tak jak mieli w zwyczaju Ludzie Ognia, po czym zamknąłem za sobą cicho drzwi i zszedłem do gospody.

W karczmie zamknięto już zasuwy w głównych odrzwiach, choć w głównej halli płonął jeszcze ogień i kilkoro gości kołysało się za stołem nad dzbanami. Wymknąłem się łatwo tylnym wyjściem przez podwórze, po czym ruszyłem szybkim krokiem w stronę Górnego Pierścienia. Wiedziałem, że człowiek kapłana tkwi gdzieś w pobliżu, ale nie zamierzałem ani na niego czekać, ani niczego mu ułatwiać.

Dogonił mnie dwie przecznice dalej i wędrował u mojego boku, z głową skrytą w kapturze, który osłaniał jego szczurzą twarz.

– Jedna sprawa – wycedziłem. – Nie wymądrzasz się, nie odzywasz i nie przeszkadzasz mi. Jeśli uznam, że wystawiasz mnie na niebezpieczeństwo, zawracam do gospody.

Parsknął tylko i nic nie odpowiedział.

Milczał również, gdy zgubiłem drogę i stałem bezradnie na skrzyżowaniu, usiłując sobie przypomnieć, którędy szliśmy dzisiejszego południa. Założył jedynie ostentacyjnie ręce i gapił się z drwiącym uśmieszkiem.

Splunąwszy pogardliwie przez zęby, wybrałem kierunek na chybił trafił i wkrótce zacząłem rozpoznawać zaułki. Noc wydawała się niemal ciepła, śnieg całkiem zniknął z ulic, poza tym było pusto, tylko gazowe latarnie lśniły swoim dziwnym rtęciowym blaskiem, niepodobnym do normalnego ognia. Z rzadka mijałem paroosobowe grupki spóźnionych przechodniów.

Kiedy dotarłem już do Górnego Pierścienia, szedłem ostrożniej, a gdy dobiegł mnie gruchot ciężkich butów miejskich strażników i postukiwanie drzewc o bruk, schroniłem się w zaułku i poczekałem, aż przejdą. Gdyby nie przeklęty szpieg kapłana, po prostu zabrałbym amulet ze znakiem drzewa, oznaczający, że jestem mieszkańcem i mam prawo pałętać się nocą w Górnym Zamku.

Wypatrywałem też jakichkolwiek śladów innych Nocnych Wędrowców, lecz bez skutku. Miasto trwało wśród nocy, połyskując ciemnymi oknami pomiędzy pstrzącymi wszystko cieniami łuków, maszkaronów i gargulców.

Zrobiło się chłodniej i w zaułki wpełzła mgła, która wysnuła się nie wiadomo skąd. Mgła jest dobra. Mgła sprzyja złoczyńcom, złodziejom i mordercom.

Szedłem i usiłowałem uspokoić oddech i serce.

Na Węglarskiej panowała ta sama cisza i martwota co wszędzie. Na jakiś czas skryłem się w bramie, obserwując Smocze Oko i upewniając się, że nikt mi nie przeszkodzi. Mój szczurowaty towarzysz milczał i obserwował, co robię, z krzywym, pogardliwym uśmieszkiem.

Stałem długo oparty o portal, skryty w cieniu, czekając, rozgrzewając dłonie i splatając palce. Czułem szczurka za plecami, jego pogardę i niecierpliwość. Kilka razy parsknął cicho, ale na więcej nie mógł sobie pozwolić. Wciąż mogłem zawrócić i iść do domu.

Gdzieś wysoko rozbrzmiał pisk nocnego drapieżnika, potem posępne wołanie puszczyka. W Lodowym Ogrodzie gnieździło się wiele ptaków i ich nawoływania nikogo nie dziwiły, ale o tej porze roku było na nie odrobinę za wcześnie. Wyobraziłem sobie, że to znak, który ma dodać mi otuchy, i rzeczywiście tak się stało.

Stałem jeszcze chwilę, czując, jak przyczajony za mną szpieg aż paruje ze złości, i nie ruszałem się, nawet oddychałem zupełnie bezgłośnie.

Na wieżach całego grodu odezwały się dzwony, obwieszczając godzinę sowy.

Z ostatnim uderzeniem oderwałem się nagle od bramy i szybkim krokiem ruszyłem do wąskiego zaułka obok Smoczego Oka, a potem ostrożnie wspiąłem się na stertę beczek i skrzynek, by sięgnąć korony muru, i zeskoczyłem na wewnętrzne podwórze. Nie było psa, nie było strażnika, nikt nie czuwał. Chwilę trwałem przyczajony nisko przy ziemi, z ręką na kościanej rękojeści jasargana.

Szpieg przeskoczył mur i też się przyczaił, ale w ciemnościach kopnął jakiś skopek, który z drewnianym turkotem potoczył się po kamieniach. Syknąłem z dezaprobatą i postanowiłem odczekać jeszcze dłużej. W takich razach należy wykazać większą cierpliwość niż ktoś, kto mógłby obudzić się i nasłuchiwać. Będzie czekał, czy pojawią się następne hałasy, niepewny, czy mu się śniło, czy też słyszał coś naprawdę. Niech się znudzi, zacznie walczyć z sennością i uspokajać samego siebie, że to tylko szczur, łasica albo bezpański pies.

Kiedy upłynęło dostatecznie dużo czasu, uniosłem się wreszcie i przemknąłem do drzwi. Sprawdziłem je dla pozoru, oczywiście były zamknięte, sprawdziłem kolejne okna, aż dotarłem do małego okienka w samym rogu, o którym pisał mi Ulf. Okienko okazało się wąskie, ale dałoby radę się przez nie przecisnąć bez trudu. I tak jak obiecywał Nitj’sefni, było niedomknięte.

Ostrożnie uchyliłem je na zewnątrz. Podskoczyłem, chwytając za kamienną futrynę, a potem wsunąłem jedną rękę i głowę w otwór i przewinąłem się do środka, spadając na zimną posadzkę.

W pomieszczeniu nie było zupełnie ciemno. Wyraźnie widziałem kwadrat paleniska pod okrągłym okapem, gdzie wśród wypalonych węgli pełgał jeszcze żar, ruszt zawieszony na łańcuchach, rzędy tasaków i rondli na ścianach, pęki ziół i kosz bulw. Żelazny kocioł na podłodze.

Szpieg przecisnął się przez okienko, stękając, sięgając rękoma podłogi i wlokąc za sobą nogi, jakby miał przetrącony kręgosłup. Chwyciłem go za połę kurtki i ściągnąłem w dół, by przyczaił się nisko obok mnie.

W domostwie panowała cisza, tylko gdzieś z oddali dobiegał odgłos chrapania.

Nadal przyczajony i zgięty wpół ostrożnie okrążyłem palenisko i ruszyłem do drzwi. Po drodze namacałem kocioł z resztkami potrawki, przesunąłem dłoń po jego bokach, zbierając grubą warstwę tłustego kopcia i sadzy, a potem wysmarowałem sobie twarz.

Wypełzłem z kuchni i wśliznąłem się w cień następnej izby. Przez okna z kolorowymi szybkami wpadał do wnętrza blask ulicznych latarń, malując poblaski na kolumienkach, kamiennych wąskich schodach prowadzących na górę oraz łukowych odrzwiach do kilku innych pomieszczeń.

Lampy nie były wyłączone, ich knoty pełgały drżącymi błękitno-zielonymi płomyczkami, jak świetliki. Dokładnie w chwili gdy to

zauważyłem, wszystkie równocześnie zasyczały i wystrzeliły w górę, oświetlając hol jaskrawym światłem.

W mgnieniu oka poczułem, jakby w moich żyłach zamieszkały mrównice. Rozległ się dziki wrzask: „Ratunku! Złoczyńcy!” i nie wiadomo skąd pojawił się mąż w czarno-białej tunice, z mieczem w ręku, który rzucił się na mojego towarzysza. Usłyszałem dźwięczne zderzenie ostrzy, łomot przewracanych mebli, po czym sam uskoczyłem w bok, dobywając jasargana i nie mając pojęcia, co się dzieje.

„Cokolwiek się zdarzy, biegnij schodami na piętro” – usłyszałem w głowie i tak zrobiłem, przeskakując kamienne stopnie z odwróconym mieczem w ręku. Z dołu dobiegały wrzaski i łomoty toczącej się tam walki.

U szczytu schodów znowu zamarłem, nie wiedząc, co dalej czynić, gdy ktoś w ciemności chwycił mnie za nadgarstek i oplótł mi ramieniem szyję. Sprężyłem się rozpaczliwie, gdy usłyszałem szept wprost do ucha:

– Ogień i Drzewo! Uspokój się.

Otwarto drzwi i wepchnięto mnie do komnaty, drzwi zamknęły się natychmiast.

Stałem w oświetlonym posykującymi lampami alkierzu, mrużąc oczy, dysząc i rozcierając szyję, zupełnie osłupiały.

Mąż za mną, spowity w smolistą czerń, w kapturze i z maską, odpiął ją i pokazał mi twarz Warfnira. Pośrodku pokoju zaś stali Ulf, także w ciemnym stroju Nocnego Wędrowca, ale bez maski i z odrzuconym kapturem, oraz ten, którego miałem rzekomo zabić – Agnar Morski Wiatr, dowódca miejskiej straży. We własnej osobie. Miał na sobie zwykłe, niewyróżniające się odzienie oraz narzucony na ramiona brązowy sukienny płaszcz. Bez tuniki, naramiennika i hełmu wyglądał trochę inaczej. Był zupełnie łysy, o lśniącej gładkiej czaszce, a zarost otaczał mu jedynie usta szorstkim kręgiem. Wydawał się wielki, kiedy stał tak na rozstawionych nogach i patrzył na mnie ze złością. Przemknęło mi przez myśl, że nikt nie uwierzy, że mogłem kogoś takiego pozbawić głowy, choćbym nawet zaskoczył go w łóżku.

W następnej chwili przestałem mrugać, przywykłem do oślepiającego blasku i nagle zobaczyłem, że komnata wygląda jak rzeźnia. Łóżko z rzeźbionymi wezgłowiami, zasłane lnianą pościelą, niewielki stolik do pisania, karło, kufry pod ścianami, same ściany, wszystko zbryzgane było świeżą krwią, w płótnie pościeli stały kałuże, podobnie na podłodze.

Wszystko było czerwone, mokre, ociekało i cuchnęło jak miejska jatka. Dlatego dopiero po chwili zobaczyłem, że to, co wziąłem za skłębioną, przemoczoną pierzynę, to zaplątane nogami w pościeli, wpół zwisające na podłogę bezgłowe ciało wielkiego mężczyzny z rozrzuconymi bezwładnie rękoma. Sama głowa spoczywała opodal na boku, w wielkiej kałuży krwi, z półotwartymi ustami i wpatrywała się we mnie martwym wzrokiem spod niedomkniętych powiek. Była to ta sama głowa, tego samego człowieka, który wpatrywał się we mnie z groźbą w oczach.

– Ocknij się – powiedział sucho Nitj’sefni. – Grunaldi zajmie twojego przyjaciela jeszcze przez chwilę, ale nie mamy dużo czasu. Zabierzesz skórzany worek spod stojaka ze zbroją i zapakujesz głowę. Jest już wykrwawiona, nie przesiąknie. Uciekasz na dół do holu, tam otworzysz sobie drzwi z zasuwy i lecisz do swojej gospody najkrótszą drogą, po czym wejdziesz po gzymsie, tak jak to już robiłeś. Nie zawracaj sobie głowy kluczeniem, dopilnujemy, żeby nie było kłopotów.

– Ale... jak... – wybełkotałem.

– Tak, wiem – odparł ze zniecierpliwieniem. – Nie przejmuj się, nie miał brata i nikogo nie zabiliśmy. W Lodowym Ogrodzie ludzie też umierają. Przemieniliśmy tego nieszczęśnika pieśnią bogów i tylko pożyczamy jego głowę. Nie zbiednieje, chwilowo mu do niczego niepotrzebna. Po wszystkim wyprawimy gościowi przyzwoity pogrzeb. Wysuń ręce. Musisz wyglądać jak ktoś, kto właśnie kogoś zarżnął. Dwie przecznice na zachód jest studnia, umyjesz się tam po wierzchu.

Wyciągnąłem dłonie, a Ulf wyjął z dzbanka wypełniony krwią pęcherz, nakłuł go i ciepła posoka chlusnęła na moje przedramiona, obryzgując też przód kurty i twarz, poczułem ciężki, żelazisty smród kowczej juchy. Wzdrygnąłem się odruchowo i wyplułem to, co dostało mi się do ust.

– Wystarczy.

– Chwileczkę – odezwał się naraz Agnar, obserwujący wszystko w milczeniu. – Jeszcze jedno.

Podszedł do mnie i znienacka grzmotnął mnie krótkim, potężnym ciosem, po którym cała komnata fiknęła koziołka, a ja przewróciłem stolik do pisania, rozrzucając zwoje, lampy, szpargały i trzcinki, i pojechałem plecami po zbryzganej podłodze aż pod ścianę.

Nie ogłuszył mnie, ale czułem, jakby moja kość w policzku pękła niczym gliniany dzban. Porwałem się na nogi, szczerząc zęby, i pchnąłem

strażnika w pierś, podrywając jasargan do prawego ucha, równocześnie Warfnir wepchnął się pomiędzy nas, unosząc pięść, i w tej samej chwili Ulf błyskawicznie splótł swoje ramię z ramieniem Agnara i szerokim kopnięciem podbił mu obie nogi, obalając na plecy.

Przez kilka chwil zwisał nad strażnikiem, przygniatając kolanem, jedną ręką wykręcając mu ramię, z drugą wzniesioną do ciosu i lżył go w tym swoim obcym trzaskającym języku, brzmiącym jak tłuszcz skwierczący na blasze, a potem jeszcze w tym drugim, kamiennym jak hurgot młyna.

– To z moją głową pod pachą będzie spacerował, *hajsfynga*! – wystękał Agnar Morski Wiatr.

– Zawsze możemy naprawdę użyć twojej, durny koźle – warknął Nitj'sefni. – Na nogi i żadnych numerów, *molopaa*!

Spojrzał na mnie:

– W porządku?

Potrząsnąłem głową wypełnioną pulsującym bólem i odłamkami potłuczonego dzbana. Mój policzek nabrzmiewał ogniem i rósł w oczach.

– Przeżyję.

– Trzymaj się, chłopcze, znikamy. Pamiętaj, że zawsze jesteśmy za twoimi plecami.

Szarpnął kotarę, odsłaniając kolejne drzwi, za którymi stała ciemność, i pociągnął Agnara za kołnierz.

– Jeszcze o tym pogadamy, ty bucu, cabanie drętwy! – warknął do niego. – Jak z tobą skończę, będziesz chciał się zamienić z tym na podłodze.

Weszli w ciemność, Warfnir wyszedł ostatni, unosząc dłoń na pożegnanie, i zasunął kotarę, kiedy na schodach rozległ się gwałtowny odgłos kroków kogoś w pośpiechu przeskakującego stopnie.

Kiedy człowiek kapłana otworzył drzwi, zastał mnie pośrodku zrujnowanej komnaty, zbryzganego krwią, z krwawym jasarganem w ręku, nad bezgłowym trupem.

Chwycił mnie za ramię, otwierając usta, by coś powiedzieć, lecz odwróciłem się, gwałtownie zbijając jego rękę. Skoczyłem na niego, wbijając mu kolano w podbrzusze, po czym pchnąłem na ścianę, wciskając przedramię w gardło i mierząc sztychem prosto w oczy.

– Ani śmiej choćby wyciągnąć palec w moją stronę, larwo! – wysyczałem przez wyszczerzone zęby. – Chcesz zobaczyć, jak zabijam?!

Chcesz?! Zaraz ci pokażę! Tylko choć raz mnie dotknij!

Splunąłem mu w twarz krwią, która sączyła mi się ze zmiażdżonego policzka i wypełniała usta.

Wybałuszył paciorkowate oczy, szczerząc wystające zęby, i wyglądał teraz już całkiem jak bezwłosy szczur.

Trzymałem go tak przez chwilę, miażdżąc mu gardło i dysząc bojową furią, po czym puściłem i pozwoliłem osunąć się po ścianie i kaszleć.

– Tamten uciekł... – wyrzęził. – Zaraz sprowadzi pomoc...

Wytarłem ostrze o leżący na ziemi koc, schowałem broń, po czym sięgnąłem po skórzany worek leżący u stóp stojaka, na którym lśnił półpancerz ze znakiem drzewa na piersi. Rozwarłem worek, lekkim kopnięciem wtoczyłem głowę do środka i zaciągnąłem rzemień. Była o wiele cięższa, niż sądziłem.

– Precz stąd – warknąłem. – Przez drzwi na dole i na ulicę. I żebym cię więcej nie zobaczył, bo zabiję.

Powrót do domu przypominał sen. Myłem ręce i twarz w korycie przy studni, patrząc na spływającą ze mnie krew, czarną w świetle latarni. Przemierzałem puste ulice w kłębach mgły, a ciężki skórzany worek z ludzką głową obijał mi się o nogi, jakbym niósł w nim kamień.

Byłem zmęczony tak, że plątały mi się nogi, a jednocześnie czułem ulgę, bo nie dźwigałem brzemienia zamordowania niewinnego człowieka. W tamtym czasie obciążyłem już swoje go-hanmi życiem kilku ludzi, ale to byli wrogowie. Ci, którzy nastawali na mnie z bronią w ręku. Miałem krew na rękach, lecz miałem prawo ją przelać. Nie czyniła ze mnie mordercy, stanowiła tylko wojenny los. Czułem, że zabicie człowieka po to, by utrzymać się w roli szpiega, to dla mnie za wiele, i cieszyłem się, że Ulf to rozumiał. To dawało poczucie, że walczę po słusznej stronie.

Kiedy przeszedłem po gzymsie z workiem przewieszonym przez plecy, ledwo chwyciłem futrynę okna i myślę, że spadłbym, gdyby N’Dele nie chwycił mnie za nadgarstek i nie wciągnął do środka.

Aligende spojrzał tylko na mnie, po czym wyjął z ukrycia płaską, obszytą futrem flaszkę i nalał mi pełną czarkę. W powietrzu zapachniało miodowymi śliwami i ostrą wonią destylatu. Ambrija. Wychyliłem bez słowa, ale tym razem nie zakrztusiłem się, mimo że był to płynny ogień pochodzący ze sfermentowanych owoców i dający grzeszną, nienaturalną radość.

Opowiedziałem przyjacielowi, co się wydarzyło, po czym umocowaliśmy rzemień worka przy ścianie i wywiesiliśmy za oknem, kryjąc go wśród pokręconych bezlistnych łodyg bluszczu.

Tej nocy po raz kolejny siedziałem w pustej łaźni, skulony po szyję w wodzie, zanurzony w kamiennym basenie, i drżałem, patrząc na płomyki kaganków.

Nazajutrz po wieczornym obrzędzie kapłan podobnie jak przedtem wyciągnął do mnie swój wskaźnik. Kiedy srebrny, chudy jak kończyna pająka palec szkieletu wymierzył w moją głowę, kapłan nie dał mi otworzyć ust i kazał zostać po modłach, by mógł się ze mną rozmówić. Odczekaliśmy więc do końca modłów, klęcząc na swoich miejscach. Gdy wszyscy wyszli, a kapłan posłał po napar, wziąłem swój makabryczny pakunek, chwyciłem N’Dele pod pachę, pomagając mu wstać, i podszedłem do posągu.

Znów siedzieliśmy tak samo, on na podwyższeniu, na haftowanej poduszce, ja na posadzce u stóp posągu Azziny, wpatrującej się we mnie dzikim wzrokiem, z wydętym brzuchem i ofiarnym sierpem w dłoni.

Tylko tym razem nieco z tyłu siedział N’Dele z ogłupiałym, obojętnym wyrazem twarzy i kiwał się lekko.

– Ponoć wykonano rozkaz Pramatki, choć nie widziano samego czynu – odezwał się kapłan.

– Ten, który poszedł ze mną, wdał się w walkę ze strażnikiem i nie zdążył, a ja nie mogłem czekać. To był wielki mąż, nie dałbym mu rady w otwartej walce.

Sięgnąłem za siebie i przesunąłem worek. Mimo wiosny wciąż było na tyle chłodno, że jego zawartość nie zdążyła zaśmierdnąć.

Wskazał srebrnym palcem szkieletu miejsce obok tacy z dzbanem.

Położyłem worek na podwyższeniu i szarpnięciem rozluźniłem rzemień. Kapłan wyciągnął od niechcenia swój wskaźnik i odsunął krawędź worka, by popatrzeć na szarawą twarz z wywróconymi oczami pod na wpół opadłymi powiekami.

– Bluźnił przeciwko Kodeksowi, a teraz leży tu bez ciała i patrzy w mrok, a jego duszę pożerają bezokie podziemne demony Pramatki. Oto los odstępców, niewiernych i zdrajców. Wkrótce wiele takich głów znajdzie się na murach nadzianych na tyczki, a serca mieszkańców przeklętego

grodu zetnie strach i nie ośmielą się nawet szepnąć przeciwko słowu Matki, niech wszystko stanie się jednym.

Skłoniłem głowę.

– *Hafram akydył* – wyrecytowałem.

Milczał przez chwilę, patrząc na mnie z góry przez swoją lśniącą maskę.

– Posłuszeństwo jest godne pochwały – oznajmił. – Możesz teraz zadać pytanie i zostaniesz wysłuchany.

Zawahałem się. To mogła być dobra okazja, by dowiedzieć się którejś z wielu rzeczy, jakich chciałem, ale równie dobrze mogłem dać się zdemaskować. Postanowiłem zapytać o coś bez większego znaczenia.

– Hargan... chodzi o niewiernych, którzy są między nami. O tych mających dziwne ciała, Odrzuconych przez Drzewo. Nie nawrócili się. Nie czczą Pramatki i nie należą do narodu Amitraju. Czego więc chcą od nas? Nie rozumiem.

Syknął pod maską, może było to kaszlnięcie, a może się zaśmiał, choć właściwie śmiech był zakazany.

– Rozczarowałeś mnie, chłopcze. Pusta ciekawość zaprowadziła cię w miejsca niedostępne dla kogoś twojej kasty. Ale obiecałem, więc odpowiem. To prawda, że odmienieni nie czczą Pramatki. Ale sławią siłę i drapieżność. A nic na tym świecie nie ma większej siły i nic nie jest tak krwiożercze jak rozjuszona Matka walcząca o swoje dzieci. Sądzą, że kiedy nadejdzie Ogień, będą mogli posmakować tej siły, i chcą przyłączyć się do zniszczenia. Sami zaproponowali nam swoje usługi, więc uznaliśmy ich za *tarman gahał*. Tych, co są nieświadomi, lecz użyteczni, jak woły ciągnące wóz. Dajemy im okazję posmakować krwi, a oni to uwielbiają. Umiemy skierować ich gniew i nienawiść ku pożytecznemu celowi, tak jak umiemy skierować strumień na koło młyńskie. Do czasu będziemy ich tolerować. *Hafram akydylla*. Teraz zabierz worek, swojego towarzysza i pójdźcie za mną. Będziecie mogli złożyć wotum w godnym miejscu.

Poszliśmy za nim przez boczne drzwi, oświetlonymi pochodniami korytarzami, gdzieś w chłód piwnic ciągnących się pod miastem. Szliśmy tak długo, klucząc i skręcając w kolejne korytarze, aż znaleźliśmy się w okrągłej naturalnej jaskini oświetlonej ukrytymi lampami, które rzucały dziwaczny zielonkawy blask na sterczące ze stropu kamienne iglice i widoczny w sąsiedniej pieczarze posąg Pramatki. Przed nim na lśniącym od wody ołtarzu zrobionym z przeciętej na pół skały leżały odcięte głowy

w różnym stadium rozkładu, a w powietrzu unosił się ciężki smród zgnilizny. Patrzyłem przez chwilę na żabio uchylone usta i martwe oczy, które spoglądały na mnie ze wszystkich stron.

– Złóżcie wotum – nakazał kapłan. Nie wiadomo skąd rozległo się ponure brzęczenie, jak odgłos wielkiej drewnianej trąby, a na obrzeżach pieczary pojawiło się kilku Odrzuconych. W mroku i słabym świetle zamajaczyły półzwierzęce pyski, lśniące, nieludzkie oczy, hakowate kły.

Miałem z tyłu ukryty płaski nóż, N’Dele wspierał się na moim kiju szpiega, który udawał jego laskę, chyba trzymał też nóż tropiciela. To wszystko.

Spojrzałem na kapłana wskazującego swoim srebrnym szponem ofiarny stół, rozsznurowałem worek i wytoczyłem głowę nieszczęśnika pomiędzy inne.

– Tak... – oznajmił kapłan z zadowoleniem. – Nadchodzi czas podziemnego misterium. Wielkiej uczty, na którą wierni będą wezwani, by wszystko stało się jednym.

Klasnął w dłonie i odmieńcy podeszli z czterech stron, ale my staliśmy spokojnie, czekając na to, co miało się zdarzyć. Jeden z dziwolągów o mięsistej twarzy podobnej do pyska bawołu trzymał drewnianą tacę zawierającą dwie czarki.

– Zadanie zostało wypełnione – rzekł kapłan. – W nagrodę udziela się zezwolenia na wypicie mlecznego ognia.

Omal nie parsknąłem. Spodziewałem się nie wiadomo czego. Dwie czarki mlecznego ognia... Dla pobożnych Amitrajów był to święty napój, wydzielany od wielkiego święta, którym zezwalano wówczas raczyć się tylko kapłanom oraz kobietom. Czasami też pozwalano pić go wojsku w nagrodę, przy ceremoniach, które towarzyszyły nadawaniu rang albo zaszczytów za dzielność w walce. Tyle tylko, że tak naprawdę był to słaby trunek, robiony z kobylego mleka, słodkawy, zalatujący skisłym twarogiem. Pijałem go nawet jako dziecko, kiedy odmawiano mi mocniejszych napojów, w czasie amitrajskich świąt, siedząc u boku ojca w śmierdzącym wojłokowym rytualnym namiocie, rozstawianym na Łące Tysiąca Kwiatów, i podziwiając parady wojskowe. Gdzież mu było do palmowego wina, ambrii albo zwykłego korzennego piwa.

Wziąłem czarkę z tacy i znów poczułem ten zapach. Brakowało jeszcze piżmowego, koźlego odoru namiotu oraz mdłego fetoru opalonego na

węglach tłustego mięsa świstaków, żebym cofnął się w czasy dzieciństwa.

Odmienieni zbliżyli się do nas jeszcze bardziej, kiedy piliśmy, łakomie patrząc na czarki w naszych rękach.

Mleczne piwo miało niezupełnie taki smak, jak pamiętałem, i chyba było jeszcze gorsze, ale wspomnienie dzieciństwa ogłupiło mnie do tego stopnia, że gdy N’Dele nagle wypluł zawartość czarki prosto w twarz najbliższemu odmienionemu, sam przełknąłem to, co miałem w ustach. Zrozumiałem, co się dzieje, dopiero kiedy moje wargi i język zamieniły się w kawałki drewna.

Drętwa woda.

N’Dele wyskoczył w powietrze, opierając się na kiju szpiega, i kopnął najbliższego odmieńca w głowę, przekręcił się, trafił jeszcze jednego, a potem wylądował, podrywając kij, i wymierzył następny cios w głowę kolejnego. Obrócił drągiem w powietrzu, opisując nim skomplikowany znak, a potem przerzucił przez plecy, wyciągając jeden koniec w moją stronę. Chwyciłem i przekręciłem, uwalniając miecz, a potem odwróciłem się w stronę kapłana, który uskoczył zwinnie za kamienną kolumnę, zamiatając swoim płaszczem. N’Dele znowu obrócił kijem, usłyszałem, jak z trzaskiem blokuje się ostrze włóczni, jeden z odmienionych runął na ziemię, drugi potrząsał głową, po której toczyły się strugi krwi, trzeci zataczał się bezwładnie, trzymając za brzuch.

Ja jednak nie czułem już twarzy, dno jaskini nagle wydało mi się miękkie jak trzęsawisko i zaczęło zapadać się pod moimi nogami, więc zrobiłem tylko kilka koślawych kroków, wlokąc końcem ostrza po ziemi, i chwyciłem za brzeg ołtarza, który okazał się znacznie dalej, niż powinien. Dźwięk trąb pulsował mi w uszach, niczym daleki zew morskich bestii, a żołądek podszedł mi do gardła jak na pokładzie galery. Przewracając się na stół, zobaczyłem, że N’Dele też zaczyna się zataczać i tracić równowagę, a gdzieś z ciemności nad nim spada sieć obrzeżona ciężarkami. A potem moja twarz uderzyła w cienką warstewkę wody na powierzchni gładkiego, zimnego stołu ofiarnego.

Ostatnie, co zobaczyłem, to sina twarz Agnara Morskiego Wiatra, patrząca na mnie z szyderczym, krzywym uśmiechem.

Przebudzenie po drętwej wodzie zawsze jest takie samo. Ciemność, ból głowy i pragnienie. Gardło jak wyschnięta na słońcu skóra, język jak

tkwiące w ustach zdechłe zwierzę. Nawet moje oczy wydawały się suche. Na karku i w skroniach coś pulsowało boleśnie, jakby chciało wydostać się na wolność. Nie wiedziałem, gdzie są kierunki świata, nie wiedziałem nawet, gdzie jest góra i dół.

Wydało mi się, że oślepłem.

Zamykałem i otwierałem rozpaczliwie oczy, ale nie było żadnej różnicy. Jedyne, co odczuwałem, to lodowata powierzchnia mokrej skały i zimny, ciężki ucisk na nadgarstkach i kostkach nóg. Spróbowałem się poruszyć, usłyszałem brzęk żelaznych ogniw i poczułem szarpnięcie za nogi.

Udało mi się usiąść, mimo że w mojej pogrążonej w mroku głowie wszystko wywróciło się do góry nogami, a ból przeszył skronie jak oścień.

Zwinąłem się wpół i zwymiotowałem sobie na nogi. Teraz siedziałem nie tylko w ciemności i wilgoci, ale i w ostrym smrodzie zawartości własnego żołądka.

Byłem nagi. Na rękach miałem żelazne kajdany połączone ze sobą kilkoma ogniwami. Pośrodku wymacałem kolejny łańcuch biegnący do oków, którymi spętano mi nogi, a potem jeszcze dalej, gdzieś w mrok. Szarpnąłem nim bez wielkiej nadziei, oczywiście trzymał jak przyrośnięty. Gdybym zdołał wstać, mógłbym zrobić najwyżej dwa kroki.

Przetoczyłem się na bok, usiłując wyciągnąć skute dłonie, ile się dało. Przez jakiś czas wiłem się po podłodze niczym oślepły wąż, aż namacałem ścianę. Nieregularną, pełną krawędzi i załamań powierzchnię surowej skały.

A więc nadal jaskinia. Gdzieś głęboko pod miastem, w labiryntach korytarzy wewnątrz góry, gdzie nikt mnie nie usłyszy i nawet Ulf mnie nie wywęszy.

Pełznąc, grzechocząc łańcuchami i obijając całe ciało, wymacałem jeszcze dwie ściany oraz otwór między nimi, zamknięty kratą z grubych jak kciuk prętów, których już ledwo dosięgałem dłońmi, napiąwszy łańcuch trzymający mnie za kostki nóg. Prócz tego był już tylko kamień.

Ludzie cywilizowani nawet najnędzniejszemu i najbardziej znienawidzonemu wrogowi wstawiają do celi przynajmniej jedną rzecz. Dzbanek wody. Jeśli nie kawałek chleba, to przynajmniej kilka łyków życiodajnego płynu, w najprostszym ludzkim odruchu. Tylko że ja nie padłem ofiarą ludzi cywilizowanych. Zostałem wzięty do niewoli przez moich rodaków – fanatycznych dzikusów, którzy nazywali się największym

imperium świata, Matką Narodów, a do tego stopnia gardzili pojedynczym człowiekiem, skutym i bezradnym, że skąpili mu kubka wody.

Mieszkańcy Wybrzeża Żagli za najgorszą cechę charakteru uważali pastwienie się nad pokonanym i do tych, którzy tak postępowali, odnosili się z pogardą.

Zbadawszy celę, opadłem z sił. Obdarto mnie z odzienia, do tego drętwa woda wyssała ze mnie wszystkie siły, a skuty niemal nie mogłem się poruszać. Skuliłem się więc tuż przy ścianie i leżałem zupełnie bezwładnie, z półotwartymi ustami, jak ryba, która nie ma już siły się rzucać.

Ocknąłem się, dopiero kiedy poczułem, że moje ramię dotykające ściany zrobiło się mokre i że czasem toczą się po nim krople wody.

A potem spędziłem trochę czasu, całując i liżąc ścianę, jakby była ciałem kochanki, i usiłując wysysać roszące się na niej drobiny stęchłej i smakującej skałą wody. W ten sposób po dłuższym czasie wchłonąłem ledwie kilka łyków, ale nawet to wystarczyło, żebym trochę oprzytomniał.

Zaczęło mi się też wydawać, że w otaczającym mnie nieprzeniknionym mroku coś majaczy. Że od tej strony, gdzie znajdował się otwór pieczary i krata, ciemność była jakby mniej głęboka i całkowita.

Przynajmniej mogło to oznaczać, że nie oślepłem, tylko znalazłem się w miejscu, do którego nie docierała nawet odrobina światła. Zacząłem też słyszeć ciche dźwięki. Odległe kapanie, cichy świst delikatnego wiatru, przemierzającego całe staje korytarzy wijących się pod miastem niczym jelita. Po jakimś czasie wydało mi się też, że słyszę delikatny dźwięk ogniw łańcuchów.

Zamarłem w bezruchu i nasłuchiwałem. Nie myliłem się. Wiatr przyniósł ciche szczękanie żelaza. Dźwięk zdawał się płynąć i dochodził to z bliska, to z daleka, to z jednej strony, to z drugiej.

– N’Dele! – krzyknąłem. – N’Dele! Jesteś tam?!

Mój głos zadudnił echem w ciemnościach. Łańcuchy zagrzechotały całkiem niedaleko, jakby o dwa kroki ode mnie.

– Zamilcz, głupcze! – odezwał się obcy, schrypnięty głos. – Zamilcz, bo ściągniesz tu kapłanów albo jeszcze gorzej, odmieńców.

– Jestem tu! – odkrzyknął N’Dele z oddali. – Żyję i jestem tylko trochę obity. Za to skuli mnie tak, że nie mogę się ruszyć.

– Ze mną jest tak samo.

– Zamknijcie się obaj, przeklęci głupcy! – powtórzył ktoś w ciemności.

A potem gdzieś daleko rozległo się skrzypienie ciężkich drewnianych drzwi, które rozeszło się echem po podziemiach spowitych w nagłej ciszy. Drzwi zaskrzypiały ponownie, wydając przeciągły dźwięk, a potem huknęły głucho o futrynę, po czym usłyszałem ciężkie kroki kilku ludzi. Głuche, miarowe i rozlegające się coraz bliżej. Nagle zobaczyłem słaby poblask ognia na ścianach, ujrzałem wymalowany dalekim płomieniem zarys korytarza oraz prętów kraty. Ujrzałem zamykający ją skobel z przetyczką. Gdybym nie był skuty, bez trudu wyciągnąłbym ręce na zewnątrz i otworzył kratę, więc pomyślałem, że przede wszystkim trzeba poradzić sobie z łańcuchami. Drobiazg dla kogoś nagiego i spętanego tak ciasno, że ledwie może usiąść.

Kroki zbliżyły się bardziej i migotliwy poblask stawał się coraz jaśniejszy. Równocześnie z ciemności pieczary podniósł się wyraźniejszy szczęk łańcuchów i chór błagań, jęków i wrzasków, który narastał niczym fala. Był to najbardziej przerażający dźwięk, jaki w życiu słyszałem. Histeryczne krzyki ludzi niedbających nawet o odrobinę godności, skomlących i wyjących z przerażenia, mimo że na razie nic się nie działo, słychać było tylko kroki i widać jedynie światło pochodni. Sam poczułem, jak ogromny strach ściska mi gardło i zgniata pierś.

Światło zalało ścianę jaskini przede mną, kiedy stanęli przed kratą mojej celi.

Kapłan, nahardał i jeszcze czterech Odrzuconych tłoczących się w korytarzu. Widziałem potężne ramiona, pałki i plecione bicze, połysk na łuskowanej skórze jednego z nich, o pół ludzkiej, a pół wężowej twarzy. Żelazny, kuty kaganiec w ręku kapłana huczał łopocącym niczym proporzec płomieniem i sypał iskrami.

Szczęknął skobel, kiedy otwierali moją kratę, dwóch wcisnęło się do celi i natychmiast zrobiło się tłoczno. Usiłowałem walczyć, choć nie miało to żadnego sensu. Jeden z odmieńców przygniótł mi plecy kolanem do podłogi, uwiązłem w plątaninie potężnych ramion, jakbym walczył z morskim potworem. Rozległ się turkot ogniw, lodowaty łańcuch prześliznął się po mojej piersi i między nogami. Potem potężnym szarpnięciem postawiono mnie na nogi, a potem wywleczono na korytarz.

Gdyby zdjęli mi okowy z kostek, mógłbym próbować walczyć, nawet skuty. Ulf uczył nas tego. Niestety, kajdany zostały. Łańcuch pomiędzy nimi był na tyle długi, że mogłem stawiać drobne kroki, na dodatek

założono mi na szyję kolejną obrożę z łańcuchem, do której dopięto pęta na rękach. Każdy mój ruch blokował jakiś łańcuch, a zajmujący się mną odmieńcy zachowywali się tak, jakby wlekli buhaja do piętnowania lub na rzeź.

Gdzieś z tyłu usłyszałem skrzypienie krat innych cel, a wrzaski wybuchły z taką siłą, że zagłuszyły wszelkie inne dźwięki.

Popędzono mnie krętymi korytarzami w ciemność rozpraszaną blaskiem pochodni. Krzyki innych więźniów oddaliły się. Nadal je słyszałem, lecz stłumione i zniekształcone, jak oddzielone ścianą. Najwyraźniej poprowadzono ich inną drogą. Sam nie krzyczałem, drobiąc między skalnymi ścianami, ale czułem, iż trzęsę się ze strachu tak, że aż podzwaniają ogniwa.

Co jakiś czas idący przodem kapłan w swoim łopocącym płaszczu, sypiący iskrami z kagańca skręcał w kolejny korytarz, wtedy natychmiast kierowano mnie tam za pomocą szarpnięć i kopniaków. Co chwila jakieś ostrze bodło mnie w plecy.

W końcu znaleźliśmy się w sporej, kopulastej jaskini, pod najeżonym kamiennymi iglicami stropem. Odmieńcy wepchnęli mnie do środka, chwycili pod ramiona, podcięli nogi i rzucili na kolana. Jeden z nich pochylił się i przypiął łańcuch od obroży do żelaznego ucha wbitego w skałę. Łańcuch miał mniej niż półtora łokcia, więc mogłem jedynie trwać pochylony jak do modlitwy.

Z tyłu słyszałem szuranie, szamotaninę i szczęk oków, ale nie mogłem dostrzec, co tam się dzieje.

Widziałem tylko podłogę jaskini oraz nogi tych, którzy do mnie podeszli. Ktoś szarpnął mnie za włosy, zadzierając głowę do góry prosto w żar i blask płonącej pochodni, obroża wbiła mi się w szyję, niemal łamiąc kark.

Niespodziewanie ktoś chlusnął mi w twarz jakąś cuchnącą, żrącą oczy cieczą, ale to nie była na szczęście smocza oliwa, po czym postawiono przede mną duży drewniany kubeł pełen ostro pachnącego dziwnymi ziołami naparu i wepchnięto mi tam głowę.

Szarpałem się, krztusiłem, słyszałem bulgot, w jaki zmieniały się moje wrzaski, poczułem na udzie ciepłą strugę własnego moczu. Tonąłem w skopku dziwacznego płynu, opadałem z sił, przeraźliwe wrażenie,

z jakim napar wdzierał się do moich płuc, było nie do zniesienia, ale kopałem już coraz słabiej.

Wtedy mnie puścili.

I zostawili zwijającego się w spazmach kaszlu, rzygającego na podłogę pianą i chwytającego powietrze ze strasznym świszczącym odgłosem, niczym dziurawy miech.

A potem leżałem twarzą do skały, od czasu do czasu wstrząsany kaszlem, i tylko oddychałem. Moi oprawcy naradzali się po cichu.

Leżałem i czułem, że z moją twarzą dzieje się coś dziwnego, że cała drętwieje, jakby oblazły ją miliony owadów, że niektóre miejsca puchną, a w innych miałem uczucie, że odrętwienie ustępuje. Co chwila moją szczękę przeszywał skurcz, niczym zardzewiały gwóźdź, mięśnie pulsowały, jakby twarz żyła własnym życiem.

Wrażenie było tak upiorne, że zacząłem wrzeszczeć bełkotliwie i sam nie mogłem poznać własnego głosu. A potem skurcze stawały się coraz słabsze, aż w końcu ustały.

Leżałem. Nie wiedziałem, co czeka mnie dalej, ale nie miałem siły walczyć. Jedyne, co mogłem zrobić, to oddychać i leżeć. Z moich oczu samoistnie płynęły łzy.

– Chyba już możemy zobaczyć – odezwał się kapłan gdzieś z boku.

Zaskowyczałem i zacząłem się szarpać na łańcuchu, choć, rzecz jasna, nic to nie dało.

Znów bolesne szarpnięcie za włosy wygięło moją twarz do żaru pochodni.

– Przesuń ogień, bo nie widzę – odezwał się nahardał, ale zmienionym głosem, bez starczego skrzypienia i chrapliwej wymowy Zewnętrznego Kręgu. Głosem, który wydał się niepokojąco, przeraźliwie znajomy.

Przypalający mi policzek kaganiec odsunął się na bok i mogłem otworzyć oczy. Pustynny starzec nie miał włosów. Nadal nosił rozwichrzoną brodę, ale inaczej trzymał głowę, nie mamlał ustami, nie krył się w kapturze swojego brudnego płaszcza. No i świecił łysą czaszką, najwyraźniej na co dzień nosił czapkę z doczepionymi włosami, jak nassimski aktor.

– Wiedziałem! – zawołał. – Wiedziałem, że to żaden Amitraj. Od razu mi się nie podobał. Co więcej, wiem, kto to jest. To niewolnik. Kireneński pies, który przywlókł się z karawaną przemytników do ziemi Ludzi Niedźwiedzi.

Służył w domu Lśniącej Rosą, sprowadził na niego zemstę innych niewiernych dzikusów, a ci spalili dwór i zarąbali moją panią, która już prawie przyjęła prawdziwą wiarę. Tylko miał wtedy rude kłaki. Poznajesz mnie, psie?

Poznałem. Udułaj Hyrkadał. Lekarz. Nadzorca u Smildrun. Ten, którego miałem zabić i nie zdążyłem.

Nade mną. Spętanym i bezsilnym.

– Rude, co? – powtórzył kapłan. – Bardzo ciekawe. Być może złapaliśmy jeszcze ciekawszą rybkę, niż myślałem.

Gdzieś z oddali dobiegł chór słodkich głosów tonący we własnych echach i odbijający się od ścian. Z kilku szczelin w podłodze jaskini zaczęło pałać światło.

– Zaczyna się ofiarowanie – oznajmił kapłan. – Odstępcy mają już w ustach kamienie hańby, żeby swoimi bezbożnymi wrzaskami nie naruszali misterium. Zaraz weźmiemy w nim udział. Ty jednak nie oddasz dziś serca bogini. Jeszcze nie. Mamy przed sobą długą rozmowę. Chcę wiedzieć, kto zmienił ci twarz i wysłał między wiernych, żebyś szpiegował. Czego chce, skąd o nas wie i skąd ma moc czynienia. Zrozumiałeś, co chcę wiedzieć, chłopcze?

Zebrałem się na odwagę i splunąłem kapłanowi w twarz, ale tylko oplułem sobie brodę.

– Nie, nie – rzekł na to. – On ma mówić. Nie możesz łamać mu zębów, rozbijać warg ani gruchotać nosa. Ma mówić, i to wyraźnie.

– Rozumiem – odparł Udułaj. Opuścił pięść, zaszedł mnie od tyłu i z rozmachem kopnął między nogi. Krzyk uwiązł mi w gardle, powietrze uszło ze mnie ze świstem, po czym zwinąłem się jak robak, wijąc w męce.

– Świetnie – oznajmił kapłan. – I przedłuż mu łańcuch.

Udułaj zapiął przyginające mnie do ziemi okowy o kilka ogniw dalej. Kiedy doszedłem do siebie na tyle, by znów oddychać, mogłem uklęknąć wyprostowany, ale zamiast tego wciąż kuliłem się, osłaniając płonące bólem krocze.

– Spójrz tutaj – nakazał kapłan.

Aż krzyknąłem odruchowo. Za mną ustawiono drewnianą ramę, do której przykuto N’Dele z rozpostartymi ramionami i nogami przypiętymi do rogów.

Kapłan podszedł do mojego przyjaciela i wyjął coś z zanadrza. Zagięty, połyskliwy kształt, jakby kieł wyrwany ze szczęki smoka.

– To Szpon Podziemi. Nóż rytualny. Nie wykuty, lecz wyrzeźbiony ze skały zrodzonej z ognia wulkanu. Najpierw opiera się go tutaj...

Zacząłem wrzeszczeć i szastać łańcuchami jak oszalały. Kapłan uniósł Szpon niczym dłuto, przyłożył nieco pod górę pośrodku tułowia Aligende i oparł drugą dłoń na głowicy.

– Potem trzeba go wbić, lecz niezbyt głęboko...

N’Dele wyszczerzył dziko zęby, nie wydając żadnego dźwięku, a po jego brzuchu potoczyły się strugi niemal czarnej krwi. Przestałem się szamotać, opadłem na podłogę i rozpłakałem się. Chciałem umrzeć. Tak po prostu.

– Dalej trzeba pociągnąć po obu stronach tej płaskiej kości, żeby poodcinać żebra i skórę, a potem złapać ją solidnie i wyłamać do góry. Później wsadzamy ręce do środka i przecinamy taki worek, w którym znajduje się serce. Możemy je chwycić od dołu jak owoc i przeciąć żyły, na których się trzyma niczym śliwa na gałęzi. Jeśli zrobi się to dobrze, ofiarowany może żyć na tyle długo, żeby zobaczyć własne serce wciąż bijące w dłoni kapłana.

Kapłan cofnął się, pokazując okrwawione dłonie, lecz nie trzymał w nich niczego. N’Dele wisiał bezwładnie w łańcuchach, ale żył, widziałem, jak poruszał się jego brzuch, kiedy oddychał. Miał pośrodku piersi trzy broczące krwią rany, nic więcej.

– A teraz, chłopcze, opowiem ci o żagiewnicy. Wiesz, co to takiego? To morska bestia. Wygląda jak podwodny kwiat. Pośrodku ma głowę, wielką niczym głowa wołu, otoczoną oczami płonącymi cudownym światłem we wszystkich kolorach. Cała świeci jak ogromny lampion. Wokół ma płetwy delikatne niczym pióra, pod spodem zaś wieniec macek jak kałamarnica, zaopatrzonych w haki. A jeszcze niżej, wokół zębatej gęby, w której może pomieścić się pół kowcy, unosi się w wodzie długi kłąb poruszających się włosów, grubych jak pęd likworośli u nasady i coraz cieńszych dalej. To za pomocą tych włosów żagiewnica zabija morskie stwory, by rozszarpać je potem kolczastymi ramionami. A wiesz, co jest najciekawsze? Jad. Najlżejsze muśnięcie takiej wici wpuszcza jad, który jest jak płynny ogień. Zwierzę, bestia czy człowiek, kiedy dostanie się w jej wici, umiera w straszliwych męczarniach. Nawet najpotężniejsze płaskudy i inne morskie stwory umykają, gdy tylko poczują w wodzie zapach kwitnących

kwiatów, jaki rozsiewa jad żagiewnicy. Tak. Właśnie dlatego, chłopcze, strzeż się żagiewnicy mimo jej piękna i wabiących kolorów, którym wiele bestii nie umie się oprzeć, chociaż wiedzą, iż czeka je straszliwy koniec. Ale, ale... Przecież mam tu jedną wić. Zaraz ci pokażę.

Sięgnął do stojącej na skale drewnianej skrzynki i wyjął coś, co wyglądało jak krótka pałka lub nagiel od okrętowego opętnika. Przedmiot lśnił jak z polerowanej stali, lecz jego koniec okazał się tylko metalową pochwą, którą kapłan zdjął bardzo ostrożnie. Pod spodem ukazało się coś, co przypominało ciasno zwinięty motek sznura, tylko że ten sznur świecił dziwnym, zielonym i czerwonym blaskiem. Kapłan odwrócił dłoń, kierując tę świecącą część do dołu, a wtedy sploty zaczęły się luzować, macka rozwinęła się i zaczęła rozciągać, lśniąca i galaretowata, migocąca światłem, a jej koniec robił się coraz cieńszy, gdy opadał ku podłodze i wił się jak robak.

– Spójrz – powiedział kapłan z dumą, jakby pokazywał mi przedmiot wielkiego kunsztu. Poruszył lekko dłonią i uniósł bicz. Macka ze świstem rozciągnęła się na dziesięć łokci, opisała w powietrzu rozjarzony krąg, po czym smagnęła tułów N’Dele i znów skurczyła się, wracając w stronę rękojeści.

Ciało mojego przyjaciela wyprężyło się gwałtownie, a jego twarz, z nagle otwartymi szeroko oczami i wyszczerzonymi zębami oraz żyłami, które wystąpiły mu na czole jak sznury, zmieniła się w przerażającą maskę. N’Dele ze świstem wciągnął powietrze, po czym wydał z siebie upiorny wrzask.

Nigdy nie słyszałem takiego krzyku. Brzmiał bez końca, miałem wrażenie, że zawali się od niego jaskinia. Zacząłem dygotać jak w ataku bagiennej gorączki i szlochać gwałtownie. Nie mogłem tego powstrzymać.

N’Dele wygiął się gwałtownie w łańcuchach i zaraz zawisł bezwładnie.

– To potrafi wskrzesić umarłego – wyjaśnił kapłan w ciszy, w której wydawało się, że krzyk N’Dele wciąż brzmi pod stropem. – A to jeszcze nie wszystko. Jad żagiewnicy można wydobyć, jeśli wie się jak. To trudne i niebezpieczne, bo musi pochodzić od żywego stwora. Na pewno słyszałeś o mistrzach szkła z Jarmakandy. Potrafią uzyskać zarówno szkło cienkie jak włos czy bańka morskiej piany, oraz grube i czyste niczym diament lub barwione na najpiękniejsze kolory.

Leżałem zupełnie bezwładnie, a dźwięczny, kojący głos kapłana zniewalał mnie niczym muzyka fletu usypiająca węża. N’Dele wisiał w łańcuchach z opuszczoną głową, a całe jego ciało dygotało w drgawkach.

– Mistrzowie szkła – ciągnął oprawca beztrosko – tworzą w swoich hutach drogocenne puchary i klejnoty. Figurki zwierząt drobne jak paznokieć kobiecego palca, które same chodzą niby żywe. Lampy i kryształy pozwalające widzieć to, co odległe, lub kryształowe dzwonki wiatrowe, które wygrywają najpiękniejsze melodie. Umieją zaklinać w szkło imiona bogów i tworzyć czyniące przedmioty. Ich sztuka zawiera wiele tajemnic, które muszą pozostać jedynie w obrębie ich cechu. Gdyby ktoś usiłował zdradzić komukolwiek którąś z nich, na przykład jak nadać szkłu barwę, czeka go za to ta sama od wieków kara. Szklana śmierć. Zadana kolejnym arcydziełem ich sztuki.

Sięgnął w zanadrze i wyjął sztylet o ostrzu na wpół przejrzystym niczym sopel lodu.

– Spójrz, chłopcze. Oto szklana śmierć. Sztylet z kryształową głownią, która wchodzi w ciało jak stal, lecz natychmiast kruszy się na drzazgi. Do tego jest pusta w środku i wypełniona... czym? Zgadłeś, chłopcze. To czysty jad żywej, dorodnej żagiewnicy. Czy potrafisz wyobrazić sobie, czym jest taka śmierć, kiedy w pierś wbijają się szklane drzazgi, a jad wypełnia żyły? Słusznie. Nie potrafisz. Nikt nie potrafi. Dlatego właśnie sztuka mistrzów szkła z Jarmakandy pozostaje na ich wyspie i nigdy jej nie opuści.

Podszedł do N’Dele i wycelował sztylet w jego pierś.

– Nie! – wrzasnąłem przerażony. – Powiem ci, co tylko chcesz! Zrobię, co zechcesz, ale nie rób tego.

– O tak, powiesz. Oczywiście, że tak. Ale powoli. Przed nami długa rozmowa, lecz teraz czeka nas ofiarowanie. Od tego, co zrobisz, będzie zależało, jak umrze twój przyjaciel. W męczarniach od jadu żagiewnicy czy szybko? Pod biczem, a potem ze szklanym ostrzem w brzuchu, jeśli będziesz milczał lub skłamiesz? Lecz najpierw musimy nakarmić Pramatkę.

Skinął głową na dwóch Odrzuconych, którzy wychynęli z mroku. Odpięli bezwładnego N’Dele od ramy i powlekli w ciemność.

Udułaj zaś na kolejne skinienie kapłana poszedł w głąb jaskini, gdzie stanął nad studziennym otworem, z którego bił migotliwy poblask i dobiegała pieśń śpiewana chórem kilku wysokich głosów. Zadźwięczały łańcuchy, z góry zjechała kukła okropnego demona, gdybym nie był tak

znękany, pewnie bym się przeraził, ale teraz było mi już wszystko jedno. Udułaj sięgnął pomiędzy powiewające pasy muślinu i wydobył stamtąd skórzaną uprząż, którą zaczął na siebie zakładać.

Dwóch odmieńców odpięło mój łańcuch i powlekło mnie zupełnie bezwolnego prowadzącym w dół, krętym korytarzem. Jeden z nich miał wysoką czaszkę okrytą lśniącą białą skórą i czerwonymi naroślami przypominającymi skrzela, a drugi cuchnął kozłem i cały czas szczękał srebrnymi jak stal zębami sterczącymi z pozbawionych warg ust. Pomyślałem, że zapewne już nie żyję i trafiłem do piekieł na pastwę demonów, tylko nie zdaję sobie z tego sprawy.

Zaprowadzono mnie do pieczary, w której wcześniej się modliłem, tej z wyciętym w skale ołtarzem i posągiem Pramatki. Posąg oświetlony wieloma kagankami lśnił od wody. Przedtem wydawał się bezkształtny i ledwie przypominał ludzką sylwetkę, ale teraz, podmalowany światłem i poruszającymi się cieniami, wyglądał przerażająco, nawet jego oczy wpatrywały się w stojących przed nim ludzi z okrytymi głowami oraz czołami oznaczonymi czarnym barwnikiem. Był to posępny wzrok czegoś prastarego, co wypełzło z najgłębszych trzewi ziemi, by pożerać i domagać się ofiar.

Z boku, za jeżącymi się gęsto skalnymi iglicami, zobaczyłem stłoczonych nagich ludzi, jęczących głucho przez kamienie wbite im w usta. Moje nogi stały się jak z żelaza i wykręcający mi ramiona odmieńcy powlekli mnie ciągnącego stopami po ziemi, po czym rzucili na kolana z boku ołtarza i znów przypięli mi łańcuch do żelaznego kółka w podłodze.

Odcięte głowy, które przedtem zdobiły ołtarz, zostały przeniesione na postument wokół posągu i patrzyły na mnie zmętniałymi oczami, jak ryby na targu.

Pieśń narastała i opadała, a kilkudziesięciu mieszczan, którzy dali się uwieść okrutnej religii mojego kraju, wtórowało jej, nucąc bez słów.

Kapłan wszedł do pieczary środkiem pomiędzy wiernymi, którzy opadali na kolana i wyciągali do niego ręce. Ci, którzy stali najbliżej, usiłowali całować rąbek jego płaszcza. Naprzeciw mnie, po drugiej stronie ołtarza, klęczał N’Dele skuty tak samo jak ja, dygocąc i sycząc przez zęby z bólu. Spuściłem wzrok, nie mogąc znieść jego widoku.

Nie miałem już sił, niczego nie mogłem uczynić i wydawało mi się, że nic bym nie zrobił, nawet gdyby nagle pękły trzymające mnie łańcuchy.

Klęczałem i patrzyłem obojętnie, jak dwóch obnażonych do pasa odmieńców z wymalowanym krwią znakiem dwóch księżyców na piersiach wlecze pierwszego z więźniów, szarpiącego się rozpaczliwie, kopiącego i wydającego krzyki stłumione przez wbity w usta kamień.

Dwóch kolejnych chwyciło nieszczęśnika za nogi, w czterech unieśli wysoko nad głowy tłumu, po czym rozciągnęli na ołtarzu. Kapłan rozłożył szeroko ręce, trzymając w dłoni lśniący szklisto Szpon.

– Dziś ujrzycie prawdę – krzyknął. Wierni pochylili niżej głowy, całując skałę pod nogami. – Ten ołtarz spłynie krwią niewiernych, jak wkrótce ulice tego przeklętego miasta! Zobaczycie serca niewiernych, nakarmimy nimi Pramatkę, a ona przyśle jednego ze swych podziemnych demonów, który objawi się w swojej przerażającej postaci tu, przed wami, i obwieści wam przyszłość.

Machnął ostrzem w kierunku powały, gdzie zapewne znajdowała się szczelina łącząca z jaskinią powyżej, w której stał teraz Udułaj Hyrkadał zapinający pasy uprzęży, przywdziewający strój demona i maskę. Gdy przyjdzie pora, opuści się na linie nad zbryzgany krwią posąg nakarmiony sercami i będzie wieszczył.

Prawdę.

Wokół będzie mnóstwo dymu i pary oraz tajemniczy poblask płomieni. Uwierzą. Uwierzą we wszystko. A potem pójdą i przekonają następnych, zarażą ich swoją żarliwością i opowieściami o tym, że odtąd nikt nie będzie nigdy sam i nie będzie musiał już o nic się kłopotać ani troszczyć, bo wszystko da mu świątynia. I że nie będzie już trzeba zazdrościć, bo każdy będzie miał tyle samo.

A potem miasto upadnie. By wszystko stało się jednym.

Przegraliśmy walkę, zanim ją zaczęliśmy. Wystarczą sztuczki, dymy i zwierciadła oraz opowieści o nowym świecie, w którym wszyscy są tacy sami. Stają się jednym. O potędze, jaką daje wielość. O ogromnym pleniu mrównic, przed którym pierzcha wszystko, co żyje, gdyż razem są potężniejsze niż niezwyciężona armia. O pęku strzał, którego nie można złamać, podczas gdy pojedynczą zepsuje nawet dziecko. A my, co mieliśmy im obiecać prócz tego, co było zawsze? Prócz znoju i zmiennego losu, który każdy sam ma wykuwać jak umie?

Kapłan złączył ręce nad głową, układając w obu dłoniach swój Szpon, i odchylił głowę do tyłu.

– Zamknij się, żałosny głupcze! – rozległ się znienacka jakiś głos. Donośny, ale jakiś sykliwy i bulgoczący. – Nie masz tu żadnej władzy, nędzna wywłoko! Ty i twój kamienny bałwan jesteście niczym. To jest Lodowy Ogród!

To mówiła odrąbana głowa Agnara Morskiego Wiatra, leżąca na lśniącym, oblanym wodą postumencie. W tłumie, zamarłym w nagłej ciszy, rozległy się pojedyncze okrzyki przestrachu. Kapłan stał nieruchomo, patrząc w poruszającą ustami głowę, i wydawało się, że jego podłużna, lśniąca niczym rtęć maska przybrała wyraz zdumienia.

– Tu rządzi Drzewo! – wrzasnęły martwe usta Agnara. – Duch miasta nie pozwoli ci nikogo skrzywdzić! Nadciąga Lodowy Ogród!

Rozległ się przeraźliwy huk i posąg Pramatki rozpadł się z łoskotem na parujące kawały kamienia, jednocześnie kapłan wzniósł nóż wyżej i z ciemności dobiegł doskonale mi znany łomot zwolnionej arbalety. Sieć w kształcie krzyża z ramionami zakończonymi ciężarkami rozwinęła się w powietrzu jak kwiat, po czym spadła na kapłana, zamieniając go w miotający się u stóp ofiarnego stołu, opleciony cienkimi linkami tłumok.

Wybuchł dziki wrzask i panika. Odmieńcy odskoczyli od ołtarza, dwóch zaraz zwaliło się bezwładnie z wieloma bełtami sterczącymi z piersi.

– Ogień i Drzewo! – zaryczało równocześnie wiele głosów i zaroiło się od zamaskowanych czarnych sylwetek, to pojawiających się, to znikających w ciemności, błyskających ostrzami.

Jaskinię wypełnił niewiarygodny zgiełk krzyków przerażenia, bojowych wrzasków Nocnych Wędrowców, szczęku stali i łomotu arbalet. Gdzie spojrzałem, widziałem śmigające wokół czarne sylwetki, bryzgi krwi i padających na podłogę odmieńców. Ten, który mnie prowadził, wyskoczył nagle i ruszył w moim kierunku z mieczem w ręku, wtem zatrzymał się, obrócił dookoła, wyginając spazmatycznie tułów, i zwalił się tuż obok, bryzgając strugą krwi z przerąbanej tętnicy na szyi. Nawet nie dostrzegłem tego, który go ciął. Kilku wojowników otoczyło mnie pierścieniem, tnąc zaciekle każdego, kto choćby się zbliżył, nie oszczędzając też biegających w panice wyznawców. A nad tym wszystkim górował dziki, upiorny śmiech obłąkańca, w którym nie było niczego ludzkiego.

Mój śmiech.

Ktoś przykląkł przy mnie z dłutem i młotkiem w ręku, po czym pewnymi ruchami zaczął wybijać przetyczki z moich kajdan.

– Czysto! – rozległ się ryk gdzieś między skalnymi iglicami.

– Czysto! Czysto! – odpowiedziały mu dzikie okrzyki z zewsząd.

A zaraz potem kolejny wrzask:

– Na ziemię! Na ziemię! Ryje do ziemi! Łapy na kark! Ruchy, bo was wyrżniemy!

Kolejnych kilku Nocnych Wędrowców dopadło zgonionych w gromadę przerażonych wyznawców, wyszarpując ich po jednym i brutalnie obalając na podłogę wśród kopniaków i wrzasków. Inni przywlekali ciała martwych i konających Odrzuconych, ciskając je obok ołtarza. Kapłan nadal wił się na ziemi, grzechocząc maską po skałach, wtedy stojący opodal zamaskowany Wędrowiec kopnął go z rozmachem w brzuch.

Powyżej nas szarpał się w pasach głoszący prawdę demon podziemi, wymachując nogami, bezskutecznie usiłując odpiąć uprząż albo podciągnąć się do górnej jaskini.

Pośrodku stał najwyższy z Wędrowców ze swoim wąskim, okrwawionym mieczem o dziwnej rękojeści. Szarpnięciem odpiął maskę z jednej strony, pozwalając jej zwisnąć przy policzku, i ukazał ściągniętą furią twarz o wyszczerzonych, wielkich jak u wilka zębach i dzikich oczach.

Podszedł dwoma długimi krokami, porwał moje leżące na ziemi okowy i zaczął smagać nimi kapłana, jakby chciał go posiekać na strzępy.

– *Jebal tebe pas!* – wrzasnął. – Rozebrać to ścierwo! Do goła! I zakuć! Tylko ciasno! W te same łańcuchy. Będę wlókł to bydlę po kamieniach na sam Górny Zamek! Ja ci tu sabat urządzę, *suuksi vituun*! *Perkele saatani vittu!*

Odwrócił się w moją stronę. Siedziałem otoczony Wędrowcami, poili mnie cudowną zimną wodą z manierki, myślałem, że nigdy nie przestanę pić.

– Co ci zrobili?

Nie umiałem odpowiedzieć.

– Nic... Nic mi nie jest... Ulfie... N’Dele! Bili go wicią żagiewnicy... Ten jad...

Zacisnął wargi w cienką linię, a potem podszedł do N’Dele, który leżał zwinięty w kłębek, a jego miedziana twarz przybrała dziwny żółtawy kolor.

– Wybacz mi, przyjacielu – powiedział Ulf – ale to może pomóc. Mam doświadczenie jeszcze z domu.

I wtedy ku mojej zgrozie i osłupieniu stanął nad N’Dele, rozpiął spodnie i oddał na niego mocz. Wydało mi się, że albo ja oszalałem, albo on.

– U nas są podobne stwory – wyjaśnił. – Jad można zniweczyć innymi płynami, ale mocz każdy ma przy sobie, a pomaga. Musiałem zaryzykować, wiem, jak to boli.

N’Dele uniósł twarz, która zaczęła wolno odzyskiwać normalny kolor miedzi.

– Przemierzyłem cały świat i przeżyłem wiele lat – powiedział – i nigdy nie przypuszczałem, że powiem coś podobnego. Czy któryś z was mógłby mnie znowu obsikać?

Korytarzem nadeszli nagle strażnicy w hełmach i swoich czarno-białych tunikach ze znakiem drzewa. W pieczarze zaczęło się robić tłoczno. Słychać było szczęk łańcuchów, którymi skuwano wyznawców Podziemnej, Nocni Wędrowcy odpięli maski i nareszcie zobaczyłem wokół siebie znajome twarze, dopiero teraz mogliśmy się przywitać. Ktoś dał mi worek z moim własnym bojowym strojem Nocnego Wędrowca, ale chciałem się najpierw umyć, więc dostałem też zmoczoną w opływającej posąg wodzie koszulę zdartą z któregoś jeńca.

Wokół panował chaos i wszystko, co się wtedy działo, wydawało mi się nierzeczywiste niczym sen. Obmyłem się z grubsza, założyłem ubranie, przypiąłem broń i znowu poczułem się człowiekiem, tyle że przez cały czas trząsłem się, jakbym wpadł do przeręblі.

Do skuwania kapłana zabrali się Warfnir, Spalle oraz Grunaldi. Warfnir przyduszał go kolanami do ziemi i rozcinał linki sieci, by wydobyć jego jedną rękę, Grunaldi trzymał za nogi, zaś Spalle czekał z kajdanami. Kapłan wił się jak wąż, sycząc przez zęby. Spadła mu maska i wreszcie mogłem zobaczyć jego twarz, wąską, trójkątną, z haczykowatym nosem. Wydawał się podobny do jakiegoś jaszczura, do tego na skórze wystąpiły mu czerwone, rozgałęzione plamy. Oznaczało to, że odnaleźliśmy szpiega, którego Ulf poszukiwał od dawna i nazywał Szkarłatem.

Wojownicy rozcięli sieć, wydobyli z trudem jedną rękę szarpiącego się kapłana, Spalle zapiął obręcz na jego nadgarstku i wbił bolec kilkoma uderzeniami młota. Kiedy go odwrócili, by zakuć mu drugą, Szkarłat zaczął się rzucać i wierzgać tak, że właściwie ich strząsnął, wyszarpnął dłoń przez dziurę w sieci i zaczął stawać na nogi. Spalle szarpnął za łańcuch, a Grunaldi pociągnął kapłana za nogę, przewracając go z powrotem na

ziemię. Ten wierzgnął obiema nogami, odrzucając Ostatnie Słowo, i nagle wszyscy odskoczyli na boki, kiedy w jego ręku błysnął sztylet szklanej śmierci. Najwyraźniej ludzie Ulfa wiedzieli, co to jest, i kapłan nie musiał im opowiadać o morskich stworach i mistrzach szkła.

Dźwignął się z trudem na nogi, z jednym nadgarstkiem zakutym w żelazną obręcz i wlokąc za sobą łańcuchy. Szarpnął je ku sobie i owinął wokół przedramienia, a potem ruszył nagle, mierząc sztychem w Grunaldiego, który odskoczył zwinnie poza zasięg szklanego ostrza i uniósł miecz.

Szkarłat kręcił się z wyciągniętym przed siebie sztyletem, otoczony pierścieniem Nocnych Wędrowców. Nie miał jak uciec, ale też nikt nie miał ochoty do niego podchodzić.

Ulf rozepchnął stojących i wszedł do wewnątrz kręgu bez miecza w ręku, nie wyjął nawet noża, za to ustawił się w dziwnej przyczajonej pozycji, z wystawioną do przodu prawą ręką, a lewą na wysokości serca. Nie zacisnął pięści.

– Nie zachodźcie go od tyłu, bo jeszcze kogoś dziabnie! Jest szybszy, niż myślicie! – zawołał.

Szkarłat wyszczerzył drobne, jaszczurze zęby, a sztylet w jego rękach tańczył. Przerzucał ostrze z jednej dłoni do drugiej, obracał nim w palcach, zmieniał chwyt na odwrotny, a za chwilę znów prosty. Obaj krążyli wokół siebie, lecz Nitj’sefni wyglądał, jakby był jakiś zamyślony i nieobecny. Szkarłat nadal obchodził krąg, szczerząc zęby i żonglując sztyletem. Ostrze skakało i obracało się między jego dłońmi, wydawało się, że oplata je wstęga poświaty, blasku kryształu i zgniłego, żółtozielonego jadu żagiewnicy. Lśniło, rozmazywało się, tworząc różne kształty mieniące się barwami, i nie mogłem oderwać od niego wzroku.

Czułem, że zaraz wybuchnę albo zacznę krzyczeć. Chyba nigdy nie pragnąłem nikogo zabić bardziej niż tego przeklętego kapłana. Każde uderzenie jego robaczywego serca było obelgą dla świata. Tymczasem mój przewodnik, dowódca i przyjaciel stał na wprost szklanej śmierci z gołymi rękami i tylko mierzyli się wzrokiem.

W ciszy rozległ się terkot lewarów, kolejni Nocni Wędrowcy naciągali kusze.

– Mogę też rzucić – powiedział kapłan, nadal bawiąc się i wywijając sztyletem.

– Potrzebny mi żywy – wycedził Ulf obojętnie.

Jeszcze mówił, kiedy Szkarłat skoczył nagle w błyskawicznej paradzie i pchnął go błyskawicznym sztychem, którego nie dało się nawet zobaczyć.

Wrzasnąłem, ale nie ja jeden. Mój krzyk utonął w zgiełku innych.

Ulf przekręcił się równie szybko, pół obrotu w jedną stronę, potem w drugą, więżąc dłoń Szkarłata w jakimś skomplikowanym chwycie. Kapłan wywinął kozła w powietrzu, furkocąc pociętymi spodniami, których nie zdążono mu zedrzeć, i gruchnął ciężko na ziemię. Nitj’sefni stał nad nim pochylony i trzymał tylko za dłoń, ale za to skręconą pod dziwnym kątem. Pociągnął rękę Szkarłata i nie wypuszczając jej, obszedł leżące ciało. Kapłan wrzasnął, po czym sycząc z bólu, przekręcił się na brzuch. Próbował wyrwać rękę na siłę albo wstać, ale Ulf poruszył tylko lekko nadgarstkiem i z ust kapłana znów wyrwał się wrzask.

Sztylet potoczył się po skale w moją stronę, jakimś cudem niestłuczony. Doskoczyłem i złapałem.

– Teraz można go kuć – powiedział Ulf. – Już nic nie zrobi.

Podszedłem do nich ze szklaną śmiercią w dłoni.

Przykląkłem przy unieruchomionym kapłanie, który łypał na mnie z nienawiścią, z policzkiem przyciśniętym do skalnej podłogi.

Wyciągnąłem sztylet w jego stronę i czubkiem lekko dotknąłem drugiego policzka.

– Czyś kiedy słyszał o mistrzach szkła z Jarmakandy? – spytałem.

Oczy Szkarłata zrobiły się wielkie i nagle zobaczyłem w nich strach.

– Nie zrobisz tego! – wydusił. – Nie!

– Będę czuł radość – przytaknąłem.

– Niestety, nie możesz – rzucił z żalem Ulf. – Muszę się czegoś dowiedzieć. Przynajmniej na razie.

Siedziałem tak jeszcze przez chwilę, patrząc, jak w oczach Szkarłata przerażenie miesza się z nadzieją i chytrością.

– Filarze, proszę cię – powiedział Ulf. – Wiem, co czujesz, ale są ważniejsze rzeczy. Ta gnida może pomóc nam wygrać wojnę.

Wstałem, dysząc ciężko, jak po wysiłku. Spalle założył kapłanowi ostatnią obręcz na szyję i wbił przetyczkę na miejsce.

Wtedy odwróciłem się w stronę ołtarza, a potem podszedłem do szarpiącego się w uprzęży Udułaja Hyrkadała, który na mój widok

znieruchomiał i usłyszałem, jak na ołtarz z pluskiem tryska struga jego moczu.

– Pamiętasz dom Lśniącej Rosą? – zapytałem. – Obiecałem ci coś wtedy. Co więcej, obiecałem też przyjacielowi.

Otworzył usta i znów zaczął miotać się dziko, wreszcie dosiągłszy sprzączki.

Wtedy wbiłem mu szklane ostrze w pierś i złamałem przy rękojeści.

Upłynęło kilka chwil, zanim zaczął krzyczeć.

Nie umierał długo, bo szybko ogarnęła mnie taka zgroza na to, co uczyniłem, że chwyciłem arbaletę i strzeliłem mu w głowę. Zawisł w łańcuchach, kołysząc się i brocząc krwią na ołtarz.

Ulf nic nie powiedział, lecz zmierzył mnie długim spojrzeniem, od którego zrobiło mi się wstyd mojego czynu.

– Kiedy przejmujemy metody wroga, przestajemy się od niego różnić. Rozumiem, że cię torturowano. Nawet przyjmuję, że musiałeś go zabić, ale nie w ten sposób. Jeśli zaczniemy cieszyć się zadawaniem śmierci, zdziczejemy jak oni.

– Tak, Ulfie – powiedziałem ze skruchą. – Tylko że dopiero co mieli zabić tym ostrzem N’Dele.

Wyznawców i więźniów już wyprowadzono, strażnicy wynosili jeszcze na noszach nakryte skrwawionym płótnem trupy Odrzuconych, dwoje miejskich kapłanów śpiewało i omiatało płomieniem rytualnej pochodni głowy na postumencie, które potem pakowano do skórzanych worków. Ktoś odciął uprząż z zaplątanym w nią ciałem Udułaja.

W korytarzach oświetlonych szklanymi kulami kręciło się tylu ludzi, że przypominały dziwne miejskie zaułki i czasem trzeba było przechodzić bokiem, żeby w ogóle się zmieścić.

Wydostaliśmy się przez okrągły otwór kanału burzowego, w który wstawiono drabinę, na kwadratowy dziedziniec, gdzie było też mnóstwo ludzi i stały wozy. Ozdobne, obite symbolami drzewa ze srebrnej blachy, zaprzężone w niewielkie kosmate koniki, których używano w mieście do przewożenia towarów, ale w odświętnej uprzęży, ze srebrnymi blaszkami, brzękadłami i ogłowiami zdobnymi w kity z piór.

– Będzie parada – wyjaśnił Ulf. – Przez całe, *perkele*, Kawerny aż na Górny Zamek. Koniec zdrajców, koniec zastraszania mieszkańców, na ulicach rządzi Fjollsfinn i miejski thing. Także w Kawernach. To, co

znaleźliśmy w ich kryjówkach, zapasy broni, kosztowności i złoto, jedzie na wozach, otoczone kapłanami, trąbami i proporcami, wyznawcy w pętach za wozami, a wszystko otoczone strażnikami w pełnym rynsztunku. A my stąd znikamy. To ma wyglądać na robotę straży miejskiej, nie naszą. Nas nie ma. O nas się tylko plotkuje, i to szeptem.

Istotnie, na podwórzu aż się roiło od strażników w hełmach, z białymi płaszczami ze znakiem drzewa i miejskich kapłanów w kołpakach najeżonych srebrnymi basztami i iglicami. Pojmanych wyznawców Azziny przykuwano za szyje do jednego długiego łańcucha, a martwych Odrzuconych zamierzano wlec ulicami za wozami. Znoszono też najróżniejszą broń i kosztowności, lecz wydawało mi się, że jest tego trochę za dużo. Wprawdzie sam wcześniej zdobyłem pałkę i miecz odebrane strażnikom, ale nie słyszałem, żeby w Kawernach była jakaś plaga kradzieży broni. Pieniędzy i innych kosztowności także spodziewałbym się kilku wiader, a nie wyładowanych wozów.

Kiedy powiedziałem to Ulfowi, roześmiał się ponuro.

– Tak trzeba. To taki... teatr... nie znam odpowiedniego słowa. Ci tutaj w ogóle takiego nie mają, a amitrajski znam za słabo. Powinni cię tego nauczyć, skoro miałeś być władcą. To część polityki. Władca musi przedstawić swoje czyny tak, żeby robiły wrażenie, a wieści o nich przynosiły pożytek. W tym celu trzeba różne rzeczy trochę powiększać, inne umniejszać i odpowiednio je przedstawiać.

– Mnie uczyli, że to broń obosieczna. Łatwo do tego przywyknąć i wkrótce wszyscy wiedzą, że to, co głoszą heroldowie, trzeba podzielić przez dwa albo i dziesięć. A potem powszechnie wiadomo, że władza kłamie i jest całkiem na odwrót, niż twierdzi. A na tym cierpi autorytet.

– Niestety, jest i tak, że jeśli powtórzysz kłamstwo sto razy, to w końcu wielu w nie uwierzy. My będziemy uważać, co robimy. Dzisiejsza sytuacja jest wyjątkowa. Musimy odwrócić to, co tamtym udało się osiągnąć.

Nocni Wędrowcy wywlekli ze studni skórzany wór, w którym zamknięto skutego Szkarłata. Był uszyty z grubej skóry i zaopatrzony w uchwyty, tak że łatwo mogło go nieść czterech ludzi, i jeszcze żelazne ucha, za które dałoby się go przywiązać i unieruchomić.

– Myślałem, że będziemy go wlekli po bruku – oznajmił Warfnir kapryśnym tonem.

– Popsułby się i nie mógł nam niczego powiedzieć – odparł Grunaldi. – Tam jest kawałek drogi i jeszcze te schody...

Z boku stał zwykły kupiecki wóz z pałąkami, na które naciągnięto burą płachtę. Przy pstrokatych paradnych wozach wyglądał jak osioł przy rumakach. Niepozorny i szary.

Czterech Wędrowców uniosło worek i wrzuciło na pakę, a następnie unieruchomiło sznurami, przywiązując go do żelaznych kółek w podłodze.

– Szkoda, że nie zobaczymy parady – zasmucił się Spalle.

– Musimy odwieźć tego knura, zamkniemy go w najbardziej zgniłej celi, jaką znajdę, a potem usiądziemy do pieczeni z piwem. To lepsze niż parada, zwłaszcza ze względu na te trąby – odparł mu Ulf.

W tym momencie, jakby w odpowiedzi, rozległ się ponury dźwięk, który spadł na nas z nieba. Nie był podobny do dźwięku rogów dobiegającego o zachodzie i wschodzie słońca z Czerwonych Wież. Jednak wydawał się równie niepokojący. Przypominał zawodzenie jakiegoś ogromnego morskiego stwora. Pochód już sformowano i wozy wyjeżdżały z bramy na ulicę, ale grajkowie nie unieśli jeszcze swoich srebrnych rogów do ust. Dźwięk był zbyt potężny i wydawało się, że wydaje go samo miasto.

– To koncha Lodowego Ogrodu – powiedział Skalnik.

– Teraz czas na mgłę i Fjollsfinnowe efekty specjalne – oznajmił Ulf, zapalając swoją fajkę.

– Co to „efjekten...” – zaczął Spalle.

– Och, no, sztuczki. Popatrz w niebo, to sam zobaczysz. – Nocny Wędrowiec wypuścił kłąb dymu. – Teraz powinna pojawić się mgła.

I pojawiła się. Nie spadła na same ulice, ale przelała się przez szczyt góry, od strony Górnego Zamku i murów strzegących grani, sunąc po dachach, prując się o hełmy wież i przyćmiewając blade wiosenne słońce.

– Ciekawe, czy mu to wyjdzie... – powiedział zagadkowo Ulf, zadzierając głowę do góry.

Najpierw poczuliśmy spływający na nas chłód, a potem dziwne mrowienie na skórze, które jeżyło włosy na rękach i karku. Zawodzenie konchy umilkło, za to na szczytach wszystkich wież pojawiły się dziwne niebieskawe ogniki, jak błędne ognie na bagnach. Zewsząd dobiegało dziwne brzęczenie, a za moment ze wszystkich baszt w niebo wyprysnęły cienkie błyskawice, skacząc to tu, to tam, trzeszcząc i strzelając prosto w wiszącą nad miastem chmurę. Poczułem zabobonny lęk, mimo że

słyszałem, jak Ulf mówi, iż to sztuczki robione przez Fjollsfinna, ale to, co się działo na niebie, było zbyt dziwne i ogromne. Zwłaszcza że po chwili wszystkie błyskawice zaczęły bić w to samo miejsce, tworząc ogromną kulę błękitno-srebrnej poświaty, z której nagle, jak spod tafli wody, wyłoniła się olbrzymia twarz kobiety z koroną gałęzi nad głową.

Wrzasnąłem i przysiadłem odruchowo, ale zaraz poderwałem się z powrotem, przekonany, że zrobiłem z siebie pośmiewisko. Myliłem się. Nocni Wędrowcy też skurczyli się, chowając głowy w ramiona i chwytając za miecze. Wszyscy sprawialiśmy wrażenie, jakbyśmy chcieli rozpłaszczyć się na miejskim bruku. Śmiał się tylko Ulf.

Twarz stworzona z błyskawic jaśniała przez chwilę nad miastem, a potem poruszyła ognistymi ustami, a od górskiego grzbietu odbił się jej łagodny, lecz grzmiący głos, który dobiegał zewsząd, jakby przemówiły same mury Lodowego Ogrodu.

– Mieszkańcy! – zawołała niewiasta z piorunów.

W tym samym momencie Grunaldi zerwał z głowy swoją filcową czapeczkę i cisnął na ziemię, a potem zaczął rechotać.

– *Hajsfynga!* To Sylfana!

Zmusiłem się, by spojrzeć w górę. Miał rację. Twarz jaśniejąca światłem błyskawic, która wyłoniła się z mgły, należała do Sylfany. Nie poznałem jej, bo tam, w górze, nie było nic poza drgającym i trzaskającym światłem błyskawic, które rysowały jej oblicze. Nie było widać granatowych włosów, wyraźnych brwi w kształcie skrzydeł mewy ani wilgotnych, sarnich oczu czy ostrych, trochę wystających zębów młodej wilczki. Były tylko ogniste gałęzie gromów i nieludzki siny blask, z którego się wyłaniała. Ale to była ona.

I przemawiała do mieszkańców. Przypominała im dzień, kiedy wybrali los obywateli i uznali Lodowy Ogród za swój dom, „chroniąc się w jego cieniu”, jak powiedziała, a jej głos odbijał się echem wśród osłupiałych ulic. Potem mówiła do przybyszów, którzy wzięli znak korabia i przyjęli gościnę Ogrodu, gdzie mogą cieszyć się schronieniem od wojny bogów oraz wszelkich prześladowań i żyć, jak tylko pragną.

– Ogród jest gościnny! – grzmiała Sylfana z niebios. – I dlatego prócz zacnych ludzi pojawili się tu nikczemnicy. W Ogrodzie wolno kłaniać się takim bogom, jakim kto chce, i dlatego nadeszli też tacy kapłani, którzy zapragnęli zniszczyć miasto i sprowadzić na niego zagładę. Chcieli sprowadzić tu wojnę bogów! Zaczęli lżyć tych, którzy wierzą w inne bóstwa niż amitrajska Podziemna Pramatka albo Smeiring, Bóg Węży. Zaczęli zaprowadzać własne porządki. W naszym Lodowym Ogrodzie śmierć zaczęła czaić się w zaułkach i piwnicach świątyń ich ohydnych kultów. Ale w Lodowym Ogrodzie nie ma miejsca dla tych, którzy chcą całej władzy nad innymi i pragną rządzić ich wiarą, myślami i ciałem. Drzewo nie pozwoli skrzywdzić tych, którzy schronili się pod jego gałęziami! Zdrajcy zabili wielu, ale przebrali miarę. Ich dni upłynęły. Zamierzyli się na kolejnych porwanych z ulic obywateli, przybyszów, Odrzuconych i odmienionych przez uroczyska, ale miasto uniosło swoją dłoń. Porwani są już wolni! Nikt ich już nie skrzywdzi. Patrzcie, jak w murze zachodnim Kawern otwiera się nowa brama i nadchodzą. Wszyscy cali i zdrowi! Patrzcie, jak za nimi straż grodu prowadzi zdrajców i cudzoziemskich szpiegów, porażonych przez moc Drzewa. Patrzcie na broń, którą chcieli obrócić przeciw wam, i skarby, które wam odebrali. Dołączcie do ocalonych, gdy idą przez Kawerny, Doki, Łasztownię i Kamienny Gaj aż do Górnego Zamku, do głównego miejskiego chramu. Idźcie z nimi opłakać tych, którzy zginęli, i dziękować Drzewu za życie ocalonych! Ogród chroni swoich mieszkańców. Tam, za morzem, świat płonie. Czyniący sławiący Węża i Pramatkę topią go we krwi. Od krain Południa po Wybrzeże Żagli nocami władają demony uroczysk, a dniami ludzie w żelazie mordują niewinnych. Wszędzie słychać krzyk, huk płomieni i płacz. Lecz nigdy nie przejdą za mury Lodowego Ogrodu. Moc Drzewa jest większa niż starych, obłąkanych bogów. Jednak nawet Drzewo nie poradzi, jeśli mury będą puste! Miasto jest dla was, ale musicie być gotowi stanąć na jego murach, kiedy nadpłyną okręty niosące żelazo i wojnę bogów! Pomiędzy nami są jeszcze zdrajcy! Rozejrzyjcie się! Mają czarne ślady na czołach i dłoniach. Wmuszają wam dziwne obyczaje. Zastraszają. Mówią, że Drzewo umarło, a z wiosną nadejdzie ogień, niosąc nowy świat. Chcą sprowadzić tu królów i kapłanów, którzy założą wam kajdany. Będą chcieli rządzić waszymi umysłami, tym, co mówicie, co jecie i jak żyjecie. Waszymi dziećmi i każdym waszym krokiem. Czy chcecie

obudzić się jako niewolni tyrający za miskę strawy? Lodowy Ogród to wasz dom! Nie pozwólcie go podpalać!

– Idiota! – odezwał się nagle Ulf ze złością. – Zaraz doprowadzi do pogromów, pacan. Chodźcie, wystarczy tego. Na tę małą możecie się gapić, ile chcecie, w domu, będzie tak świecić i ględzić jeszcze z pół godziny. Te patriotyczne gadki może wytrzymać tylko ten, kto wyżłopał jeszcze więcej hruškovicy niż ten, co to wymyślił.

Rozdział 8

Siew

Radę daję ci siódmą, gdy wplączesz się
w waśni z nieustraszonymi,
bić się bardziej przystoi wielmoży,
niżeli być spalonym.

(...)

Spory i gniewy – uważam – niech nie zostają uśpione,
ni ból i cierpienie;
rozum i broń potrzebne są władcy
co ma pierwszym być śród mężów.

(Pieśń o Sygrdrifie – Sigrdrífumál)

Halo! – wrzeszczy doktor Passionaria Callo, waląc w drzwi. – Jest tam ktoś?! Wypuśćcie mnie! Gdzie jestem?! Kim jesteście?! Nie macie prawa mnie więzić!

Za jej plecami fruwają jakieś dziwne surrealistyczne stwory, ni to niemowlęta, ni to ważki, ale maleńkie, żaden nie jest większy od wróbla, na podłodze wije się oszalały bluszcz i tam też coś łazi, woda w szklance bulgoce i zmienia kolory. Powietrze aż migoce od magii.

Passionaria traci nagle siły i werwę, osuwa się plecami po ledwie widocznych drzwiach wpasowanych w ścianę. Nie płacze, tylko patrzy szklanym wzrokiem przed siebie. Zaraz dostanie szału i spróbuje zdemolować pomieszczenie, to znaczy, że znowu zacznie ciskać pościelą jak rozjuszony pawian, rzuci o ścianę szklanką oraz dzbankiem z wodą i przewróci ciężkie krzesło. Cała reszta jest wyoblona, miękka, przylepiona na dębowo do podłogi i niezniszczalna. A potem komnatę zaludnią żyjątka jak z koszmaru na kwasie. I tak w kółko.

Nie mamy koncepcji, jak posprzątać, dopóki ma w sobie czynnik M, więc nietłukąca się szklanka i karafka były jednymi z pierwszych niezbędnych wynalazków.

Inaczej Callo skończyłaby, brodząc w tłuczonym szkle.

– Przynajmniej się wyjaławia, tworząc te dziwolągi – mówi niepewnie Fjollsfinn.

– Gdzie tam – cedzę ze złością, gryząc fajkę. – Przecież to jest niestabilne. A właściwie półstabilne. Za trwałe, żebyś to wyssał przez klimę, a potem się rozpada i wchłania z powrotem, bo same ją obłażą, kiedy śpi. Wyciągasz tylko to, co jest w powietrzu w stadium podstawowym. Zaglądałem do komory za filtrami, gdzie cały ten szajs miał krystalizować w te twoje kwiatki i powinny tam być już ogrody Semiramidy, a jest pięć nędznych lodowych paprotek. Mamy tu klinicznego świra z ciężkim PTSD, obdarzonego mocą tworzenia. Jakby było mało kłopotów.

– Mamy sukces – zauważa skromnie, jako ten, który najbardziej się napracował.

– Ta-jest... – staram się, żeby mój głos nie ociekał ironią, ale nie za bardzo wychodzi. – Do rana będziesz miał płonące Kawerny i mury obwieszone Bogu ducha winnymi mutantami, węglarzami i kominiarzami. Przecież ty ich poszczułeś na siebie! Czyś ty w ogóle czytał ten swój elaborat na trzeźwo?

– Żadnych pogromów nie będzie – oświadcza stanowczo i jeszcze bardziej mnie irytuje. – Bogini Drzewa wyraźnie tego zakazywała, tylko tej

części nie słuchałeś. A ja posłałem na ulice wszystkich strażników, którzy mają odbierać podejrzanych.

– A potem co? Budujemy w górach własny obóz Yodok?

– Powiedziane było: „czerń na dłoniach”. A oni sięgali do misy zawsze tylko dwoma palcami, wskazującym i środkowym prawej dłoni. Tego nikt nieuwikłany nie będzie wiedział. Poza tym to bardzo specyficzny barwnik, nie będzie trudno go zidentyfikować. Nie sadza, nie smoła, nie sepia. Zawiera trochę sadzy, ale też ludzki tłuszcz i krew, i inne rzeczy. Ludzie po prostu brudni zostaną z wielką pompą, uroczyście zwolnieni przez prawomówców jako niewinni i uczciwi.

– A potem porozwalają łby życzliwym sąsiadom i dostaną ode mnie medal, który zaraz zaprojektuję!

– Trzeba było unieszkodliwić tę siatkę do końca, *goddehelve*! – Teraz on się złości, bo czerwienieje mu to, co wystaje spod lodowej maski zwieńczonej lasem baszt. – Sam mi tłumaczysz, że mamy wojnę. Sekta, którą rozbiłeś, na pewno nie była jedyna i niekoniecznie nawet poszli na ten obrzęd w komplecie. Nie masz monopolu na słuszność. Po prostu sprzątać należy do końca i właśnie to zrobiłem. Swoją część dla wsparcia twojej. To się nazywa współpraca, Drakkainen.

Czuję się wykończony.

– Przepraszam, rzeczywiście nie mam monopolu. Ale tu czuję, że jedziemy po bandzie.

– Wojna, przypominam. Jeśli sądzisz, że nie upaprzemy rączek...

– Moje są już dość paskudnie upaprane, Fjollsfinn, a za chwilę będą jeszcze bardziej. A jeśli nawet jakimś cudem przeżyjemy i zdołamy unieszkodliwić albo ewakuować naszych *paskapää* rodaków, to wątpię, żeby tam w domu Wielki Brat kupił mi łódkę, strzelbę, kucyka, ptysie i bilety na hokej. Kiedy patrzę w lustro, to tam, po drugiej stronie, to coś wygląda jak modelowy kozioł ofiarny. Nasza wielka europejska ojczyzna to najbardziej zakłamana, nielojalna i kłamliwa kurew, jaką Ziemia nosiła.

– Przestań się mazać – oznajmia, wręczając mi kieliszek swojej berbeluchy. – Zawsze możesz tu zostać. Następnego takiego raczej nie przyślą.

– Nie mażę się – burczę. – Po prostu jestem zmęczony i wciąż tego wszystkiego nie ogarniam. Brakuje mi globalnej koncepcji strategicznej. Ja się tu biedzę nad drobnymi, cząstkowymi zadaniami i nie wiem, gdzie to

prowadzi. Ja jestem taktyk, nie strateg. To są jakieś obłąkane czteroosobowe szachy w ciemno, skrzyżowane z teksańskim pokerem i rosyjską ruletką.

Wypijam, pykam z fajki, rozpieram się w fotelu. Najchętniej walnąłbym się spać. Mięśnie nóg drżą mi ze zmęczenia, w żyłach jeszcze gotuje się adrenalina, nawet dłonie dygoczą. Ledwie dwie godziny temu walczyłem w ciemnych, cuchnących kanałach pod miastem.

– Nie możemy jej tak zostawić – mówię w końcu. – Gdzie masz mikrofon? Chyba zadbałeś o jakiś system komunikacji?

– Tak... – odpowiada niepewnie, jakby z wahaniem. – Wystarczy, że przekręcisz łeb tego smoka i mówisz w stronę jego ucha. Ale co jej powiesz? A jak dostanie szału?

– Na pewno nie będzie gorzej. Co za pomysł... *Perkele*, smok z uszami.

Wstaję, podchodzę do ściany z oknem wychodzącym na celę Passionarii Callo. Okno ma ostrołukowy portal, a jakże, obramowany wnękami, w których stoją bazaltowe ni to smoki, ni to gryfy. Pośrodku pod oknem jest nawet coś w rodzaju pulpitu kontrolnego z kamienia nasadzonego klejnotami, pełniącymi chyba rolę kontrolek i przełączników.

Odwracam gadzio-ptasi łeb zaopatrzony po bokach w złożone do tyłu trójkątne uszy i przekręcam w bok.

– Doktor Callo! – mówię, słysząc jednocześnie wzmocniony, ale metaliczny głos z sąsiedniego pomieszczenia. Passionaria w pierwszym odruchu zrywa się na nogi, potem kuli i przez chwilę wygląda, jakby miała zemdleć.

– Kto tu?! Kto tu jest? To ty, Pier? Kto mówi?

– Doktor Callo, jest pani wciąż na Midgaardzie, ale w bezpiecznym miejscu. To obóz przejściowy zespołu ratunkowego. Przechodzi pani kwarantannę w oczekiwaniu na ewakuację. Istnieje obawa, że jest pani zakażona czynnikiem ksenomorficznym. Procedura kwarantanny okazała się niezbędna. Proszę zachować spokój.

– Wypuśćcie mnie stąd! Natychmiast! Kim pan jest?

– Nazywam się Vuko Drakkainen. Apeluję o odpowiedzialne zachowanie, pani doktor. Proszę spojrzeć wokół siebie. W pokoju stale zachodzą różne pozorne zjawiska, które budzą wątpliwości co do pani stanu. Nie znamy materialnej przyczyny tych miraży ani nie wiemy, z jakimi zmianami mogą się wiązać. W takiej sytuacji instrukcja przewiduje

kwarantannę. Dopóki nie pojawi się decyzja co do środków zaradczych albo pani stan nie zrobi się stabilny, obowiązują nas procedury. Bardzo mi przykro, postaramy się dostarczyć pani wszystko, co w naszej mocy, żeby zapewnić wygody, ale sama pani rozumie, że nie naruszę procedur. Bezpieczeństwo jest najważniejsze. Takie są przepisy.

– Pan nic nie rozumie – mówi szybko gdzieś w stronę sufitu. – To nie są żadne miraże. To są moje dzieci. Zresztą to nieważne. Nie zrobią wam krzywdy. My... dokonaliśmy tu odkrycia – waha się przez chwilę. – Ja dokonałam odkrycia. Muszę zawieźć je na Ziemię. Wszyscy muszą się dowiedzieć. To wszystko zmieni. Rozumie pan?! Wszystko! Zlikwidujemy głód, przemoc, nietolerancję! Będziemy mogli kształtować klimat, społeczeństwo, wszystko! Wyhodujemy nowego człowieka! Rozumie pan to?!

– Doktor Callo – przerywam jej – czy pani nie rozumie, że to jest sytuacja nadzwyczajna i musimy postępować zgodnie z określonymi procedurami? Powtarzam jeszcze raz. To jest kwestia bezpieczeństwa. Takie są przepisy.

– Kiedy będzie ewakuacja? – pyta zrezygnowana, przygryzając wargę. Usłyszała zaklęcia, od których każdy Europejczyk odbija się jak od ściany jak w tej dwudziestowiecznej operze „The Wall”. Bezpieczeństwo. Przepisy. Procedury. *The Wall*.

– Nasz statek pojawi się w tym układzie pod koniec lata. Ewakuacja nastąpi, kiedy wyślemy sygnał. Na razie trwają poszukiwania pozostałych przy życiu członków ekspedycji.

– Kto jeszcze przeżył? I jak mnie znaleźliście...? Ja... chyba mam luki w pamięci.

– Bardzo proszę nie zadawać mi takich pytań. Nie mogę na nie odpowiedzieć. Pani stan... jest delikatny. Przeżyła pani wstrząs posttraumatyczny. PTSD. Może pani mieć bardzo różne objawy psychiczne i psychofizjologiczne. Dezorientacja, stany lękowe, amnezje, zaburzenia rytmu serca, mowy, nawet częściowy paraliż motoryczny. Dlatego proszę unikać silnych emocji. Proszę się o nic nie martwić i odpoczywać. Jest pani całkowicie bezpieczna i znajduje się w dobrych rękach. Musi pani po prostu odpocząć i dać nam pracować.

– Nie! Nie szukajcie ich! Oni zginęli! Boże, jak wy nic nie rozumiecie! Musimy opuścić tę potworną planetę jak najszybciej! Już, rozumie pan?!

– Na razie to niemożliwe. Ewakuacja nastąpi w przewidzianym terminie. Na razie proszę się uspokoić i odpoczywać. Czy ma pani jakieś życzenia?

Patrzy w sufit z niedowierzaniem i rezygnacją.

– Jestem weganką. Proszę nie podawać mi żadnego nabiału. To niedopuszczalne. Żadnych produktów odzwierzęcych, słyszy pan?!

– Dobrze, pani doktor. Osobiście tego dopilnuję. Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, proszę zawołać. Ktoś z personelu panią usłyszy i przekaże. Do usłyszenia. Jutro z panią porozmawiam.

Przekręcam z powrotem smoczy łeb z uczuciem, jakbym przebiegł pięćset metrów z koszem ryb na głowie.

Jedna sprawa z tysiąca. Nie, nie załatwiona. Przyklepana.

Fjollsfinn nagradza mnie powolnymi, ironicznymi brawami.

– Niezła gadka. Szkoda, że nie mogłeś tego posłuchać na trzeźwo.

– Zrobiłem swoją część. Współpraca, tak?

Passionaria za oknem siada na łóżku, a potem zaczyna płakać.

– Przynajmniej nie szaleje. Trzeba wymyślić coś, żeby pozbawić ją czynnika. Akevittu?

– W czasie snu – odpowiadam i podstawiam szklaneczkę. – Takie coś jak te jaja, które oczyściły dolinę. Wstawimy do środka zamaskowane jako coś neutralnego i koniec.

– Tak miał działać jej sarkofag, ale w czasie narkozy zatrzymała część w sobie. Może drętwa woda ma coś z tym wspólnego.

– Dobra – ucinam, zgarniając karafkę ze stolika. – Idziemy dalej. Tak przy okazji... – zagajam tonem towarzyskiej rozmowy już w pełznącej w górę cylindrycznej windzie otoczonej gotyckimi witrażami. – Skąd wzięły się te cele? Nie improwizowałeś ich z innych pomieszczeń, kiedy zdecydowałem się przejąć Callo. Powstały razem z resztą zamku. Były zaprogramowane w ziarnie. Wszystkie izolowane magicznie, szczelne, z gotowym podglądem, systemem kontrolnym i tymi filtrami neutralizującymi magiczny pył. Ile ich jest tak naprawdę?

Fjollsfinn wzdycha.

– Siedem cel przeznaczonych do neutralizacji Czyniących. Tyle, ile liczyła poza mną załoga stacji badawczej Midgaard II. Cela dla van Dykena, cela dla Callo, dla Freihoff, ale także dla Halleringa i Duvala, dla Zavratilovej i Letherhaze’a, bo nie miałem pojęcia, że zginęli, oraz jeszcze

dwie cele zapasowe, na wypadek gdyby kiedyś na drodze stanął mi miejscowy Pieśniarz.

Zamilkł. Gdzieś za ścianą turkotało koło wodne i pluskała woda holująca windę w górę.

– Znajdujemy się w piwnicach najwyższej wieży Lodowego Ogrodu, w części poniżej umocnień grani krateru – zaczyna znowu mechanicznym tonem, jakby oprowadzał zwiedzających. – Wieża wznosi się na krawędzi zewnętrznego muru oporowego, nad stumetrowym klifem i ma czterdzieści pięć metrów wysokości, licząc od podstawy. Nosi nazwę Wieży Szeptów. To mój sejf. Miejsce, w którym zapieczętowuje się tajemnice. W odizolowanych celach o półtorametrowych murach z litego bazaltu oraz jednostronnych ekranach z ośmiu warstw różnych lodowych polimerów. Drzwi znajdują się w komorach wewnątrz ścian i mają formę bazaltowych kręgów, przetaczanych hydraulicznie przez trzy niezależne systemy wodne, otwierane jedynie z pomieszczenia kontroli. Każda cela ma odrębny kompleks pomieszczeń dla straży, personelu pomocniczego, kuchni i zaplecza. Specjalny system obrotowych podajników umożliwia dostarczanie i odbieranie przedmiotów bez dehermetyzacji pomieszczenia.

Winda zatrzymuje się z szarpnięciem, otwieramy drzwi i wychodzimy na korytarz. Fjollsfinn spokojnie kontynuuje program „wycieczka z przewodnikiem”.

– Wieża Szeptów była pierwszym obiektem, jaki zaprogramowałem w ziarnie, dryfując w lodzie. Na początku, kiedy tylko zacząłem śnić o zamku, składał się tylko z tej wieży i otaczającego ją pierścienia umocnień. To, powiedzmy, projektowanie trwało bardzo długo. Podczas tego przechodziłem różne fazy, ewoluowałem, uspokajałem się. To był bardzo intensywny letarg, mimo że moje serce uderzało raz na minutę. Wieża Szeptów to moja pieśń zemsty, która przybrała właśnie taki kształt. Jest tworem umysłu półmartwego, oślepłego i okaleczonego człowieka przepełnionego bólem, wściekłością i chęcią odwetu. Moja Bastylia, Tower, Alcatraz i Playa Negra. Tworzenie zamku zaczęło się od katowni, Drakkainen. Śniłem bez przerwy o moich prześladowcach, nie tylko o tym, co mi zrobili, ale co chcieli zrobić światu, kiedy już opanowali czynnik M. Nie tylko mojemu światu, ale i naszemu, Ziemi. Marzyłem o tym, że dopadnę ich wszystkich, a potem co z nimi zrobię, kiedy już umieszczę ich tutaj. W podziemiach Wieży Szeptów. Dopiero kiedy się tym nasyciłem

i znużyłem, mogłem zamknąć wieżę i zająć się czymś innym. Mogłem myśleć o Ogrodzie i o prawdziwych ogrodach. Przestałem myśleć o nim jako o miejscu zemsty, a zacząłem jako o swojej siedzibie, w której mógłbym badać ten świat i mieszkać. To już nie miała być tylko katownia, ale także bastion. Moje Alamo. Mój Stand Alone Complex. Projektowałem mury, katapulty napędzane kołami wodnymi, przypomniałem sobie seminarium z machin starożytnych i średniowiecznych, w którym kiedyś uczestniczyłem. A jeszcze potem zrozumiałem, że jeśli każę wulkanowi urodzić moją twierdzę, to będę w niej sam. Zagubiony wśród wież, murów i pustych kamiennych ulic. Zrozumiałem, że Lodowy Ogród musi być też piękny. Musi kusić żeglarzy, by wpłynęli do jego portów. A ja muszę sprawić, żeby chcieli w nim pozostać. Więc musiałem stworzyć też infrastrukturę.

Zatrzymujemy się przed ostrołukowymi drzwiami, za którymi tkwi w ścianie uwięziony kamienny krąg. Stoimy otoczeni strzelnicami, gdzieś tam, za ścianą, mierzą w nas bełty kusz, ale zostajemy rozpoznani. W ścianie z chlupotem płynie woda, turkocą łańcuchy oraz przekładnie. Kamień przetacza się z głuchym łoskotem i otwiera nam przejście. Potem kolejne drzwi i następne wpatrujące się w nas strzelnice.

Szkarłat siedzi w swojej celi za ośmiowarstwowym magicznym polimerem, który od jego strony wygląda jak ściana. Ręce ma skute z przodu. Kajdany są połączone łańcuchem z okowami na nogach i z żelazną obrożą na szyi. Nie może się do końca wyprostować, a jeśli wstanie, będzie musiał posuwać się drobnymi kroczkami. Siedzi pod ścianą na podłodze, ze skrzyżowanymi nogami, opierając przedramiona na udach.

Trwa.

Zbiera siły. Patrzy w jeden punkt, jakby pogrążył się w medytacjach. Jest nagi, skuty i zamknięty w bazaltowej pieczarze, której drzwi ważą kilkanaście ton i trzeba pięciometrowego koła wodnego, żeby je poruszyć.

A jednak jest śmiertelnie niebezpieczny.

Dotarł tu z Amitraju. Jak się zdaje, na piechotę. Zdołał sterroryzować i uwięzić całą rodzinę nieszczęsnego Wędzonego Ulle razem z przybocznymi i zastawić na mnie pułapkę. Zdołał wydedukować, że ja to ja. Prawda, zostawiałem za sobą ślady, wiadomości, ogłoszenia na kamieniach i wynajmowałem krzykaczy. Ale wiedział, że wrócę do Żmijowego Gardła, i przechytrzył mnie. Omal pozabijał mi ludzi. A potem

jeszcze ruszył moim śladem w jakiejś nędznej rybackiej łupince prosto w jesienny sztorm i dopiął swego. A potem w parę miesięcy zinfiltrował Kawerny, założył siatkę dywersyjną, prężnie rozwijający się kult, nazbierał informacji i nagromadził sprzętu.

I teraz siedzi przede mną w tej samej niezmiennej pozycji, jak jakiś upiorny Budda z piekła rodem, i gapi się w ścianę. Nie odreagowuje stresu, nie okazuje strachu, tylko siedzi z uniesionym tym jaszczurzym pyskiem i gapi się w ścianę, nieruchomo jak waran. Jedynym przejawem emocji są krwawe gałęzie naczyń pałające na jego białej twarzy. Przeszedł w tryb czuwania.

A ja czuję na jego widok mdłości.

Są rzeczy, których nie zrobię, choć na logikę by należało. Wiadomości, które Szkarłat posiada, mogą być bezcenne.

Może wiedzieć, jak dotrzeć do Freihoff.

Może wiedzieć, co tamta potrafi.

Może wiedzieć, co zamierza.

Może wiedzieć kiedy.

Może być kluczem do wygrania połowy wojny. Jego wiedza mogłaby uratować tysiące, jeśli nie miliony żywotów. I pogrążyć mój.

Odkąd tu przybyłem, zabiłem kilkanaście osób. Może i kilkadziesiąt.

Ale w samoobronie albo w otwartej walce. Nie chcę torturować jeńców. To już przekracza granice człowieczeństwa, tak jak je rozumiem. Delikatne granice, cienkie niczym pajęczyna. Potraktowanie dopiero co powalonego przeciwnika dźwignią na staw albo duszeniem, przydepnięcie mu ledwo co zadanej rany, żeby coś wymusić, choćby informację, jej nie narusza. Podobnie nie narusza jej to, co zrobiłem z Wężami w Domu Żelaznych Cierni. Ja byłem jeden, a ich wielu. To oni wzięli mnie do niewoli, a nie ja ich. Natomiast kiedy przeciwnik jest spętany i bezbronny, sytuacja się zmienia i nie pytajcie dlaczego. Między innymi chodzi o emocje. O różnicę pomiędzy okrucieństwem pod wpływem furii a systematycznymi, zadawanymi na zimno torturami.

– I co teraz zrobimy? – Fjollsfinn przerywa nagle ciężkie milczenie. Od dłuższej chwili siedzimy, patrząc na nieruchomego Szkarłata. Jeśli będziesz patrzeć na Szkarłata wystarczająco długo, w końcu Szkarłat zacznie patrzeć na ciebie.

– Teraz będziemy rozważali problemy etyczne, zupełnie niepraktyczne i niedorzeczne z taktycznego punktu widzenia.

– On by takich problemów nie miał, podobnie jak ci, którzy go przysłali.

– Wiem. Dlatego różnimy się od nich. Jednak jeśli zaczniemy torturować tę szuję, zaczniemy się różnić jakby mniej.

– Konieczność historyczna – odpowiada.

– Tamci też mają swoje konieczności historyczne: van Dyken wprowadza ludzkość na wyższy poziom ewolucyjny, a Freihoff znowu buduje utopię. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, nie zrobisz omletu bez rozbicia jajek i takie tam pieprzenie.

– Siedzi od kilku godzin skuty łańcuchami tak, że nie może się wyprostować, nagi, w lodowatym zimnie, prawdopodobnie co chwila dostaje skurczów mięśni. To może nie są tortury? Albo skończmy to, co zaczęliśmy, albo zdejmijmy mu kajdany, włączmy ogrzewanie i dostarczmy kawy z rogalikami. Trzeciego wyjścia nie widzę.

– Jest też problem techniczny. Pan to potrafi, doktorze? Jakieś seminarium o torturach? Otóż ja nie umiem. Techniki przesłuchań to jest wiedza fachowa. Odrażająca być może, barbarzyńska z całą pewnością, ale za to rzetelna. A ja jej nie mam, szczególnie że tu trzeba znać fizjologię obcego na wysokim poziomie. Po pierwsze, to wysokiej klasy agent. Z pewnością szkolili kolesia w przechodzeniu przesłuchań. Nie złamiesz go byle czym. Żeby pękł, trzeba by go przycisnąć naprawdę mocno albo naprawdę długo. Tyle że po amatorsku łatwo przeholować i zabić, a wtedy wszystko na nic. Po drugie, jeśli nawet pęknie, powie nam, cokolwiek chcemy usłyszeć, bylebyśmy przestali. A my tego nie zweryfikujemy. Informacje uzyskane torturami są zwykle nic niewarte.

– Coś ci pokażę – powiada, zarzucając kaptur. – Wyjdziemy na zewnątrz.

Sto czterdzieści pięć metrów nad poziomem morza to kawał drogi dla windy napędzanej kołem wodnym, choćby i wielkim. Stoimy więc bez końca wśród witraży, słuchając turkotu łańcuchów i plusku wody. W sąsiednim kanale opada kamienna przeciwwaga, mająca zrównoważyć ciężar windy.

Stojącą na uboczu i patrzącą w morze Wieżę Szeptów widywałem dotąd tylko z dołu. Zwróciłem na nią kiedyś przelotnie uwagę, bo się różniła. Nie była zwieńczona strzelistym hełmem, tylko tępo zakończona jakąś jakby koroną z czterech hakowatych występów, podobnych do rogów czy ostrzy.

Nie poświęciłem temu większego zainteresowania, uznając je za osobliwy ornament.

Teraz gdy wychodzimy na górę, piętrzą się nad nami jak niedokończone przęsła albo żebra wieloryba. Wieje chłodny wiatr, ale jest słonecznie, a z tarasu wieży widok zapiera dech w piersiach. Morze ciągnie się nieskończoną migotliwą płaszczyzną turkusu i błękitu pruskiego, kontrapunktowaną kreseczkami świetliście białych grzyw fal, a na dalekim horyzoncie majaczy zarys jakiejś wyspy.

Od strony morza kamienny mur otaczający taras wieży jest przerwany i można przejść na dodatkowy doczepiony do ściany balkon, okrągły jak patelnia. Kamienne balustradki sięgają tu ledwo pół metra i wejście na tę bazaltową etażerkę jest dość pewnym testem lęku wysokości. Nie mam fobii, ale kolana mi drżą i wydaje mi się, że balkon dygoce i kołysze się pod nogami.

Rzut oka wzdłuż gładkiej ściany donżonu, a potem jeszcze niżej, wzdłuż klifu, ku gotującej się turkusowo-białej kipieli, ma w sobie coś z samobójczej autohipnozy. Bardzo łatwo byłoby stąd kogoś zrzucić. Na lądowisko dla helikopterów się to nie bardzo nadaje, bo pośrodku balkonu wzniesiono trzymetrowy kamienny portal. Bramę znikąd donikąd.

Odwracam się i przechodzę przez nią, stojącą jak pojedynczy dolmen wyrwany ze Stonehenge, a potem kładką na taras wieży, w cień dziwnie złowrogich kolców wyciągniętych w niebo niczym szpony. Pośrodku głównego tarasu też stoją dwa kamienne słupy.

Fjollsfinn tkwi między nimi z rękoma założonymi na piersi, wysoki jak u mnicha kaptur płaszcza opiera się na koronie baszt, słońce migoce w lodowych kryształach wypełniających mężczyźnie oczodoły.

– Piękny widok – mówię.

– Miał być piękny – odpowiada rzeczowo.

– Oprowadzisz mnie?

Milczy przez chwilę.

– Szczyt Wieży Szeptów – zaczyna. – Około stu czterdziestu pięciu metrów nad poziomem morza. Ostatnie miejsce, z jakiego moi więźniowie mieli widzieć świat, gdybym tak zdecydował. Pamiętaj, że stoisz w miejscu stworzonym przez chory umysł. Przez zaklętego w lodzie, okaleczonego obłąkańca.

– „Spacer po desce”, jak na okręcie pirackim, a potem lot do morza? Czy też ta brama to po prostu szubienica?

– Jedno i drugie – rzuca drewnianym głosem. – Najpierw pętla i zapadnia, z tym że szubienica jest z rodzaju tych względnie humanitarnych. Napięcie liny może nastąpić po nawet dziesięciometrowym locie. Potem wystarczy ją przeciąć. Zyskujemy w ten sposób wysoką pewność, że egzekucja była skuteczna. Ale jest też druga możliwość. – Unosi dłoń i wskazuje zakrzywiające się nad nami szpony. – Wewnątrz każdego znajduje się miedziany pręt grubości męskiego kciuka, który wznosi się nad skałę jeszcze na dwa metry. Prowadzi przez środek kolca, a potem pod podłogą do słupa. Po dwa do każdego, następnie są doprowadzone do żelaznych kółek, do których dopięte byłyby kajdany. A potem wystarczy poczekać na burzę.

– Pomysłowe – odpowiadam. – A jeśli jednak mimo burzy nic nie strzeli w tę wieżę, to co? Ułaskawienie?

– Szczerze? Nie wiem. Ale obawiam się, że następna burza. Mówiłem, że byłem w nie najlepszym stanie psychicznym, kiedy to wymyśliłem.

– Dlaczego mi to pokazujesz?

– To jedna z tajemnic tej wieży. Jeden z jej „szeptów”. Pokazuję ci, że nie jestem taką akademicką ofermą, za jaką mnie uważasz. Po pierwsze, realnie liczyłem się z tym, że kiedyś tego użyję, i to przeciw moim dawnym kolegom z ekspedycji. Po drugie, byłoby lepiej, gdybym mógł powiedzieć, że nie byłem wtedy sobą, że mi wstyd, iż coś takiego zaprojektowałem, ale wcale nie jestem taki pewien. Tak naprawdę cieszę się, że mam miejsce kaźni, i czasem tu wjeżdżam, żeby upewnić się, że te upiorne machiny wciąż tu są i czekają. W jakiś chory sposób dają mi poczucie, że jestem prawdziwym królem. Skoro mam własną wyspę, twierdzę i poddanych, to muszę być także gotów sądzić ludzi. I cieszę się, że nie byłbym bezradny wobec naprawdę odrażających zbrodniarzy. Kiedy na to patrzę, mam namacalne poczucie siły mojego miasta. Nie zrozumiesz tego, ale wydaje mi się, że zacząłem myśleć w sposób średniowieczny. Są wartości, takie jak prawość, szlachetność, miłosierdzie i wielkoduszność czy sprawiedliwość, ale według mnie, takiego, jakim jestem teraz, rządząc Lodowym Ogrodem, powinnością władcy jest je egzekwować i dysponować siłą do ich obrony. Nie muszę się martwić, że ktoś niewinny otrzyma wyrok śmierci z powodu matactwa prawników czy korupcji, bo wszystko dzieje się na małą skalę.

Feudalną. Każdy przypadek można rozważyć indywidualnie. Nikt nie zostanie pochopnie skazany, bo rezerwuję tę karę dla przypadków ewidentnych, poza tym takie wyroki wydaję tu tylko ja. Według własnego osądu. Jako król. Na własną odpowiedzialność.

– No dobrze, Wasza Wysokość – oznajmiam, przybijając żar w fajce. – Lecz co z tego dla nas wynika? Możemy tu przywlec Szkarłata i przed egzekucją jeszcze podpalić mu spodnie i wypchać kieszenie fajerwerkami. Ale stracenie tego Amitraja, choćby wyjątkowo pomysłowo i widowiskowo, niczemu nie będzie służyło. Nic nie ugramy w ten sposób. Wątpię też, żeby się przestraszył wystarczająco, bo nie rozumie związku między elektrycznością a błyskawicami. To na mnie robi wrażenie, bo kiedyś oberwałem piorunem.

– To dopiero wstęp do tego, co chcę ci pokazać. Taras Wieży Szeptów to dowód mojej determinacji. Ale jest coś jeszcze. I to już może się przydać. Wracamy na dół.

I znowu winda, pełznąca przez trzewia wieży w dół, na poziom, na którym znajdują się lochy maksymalnego poziomu zabezpieczeń. Zaczyna mi się już kręcić w głowie od tych ciągłych podróży w górę i w dół.

Stoimy w okrągłej sali przypominającej odwróconą dnem do góry kryształową misę. Ma ze dwadzieścia metrów średnicy i dziesięć wysokości i mimo że jesteśmy pod ziemią, z kryształowego stropu sączy się mdłe światło, jakby w szklarni pomalowanej wapnem albo w mglisty dzień. Skojarzenie ze szklarnią zresztą wydaje się całkiem sensowne, bo wzdłuż ścian rosną lodowe rośliny, podzwaniając szklistymi liśćmi i kwiatami. Te jednak są najeżone cierniami, kwiaty mają jakiś niepokojący drapieżny wygląd, jak jakieś muchołówki albo zgeometryzowane trujące orchidee.

– Filia Lodowego Ogrodu? – pytam.

– Jego odwrotność – powiada. – W tamtym witam przyszłych obywateli, zapraszam ich na ucztę, pokazuję nowe życie, jakie ich czeka w mieście, ale także ogród, w jakim znajdą się po śmierci. Daję im wizje, które są podstawą religii Drzewa. Ta sala powstała jako odwrotność powitalnej. Jeśli tamta jest wizją Edenu, to tutaj mamy piekło.

– A to w jakim celu?

– Z myślą o tamtych. O moich kolegach z ekspedycji. Jako narzędzie reedukacji, izba tortur, bo ja wiem?

– Co to może zrobić?

– Może go złamać, i to ekspresowo. W ciągu godzin, a nie miesięcy. Działanie jest indywidualne. To od umysłu więźnia zależy, co zobaczy.

– Zetknąłem się z czymś podobnym – mówię, przypominając sobie zabezpieczenia stacji robako-pociągu z wybrzeża. – Ale nie będzie kompatybilne z psychiką obcego. Tamto było nastawione na tutejszych, ode mnie odczepiło się po jakimś czasie.

– Mam pewną wprawę w manipulowaniu psychiką tutejszych – odpowiada Fjollsfinn skromnie. – Każdy obywatel przechodzi inicjację, rodzi się na nowo w Lodowym Ogrodzie i postrzega to miejsce jako najlepsze do życia. W tym wypadku musimy właściwie zrobić to samo. Jedyna różnica to fakt, że on jest naszym wrogiem, więc najpierw musimy go złamać, a dopiero potem pokazać mu alternatywę.

– Robi mi się żal Szkarłata – zauważam kwaśno. – Przy twojej wyżymaczce mózgu klasyczne tortury wydają się jakby uczciwe i bardziej fair.

– Kto cię przysłał? – zapytał Vuko.

Wszystko wyglądało obrzydliwie typowo: pusta piwnica bez okien, stół, pałająca blaskiem luminescencyjna lampa, dwóch Braci Drzewa o nieprzyjemnych, zaciętych twarzach i nagi człowiek przykuty łańcuchami do dębowego fotela zbitego z grubych kloców.

Chudy, sękaty, o twarzy warana pokrytej szkarłatnymi plamami rozgałęzionych naczyń. Był odrażający. Cała sytuacja była odrażająca.

Siedział i milczał.

– Wiesz co? – powiedział Vuko zmęczonym tonem. – Nudzisz mnie. Przecież uczyli cię, jak przebiegają takie rozmowy. Nie możesz nam tego oszczędzić? Nam obu. Dobrze wiesz, że nie wytrzymasz i w końcu będziesz mówić. Więc może od razu przejdziemy do tej części. Zobacz, jakie to proste.

Milczenie.

– Popatrz, co tu mam. Twoje własne rzeczy. Nie będę ci opowiadał, co można za pomocą tego zrobić, bo właściwie sam nie wiem. Znasz się na tym lepiej ode mnie. Mamy tu trzy szklane sztylety zabrane z twojej siedziby i bicz zrobiony z macki tej jakiejś żagiewnicy. Myślę, że to wystarczy. Rozumiesz, na czym polega problem? Ja się na tym za bardzo

nie znam. Będę eksperymentował. Powiedzmy, że smagnę cię tym co jakiś czas. W nieregularnych odstępach czasu, żeby nie zrobiło się monotonnie, ale nie mam pojęcia, czy cię to za którymś razem nie zabije.

Milczenie.

– Wiem, kto cię przysłał. Jednak zapytam po raz kolejny. Pytanie, na które znam prawdziwą odpowiedź, pozwoli mi sprawdzić, czy już możemy zacząć rozmawiać.

Drakkainen sięgnął po leżący na stole bicz. Metalowy, lśniący i złowrogi, na razie wyglądający jak krótka, wypolerowana pałka.

– Popraw mnie, jeśli zrobię coś nie tak jak trzeba. Najpierw zdejmujemy tę metalową osłonę, ostrożnie, żeby nie dotknąć tego śliskiego paskudztwa pod spodem... Dobra, teraz zaczyna się to rozwijać, powinienem trochę potrząsnąć, żeby się całkiem rozplotło? To żyje czy co? Zobacz, rusza się całkiem żwawo. Jak tym machnę, to się pewnie rozciągnie w powietrzu?

Szkarłat nadal milczał, zaczął jednak gwałtownie wciągać powietrze nosem i wypuszczać ustami z jakimś gadzim sykiem.

– Aha. Będziesz się popisywał wytrzymałością i wyszkoleniem. W efekcie wszystko będzie się ciągnęło całymi dniami. Ewentualnie liczysz na to, że cię niechcący zabiję, albo i chcący, kiedy doprowadzisz mnie do szału. A to co znowu?

Szkarłat wyciągnął głowę do przodu, jak żółw wychylający się ze skorupy, łańcuch brzęknął, a obroża wpiła mu się w gardło. Twarz Amitraja poczerwieniała tak, że pałające pod skórą naczynia prawie znikły, za to wytrzeszczyły się tkwiące głęboko w oczodołach gadzie oczy.

– Odpiąć mu obrożę! – zawołał Drakkainen.

Bracia Drzewa doskoczyli do fotela, zadźwięczały ogniwa. Uwolniony z obroży Szkarłat opadł do przodu, charcząc i zanosząc się suchym kaszlem.

– Zapnijcie mu to na czole – powiedział zwiadowca, trzymając bicz macką w dół, zupełnie nieruchomo. Wijące się odnóże poruszało się coraz wolniej, zaczynając się kurczyć, grubieć i skręcać w spiralę. W końcu zwinęło się na tyle ciasno, że mógł z powrotem założyć ochronną pochwę.

Położył ostrożnie narzędzie na stole, po czym usiadł i splótł palce na blacie.

– No dobra. To się porozumieliśmy w kwestii strategii przetrwania. Oto fanatyk. Z radością umrzesz w męczarniach, a ja będę cię torturował na

próżno, bo czeka na ciebie raj albo coś w tym rodzaju. Może się mylę, ale religia Pramatki nie przewiduje życia po śmierci, czy może dla wybranych tak? Wszystko jedno. Nie skorzystasz z kocopałów mojej koleżanki, ponieważ nie trafisz do raju. Ale nie, nie będę sobie brudził tobą rąk. Zamiast tego ja cię wyślę za życia do piekła.

Odwrócił się do strażników.

– Panowie, czy któryś mógłby kopnąć się do mojej kwatery i tam poprosić chłopaków, żeby dali moje sakwy od siodła, potrzebne mi coś, co tam mam.

Kiedy strażnik wyszedł, Vuko wyjął fajkę, krzesiwo, kapciuch z tytoniem oraz pudełeczko z drewnianymi drzazgami.

– Teraz sobie poczekamy – oznajmił. – Może pogadamy dla zabicia czasu? Nie? Trudno. Następnym razem będziesz błagał, żebym zadał ci jakieś pytanie.

Upłynęło kilkanaście minut, podczas których Drakkainen pykał z fajki, popijał z kubka i bębnił palcami po blacie, a Szkarłat siedział nieruchomo i milczał.

Kiedy przyniesiono sakwy, pogrzebał w jednej z toreb, po czym wyjął skórzany pokrowiec i rozwinął, ukazując wepchnięte do kieszonek lśniące metalowe elementy.

Wszyscy obecni w pomieszczeniu milczeli zdziwieni, zaś Vuko szczękał metalem, montując jakieś urządzenie i poświstując cicho.

W końcu wstał, trzymając w ręku szprycę, i rytmicznie poruszał uchwytem pompki.

– Moje ostatnie ziarno – oznajmił z rezygnacją. – Oszczędzałem, bo marzyłem, że oswoję sobie jakiegoś wilka, a tu nic z tego. Chyba wystarczy, pokazał się zielony znacznik. Teraz przytrzymajcie mu łeb, żeby się nie rzucał.

Szkarłat rzeczywiście próbował się szarpać, warcząc i sycząc przez wyszczerzone zęby, ale, rzecz jasna, nie miało to większego znaczenia. Vuko jedną ręką przytrzymał obręcz na czole Szkarłata, odchylając mu głowę do tyłu, a drugą wprowadził wylot szprycy głęboko do nosa szpiega i nacisnął spust, czując wyraźnie uderzenie odrzutu.

Odskoczyli, kiedy Szkarłat zaczął miotać się w łańcuchach, zipiąc i kaszląc, a potem zaczął wrzeszczeć, targając głową na wszystkie strony, kiedy ziarno uwolniło się i rozpoczęło swoją wędrówkę.

– Za jakiś czas mu przejdzie – wyjaśnił Drakkainen. – Przestanie wyć, to do wyżymaczki z nim.

– Będziemy widzieli to, co on? – zainteresował się Drakkainen.

– W pewnym sensie – przyznał Fjollsfinn. Siedzieli w pomieszczeniu kontrolnym przy lodowej sali, którą Vuko ochrzcił „wyżymaczką”, a na podłodze skręcał się i dygotał Szkarłat. – Jego mózg stworzy obiekty, które dla niego będą przerażające, ale cała rzecz tkwi w kontekście. On zobaczy straszliwego konia, który stratował go w dzieciństwie, dla nas zaś to będzie tylko jakiś koń. Tyle że musi najpierw odzyskać przytomność, żeby to w ogóle zaczęło działać, a wcale się na to nie zanosi. Moim zdaniem, ten idiotyczny wszczep go zabije. Co ci w ogóle strzeliło do głowy, żeby zrobić coś takiego?

– Zobaczymy – oznajmił Drakkainen. – Czy ta twoja wyżymaczka w ogóle zadziała, też na razie nie wiemy.

Szpieg jednak nie odzyskał przytomności aż do następnego rana. Leżał, krwawił trochę z nosa, oczu i uszu i wstrząsały nim konwulsje, poza tym nie działo się nic godnego uwagi prócz tego, że w pomieszczeniu snuła się zimna mgła, co jakiś czas wyciągając w stronę nieprzytomnego języki oparu.

Kanarek od Fjollsfinna dopadł Vuka przy śniadaniu. Drakkainen pośpiesznie wepchnął do kieszeni kaftana kawałek czegoś podobnego do suchej kiełbasy, placek chleba przełożony serem, zabrał kubek naparu i poszedł. Zabrał też ze sobą Filara, który twierdził, że skoro szpieg jest Amitrajem, może pomóc albo przynajmniej tłumaczyć.

Kiedy weszli do pomieszczenia kontroli otoczeni chmurą wonnego dymu z fajek, Szkarłat był już przytomny, ale leżał zwinięty w kłębek i szlochał rozpaczliwie.

– Co go tak rozłożyło? – zapytał rzeczowo Drakkainen, stawiając kubek na pulpicie. – Naprawdę na całej planecie nie ma żadnego analogu kawy? Tego ich Doktora Peppera na ciepło nie da się pić.

– Nic go nie rozłożyło. Obudził się i płacze. Wyżymaczka jeszcze nie ruszyła. To dopiero początek, nie koniec. Mgła coś formuje. Nie wiem, co to jest, chyba jakieś budynki – odparł Norweg, który też siorbał coś z kubka.

Obrazy pojawiające się w kurtynie mgły przypominały blade, półprzejrzyste hologramy. Najostrzej wyglądały te, które widziało się na wprost. Pozostałe były pastelowe i zwiewne niczym widma. Obraz zagęścił się i pojawiła się malowana żółtymi barwami uliczka jakiegoś miasta. Domy jak babki z piasku, wyglądające jak ulepione z gliny, o płaskich dachach, stłoczone jedne na drugich niczym kolonia grzybów. Trochę to się kojarzyło z jakąś arabską medyną, a trochę z meksykańskim pueblem. Wszędzie walały się śmieci, ściany były odrapane i obłaziły z wapna.

– Jakieś miasto w Amitraju, na pewno – odezwał się Filar.

– Dziwne proporcje – zauważył Fjollsfinn. – Przechodnie wyglądają, jakby mieli po trzy metry. Domy też pod niebo, a mają najwyżej dwa piętra.

– Nie. To nie tamci są wielcy – zaoponował Drakkainen. – Tylko on jest mały. Patrzymy z perspektywy dziecka. To jakieś wspomnienie z dzieciństwa.

Szkarłat kulił się pod widmową ścianą, odpełzał gdzieś na bok, a wokół niego kroczyli gigantyczni przechodnie. Nie miał kajdan, więc w końcu zdołał jakoś wstać, sceneria wokół niego zmieniała się, pojawiały się inne ulice i place, jakieś nabrzeża i bazary, gdzie stragany piętrzyły się podniebnie gdzieś nad jego głową. Szkarłat pełzał wśród tego niezbornie, grzebał w rozsypanych śmieciach i starych beczkach z odpadkami, atakowały go szczury wielkie jak nutrie, sycząc i kąsając zakrzywionymi siekaczami. Za chwilę goniły go psy, a potem pojawiały się inne dzieci. Te wyglądały rzeczywiście upiornie w dziwacznej powiększonej perspektywie. Chude jak pająki, o zniekształconych głodem i chorobami twarzach, niemożliwie brudne i obdarte, nienaturalnie wielkie. Otaczały go kręgiem, wrzeszcząc i szydząc, o przesadnie brzydkich karykaturalnych obliczach, z dzikimi oczami i szczerbatymi paszczami, w ich nozdrzach to pojawiała się, to znikała z obrzydliwym siorbaniem zielona wydzielina. Kiedy rzucały się na niego całą wrzeszczącą gromadą, kopiąc, tłukąc gdzie popadnie, drapiąc i szarpiąc, Szkarłat zwijał się w kłębek, osłaniając głowę ramionami, i skowyczał przeraźliwie.

– To jakieś portowe miasto w północnych prowincjach – powiedział spokojnie Filar. – Sądząc po ubraniach przechodniów, prawdopodobnie w trakcie rządów mojego dziada.

Sceneria zmieniała się szybko i trudno było za nią nadążyć. Mdłe, jaskrawe, ale jakieś zgniłe światło zalanych słońcem uliczek zastąpiła nagle

duszna ciemność. Ciemność, w której majaczyły rdzawe poblaski, jakby pełgającego to tu, to tam żaru, podświetlającego snujące się wszędzie smugi dymu. To było chyba jakieś pomieszczenie pełne leżących na przykrytej brudnymi derkami podłodze ludzi. Wyglądali jak kłębowisko potworów o zniekształconych twarzach, ostrych, wyschniętych rysach albo dla odmiany tonących w opuchliźnie, pokrytych ropiejącymi wrzodami. Ich gęby majaczyły w mroku dookoła, zewsząd wyciągały się ku Szkarłatowi ręce z długimi jak szpony połamanymi pazurami, a on, dygocąc, szedł środkiem, trzymając na wyciągniętej ręce kilka miedziaków.

Leżący zalegali na całej podłodze i widać było, że leżą w kilkuosobowych grupkach, podając sobie drewnianą, bulgocącą rurę z zatkniętym na dole ceramicznym, kielichowatym naczyniem, w którym rozjarzał się na moment żar, kiedy z drugiej strony pociągano tłustego dymu, czarnego jak z płonącej smoły.

– Harhasz – wyjaśnił Filar. – To musi być portowe miasto na północy, tam były takie palarnie Żywicy Snów. Ta jest już dla zupełnych nędzników, takich, którzy prawie stamtąd nie wychodzą, niemal nic nie jedzą i leżą całkiem obłąkani, aż skończą im się pieniądze na harhasz albo umrą. Wtedy wyrzucano ich do kanału i robiono miejsce dla kolejnych. Ci, co jeszcze byli w stanie, napadali w nocy przechodniów, kradli i gotowi byli uczynić każdą podłość, byle zarobić na bryłkę Żywicy.

Tymczasem szpieg stał drżący, otoczony widziadłami, i wyciągał gdzieś w górę dłoń, na której leżały miedziaki. W ciemności przed nim coś zaczęło się poruszać i spośród lśniących od potu, splecionych ciał wysnuła się potwornie brzydka i brudna kobieta w jakiejś podartej szmacie, o twarzy pokrytej opuchlizną i wiśniowymi wybroczynami. Widać było, jak porusza wargami, usiłując policzyć cztery monety, a potem jej oczy rozszerzyły się wściekłością, wyszarpnęła się do przodu i rzuciła na Szkarłata. Zapewne była kobietą dość przeciętnego wzrostu i do tego wychudzoną, jeśli nie liczyć opuchlizn, ale w dziwacznej perspektywie wyżymaczki wydawała się wielka jak hipopotam, kiedy okładała go, skulonego w kłębek jak pająk, a potem pracowicie wymierzała mu kopniaki.

– Złorzeczy – oznajmił Filar. – Żałuje, że urodziła bezużytecznego księżycowego psa zamiast dziewczynki, która miałaby czym zarobić i potrafiłaby o nią należycie zadbać. Teraz go tylko lży... A teraz przeklina swój los, Szkarłata i w ogóle wszystko, co jest na świecie.

A potem palarnia znikła, zamiast tego była noc, światło pochodni w wejściu do jakiejś jaskini, a może piwnicy, i deszcz tuż obok, na

zewnątrz. Szkarłat stał w ciemności i trzymał za rękę tę samą kobietę. Jej luźno zwieszona dłoń wypadała mu powyżej ramienia. Co chwila spoglądał w górę, chcąc dostrzec jej twarz, i trzęsły mu się nogi. Z ciemności poza piwnicą ktoś nadchodził. Dwóch ludzi, monstrualnie wysocy i chudzi, opatuleni w ciemnoczerwone płaszcze z kapturami, kiedy podeszli bliżej, widać było, że mają na twarzach lśniące polerowanym srebrem maski, tylko że zwykłe maski kapłanów były długie, pozbawione wyrazu i przywodziły na myśl stylizowane głowy owadów albo kosmitów. Te zaś przypominały maski teatru kabuki albo samurajskie bojowe maski demona do hełmu kabuto. Były wykrzywione w nadekspresyjnej furii i szczerzyły zębate paszcze.

– Oho, to oni jednak istnieli? W takim razie przynajmniej wiemy, skąd się taki wziął – powiedział Filar.

– A konkretnie? – upomniał go Drakkainen.

– Myślałem, że to legenda. Matka sprzedaje go Harrasim, Milczącym. To zakon kultu Podziemnej. Pięść świątyni. Szpiedzy i zabójcy. Kiedy pod rządami mojego dziada świątynia kultu Pramatki zaczęła tracić władzę, powołała ich Matka Atma, by walczyć z cesarskimi urzędnikami o to, co przedtem należało do świątyni. Po to byli Milczący. Fanatyczni i niepokonani, o mocach Czyniących, przynajmniej tak głosiły plotki. Ponoć kapłanki i kapłani kupowali dzieci w dzielnicach nędzy, wystawiali na moc imion bogów, tresowali w swoich klasztorach, aż robili z nich świątynnych szpiegów. Słyszałem, że ojciec mojego ojca wytępił ich do ostatniego, ale w tym nie ma nic pewnego. To była wojna toczona w ciemności i w milczeniu, przez ludzi, których nikt nigdy nie widział. Pisano o tym poematy i sztuki, ale nikt nie wiedział, co w nich jest bajką, a co nie. Ten tutaj na przykład najwyraźniej ani nie lata w powietrzu, ani nie przenika przez ściany. Szpiedzy mojego dziada także nie fruwali, o ile wiem.

Pojawiła się sala pełna obdartych, brudnych dzieci walczących o kawałek chleba. Kilku starszych metodycznie katowało wyjącego Szkarłata.

– Ktoś mówi: „Macie być pierwsi. Zawsze pierwsi. Inaczej zabraknie dla was”. To kapłanka. Sądząc po naszyjniku, sama Atma. Według legendy był to naszyjnik z ludzkich zębów. Teraz krzyczy: „Azzina nie zna litości dla

słabych. Wy macie być jak Księżycowi Bracia. Kto jest słaby, będzie karmą dla pozostałych”.

Sceny zmieniały się jak w kalejdoskopie. Oślizgłe podziemne korytarze i pieczary, piwnice i posępne kamienne mury jakiejś górskiej twierdzy, wśród krakania ptaków i kłębiących się po szarym niebie ciemnych chmur. I we wszystkich tych sceneriach ktoś poniewierał, katował i znęcał się nad Szkarłatem. Bezradnym, pokrwawionym i zasmarkanym.

– Przecież on by nie przeżył w tej sekcie, gdyby stale był ofiarą – zauważył Drakkainen.

– Na pewno nie. Musiał też zwyciężać i rozwijać się, tylko że tego nie pamięta – odparł Fjollsfinn. – Nie w wyżymaczce. Ta sala działa jak uosobienie depresji do potęgi.

Przypalano Szkarłata pochodnią.

– Głos mówi: „Masz być nieczuły na ból. Jeśli okażesz cokolwiek, będziesz słaby. Posłużysz do ćwiczeń dla innych. Jeden jest niczym”.

Rozciągnięto go na kamiennym stole twarzą w dół, a nagi kapłan w masce przypominającej czaszkę zębatego jelenia z piekła rodem brutalnie i metodycznie gwałcił go wielkim żelaznym fallusem uwiązanym do bioder.

– „Raz zaznasz bólu, jaki w pękniętym świecie córy ziemi muszą znosić codziennie” – przetłumaczył Filar.

Obrazy zmieniały się szybko i wszystko było upiorne. Na zmianę krzyk, krew, ciemność, ból i odraza. I znów krzyk. Przeraźliwy, rozpaczliwy, bez końca.

– Dlaczego to wszystko miałoby poskutkować stworzeniem doskonałego agenta? – zastanowił się Drakkainen. – Powinien w końcu zwariować albo popełnić samobójstwo. Też byłem szkolony, ale nikt by do mnie nawet nie podszedł z jakimś żelaznym wackiem. Nie widzę tu nic poza bezmyślnym okrucieństwem.

Fjollsfinn pokręcił głową.

– To nie jest film. Nie oglądamy relacji z jego szkolenia, tylko projekcje najgorszych lęków. Myślę, że nie wszystko to zdarzyło się naprawdę.

– To przed chwilą akurat jest możliwe, jeśli miał osiągnąć stopień wtajemniczenia, jaki jest przeznaczony dla wyższych kapłanek – oznajmił Filar.

Trwało to długo i wydawało się, że widziadła nabierają tempa i stale przyspieszają, jak centryfuga do szkolenia astronautów.

Czas płynął. Siedzieli w milczeniu, bombardowani wrzaskiem, szlochem i znowu przeraźliwym wyciem.

Szkarłat leżał zwinięty w kłębek, z głową okrytą ramionami i wrzeszczał, a wokół niego pulsował stroboskopowy koszmar, atakując go dziesiątkami obrazów. To nie był jednak monotonny wrzask bólu i przerażenia, ale rozpaczliwie skandowana fraza.

– Co on tam krzyczy? – zainteresował się nagle Drakkainen.

– Krzyczy: „Ocal mnie, Ulfie”, „Uratuj mnie, Ulfie”. Raz po raz.

– A skąd on wie, jak ty masz na imię? – zdumiał się Fjollsfinn.

– Właśnie się dowiedział. Ziarno zaczyna działać – powiedział zagadkowo Drakkainen, wystukując fajkę do pustego glinianego kubka. – Możesz wpływać na to, co się tam dzieje? Przesyłać własne obrazy?

– Tak – odparł Norweg. – Przynajmniej powinienem.

Podszedł do pulpitu, po czym uniósł wbudowane weń drewniane wieko, pod którym ukazała się wypolerowana lustrzana powierzchnia, wytłoczona w dokładny negatyw jego twarzy, włącznie z naroślami w kształcie baszt wieńczących czaszkę, a po bokach znajdowały się wgłębienia odpowiadające kształtowi jego dłoni. Fjollsfinn ukląkł na obitym skórą progu, po czym bardzo starannie wpasował dłonie w żłobienia.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Drakkainena.

– Najpierw zatrzymaj wyżymaczkę. Niech znajdzie się w pustce, mgle i ciszy. Potrzymaj go tak parę minut. Potem puść mu jakieś propagandowe kawałki tej swojej drzewnej religii, następnie wyświetl rozmaite cudowności Lodowego Ogrodu, a na koniec z mgły wychodzimy my dwaj: wypucowani, wystrojeni, wypachnieni, ogoleni i odrobinkę pijani. W ogóle śliczni. Da się tak zrobić czy twój program przekręci wszystko w jakiś następny makabryczny koszmar?

– Na ręcznym sterowaniu się da. Najpierw muszę to zatrzymać.

Pochylił się, wpasowując twarz w lustrzaną maskę. Przez chwilę nic się nie działo.

A potem nagle wszystko znikło. Upiorny kalejdoskop w jednej chwili rozpadł się w mgłę, która otoczyła komnatę rozchwianą kurtyną. Znikły widziadła, obrazy tortur i bólu.

Tylko krzyk trwał nadal.

Szkarłat nadal krzyczał, pełzał po podłodze, osłaniając głowę, i rozpaczliwie wzywał Ulfa. A potem zaniósł się skowytem i ucichł,

zwinąwszy się w drżący kłębek.

Leżał tak przez jakiś czas, dygocąc spazmatycznie, i poza tym nie dawał znaku życia. Wreszcie zaczął obmacywać ostrożnie całe ciało, szukając ran, ale znikły razem z widziadłami, krwią i siniakami.

Zostały tylko mgła, kamienna podłoga i leżący na niej bezwładnie nagi, chudy człowiek.

Kiedy z mgły zaczęły wysnuwać się kwiaty i drzewa, a jednocześnie rozległa się delikatna muzyka harf i fletów, Szkarłat wrzasnął z przerażeniem i usiłował odpełznąć w panice pod ścianę. Usiana kwitnącymi roślinami łąka otuliła go delikatnym dywanem, do muzyki dołączył wiosenny chór śpiewających ptaków, ale poza tym nic się nie działo. Każdy nowy obraz przerażał Amitraja tak, że odpełzał, wrzeszcząc i wzywając Drakkainena na pomoc. Nie nadchodziły żadne gigantyczne monstra, żeby go dręczyć i poniewierać, a mimo to upłynęło dość dużo czasu, zanim się uspokoił. Jednak nie na tyle, żeby usiąść albo odsłonić głowę.

W końcu rozluźnił się ostrożnie, a wokół niego płynęła przesłodzona muzyka i w dole otwierała się panorama zatoki i Lodowego Ogrodu, a poranne słońce igrało na lśniących wieżach i zielonych dachach domów.

Potem pojawiło się Drzewo. Lśniące srebrem, otulające agenta chłodnym cieniem i obrazami szczęśliwego Szkarłata wędrującego ulicami z piękną wysoką dziewczyną u boku, o twarzy ikony i miedzianej skórze, Szkarłata z wędką siedzącego w małej łódce na zatoce, Szkarłata unoszącego do góry paroletniego brzdąca, by spojrzał za blanki murów na okręty wypływające z portu ku zachodzącemu słońcu, całującego swoją Kebiryjkę w kwitnącym sadzie, w końcu sędziwego Szkarłata zasypiającego ostatnim snem w łożu, otoczonego dziećmi i wnukami, po to tylko, by z martwego ciała wysnuła się półprzejrzysta postać młodego i zdrowego Szkarłata i pobiegła w cień Drzewa, ku Lodowej Bramie, i weszła do kolejnego ogrodu, jeszcze piękniejszego niż w rzeczywistości, na spotkanie biegnącej ku niemu Kebiryjki, depczącej kwiaty i osypującej płatki z gałęzi wiecznie kwitnących drzew. W tle słodki głos srebrnej twarzy spoglądającej z pnia opowiadał mu o prawdzie, miłości, pięknie i szlachetności.

Szkarłat patrzył na to wszystko i szlochał rozpaczliwie, Fjollsfinn leżał nieruchomo twarzą w swojej masce i wyglądał, jakby zasnął na blacie, Filar gapił się jak urzeczony z szeroko otwartymi oczami, a Vuko wyłożył nogi

na stół kontrolny, założył ręce na piersi i kiwał się na odchylonym zydlu, wpatrując w sufit i pykając z fajki.

A potem znów przyszła mgła, tylko cień Drzewa pozostał, majacząc gdzieś z tyłu, a z oparu wyłoniły się dwie wielkie postaci.

Nadchodzili z obu stron Drzewa. Fjollsfinn w błękitnym płaszczu z wizerunkiem drzewa wyhaftowanym złotem, wsparty na długiej srebrnej lasce zwieńczonej kolejną koroną srebrnych gałęzi – wypisz wymaluj mag z jakiejś wirtualnej gry – a z drugiej strony nadchodził Drakkainen. Z mieczem przewieszonym przez plecy i w kurcie Nocnego Wędrowca z odrzuconym kapturem.

Szkarłat, nadal klęcząc, wyciągnął do niego dłonie.

– Ulfie... Ocal mnie... – szepnął.

– To niby mam być ja? – zapytał Vuko z niezadowoleniem. – Jak mogę do niego coś powiedzieć, pewnie nie masz dla mnie takiego ślicznego lusterka?

Fjollsfinn uniósł głowę, wyprostował się i rozmasował skronie, a potem został tak na chwilę z twarzą ukrytą w dłoniach.

Obie postacie migały w komnacie, stojąc spokojnie i wpatrując się w klęczącego szpiega.

– To jest taki sprzęg sterujący, nie potrzebujesz go. Ty masz tylko mówić, ja animuję. Mów jak zwykle do ucha smoka. – Norweg znów potarł policzki i ponownie pochylił się do maski.

Drakkainen przysunął sobie rzeźbiony stołek bliżej do pulpitu i przekręcił kamienny smoczy łeb.

– Kim teraz jesteś? – zapytał grzmiącym głosem.

Szkarłat oparł dłonie na udach i zwiesił głowę.

– Jestem tym, kim zechcesz, żebym był.

– Dlaczego?

– Bo mnie ocaliłeś. Służyłem podłym ludziom i kłamstwu, a ty pokazałeś mi prawdę. Niosłem wiele zła, sądząc, że nie ma znaczenia, ale ty mi je pokazałeś. Służyłem kłamstwu, sądząc, że prawda nie istnieje, a ty również mi ją pokazałeś. Dlatego teraz należę do ciebie.

– Kim jesteś?

– Nazywali mnie Szkarłat, ale on umarł. Przedtem nazywałem się Barrah Szyłgadej, ale on też umarł. Teraz będę, kim zechcesz.

– Nadal będziesz nazywał się Szkarłat. Chcę, żebyś pamiętał.

– Tak, hargan.

– Nie jestem amitrajskim kapłanem. Będziesz mówił do mnie „Ulfie”, jak wszyscy.

– Tak, *master* Ulfie.

– Tylko „Ulfie”, bez „master”. Kto cię przysłał?

– Przysłała mnie Nahel Ifrija. Prorokini. Kapłanka nie z tego świata, która wyszła z pustyni pobłogosławiona mocą imion bogów, by nauczać odmienionej wiary Pramatki.

– Jakie miałeś zadanie?

– Dotrzeć na Wybrzeże Żagli i wyśledzić przybyszów z tak dalekich stron, że wszędzie są obcy, którzy szukają ośmiorga swoich rodaków zaginionych w krainie zwanej Pustkowiami Trwogi. Odnaleźć i zabić Terkeja Tendżaruka, ostatniego następcę obalonego cesarza. Nawrócić na wiarę w Podziemną, kogo tylko zdołam, i przygotować Wybrzeże Żagli na nadejście Nahel Ifrii, gdyby zechciała obrócić oczy na tę krainę. Najważniejsze jednak było znalezienie obcych przybyszów. Znalazłem tylko ciebie, więc ruszyłem twoim śladem.

– Co miałeś zrobić, kiedy ich znajdziesz?

– Dostarczyć żywcem przed jej oblicze, zwabić lub porwać, a jeśli to niemożliwe, zabić.

– Dlaczego?

– Prorokini uważa, że to wojownicy, którzy zechcą zabrać ją do domu, przez Morze Gwiazd, ona zaś pragnie tu zostać i dokończyć dzieła.

– Co to za dzieło?

– Świat równości dla wszystkich. Światła tyrania mędrców, gdzie wszystko stanie się jednym, kiedy wszystkie krzywdy przeszłości zostaną wyrównane. Ifrija naucza, że całe zło bierze się od rozumu jednego człowieka, patrzącego na świat ze środka własnej głowy. Bowiem on szuka dobra dla siebie i swoich bliskich, to zaś dzieje się kosztem zbiorowości. Trzeba więc to wytępić, tak by wszyscy stali się jednym i nie myśleli więcej o własnym dobru. Bowiem większość z nich jest głupia jak kowce i podobnie jak kowce muszą mieć pasterzy, by decydowali za nich. Podobnie w dawnych amitrajskich plemionach najwyżej stało dobro wszystkich, a nie jednego, a matka klanu decydowała, kto ma przeżyć, a kto umrzeć, kto ma się poświęcić, a kto służyć dla dobra klanu. Mieli jedną duszę, a nie wiele. Tak ma się stać i teraz. Najpierw w Amitraju, a potem na

całym świecie. To dzieło zamierza ukończyć i nie pozwoli go sobie przerwać. Prorokini uważa, że jeśli przybysze zginą, to na Morze Gwiazd nigdy nie wyruszy kolejna łódź. Władcy postanowią, że to niczemu nie służy. Gdyby zaś zawiedli Ifriję tam z powrotem, czekałoby ją życie pozbawione znaczenia, wśród pękniętego świata i z dala od Pramatki. Utraciłaby tam też wszelkie moce i nie mogła podjąć dzieła.

– Jak miałeś ją powiadomić?

– Tylko wędrując, tak jak przybyłem, przez pustynię albo morzem. Nie ma innego sposobu. Tygrysi Tron w Maranaharze dzieli od Wybrzeża Żagli tysiące staj. Trzeba je przebyć. Inaczej się nie da. Nahel Zym lub morze.

– Gdzie jest Morze Gwiazd?

– Nahel Ifrija naucza, że poza światem. Za nieboskłonem. Są tam dalekie wyspy, z których pochodzi, i że są statki z metalu, które umieją żeglować przez to morze tak, jak nasze pływają po wodach świata, jednak są droższe od złota i klejnotów, więc rzadko wypływają. Gwiazdy to są słońca świecące nad tymi wyspami, tylko widziane z bardzo daleka. Pod powierzchnią tego morza są niewidzialne prądy sunące z wielką prędkością od gwiazdy do gwiazdy. Statki z metalu umieją się zanurzyć i trafić na te prądy, po czym śmigają z niewyobrażalną prędkością. Dlatego żeglarze są w stanie tu przybyć w ciągu kilku miesięcy, podczas gdy normalnie żeglowaliby przez nieskończoność. Trzeba potężnych imion bogów i najlepszych Czyniących, żeby tego dokonać. To wiedza tajemna, którą przekazuje tylko Matkom i nielicznym wtajemniczonym.

– Skąd prorokini dowiedziała się o tobie?

– Jestem mnichem z sekty Milczących. Ocalało nas ledwie kilkoro i żyliśmy pomiędzy ludźmi. Sami do niej przyszliśmy, kiedy zaczęła nauczać. I dało jej to radość, bo powstało przeciw niej wielu wrogów, a cesarscy zabójcy czaili się wokół, by ją zgładzić.

– Gdzie są pozostali Milczący?

– Gdy odchodziłem, żyło troje. Trwają przy niej jako przyboczni. Reszta zginęła.

– A twoi ludzie?

– Zwykli świątynni szpiedzy, nie pochodzili z zakonu. Także Udułaj Hyrkadał, którego zgładził cesarz.

– W Żmijowym Gardle był z tobą jeszcze taki wielki, łysy, z kolczykiem. Mówili, że Nassimczyk.

– Utonął na morzu, w burzy, kiedy ścigałem twój kryształowy okręt. Ale jest jeszcze jeden, o którym nic nie wiecie, bo zwerbowałem go dopiero tutaj, a w czasie obrzędu go nie było. Był człowiekiem Pana Węży zwanego Aaken, ale teraz mi pomagał, bowiem uważa, że nasz cel jest podobny. Jego również przysłano tutaj, żeby cię odnalazł. Pan Węży także nastaje na obcych, którzy mogliby go szukać, bowiem pochodzi zza Morza Gwiazd tak samo jak prorokini i tak samo jak ona nie zamierza wracać. Tamten Wąż nazywa się Barald Koński Pot i wskażę go wam.

– Jest sam?

– Ma dwóch ludzi. Jeden to Odokar Śnieżny Wiatr, drugi Grunf Biegnący z Lawiną. Mieszkają w gospodzie „Wilcza Stewa”.

– Teraz zostaniesz odprowadzony do celi, gdzie dostaniesz wody i chleba.

– Tak, Ulfie. Błagam o jedną rzecz. Jestem nikczemnikiem. Kiedy będę zbędny, pozwól mi odebrać sobie życie.

– Nie zrobisz niczego bez mojego rozkazu.

– Tak, Ulfie.

W celi Szkarłat opadł na podłogę, a potem wypił duszkiem dzban wody i dostał następny. Potem usiadł pod ścianą, tak jak przedtem, kiedy był skuty, lecz teraz nie wgapiał się w przeciwległą ścianę, ale na własne dłonie, które obserwował ze zdziwieniem, jakby widział je po raz pierwszy.

– Wierzysz mu? – pyta Fjollsfinn, kiedy wychodzimy z Wieży Szeptów. – Może po prostu gra. Inteligentnie i chytrze, ale robi nas w konia.

– Wierzę w Nishima Biotronics. Poza tym na większość pytań znałem odpowiedzi, on je tylko potwierdził. Przy okazji: natychmiast trzeba tych trzech Węży wziąć pod obserwację, ale na razie nie zdejmować. Po prostu musimy potwierdzić, czy są Wężami i czy nazywają się tak, jak on twierdzi. A potem nie spuszczać ich z oka.

– Dlaczego nie mielibyśmy ich zatrzymać...

– Bo mogą być potrzebni – ucinam stanowczo.

– Masz tę minę...

– Knuję – wyjaśniam. – W mojej głowie pomalutku wykluwa się wreszcie plan. Plan numeru na dużą skalę. Najwyższy czas, żebyśmy to my przejęli inicjatywę...

– To bardzo ogólne założenia – kończę, kiedy docieramy na Górny Zamek, do okrągłej, nakrytej szkłem sali, gdzie opadamy wreszcie na skórzane fotele.

Po drodze zdradziłem Fjollsfinnowi ogólne ramy koncepcji. Tak nie za dużo i nie za mało. Po akcji ze Szkarłatem czuję się, jakbym rozładował wagon żwiru widłami.

– Plan wymaga dopracowania szczegółów, ale generalnie pozwala połączyć wszystkie rozsypane elementy, wykorzystać wszystkie atuty, które mamy, a o których tamci nie wiedzą, oraz załatwić sprawę za jednym zamachem i na naszych warunkach. Jasne, że ryzyko istnieje, ale...

– To ma być ryzyko? To jest obłęd, nie żadne ryzyko. Samobójstwo!

Patrzę na niego przez kieliszek akevittu.

– A niby dlaczego? Sam twierdzisz, że Lodowy Ogród jest niezdobyty, i możesz mieć rację. Po drugie, zyskamy wzmocnienie, jeśli to się powiedzie, potroimy swoje siły. Po trzecie, zmusimy ich do pośpiechu, więc to my będziemy gotowi, nie oni. Po czwarte, złożymy rozsypane elementy w jedną całość i dzięki temu zapanujemy nad tym, co, gdzie i kiedy.

– Tyle że tu jest mnóstwo niewiadomych. Wszystko opiera się o tego Szkarłata, skąd pomysł, że mu w ogóle można ufać?

– Bo można ufać ziarnu i prawdopodobnie twojemu lodowemu mambo-dżambo. Ale tak naprawdę to nie ma znaczenia. On wreszcie rzeczywiście przeprowadzi swoją misję. Może nie do końca tak, jak zakładano, ale wiadomość, którą dostarczy, w większości będzie także prawdziwa.

– Tylko że nie wiesz, jak Freihoff na nią zareaguje.

– Raczej w oczywisty sposób. Nie widzę innego logicznego zagrania. Miałaby czekać i pozwolić konkurentowi powiększyć potencjał? Musi też przewidywać ruchy van Dykena. Nie chciałaby się go przy okazji pozbyć i przejąć jego potencjału czynnika M? Miałaby pozwolić mu zająć Ogród i nasze zapasy? Pomyśl! Co zrobiłbyś na jej miejscu? Zauważ, że będzie miała bardzo krótko z czasem, jeśli chce mieć szansę ubiegnięcia van Dykena, bo on ma bliżej.

Fjollsfinn nie wydaje się przekonany.

– Poza tym jaką my mamy alternatywę, dopóki siedzą w swoich stolicach, obrotowych zamkach i świątyniach otoczeni wojskiem? Zamachy? Przeprowadziłem dwa. No dobra, jeden z prawdziwego

zdarzenia. Ta pierwsza próba była kretyńska, myślałem, że go aresztuję, a jak będzie stawiał opór, to dziabnę mieczykiem. Ale drugi był dobrze przygotowany i miałem świetny sprzęt. A efekt? Jak widać, jeszcze straciłem dobrego człowieka.

– Dobrze – odpowiada. – Może masz rację. A co właśnie z van Dykenem? Jak chcesz go zwabić?

– Już wymyśliłem. Załatwimy to już jutro w nocy. Potrzebne mi tylko trochę wsparcia technicznego.

– Jak?

– Przecież to oczywiste. Przez panów Końskiego Pota, Cośtam Wiatra oraz Zjeżdżającego z Lawiną. Nikt nie widział Szkarłata wśród pojmanych, a parada była na wszystkie fajerki, z hologramami, trąbami i wleczeniem wyznawców przez całe miasto.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Przecież wyznawcy widzieli, jak go skuwacie.

– Widzieli, jak zaczynamy, a nie jak kończymy. Potem, kiedy byli już wyprowadzani, rzeczywiście byłby się o mały włos uwolnił.

– No właśnie! Chyba nie chcesz go wypuścić, oszalałeś? Tak ufasz w to swoje ziarno?

– A wiesz, że mimo tego całego urwania głowy muszę co dzień znaleźć czas, żeby zabrać mojego Jadrana za mury, na wyspę, i objeździć go? Inaczej zaczyna popadać w depresję. Kiedy stał przez parę miesięcy w stajni Domu Ognia, ledwo go utrzymali przy życiu. Atleif miał jakiegoś supermistrza od koni, który ledwo sobie z nim poradził.

– Ale skąd wiesz, że to w ogóle działa? To kawałek bioniki przeznaczony dla zwierząt. U człowieka może w ogóle się nie przyjąć.

– Bo ten program jest niewiarygodnie elastyczny. Właściwie to taka bionicznie kodowana pasożytnicza AI. Coś jak moja Cyfral. Sam dopasowuje się do biochemicznych mechanizmów zachowania, które spotyka. A Szkarłat, zauważ, zaczyna mówić po angielsku. Powiedział do mnie „master”. Natomiast wątpię, żeby wykształcił mu się rezonator. Nie ma takiej potrzeby. Wirusy ziarna rozpoznały struktury neuronalne odpowiedzialne za mowę artykułowaną i je wykorzystały.

– Przerażająca rzecz. To jest na Ziemi w użyciu?

Kręcę głową.

– Na pewno nie w oficjalnym. Zrobiono je na użytek naszej wyprawy. Czarny projekt. Bardzo tajny. Odprysk programu, który stworzył cyfrala. Wiesz, co teraz grozi za eksperymenty z udziałem zwierząt?

Norweg kręci głową z niesmakiem.

– Nadal nie jestem przekonany. Przecież on w najlepszym razie zwariuje. I co wtedy?

– Jadran nie zwariował – odpowiadam. – Ja chyba też nie. A Szkarłat jest mi potrzebny przez parę tygodni. Potem może sobie wariować. Bierzmy się do roboty. Potrzebujemy sprzętu na jutro.

– Wiesz, co masz zrobić? – spytał Drakkainen.

Szkarłat uniósł głowę.

– Tak, Ulfie.

– Rozumiesz, że będę stale za twoimi plecami i mam sztylet z jadem żagiewnicy?

– Tak, Ulfie. Byłoby to słuszne, gdybyś mnie pchnął.

– Zrobię to, jeśli coś pójdzie nie po mojej myśli.

– *Say a wish, and I'll grant it.*

– Mów językiem Żeglarzy. Ciary chodzą po plecach, jak się ciebie słucha.

– Tak, Ulfie.

– Ubieraj się i wychodzimy.

Szkarłat sięgnął po nierzucające się w oczy, przeciętne ubranie, pochodzące z jego własnego magazynu w nieczynnej dzielnicy, a Vuko z rosnącą niecierpliwością patrzył, jak tamten zapina na kołki i pętelki miękkie skórzane buty, wciąga koszulę, obcisłe skórzane spodnie i sznuruje rozporek. Na głowę założył swoją ciężką kapuzę z krótką peleryną na ramiona, zrobioną z jakiejś czarnej gadziej skóry pokrytej łuskami i wzmocnionej żelaznymi guzami. Jego jaszczurcza twarz skryła się w głębokim kapturze i zapadła w cień.

Z Wieży Szeptów wyszli podziemnym korytarzem, a potem studnią deszczową prosto na podwórze w jednej z nieczynnych dzielnic. Było cicho, pusto, niebem nad kwadratem dachów ciągnęły szare chmury. Miejski zgiełk został gdzieś daleko. Nikt nie widział ani eskorty, ani

Szkarłata. Na tę chwilę z korytarza znikła straż, kraty i kamienne śluzy pozostały otwarte. Wychodzili we czterech.

Grunaldi jako pierwszy, potem Szkarłat, Drakkainen i Filar.

Pozostali czekali na dziedzińcu.

Warfnir, Spalle i Skalnik mieli na sobie stroje Nocnych Wędrowców i naciągnięte arbalety w ręku, N'Dele, Njorvin i Sylfana zaś zwykłe, niezwracające uwagi stroje i ukrytą broń. Wszyscy stali kręgiem, patrząc ponuro na Szkarłata.

– Dobra – oznajmił Drakkainen. – Jedziemy z tym. Jak się z nimi skontaktujesz?

– Tak, Ulfie. W Kawernach znajdę chłopca i każę mu zanieść wiadomość. Umiem zrobić tak, by sam nie wiedział, co przekazuje. Będzie też umiał pokazać im tajemny znak, by wiedzieli, że to wiadomość ode mnie. Ale ponieważ słyszeli o schwytaniu wyznawców Podziemnej, mogą myśleć, że ktoś zmusił mnie do tego torturami, i nie dowierzać, że pochodzi ode mnie. Dlatego na moment ujawnię chłopakowi moją twarz poznaczoną wybroczynami, a potem ukażę im się z daleka na krótką chwilę. W taki sposób dowiedzą się tego, co chcesz, by się dowiedzieli, a ja powrócę do mojej celi, gdzie każesz uczynić ze mną, cokolwiek zechcesz.

– Gdzie w Kawernach spotkasz tego chłopca?

– Przed wejściem na Kamienny Targ. Wielu tam się takich kręci, zaś ludzie, którzy tam przychodzą, są zajęci swoimi sprawami i nie zwracają na nic uwagi.

– Wiecie, gdzie to jest? – zapytał Drakkainen. – Filarze, pójdziesz z nimi.

N'Dele, Njorvin i Sylfana skinęli w milczeniu.

– Szkarłat, włożysz zatyczki do uszu i staniesz twarzą do ściany. Skalnik, sprawdź go, dziękuję. Ubezpieczacie miejsce, tak jak wam mówiłem. Każdy z osobna i z innego punktu. Kiedy chłopak ruszy, ma być zamknięty w waszym czworokącie. Śledzicie go tak, jak się uczyliśmy. Warfnir, Spalle i Skalnik na dachy z kuszami. Macie go mieć na oku, ale na wszystkich waszych bogów, nie zabijajcie bez absolutnej konieczności. Jest bardzo ważny. Bez niego mamy marne szanse. Grunaldi i ja ubezpieczamy Szkarłata. Nie zobaczycie nas, on też nie, ale tam będziemy. Dobra. Niech ktoś postawi gada na nogi, odetkajcie mu uszy i idziemy. Najpierw kusze, potem wy, ja i Grunaldi na końcu. Spotykamy się tutaj. Powodzenia.

Strzelcy rozładowali ostrożnie kusze, chowając zatrute żagiewnicą, ponacinane jak harpuny bełty do osobnych przegródek w kołczanach, po czym wyćwiczonymi ruchami przewiesili broń przez plecy, narzucili kaptury i znikli z dziedzińca, wciekając w otwór studni deszczowej niczym krople smoły.

N’Dele, Filar, Njorvin i Sylfana odczekali jeszcze chwilę, wyraźnie się niecierpliwiąc, aż wreszcie Vuko uznał, że wystarczy, i skinął im ręką. Bez słowa ruszyli jedno po drugim przez bramę na ulicę, w minutowych odstępach, Sylfana na odchodnym poczęstowała Drakkainena długim porozumiewawczym spojrzeniem, które poczuł tak, jakby dotknęła jego policzka niepewnie i pytająco.

U wejścia na Kamienny Targ rzeczywiście kręciło się sporo, jak na Lodowy Ogród, ludzi. Przed portalem wystawiono drewniane ławy, wzdłuż ulicy turkotały jednoosiowe platformy, zawalone towarami w koszach, workach i beczkach, pod nogami kręciły się hienowate stwory z rzadkimi kolcami na karku, pełniące tu rolę psów, rynsztokiem płynęła mętna ciecz wylewana z jatek, a wśród tego kłębił się tłumek przybyszów, mieszkańców Ogrodu i odmieńców.

Nikt nie zwracał uwagi ani na niespiesznie przechadzającego się ulicą chudego mężczyznę z dziwnie jaszczurzą twarzą skrytą w kapturze, ani na szczupłą dziewczynę z sięgającą łopatek grzywą granatowoczarnych włosów, o wąskim, wypukłym nosie i ostrych jak u wilczki zębach, która grzebała wśród tanich świecidełek na straganie. Młody blondyn, ubrany kolorowo i dostatnio, z haftami na płaszczu, siedzący za ławą nad oplataną słomą butelką morskiego miodu, ani smagły, wysoki młodzieniec, wyglądający na nieokreślonego cudzoziemca, ale w zwykłej skórzanej kurcie i z podróżnym kijem u boku, który pałętał się wzdłuż straganów bez wyraźnego celu, również nie przyciągali spojrzeń, podobnie jak kolejny mąż w typowo mieszczańskim stroju, który kupił garść prażonych orzechów i teraz spożywał je niespiesznie i obojętnie, siedząc na kamiennych stopniach, plując łupinami do rynsztoka.

Ulica wokół była pełna takich jak oni, robiących mniej więcej to samo. Nikt też nie zwracał uwagi na trzy ciemne sylwetki czające się na dachu, kryjące się wśród kominów, jak dodatkowe gargulce, po prostu dlatego, że nikt ich nie zauważył.

Nikt także nie zauważył dwóch mężczyzn siedzących przy drewnianym stole na szczycie sąsiedniego muru, oddzielającego Kamienny Targ od Kawern, i popijających piwo nabyte od obwoźnego kramarza, który pchał wzdłuż parapetu wózek z ustawionym na krzyżakach antałkiem i co chwila okrzykiwał swój towar.

Siedzieli w ponurym milczeniu nad glinianymi kubkami, obserwując z góry tłum kłębiący się na ulicy Kamiennej prowadzącej do hal targowych. Jeden z nich, o jaskraworudej brodzie i w małej filcowej czapeczce z okutym otokiem, co chwila spoglądał gdzieś w bok, gdzie w dole rtęciowo lśniło morze, a wzrok uciekał ku dalekiej linii horyzontu.

– Martwisz się o swoich? – zapytał Drakkainen.

Grunaldi pociągnął mały łyk i przytaknął.

– Czasem myślę, że niepewność jest najgorsza. Jeden Hind wie co tam się dzieje, a ja siedzę tutaj i nic nie mogę zrobić.

– Robisz więcej, niż mógłbyś, siedząc na murach Domu Ognia. Zresztą myślę, że zobaczysz swoich już za parę tygodni. Niedługo. Szybciej, niż sądzisz.

– Ufam ci, Ulfie, i mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Ale kiedy się okaże, czy rzeczywiście tak jest, będzie już za późno na co innego. Te wszystkie pieśni bogów, te dziwne płyny, gadające ptaki, błyski na niebie i dymy to coś, czego unikałem całe życie, a teraz tkwię w samym środku i modlę się do Hinda, że wyjdzie z tego coś dobrego, choć zawsze uważałem inaczej.

– Nie ma innego sposobu na usunięcie Pieśniarzy niż sięgnięcie po pieśni bogów. Przeciwko takim nie wystarczy żelazo. A ja mam nadzieję, że zdołam ich przechytrzyć.

– A ja, że poradzimy sobie choć z tym Szkarłatem. Według mnie czmychnie przy pierwszej okazji.

– Coś się zaczyna dziać – przerwał mu Drakkainen. Istotnie, Szkarłat przestał przechadzać się wzdłuż straganów i przysiadł na stopniach prowadzących pod kolumnadę podcienia. Siedział trochę jak wtedy w celi, ale w odrobinę swobodniejszej pozycji, wsparty o kolumnę, z górną częścią twarzy skrytą w cieniu kaptura. Miał półotwarte usta, jakby coś mówił.

Drakkainen przymknął oczy.

– On śpiewa – oznajmił ze zdumieniem. – A właściwie jakoś tak buczy, jak róg czy jakaś trąba.

Grunaldi spojrzał na Vuka znad kufla.

– Słyszysz z takiej odległości?

– Tak, jeśli się skoncentruję – odparł Drakkainen niepewnie. – Przynajmniej umiałem kiedyś. Teraz też słyszę, chyba że coś mi się wydaje.

– I nie będziesz wiedział, aż będzie za późno – oznajmił Grunaldi. – Ze wszystkim tak jest.

Szkarłat siedział, kiwał się lekko, wydając z siebie głębokie basowe brzęczenie podobne do dźwięku didgeridoo, i trzymał przed sobą zetknięte płasko dłonie, jakby podtrzymywał niewidzialną książkę.

Przed nim przechodzili mężczyźni niosący targowe miękkie koszyki plecione z wodorostów, niewiasty w rozcinanych spódnicach i sznurowanych bluzkach, także z koszykami w ręku, przebiegały dzieci. Zamożnie ubrane z okolicznych domów albo brudni ulicznicy. Jak to jednak zwykle w Ogrodzie, co najmniej dziesięcioletnie, i tak musiało być, dopóki większość mieszkańców stanowili przypadkowi żeglarze i rozbitkowie.

Raptem Szkarłat uniósł wyżej głowę, a płynący z jego ust dźwięk zaczął oscylować, wznosić się i opadać w hipnotycznym rytmie, i teraz Drakkainen był absolutnie pewien, że go słyszy.

Przebiegający opodal dzieciak w za dużej, dorosłej kurcie spiętej zbyt szerokim i długim pasem zwolnił nagle, potknął się i przystanął, spoglądając na siedzącego w podcieniu zakapturzonego mężczyznę wydającego dziwne dźwięki.

Tamten uniósł jeszcze wyżej głowę i jego skryte w cieniu kaptura oczy nagle zapałały dziwnym złotym blaskiem, jakby miał na nich metaliczne bielmo. Dzieciak opuścił bezwładnie ramiona i ruszył ku niemu ślepym, zegarowym krokiem.

Drakkainen zmarszczył brwi i pochylił się odruchowo. Przed nim i trochę poniżej, za kalenicą najeżonego wieżyczkami, szczytami i kominami dachu budynku opodal wejścia do Kamiennego Targu, zamajaczyła ciemna, zamaskowana sylwetka, zapierająca się między kominem a ścianą wieżyczki i unosząca kuszę.

Grunaldi gwizdnął przenikliwie, ale nieszczególnie głośno, właściwie nie zmieniając wyrazu twarzy i bez żadnego grymasu. Strzelec spojrzał w ich stronę, a Vuko skrzyżował dłonie i wykonał nimi gest na boki, jakby coś odcinał. Strzelec skinął, opuścił kuszę i pokazał prawą dłoń z dala od dźwigni spustowej.

Szkarłat nadal wydawał wibrujący dźwięk i wyciągnął przed siebie ramiona z wyprostowanymi dłońmi, jakby trzymał między nimi coś niewidzialnego. Ulicznik wszedł w objęcia Amitraja i raptem zatrzymał się, kiedy jego skronie znalazły się na wprost dłoni szpiega.

Szkarłat wciąż miał otwarte usta, ale teraz zaczął nimi poruszać. Nadal wydawał ten wibrujący dźwięk i jednocześnie mówił, lecz tym razem było zbyt daleko, żeby Ulf mógł cokolwiek zrozumieć.

Trwało to może dwie minuty, a potem Szkarłat opuścił ręce i nagle machnął dłonią przed twarzą chłopaka kolistym ruchem, jakby czyścił niewidoczne lusterko. Chłopaczek zachwiał się, ugięły się pod nim nogi i raptem siadł na kamiennych stopniach. Szpieg klasnął w dłonie, a wtedy ulicznik dźwignął się, chwytając kolumny, i powędrował ulicą chwiejnym, mechanicznym krokiem jak zombie.

Drakkainen sięgnął na ziemię po pakunek przykryty płaszczem Grunaldiego i postawił go na ławie, po czym odrzucił przykrycie, ukazując kunsztowną klatkę plecioną z drutu, w której na poprzeczce siedział jaskrawożółty ptaszek nieco większy od wróbla. Otworzył ją i gwizdnął. Ptaszek wyskoczył na blat jakby niechętnie i zaczął czyścić dziobem skrzydełka. Grunaldi pokręcił głową z dezaprobatą i splunął przed siebie.

Ptaszek przefrunął na blankę, popatrzył na Drakkainena paciorkowatym okiem, przekręcając łebek, a potem śmignął w dół, jak odblaskowo żółta błyskawica.

Zdążyli zobaczyć, że dogania chłopaka człapiącego ulicą niczym lunatyk i podąża jego śladem, przysiadając co chwila na rynnach, kolumnach i łbach gargulców.

Długowłosa dziewczyna oglądająca świecidełka zapłaciła wreszcie, wrzuciła wytargowaną zawieszkę do sakiewki u pasa i ruszyła ulicą. Młodzieniec w haftowanym płaszczu zabrał ze stołu swoją oplataną butelkę, zostawiając skojca srebrem, i pomaszerował dziarskim krokiem, jakby mu się śpieszyło, przeskakując czasem stopień. Mieszczanin wyglądający na obywatela Ogrodu wypluł na kamienie ostatnią łupinę, wstał ze schodów, odrzucając płaszcz za plecy, i zniknął w jednym z zaułków. Młody cudzoziemiec z podróżną laską idący w dół ulicy skręcił w przeciwną stronę i wsiąkł między budynki.

Tymczasem Szkarłat zniknął.

Drakkainen, klnąc wyjątkowo plugawie, porwał się na równe nogi i zerknął w dół muru, ale miejsce, w którym szpieg siedział na stopniach, było puste. Jednym gestem zgarnął ze stołu klatkę i złożył ją na płasko, a potem ruszył biegiem. Grunaldi pognał za nim, porywając z ziemi swój płaszcz. Strzelec z dachu naprzeciwko stał za kominem i wodził bełtem to tu, to tam wzdłuż ulicy, ale kiedy na niego gwizdnęli, rozłożył ręce i pokręcił głową. Pozostali dwaj strzelcy, jeden ukryty gdzieś wśród łuków i przypór portyku bramy Kamiennego Targu, a drugi na dachu kolejnej kamienicy, także zniknęli.

Gnając schodami wzdłuż muru, lawirując pomiędzy ludźmi i wózkami i przeklinając swoją głupotę, Drakkainen dostrzegł jednego ze strzelców po prawej, jak biegnie ryzykownie po kalenicy dachu, z kuszą uniesioną łuczyskiem do góry, jak przeskakuje pomiędzy kamienicami i okracza komin, celując w dół z dziwnej pozycji i przytrzymując się tylko udami.

Vuko przyspieszył, przeskoczył nad wózkiem pełnym worków, wywołując okrzyki zdziwienia i dezaprobaty, odbił się nogą od ściany, prześliznął po ładunku, a potem zjechał plecami po kamiennej balustradzie, przeskoczył toczoną beczkę, przewracając transportującego ją kupca, i pognał dalej, wpadając w zaułek, nad którym widział swojego strzelca. U wylotu uliczki zobaczył N’Dele, stojącego w przyczajonej pozycji, zamierzającego się do rzutu swoim ostrzem podobnym do kolczastego bumerangu, oraz wiszącego niemal głową w dół strzelca składającego się z kuszy przy samej krawędzi dachu.

A na dole, przy samej ścianie, na ziemi, siedział Szkarłat ze zwieszoną głową i płakał.

– Co robić? – zawołał spokojnie N’Dele z jedną dłonią wyciągniętą w stronę Szkarłata i z uniesionym ostrzem w drugiej.

– Na razie zachować pogodę ducha – oznajmił Vuko, podchodząc ostrożnie do Szkarłata, i trącił go nogą. Tamten uniósł mokrą, pokrytą czerwonymi wybroczynami twarz, podobnymi do wizerunku wyładowań.

– Nie wiem, kim jestem, Ulfie – powiedział. – Przez jedną małą chwilę próbowałem uciec. Przez chwilę... Nie wiem dlaczego. Nie wiem, dokąd ani po co. Nie chcę. Chcę ci służyć. Kim ja jestem, Ulfie?

– Będziesz tym, kim każę ci być – odparł Drakkainen beznamiętnie, chowając nóż do kabury pod pachą, którą nosił na ukrytej pod kurtą kolczudze.

– Tak, Ulfie... Proszę, nie zostawiaj mnie samego.

Sala była jasna, okrągła jak soczewka, ze światłem sączącym się z sufitu, jedno z tajemniczych laboratoriów Fjollsfinna. Pod ścianami ciągnęły się blaty zastawione dziwnym, trochę jakby alchemicznym sprzętem, a pośrodku mościł się kolisty kamienny zbiornik pełen wody, przypominający spore jacuzzi, tyle że woda stała w nim spokojnie.

Siedzieli dookoła na krzesłach i czekali.

– Szkarłat w swojej celi? – zapytał Drakkainen.

Ktoś potwierdził.

– No to możemy zaczynać. Najpierw chcę wiedzieć, jak to się stało, że zniknął.

– Bardzo prosto – odpowiedział Skalnik. – Wszedł w podcienia i schował się pod zadaszeniem, a potem poszedł przy samej ścianie. Ci, którzy kryli go z ulicy, już szli za chłopakiem, a my z dachu go nie widzieliśmy, dopóki nie wyszedł z drugiej strony.

– Usiadł, kiedy go osaczyliście?

– Nie. Przeszedł parę kroków, nagle stanął i osunął się po ścianie. Tak go znaleźliśmy.

– Czyli gdyby chciał, toby nam uciekł?

– Nie, Ulfie. Dopadlibyśmy go tak czy tak.

Fjollsfinn wszedł do komnaty z ręką wyciągniętą tryumfalnie do przodu, a żółty ptaszek siedział mu na brzegu dłoni.

– Wrócił – zauważył Norweg. – Teraz możemy się dowiedzieć, co się tam zdarzyło.

Niby-kanarek zeskoczył na kamienny blat i zaczął czyścić piórka. Fjollsfinn pogłaskał go jednym palcem, a wtedy ptaszek przysiadł, wytrzeszczył paciorkowate ślepka i zaczął się krztusić, otwierając szeroko dziobek.

– Coś mi to nie najlepiej wygląda... – zaczął Drakkainen, ale Fjollsfinn uciszył go ruchem dłoni.

Ptaszek dławił się nadal, gwałtownie wydymając wole, aż w końcu zwymiotował maleńką kuleczkę lodu, wielkości ziarna grochu, wyglądającą jak mleczna perła. Drakkainen zamknął na chwilę oczy i pokręcił głową z dezaprobatą. Norweg tymczasem zgarnął kulkę z blatu, wrzucił do niewielkiej szklanej butelki, dolał jakiegoś płynu ze szklanego dzbanka

z długim, cienkim wylewem i potrząsał naczyniem, dzwoniąc obijającą się o ścianki perłą. Potem zdjął kapturek z mosiężnego kaganka wypełnionego smoczą oliwą, podgrzał zawartość, a kiedy kulka rozpłynęła się w cieczy, wlał wszystko do kamiennego jacuzzi.

– I co teraz? – spytał Drakkainen. – Będziemy się w tym kąpać czy mamy to po prostu wypić?

– Wy, Słowianie, tylko byście pili. Popatrzmy w taflę, kiedy się uspokoi.

Powierzchnię wody w basenie pokrył delikatny opar, jak na siarkowym źródle. Siedzieli wokół, wpatrując się w taflę, ale widzieli tylko kamienne dno misy, a na powierzchni własne odbicia. Po chwili woda ściemniała, dno znikło, za to ich oblicza odbiły się wyraźniej, jakby patrzyli na ciemne zwierciadło.

A po chwili znikły.

Pojawiła się mknąca wokół ulica Lodowego Ogrodu, ale widziana w jakiejś dziwacznej perspektywie, wygiętej niczym żabie oko. Obraz wydawał się płaski, lecz obejmował znacznie więcej niż ludzkie oczy, wydawał się zawierać jakieś trzysta stopni, z pionowym, wąskim pasem na wprost, w którym brakowało fragmentu pola widzenia. Do tego obraz poruszał się z szaleńczą prędkością, rozmazując na brzegach, i co chwila obłąkańcza jazda na pocisku ustawała gwałtownie na sekundę czy dwie, po czym pole widzenia znowu wyskakiwało do przodu, mknąc dziwacznym zygzakowatym torem.

– Można od tego albo dostać zeza, albo padaczki – oznajmił Drakkainen kapryśnym tonem.

– Patrzymy z punktu widzenia małego ptaszka – wyjaśnił cierpliwie Fjollsfinn.

– Widzimy to, co on widział? – spytała niepewnie Sylfana. – Przecież to już minęło.

– Zapisało się w tej perle. Oglądamy wspomnienie. Patrzcie, jest ten chłopak.

Odzianego w obszerną, wyszmelcowaną kurtę ulicznika widać było głównie na postojach, w dwóch szybkich przejazdach raz w jedną, raz w drugą stronę, kiedy ptaszek odwracał łebek bokiem, chcąc zobaczyć wyraźnie to, co miał przed dziobem. Potem wzrok śmigał znowu szalonym zygzakiem, mknąc pomiędzy kolumnami, muskając dachy, wzbijając się na chwilę nad ich poziom i zaraz nurkując niemal w bruk ulicy.

Tymczasem wysłannik maszerował przed siebie sztywno, trochę zataczając się na boki, wpadał na przechodniów i dalej stawiał stopy mechanicznym krokiem nakręcanej małpki. Wydawało się, że gdyby upadł, nadal przebierałby nogami w tym samym rytmie. Dotarł do Kawern, przemierzył główną ulicę, skręcił w kilka zaułków, a potem minął gospodę „Pod Smoczą Stewą” i poszedł do szynku kawałek dalej, gdzie zatrzymał się przy stole, za którym na pełniącej rolę zydla beczce siedział czarnobrody mężczyzna z ogoloną krótko głową. Chłopak nie rozglądał się, nie zastanawiał, nie szukał drogi, tylko maszerował tępo, jakby szedł tropem.

– Ten facet to Wąż, bez wątpienia – oznajmił Drakkainen. – Napatrzyłem się na nich. Mają specyficzne rysy i karnację. Są smaglejsi, niżsi i bardziej tacy żylaści niż inni z Wybrzeża Żagli. Tatuaże usunięto, ale jak się przyjrzeć, to niewielkie blizny i ślady zostały na całych przedramionach. Łysy, bo zlikwidował tę ich charakterystyczną fryzurę z nasmołowanych warkoczyków, z tym nie da się zrobić nic innego. Widać też otwory w płatkach nosa i małżowinach, gdzie Węże lubią nosić kościaną biżuterię.

Chłopak tymczasem podszedł do mężczyzny, który miał przed sobą róg z piwem stojący na srebrnych nóżkach, dzban i misę marynowanych jaj na twardo, pływających w jakimś sosie.

– Ty jesteś Barald Koński Pot, handlarz ryb – oznajmił. Nie pytał, nie upewniał się, tylko recytował mechanicznym głosem.

Tamten rozejrzał się szybko i zaczął podnosić, a jego prawa dłoń wśliznęła się pod połę kaftana.

– Skąd mnie znasz? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

– Mówi w ten sposób, żeby nie było widać, że ma spiłowane zęby – oświadczył Drakkainen przemądrzałym tonem.

– Nie zagłuszaj! – warknęła Sylfana. – Wszyscyśmy widzieli setki Węży, i to od dziecka.

– Bo spotkałem człowieka o płonącej twarzy – odrzekł chłopak. – Jestem wiadomością od niego.

Nikt w szynku nie zwracał na nich uwagi. Barald Koński Pot usiadł wygodniej, bardzo starannie obrał jajko i ugryzł je.

– Nie wiem, o kim mówisz – odparł z pełnymi ustami.

Chłopak sięgnął po leżący na blacie mały nożyk służący do dzielenia jedzenia, zaciął się w bok dłoni, po czym ścisnął rankę i wydusił na blat

jedną kroplę krwi. Wszystko robił tymi samymi nieobecnymi ruchami lunatyka. Nawet głowę miał przechyloną gdzieś w przypadkową stronę, jak pajacyk z przetrąconym karkiem, i oczy niczym szklane kulki.

– Nie widziałeś mnie wśród schwytanych, pędzonych przez miasto i wleczonych za wozami – oznajmił nagle skrzypiącym głosem Szkarłata. – Nie widziałeś mnie w łańcuchach, bowiem uciekłem i zgubiłem prześladowców w labiryntach pod miastem. Teraz zaś nie mogę się pokazać nawet tobie. Nikt mnie nie zobaczy przez długi czas i tak musi być. Mam tu bowiem coś do zrobienia, a ludzie, którzy mnie ścigają, są nieustępliwi i niebezpieczni. Nie zdołają mnie powstrzymać, ale musiałem zmienić plany. Teraz słuchaj, Baraldzie, tego, co powiem, bo chcę, byś zaniósł wiadomość swojemu panu. Na Górnym Zamku mieszka teraz nie jeden człowiek zza Morza Gwiazd i nie dwóch, ale aż troje. Jest tu mąż, którego szukałeś, zwany Nocnym Wędrowcem. Jest też niewiasta, którą zwą w obcej mowie Passionaria Callo, a w waszej Pani Bolesna, której szukało wielu z twego plemienia. Jednak Nocny Wędrowiec znalazł ją jako pierwszy i zabił waszych zwiadowców co do jednego. Na koniec jest też mistrz Fjollsfinn, który także pochodzi zza Morza Gwiazd, jak tamci, a o którym można było sądzić, że niegdyś zginął. Wszyscy są tymi, których nazywacie Pieśniarzami, i właśnie łączą swoje siły. Dlatego ci, o których myślę, muszą dowiedzieć się o tym jak najszybciej. Nie da się tych trojga zgładzić zwykłymi metodami, bowiem chronią ich nie tylko kamienne bramy Górnego Zamku i stal setek przybocznych, ale ich własne pieśni bogów, które wciąż rosną w siłę. Teraz odejdę, bowiem tyle miałem ci do powiedzenia. Przyjmij radę, Baraldzie. Idź na przystań i popatrz, jak żeglarze skrobią i smołują dna łodzi. Popatrz na wiosenne sztormy, które są coraz słabsze. Spójrz na ludzi, którzy zszywają podarte żagle, spójrz na wracające gęsi, poczuj na twarzy wiatr, który zaczyna się odwracać i coraz częściej wieje z południa, a wkrótce zapachnie w nim kadzidlak i miodowa śliwa. Bywaj, Baraldzie, weź wiedzę, którą ci dałem, i zrób z niej pożytek, póki ja muszę być jak szczur w kanałach i nie mogę z niej skorzystać.

Chłopak odwrócił się i wyszedł z szynku, wciąż człapiąc mechanicznie jak zombie, po czym całe wnętrze wywinęło kozła, kiedy ptaszek sfrunął z ościeżnicy i śmignął przez drzwi, a potem zygzakiem wśród dachów i wież na Górny Zamek.

– O to właśnie ci chodziło? – spytał Grunaldi niepewnie.

– Czyś ty łowił kiedy ryby, przyjacielu?

– Bywało, ale nie przypominam sobie, żebym zarzucał na przynętę własną nogę.

– Musimy skończyć tę sprawę raz a dobrze, a to jest jedyny sposób. Teraz tak: tych trzech Węży trzeba natychmiast wziąć pod obserwację. Ptaszek ma im towarzyszyć dzień i noc. Kilka ptaszków na zmianę. Jeden obserwuje, drugi wypluwa nam relację. Nie zdejmować, nie aresztować, tylko obserwować. Niech robią, co chcą.

Rozdział 9

Przygotowania

Pięćset drzwi i jeszcze czterdzieści –
myślę – jest w Walhalli;
z każdych drzwi osiem setek wojów
wyrusza do walki z wilkiem.

Pięćset komnat i jeszcze czterdzieści –
myślę – jest w Bilskirnirze,
ze wszystkich wspaniałej budowy zamków
największy jest syna mego.

(Grimnira Pieśń – Grimnismál)

Pieczary wewnątrz góry ciągną się w nieskończoność. Wysklepione przynajmniej na piętnaście metrów, z szerokimi kanałami, w których stoi czarna, nieruchoma woda. Na ścianach co dziesięć metrów syczą gazowe lampy, a my idziemy korytarzami szerokimi jak miejska

promenada. Mijamy sterty grubych desek, belki, stosy beczek. W szerokiej wnęce pracuje piła napędzana kołem wodnym, prosty automat krokowy oparty na drewnianych przekładniach podsuwa belkę pod ostrza, potem odrzuca na bok. Wszędzie pełno zajętych ludzi, chóralny łoskot młotów miesza się z wizgiem piły. Na wielkim helingu zbitym z monstrualnych kloców powstaje szkielet kadłuba, za nim następny i następny.

Kawałek dalej gotowe okręty kołyszą się na czarnej wodzie, identyczne, ze stewami zwieńczonymi wilczymi łbami, z uniesionym nad wodę kasztelem na rufie i z oboma masztami złożonymi do przodu. Maszty są dość krótkie ze względu na to ich dziwaczne skośne ożaglowanie z długimi, łacińskimi gaflami. Każdy wilczy okręt ma przepisowy karb na relingu, dokładnie w tym samym miejscu. Wszystko, jak każe Pieśń Ludzi.

– To są zwykłe doki remontowe – tłumaczy Fjollsfinn, przekrzykując hałas.

Wokół nas wre praca, tłuczenie młotami o drewno miesza się z dźwięcznymi odgłosami kucia przy stanowiskach kowalskich i miarowym wizgiem pił. Buchają pęki iskier, sypią się trociny, spod ostrz ośników i hebli spadają długie, skręcone wióry.

– W tej chwili wodujemy trzy statki tygodniowo – krzyczy Norweg z dumą w głosie. – Trzy wilcze okręty, nie licząc innych jednostek.

Mijamy wnękę i idziemy coraz głębiej, łoskot stoczni zostaje z tyłu, pulsuje echem pod stropem, ale teraz przynajmniej da się rozmawiać.

– To ile ich mamy? – pytam.

– Licząc z tymi, które miałem przedtem, dobijamy do dwustu osiemdziesięciu. I na tym poprzestaniemy. Zabraknie nam załóg.

– Na wilczy okręt wejdzie z trudem sto osób, i to upchniętych jak śledzie. A musimy też brać dobytek – powiadam.

– Po co?

– Bo inaczej wpadnie w ręce wrogów. W tej chwili każdy z tych kolczastych hipopotamów, które uważają za świnie, każdy wół i każda parka tych ich kurozaurów to zasoby strategiczne.

– W takim razie musimy to zrobić zupełnie inaczej. Przy skali, jaką zapowiadasz, nie możemy opierać się na wilczych okrętach. To są jednostki bojowe. Przeładowany ludźmi i ładunkiem okręt nie będzie w stanie walczyć. Weźmiesz część, ale jako eskortę. Zmobilizujemy statki kupieckie, które stoją w porcie, i wykorzystamy kilka dużych jednostek, które jeszcze

mam. Mamy trakeny i mamy trzy zdobyczne amitrajskie galery, które miały iść na części. Są wielkie, trzypokładowe, nadadzą się. Trzeba to starannie przeliczyć, ale możemy postawić na wodzie jeszcze kilka lodowych okrętów. Poza tym okręty, których będzie brakowało, możemy wynająć.

– Że, przepraszam, co proszę? – Przystaję na moment w osłupieniu.

– Chodzi mi o tych łowców plezjozaurów z Wysp Ostrogowych. Wiosną mają martwy sezon, bo stwory płyną na inne wody, żeby się cielić. U nich możemy wynająć okręty razem ze styrsmanami. Na przednówku polecą na każdy grosz.

– Stać nas?

– Góra okazała się szczodra, mamy mały pokład srebra. Poza tym są zasoby, które... powiedzmy, zdobyłem na początku. Co tu gadać, z pierwszymi ludźmi, jacy do mnie trafili, zaczynałem jako morski zbój i porywacz. Tak, bywało, że plądrowaliśmy wyspy i Wybrzeże Żagli.

– Skąd ta zmiana? – pytam. Coś mi się tu nie podoba.

– To znaczy? – Odwraca ku mnie nieruchomą twarz zwieńczoną makietą zamku.

– Przestałeś narzekać, jęczeć, że to samobójstwo, kręcić i utrudniać. Spędziłem tu całą zimę i nigdy nie widziałem, co robisz w tych lochach. A teraz oprowadzasz mnie i jeszcze wprowadzasz twórcze modyfikacje.

– Bo to się już zaczęło. Będziemy musieli obronić wyspę albo nas zabiją. Wkręciłeś nas w wojnę i koniec. Może rzeczywiście to było nieuniknione i może rzeczywiście lepiej, gdy my zaczniemy, niż oni. A teraz musimy zwyciężyć. Po prostu. Więc robię, co mogę. Jednak mam trzy warunki.

– Słucham.

– Nie poświęcisz Lodowego Ogrodu. Bez względu na polityczne konieczności, bez względu na priorytety twojej misji nie sprzedasz miasta ani ludzi.

– Zostaniemy zaatakowani – odpowiadam niepewnie. – Ofiary będą...

– Nie chodzi o ofiary oblężenia. Jeśli zdarzy się tak, że będziesz mógł zneutralizować tamtych, a wojna będzie trwała, nie porzucisz murów. Twoją misją jest przywrócić status quo, a Ogród je narusza. Mógłbyś uznać, że lepiej, by go splądrowano i spalono. Niech zniknie. A ja się na to nie zgadzam.

– Posłuchaj... – Nabijam fajkę, ale nie uciekam od Fjollsfinna wzrokiem. Patrzę mu prosto w oczy. – Moja misja to sztuka kompromisów. Muszę

mieć sojuszników. Nie ma innej rady. Tamci działają na taką skalę, że nie mogę po prostu pojechać sam na koniku i załatwić sprawy z każdym po kolei. Mam tu swoich ludzi, mam zaprzyjaźnione plemię, mam twoich drzewnych asasynów. Wszyscy mają prawo do mojej lojalności i ją dostają. Ja nie sprzedaję przyjaciół. Dotyczy to tak samo Ludzi Ognia, Ogrodu, jak ciebie i Nocnych Wędrowców. Tak już jest. Żadne straty nie są dla mnie dopuszczalne.

– No dobra – mówi. – Nie dostanę innej gwarancji.

– A drugi warunek?

– Kiedy przyjdzie czas ewakuacji... o ile będziemy żyli i tak dalej... Nie zabierzesz mnie na prom wbrew mojej woli.

– Chcesz zostać?

Patrzy pod nogi i milczy.

– Nie wiem. Nie umiem powiedzieć. Ale chcę, żebyś uszanował to, co wtedy postanowię.

Staję naprzeciw niego i znów patrzę prosto w mętnawobłękitne, lodowe oczy.

– Zgoda – mówię dobitnie. – Obiecuję ci to. Masz moje słowo honoru. Nie poświęcę miasta i nie zmuszę cię do ewakuacji.

Wyciągam do niego dłoń. Waha się przez moment, a potem wyciąga swoją i odwzajemnia mój uścisk. Badawczo i jakby niepewnie, jakby sądził, że zmiażdżę mu dłoń. Nic dziwnego.

Na Ziemi ta scena byłaby po prostu groteskowa. Tam nikt nikomu nie wierzy ot tak, nikt nie dotrzymuje słowa i nikt nie spełnia obietnic danych bez świadków, prawników, papierów, dowodów, nagrań i pisemnych gwarancji, a i to tylko czasem. Tu jednak jest tylko nas dwóch, słowo i uścisk dłoni. To świat, w którym reputacja człowieka zależy od jego uczciwości i jest cenniejsza od gór złota. Tu nie ma większej gwarancji niż słowo. I jakoś tak nie wydaje się to aż tak bardzo śmieszne.

Idziemy dalej ciągnącymi się w nieskończoność korytarzami, pod światłem gazowych latarni, mijając kołyszące się na czarnej wodzie kadłuby, sterty materiałów oraz spieszących się, zapracowanych ludzi.

– Został trzeci warunek – przypominam. Chcę to mieć już za sobą.

– Och, to akurat jest kwestia techniczna – mówi.

– Znaczy?

– Zaraz ci zademonstruję, jesteśmy prawie na miejscu.

Idziemy, skręcamy, pokonujemy schody, przechodzimy przez przetaczające się na bok wrota z kamiennych kręgów. Kolejna hala zaaranżowana w wielkiej jaskini, w której królują jakieś kotły, pod sufit wznoszą się masywne suwnice zbite z olbrzymich belek, przetaczane na okutych kołach, przenoszące beczki i gliniane dzbany. Pracujący tu ludzie noszą luźne, sięgające kolan szaty z bardzo grubo tkanego szarego materiału i kaptury z maskami zasłaniającymi całą głowę. W powietrzu unosi się ostry smród smoły, surowej ropy i siarkowodoru, a także innych chemikaliów, od których kręci w nosie i drapie w gardle.

– Smocza oliwa? – domyślam się.

Norweg kręci głową z krzywym uśmiechem.

– Nie. Zwykły ogień grecki. A właściwie helleński. Nie znamy składu ognia greckiego, tak jak nie znamy składu smoczej oliwy. To, co tu produkuję, to zwykły pyr automaton. Lżejsze frakcje ropy z odkrywkowych źródeł, tran morskich stworów, kwiat siarczany, smoła, żywica, oleje roślinne, terpentyna, saletra. Zapala się samoistnie pod wpływem wody, bo zawiera też palone wapno. Wystarczy, ale to nie jest smocza oliwa. Tamta ma pewno nieco podobny skład, ale zawiera też czynnik M. Tchnienie magii sprawiające, że działa bez względu na warunki atmosferyczne, daje ogień o znacznie wyższej temperaturze, nie pozwala się zgasić, a równocześnie jest stabilniejsza. Błogosławieństwo Boga Kowala. Coś, co mnie nie zostało dane. Próbowałem ją zaklinać na własną rękę i skutek był opłakany. Zdarzały się... wypadki. Były ofiary, więc w końcu dałem spokój. Zgodnie z Pieśnią Ludzi tylko plemię Ognia może ją produkować. Można tę substancję od nich kupić, ale piekielnie drogo, natomiast nikt nie może tego wyprodukować. Dlatego większość ludów używa podróbek i surogatów różnej jakości. Mamy pewne zapasy, lecz niewystarczające. Skoro chcesz, żebym przyjął tych ludzi pod mój dach, warunek jest prosty: chcę smoczą oliwę do obrony grodu. Nie domagam się receptury, tylko produkcji.

– Pogadam z Atleifem – odpowiadam. – Ale przecież masz tu ludzi z Ziemi Ognia, których zwasalizowałeś. Nie mogą ci tego przyrządzić?

– Tylko kapłani Boga Kowala, Pana Ognia, znają recepturę, zaklęcia i obrzędy. Przekonaj ich, a pomogę i tobie, i Ludziom Ognia.

Wzruszam ramionami.

– Mogę ci obiecać, że spróbuję, ale to już ode mnie nie zależy.

– To jest żywotny interes twojej operacji – odpowiada stanowczo.

– Nie przewiduję używania tego świństwa – oponuję.

– Zastanów się. Chcesz przewieźć nieokreśloną bliżej liczbę ludzi, ale idącą w tysiące, wraz z dobytkiem, co jak by nie liczyć, oznacza dwa spore konwoje morskie. Człowieku, to jest prawie tysiąc okrętów! Jeśli postawimy na wodę wszystko, co mamy, wynajmiemy wszystkie kupieckie statki z naszych portów i wszystko, co tylko pływa na Wyspach Ostrogowych, możemy dać radę. Tyle że wyrywasz tych ludzi z rejonu działań wojennych, musisz zdążyć przed flotą inwazyjną, mimo że nie da się założyć, ile całe akcje potrwają. Nie stać cię w razie czego na konwencjonalne potyczki morskie. Dlatego dostaniesz eskortowce wyposażone w miotacze ognia. Ręczne pompy pod pokładem, układ rur i zaworów, a do tego ze trzy monitory. Pieśń Ludzi powinna to wytrzymać, bo tu się takie urządzenia zdarzają, choć rzadko i nie na taką skalę. W naszej historii Bizancjum zaczęło używać takich okrętów i przez jakiś czas nikt nie był w stanie im niczego przeciwstawić. Na tym poziomie technologicznym nie istnieje żaden adekwatny sposób walki z ogniem greckim. Inne jednostki mogą tylko przed tobą uciekać. Ktokolwiek znajdzie się w zasięgu syfonów, tego natychmiast spalisz i zatopisz. Na wodzie nikt nic na to nie poradzi. W dziewięćset czterdziestym pierwszym roku muzułmańska flota tysiąca okrętów ustąpiła przed eskadrą piętnastu bizantyńskich jednostek z miotaczami ognia greckiego. To jeden z atutów, które musisz mieć, jeśli to wszystko ma mieć cień szansy na powodzenie.

– W końcu przegniemy pałę i zwalą nam na łeb martwy śnieg. Obudzimy się z palcem w dupie i wypranymi mózgami, recytując Pieśń Ludzi.

– Sam wyposażyłeś Wędrowców w kusze.

– Tutaj są kusze.

– I mają swoje miejsce gdzieś pomiędzy procą a łukiem. Żadnego ładowania na komendę, rzędów strzelców, chodzenia w karakola, żadnych salw i odpowiedników „machin ogniowych”. Kazałeś im używać kusz jak broni palnej. Nie ma wyjścia. Musimy jechać po bandzie. Tamci w ogóle się nie patyczkują.

– Dobra. A zatem okręty z miotaczami ognia jako dozorowce, niech będzie. Tylko kto będzie to cholerstwo obsługiwał?

– Mam specjalną formację Braci Drzewa. To ci w azbestowych strojach, których widzisz przy pracy nad paliwem. Moi właśni naffatun, jak

w muzułmańskich armiach czasów krucjat. Do obsługi systemu potrzeba trzech ludzi do pomp i instalacji oraz trzech do obsługi monitorów, czyli sześciu na okręt. Powinno wystarczyć dziesięć dozorowców na konwój.

– Na kiedy będą gotowe?

– Za trzy tygodnie. Okręty już stoją w dokach, instalacje się robią. Właściwie lada dzień zaczniemy montaż i testy. Potem przeszkolenie załóg i gotowe. Transportowce potrzebują więcej czasu, będą gotowe za miesiąc.

– Za miesiąc? Kiedy je zacząłeś budować?

– Dwa tygodnie po naszej pierwszej rozmowie o Ludziach Ognia. I nie wszystkie budować, tylko przebudowywać istniejące jednostki. Najpierw myślałem o ewakuacji własnych obywateli gdzieś na Wyspy Ostrogowe. Potem zrozumiałem, że twój plan daje nam cień nadziei i że musimy współpracować. Że potrzebuję tego twojego plemienia, żeby ocalić miasto. Potrzebuję ludzi na mury, potrzebuję kowali i kapłanów warzących smoczą oliwę.

Idziemy przez niekończące się korytarze i komory, oświetlone ciepłym płomieniem lamp gazowych. I znowu widzę, że wszędzie wre praca i że trwają przygotowania do oblężenia. Zewsząd słychać turkot i szum wielkich kół wodnych, wystające ze ścian osie napędowe obracają skórzanymi pasami transmisyjnymi, wielka wirująca misa pełna wstępnie obrobionych kamiennych kul wygładza amunicję do balist i onagerów, piętrzą się beczki, gliniane dzbany, kosze i skrzynie.

Patrzę na to wszystko i zaczyna do mnie docierać, co rozpętuję. Oblężenia. Bitwy. Dwie wielkie operacje morskie. Dociera do mnie ciężar tego wszystkiego. Dosłownie. Ciężar w bezpośrednim znaczeniu. Tysiące i setki tysięcy ton. Dźwigi. Machiny miotające. Belki, żelazne okucia, solone mięso zalane tłuszczem, mąka, suszone, solone i kiszone warzywa, piasek do gaszenia, piwo, zwały płóciennych szarpi na opatrunki. Setki butów. Pasy. Kolczugi. Wszystko na skalę masową. Patrzę na manufakturę taśmowo produkującą miecze i hełmy. Głębokie, otwarte łebki chroniące kark i policzki, nie lekkie kapaliny miejskiej straży. Zapychają kamienną halę, wetknięte jeden w drugi, tworząc lśniące słupy. Nawet nie próbuję ich policzyć. Nie próbuję wyobrazić sobie ich założonych na tysiące głów wojowników, kobiet i podrostków, z których bardzo wielu zginie. Spalonych, zrzuconych z murów, naszpikowanych strzałami, zmiażdżonych

kamiennymi kulami. „Wszyscy zdolni do noszenia broni”. To ja spowodowałem. Ciężar.

Gigantyczny ciężar. Potworny.

To miała być operacja ratunkowa. Jeden człowiek o twarzy wysmarowanej węglem drzewnym, czołgający się nocą z nożem w zębach, by przecinać więźniom rzemienne pęta, zrywać prymitywne skoble i skręcać karki podpitym i sennym wartownikom. Uwolnić kilka osób z rąk bandy dzikusów z kijami.

To umiem.

Tymczasem za chwilę będę dowodził flotą i ustawiał naprzeciw wrogiej armii szyki tysięcy wojowników. Taktyka, strategia, kampanie morskie i lądowe, skrzydła, szyki i artyleria. Ranni. Zapasy. Tabory. Jeńcy. Dopuszczalne straty. Samozwańczy, amatorski *primus pilus*, *praefectus* Drakkainen.

Jezu...

Nie mogli wysłać jakiegoś generała?

Tego nie przerabialiśmy.

Przemierzamy kilometry korytarzy, dokonując inspekcji manufaktur, patrząc na pęki włóczni do katapult, strzał, bełtów, stosy kusz. Spoglądam na to i czuję coś dziwnego w żołądku. Gorąca żelazna rękawica ściska moje flaki gdzieś za splotem słonecznym. Ciężar w nogach i płucach.

Strach.

A potem uczucie rozpływa się niepostrzeżenie i rozchodzi gdzieś po ciele. Cyfral czuwa. Zostaje mój zwykły, nienaturalny spokój. Techniczny i rzeczowy.

Kiedy wychodzimy wreszcie na powierzchnię, na zalane słońcem kamienne uliczki Lodowego Ogrodu, kręci mi się w głowie.

– Muszę ci pokazać jeszcze jedną rzecz – zapowiada Fjollsfinn, narzucając kaptur na najeżoną basztami czaszkę. Znam ten ton. Podszyty dumą i satysfakcją. Chce mi coś pokazać i oczekuje pochwały. Lubi robić wrażenie. Kolejny odtworzony starożytny wynalazek? Lustro Archimedesa do podpalania okrętów albo coś w tym rodzaju. Byle nie Kolos Rodyjski, błagam. Jestem zmęczony.

– Dlaczego nie możesz mi niczego normalnie powiedzieć? Musi być prezentacja? Zamiast oznajmić, że potrzebujemy dwóch ton chleba

dziennie, ty prowadzisz mnie do piekarni, żebym liczył osobiście bochenki. Jestem na ostatnich nogach.

– Tym razem musi być prezentacja. Rzecz ma kluczowe znaczenie i sam byś ją zaliczył do ściśle tajnych. Musisz to zobaczyć, inaczej nie zrozumiesz. Nie wytłumaczę ci tego na ulicy.

– Na litość boską, czy tu ktoś zna angielski?

– Nie. Ale po prostu nie uwierzysz, a to strata czasu.

Zatem idziemy. Znowu do Wieży Szeptów. Do naszego centrum operacji specjalnych. Przez ulice, stragany, tawerny pełne spokojnych, niczego się niespodziewających obywateli.

A potem niepostrzeżenie wnikamy w strzeżony, zamknięty obszar wewnątrz pierścienia murów Wieży Szeptów, przechodząc ukrytymi drzwiami w przedsionku zwykłej, pustej kamienicy. Przemierzamy korytarze, stoimy w pełznącej w górę windzie. Mam nadzieję, że to, co ma mi pokazać, jest tego warte. Nie znoszę Wieży Szeptów. Przygnębia mnie i przeraża. Jej złowrogi cień tnący miasto przypomina mi, że trzeba tu sprawować władzę, a każda władza ma swoje mroczne i straszne sekrety.

Komnata umieszczona jest wysoko, prawie pod najwyższym tarasem. Puste okrągłe pomieszczenie z oknami wybitymi w bazalcie, patrzącymi we wszystkie strony świata. Pośrodku na lśniącym czarnym postumencie znajduje się rzeźba. Nijaka, wypolerowana maska bez wyrazu, patrząca pustymi szczelinami oczu, sterczącą jakieś dwa metry nad podłogą, wsparta na ażurowych nietoperzych skrzydłach, dotykających posadzki koniuszkami. Maska ze skrzydłami nietoperza.

Obchodzę obiekt w pozie zwiedzającego, z jedną dłonią pod pachą, drugą podpierającą podbródek, z lekko przechyloną głową.

– Rozumiem – przerywam ciszę. – Chcesz mi pokazać, że także człowiek przytłoczony nawałem pracy może znaleźć miejsce na hobby, a nawet sztukę. To tylko kwestia odpowiedniej organizacji czasu. Ale ja to wiem, bo mnie tak pouczano całe życie, tylko po prostu mam nieuporządkowaną naturę.

– To, na co patrzysz, to będzie twój największy atut – oznajmia. – Wystarczy, że wsuniesz twarz w maskę, a staniesz się niewidzialnym latającym demonem. Skrzydlatą głową. Możesz polecieć, gdziekolwiek zechcesz, fizycznie nie opuszczając Wieży Szeptów. Przeprowadzić zwiad, rozpoznanie. Nadzorować operację. To twój satelita szpiegowski, samoloty

rozpoznawcze i drony zwiadowcze w jednym. Męczyłeś mnie o szklaną kulę. Proszę! Moim zdaniem, to jest lepsze.

Przez jakiś czas milczę i staram się pojąć, co powiedział. Obchodzę skrzydlatą maskę jeszcze raz, ale tym razem ostrożnie, jakby miała mnie pogryźć.

– Czy mogę ingerować fizycznie w świat? Działać na poziomie materii? Staranować coś?

Patrzy na mnie ze zdumieniem.

– No co ty? Odurniałeś? Przecież to nie będzie latało jako dwustukilogramowa żelazna kuta rzeźba. Wyruszysz w świat jako zwiewne widmo. Możesz najwyżej zadziałać magicznie, i to na niedużą skalę, bo nie będziesz miał zbyt wielkich zapasów czynnika M.

– No to polecę prosto do van Dykena i zamienię mu głowę w czajnik albo pieczone jagnię po dalmatyńsku. Potem zaklnę Freihoff w żabę i koniec wojny.

Kręci głową.

– Zapomnij o takich pomysłach.

– Za duża skala? To może pesteczka od oliwki w środku mózgu? Rybka fugu w komorze serca? Taka mała? – Pokazuję palcami.

Znowu kręci głową.

– Będziesz funkcjonował w magicznej sferze. Będziesz wyraźnie widział magię, ale i oni będą mogli cię zobaczyć. Dlatego nawet się do nich nie zbliżaj. Oni będą w swojej fizycznej postaci, a ty tutaj w letargu. Rozproszą cię natychmiast albo zniszczą, bo są znacznie silniejsi, a czynnik mają pod ręką. Ty nie.

– Dlaczego to zawsze przybiera takie surrealistyczne formy? Nie możesz zrobić czegoś prosto i funkcjonalnie? Wygodny fotel z hełmem sterującym czy coś?

– Bo taka jest natura tworzenia zaklęcia. Wchodzisz w trans i usiłujesz nawiązać kontakt z czynnikiem M. On tam jest i czeka na rozkazy, ale cię nie rozumie. Musisz krok po kroku wizualizować to, o co ci chodzi. Sam zamysł. Ideę. Nigdy nie wiesz, jaką przybierze formę fizyczną. Gdybym myślał o takim kształcie, dostałbym zwykłą kutą rzeźbę, tylko że pojawiłaby się z niczego. To naprawdę przypomina pieśń. Śpiewasz o tym, czego chcesz, usiłując dopasować się do obcej, dziwacznej melodii, i jednocześnie obrazami układasz słowa, aż zostaniesz zrozumiany. Obiekt

stopniowo powstaje przed twoimi oczami, jak hologram. Kiedy sformułujesz całe zaklęcie, każesz mu zaistnieć.

– Też robię postępy w zaklęciach – odpowiadam skromnie, wykonując tajemniczy ruch dłonią.

Pierwszą próbę przeprowadził jeszcze tej samej nocy. Aktywował Cyfral, wykonał kilka ćwiczeń oddechowych, a potem postał chwilkę przed ostrołukowym wielkim oknem wychodzącym na południe, patrząc na czarne morze migocące w oddali, zlewające się w jedno z nocnym niebem i łowiąc ciepławy wiatr na twarz.

Morze Gwiazd, pomyślał. Tak to właśnie wygląda.

Wystukał fajkę o parapet i podszedł do skrzydlatej maski, wspartej końcami skrzydeł o postument, lśniącej w migotliwym blasku przykręconych do minimum lamp.

– Dobra, Cyfral – oznajmił pustym ścianom. – Zaczynamy.

Wnętrze maski było suche, wyklejone delikatną skórą, miękką jak ircha. Poczuł tę pachnącą powierzchnię na policzkach i czole, a potem spojrzał przez otwory maski w czarne okno prowadzące na południe.

I runął w zawrót głowy.

Wrażenie przypominało nagłe znalezienie się w stanie nieważkości. Stracił poczucie kierunków, jego słynna orientacja przestrzenna wywinęła kozła w powietrzu i wysiadła, natychmiast stracił też poczucie położenia własnych kończyn. Czuł, że gdzieś tam nadal są, ale jakieś odrealnione. Miał wzrok, słuch i węch, reszta ciała za to stała się kłębem dymu.

To nie było do końca jak orbitowanie. Nie czuł mdłości ani tej bezwładnej bezradności, która zawsze dopadała go w zero grawitacji. Uczucie było bliższe nurkowaniu albo snom. Snom o lataniu.

Rozłożył skrzydła bez wysiłku i uderzył nimi kilka razy, wypływając przez okno. Właściwie bez udziału własnej woli. Spojrzał w dół, wzdłuż spadającej w otchłań ściany Wieży Szeptów, i poczuł mrowienie w nieistniejącym podbrzuszu, widząc spienione fale ciskające się pomiędzy ścianą klifu a podstawą muru. Skrzydła go słuchały, czuł je, lecz nie musiał panować nad każdym ruchem. Postanowił zanurkować w dół, więc złożyły się i Drakkainen runął prosto w majaczącą w dole czarną wodę. Czuł podmuch rozcinanego powietrza na twarzy, ale znacznie mniej wyraźnie, niż powinien w rzeczywistości. To nie był rozdymający policzki huragan,

tylko lekka bryza. Słyszał świst w uszach, ale nie ryk spadającej bomby. Kiedy grzywy piany zaczęły zbliżać się zbyt nieznośnie i migotać w ciemności, postanowił wyrównać lot i skrzydła rozłożyły się, wypełniając powietrzem i wyprowadzając go z lotu nurkowego.

Uderzył kilkakrotnie skrzydłami i wzniósł się na wysokość szczytu Wieży Szeptów, po czym obleciał ją kilka razy jak upiorny, gigantyczny kruk. Nie czuł wysiłku, wlatując z powrotem na tę wysokość, tylko jakąś lekkość, jaką czuje się, wsiadłszy na narty czy dobrze naoliwiony rower. Okrążył miasto, patrząc na nieskończony labirynt dachów i celujących w niebo wież. Świat wyglądał dziwnie. Jak oglądany w paśmie podczerwieni lub w termowizji. Ludzie trochę świecili ciepłymi barwami oranżu i żółci, zauważył też, że jeśli się skoncentruje, może widzieć przez jedną ścianę. Kamień blokował bardziej i dawał zamazany obraz, warstwa belek znacznie mniej, pewnie miało to jakąś swoją logikę związaną z masą.

Zwinął się w miejscu i zanurkował w kanion ulicy, jak porwany wiatrem płaszcz. Okna, wykusze i kolumny budynków migały mu przed oczami, wiatr świstał w uszach.

W dole przechadzali się ludzie, ale nikt nie zadzierał głowy, nie pokazywał go palcem ani nie wrzeszczał: „Patrzcie, tam leci głowa ze skrzydłami!”. Wykręcił ciasnym wirażem, załopotał skrzydłami i przysiadł na ich końcach na przypadkowym parapecie okna na poddaszu.

W małym, pogrążonym w ciemnościach pokoiku dwoje ludzi kochało się z ogromnym zapałem, świecąc łagodną czerwienią niczym dwa papierowe lampiony. Biodra mężczyzny klaskały o pośladki dziewczyny, łóżko skrzypiało i rytmicznie łomotało wezgłowiem o ścianę.

– A kuku – powiedział Drakkainen. Dziewczyna nadal jęczała, gryząc lnianą poduszkę i ściskając w garści zmięte prześcieradło.

Nic się nie wydarzyło.

Wystartował znowu wysoko ponad dachy i wzbił się tak, że cała wyspa rozpostarła się pod nim, z sięgającymi ku niebu szczytami gór, lasami jak plamy mchu i szarymi połaciami pól i wrzosowisk. Gród zmalał, zamienił się w ledwo dostrzegalny detalik przytulony do skały, ostry i precyzyjny jak miniaturowy werk zegarka. Kiedy znów opadł, Lodowy Ogród wypełniony kryształowymi drzewami i kwiatami, zamknięty ostrymi jak tryby krenelażami murów i otoczony łańcuchem górskim świecił jak Las Vegas ostrym, neonowym blaskiem, jaskrawe poblaski migotały też za oknami

i kopułami kwater Górnego Zamku, gdzie mieszkał Fjollsfinn, zupełnie jakby Norweg urządzał sobie dyskotekę. Otoczył szerokim łukiem całą twierdzę, lustrując z góry stan umocnień, a potem przemknął nad portem i wystrzelił na południe, śmigając dziesięć metrów nad grzywami fal, jakby obawiał się radarów.

Mknął prosto na południe, tnąc powietrze w niebieskawym półmroku. Zapragnął przyspieszyć i uderzył kilka razy skrzydłami, a grzywy fal pod nim rozmazały się od pędu. Sam lot nie wymagał żadnego wysiłku, nie musiał też panować nad sterowaniem. Chwilami czuł lekkie turbulencje i powietrze robiło się jakby szorstkie, ale skrzydła samoistnie korygowały lot. Cieszyło to Drakkainena, bo całe jego doświadczenie lotnicze ograniczało się do hologier i jednej godziny za sterami ultralekkiego rekreacyjnego samolociku wiele lat temu.

Leciał tak wśród świetlistej nocy, aż rozmyty obraz fal zaczął go nużyć, więc wzniósł się wyżej i jeszcze przyspieszył. Czuł tę prędkość, jednak podobnie jak wszystkie wrażenia podczas tego ni to snu, ni jawy, była to prędkość jakoś umowna i nieekstremalna, choć podejrzewał, że gdyby traktować ten lot dosłownie, zacząłby się zbliżać do bariery dźwięku, a pęd powietrza wepchnąłby mu gałki oczne do przełyku. Poczuł szybkość, dopiero kiedy na horyzoncie zamajaczyła pierwsza grupa Wysp Ostrogowych, które najpierw pojawiły się jako zgęstki ciemności na horyzoncie, trudno odróżnialne od chmur, potem zaczęły się powiększać i nabierać masy, a w końcu przemknęły pod nim mgnieniem szczytów, lasów, lśniących jak lusterka jezior i iskierek ognisk przy ludzkich siedzibach. Później skoczyły do tyłu i znów mknął, mając pod sobą tylko zdradliwe morze okolic archipelagu, pełne podwodnych skał, łańcuchów raf, na których morze kotłowało się kipielą piany, i kolejnych wysp o skomplikowanych przesmykach.

Skorygował kurs, zostawiając archipelag z prawej, i pomknął nad rtęciową taflą Morza Wewnętrznego, a następny ląd, który zobaczył przed sobą jako ciemną smugę, to były już porośnięte lasem klify Wybrzeża Żagli.

Skręcił nad wybrzeżem i poleciał na wschód na pułapie jakichś dwustu metrów, szukając ujścia Dragoriny, bo nie miał pojęcia, w jakim punkcie dotarł do Wybrzeża. Przemykały pod nim połacie najeżone czubkami

drzew, wstęgi piaszczystych plaż lub skaliste wybrzeża wśród spienionych fal przyboju.

Wybrzeże Żagli stało w ogniu.

Pierwsza siedziba, którą minął, została częściowo spalona, zamieniona w rumowisko zwęglonych belek ze sterczącą pośrodku okopconą kamienną czatownią, wokół której unosiła się chmara kraczących wron. Na plaży leżały trupy ludzi i koni, porozrzucane bezładnie, jakby jakiś niedorosły olbrzym porzucił tu zabawę żołnierzykami. Niektórzy poruszali się łagodnie w falach przy brzegu, wśród potrzaskanych tarcz i włóczni oraz wojennego żelastwa pogubionego w zbryzganym krwią, zrytym kopytami i podeszwami butów piachu.

Wyhamował, bijąc skrzydłami, i wylądował na pobojowisku, płosząc chmary ptaków, ale tu trupy leżały co najmniej od kilku dni. Lśniąca metalem maska przespacerowała się po plaży, krocząc cudacznie na ostrych końcach skrzydeł, ale nie było nikogo, kto mógłby go zauważyć. A nawet gdyby był, nie zobaczyłby niczego. Na skraju plaży natknął się na las słupów, do których przykuto skurczone do rozmiarów karzełków zwęglone ciała. Nie musiał się zastanawiać, kto dokonał tej masakry. Podpis był aż nadto wyraźny. Parodia Tańca Ognia. Van Dyken i jego bojówki. Jednak nie zajęli terenu. Zadowolili się spaleniem sadyby i znikli. Sugerowało to szarpaną wojnę podjazdową, a nie regularną kampanię terytorialną.

Wystartował z plaży i pomknął dalej na wschód, na poszukiwanie ujścia Dragoriny. Lot go na razie nie męczył i nic nie wskazywało, żeby potrzebował jakiegoś paliwa.

W kilku miejscach znowu minął rozdęte trupy powyrzucane na plażę wśród pogruchotanych, wygiętych desek zdartych z burt. Dalej w morzu na powierzchni dryfował nadpalony wachlarzowaty żagiel, wymalowany na nim znak był biało-zielony i przedstawiał zwrócone ku sobie końskie łby, więc to nie był ślad jakiejkolwiek klęski Ludzi Węży.

Wybrzeże skoczyło do góry, wznosząc się skalistym klifem, a w chwilę potem zaraz za skałami rozwarło się szerokie ujście rzeki.

Żmijowe Gardło stało, ale znajdowało się w pełnej gotowości bojowej. Naprawiono prowizorycznie nawet stary częstokół od zachodniej strony miasta, usypując najeżony zaostrzonymi belkami ziemny wał, na murach płonęły uniesione wysoko maźnice i widać było przechadzających się wartowników. Wewnątrz murów także płonęły ogniska i wbite w ziemię

żelazne kagańce. Kilkaset mężczyzn i kobiet spało pokotem w namiotach albo wprost na skórach na ziemi, w pancerzach i kolczugach, nie zdejmując nawet pasów z mieczami, wśród złożonych razem tarcz.

Przeleciał powoli, bijąc wielkimi skrzydłami, nad znajomymi dachami, rzędem domostw na nabrzeżu. Mijając siedzibę, która niegdyś należała do Wędzonego Ulle, poczuł, że nagle zrobiło mu się jakoś ciężko w niewidocznej, eterycznej piersi.

Port zamknięto od strony rzeki, nie od morza. W poprzek nurtu rozpięto łańcuchy i rozstawiono jakąś konstrukcję z potężnych belek wystających ponad wodę rzędami trójkątnych, okutych żelazem zapór. Prawdopodobnie chodziło o zatrzymanie ewentualnych płonących branderów, puszczanych z nurtem przeciwko okrętom chronionym przy nabrzeżu. Umocnień broniły dwie kamienno-ziemne basteje wyposażone w solidne arkabalisty i tam także płonął ogień w żelaznych koszach, stali wartownicy, a wokół pokotem spali ludzie w pełnym rynsztunku.

Bariera zamykająca port zmartwiła Vuka, obejrzał ją bardzo dokładnie i stwierdził, że część zapór nie jest wkopana w dno, tylko solidnie zakotwiczona, więc da się je zdemontować i otworzyć przejście. Zbadał też wyposażenie obronnej bastei, całkowicie ignorując straże, balistę zamocowaną na obrotowej podstawie, z nakręconymi mocno torsjami, ale nienapiętą cięciwą, rzędy włóczni z glinianymi pojemnikami zapalającymi poniżej grotów i stosy ceramicznych granatów z długimi uchwytami ze sznura. Sprawny miotacz z pewnością byłby w stanie cisnąć takim garnczkiem o burtę okrętu płynącego nawet środkiem rzeki.

Rozejrzał się jeszcze po przystani, po czym poderwał wysoko w górę i uderzył parę razy skrzydłami, rozpędzając się wzdłuż nurtu Dragoriny, aż stała się krętą srebrną wstążką gdzieś w sinawym półmroku pod nim.

To tu, to tam w mroku majaczyły skupiska pomarańczowych iskierek. Ludzie i zwierzęta, lecz zastanawiające było to, że gromadzili się w górach lub głęboko w leśnych ostępach. Nie na szlakach albo przy rzece. Nie sprawdzał tego na razie, bo się spieszył. Najpierw musiał wiedzieć. Więc gnał przed siebie, tnąc powietrze niczym upiorny nietoperz, z ciężkim sercem, pełen najgorszych przeczuć.

Droga dłużyła mu się nieznośnie, mimo że w dole rzeka wiła się zakosami jak szarżujący wąż, a on ciął powietrze najprostszym kursem, pewnie nie gorzej od myśliwca.

Pojawiły się chmury, które przysłoniły mu widok, więc przewalił się przez skrzydło i runął w dół, a potem pomknął wzdłuż nurtu, pomiędzy górami i ścianami wąwozu. Małe połączone jeziorka przemknęły w dole kilkunastosekundowym migotaniem rtęciowych tafli, potem kilka szerokich zakosów rzeki i wreszcie wypadł nad wielkie jezioro, które przeciął rozpaczliwym szusem w ciągu minuty, hamując skrzydłami już od połowy rozlewiska.

Bo widział już z daleka.

Dom Ognia wznosił się na brzegu czarny i opuszczony. Dwie drewniane wieże były spalone i zamieniły się w rumowisko poczerniałych, zwęglonych belek, brama została uszkodzona, a opodal pomostu z wody wystawały trzy wilcze stewy zatopionych okrętów.

I nigdzie nie widział ciepłego pomarańczowego blasku, ciała żywego człowieka. Ludzie Ognia znikli co do jednego. Mężczyźni, kobiety i dzieci, nawet zwierzęta. Dwór był częściowo splądrowany i całkowicie pusty. Wleciał na dziedziniec i przez chwilę miotał się po nim jak prawdziwy nietoperz schwytany w pułapkę, siadając na krużgankach i parapetach okien, wpełzł do wielkiej halli, gdzie zastał tylko powywracane meble i wygasłe palenisko. Nie znalazł niczego ani wewnątrz twierdzy, ani wokół niej. Ani żywych, ani martwych.

Nic.

Pewnie dlatego pojawiły się bajdy, że wokół opustoszałego Dworu Ognia nad jeziorem pojawił się przerażający demon, podobny do żelaznej twarzy z wielkimi błoniastymi skrzydłami, wydający przeraźliwy wrzask żalu i gniewu, a potem śmignął w niebo i zniknął.

Musiał dostarczyć wiadomość.

I nie miał pojęcia, jak ma im to powiedzieć.

Zmęczenie dopadło go, dopiero kiedy wysunął się z maski i opadł kolanami na kamienną posadzkę. Czuł, że ma obrzmiałą twarz, kończyny dygotały mu z bólu i zmęczenia, a do tego chwytały skurcze, jeden po drugim, w najprzeróżniejszych dziwnych miejscach, w których nawet nie podejrzewał, że ma mięśnie.

Fjollsfinn podtrzymał Drakkainena i natychmiast podał mu metalowy kubek. Napój był chłodny, orzeźwiający, pachniał jakimiś owocami i z pewnością zawierał witaminy. Vuko wychylił kubek paroma łykami, po

czym odrzucił go, wyrwał Norwegowi z ręki dzban i pił dalej, aż ugasił pragnienie. A potem siedział, dysząc ciężko.

– Nie musisz marnować energii na powrót – wyjaśnił Fjollsfinn. – To nie samolot. Kiedy znajdziesz się na miejscu i dowiesz, czego trzeba, możesz przerwać trans. Widmo rozproszy się, a ty znajdziesz się w wieży.

– Tego nie było w instrukcji – odparł Drakkainen. – Pomóż mi wstać. Muszę powiedzieć moim ludziom, że Dwór Ognia padł.

Norweg zamknął na chwilę lodowe oczy i przygryzł wargę.

– Wszyscy? Co do jednego?

– Nie wiem. Nie znalazłem trupów.

Wysłuchali Drakkainena z pobladłymi, nieruchomymi twarzami, po czym każdy zareagował po swojemu, choć raczej powściągliwie. Warfnir wstał, kopnął w ścianę i uderzył o nią czołem, po czym tak został, Sylfana zamarła na krześle, biała jak prześcieradło, przygryzając wargę z oczami lśniącymi od łez, Spalle wyszedł i słychać było za ścianą ryk furii, a potem kilka rytmicznych uderzeń pięści o coś twardego. Grunaldi objął głowę rękoma, ostrożnie, jakby była pękniętym dzbanem, oparł się łokciami na blacie stołu i zastygł tak, niezdolny do ruchu ani czegokolwiek innego. Filar otulił dłonią pięść, wsparł się o nią ustami i spoglądał na towarzyszy współczującym spojrzeniem. Pozostali milczeli ponuro.

Zapadła obezwładniająca cisza żałoby. Czas, w którym już wszystko zostało powiedziane. I teraz można już tylko siedzieć i patrzeć na świat okaleczony stratą, w którym nie da się żyć ani nie ma powodu czegokolwiek robić.

Dziurawy, kaleki świat, który stracił jakikolwiek sens.

Drakkainen milczał wraz z nimi, obracając w głowie swój plan, a właściwie to, co z niego zostało, i zastanawiał się, co robić dalej. Z cynicznego taktycznego punktu widzenia stracił też swoich ludzi. Nawet jeśli skoncentrują się na zemście, nie odzyskają już morale. Stracić cały klan musiało być dla nich jeszcze gorsze, niż stracić najbliższych. Za jednym zamachem pozbawiono ich nie tylko krewnych, ukochanych i dzieci, ale także kultury, tożsamości oraz miejsca na ziemi. Ostatni Ludzie Ognia. Czworo. Koniec. Sam miał świadomość tego, że ich zawiódł, i zastanawiał się, co by poczuł, gdyby nie tamy i bariery budowane mu w głowie przez Cyfral. Obiecał im pomóc, tymczasem sprowadził na nich

masakrę. Całkowity holokaust. Ponieważ blokady działały, nie czuł prawie nic. Tylko rzeczową świadomość faktów.

– I nie było żadnych trupów? – zapytała Sylfana raptem głuchym, nieswoim głosem. – Wewnątrz wałów? W jeziorze? Na dziedzińcach?

– Żadnych. – Pokręcił głową.

– A przykutych i spalonych?

– Też nie. To mnie najbardziej zdziwiło. Może van Dyken zdołał wszystkich wyprowadzić pieśnią bogów, tak jak wabił dzieci? Widziałem kiedyś tych, których wziął do niewoli. Szli bezwolnie, jak oczadziali.

– To dobre na małą sadybę, z nie więcej niż setką wojów, a nie na Dom Ognia, w którym zimuje cały klan. Próbowali tego jeszcze zeszłej jesieni. Rogi naszych kapłanów zagłuszyły ich zew, a potem odpędzaliśmy Węży ogniem i kamieniami z katapult niosących na pięćset kroków – odparł szorstko Warfnir.

– Mój brat nie poddał Dworu Ognia bez walki – oznajmiła Sylfana z zaciętą twarzą. – Wszędzie powinno być pełno trupów, nawet gdyby część dostała się do niewoli. Węże nie grzebią zabitych, a już zwłaszcza wrogów.

Znowu zapadła cisza. I trwała bardzo długo.

– Byłeś na głównym dziedzińcu? Tym wielkim? – przerwała ją w końcu Sylfana z jakimś naciskiem.

– Byłem w całej twierdzy. Gdzie tylko się dało.

– Jak wyglądał?! Był równy?

– Jak to równy? Wyglądał jak dziedziniec. Nie rozumiem.

– Żadnego zapadliska? Jamy? Odsłoniętych podziemi?

– Nie. Tylko zdjęto te wszystkie osłony i daszki, a potem zwalono pod mur – przypomniał sobie Drakkainen. – Potem to zostało spalone i nawet myślałem, że to dach spichrza. Ale tam też nie było martwych.

Grunaldi uniósł nagle twarz, wpatrując się w Sylfanę.

– Otworzył Czarcią Sztolnię...? Wyprowadził ich w góry?

Przytaknęła powoli.

– Do Spalonej Gawry.

– Co to jest Spalona Gawra? – spytał Drakkainen, starając się mówić jak najspokojniej. – O czym wy mówicie?

– To bajki – warknął Warfnir. – Nie słuchaj ich. Nie ma żadnej Czarciej Sztolni.

– Za młodyś – powiedział stanowczo Grunaldi. – Czarcia Sztolnia istnieje i wiem to na pewno, bo mój ojciec Grunalf tam był.

– Proszę... – przypomniał o sobie Drakkainen.

– Podziemny korytarz, który otwiera się pod Domem Ognia. Całą część dziedzińca można opuścić jednym końcem w dół i zejść po pochyłości. Ojciec mówił, że przejście jest szerokie jak most, a kiedy odepnie się przeciwwagę, samo się podnosi i zamyka. Dziedziniec wygląda jak przedtem. Sztolnia prowadzi wewnątrz góry daleko w las, a tam jest szlak prowadzący do starej, zapomnianej siedziby rodu. Całej wykutej w skale i jaskiniach, nad przepaścią. Tam, gdzie kiedyś chowano naszych styrsmanów. Spalona Gawra. Można się w niej bronić dłużej niż w Domu Ognia.

– To czemu ją porzucono? – zapytał Drakkainen.

– Bo bronić się tam można, ale żyć już się nie dało. To wysoko w górach, ścieżki strome i wąskie, zwierzęta musiano wciągać kołowrotem na linach, trochę za daleko do spławnej wody, daleko do okrętów, daleko do pól. Jeszcze dziadowie Krzemiennego Konia zbudowali Dom Ognia nad naszym jeziorem.

– Więc jest nadzieja – powiedział Vuko stanowczo. – I to poważna. Ja muszę się teraz koniecznie położyć, ale kiedy tylko odzyskam siły, natychmiast wracam tam i będę ich szukał. I znajdę.

Wrócił jeszcze tego samego dnia, po kilku godzinach ciężkiego, kamiennego, pełnego koszmarów snu. Zwlókł się z łóżka, zjadł pikantną polewkę z jakichś trudnych do opisania gumowatych morskich stworów, umył zęby i wjechawszy na szczyt Wieży Szeptów, znów przylgnął twarzą do wnętrza maski.

Morze Wewnętrzne przebył tym razem szybciej, na dużym pułapie, wyciskając ze swoich nietoperzych skrzydeł, ile się dało, i robiąc poprawkę kursu na wschód, dzięki czemu oszczędził sobie części lotu wzdłuż Wybrzeża Żagli.

Zaczął od jeziora i Domu Ognia, gdzie upewnił się, że rzeczywiście nie ma śladów masakry. Dostrzegł ślady obrony, ale nie jakiejś rozpaczliwej i do ostatniego człowieka. Tuż przed zniknięciem obrońców prowadzono bardzo intensywny, długotrwały ostrzał z trebuszetów i balist wokół grodu, przede wszystkim pociskami ogniowymi. Znalazł kilkanaście obszarów,

wielkich jak boiska, wypalonych do gołej ziemi, gdzie temperatura zeszkliła piasek i spaliła całe drzewa, pozostawiając tylko zwęglone, puste w środku pnie. Były też całe połacie, które pamiętał jako porośnięte lasem, a które teraz pokrywały kikuty potrzaskanych drzew ze sterczącymi na wszystkie strony długimi drzazgami zamiast gałęzi. Rozdarte pnie z powbijanymi do połowy kamiennymi pociskami wielkości grejpfrutów. Znalazł też leje, na których dnie tkwiły kule średnicy dorodnych arbuzów. We wszystkich tych miejscach znajdował też resztki ciał. Fragmenty czaszek, kończyn, tułowi ze sterczącymi z nich pogruchotanymi żebrami, okute blachą tarcze z wizerunkiem Tańczących Węży, z przestrzelinami wielkości jabłek, wbite ukośnie w ziemię czterometrowe oszczepy grubości nadgarstka, pokryte w całości zakrzepłą krwią. Połamane buńczuki, podobne do tych, które widział u jazdy Węży. Nie znalazł jednak żadnych zwłok Ludzi Ognia i żadnych fragmentów większych od dwóch dłoni.

Wrócił do grodu i stwierdził, że po intensywnym bombardowaniu całej okolicy Dom Ognia został nagle zdobyty bez jednego wystrzału. Atakujący musieli zasypać fosę, lecz zrobili to najwyraźniej bez strat, na spokojnie, nie musząc obawiać się ataków ogniowych, a potem wyłamali bramę taranem i rozepchnęli resztki na bok, ale też najwyraźniej przez nikogo nie niepokojeni.

Może dlatego, że wszystkie skomplikowane, potężne machiny, jakimi dysponowali ludzie Atleifa, zostały spalone, i to najwyraźniej w ten sposób, że od dołu oblano je smoczą oliwą. Spłonęły wszystkie biffy i trebusze, i wielkie balisty, i imponujące maźnice wielkości dźwigów portowych, z odwracalnymi misami, mogącymi w każdej chwili wylać atakującym na głowy istny potop smoczej oliwy. Wszystko. Doszczętnie.

Dwa wielkie spichlerze zastał całkowicie puste, a dwa pozostałe spalone, pełne hałd czarnego, zwęglonego zboża. Gdyby dwór miał zostać splądrowany, tylko zupełny kretyn spaliłby przy okazji kilkadziesiąt ton ziarna, i to na przednówku, i jeszcze w trakcie wojny, kiedy mało kto zdoła wyjść w pole. Węże bywali kretynami, skoro dali się nabrać na pokręconą ideologię van Dykena, ale chyba nie w tej dziedzinie.

Kiedy oglądał to wszystko, poczuł, że wraca mu nadzieja. Wystartował wysoko ponad Dom Ognia i jezioro, zawinął szerokim wirażem, a potem poleciał na wschód, w stronę skalistych gór, gdzie podobno miały znajdować się wyjścia Czarciej Sztolni.

Upatrzył sobie odpowiednią wysokość do obserwacji, a później zaczął zataczać kręgi o średnicy kilku kilometrów. Była to wysokość, z której odróżniał pojedyncze drzewa, trakty jako kreski grubości najcieńszych nitek makaronu, od biedy mógł też dostrzec człowieka jako znikomą kropkę. Ledwo dostrzegalny punkcik jaśniejący pomarańczowym blaskiem.

Po jakimś czasie, po wypatrzeniu kilku doszczętnie splądrowanych niewielkich osad, gdzie znalazł leżące jeszcze od zimy trupy, trafił na wędrującą szlakiem wzdłuż strumienia grupę kilkunastu jeźdźców. Obniżył natychmiast lot, nurkując do wysokości trzydziestu metrów jak jastrząb, ale to była tylko ciężka jazda van Dykena w poczerniałych, oksydowanych zbrojach, z makabrycznymi buńczukami i w smoczych hełmach. Jeden z jeźdźców miał w sakwach coś mieniącego się kolorami, pulsującego mglistym fraktalem światła, więc Vuko, przypomniawszy sobie maga dowodzącego podjazdem, na który natknął się przy Dolinie Bolesnej Pani, czym prędzej czmychnął na bezpieczną odległość, postanawiając go nie zaczepiać.

Brak jakichkolwiek możliwości ofensywnych był dojmująco frustrujący, zwłaszcza że stale o tym zapominał.

Oddział przemierzał szlak dość pospiesznie, co jakiś czas robiąc postój, a wtedy drobne punkciki rozpierzchały się na wszystkie strony, najwyraźniej badając okolicę w poszukiwaniu jakichś tropów. Czegoś szukali.

Nie miał innego wyjścia, tylko zostawić ich w spokoju, więc wzbił się znów w wysokie góry, wypatrując wykutej w skale Spalonej Gawry, jakkolwiek by miała wyglądać. Grunaldi i Sylfana opisywali mu jej położenie jak umieli, ale niewiele z tego wynikło. Oboje za nic nie mogli zrozumieć map, które im rysował, za to zapamiętywali drogi, które raz widzieli, posługując się jakimś tajemniczym instynktem kartograficznym, pozwalającym im nawet znaleźć orientację na morzu, tyle że nie umieli tego opisać. Czuli, gdzie co jest, gdzieś w ich głowach tkwiła pewność co do położenia gór, wysp, a nawet szczegółów wybrzeża, ale równie dobrze mógłby pytać o drogę jaskółkę.

Podziemny korytarz prowadził generalnie na wschód od Domu Ognia, ale nie udało się ustalić, czy biegł prosto. O ile Vuko dobrze zrozumiał, prawdopodobnie łączył się z systemem jaskiń i korytarzami dawnej

kopalni, więc mógł zmieniać się w istny labirynt, co gorsza, ani Sylfana, ani Grunaldi nie widzieli go nigdy na własne oczy, więc nie mogli być pewni.

Na wschód od zamku wznosiło się kilka skromnych gór porośniętych puszczą, dalej była wąska dolina, a jeszcze dalej potężny skalisty łańcuch górski, który Drakkainen oblatywał dookoła na różnych wysokościach, usiłując wypatrzyć cokolwiek regularnego, podobnego do jakiejkolwiek architektury. Bez skutku.

Próbował na rozmaitych pułapach, śmigał tuż nad skałami albo obserwował granie z wysokości, szybując jak uparty orzeł, zataczał kręgi i nic. Nie znalazł ani wyjść ze sztolni, ani Spalonej Gawry.

Trafił za to na kilka niewielkich konnych oddziałów Węży, również najwyraźniej przetrząsających puszczę i błąkających się po wąskich, nieuczęszczanych szlakach, stanowiących doskonały cel dla akcji partyzanckich.

Aż wreszcie zgubił się przy penetrowaniu dna krętego wąwozu, gdzie mknął dość nisko, obserwując skalne ściany po obu stronach, i w końcu zapędził się gdzieś w głąb gór, nie mając pojęcia, gdzie jest, tylko poczucie kierunku podpowiadało mu, że znalazł się nieprzyjemnie blisko Ziemi Węży, Muzycznego Piekła, Ogrodu Rozkoszy Ziemskich, zamku Cierń i podobnych atrakcji. Dlatego nie mógł wzbić się w górę i odnaleźć drogi, a zamiast tego śmigał nad czubkami drzew, skalnymi świadkami i wijącym się jak żmija potokiem.

Wąwóz rozdwajał się, jedna odnoga otwierała się na dolinę pełną jakichś gejzerów i siarkowych jeziorek, spowijających wszystko cuchnącymi oparami, co gorsza, w kierunku Ziemi Węży, musiał więc wybrać tę drugą, ciasną i krętą, w nadziei, że wyprowadzi go w inną stronę. Przystanął, żeby się rozejrzeć, i nagle poczuł, że daleko stąd, na szczycie Wieży Szeptów, serce stanęło mu w piersi.

Wyglądały trochę jak czarne płaszczki. Płaszczki długości stu pięćdziesięciu metrów, o rozpiętości skrzydeł transportowego Airbusa Strato-Geant, ciągnące za sobą długie ogony.

Wywerny. Trzy.

Znajdowały się jakieś pięć kilometrów od niego, na wysokości pięciuset metrów i zataczały powolny krąg nad jakimś punktem w głębi Ziemi Węży. Drakkainen nie zamierzał się upewniać, co się tam znajdowało.

Natychmiast zawrócił i wzbił się do ostrożnego lotu w głąb wąwozu, kiedy doszedł go nagle przeraźliwy, piskliwy wrzask i jedna wywerna uderzyła majestatycznie skrzydłami, wyrwała się z kręgu i pomknęła w jego stronę. Zrobiła to sprawnie i pewnie, nic nie wskazywało na to, że masa nie pozwala jej nie tylko latać, ale i manewrować. Natychmiast wystrzelił przed siebie z pełną prędkością, ale potrzebował chwili, by się rozpędzić, a stwór nie dość, że go widział, to jeszcze znajdował się niedaleko.

Wzbił się świecą w chmury, które otoczyły go zwiewną mgłą, lecz nadal widział jej ciemny, złowrogi zarys prujący obłoki zaraz z tyłu. Obejrzał się przez ramię i zobaczył płaski, trójkątny łeb przywodzący trochę na myśl prawdziwą rajęę, a trochę jakąś paskudną rybę głębinową, tkwiącą głęboko w pradawnym mule, jadowitą i niebezpieczną. Pysk szeroki jak wrota hangaru uchylił się i Vuko zobaczył, jak pomiędzy ustawionymi w krąg zębami przeskakują liliowe wyładowania.

Niedobrze, pomyślał. Udał, że zaczyna pętlę w prawo w górę i zanurkował ostro w dół. Na szczęście nie wiązało się to z żadnym pilotażem, tylko z samym instynktownym ruchem, który wydawał mu się równie naturalny jak uchylenie się przed pociskiem. Uświadomił sobie, że ma głowę i skrzydła i nie musi się przejmować całą resztą, więc na próbę przekręcił głowę w dół, tak by móc obserwować wywernę, jednocześnie nadal lecąc w tę samą stronę co przedtem. Niespodziewany manewr dał mu kilkaset metrów przewagi, ale stwór zmienił kierunek nader sprawnie i przy okazji okazało się, że cały tułów i długi ogon zachowują się tak, jakby unosiły się w powietrzu samoistnie, niczym niesiony wiatrem jedwabny szal albo ogon latawca. Van Dyken nie zdołał pokonać praw fizyki, więc stworzył smoki lżejsze od powietrza. Jednak mimo zwiewnego ogona potwór zdawał się wystarczająco materialny. Zawinął szerokim skrętem i zanurkował, przewracając się przez jedno skrzydło, a ogon skręcił mu się w trzy pętle, a potem w sinusoidę, jak szarfa prowadzona dłonią tancerki.

Drakkainen, klnąc szpetnie, spikował nisko nad dno wąwozu, co chwila spoglądając do tyłu i widząc wywernę coraz bliżej. Pamiętał, że może przerwać lot i obudzić się w wieży, ale to oznaczało stratę całego dnia i kolejny lot nad morzem, więc zwlekał z tym jak mógł. Usłyszał za sobą przeraźliwe wycie, trochę podobne do skrzypienia gigantycznych zardzewiałych wrót, a trochę do odgłosu jakiejś startującej turbiny, a zaraz

potem rozdzierający trzask gromu i otoczyły go krzaczaste, oślepiające wyładowania.

Nie oberwał tylko dlatego, że większość piorunów znalazła jakieś naładowane punkty wśród skał, które miał tuż pod sobą i wszędzie wokół, i rozładowała się samoistnie. Przyspieszył jeszcze bardziej, ale wywerna trzymała się jak przyklejona.

Wypatrzył odpowiednią skałę, wyhamował gwałtownie. Stwór przewalił się nad nim w ułamku sekundy jak pociąg, potem przeleciał zwiewny ogon, a w końcu stworzenie wpadło na wąską, zębatą skałę jak sterczące z ziemi ostrze szczerbatego noża, które rozpruło ją wzdłuż.

A w następnej sekundzie smok, który rozpadł się na kilka półprzejrzystych strzępów, złączył się jak obłok czarnego dymu i wzbił w powietrze, by wywinąć pętlę i runąć na Drakkainena.

Mamrocząc fińskie i polskie przekleństwa, odczekał, aż odwróci się w jego stronę, po czym wystrzelił pod nią w dzikiej szarży i znowu pomknął pomiędzy szczytami. Kończyły mu się pomysły.

Właściwie miał już zamiar zrezygnować, kiedy zobaczył wodospad. Białą kaskadę wodogrzmotu walącą się z wąskiej przełęczy pięćdziesiąt metrów w dół, gdzie rzeka ciskała się pomiędzy skalnymi progami i sunęła do następnego progu, u którego stóp wyżłobiła sobie wielki basen o przynajmniej dwustumetrowej średnicy, za nim szumiał kolejny wodospad. Vuko nie miał zbyt wiele czasu na podziwianie, rzut oka przez ramię upewnił go, że elektryczny smok znów zaczął się ładować, a pomiędzy kłami skaczą kolejne wyładowania.

Niewiele myśląc, wykręcił wiraż i pomknął wzdłuż wodospadu, niemal się o niego ocierając, a stwór mknął za nim, przekręciwszy się brzuchem do skały i bijąc skrzydłami w jakiś nieregularny, połamany sposób. Kiedy Vuko runął pod ścianę wody, nie poczuł nic poza chłodem. Bycie niematerialnym widmem miało swoje dobre strony. Jednocześnie rozległ się trzask błyskawic, od którego aż zabolały go zęby. A jednak znowu nic go nie trafiło.

Wyleciał spod wodospadu i obejrzał się.

Wywerna zapewne była lżejsza od powietrza i eteryczna, ale niezupełnie niematerialna. A do tego naładowana po uszy elektrycznością statyczną. Wodospad spadł na nią z siłą tysięcy ton wody i rozniósł ją na strzępy, a równocześnie nastąpiło niekontrolowane wyładowanie. Teraz w powietrzu

unosiły się tysiące dryfujących i wirujących w powietrzu strzępów, opadających lekko niczym płatki sadzy, pomiędzy którymi strzelały co chwila niewielkie iskry.

– *Dobro* – wykrztusił zdławionym głosem i wzbił się w górę. Pozostałe wywerny zostały daleko, widział je, jak krążą nad tajemniczym miejscem, którego strzegły, nie przejmując się losem koleżanki.

Słońce zaszło, zapadała rozświetlona magiczną poświatą noc, kiedy skierował się niespiesznym lotem w stronę granicznych gór Ziemi Ognia.

Leciał zupełnie od innej strony niż przedtem i spojrzał w dół całkowicie odruchowo, przelatując nad jednym ze szczytów, który tego dnia mijał, oblatywał i obserwował dziesiątki razy.

Ale nigdy nie przeleciał dokładnie nad nim. Po prostu dlatego, że góra kończyła się poszarpanym, ostrym wierzchołkiem, gdzie nie mogło mieścić się nic ciekawego. Tylko że w rzeczywistości wierzchołek okazał się koroną skał otaczających kręgiem osłonięty płaskowyż wielkości naprawdę pokaźnego stadionu. W pierwszej chwili widział jedynie szczyt góry, ale był zmęczony, dlatego przymknął na chwilę magiczne oko i spojrzał normalnie, bez żadnego magicznego wspomagania. A wtedy nagle ujrzał płaskowyż, jakby przedtem coś go skrywało. To było jak ujrzeć coś kątem oka albo ogniskując wzrok.

Wyraźnie widział mrowiących się tam ludzi, zwierzęta, palili nawet ogniska, spokojni, że skały kryją ich ze wszystkich stron, a sama wysokość góry zamaskuje i głosy, i ślad dymu. Ściany skalne, najwyraźniej ze stosunkowo miękkiego tufu, wyrzeźbiono koronką wejść, okien, krużganków i schodów. Na płaskowyżu wewnątrz w kilku miejscach stały długie kamienne budynki kryte łupkiem, równo, w geometrycznym porządku, jakieś zagrody i szopy, wszystko porządnie ustawione na planie koła przeciętego krzyżem uliczek, z przemyślną schludnością rzymskiego fortu. I wszędzie krzątali się ludzie. Obniżył natychmiast lot i przeleciał nad płaskowyżem. Sylwetki ludzi migały mu przed oczami, nosili coś, siedzieli wokół ognisk, nad którymi wisiały kotły, naprawiali broń. Wszędzie widział znajome twarze, znaki płomieni wyszyte na plecach kurt i płaszczach i miał ochotę rozpłakać się ze szczęścia. Ranni leżeli rzędem na krużgankach i było ich około setki. Wpadał w wykute w skale, zwieńczone łukami przejścia i obłe komnaty z wąskimi oknami, kilka razy przeleciał niechcący przez idącego człowieka, bo wewnątrz twierdzy było tłoczno. Poczuł to tak,

jakby omiótł go podmuch ciepłego powietrza. Ci, na których wpadł, czasem przystawali na moment i rozglądali się zdziwieni, a czasem nie zwracali na to uwagi. Zauważył też, że jego przelot odchyla płomienie w kagankach, lampach i na paleniskach albo porusza lekko kotarami, niczym podmuch wiatru.

Przebieg korytarzy wewnątrz twierdzy był dosyć przypadkowy, więc błąkał się po niej długo, zanim trafił na wielką hallę. Zamknięta wysokim beczkowym stropem miała z pięćdziesiąt metrów długości, wzdłuż każdej ze ścian ustawiono rzędem wielkie, wypolerowane okrętowe stewy zwieńczone stylizowanymi wilczymi łbami, wykonane z poczerniałego ze starości drewna. Poza tym wyglądało tu jak w każdym dworze: sala kończyła się kamiennym paleniskiem, za nim na podwyższeniu stół styrsmana, a wzdłuż całej sali masywne stoły na krzyżakach, ustawione w długą podkowę. W halli płonęły kaganki i grube filcowe knoty w misach, skąpane w oleju. Kręciło się tu trochę ludzi, ktoś coś jadł z metalowej miski, ktoś gdzieś spieszył, a kto inny spał nawet z głową na stole. Znał ich z widzenia, wiedział, że to ludzie z najbliższego otoczenia Atleifa, ale samego młodego wodza nigdzie nie było.

Za paleniskiem znajdowało się dwoje drzwi zamkniętych zwykłymi wierzejami z ciężkich dech wzmocnionych żelaznymi okuciami. Zawahał się na moment, a potem przeleciał przez nie na drugą stronę, czując tylko lekki dreszcz, coś jak fala wibracji od stojącego zbyt blisko głośnika.

W pokoju nie było żadnych normalnych mebli, jedynie kamienna podłoga i ściany oraz podwyższenie, które wykuto razem z całą komnatą. Na nim, przykryty kosmatą niedźwiedzią skórą, leżał Atleif Krzemienny Koń z głową opartą na zrolowanym kocu. Prawą stronę twarzy pokrywała mu fioletowa opuchlizna oraz zygzak zasklepionej rany, miał też obandażowane prawe ramię. Spał, oddychając ciężko i sykliwie przez zatkany nos.

Wstawiono tu kilka obitych skórą i żelazem skrzyń, stolik i dwa zydle, wykonane sprytnie z płatów twardej skóry i drewna, wszystko polowe i składane, oraz również składany wysoki stojak na zbroję i broń. Wyglądało tu jak we wnętrzu namiotu, a nie jak w komnacie.

– Atleifie – powiedział Drakkainen z głupia frant, nie bardzo wiedząc dlaczego. Gdyby nawet zdołał go obudzić, pozostawał niewidzialny.

Styrsman mruknął coś i poruszył się przez sen.

– Atleifie – powtórzył Drakkainen głośniej, przynajmniej we własnym mniemaniu.

Płomień skwierczący w żelaznej misie zadygotał i odchylił się od pionu, jakby w komnacie zawiał nagle wiatr.

– Atleifie, synu Atlego! Krzemienny Koniu! Styrsmanie Ludzi Ognia!

– Kim jesteś, demonie?

Śpiący ledwo poruszał ustami i przypuszczalnie w komnacie nie było słychać nic prócz niewyraźnego mruknięcia. Za to Drakkainen usłyszał całkiem zrozumiałe dźwięki, tylko z dziwacznym pogłosem, jak echo pod sufitem katedry.

– Atleifie, to ja. Nocny Wędrowiec.

– Zatem zginąłeś... Co stało się z moją siostrą? Czy i ją straciłem, tak samo jak dom ojców?

– Twoja siostra żyje, ja też, podobnie jak ci, co popłynęli ze mną. Wszyscy żyją i są bezpieczni w Lodowym Ogrodzie. Mówię do ciebie pieśnią bogów.

– Zostałeś więc Pieśniarzem. A może to nie ty, tylko przeklęty król Węży, który najlepiej włada pieśniami bogów?

– Aaken, który naprawdę nazywa się van Dyken, nic nie wie o Czarciej Sztolni, a ja tak, bowiem powiedziała mi o niej twoja siostra. Z moich ludzi tylko ona i Grunaldi o tym wiedzieli, tak samo jak o Spalonej Gawrze.

– Ale i ja to wiem, a to mój sen.

– Skup się, *perkele*! To żaden sen, *da piczki materi*! Dziś zabiłem latającego smoka. Zobaczysz daleko na niebie, że zostały tylko dwa. Przybyłem tu jako skrzydlate oko zrodzone z pieśni bogów, by was odnaleźć. Myślałem już, że wszyscy Ludzie Ognia zginęli.

– Jesteśmy jak wilk zagnany do nory. Za naszymi plecami została już tylko skała. Zabiliśmy wielu Węży, ale ich siła wciąż rośnie. Wciąż ściągają pod swoje znaki ludzi opętanych pieśniami bogów, wciąż zakuwają kolejne dzieci w żywe blachy. Nie pokonamy ich już, Ulfie. I nie mamy już dokąd iść. Jest nas za mało, żebyśmy pobili Ludzi Węży. Nasz klan nie zginął, ale to się stanie, nim przeminie lato. Tu, w Spalonej Gawrze, nikt nas nie dosięgnie, lecz skończy się jedzenie i pasza. Zjemy nasze krowy, świnie, psy i konie, a potem przyjdzie koniec. Wydamy im ostatnią bitwę, by przetrwała choć pamięć o Ludziach Ognia.

– Stanie się inaczej, Atleifie. Teraz słuchaj uważnie i zapamiętaj, co mówię. To nie sen. Nie mogę z tobą mówić inaczej, bo wciąż dzielą nas setki staj. Zabiorę was stąd. Dragoriną nadpłyną setki okrętów. Dam wam znak, a wtedy zejdziecie z powrotem do Domu Ognia i wsiądziecie na nie. Węże nie zajęli grodu. Rozproszyli się po okolicy, grabiąc i porywając ludzi do swojej armii, ale ja znajdę sposób, by znaleźli się z dala od waszego jeziora, kiedy tam zejdziecie. Zabiorę was do Lodowego Ogrodu. Król Węży będzie nas ścigał, ale my będziemy wtedy za murami z litej skały, których nikt nie skruszy, ramię w ramię z setkami innych wojów, mając zapasy na lata. On zaś wyruszy w pośpiechu i nieprzygotowany, bo posłałem mu wieści, które sprawią, że nic nie będzie dla niego ważniejsze niż zdobycie Lodowego Ogrodu.

– Nie przepuści nas do morza. Spali okręty z brzegów. I nie popłynie do Lodowego Ogrodu, bo niewielu umie go znaleźć wśród archipelagu. Chce usiąść na całym Wybrzeżu Żagli i nie spocznie, póki tego nie dokona.

– Zaufaj mi, Atleifie. Będzie nas szukał gdzie indziej, zagubiony we mgle. I dowie się, jak odnaleźć Lodowy Ogród. A wierz mi, Krzemienny Koniu, nic nie będzie dla niego ważniejsze niż bitwa pomiędzy najpotężniejszymi Pieśniarzami świata. Bo zwycięzca tej bitwy zagarnie taką moc pieśni bogów, że pozostali będą dla niego jak myszy.

– Kiedy to będzie, Ulfie?

– Wkrótce. Odlicz czterdzieści dni, a potem czekaj na znak. Bądźcie gotowi i bierzcie tylko to, co niezbędne.

– A znak? Czym będzie znak?

– W przeddzień przyjdę i przemówię do ciebie we śnie. Nadejdzie zimna mgła, jakiej świat nie widział. A potem nadleci wielki kruk tu, do Spalonej Gawry, i usiądzie ci na ramieniu. Wtedy wyruszycie. Czy wszystko pamiętasz?

– Pamiętam, Ulfie, i chciałbym, żeby to była prawda.

– Obudź się. Obudź się i spójrz na ogień lampy, którym poruszę. Gdyby coś się zmieniło, będę jeszcze wpadał i w ogóle będziemy w kontakcie. A teraz otwórz oczy.

– Ulfie...

– Słucham?

– Gdy zobaczysz Sylfanę... Powiedz jej, że się myliłem, kiedy rozmawialiśmy ostatni raz. Mówiłem w gniewie. Powiedz, niech postąpi,

jak sama będzie uważała.

– Powiem. Zresztą wkrótce sam jej to powiesz. Zbudź się, synu Atlego!

Atleif Krzemienny Koń, styrsman Ludzi Ognia, otworzył oczy.

A potem usiadł i w zamyśleniu wolno pokręcił głową.

Drakkainen zaklął i skoncentrował się na płomieniu, który zafurkotał w nagłym podmuchu. Odchylił go jeszcze dwa razy, a potem zdmuchnął.

– Znak... – wyszeptał Atleif w ciemności. A potem wstał z łóżka i otworzył drzwi do halli. – Barulf! Wardiff! Do mnie! – krzyknął.

– *Dobrodoszli* – westchnął Drakkainen. – Alleluja. Jedna sprawa mniej z czeklisty.

Wyleciał z sypialni, przemknął zygzakiem przez kręte korytarze i wypadłszy na dziedziniec, wystrzelił w niebo, by po chwili rozpaść się jak obłok dymu.

Rozdział 10

Żuraw powraca

Śmierci, matko ciszy,
nie dość ci już krwi?
Śmierci, siostro nocy,
kochasz ludzkie łzy?

Idź, mroczna tancerko,
bransolety ze szkła
i ofiarne paciorki
włożywszy za dnia.

Idź w ciemność osnuta,
opita szkarłatem,
wojnę, szloch i pożogę
poroztaczać nad światem.

(Ballada kireneńska)

Tamta wiosna w Lodowym Ogrodzie był to dziwny czas. Czas, w którym czuło się zmianę wiszącą w powietrzu, a przynajmniej ja to

czułem. Ulf spędzał całe dnie na szczycie Wieży Szeptów, wracał stamtąd zmęczony i wymięty, na ostatnich nogach i wtedy wlókł się do swojej komnaty, by zapaść w ciężki, niespokojny sen.

Ponoć tam, na wieży, zapadał w trans i podróżował po świecie jako duch, by dowiadywać się wszystkiego o naszych wrogach. Jeśli to była prawda, znalazł zaklęcia czyniące z niego najlepszego zwiadowcę, o jakim świat słyszał. Zaczynałem rozumieć, jak niebezpieczne były uroczyska i zagubione na nich imiona bogów i dlaczego mój dziad karał śmiercią każdego, kto tylko spróbował wyciągnąć po nie ręce. Jasne, każdy dowódca chciałby mieć błądzące duchy jako szpiegów, ziejące ogniem potwory na czele atakujących oddziałów albo Czyniących zamieniających broń w rękach wrogów w jadowite węże. Tylko że wróg dążył do tego samego, a to zmieniało wojnę w starcie Czyniących i dawało im władzę, o której nie mógłby marzyć żaden dowódca, a świat, w jakim mogło za ich sprawą zdarzyć się wszystko, rychło zamieniłby się w ogniste piekło, gdzie nie istniałyby żadne prawa ani zasady i w którym nie dałoby się żyć. W takim świecie jedynym prawem byłby kaprys tego, kto byłby najpotężniejszy we władaniu imionami bogów i miałby ich najwięcej.

Ulf twierdził, że znalazł sposób, by używać imion tylko odrobinę, tak jakby dodawało się kroplę przyprawy do kotła. Tylko tam, gdzie to niezbędne, i tylko wtedy, gdy nie można osiągnąć celu innymi sposobami. Kiwałem głową, ale wiedziałem, że ani Nahel Ifrija, ani ten król Węży nie mają takich skrupułów, a poza tym wiedziałem, co może sprawić chociażby mała kropla wywaru z wściekiełki, nie mówiąc już o drętwej wodzie.

Ludzie Ognia też przyjmowali to niby spokojnie, choć wiedziałem, że wierzą, iż działanie za pomocą nienaturalnych sił i dziwnych wynalazków może sprowadzić na świat zagładę zwaną „martwym śniegiem”, i większość przerażało to, co robiliśmy.

A jednak przez krótki czas tamtej wiosny zaznawaliśmy czegoś w rodzaju spokoju. Był to czas słonecznych dni, błękitnego nieba i spokojnego morza. Krótko wcześniej wiosenne sztormy uspokoiły się i z naszego portu wypłynęły zimujące w Ogrodzie okręty, zmierzające z powrotem na Wybrzeże Żagli, których styrsmani nie mieli pojęcia, co zastaną w domu. Odczekaliśmy, by wypłynęło kilka z nich, a gdy sprawdziliśmy, że na pokładzie jednego znaleźli się trzej handlarze ryb

z Kawern, Odokar Śnieżny Wiatr, Grunf Biegnący z Lawiną oraz Barald Koński Pot, port nagle został zamknięty.

Wybuchły krótkie, jednodniowe zamieszki, bowiem załogi chciały natychmiast płynąć do domu, ale do portów weszli Bracia Drzewa i uspokoili żeglarzy, zresztą w bardzo łagodny i uprzejmy sposób, bo zabito najwyżej trzech czy czterech, a reszcie wystarczyły razy dębowych pałek.

Potem Fjollsfinn przemówił do żeglarzy zgromadzonych na przystaniach i wytłumaczył im, iż na Wybrzeżu Żagli toczy się wojna, a oni zostali zatrzymani tylko dla własnego bezpieczeństwa. Przerywano mu za pomocą gwizdów, krakania oraz bojowych okrzyków, dopóki nie oznajmił, że zmuszony jest wziąć wszystkie okręty na służbę, z czego właściciele łodzi i styrsmani otrzymają po marce, zaś załogi po szelągu za każdy dzień służby dla Lodowego Ogrodu.

Żeglarze podzielili się na tych, którzy uważali, że stawka jest za niska z uwagi na to, jak bardzo im się spieszy, oraz na tych, którzy umieli szybko liczyć, a także na grupę styrsmanów, którzy byli zdania, że propozycja jest rozsądna i warto ją rozważyć. Odbyło się kilka bójek i pojedynków, a potem zapanował względny spokój.

Na Górnym Zamku dziedzińce zapełniły się ustawionymi w rzędy ludźmi w białych tunikach z czarnym znakiem drzewa, okładających drewnianymi mieczami obrotowe manekiny, ćwiczących z kuszami oraz nowymi urządzeniami do wyrzucania strzał, które przypominały arbalety, z tym że były od nich większe, tańsze i prostsze w budowie, a napinało się je, opierając o załom muru wystającą drewnianą część, którą wpychało się do wnętrza broni, a potem napierało na nią całym ciężarem, co zarazem naciągało duże, kute łuczysko z żelaza. Strzelało się z tego, stawiając podstawę o mur, a strzała mknęła bardzo płasko i dużo silniej niż ze zwykłego łuku, co więcej, łatwo było trafić nawet niedoświadczonym strzelcom.

Ludzie Ognia recytowali wszystko, co w Pieśni Ludzi mówiło cokolwiek o łukach, kuszach i urządzeniach miotających pociski, a potem godzinami wykłócali się, czy machina narusza porządek rzeczy, czy nie, nie bardzo mogąc dojść z tym do ładu.

Broń tę Fjollsfinn nazwał słowem, które rozumiał tylko on, a które wymówić mogłem jedynie ja i Ulf, a brzmiało ono „gastrafetes” albo bardzo podobnie. Ponoć w dawnych czasach w świecie za Morzem Gwiazd

na nieboskłonie wymyślił je jakiś mędrzec, by nawet dzieci i kobiety niebędące wojowniczkami mogły stanąć na murach jego miasta i razić wrogów mocniej niż zawodowy łucznik.

W tamtym czasie patrzyłem na to wszystko niemal obojętnie, bowiem wszystkie te sprawy wydawały się zupełnie niedorzeczne w obliczu spokojnej tafli morza, błękitnego nieba i kwitnących wszędzie drzew. Na wyspie, na której stał gród, było cieplej niż gdziekolwiek na Wybrzeżu Żagli, więc kwitły łąki, wschodziły zboża, lasy dosłownie wybuchły liśćmi, kwiatami i śpiewem ptaków. Czułem się jak ktoś, kto przechadza się po ogrodzie i cieszy błękitem nad głową, podczas gdy na horyzoncie pojawia się czarne jak noc pasmo chmur i widać już w nim błyski.

W tamtym czasie mieszkańcy wiedzieli już, że miasto zostanie zaatakowane, a co wieczór zbierali się na placach, gdzie heroldowie mistrza Fjollsfinna opisywali im, jak Węże palą kolejne osady, jak przykuwają ludzi żywcem do częstokołów i oblewają smoczą oliwą, jak zakuwają dzieci w żywe zbroje, czyniąc z nich bezwolne stalowe potwory z kosami zamiast rąk, oraz jak prą w kierunku wybrzeża, ściągając okręty, od kogo się tylko da. Każda taka wieść wywoływała chóralne okrzyki zgrozy i gniewu, a pod wieczór wielu przybyszów tłoczyło się na pierścieniu murów, patrząc na południe i usiłując dostrzec cokolwiek od strony Wybrzeża, mimo że było tam tylko morze i pusty horyzont.

I stało się tak, że miejskie chramy były pełne ludzi i bardzo wielu zmieniło drewniany znak korabia na srebrne drzewo, a potem założyło tuniki z tym znakiem i wzięło do ręki żelazo.

Sam nie miałem wtedy wiele do roboty. Rano wraz z innymi Nocnymi Wędrowcami musiałem biegać po wyspie, ćwiczyć walkę, strzelanie i inne umiejętności tropicieli, a potem albo siedziałem przy wciąż otępiałym i milczącym Benkeju, albo snułem się po mieście i murach, wdychając zapach kwitnących krzewów, pływałem poza pirsem jednego z portów, popijałem piwo i zajmowałem się podobnymi głupstwami. Nie musiałem dokonywać niemożliwego, skradać się wśród nocy ani stawać z bronią w ręku przeciwko wielu. Tylko że przez cały czas nie omijało mnie przeczucie nadchodzącej zgrozy.

Parę razy poszedłem do Ulfa i poprosiłem, by dał mi coś do roboty, ale rzekł tylko, żebym odpoczywał, bo niedługo będę miał aż nadto zajęć.

Pewnej nocy Bracia Drzewa schwytali trzech mężów, którzy podpłynęli małym handlowym statkiem do umocnień awanportu i usiłowali odblokować koło trzymające wielki łańcuch. Na drugi dzień tłum zgromadzony na wybrzeżu patrzył, jak z wiatrem wypływa stary, zniszczony wilczy okręt na jednym małym żaglu, na którym wymalowano znak Tańczących Węży. Okręt był pusty i zdemontowano z niego wszystko, co tylko mogło się przydać. Kiedy odpłynął dość daleko, ale wciąż pozostawał widoczny, w zatokę, w której stał gród, wpłynęły idące szybko dwa wilcze okręty ze znakiem drzewa na żaglu, które miały burty obite miedzianymi blachami, a w miejsce balisty strzelającej płonącymi oszczepami tkwiło tam coś podobnego do miedzianej głowy ptaka z dziobem. Okręty położyły się na burtę, rozcinając fale, i najpierw jeden, a potem drugi dogoniły sunący na łagodnym wietrze pusty okręt, miedziane ptasie głowy obróciły się i wystrzelił z nich pomarańczowy jaskrawy płomień, omiatając burty, i po kilku uderzeniach serca zgasł.

Oba okręty zawróciły, płynąc wprost do portu, a ten, który był ich celem, zamienił się w ścianę ognia, paląc się tak gwałtownie, jakby zrobiono go ze słomy. Huk i grzmot płomieni słychać było aż na nabrzeżu i nie upłynęło więcej niż kilka chwil, gdy zapadł się w sobie i zatonął. Widać też było, że pali się nawet pod wodą, która gotowała się w tym miejscu, z przeraźliwym wizgiem wyrzucając kłęby białej pary. Kiedy dwa ogniste okręty wpłynęły przez awanport, a potem znikły w jednym z kanałów prowadzących w głąb góry, w porcie panowała przeraźliwa cisza.

Po tym zdarzeniu zaczęto opuszczać łańcuch przy porcie rybackim, by łodzie mogły zacząć wypływać na łowiska, ale tajemnicze ogniste okręty zawsze dryfowały łagodnie gdzieś na morzu albo pływały to tu, to tam w zasięgu wzroku. Nikt więcej nie próbował majstrować przy łańcuchach ani kraść łodzi.

Benkej leżał i nie odzywał się, patrząc w sufit. Nie był zupełnie bezwładny, czasem przewracał się z boku na bok, czasami siadał na łóżku ze zwieszoną głową i patrzył w podłogę szklanym wzrokiem. Nie jadł sam, ale jeśli karmiono go łyżką, przełykał. Trzeba było rano i wieczorem prowadzić go do wychodka, a także myć gąbką w cebrze. Nie zwracał na to żadnej uwagi, co martwiło mnie najbardziej, bowiem opiekowały się nim dwie młode niewiasty przysłane przez Fjollsfinna i byłem pewien, że dawny Benkej powróciłby w takiej chwili nawet z zaświatów.

Pamiętałem, co działo się z nami oboma w Dolinie Bolesnej Pani, i pamiętałem, że raz udało się Benkejowi przełamać czar i przebudzić nas obu, a potem mnie udało się dokonać tego samego. Próbowałem więc tych samych sposobów co wtedy: grałem mu durną piosenkę o koziołku, który kochał się w klaczy, a potem próbowałem zmusić go biciem do tańca.

Był zupełnie bierny. Okładałem swojego przyjaciela po twarzy, ciosy odrzucały jego głowę na bok, na policzku wykwitła czerwona opuchlizna, a potem zaczął płakać bezgłośnie.

Był to tak przerażający widok, że i ja się rozpłakałem. Nie miałem pojęcia, co robić dalej. Fjollsfinn i Ulf także spędzali nad nim dużo czasu, obaj naraz albo każdy z osobna, próbowali zaklęć lub przynosili dziwne eliksiry i to również nie dało żadnego skutku.

Podsuwałem Benkejowi pod nos korzenne piwo, najlepszą ambriję, jaką udało mi się dostać, w końcu wynająłem najlepszą i najdroższą dziwkę z Południa, jaką tylko spotkałem w Kawernach, wysoką, piękną jak księżniczka z Jarmakandy, i dałem jej sześć marek srebrem z góry, a obiecałem, że jeśli sprawi, iż Benkej się obudzi, dopłacę jej drugie pół gwichta, i to w złocie.

Wyszła z jego komnaty po długiej wodnej mierze, pokręciła w milczeniu głową i oddała mi trzy marki.

Wtedy skończyły mi się pomysły. Siedziałem przy Benkeju, grałem mu albo śpiewałem, poiłem z dzbana, opowiadałem różne historie, błagałem, by się obudził, wydawałem rozkazy po kireneńsku i amitrajsku, bez skutku.

Nie wiedziałem, ani jak, ani dlaczego, ale mój przyjaciel, którego porzuciłem w jaskini na pastwę Bolesnej Pani, gdzieś odszedł. Została tylko pusta skorupa, w której kołatało się jedynie tyle woli, by przełknąć polewkę, łyk wody albo skorzystać z wychodka.

W tamtym czasie Fjollsfinn i Ulf mieli tyle zajęć i tyle rozkazów wydawali pozostałym, że właściwie byłem z tym sam.

Aż któregoś wieczoru przyszedł do mnie N’Dele i rzekł:

– Tohimonie. Mój okuninie i młody bracie. Nadszedł czas ważnej rozmowy. Wypij ze mną dzban waszego miodu, bo nie znajdę tu palmowego wina, i wysłuchaj mnie.

Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi, ale moje serce ścisnęło się z lęku, bo wiedziałem, że takie zapowiadane uroczyście ważne rozmowy to nigdy nic dobrego. Kebiryjczycy nie znali obrzędu *goro haku*, do tego nie byliśmy

ze sobą aż tak blisko. Był moim bratem broni, lubiłem go, ale nie przypuszczałem, żebym potrafił zostać jego *goro daru*.

Poszliśmy na mur Górnego Zamku poszukać ustronnego miejsca do rozmowy. Na wszystkich bastejach i tego muru, i kolejnych poniżej, do tej pory uważanych przez okolicznych karczmarzy za doskonałe miejsce, by postawić tam dodatkowe ławy dla ludzi pragnących napić się na świeżym powietrzu z widokiem na morze, teraz pojawiły się ciężkie machiny miotające, głównie wielkie trebuszety z ramionami wbijającymi się w niebo niczym maszty ogromnych okrętów.

Każdy z Nocnych Wędrowców miał specjalny medalion, taki sam, jaki nosili Bracia Drzewa. Pokazaliśmy go strażnikom pilnującym machiny i odprawiliśmy ich kawałek, prosząc, by wrócili na posterunek, kiedy odejdziemy, a potem przysiedliśmy na masywnej podstawie ogromnej biffy z trzydziestołokciowym ramieniem i trzema przeciwwagami, zdolnej miotać pociski daleko za port.

Dzban postawiliśmy na ziemi, a ja zapaliłem fajkę. Patrzyliśmy na opadające coraz niżej dachy i wieże skąpane w słońcu, i dalej, na roziskrzoną szmaragdową taflę morza.

– To będzie ważne i trudne, co chcę ci powiedzieć, młody przyjacielu, więc wybacz, że będę mówił do ciebie teraz po imieniu. To nie będzie rozmowa pomiędzy okuninem, tohimonem, a nawet cesarzem a najemnym askaro czy tropicielem „Słonecznego” tymenu piechoty. Tu rozmawiają bracia broni i przyjaciele: N’Dele Aligende, tu zwany Tańcząca Pięść, oraz Filar syn Oszczepnika, zwany tu Kamienny Ogień.

Westchnąłem, zaciągnąłem się dymem z fajki i wypiłem łyk ze swojego kubka, gotów na najgorsze. N’Dele wyciągnął ku mnie rozpostartą dłoń z rozstawionymi palcami, a potem zacisnął ją.

– Kiedy wyruszaliśmy z obozu, staliśmy się jak jedna pięść. Jednego straciliśmy na pustyni. Potem nas rozdzielono i dotąd nie odnalazł się nasz okunin, Snop syn Szkutnika. Zostało nas trzech, z czego jeden leży bez ducha. Nadchodzi czas wielkich wydarzeń, które zdecydują o losach Północy, a mogą wpłynąć na cały świat. Mamy wielkich sojuszników, mamy wielu nowych towarzyszy broni, ale wśród tego wszystkiego nadal pozostaje ta jedna okaleczona pięść, przyboczni Nosiciela Losu i wciąż nieskończona misja. I nasz brat broni, który otarł się o przeklęte moce uroczysk, jakie u nas zwą *kadomle*, teraz leży bez ducha. Długo biłem się

z myślami, ale już zdecydowałem, bowiem nie porzucamy swoich i to jest rzecz ważniejsza od innych. Posłuchaj mnie, synu Oszczepnika. Myślę, że wiem, co dolega Benkejowi, ale żeby mu pomóc, będę musiał złamać złożoną kiedyś przysięgę. My, Kebiryjczycy, nie łamiemy przysiąg. Ja obiecałem bóstwom Sudżu Kadomle, że porzucę na zawsze ścieżkę Złotych Oczu, i teraz złamię dane słowo. To może sprowadzić na mnie klątwę.

– Wiesz, co mu jest, i potrafisz go wyleczyć? – zapytałem, usiłując pojąć, co powiedział.

– Chyba – odparł, patrząc w morze. – I zdecydowałem, że spróbuję, ale bardzo się boję.

– Ty się boisz?! – Na chwilę zaparło mi dech.

Pokiwał głową.

– Nie wiesz, co znaczy dla Kebiryjczyka przysięga. Nie umiem opowiedzieć, jak to jest. Wy też macie przysięgi, ci z Wybrzeża Żagli szanują je jeszcze bardziej, ale to sprawa tylko honoru i uczciwości. My jesteśmy inni. Kiedy Kebiryjczyk złamie dane słowo, zaczyna spalać się od środka. Jestem pośrodku pomiędzy dwoma obowiązkami: nie zostawić brata w broni w nieszczęściu albo dotrzymać słowa. Wiem już, że to pierwsze jest ważniejsze, ale Sudżu Kadomle mogą tego nie zrozumieć. Przysięga to przysięga. Lepiej umrzeć, niż ją złamać. I gdyby chodziło o moje życie, tobym umarł. Ale jestem też najemnikiem, przysięgałem także nie porzucać swoich. Przysięga przeciw przysiędze... Co robić?

Nie miałem pojęcia. Najchętniej rozłożyłbym ręce, ale wbrew wszystkiemu, co mówił, rozumiałem już wtedy, że jestem dowódcą.

– Mówiłeś, żeś zdecydował. Na to nic nie umiem powiedzieć, bo kiedy człowiek sam coś postanowi, to potem tak już zwykle uczyni, i tak powinno być, że ludzie wolni sami decydują o sobie. Ale jeśli obudzisz Benkeja i sam padniesz martwy albo zaśniesz z otwartymi oczami jak on teraz, to nie będzie z tego żadnego pożytku. Nadal zostanie nas tylko trzech. Zmieni się tylko ten, który leży. Co więcej, jestem pewien, że i Benkej by tego nie chciał.

– Tak się nie stanie. Upłynie może dużo czasu, nim Sudżu Kadomle dowiedzą się o tym i ześlą mi zły los. Jestem daleko od domu i tu chyba nie mają za wiele do powiedzenia. Zresztą będę musiał przyzwać demony Ifa Hanteria, bo żaden boski jeździec Sudżu Kadomle nie przybędzie. To im przysięgałem, że porzucam ścieżkę Złotych Oczu na zawsze.

– Nie wiem nic o tym, o czym mówisz, ale czy chodzi ci o to, że jesteś Czyniącym?

– Nie tak jak u was. Nie jestem *nchavo*, który umie zmieniać jedne rzeczy w inne, ale *kabalavo*. Zajmuję się sprawami duszy, umiem ją odzyskać albo uwięzić, umiem też ją zatruć na odległość albo uzdrowić. Tylko nie jestem za dobry. Szybko przerwałem naukę, kiedy powiedziałem, że chcę walczyć za morzami za pieniądze, i po to, by odejść żywy, musiałem przysiąc, że zapomnę wszystko, co umiem, i nigdy tego nie wykorzystam.

– A teraz chcesz złamać słowo...

– Muszę. Ani Ulf, ani mistrz Fjollsfinn nic tu nie poradzą, bo nie znają się na tych sprawach. Myślą, że w Benkeju tkwi zaklęcie jak strzała z dmuchawy, i chcą ją wyjąć. Tymczasem dusza Benkeja została zniewolona i zamknięta na kłódkę w skrzynce. Ja muszę otworzyć kłódkę i wypuścić ją jak motyla.

– I co będzie potem?

– Jeśli się uda, a wcale nie musi, Benkej otworzy oczy. Ja wyśliznę się Ifa Hanteria i odeślę je. A potem będę tym, który jest winien przysługę Msumurumoto, Panu Gwoździ, i Onayi Bahara, Morskiej Dziwce, oraz tym, którego wszystkie Sudżu Kadomle szukają, by dać mu nauczkę.

– Skoro wiesz, co robisz, chcę ci pomóc, ale jeśli się rozmyślisz, nie powiem ani słowa.

– Nie mogę. Już złożyłem kolejną przysięgę samemu sobie. Tylko muszę kupić różne rzeczy, a ty, Filarze, znasz miasto. Potrzebne mi kolce jeżownika, wielki dzban arakaranu, choć nada się i ambrija, paczka bakhunu, żywe dreptaki, czerwony i czarny, samiec i samica, garść nowych gwoździ, dwustronny bębenek, ochra, biała glinka, nieużywany obosieczny nóż, a dla Onayi gryfie mleko, miód, pachnidła, muszla, czerwona jedwabna wstążka, kadzidło i pieczona ryba.

– Dopijmy i chodźmy – powiedziałem, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. – Czeka nas spacer przez pół miasta. Najpierw pójdziemy na Kamienny Targ, potem do Łasztowni.

Kiedy wróciliśmy obładowani jak baktriany, taszcząc zawiniątka i kosze, z dreptakami gdaczącymi i ćwierkającymi w klatkach, pieczoną rybą owiniętą w liście i innymi rzeczami, Benkej leżał jak zwykle na wznak,

blady, nieruchomy, i patrzył zapadniętymi oczami w łuki przeplatające się na suficie.

– Potrzebuję jeszcze żelaznej misy do palenia ognia, trzeba też wynieść łóżko i położyć Benkeja na ziemi. No i potrzebne mi sześć tancerek dla Msumurumoto i sześciu tancerzy dla Onayi. Nic im się nie stanie, z tym że muszą być młodzi i pijani.

– To już nie takie proste, jeśli chcesz to utrzymać w tajemnicy. Musimy z tym iść do mistrza Fjollsfinna albo szukać w Kawernach w domach uciech, tyle że zostaniemy uznani za takich, którzy nie dość, że mają dziwne chęci, to jeszcze są bogaci jak książęta, i w efekcie obedrą nas z ostatniej koszuli.

– Ja myślę, że lepiej poszukać w tawernach. Tam jest wielu takich, którzy poszliby chętnie wszędzie, gdzie nie będą musieli zapłacić za kolejny dzban i jeszcze natrafią na chętne niewiasty.

– A skąd wiesz, że będą chętne?

– Wszyscy będą. Sprawią to Onaya i Msumurumoto, którzy będą mieli sposobność wejść w ich ciała po sześciokroć. Nic im się nie stanie jednak gorszego niż po zwykłym weselu żeglarzy.

Poszedłem więc do kilku tawern, gdzie opowiadałem o obrzędzie dziwnych bóstw z dalekich stron polegającym na piciu za darmo i tańcach, który ma prowadzić dziki Kebiryjczyk, i że szukam sześciu niewiast i sześciu mężów niebojących się takich rzeczy. Spotkałem tam dostatecznie wielu podchmielonych ludzi szukających okazji do darmowej wypitki, że w końcu musiałem się od nich opędzać i omal wdałem się w bójkę. Nieraz sądziłem, że żeglarze zaciągnęliby się nawet na galerę, gdyby im powiedzieć, że to za darmo. Tu jednak chodziło o darmowe trunki, więc nie upłynęła wodna miara, gdy prowadziłem sześć chichoczących niewiast i sześciu młodzieńców próbujących, jak w korytarzach Górnego Zamku odpowiada im echo.

Kiedy przyszliśmy, komnatę zastaliśmy już przygotowaną, na ścianach wymalowano czernią i czerwienią kebiryjskie wzory, zygzaki, ślady dłoni i wizerunki oczu, w misie płonął ogień, a w powietrzu unosił się zapach dziwnych kadzideł, od którego chciało się śmiać. Benkej leżał nieruchomo na skórze przykrywającej posadzkę, a N’Dele stał pośrodku w samych spodniach, z torsem pokrytym kanciastymi magicznymi znakami przypominającymi ludzkie sylwetki w różnych pozach.

Dał wszystkim pełne kubki, a gdy pili, odciągnął mnie na bok.

– Teraz odejdź, tohimonie, nie chcę bowiem, żeby Ifa Hanteria cię widzieli. Niech się zabawią i nasycą tymi, których przyprowadziłeś, wezmą swoje ulubione dary, a potem skłonię ich, żeby pomogli odzyskać duszę Benkeja. Wróć o świcie, kiedy w tej komnacie przestanie rozbrzmiewać śpiew i głos bębna.

Zacząłem protestować, kiedy nagle twarz N’Dele zaczęła mi się dwoić i zamazywać, a na czole nagle pojawiła się druga, a wyżej jeszcze trzecia para płonących złotem tygrysich oczu, a ja ocknąłem się nagle na krużganku, idąc w niewiadomym kierunku, i zorientowałem się, że słońce już dawno zaszło.

I tak spotkałem Ulfa, który spieszył gdzieś zasępiony i pogrążony w myślach.

– Co ci jest? – zapytał. – Wyglądasz jak lunatyk.

– To samo mógłbym rzec o tobie – odparłem.

Machnął ręką.

– Coś dziwnego dzieje się z Callo – rzekł. – Znaczy z Bolesną Panią. Odkąd zaszło słońce, zaczęła się dziwnie zachowywać i znowu dostała ataku. Tylko teraz oprócz dzikich dzieci wyprodukowała jakiegoś wielkiego Kebiryjczyka w leopardziej skórze, o czaszce nabitej gwoździami i równie dziwaczną dziewoję w muślinach i z batem. Albo to jakieś nieudane fantazje erotyczne, albo jej totalnie odbija. Awanturuje się tam z nimi, wszędzie jakieś mgły i dymy, pełno wrzasku, Fjollsfinn próbował wpuszczać do jej pokoju jakieś usypiające opary, ale nic to nie daje. A tobie jak minął dzień?

Nie miałem innego wyjścia, jak opowiedzieć mu o N’Dele i obrzędzie, który przeprowadzał w komnacie Benkeja. Nocny Wędrowiec zmarszczył brwi w zamyśleniu i przez chwilę spoglądał przed siebie nieobecnym wzrokiem, a potem wskazał jednym palcem w prawą stronę, gdzie znajdowała się Wieża Szeptów, a drugim w lewo, na komnatę Benkeja. A potem nadal pogrążony w myślach skrzyżował ręce, pokazując te same punkty na przemian.

– Tak – oznajmił.

– Tak? – zapytałem.

– Tych dwoje coś łączy – orzekł. – To, że nie udało się wybudzić Benkeja, ma jakiś związek z tym, że Bolesna Pani nadal zatrzymuje część

mocy, której nie umiemy jej pozbawić. Jak ten obrzęd wygląda?

Opowiedziałem mu to, co widziałem, aczkolwiek nie potrafiłem doszukać się w tym sensu.

– Ach, to i voodoo tu mamy? – odparł zagadkowo. – A pamiętasz, jak się nazywały te demony, które chciał przywołać?

– Pan Gwoździ i Morska Dziwka – przypomniałem sobie i nagle zobaczyłem związek z tym, co opowiadał.

– W takim razie czekamy na koniec występów N’Dele – zawyrokował. – Może co z tego wyniknie? A na przyszłość uprzedzajcie mnie, kiedy któryś będzie chciał sprowadzać demony, wskrzeszać umarłych i przeprowadzać eksperymenty na cywilach.

Czasami nie rozumiałem wszystkiego, co mówi, ale nie zwracał na to uwagi, tak jakby nie miało to żadnego znaczenia.

Zza drzwi komnaty Benkeja dobiegał straszny hałas – rytmiczne bębnienie, śpiew i okrzyki N’Dele, skandującego coś po kebiryjsku, w narzeczu, z którego nie rozumiałem niemal nic, jęki i zawodzenia kobiet, jakieś dzikie wrzaski i wycie jakby małp czy innych dziwnych stworów, dźwięk, jakby ktoś monotonnie trąbił w konchę, a nawet coś jakby ryk leoparda.

Chciałem czekać do rana, ale Ulf mi zabronił.

– Będziesz tu siedział, niepokoił się i odchodził od zmysłów. W najgorszym razie otworzysz te drzwi i albo popsujesz obrzęd, albo coś ci się przytrafi – rzekł. – A w najlepszym jutro będziesz do niczego. N’Dele wie, co robi. Nadchodzi taki czas, że musisz się przyzwyczaić korzystać z każdej okazji, by się przespać, zjeść i iść do wychodka, bo nie wiadomo, kiedy pojawi druga sposobność. Postawimy tu wartownika i to on będzie czuwał. A jeśli coś się stanie, natychmiast nas zawiadomi.

O świcie otworzyliśmy komnatę i zamarliśmy z przerażenia.

Wszędzie leżały ciała. Splątane ze sobą, nagie, w powietrzu unosił się siny opar dymu, a pośrodku klęczał N’Dele z wyprostowanym nagim, wymalowanym w znaki torsem i zwieszoną głową. Ręce zwisały mu bezwładnie i każdą dłoń miał przebitą gwoździem, bretnale tkwiły też w jego policzkach, uszach i przegrodzie nosa. Benkej leżał nieruchomo pomiędzy nimi, z rozrzuconymi na boki rękoma i nogami, ale oczy miał zamknięte. Oba ptaki leżały bez łbów i wszystko zbryzgane było krwią.

Staliśmy tak przez kilka uderzeń serca, nie wiedząc, co robić.

Nagle N’Dele drgnął i podniósł głowę. Miał szarą, wymiętą twarz i przekrwione, bycze oczy. Uderzył grzbietem jednej dłoni o podłogę, wysuwając nieco łeb gwoździa, po czym chwycił go palcami drugiej i wyciągnął cały, który zabrzęczał rzucony do żelaznej misy. A potem chwycił drugi gwóźdź i uwolnił drugą dłoń, i tak samo pozbył się bretnali z nosa, policzków i uszu, wrzucając je do misy. Krew ciekła mu strugami z ran, kapiąc wielkimi kroplami na podłogę. Patrzyliśmy na to osłupiali, nie znajdując słów.

W tym samym momencie splątane wokół ciała zaczęły się poruszać niemrawo, wydając ciche jęki, i okazało się, że żyją, tylko wyglądają na straszliwie przepitych i zmarnowanych. W kilka chwil obudzili się wszyscy, bez słowa zaczęli szukać swojego odzienia, nic nie mówiąc i nie patrząc pozostałym w oczy, poubierali się pospiesznie i jeden po drugim chyłkiem wydostali na korytarz.

Zostaliśmy tylko N’Dele, leżący na podłodze Benkej, Ulf i ja. Kebiryjczyk odetchnął ciężko, powiódł przebitymi dłońmi po podłodze gdzieś za sobą, po czym wyciągnął ręce do Ulfa, trzymając w nich klucz i kryształ. Zwykły kuty klucz z żelaza oraz rżnięty, migotliwy klejnot z białego kryształu bądź szkła.

– Oto, co Pan Gwoździ i Morska Dziwka jej odebrali – powiedział schrypniętym, ledwie zrozumiałym głosem. – Zanieś to tej, która go usidliła. W szkle zamknięta jest jego rozumna dusza. Skrusz kryształ przy niej i wykrzyknij jego imię, a będzie wolny. A potem złam klucz i będziesz mógł odebrać jej resztę mocy. Uczyniła go schowkiem na swój zapas pieśni bogów, pozbawiwszy pierwej duszy, żeby nie umiał nikomu o tym powiedzieć.

– Ukryła w nim imiona bogów? – spytałem. – Benkej ma je wewnątrz ciała?

Ulf pokręcił głową.

– Nie. To ona trzyma je w sobie, ale nikt nie może ich jej odebrać, dopóki hasło dostępu tkwi w Benkeju. Wiedziała, że po nią przyjdą, z tym że spodziewała się raczej króla Węży i nie chciała, żeby uczynił ją bezsilną. To jak zamknąć coś w skrzyni na klucz, a potem go połknąć.

Niewiele z tego pojąłem, ale wiedziałem już, że taka jest natura rzeczy związanych z uroczyskami.

Ulf tymczasem wezwał strażnika, kazał mu przyprowadzić medyka ze wszystkim, czego potrzeba do opatrywania ran, ludzi do sprzątania i jeszcze dwóch z noszami.

A potem poszliśmy wszyscy do Wieży Szeptów, żeby zobaczyć, jak się zachowuje Bolesna Pani w swojej szklanej komnacie, która ponoć od środka wyglądała jak z kamienia.

Mistrz Fjollsfinn, który siedział tam przy dziwnym, wysadzanym klejnotami stole i wyglądał na strapionego oraz ledwo żywego ze zmęczenia, zdziwił się na nasz widok i trzeba było po raz kolejny opowiedzieć mu całą historię.

Czyniąca leżała na podłodze obok łóżka zwinięta w kłębek i miała na sobie resztki postrzępionej szaty, jakby całą noc bawiła się z leopardem, jednak nie krwawiła i nie widziałem na jej ciele żadnych ran.

– Co robimy? – zapytał Ulf Fjollsfinna, bawiąc się kryształem. Klucz położył na stole.

– Kontynuujemy – odparł tamten. Ze względu na nas mówili mową Żeglarzy, a nie swoim językiem zza Morza Gwiazd, który brzmiał dziwacznie i nie dało się z niego pojąć ani słowa.

– Wystarczy, że to stłukę i zawołam Benkeja? – upewnił się Nitj’sefni.

N’Dele, który cały czas ostrożnie płukał usta eliksirem przyniesionym przez medyka, skinął w milczeniu głową.

Ulf bez namysłu cisnął kryształem o posadzkę, tłukąc go na drobne kawałki, które rozgniótł jeszcze podeszwą swojego ciężkiego buta, uwalniając obłok migotliwej mgły.

– Benkeju! – wrzasnął na całe gardło. Obłok, wijąc się w powietrzu, popłynął do leżącego tropiciela i wpłynął mu do ust i nozdrzy niczym dym z fajki. Mój przyjaciel wyprężył się nagle gwałtownie, a potem zaczął kaszleć jak wyjęty z wody topielec i nagle usiadł z szeroko otwartymi oczami, spoglądając przed siebie z osłupieniem.

– Benkeju, słyszysz mnie?! – krzyknąłem, chwytając go za barki.

Rozejrzał się wokół, nic nie rozumiejąc, i wydawało mi się, że nadal mnie nie poznaje.

– Filarze...? – wychrypiał w końcu i znowu zaczął kaszleć. – Skąd się tu... N’Dele?!

– Nie jesteś już w Dolinie Bolesnej Pani. A to są przyjaciele. Wróciłem i zabrałem cię stamtąd, a samą Bolesną wzięliśmy do niewoli.

– Spałem – powiedział. – I pamiętam tylko głos, który kazał mi wciąż spać i nie wyjawiać jakiegoś sekretu. Długo to trwało? Jestem słaby jak dziecko.

– Miesiącami – odparłem.

– Dobra – powiedział Ulf. – Jedziemy dalej. Teraz klucz. Mam go złamać?

N’Dele pokręcił głową i wypluł eliksir do tykwy. Widać było, że czuje ból, kiedy mówi, ale jego rany zasklepiły się bardzo szybko i prawie już nie krwawiły.

– Nie przez ścianę – rzekł niewyraźnie. – Nie musi cię widzieć, ale nie może was dzielić kamień. Wystarczy szczelina lub uchylone wrota.

– Usmaży cię w tym stanie – powiedział Fjollsfinn. – Idź do komory filtrów.

– Co to „fjaltar”? – spytałem, lecz nie zwrócili na mnie uwagi.

Ulf zabrał klucz i poszedł. Przez dłuższy czas nic się nie działo.

– Dajcie mi korzennego piwa i fajkę bakhunu – poprosił Benkej. – A potem, wiem, że to głupio zabrzmi, ale muszę się na chwilę zdrzemnąć.

Bolesna Pani wrzasnęła nagle dzikim głosem, jakby ktoś znienacka dźgnął ją oszczepem. Benkej, któremu udało się wstać, czepiając się zydla, przykucnął nagle.

– Schowajcie się! Szybko! – syknął do nas. – Zaraz was zobaczy.

– To ściana uczyniona za pomocą imion bogów – wyjaśniłem. – Specjalna do trzymania takich jak ona. My ją widzimy, a ona nas nie.

W komnacie obok zaroiło się nagle od dzikich dzieci, kłębiących się pod sufitem i trzepoczących jak spłoszone stado nietoperzy, a Czyniąca miotała się wśród nich, krzycząc, usiłując je łapać i przyciskać do piersi. W kilka chwil wszystkie znikły, a z ust i nozdrzy Bolesnej Pani zaczęła się sączyć taka sama gęsta, migotliwa mgła jak ta, która opuściła kryształ, i również wysączać się przez otwory pod sufitem. Bolesna Pani runęła na podłogę, usiłując zatykać nos i usta, a po chwili ogarnęły ją konwulsje i już tylko wiła się, orząc posadzkę piętami, wrzeszcząc przeraźliwym głosem i rozdzierając na sobie resztki szaty. Patrzyliśmy na to w przerażeniu, a po paru chwilach wszystko ustało i Czyniąca legła zupełnie bezwładnie, oddychając głęboko jak po wielkim wysiłku.

– Wolałbym stąd pójść – powiedział Benkej. – Tylko nogi mnie nie słuchają. Gdyby nie to, myślę, że już byłbym blisko Jarmakandy.

– Komora pełna lodowych roślin – powiedział Ulf od progu. – Wejść się nie da. Tak szybko krystalizowały, że musiałem się wycofać, boby mnie posiekało i uwięziło. Gratuluję, Fjollsfinn. Kolejna sprawa załatwiona.

Przez kolejne dni Benkej dochodził do siebie. Zrazu był bardzo słaby i szybko się męczył, a kiedy prowadziłem go po mieście, często musiał przysiadać w tawernach i pokrzepiać się piwem. To jednak mijało szybko, znacznie szybciej, niż można by się spodziewać, zważywszy na to, jak długo leżał bez ruchu. Mimo to już po paru dniach wycyganił ode mnie kilka marek i poszedł odszukać kurtyzanę, którą mu sprowadziłem, kiedy leżał bez ducha, a jeszcze kilka dni później zastałem go na jednym z placów ćwiczebnych, jak spocony okładał drewnianym treningowym mieczem obrotowy manekin, uchylając się przed zamocowaną na jednym z ramion kulą na łańcuchu.

Wkrótce potem zostałem wezwany do Ulfa i poszedłem, nie spodziewając się niczego nadzwyczajnego. Czekał na mnie w pustej sali, gdzie królował ogromny kamienny stół, całkowicie zarzucony wielkimi zwojami papieru, i kilka wysokich krzeseł z oparciami, jakich tu używano do siedzenia w dziwnej wyprostowanej pozycji.

Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że rozwinięte rulony przedstawiają różne części świata, starannie wymalowane i wyrysowane kolorowymi farbami oraz dziwnym brązowym tuszem przez kopistów Fjollsfinna. Nitj’sefni zdjął kilka przedmiotów, które obciążały rogi jednego z rulonów, pozwalając mu się zwinąć, a potem rozłożył kolejny i przycisnął ponownie naroża swoim dziwnym nożem, złotym kielichem, kamieniem i rogiem do picia. W zamku z pewnością były przyciski do zwojów, ale wyglądało, że nie miał czasu nawet o nich pomyśleć, tylko chwycił w pośpiechu to, co zobaczył wokół siebie.

Najwyraźniej nie miał czasu także zjeść normalnie, bo chwycił na oślep jakiś czerwony tutejszy owoc ze srebrnej misy i ugryzł, jednocześnie sięgając po leżącą na stole strzałę, którą zamierzał coś mi wskazać.

W następnej chwili zrobił okropną minę, wypluł na wpół przeżuty kawałek owocu do kominka, popił piwem z dzbana, które też wypluł, i dopiero wrócił do stołu.

– Okropne – oznajmił. – Zabiłbym za jabłko albo brzoskwinię. Spójrz na mapę. Zrobiłem ją podczas moich lotów jako niewidzialne widmo, kiedy

mogłem patrzeć na świat z góry, podobnie zresztą jak wszystkie pozostałe. Dzięki temu jako jedyni mamy nie tylko rzetelne, ale i aktualne mapy.

– Co to „brjaskva”?

– Nie rozpraszaj się. Zobacz, czy rozumiesz mapę i rozpoznajesz okolicę. Przejdź na tę stronę stołu. W górnej części karty zakreślono to, co jest na północy, rozumiesz? Przyjrzyj się.

Patrzyłem przez dłuższy czas, ale z początku miałem przed oczami tylko kunszt rysowników. Wpatrywałem się w morza, gdzie cierpliwa ręka zaznaczyła błękitem drobniutkie fale, pokrywające całą powierzchnię, na rysunek gór, oddanych delikatnymi pociągnięciami pędzla, szlaki cieniutkie jak pajęcza nić, szarożółte połaci jałowej pustyni z maleńkimi wydmami. Puszcze pokryte cierpliwie wizerunkami drzew. Na kunsztowne, ozdobione wijącymi się wzorami litery obcego alfabetu. A potem zrozumiałem, że to tylko znaki. Nikt nie rysował każdego drzewa z osobna tam, gdzie rosło, bowiem musiałyby to być drzewa wielkości szczytów górskich, a takich nie było nigdzie w znanym mi świecie. Spojrzałem na mapę jak na całość i przypomniałem sobie Salę Świata w pałacu cesarskim. Mozaikę, na której widać było całe imperium od Morza Północnego po Południowe, Kebir, Nassim i wszystko.

Nie poznałem od razu, bo ta mapa była dokładniejsza, linia brzegu lądów i wysp bardziej poszarpana i postrzępiona, a do tego wszystko było płaskie.

– Pustynia... – szepnąłem. – Erg Krańca Świata... Nahel Zym... Góry Sępie... rzeka Figiss, aszyrdymski szlak...

Każde słowo dźgało mnie w serce jak sztylet. Znałem te miejsca, byłem w każdym z nich, w każdym coś się wydarzyło. Poczułem na twarzy suchy, gorący wiatr, a na wargach zapach pyłu drogi oraz kadzidlano-nawozowy, cierpki odór miejskich zaułków. Amitraj.

Pamiętałem ciężar podróżnego kosza na barkach, cień kapelusza na twarzy i milczącą, dodającą otuchy obecność Brusa syna Piołunnika tuż obok.

Wydawało mi się, że to było wiele lat temu i spotkało kogoś innego.

Wtedy byłem dzieckiem.

Ulf siedział przy stole i szybko zapisywał nazwy, które wymawiałem. Domyślałem się, co zapisuje, bo używał znaków, jakich jeszcze nigdy nie widziałem.

– Północne prowincje Zewnętrznego Kręgu – oznajmiłem.

Ujął strzałę i wskazał jakiś punkt. Wzór z drobnych brązowych kanciastych plamek, jak szczypta grubego piachu.

– A tu?

– Sauragar. Miasto.

– A tu?

– Nahilgył. Osada handlowa. Stąd ruszyłem w pustynię z karawaną przemytników soli.

– A tu? – Wskazał kolejny punkt, na wschód od północnego krańca Gór Sępich, ale tam była tylko żółtobrązowa plama pustkowia.

– Tu nie wiem. Jakieś wzgórza na północnym ergu Nahel Zymu, lecz tam nie byłem. Nie wiem, co tam jest.

– To miejsce jest ważne, bo właśnie tam pojawisz się znów w Amitraju.

Moje serce stanęło.

– Ulfie...?

– Czas, byś dokończył misję, Nosicielu Losu. Spójrz na te góry. Kraniec Gór Sępich, zdaje się, tam gdzie schodzą w pustynię, dokładnie w tym miejscu. Zaraz pokażę ci na dokładniejszej mapie, gdzie jest tylko ta okolica. Tu mieści się dolina. Otoczona zewsząd szczytami, mająca własne źródła, skąd wypływa strumień. Takie... nie znam twojego słowa. U nas nazywa się to wadi. Górska oaza na skraju pustyni. Tam znalazłem twoich Kirenenów. Obwarowali się i ukryli w tej dolinie. Jedź tam i zabierz ich. Sprowadź mi tych Kirenenów do Lodowego Ogrodu. Jeśli zdołamy się obronić, znajdą dom na tej wyspie i w mieście. To będzie wasza nowa Jerozolima i Ziemia Obiecana.

– Co? – Czułem tylko łomotanie krwi w uszach, zdawało mi się, że zemdleję, a mój własny głos dobiegał do mnie jak z daleka.

– Nowy Kirenen, synu. Daleko od Amitraju.

– Ulfie... To są setki staj! Jak miałbym sam przebyć pustynię? I jak mieliby przebyć ją oni? Nie mają baktrianów i ornipantów! Mają trochę koni i wołów. To za ziemią Ludzi Niedźwiedzi, Pustkowiami Trwogi i Nahel Zymem!

– Robakiem, Filarze. Pojedziesz Robakiem. I oczywiście nie sam, zabierzesz ludzi. Ja, niestety, będę musiał w tym samym czasie zrobić co innego. Punkt, który ci pokazuję, to ten, w którym wypluje cię Robak, a ty wyjdziesz z jaskini. Stamtąd do doliny będziesz miał ze trzy dni marszu.

Patrzyłem z osłupieniem na mapę i na brązowe wizerunki gór, a potem na Nitj’sefniego, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

– To słabo zaludniona okolica – ciągnął Nocny Wędrowiec. – Jednak stosunkowo niedaleko jest wojsko. Tutaj – wskazał strzałą – stoją pod tym miasteczkiem obozem i na wszystkie strony wysyłają patrole na jednoosiowych wózkach zaprzężonych w cztery jakieś stwory. Noszą się na czerwono, mają czerwone tarcze z żółtymi zygzakami. Dużo ich.

– Tymen dwudziesty pierwszy, „Ognisty”, z Kebzegaru – powiedziałem odruchowo.

– Co to jest tymen?

– Samodzielny oddział amitrajskiego wojska. „Tymen” to po naszemu dziesięć tysięcy albo „mnóstwo”.

– Nie ma ich dziesięciu tysięcy. W życiu. Połowa, i to chyba nie – oznajmił w zamyśleniu, uderzając strzałą o dłoń, a potem podrapał się grotem w plecy.

– Dziesięć tysięcy to jest tymen w pełni obsadzony w czasie wojny – wyjaśniłem. – Normalnie liczy trzy do pięciu binlików.

– Czyli czego?

– Binlik to tysiąc, binhon sto, hon dziesięć.

– Dobra. Według mnie ci „ogniści” szukają twoich ludzi. Na razie nie znaleźli, bo w góry nie bardzo się da wjeżdżać tymi rydwanami, a pieszym patrolom idzie to mozolnie, ale trzeba się z tym liczyć. Plączą się po okolicy i mogą sprawiać kłopoty.

– Tak, Ulfie.

– Dobrze się czujesz?

– Chciałbym usiąść – wymamrotałem.

– Nie mdlejże mi tutaj.

Dał mi wody, a ja posiedziałem chwilę, czekając, aż mój oddech się uspokoi.

– Zabierzesz swoich ludzi, oprócz tego dostaniesz ośmiu Braci Drzewa. Ach, no i jeszcze Njorvina, czy jak mu tam. Chce operować razem z N’Dele, poza tym twierdzi, że się przyda, bo podobno mówi po amitrajsku, jakby się tam urodził. Bierzecie też konie i cztery juczne te...

– Onagery.

– Tak jest. Sprzęt, kusze i tak dalej. Kazałem skopiować stroje z twojego bagażu. Musisz rzucić okiem, czy wszystko się zgadza i wygląda

autentycznie. Plan w skrócie jest taki: Dopływasz, wchodzisz na górę, załatwiasz sprawę z Szepcącymi do Cieni, jedziesz do Amitraju, znajdujesz dolinę, spotykasz swoich, informujesz ich o rozwoju sytuacji, formujecie kolumnę, przechodzicie na stację... przepraszam, znaczy do jaskini Robaka, wracacie tutaj i, zależnie od rozwoju wydarzeń, wsiadacie na podstawione okręty na rzece albo idziecie w stronę ujścia. Jeśli będą kłopoty, okręty wejdą w rzekę, ile się da, lub będą czekały na wybrzeżu u ujścia. Płyniecie do Ogrodu i załatwione. Szaleństwo, śpiew, hopsasa, tańce nago przy ognisku i tak dalej.

Milczałem.

– Druga sprawa. Jedzie z tobą Szkarłat.

– Ulfie?!

– Tylko do gór. Po drodze przyda ci się jako przewodnik i element przebrania. Dwóch ludzi z kuszami musi mieć go na oku. Jeśli wywinie jakiś numer, zastrzelcie. Jeśli nie, kiedy dotrzecie do gór, wypuść go. Ma swoje zadanie. Musi przekazać informacje prorokini i o to nam chodzi. Dobra. Tyle ogólników, a teraz szczegóły...

Do swojej komnaty wróciłem w nocy, zmęczony, z zamętem w głowie, ale nie mogłem spać. Wyczyściłem i złożyłem kij szpiega, spakowałem nowy kosz podróżny, a na wierzchu położyłem swoją kulę życzeń. Potem wszedłem do naszej wspólnej komnaty, tej z kominkiem. Mimo że była głucha noc, paliły się lampy, a przy długim stole siedzieli Grunaldi, Warfnir, Sylfana, Spalle, Ulf, Njorvin, N’Dele i Benkej, popijając sycony miód z rogów.

– Siadaj – powiedział Grunaldi, stawiając na stole kolejny róg zaopatrzony w srebrne smocze nóżki, żeby się nie przewracał. – Nadchodzi czas rozłąki i walki. Za kilka dni znów zatańczymy z losem. Teraz pijemy za to, żebyśmy spotkali się przy tym stole i wszyscy przy nim siedzieli. Tak jak teraz. Nocni Wędrowcy.

Patrzyliśmy na siebie i piliśmy miód w spokojnym świetle lamp. Za oknami jaśniała wiosenna noc, pachnąca kwiatami i dzwoniąca śpiewem nocnego ptaka. Noc, w której nie było miejsca na krzyk, poblask ognia, smród dymu i krwi ani szczęk żelaza.

Ostatnia taka noc.

Zapamiętałem ją, jakbym mógł zabrać na drogę niczym wiersz wymalowany na granatowym kawałku jedwabiu.

Miałem opuścić Ogród i znowu wejść na ścieżkę Nosiciela Losu. Sama myśl o powrocie do Amitraju wydawała mi się niedorzeczna i przerażająca.

A potem przypomniałem sobie o Wodzie córce Tkaczki.

I nagle zacząłem się spieszyć.

Strach opuścił mnie dopiero następnego dnia w miejskim chramie, kiedy patrzyłem na opięte burymi kurtami plecy moich ludzi siedzących na kamiennych ławach. Dziesięciu.

Nie wracałem sam.

Para kapłanów ze śpiewem okadzała naszą broń świętymi dymami, blask ognia lśnił na srebrnych gałęziach wznoszącego się nad nami drzewa, pieśń wibrowała pod wysokim stropem chramu.

A potem patrzyłem, jak wstają jeden po drugim, chowają miecze i noże do pochew, jak odbierają z rąk kapłana kusze. To szczęk stali sprawił, że poczułem, jak opływa mnie dziwny spokój. Niosłem los Kirenenów, lecz nie byłem już bezradnym wygnańcem, niewiedzącym, dokąd pójść i co zrobić. Teraz czułem za sobą siłę. Siłę miasta oraz siłę potężnych Czyniących. Wiedziałem, co mam robić, i to było dużo łatwiejsze niż wszystko, co przeżyłem przedtem.

Późniejszy czas wyciekł niczym wino z przestrzelonego bukłaka. Pamiętałem korytarze pod twierdzą, echo kroków i odgłos kropli wody, skrzypienie lin, pośpiech, z jakim nosiliśmy na pokład worki, tupot kopyt na schodni, rozgardiasz, wśród którego uwiązywaliśmy zwierzęta i bagaże. Ulf stał przy trapie i ściskał każdemu przedramię, drugą dłonią obejmując kark, jak mieli we zwyczaju Ludzie Ognia. Jego ludzie też stali obok rzędem, żegnając się z każdym. Sylfana bez namysłu pocałowała mnie w usta, a inni na ten widok śmiali się i rżeli jak konie.

To było trochę jak sen, a trochę jak chorobliwe majaki. Czas, który nagle przetoczył się jak wóz taborowy po moście, a potem zniknął.

Ani się obejrzałem, kiedy świt zastał mnie na pokładzie z poczuciem, że nie zdążyłem niczego powiedzieć ani z nikim się pożegnać, bo wokół było tylko morze. Krótka fala, tęskne krzyki morskich ptaków polatujących wokół burt, skrzypienie lin.

Tylko niebo, morze i wstające słońce.

Nocni Wędrowcy zawsze wypływają nocą, w najgłębszych ciemnościach i bezgłośnie z wnętrza góry. Nie było ani chwili czasu, by jeszcze rzucić okiem na Lodowy Ogród.

Ani chwili, by się pożegnać.

I nagle znów podróżowałem.

Jeszcze w nocy Oset kazał postawić oba żagle, zatem okręt sunął dziarsko, tnąc fale dziobem i co jakiś czas prychając fontannami piany jak morski koń. Żegluga w wydaniu mieszkańców Wybrzeża Żagli wydawała się czymś, co robi się mimochodem i bez większego wysiłku. Nie biegali po pokładzie, nie spieszyli się ani nie walczyli z morzem. Do obsługi wilczego okrętu wystarczy ledwie paru ludzi i nawet wielki żagiel można postawić z pokładu, ciągnąc liny przełożone przez przemyślne bloki.

Ci ludzie uważają morze za własne obejście i odpowiednio się na nim zachowują. Od czasu do czasu coś robili, ale mnie, synowi stepów i pustyń, niewiele to mówiło. Widziałem na przykład, jak Oset wąchał wiatr, zadarłszy głowę niczym wilk łapiący trop, po czym kazał swoim ludziom pociągnąć parę lin, cały żagiel przekręcił się trochę wokół masztu, liny zaskrzypiały, łódź pochyliła się na jedną burtę i zaczęła płynąć szybciej. Pojęcia nie miałem, co tam wywęszył i dlaczego lekko zmienił kierunek. Wokół nas nie było nic, tylko niebo od góry i morze na dole, nic też nie pachniało poza drewnem oraz dziegciem ze statku, a delikatny aromat soli i wodorostów był wszędzie taki sam.

Zauważyłem też, że po wyjściu na morze zwykle zamknięci w sobie i posępni Bracia Drzewa wyraźnie poweseleli i nawet zaczęli podśpiewywać.

Sami nie mieliśmy nic do roboty. Benkej walczył z mdłościami, siedząc na pokładzie blady jak płótno, i kilka razy zwymiotował za burtę, N’Dele również siedział na deskach z bębenkiem między udami i nucił jakąś monotonną, tęskną śpiewkę.

Stałem na dziobie, opierając się o stewę, przepełniony niecierpliwością i dziwnym poczuciem mocy. Stałem na pokładzie własnego okrętu, który wiózł moją zemstę. Jego burty obite były miedzią, tak jak nakazywała Pieśń Ludzi dla okrętów zdolnych miotać ogień, tuż za mną, pod nasączonym ałunem płótnem, kryła się tajemnicza, straszliwa broń. Zaczynała się pod pokładem, jako machina złożona z miedzianych cylindrów i korb, a jej koniec, podobny do głowy ptaka syfon, w każdej chwili mógł odwrócić się

w stronę niebezpieczeństwa i na czterdzieści kroków spopielić wszystko, co znalazłoby się na jego drodze. Na tych wodach każdy, kogo moglibyśmy spotkać, doskonale wiedział, co oznacza lśniąca miedzianą blachą burta. Wystarczyłby sam błysk słońca na kruszcu, by każdy natychmiast odepchnął rumpel i pognał jak najdalej od rzadkiego i strasznego okrętu, z którym nie da się walczyć. Spotykało się je nieczęsto, bo stworzenie machiny wymagało kunsztu, który niewielu posiadło. Poza tym żeglarze nie widzieli interesu w paleniu okrętów. Chcieli je zdobywać, i to w sposób honorowy, walcząc na pokładzie na miecze i topory. Im chodziło o chwałę i bogactwo, a nie zniszczenie. O ognistych statkach krążyły jedynie legendy i wynikało z tego, że zależnie, jak potoczą się losy wojny, Fjollsfinn, który wystawił co najmniej kilka ognistych łodzi, może kiedyś władać na tych wodach niepodzielnie. Wątpiłem nawet, by cesarska galera „Morskiego” tymenu, mogąca zasypać każdy statek deszczem strzał ze swoich trzech pokładów łuczniczych, rozedrzeć kutym taranem, przebić na wylot płonącymi oszczepami z dwóch arkabalist czy uchwycić jednym ze swoich trapów abordażowych, wbijających się w pokład wroga żelaznymi dziobami, mogła poradzić wiele przeciwko zwinnemu i szybkiemu wilczemu okrętowi plującemu płynnym ogniem.

A teraz to był mój okręt i kiedy o tym myślałem, czułem, jak zaciskają mi się szczęki.

Myślałem o tym, że spalę każdego, kto stanie mi na drodze. Nie szukałem chwały, tylko zwycięstwa.

– Jadę po ciebie, córko Tkaczki – powiedziałem w horyzont i słony wiatr omiatający mi twarz. – Zabieram cię do domu.

Wachlarzowate żagle, gęsto usztywnione długimi żerdziami, wypełniły się wiatrem i wyglądały niczym rozpostarte skrzydła. Czułem się, jakbym leciał na grzbiecie smoka. Jakbym sam był smokiem.

Kiedy sprzykrzyło mi się patrzenie w pustkę wodnego bezmiaru, korzystałem z tego, że nie czułem większych dolegliwości i nie mdliło mnie jak Benkeja. Korzystałem z rady Ulfa, który twierdził, że należy jeść, spać i chodzić za potrzebą, kiedy tylko nadarza się okazja.

Następnego dnia minęliśmy pierwsze z Wysp Ostrogowych, majaczące na horyzoncie jak ciemne chmury, a potem wpłynęliśmy pomiędzy nie, wymijając rafy, nurkując w przesmyki i wybierając drogę wśród

sterczących z wody skał, z których podrywały się stada krzyczących tęsknie morskich ptaków.

Czasami ostre kamienne zęby wystające spod spienionej wody mijały bok okrętu o kilka tylko kroków albo wpływaliśmy w wodę kotłującą się jak pod wodospadem w przejściu między skałami, wąskim ledwie na strzał z łuku.

Oset, który w takich chwilach zawsze sam stał przy sterze, siadał wyżej, na drewnianej balustradzie, żeby lepiej widzieć, i opierał na rumplu podeszwę buta. Dwóch ludzi obserwowało skały, wyglądając z obu burt, i okrzykami mówiło mu, co dostrzegają. Wszystko wydawało się proste jak jazda na osiołku, ale tak nie było. Rozumiałem już, dlaczego Ziemia Żeglarzy pozostała bezpieczna za swoim archipelagiem. Nawet gdyby imperium poznało tajemnicę Zachodniego Przejścia, potrzeba było wiele wiedzy i umiejętności, żeby je pokonać.

Płynęliśmy.

Po paru dniach znaleźliśmy się na wodach, które żeglarze nazywali Morzem Własnym. Do tej pory właściwie nie spotykaliśmy żadnych statków, co wszystkim wydawało się dziwne. Wiosną, jak twierdzili, wszędzie powinno być mnóstwo żagli. A w pobliżu Zachodniego Przejścia dziesiątki okrętów powinno zmierzać do krajów Południa.

Widywaliśmy tylko niewielkie łodzie rybackie wśród wysp, kilka razy zobaczyliśmy też żagle na horyzoncie, raz zbliżył się do nas jeden okręt, ale minął nas w odległości trzech czy czterech strzałów z łuku, po czym pospiesznie odpłynął, jakbyśmy wieźli zarazę.

Na wodach Morza Własnego zaczęliśmy widywać oderwane z burt deski, czasem pływające w wodzie kawałki szmat, beczki i belki. Kilka razy minęliśmy też wzdęte trupy ze strzałami sterczącymi z pleców, wokół których kłębiły się ławice małych ryb i przysiadały na nich ptaki.

Żeglarze sposępnieli, a czterech milczących ludzi Fjollsfinna, którzy nazywali siebie „naffatunami”, cokolwiek to miało znaczyć, założyło swoje dziwne pikowane przeszywanice z szarego płótna, ozdobione wizerunkiem drzewa, które u nich było czerwono-złote i wyglądało jak płonące. Zeszli pod pokład, po czym napełnili machinę smoczą oliwą, odwinęli syfon z płótna i odtąd stale co najmniej jeden z nich siedział na pokładzie. Naffatuni mieli dziwne hełmy podobne do cebra, które kryły całą głowę razem z twarzą i były obszyte tym samym płótnem, które ponoć nie mogło

się spalić, choćby utopiono je w smoczej oliwie. Te hełmy i rękawice również mieli stale przy sobie i nigdzie się bez nich nie ruszali.

Nazajutrz po południu Oset znów zaczął węszyć, po czym kazał zwinąć wszystkie żagle i wyrzucić z dziobu coś, co wydawało się wodnym żaglem w kształcie misy i było uwiązane na długiej linie. Nie miałem pojęcia, co to ma znaczyć, więc wyjaśnił mi, że brzeg jest tuż, choć go jeszcze nie widzimy, i w Snagorinę wejdziemy nocą, żeby jak najdalej popłynąć niepostrzeżenie.

Kiedy słońce zaczęło opadać za horyzont, znów postawiliśmy żagle i ruszyliśmy przed siebie.

Noc była pogodna, świecił tylko jeden księżyc, za to w pełni. Mimo to brzeg zobaczyłem, kiedy był ledwie o strzał z łuku. Grzywy fal rozbijających się na plaży jaśniały bielą i słyszałem ich szum. A potem wpłynęliśmy na spokojne wody Snagoriny, w oddali widziałem majaczące w ciemności jasne szpalery trzcin i już byliśmy na rzece, którą przemierzałem tyle razy latem i zimą, że wydawało mi się, jakbym znał ją na pamięć.

Wiatr się zmienił, więc Oset ponownie nakazał zwinąć żagle i powiedział, że siadamy do wioseł. Wilczy okręt może czasem płynąć na wiosłach, kiedy zupełnie nie ma wiatru albo płynie rzeką, i wtedy wysuwa się je przez specjalne otwory w burtach. Nas było na pokładzie tylko dwudziestu, nie licząc Osta, stojącego przy sterze, oraz jednego naffatuna, który stał za syfonem i trzymając za specjalne imaki, wodził dziobem machiny po brzegach rzeki, wypatrując niebezpieczeństwa. Jego koledzy wiosłowali, siedząc tuż przy pompach, skąd w każdej chwili mogli chwycić za korby i tchnąć w machinę życie.

Na co dzień siedzący cierpliwie pod pokładem Szkarłat, który odzywał się tylko na rozkaz i pokornie wykonywał wszystkie polecenia, także posłusznie usiadł do wiosła i robił nim nie gorzej niż inni.

Wiosłowaliśmy długo w noc, aż do rana. Siedziałem w ciemnościach, słuchając cichego odgłosu bębenka, który lekko kopał N’Dele, i na każde uderzenie ciągnąłem do siebie wygładzony drąg wiosła. Odgłos był tak cichy, że nie przypuszczałem, by dało się go słyszeć poza okrętem.

Niebo zaczęło już szarzeć, kiedy Oset pozwolił nam odpocząć, twierdząc, że teraz znowu wieje dobrze i będzie można postawić mały żagiel. Mogliśmy więc wyjść na pokład i tam zwalić się wyczerpani na

deski. Czułem, że wszystkie mięśnie rwą mnie z bólu, zwłaszcza na grzbiecie i w brzuchu, lecz było to inne zmęczenie niż to, którego doświadczałem w niewoli. Byłem wolny i robiłem, co chciałem, reszta nie miała znaczenia.

Zjadłem trochę suszonego mięsa z chlebem i serem, popiłem piwem i zapaliłem fajkę.

A potem siedziałem, patrząc, jak z porannych mgieł wynurzają się brzegi rzeki, a daleko na horyzoncie gęstnieją boleśnie znajome góry, wśród których kryła się Dolina Bolesnej Pani.

Benkej też je rozpoznał i widziałem, że pobladł. Patrzył chwilę w milczeniu, a potem splunął za burtę, przysunął sobie dzban z piwem i nabił fajkę.

– Czuję się normalnie – oznajmił, widząc mój wzrok. – Nic mi się nie robi w głowie i mimo że spędziłem tam tyle czasu, całkiem oczadziały i durny, pamiętam to jak sen w gorączce. N’Dele wypuścił moją duszę i teraz jestem taki jak przedtem. A jeśli stanie się tak, jak mówiłeś, że jakiś robal połknie mnie w jakiejś jaskini i wypluje w Amitraju, to znaczy, że będę widział jeszcze dziwniejsze rzeczy niż w tamtej dolinie.

– Wiele zobaczymy, zanim wrócimy do domu – odparłem.

– Dom... – powtórzył. – Dziwne słowo. Gdzie on teraz jest?

– Teraz chyba w Lodowym Ogrodzie. Tam będziemy mieszkać. Kiedy to wszystko się skończy.

– Nawet o tym nie myślę – powiedział. – Na razie obchodzi mnie tylko to, co jest do zrobienia dziś, najwyżej jutro, jeśli dożyję. „Kiedy to się skończy”...? Nie za bardzo umiem sobie to wyobrazić. Wszystko się zmieni. A ty, N’Dele? Co zrobisz potem? Wracasz do Kebiru?

– Nie wiem – odparł Aligende. – Kiedyś chciałem. Ale teraz może tam czekać na mnie klątwa.

– Zawsze możesz znowu ruszyć w drogę ze mną – powiedział Njorvin, drapiąc łyżką dno miski. – Dobra życia. Mnóstwo *gylding*, mnóstwo fiki-fiki – dodał swoim okropnym amitrajskim. Benkej parsknął.

Zanim nastało południe, wszyscy, którzy mieliśmy zejść na ląd, poszliśmy pod pokład spać. Dzięki temu, że Oset zmusił nas do wiosłowania przez niemal całą noc, zasnąłem bez trudu, mimo że tam, na górze, świeciło jasne słońce. Przez chwilę słyszałem skrzypienie burt,

pluskanie wody opływającej okręt, kroki na deskach i świst wiatru na linach. A potem nie było już nic.

Tylko Woda.

Córka Tkaczki.

Zbudziliśmy się późnym popołudniem i ostatnie godziny dnia spędziliśmy, szykując broń, zwierzęta i zapasy. Potem, kiedy zaczynało zmierzchać, góry już rozsiadły się po obu stronach rzeki, a nad nami wznosiło się zbocze kryjące wyjście z Doliny Bolesnej Pani.

Przybiliśmy do przeciwległego brzegu, a później przy ostatnim świetle budowaliśmy cztery masywne wozy taborowe, które wieźliśmy w kawałkach. Były tak sprytnie zrobione, że dwóch ludzi mogło je złożyć, posługując się tylko obuchem topora, w czasie krótszym niż długa wodna miara.

Wyprowadziliśmy konie i onagery, których na razie mieliśmy osiem. Cztery były do wozów i te miały zostać, a pozostałe niosły nasze zapasy i sprzęt, i te miały razem z nami jechać do Amitraju.

Na koniec wyładowaliśmy wozy beczkami, mocowaliśmy je sznurami już zupełnie po ciemku.

– Znajdźcie drogę – powiedział Oset. – Ja będę tu na was czekał. Teraz wyjdę na morze, ale za dziesięć dni będę w tym samym miejscu bez względu na to, co zrobią pozostałe okręty. Będę, cokolwiek się wydarzy.

Ostatnia rzecz, jaką trzeba było zrobić, to związać Szkarłatowi ręce tak, by mógł powodować koniem, po czym Bracia Drzewa siedzący na wozach świstem pognali onagery i cała karawana wtopiła się w mrok.

Byliśmy, jak mawiali mieszkańcy Wybrzeża, Nitj’sefnaar – więc wędrowaliśmy nocą. Końskie kropierze oraz nasze kurty odwrócone zostały na ciemną, matowoczarną stronę, nawet ostrza naszej broni poczernione były sadzą, doczepione do hełmów zasłony kryły nasze twarze, pozostawiając na zewnątrz jedynie oczy. Byliśmy cieniami wśród cieni.

Jechaliśmy tylko tak szybko, by wozy w środku szyku mogły nadążyć, otoczone zbrojnymi z kuszami gotowymi do strzału, przodem zaś posłałem dwóch Braci Drzewa, tych, którzy byli tu z Ulfem i znali drogę, jako zwiad.

Mimo to cały czas byłem napięty niczym cięciwa, usiłowałem mieć oczy dookoła głowy i stale widziałem wśród cieni coś niepokojącego. A wszystko dlatego, że musiałem być dowódcą. Nie było przy mnie Snopa

ani Ulfa, nikt nie mówił mi, co mam robić, a co gorsza, wiedziałem, że jeśli się pomylę, to ktoś zginie. Przeze mnie.

Zabije go moja głupota, a nie strzała lub ostrze.

Jechaliśmy przez las, przemierzaliśmy górskie łąki i leśne polany, starając się trzymać blisko linii pierwszych drzew i zawsze mieć za sobą zasłonę gałęzi i liści. Przez cały czas trzeba było nasłuchiwać, czy odezwie się ostrzegawczy krzyk lelka, który oznaczałby, że nasi zwiadowcy odkryli jakieś zagrożenie.

Jednak jedyne, co słyszeliśmy, to gardłowe krakanie kruków w gałęziach drzew. Było ich dziwnie dużo, nawet jak na tę okolicę. Czasem przystawaliśmy, wodząc wokół grotami bełtów i przepatrując ciemność, lecz to najwyraźniej nie były niczyje sygnały, tylko zwykłe ptaki pokrzykujące ponuro chórem głosów.

I tak jechaliśmy, milczący i czarni, spowici mrokiem. Nawet osie naszych wozów, szczodrze wysmarowane mazią, nie skrzypiały, a kiedy wjechaliśmy na trakt, nie dało się słyszeć stukotu kopyt na kamieniach ani turkotu kół, bo zarówno kopyta, jak i obręcze osłonięte zostały pokrowcami z filcu i grubej skóry. Wiedzieliśmy, że się zedrą, ale były potrzebne tylko na tę noc. Później mieliśmy stąd zniknąć, a gdy wrócimy, nie będziemy musieli już dbać o to, by przejść niezauważeni.

Zanim nastał świt, przebyliśmy szlak prowadzący wąwozem wzdłuż strumienia, którego obawiałem się najbardziej, bo stanowił doskonałe miejsce na zastawienie pułapki, i byliśmy już w górach, na tej samej polanie, na której Ludzie Kruki próbowali ukraść nam konie.

Ustawiliśmy wozy w pierścień, spętaliśmy konie i onagery, które zamknęliśmy linami, wyznaczając im pastwisko, a potem wystawiliśmy warty.

Kiedy niebo poszarzało, nie próbowaliśmy też palić ognia, tylko rozłożyliśmy się wokół w pełnym rynsztunku, żując suszone mięso i pijąc z bukłaków cienki podpiwek. Napój był na tyle mocny, że nie pozwalał zepsuć się wodzie, którą zawierał, a na tyle słaby, że każdy poszedł spać z trzeźwą głową.

Nikomu nie podobało się to miejsce, mimo że znajdowało się z dala od szlaku i było dobrze osłonięte. Gdy wiatr zawiewał z zachodu, przynosił wyraźny smród pogorzeliska oraz odór padliny, a na dodatek wciąż

rozlegało się upiorne krakanie, jakby ktoś darł na strzępy czarne szmaty. Kiedy ucichało, z daleka napływało coś jakby wycie psów albo wilków.

Koło południa wypadła warta moja i N’Dele. Mieliśmy miarową świecę, która pokazywała czas, wiedzieliśmy więc, kiedy obudzić następnych. Przeklęte kruki odleciały o świcie, a las wokół stał w ciszy, a mimo to czuliśmy niepokój. Obchodziliśmy obóz, a w pewnym momencie N’Dele zamarł w bezruchu, wpatrując się w ścianę krzewów. Podszedłem do niego i spojrzałem w tę samą stronę, lecz nie zobaczyłem nic prócz liści.

– Ktoś nas obserwuje – mruknął N’Dele. – Cały czas to czuję, ale nic nie widzę. Dziwne. Jestem tropicielem. Nie tak łatwo ukryć się przede mną. A mimo to tylko wiem, że ktoś tam jest, jednak nie dostrzegam niczego.

– Wróg czy przyjaciel? – zapytałem.

– To Ziemia Kruków – odparł. – Zdaje się, że nie mamy tu przyjaciół, chyba że nazwać nimi tych Szepcących do Cieni. Ale ten tylko patrzy i czeka. Nie zdecydował jeszcze, kim jesteśmy.

– Może posłać parę bełtów w tamtą stronę? – powiedziałem. – Spłoszy się, nawet jeśli go nie trafimy. I będzie wiedział, że o nim wiemy.

– Tylko że ja nie wiem, czy jest tam, gdzie patrzę – odparł. – Ja go czuję środkiem. Sobą. Może być tam albo po przeciwnej stronie. Jeśli pokażemy mu, że strzelamy na oślep, poczuje się silniejszy. Jest tu gdzieś, lecz nie wiem gdzie.

Do końca naszej warty nic się nie wydarzyło. Obudziliśmy zmianę, sam jednak już nie zasnąłem, siedziałem z kuszą na kolanach, przepatrując gęstwinę. Nie zobaczyłem zupełnie nic.

Z polany wyjeżdżaliśmy o zmroku ścieżką tak wąską, że z trudem mieściły się na niej wozy. A gdy wyszliśmy na przełęcz, dostrzegliśmy na tle czerwieniącego się nieba dziwaczny kanciasty masyw Żarłocznej Góry.

Potem jechaliśmy znów przez las, kiedy to się stało. Szlak prowadził lekko w dół, po bokach mieliśmy zadrzewione zbocza, a pomiędzy ogromne pnie wpełzał mrok.

Najpierw zupełnie znienacka rozległ się ostry trzask i skrzypienie gdzieś na zboczu. Jadący przodem Głóg wrzasnął ostrzegawczo, uderzając Skalnika w pierś, a potem wyrwał przed siebie, niemal kładąc się w siodle. Skalnik zadarł swojego wierzchowca i zwalił się do tyłu razem z koniem. W tym samym momencie w miejscu, gdzie obaj byli przed chwilą,

przeleciał ogromny pień zawieszony na łańcuchach wysoko w koronach drzew.

Natychmiast zbiliśmy wozy w ciasny szereg, rozstawiając się wokół z kuszami gotowymi do strzału.

Pień wrócił niczym ogromne wahadło, z hukiem i szczękiem łańcuchów przeleciał w poprzek drogi, oddzielając nas od Głoga, koń Skalnika gramolił się na nogi, potrząsając łbem, a sam Skalnik wstawał niemrawo, lecz przytrzymał się ogłowia i jednym ruchem wskoczył na siodło, chwytając kuszę zawieszoną na boku.

Pień przeleciał nad drogą jeszcze kilka razy, coraz wolniej, a w końcu zawisł spokojnie nad samym traktem. Głóg zawinął w miejscu, po czym ruszył w naszą stronę galopem i przeskoczył nad taranem, dopadając taboru tuż po Skalniku.

Bez słowa znaleźli swoje miejsca w szyku i unieśli broń, mimo że wokół nie było widać ani jednego wroga.

– Kim jesteście i co wieziecie w beczkach?! – okrzyk dobiegł gdzieś z przodu, ale nikogo nie mogliśmy dostrzec, zupełnie jakby okrzykiwało nas leśne echo. W zapadającym zmroku widzieliśmy tylko pnie obrośnięte bluszczem, iglaste krzaki i liście. Mnóstwo liści.

Jeden z krzaków rozdzielił się nagle, ukazując sylwetkę wysokiego męża w kapturze i płaszczu z sieci, pełnym powplatanych liściastych gałęzi.

– Jesteśmy tymi, którzy jadą swoją drogą i nikomu nie wadzą – odkrzyknąłem. – A kim ty jesteś, żeby zrzucać na nas pnie?

– Nie mędrkuj, wędrowcze. Czy nie wiesz, gdzie jesteś?

– Myślałem, że w Ziemi Kruków, których dotąd uważałem za ludzi cywilizowanych i rozumnych.

– To była Ziemia Kruków. Teraz to już ziemia żeru dla kruków. Pytałem, co masz w beczkach?

– Nie twoja to rzecz, lecz daję ci słowo honoru, że nie miałbyś z tego żadnego pożytku.

– Pytam.

– Wiozę zgniłe ryby. Potrzebujesz ich może?

– Dosyć – zawołał. – Możemy was powystrzelać, i tak mieliśmy taki zamiar. Wstrzymałem dłoń tylko na chwilę, bo wyglądacie inaczej niż Węże.

– Dwójkami, krzaki na cel – warknąłem do swoich. – Każdy może kryć strzelca. Pierwszy w dwójce strzela pierwszy, ładować na zmianę. Na mój rozkaz.

A potem znowu zakrzyknąłem do tamtego:

– My też walczymy z Wężami. Powiedz Kungsbjarnowi Płaczącemu Lodem, że ma u nas dług życia. Kruczy Dwór stoi tylko dlatego, że został w czas ostrzeżony.

– Kruczy Dwór Węże spalili na przedwiośniu. A Kungsbjarna zabili Żeglarze z Ziemi Ognia jeszcze zimą.

– To łgarstwo! – wrzasnął Njorvin z oburzeniem. – Puścili tego parchatego kundla na moich oczach. W butach i konno!

– Njorvin...! – wycedziłem, myśląc gorączkowo, co robić dalej. Droga przed nami była zamknięta, a oba zbocza zapewne pełne łuczników. – Z koni – rzuciłem. – N’Dele, jeśli usłyszysz choć jeden świst strzały, zgaś tego krzykacza.

– *Agiru kano* – syknął, unosząc kuszę do ramienia.

– Tohimonie, daj mi miecz – poprosił Szkarłat. – To jedno ostrze więcej u twego boku.

– Milcz, myślę! – warknąłem na niego.

– W jednej chwili będziecie jak jeże – zawołał tamten w płaszczu z zieleni. – Nie widzicie nas, a my was tak.

Nie skończył jeszcze mówić i nagle zniknął. W taki sposób, jakby nagle wskoczył do studni. Bełt N’Dele przewiercił powietrze w tym samym momencie i z trzaskiem wbił się w pień drzewa.

A w następnej chwili rozległo się krótkie brzęczenie, jakby nadleciał rój pszczół, i w ziemi wokół nas wyrosły strzały.

Nikt nie został trafiony, natychmiast usłyszałem szczęk kilku łuczysk naraz i pociski moich ludzi przeszyły rosnące na zboczu krzaki. Strzelcy przykucnęli, sięgając po bełty i z terkotem zapadek szarpiąc dźwigniami naciągów. Równocześnie druga połowa Nocnych Wędrowców zwolniła cięciwy i teraz oni przypadli, kryjąc się wśród wozów, by załadować kusze, a pierwsi już wstali, unosząc broń. Spadła kolejna fala strzał o długich promieniach, teraz otaczały nas gęstym kręgiem, jakby nasz tabor obrosły trzciny.

Na razie nikt nie został ranny, ani człowiek, ani zwierzę, lecz naszym strzałom też nie towarzyszył ani jeden okrzyk trafionego człowieka po

tamtej stronie.

– Następna salwa będzie w was! – krzyknął ten sam mąż, pojawiając się na zboczu w zupełnie innym miejscu. – Opuśćcie broń, nasz styrsman zdecyduje, co z wami zrobić.

To była najgorsza decyzja w moim życiu. Myślałem gorączkowo, acz bez skutku. Zbocze było mocno nachylone, a napastnicy po obu stronach. W którąkolwiek stronę próbowalibyśmy się przebijać, naprzód albo w tył, między dwoma szpalerami stojących wysoko łuczników czy też próbując atakować pod górę, pod deszczem strzał mierzących nam w plecy, byliśmy zgubieni.

– Giniemy? – zapytał Benkej.

– Konno, bez wozów, galopem do przodu? – zaproponował Njorvin lekko zduszonym głosem.

– Opuścić kusze, rozładować – powiedziałem głucho, czując, jakby moja twarz pękała niczym gliniana maska.

Ktoś powiedział „agiru”, bełty powędrowały do sakw, rozległ się chór metalicznych szczęknięć zwalnianych cięciw.

Staliśmy bezbronni, a ja cały czas gorączkowo usiłowałem coś wymyślić.

Wokół nas na razie nic się nie działo, tylko luźno zwisający łańcuch z boku przegradzającej trakt prażnicy napiął się i zaczął holować kłodę w górę, gdzieś pomiędzy ogromne pnie.

Łucznicy pojawili się nagle po obu stronach zbocza. W zapadającym zmroku wyglądało to tak, jakby wypluła ich ziemia, krzewy i drzewa. Tu rozdwoił się cień, uwalniając sylwetkę człowieka, tam kępa poszycia uniosła się, zyskując nagle nogi i ramiona, jeszcze w innym miejscu część krzaka okazała się klęczącym strzelcem. Rozejrzałem się i naliczyłem co najmniej dwudziestu. Gdyby uderzyli gdziekolwiek indziej, bylebyśmy mieli jakąkolwiek osłonę, choćby własne wozy, poradzilibyśmy sobie z nimi w małą wodną miarę. Na tym jednak polegało dobre dowodzenie. To oni wybrali czas oraz miejsce i zmietliby nas w mgnieniu oka, mimo że mieliśmy lepszą broń i pewnie lepiej nią władaliśmy, a ich wypadało najwyżej dwóch, trzech na jednego z nas. Ale to my staliśmy stłoczeni na dnie jaru, rozciągnięci w szereg, a oni z ukrycia mierzyli nam z góry prosto w twarze.

Czułem miejsca na skórze, w które wpatrywały się groty. Zewsząd. Stali tam nadal za naciągniętymi łukami, zupełnie nieruchomo, okręceni bluszczem albo najeżeni iglastymi gałęziami, niczym żywe drzewa.

Kilku pojawiło się z tyłu, a kilku z przodu. Ci nie mieli w rękach łuków, dobyli tylko mieczy. Nosili okrycia z sieci wraz z kapturami i z muślinem na twarz, zupełnie jak kireneńscy zwiadowcy, lecz ich kaftany nie były burożółte, tylko zielonkawe.

– Składać broń na płaszcz – oznajmił jeden z nich, rzucając na drogę wełnianą pelerynę.

– Posłuchać – westchnąłem, odpinając miecz i nóż od pasa. Nikt z moich się nie odezwał, ale wszyscy uczynili to samo. Tamci otoczyli nas kręgiem, któryś z nich wysunął ostrze kawałek z pochwy i cmoknął z uznaniem, po czym ułożył broń równo jak drągi na opał i związał płaszcz w tobół, a potem wrzucił na jeden z naszych wozów.

– Odsłonić twarze – warknął ten sam mąż, unosząc sztych ku moim oczom.

– Posłuchać – powiedziałem znowu, ściągając rzemienie i pozwalając skórzanej, wzmocnionej kolczą plecionką masce opaść mi na pierś.

– Zdjąć hełmy i na wóz – padł następny rozkaz. Zdjęliśmy je więc, z brzękiem stali powpadały gdzieś między burty a stosy beczek. Za chwilę powędrowały tam też nasze kusze i sakwy pełne bełtów.

– To nie Węże – powiedział ktoś.

– Wiedziałem – odezwał się ponownie ten sam mąż. – Dlatego jeszcze żyją. Ręce pod pęta! Idziecie przed oblicze Sanpara Idącego za Gwiazdą, styrsmana Niedobitych, on zdecyduje, co z wami zrobić. Bierzemy wasze zwierzęta, beczki, wozy i broń. Pozostało ustalić, co będzie z waszym życiem.

Ulf kładł nam do głowy, by się nie poddawać. Nigdy. Nie miał na myśli, by nigdy nie składać broni, ale by nie poddawać się w sobie, w duszy. Twierdził, że można uciec z każdej niewoli, a walczyć czymkolwiek, co znajduje się wokół. Byle nie przestać myśleć.

Prowadzili nas spętanych za naszym własnym taborem i byliśmy bezbronni. Według tego, co mówił Nitj’sefni, teraz należało spokojnie czekać na właściwy moment.

Zwykle ręce wiążą człowiekowi z przodu lub z tyłu. Na polu bitwy mało komu chce się nosić żelazne okowy albo dyby do zakuwania. A związanymi

rękami można rozpiąć z przodu kaftan i dostać się do pasa noszonego pod spodem, w wypadku gdyby ten na wierzchu zabrali. A wtedy można namacać żelazną klamrę, podnieść osłaniający ją od góry zawias i pod spodem znajduje się ostrze wystarczające, by przeciąć każdy rzemień. Z tyłu też można rozpiąć rozcięcie kurty i dostać się do płaskiego noża wsuniętego poziomo w pas. Dopóki nie zabiorą kurty, pozostaje jeszcze łańcuch ukryty w jej pole oraz ostre gwiazdki do rzucania w kieszeniach za pazuchą, o które także można rozciąć rzemień. W każdej sytuacji pozostają również ręce, którymi można bardzo wiele zrobić. To jednak nic nie pomoże, jeśli w sercu człowieka nie ma już woli, tylko rozpacz.

W moim mieszkał tylko gniew. Czułem, że to koniec mojej misji. Tyle zyskałem, że przejechaliśmy kawałek przez Ziemię Kruków, i poszliśmy w niewolę. Teraz idziemy spętani górskim szlakiem wśród milczących, przebranych za ahałrysy wojowników, a Woda czeka na próżno gdzieś wśród Gór Sępich, otoczona rydwanami „Ognistego” tymenu.

Nie wystarczyło rozciąć pęt i uciec. Potrzebowaliśmy broni, ale nade wszystko potrzebowaliśmy beczek. Bez nich nie mogliśmy opuścić Ziemi Żeglarzy.

Prowadzili nas stromym i wąskim, pełnym kamieni szlakiem, wspinającym się zakosami. Wkrótce trzeba było pchać wozy, bo onagery, mimo że silne jak woły i wytrzymałe, zaczynały ustawać i przeraźliwie ryczeć. Ci, którzy nas pojmali, nie zapalili pochodni i szliśmy w coraz gęstszych ciemnościach, bo niebo spowiły chmury. Wokół majaczyły tylko skały i zbocze góry.

– Mogę uwolnić się z tych pęt, tohimonie – usłyszałem bardzo cichy szept Szkarłata. Mówił po amitrajsku.

– Czekaj na rozkaz – syknąłem w tej samej mowie. I dalej szliśmy przy wtórze sapania i kroków na kamieniach. Zaczął mżyć drobny deszcz.

Po długiej wodnej mierze stanęliśmy, wydostawszy się na płaski kawałek górskiej łąki u stóp szczytu.

Staliśmy i czekaliśmy otoczeni kręgiem łuczników, wyprowadzeni pod skalną ścianę bez żadnej osłony. Łucznicy stali w takiej odległości, że nie zdołalibyśmy do nich dobiec, choćbyśmy mieli miecze w rękach, a mimo to nie chybiliby nawet z zamkniętymi oczami. Mogliśmy tylko czekać, co się stanie, więc czekaliśmy.

Po jakimś czasie znikąd pojawił się człowiek z pochodnią, po nim drugi i trzeci. W migotliwym blasku ujrzeliśmy, że stojący przed nami zdjęli strzały, a potem dobyli mieczy, pojawili się też włócznicy.

– To całkiem co innego – powiedział N’Dele. – Na twój rozkaz?

– Na razie czekaj – odrzekłem. – Sto razy mogli nas już zabić.

Włócznicy podeszli bliżej, po czym poprowadzono nas wzdłuż skalnej ściany.

– Do środka! – zawołał ktoś. Nie miałem pojęcia, do środka czego, staliśmy wszak na hali pod skałą, ale okazało się, że to, co uznałem za zbocze, było kamiennym murem, a właściwie wałem ułożonym ze złomków skalnych, który zasłaniał wejście do pieczary.

Była dość duża, jej dalsza część kryła się w mroku, lecz środek oświetlało palenisko obłożone kamieniami, gdzie na żelaznym drągu lśniła od tłuszczu tusza górskiego koziołka, a dookoła na derkach i skórach siedzieli ludzie. Pod ścianami zgromadzono worki i bukłaki, ustawiono tam też broń. Tych w pieczarze było kilkunastu, chyba że więcej kryło się w mroku, gdzie mogły być korytarze i kolejne jaskinie. Od rzędów mieczy, łuków i włóczni przy ścianie oddzielało nas ledwie paru ludzi siedzących wygodnie na ziemi z miskami, rogami bądź kawałkami mięsa w rękach. Na wprost nas na składanym zydlu ze skrzyżowanych żerdzi i płata skóry siedział mąż okryty zielonym płaszczem, z narzuconym kapturem, jednak jego twarz pozostawała w cieniu.

– Gotowi – mruknął Spalle.

– Ja biorę tego z przodu, wy broń i ustawiacie diament wokół mnie. Potem zobaczymy. Na mój rozkaz.

– Dlaczego ich sprowadzasz? – odezwał się człowiek na zydlu, wymawiając głoski mowy Wybrzeża jakoś gardłowo, z dziwnie znajomym chrapliwym brzmieniem. – Mówiłem: uderzać i odskakiwać. Nie zostawiać żywych.

– To nie Węże, Sanparze – powiedział mąż, który nas pojmał. – Kazałeś, żeby ci mówić, kiedy zdarzy się coś dziwnego, a zwłaszcza o dziwnych wędrowcach. Ja zaś myślę, że to mogą być Żeglarze, którzy uwolnili nas od tego psa Płaczącego Lodem. Wtedy też nie mieli swoich znaków, a nosili się na biało. Zostawić ich nie mogłem, bo szli prosto na Żarłoczną Górę, a to, co wiozą w beczkach, to musi być smocza oliwa. Nie mogła wpaść

w ręce Węży, nie mówiąc już o ich samostrzałach. Jeszcze nie widziałem takich, które dałoby się naciągać równie szybko.

– Rozumiem – powiedział znów tamten z dziwnym charkotliwym „r”, jakby dźwięki nie mieściły mu się w gardle. – Nich więc sami powiedzą, kim są i co zamierzali.

Wystąpiłem naprzód i wszedłem w blask paleniska.

– Tak Żeglarze wymawiają twoje imię? „Sanparze”? – rzekłem, bo wiedziałem już.

Znieruchomiał na chwilę, a potem wstał, odrzucając płaszcz.

– Opuścić broń – warknął do swoich tym zardzewiałym głosem, który tak dobrze znałem.

A potem przeskoczył palenisko i chwycił mnie za ramiona.

– Nie poznałbym cię, tohimonie. Czas zrobił z ciebie mężczyznę i poznaczył bliznami.

– Za to ja poznałem ciebie, synu Cieśli. – Nie skończyłem, bo w tej chwili doskoczyli do nas N’Dele i Benkej i we czterech spletliśmy się ramionami. Zacisnąłem kilka razy szczęki, czując kłucie za oczami, a Benkej miał łzy na policzkach i zupełnie się tym nie przejmował.

Obejmowaliśmy się tak długo, a w jaskini wszyscy stali już na nogach, przekrzykując jeden drugiego, i nikt nie wiedział, co się dzieje. Nikt poza nami.

– Hjorwardi! – krzyknął w końcu Snop syn Cieśli. – Druhu, jesteś najmędrszym z moich ludzi. Czy wiesz, kogo sprowadziłeś mi ze szlaku? Gdybym jutro dowiedział się, kto leży na kamieniach naszpikowany twoimi strzałami, nie chciałbym żyć dłużej. Dzięki twojemu rozsądkowi spotkałem tych, których szukałem od dawna. Oddajcie im broń i wszystko, co mieli. To są nasi bracia.

Hjorwardi, który okazał się długowłosym blondynem o ciemnych brwiach i lekko krzywym nosie, najpierw stał przez chwilę zaskoczony, potem wzruszył ramionami i skinął głową styrsmanowi, uderzając dłonią o naramiennik.

– Zatem wypijmy razem miodu i posłuchajmy opowieści – rzekł spokojnie Snop.

– Bracie – powiedziałem – zanim dojdzie do uczty i opowieści, niech twoi ludzie pozwolą nam pomówić na osobności. Wiele się zdarzyło i wiele spraw stało się jasne. Zatrzymaliście nas w drodze z losem Kirenenów na

barkach, a ten los musi się wypełnić za dziesięć dni. Znalazłem odpowiedź i musisz jej jak najszybciej wysłuchać.

Spoważniał, oparł mi dłoń na ramieniu, po czym kiwnął w stronę jednego z mrocznych korytarzy prowadzących w głąb góry.

– Gdybym nie znał cię tak dobrze, tohimonie – powiedział, popijając łyk – musiałbym uznać, że pomieszało ci się w głowie. Okręty z lodu? Ludzie, którzy spadli z gwiazd? Smoki ryjące korytarze pod ziemią? Czyniąca zamieniająca ludzi w koziołki i sarny? Wulkan, który rodzi zamek?

– Kiedyś opowiem ci to porządnie. Teraz jednak musisz mi po prostu zaufać, zwłaszcza że wiele z tych rzeczy zobaczysz na własne oczy. Jestem Nosicielem Losu i ten los tak właśnie wygląda. Dobre pytanie zaś to: co zrobisz teraz.

– Złożyłem agiru. Idę z tobą. Niech połknie mnie smok i tak dalej.

– Twoi ludzie nie będą szczęśliwi. A zabrać ich chyba nie możesz. Zbyt wielu ich. Uważają cię za styrsmana, jak to się mówi. Zostałeś głową klanu?

Pokręcił głową.

– To długa historia. Uciekłem wczesną wiosną, gdy tylko nauczyłem się mówić jak tutejsi, i robiłem wiele rzeczy, żeby mnie nie złapali, a potem jeszcze wiele innych. Zabiłem paru ludzi, ale kiedy opuściłem Ziemię Niedźwiedzi, nikt o tym nie wiedział, musiałem jedynie pilnować, żeby nie zobaczono piętna na moim barku. Ważne zaś jest to, że szedłem tropem N’Dele i jego właściciela, tego, co tak pięknie mówił po amitrajsku.

– Jest tu ze mną – przerwałem mu.

Pokiwał głową.

– Skoro mamy tak mało czasu, mniejsza o moje przygody. Szedłem ich tropem, bo ani ciebie, ani Benkeja nie miałem jak wyśledzić. Oni zaś wędrowali od sadyby do sadyby, od jarmarku do wiecu, i zostawiali za sobą ślad, ludzie gadali, więc łatwo było za nimi nadążyć. Polowałem, czasem zatrudniałem się jako cieśla, grałem w deseczki na pieniądze i nawet śpiewałem, przygrywając na tym ich niby-cintarze. W taki sposób gdzieś tam dostałem imię, bo nikt nie potrafił mnie zatrzymać dłużej niż chwilę w jednym miejscu. Pewnego dnia pod koniec lata zobaczyłem, jak z nieba spada gwiazda, i wtedy już wiedziałem, że idę w dobrą stronę. Do Ziemi

Kruków dotarłem zimą, w czasie kiedyście już stamtąd odeszli. Zostałem w Kruczym Dworze, bo gdzieś musiałem przezimować. A potem nadeszli Węże. Jak tylko puściły mrozy. Dosłownie w przeddzień mojego odejścia. Wzięli się znikąd. Biliśmy się przez dwa miesiące i w końcu dwór padł. Nie był dobrze przygotowany do obrony, a po tym jak zabraliście Kungsbjarna, Kruki żarli się ze sobą i nie umieli wybrać styrsmana. Raz dowodził ten, to znowu tamten, a każdy był durniem. Wreszcie stało się jasne, że dwór padnie, więc zgromadziłem wokół siebie rozsądniejszych, by wyprowadzić ich w góry przez tajne wyjście. Przebiliśmy się, ale to była masakra, zaś ci, którzy upierali się, że ich murów nikt nie potrafi zdobyć, zostali wyrżnięci albo poszli w pęta. Nam się udało i zapadliśmy w górach. Potem nauczyłem ich sposobów walki tropicieli. Jest tu, w górach, miejsce, gdzie siedzą kobiety i dzieci, które ocalały, pod osłoną resztek plemienia, a ja z tymi tutaj robimy podjazdy na Węży i zdobywamy dla nich, co się da. Atakujemy znikąd i znikamy, pozostawiając trupy. Lecz to wszystko na próżno. Ze wszystkich Kruków ocalała niespełna setka. Stracili siedzibę, stracili kapłanów. Kobiet jest dziesięć, z czego cztery stare, a dzieci pięcioro. Próbowałem odejść z nimi do morza i poszukać szczęścia gdzie indziej, ale chcą siedzieć tutaj, bo mówią, że to ich ziemia. Ich! Nie zbudują tu nawet chałupy, nie wyjdą w pole, a po tej niby ich ziemi Węże jeżdżą, gdzie chcą. Pojawiają się to tu, to tam. Dawno już chciałem iść do morza i szukać was, ale pochłonęła mnie wojna. Mała, głupia wojna Żeglarzy.

– Nie jest taka mała – odparłem. – Całe Wybrzeże Żagli tak wygląda. Lecz możesz powiedzieć swoim, że jeśli zrobimy, co mamy zrobić, to Węże odejdą z ich ziemi. Ruszą zewsząd do morza na zew swojego szalonego króla i wypłyną. O ile nam się uda i o ile uda się Ulfowi.

– Nie tylko. Dzięki tobie wiemy też, skąd się tu biorą Węże, i to także im powiem. Znamy tajemne ścieżki i przejścia do Kamiennych Kłów, o których nie słyszeli. Nie zapuszczaliśmy się tam, bo Żarłoczna Góra potrafi przywabić nieostrożnych wędrowców, ale jeśli Węże pojawiają się stamtąd, to będziemy umieli zastawić na nich zasadzkę.

Wstał z beczki, na której siedział, a ja wstałem ze swojej.

– Idziemy na ucztę, Filarze. Pozwól mi mówić. Niech sądzą, że to ja wydaję rozkazy i że wszystko będzie tak, jak sam zdecydowałem. Inaczej nie zrozumieją. Nauczyłem ich walczyć tak, jak walczą tropiciele, ale

pozostali dzikimi Żeglarzami, którzy są trochę jak dzieci i łatwo im wmówić, że sprawy toczą się po ich myśli.

Obóz pod przełęczą zwaną Kamiennymi Kłami był urządzony dobrze. Mieli dobry widok na wspinający się pod górę trakt, sami będąc niewidoczni, pod osłoną piętrzących się wszędzie skał, a gdyby zobaczyli kogokolwiek, kto zmierza w stronę przełęczy, wystarczyło poczekać, aż znajdzie się pomiędzy dwoma wysokimi kamiennymi sterczynami poznaczonymi żółtozielonymi plamami porostów, i nadepnąć na dwie belki wetknięte umiejętnie pod stertę kamieni. Głazy poruszyłyby się majestatycznie, a potem runęły w dół zbocza, wzbijając tuman pyłu i zamieniając stok w piekło toczących się i skaczących skał, które zmiotłyby wszystko aż do dalekiej linii karłowatych iglastych krzewów. Gdyby jednak to nie wystarczyło i natręci zdołali podejść bliżej, w stronę ostatniego zakrętu, wystarczyło sięgnąć po łuki i strzelać do nich jak do snopków, podczas gdy tamci musieliby pełzać na brzuchach, co chwila rażeni kolejnymi strzałami, bezskutecznie szukając jakiejkolwiek osłony przed sypiącą się z góry śmiercią.

Gdyby zdarzyło się jeszcze tak, że jakimś cudem ktokolwiek by przeżył i zbliżył się jednak bardziej do przełęczy, pomiędzy usypanymi z kamieni ścianami siedziały przykute za nogi jeden do drugiego cztery kraby. W tej chwili kucające, z ostrzami schowanymi pod pachami i nakryte płaskimi blachami hełmów, przypominające przysadziste głazy, nieróżniące się wiele od otaczających je skał, patrzące tępo czarnymi szczelinami wizur. Po dwa po obu stronach traktu. Siedziały w zasadzie nieruchomo, od czasu do czasu tylko kołysząc się i wydając ciche, żałosne dźwięki.

Mieli też zapasy, mieli wodę, którą przynieśli ze sobą w bukłakach, i doskonały widok na wszystko, co dzieje się poniżej.

I żadnej osłony z góry.

Węże trzymali wartę przez całą noc, cichą, spokojną i taką samą jak wszystkie inne, które spędzili u stóp ponurej, zwieńczonej kamiennymi kłami przełęczy chroniącej dostępu do tajemnic Żarłocznej Góry.

Niewielki, osłonięty kamieniami ogień pełgał słabo, rzucając drżący poblask właściwie tylko na leżące rzędem splecione z lin i pakuł kule nasączone paliwem i zakończone kawałkami łańcucha. Wystarczyłby jeden

okrzyk, żeby odpalić je, rozkręcić i cisnąć w dół, by tam płonęły, oświetlając cele.

Jednak nigdy nie były potrzebne.

Jeden wartownik na zmianę siedział przy ogniu i co jakiś czas obchodził obóz, drugi wypatrywał oczy, obserwując trakt poniżej, mimo że mógł tylko patrzeć w ciemność i nasłuchiwać. Przez wiele dni przywykł do tego, że noc w górach nigdy nie jest całkiem cicha. Od czasu do czasu słyszał obsuwający się kamyk trącony przez skalnego świstaka, gwizd wiatru na ostrych szczytach skał, daleki szum drzew albo krzyk nocnego ptaka.

Tej nocy działo się tak samo. Raz i drugi osypały się jakieś kamyki, zaskrzeczał rozpaczliwie ptak, który zapuścił się zbyt wysoko, a po chwili odpowiedział mu drugi z zupełnie innej strony, zazgrzytał żwir pod przebiegającym świstakiem. Nic podejrzanego.

Poza tym noc była ciemna, głucha i spokojna.

Niebo zaczęło szarzeć powoli, jak to na północy, gdzie noc odchodzi marudnie i niechętnie, a od pierwszego brzasku do pojawienia się czerwieni tarczy słońca trzeba czekać w nieskończoność.

Świt jednak nastawał, zrazu nieśmiało, jakby zdejmowano kolejne warstwy ciemności, niczym muślinowe okrycia na ciele tancerki. Noc najpierw oddała światu zarysy skał malowanych szarością, blady poblask węgli w ognisku, potem okręcone burymi kocami rzędy śpiących ludzi zmienionych w posapujące, chrapiące i mlaskające tłumoki, oparte o skałę łuki i włócznie, złożone jak trójnogi topory.

A potem mrok stopniowo ustąpił i świat uwolnił się niepostrzeżenie z władzy nocy. Na razie składający się z odcieni szarości, płaski jak malowany na płótnie rozwodnionym tuszem, ale już dobrze widoczny.

Znowu rozległ się samotny, przeciągły pisk polującego sokoła i zewsząd z góry dobiegł dźwięk przypominający ciche skrzypienie, wartownik poderwał się na nogi, rozglądając po skałach, ciemnych na tle szarego nieba, a po jednym uderzeniu serca powietrze zawyło, jakby przecięła je stal dziesiątek kebiryjskich szabel. Równocześnie cała skalna półka, na której rozłożył się obóz, pokryła się połamanymi, rozszczepionymi na końcu prętami strzał, pionowo w górę sterczały tylko te, które wbiły się pomiędzy kamienie albo w bure wełniane tłumoki wtulone pomiędzy skały, w worki i bukłaki. W powietrze buchnął przeraźliwy chór zaskoczonych wrzasków.

Wartownik stał wyprężony i wygięty do tyłu, usiłując sięgnąć ręką do drewnianego promienia wystającego mu z pleców. Druga strzała przeszywała jego szyję na wylot, pyszniąc się z jednej strony farbowaną brzechwą. Zakręcił się z rozrzuconymi ramionami, na czubkach butów i nim upadł, wydawało się, jakby tańczył. Jego kolega nie zdążył wstać, złamał się w modlitewnym ukłonie i został tak pochylony, mierząc w niebo trzema pierzastymi brzechwami. Spośród śpiących większość pozostała nieruchomo, tak jak przedtem, jakby naprawdę zmienili się w worki, tylko teraz naszpikowane strzałami. Kilku zwijało się na ziemi, wyjąc, mnąc w garści przemoczone od krwi koce i orząc żwir podeszwami butów. Ledwie paru zdołało zerwać się na nogi, jeden, kuśtykając na zranionej nodze, doskoczył do własnego łuku, odwrócił się ku zboczu i wypuścił strzałę na oślep, mimo że w tej samej chwili sam miał dwie w piersi, drugi rzucił się przed siebie, nie zwracając uwagi na przebijające go pociski. Kiedy dopadł do krabów, pełznąc już na czworakach, z jego barku, boku i środka pleców sterczały trzy brzechwy, kiwając się za każdym oddechem. W końcu zwinął się w kłębek jak robak, a otwarta kłódka wypadła mu ze śliskich od krwi palców. Łańcuch z grzechotem wyślizgnął się z kutego kółka wbitego w skałę, niczym wąż.

W tym momencie powietrze znów zawyło, dźwiękiem jak przelot stada stalowych jaskółek, i na skały spadł kolejny deszcz strzał z upiornym grzechotem grotów dziobiących kamienie, żwir i żywe ciała. Trzy kraby miotały się z wrzaskiem wokół, tnąc ostrzami nadlatujące strzały i krzesząc pęki iskier na kamieniach, a pociski odbijały się od ich blach, tylko ten czwarty zapadł się w sobie niczym rozdeptany, a w dziurach wybitych w stali tkwiły dwa znacznie krótsze, lecz masywniejsze bełty o brzechwach wyciętych ze skóry, niemal nie wystając na zewnątrz.

Rozległ się miarowy, powtarzający się terkot zapadek i kolejny stwór zatrzymał się pod naporem bełtów, które wbijały się poprzez blachy, wgniatając je do środka z siłą, która wstrząsała opancerzonym ciałem. Trzeci został trafiony kotwiczką, która odbiła się między skały, potem kolejną, i ta zaczepiła się już między płytami pancerza, gdzieś z boku w przepaść runął głaz opleciony łańcuchem, który napiął się i powlókł wydające przeraźliwy pisk, siekające ostrzami kos stworzenie za krawędź zbocza, a potem w dół, z ogłuszającym łoskotem blach.

Ostatni krab rzucił się w beznadziejnej szarży pod górę, ale wtedy na jego przednim pancerzu rozbryznął się gliniany pocisk, za dwa uderzenia serca zamieniając go w oślepiającą kulę ognia, która potoczyła się w dół zbocza. Krab otworzył się nagle, gubiąc bezwładne, blade i wychudzone ciało, po czym runął w przepaść, hucząc warkoczem ognia i iskier.

Pośrodku pobojowiska, które przed momentem było obozem, klęczał ostatni z Węży, spowity w poczerniałą zbroję. Mimo wszystko kilka strzał z całego pęku, jaki w niego trafił, znalazło drogę pomiędzy płytami pancerza. Wąż klęczał i wydawał z siebie przeraźliwy ryk gniewu i rozpaczy. Klęczał z rozrzuconymi na boki ramionami, a potem oparł jedną stopę na ziemi i próbował stanąć. Trzy bełty miotnęły w niego jeden po drugim z hukiem przebijanej blachy i podrzucając nim w miejscu, ale nadal się podnosił. Wstał w końcu i przestał ryczeć, za to na jego dłoniach z trzaskiem zaczęły tańczyć błękitne płomyki. Otworzył usta, ale zamiast wykrzyczeć klątwę, prychnął tylko krwią i runął na twarz z blaszanym łomotem. Płomyki na jego dłoniach zgasły.

Zapanowała cisza.

A potem rozległ się chóralny, ogłuszający odgłos krakania, jakby masakra ściągnęła wszystkie kruki z okolicy. Niedobici wykrzykiwali górom swoją zemstę i swoje zwycięstwo.

Opuściłem kuszę i wstałem, by spojrzeć z góry. Droga na przełęcz była otwarta. Nie chciało mi się krzyczeć. Chciało mi się napić wody.

Dźwięk rogu odbił się od ponurych skał, grzęznąc wśród oparów cuchnącej mgły i szeptów, a potem wrócił wielokrotnym echem.

Staliśmy i czekaliśmy w ciszy, z sercem bijącym w piersi. Zagrałem jeszcze raz i nie miałem innego wyjścia, tylko ruszyć pomiędzy mgły i widziadła, wśród sterczących wszędzie skał i jeziorek, w których bulgotała smrodliwa woda.

Szedłem i szedłem, a w każdej chwili wijące się wokół chmury mogły sięgnąć po mnie tysiącem koszmarów, od których bym oszalał i rzucił się sam do paszczy góry. Szedłem i modliłem się do Stworzyciela, do Idącego pod Górę, a także do Ulfa i jego nadaku. Nic się jednak nie stało i w końcu dotarłem do okrągłego placu otoczonego skalnymi stożkami. A potem stanąłem pośrodku i czekałem, aż odwrócą się do mnie i uwolnią podobne do poczwarek istoty, spoglądające na mnie ciemnością swoich tunelowych kapturów.

– Kim jesteś, że niepokoisz Szepcących do Cieni? – zapytał któryś.

– Jestem tym, którego przysłało Skrzydlate Oko – odrzekłem, jak kazał Ulf, i czekałem.

– Ten, który chce rozpętać wojnę Pieśniarzy. Ten, który sprowadzi zagładę. Ten, który przemierza sny jako głowa ze skrzydłami. Dostaniesz Robaka, ale zasady zostały te same: musisz nakarmić Górę.

– Nakarmię. Teraz wrócę ze swoimi ludźmi. Odsuńcie koszmary i otwórzcie przejście przez Kamienne Kły.

Jeden z nich bez słowa uniósł rękę i wskazał na przełęcz długim, krzywym palcem. Mgły natychmiast rozstąpiły się i uciekły pod skały otaczające płaskowyż niczym korona.

Wozy, które od świtu holowaliśmy na górę, mozolnie, krok po kroku, walcząc o każdy obrót koła, już czekały. Skinąłem głową.

Tu się rozdzielaliśmy – Wędrujący Nocą i Niedobici.

Snop uścisnął każdemu przedramię i kark, po czym wygłosił kilka cichych słów. Na koniec stanął przed Hjorwardim.

– Druhu, teraz odejdę, ale niebawem wrócimy, wiodąc wielu. Jeśli jednak nie, będziesz wiedział, co robić dalej. Czynię cię styrsmanem po mnie. Kryj się w górach, uderzaj i odskakuj. Bądź niewidzialny i zabójczy niczym skorpenica. Niczego więcej cię już nie nauczę, ale wystarczy twój rozsądek. Jeśli zaś się nam powiedzie, wszystko się zmieni, a Węże zostaną pobici.

Pożegnaliśmy się, a potem oni ruszyli w dół, a my przez przeklętą dolinę pełną mgieł i oparów wprost ku dziwacznej półżywej skale w kształcie ściętego stożka, o schodach zbyt wielkich dla ludzi, która kryła jaskinię Robaka.

Kiedy dotarliśmy już do cuchnącej jamy kryjącej paszczę Góry, musieliśmy najpierw zabić onagery, które ciągnęły wozy, i wszystkim nam czyn ten wydał się przykry i haniebny, mimo że tego ranka każdy z nas zabił kilku ludzi. Biedne zwierzęta jednak nie uczyniły nikomu nic złego i niczemu nie były winne prócz tego, że musieliśmy nakarmić Żarłoczną Górę.

Potem wrzuciliśmy do jamy trupy wszystkich zabitych Węży, a potem zaczęliśmy staczać beczki i po odbiciu denek wylewać do jamy całe potoki zgniłych ryb, posiekanych i zbitych w cuchnącą masę, żeby zmieściło się ich jak najwięcej. Powietrze zrobiło się aż gęste od smrodu i musieliśmy obwiązać twarze chustami, a mimo to wymiotowaliśmy.

– Mają być ludzie – odezwał się Szepcący do Cieni, który pojawił się nie wiadomo skąd i łypał na mnie otworem kaptura. – Człowiek za człowieka. Tym chcesz nakarmić Górę? Onagerami i zgniłymi rybami? Oraz kilkoma trupami?

– Góra zostanie nakarmiona – powiedziałem, odstawiając pustą beczkę, podczas gdy przeklinający pod nosem Njorvin i Benkej staczali z wozu kolejną. – Zaś Skrzydlate Oko, które lata wszędzie i wie wszystko, twierdzi, że kłamiesz. Góra je wszystko, co kiedykolwiek żyło, bo dla niej to magiczny pokarm zwący się „beomassa”. Przedwieczni nie karmili Robaka sobą, tylko tym, czego nie potrzebowali, choćby i gnojem albo drewnem. I nie „człowiek za człowieka”, bo Robak jest taki sam, czy wiezie jednego, czy tysiąc. Oko powiada, że na jednego człowieka wystarczy tyle „beomassa”, ile waży garniec piasku.

– Zobaczę, czy pojawi się światło – odrzekł na to. – Jeśli tak, Robak przybędzie dla was. Jeśli nie, nakarmicie Górę sobą.

Poszedł, a my karmiliśmy Żarłoczną Górę, po czym wrzuciliśmy same beczki i wyglądało na to, że zębatym paszczom nie robi to różnicy.

A potem stanęliśmy plecami do siebie, poluzowaliśmy miecze, unieśliśmy kusze i czekaliśmy.

Długo.

Rozdział 11

Niewidzialny Tygrys

Niewidzialny tygrys idzie
– ziemia szepce.
Niewidzialny tygrys miękką
trawę depce.

Jego ślepia – dwa księżyce – lśnią
w ciemności.
Jego serce – płomień płowy
wśród nicości.

Strzeż się, wrogu, strzeż się, szpiegu,
mgieł nad drogą.
Niewidzialny tygrys kroczy
tuż za tobą!

(Tygrys idzie, Kirenen)

Siedzieliśmy u wylotu jaskini, obok siebie, w milczeniu. Wokół nas wznosiły się dziwne budynki przysypane piaskiem, niektóre jak białe kule na słupach, inne jak grzyby albo płaskie misy. Niektóre pogrążone były w rdzawym i złotym piachu, inne przechylone.

Niebo tam, gdzie patrzyliśmy, płonęło barwami złota, rozżarzonej na palenisku stali i polerowanej miedzi. A potem ziemia zaczęła wypluwać wielki, płonący czerwienią dysk.

Milczeliśmy.

– Słońce Amitraju – powiedział Snop zdławionym głosem. – Nigdzie na świecie tak nie wygląda.

– Tego słońca będzie mi najbardziej brakowało – zawtórował mu Benkej.

Każdy kraj ma własny zapach. Zupełnie inny. Jest bardzo ulotny i ludzie, którzy siedzą w jednym miejscu, wcale go nie czują. Wystarczy jednak, że przybędzie się do nowego miejsca, i każdy oddech mówi człowiekowi, że już nie jest u siebie. Co więcej, nawet jeśli spędziło się długą noc, siedząc w zalatującym tranem i octem brzuchu podziemnego smoka, a potem wychodzi się o świcie z na wpół zwalonej jaskini prosto na ciągnące się w nieskończoność pustkowie, gdzie nie widać nic prócz spękanej ziemi, skał, kęp trawy i kalecznika, wystarczy zaczerpnąć powietrza i już się wie.

Pamiętałem gorzkawy, surowy zapach Nahel Zymu. Był jak wiatr, przestrzeń i tajemnica. Jak piasek i sól. Z kolei Wybrzeże Żagli miało zapach żywicy, dymu i skisłego mleka oraz piżma. Ciężką, ostrą woń dzikiego zwierzęcia.

Nie myślałem o tym, póki nie poczułem w nozdrzach ulotnej mieszaniny jakby kadzidła, kwitnącej letycji, świeżo upieczonego ciasta i lekkiego odoru łajna gdzieś pod spodem. Natychmiast go rozpoznałem.

Amitraj.

Byłem w domu. Robak wypluł nas tam, gdzie miał powiedziane. Podróż ciągnęła się w nieskończoność i nie było tam nic prócz szarpiącego pędu, mdłości, kręgów światła sunących wzdłuż brzucha potwora oraz upływającego powoli czasu. A jednak dotarliśmy.

Patrzyliśmy na wstające nad Amitrajem słońce i milczeliśmy. Niebo zaczynało się pokrywać błękitem, wyganiając granatową czerń pustynnej nocy.

Kiedy tylko przybyliśmy, odszukaliśmy zasypane piaskiem otwory, gdzie kryły się usta tutejszej góry, które będziemy musieli nakarmić przed

powrotem. A potem przycupnęliśmy u wylotu jaskini, by spojrzeć Amitrajowi w twarz.

Siedzieliśmy tak jeszcze trochę, pykając fajki, podając sobie bukłak z rozwodnionym morskim miodem, żując suszone mięso i ser. Za chwilę mieliśmy być jak polujące skalne wilki. Wiecznie w biegu, wiecznie czujni i drapieżni. Kryjący się w cieniu i szczerzący stalowe kły. Teraz została nam tylko ta ostatnia chwila oddechu.

Szkarłat także siedział, trochę wyżej, w wejściu jaskini. On również dostał jedzenie i żuł mięso bez słowa sprzeciwu. Napój daliśmy mu w kubku. Mimo że był najbardziej niekłopotliwym jeńcem, jakiego można sobie wyobrazić, to nikt nie miał ochoty dzielić z nim tego samego wylewu bukłaka.

Snop rozwinął mapę, którą dostaliśmy, wymalowaną na jedwabnej chuście, i przycisnął rogi kamieniami, a potem położył obok „oko północy”, obserwując obracającą się źrenicę.

– Jeśli jesteśmy tam, gdzie mieliśmy być – rzekł – to musimy zmierzać na zachód, żeby trafić na ten kraniec Gór Sępich, o który chodzi.

– Nie prosto na zachód – odezwał się nagle Szkarłat. – Lekko na północ. Prosto na zachód jest kiszłak Barakardym. Mały i na tej mapie go nie ma, lecz jeśli w okolicy jest wojsko, to zawsze będą się tam kręcić, bowiem w wiosce jest studnia. Jest też jakiś szlak, a jeśli szlak, to rydwany i jeźdźcy. Trzeba obejść kiszłak, i to najlepiej nocą.

– Z tobą jest ten problem – odrzekł Snop – że nie wiadomo na pewno, czy kłamiesz, czy mówisz prawdę, więc rozsądnie byłoby uważać, że zawsze kłamiesz. Nie poznałem tego Wędrującego Nocą, ale nie wiem, czego się napił, że postanowił zaufać kapłanowi Podziemnej.

– Ma nade mną władzę, jakiej nigdy żaden człowiek nie miał nad drugim – odrzekł Amitraj spokojnie. – Ani ojciec nad synem, ani kochanka nad kochankiem. Nie zrozumiesz tego, lecz sama myśl, że mógłbym zrobić coś nie tak, jak sobie zażyczył, jest dla mnie nie do zniesienia. Cierpię choćby tylko dlatego, że jestem daleko od niego. Jego życzeniem jest, bym wam pomagał, nim odejdę, by zrobić to, co mi nakazał. Dlatego jeśli miałbym umrzeć po to tylko, byście mogli uczynić kolejny krok, to umrę z radością. Moje życie, które dał mi Ulf, jest pokutą. Nigdy jej nie zaniecham, aż się wypełni.

– Przerażasz mnie – powiedział Snop. – Albo łżesz, albo masz jeszcze gorzej pomieszane we łbie niż on.

– A jednak chyba mówi prawdę – rzekł na to N’Dele. – Czuję, że jego dusza jest spętana i odmieniona. Co więcej, on chyba chce, żeby tak było.

Słońce całkiem już wstało i zalewało równinę jaskrawym blaskiem, zrobiło się naprawdę gorąco i zaczęliśmy wszyscy pocić się pod naszymi strojami uszytymi z grubego, miękkiego płótna. Zostawiliśmy je więc w jaskini, a wyjęliśmy z juków lekkie, odpowiednie na upał, oliwkowo-brązowej barwy piasku, oraz pustynne płaszcze. Sprawdziliśmy broń, osiodłaliśmy konie, a potem usiedliśmy w kręgu, wyciągnąłem przed siebie pięść, a moi ludzie nakryli ją dłońmi, jeden po drugim. Przemówiłem do Idącego pod Górę, by spojrzał na nasze zamiary i oświetlił nam drogę. Przypomniałem sobie nasze pożegnanie w wykutej w skale zagrodzie niewolnych, tam, w kraju Niedźwiedzi, i poczułem kłucie w szczękach. Przełknąłem ślinę i powiedziałem na koniec:

– *Mosu kando. Naraho. Ikodu, askari!* Zostało powiedziane. Niech się stanie. Naprzód, żołnierze!

Kiedy siedzieliśmy, Szkarłat oparł pięści o skałę i trwał w ukłonie, aż wstaliśmy na nogi.

Jechaliśmy szybko, ale oszczędnie. By nie przemęczać jucznych zwierząt ani naszych wierzchowców, nienawykłych do skwaru. Także by nie wzniecać pyłu. Jeden zwiadowca zawsze jechał przodem, o dobre sto kroków od nas, zsiadając przed każdym wzgórzem, wydmą albo grupą skał, żeby spojrzeć z ukrycia na pustkowie przed nami.

Musieliśmy wystrzegać się każdego, nawet pasterzy, którzy mogliby wypędzić kowce na to skaliste pustkowie.

Kiedy słońce stało w zenicie, upał zrobił się nie do wytrzymania. I ziemia, i skały ziały gorącem, jakby wyprażono je w piecu, a niebo zamieniło się w morze ognia. Znaleźliśmy dość głęboki parów, gdzie zmieściły się nasze zwierzęta i my sami, a potem nakryliśmy go z góry sieciami i przykryliśmy wybielonymi przez słońce kolczastymi gałęziami. Pod spodem był cień, choć nadal panowało piekielne gorąco, tyle że blask słońca nie przepalał nas na wylot. Góry, które mieliśmy na horyzoncie, majaczyły rozlanym sinoróżowym śladem, niczym zrobione pociągnięciem pędzla, a powietrze drżało jak woda w wartkim strumieniu.

Konie ziajały jak psy i nie chciały specjalnej paszy z suszonych owoców i mięsa, natomiast szarpały się do bukłaków. Napełniliśmy skórzane wiadro i daliśmy im pić, wytarliśmy je z piany, a potem sami zwaliliśmy się na dno parowu, dysząc niczym ryby na plaży. Njorvin wyglądał najgorzej, był czerwony na twarzy i cały spływał potem, który kapał mu nawet z nosa i ciekł strużkami do oczu.

– Zamoczcie zawoje odrobiną wody – poradził Szkarłat.

– Szkoda jej – powiedział Snop.

– Zmocz zawój tylko Njorvinowi – powiedziałem. – Żeglarz słaba-chora. Ciota. Nie umi gorąc Amitraj.

Chciał mi coś odpowiedzieć, ale wydawało się, że braknie mu sił. Przetarł twarz mokrym płótnem, a potem okręcił nim głowę.

Przez jakiś czas siedzieliśmy, oddychając ciężko i usiłując przeczekać najgorszy upał. Snop wyczołgał się na brzeg parowu i obserwował, lecz prócz krążących po niebie sępów niczego nie było widać.

– Jeśli zobaczysz ciemne chmury, choćby daleko, musimy natychmiast uciekać – powiedział Benkej. – Jest wiosna i może padać deszcz, a tu, gdzie siedzimy, jest wyschłe dno potoku. Potrafi w jednej chwili wypełnić się rwącą wodą.

– Chciałbym, żeby tak było – powiedział Njorvin.

– W pierwszej chwili – odrzekł Snop. – W następnej żałowałbyś, żeś się w ogóle urodził.

Odczekaliśmy, aż słońce przewędrowało kawałek po nieboskłonie, a potem ruszyliśmy dalej.

Weszliśmy w okolicę, gdzie ziemia kiedyś była błotem, teraz wyschniętym i popękanym w kanciaste kształty.

Kawałek dalej jadący przodem Benkej zatrzymał się nagle, płosząc chmurę skrzeczących przeraźliwie sępów. Stał tam osłupiały, aż dojechaliśmy do niego. Znaleźliśmy się w niewielkiej dolince wśród skał, pełnej kości. W słońcu bielały rzędy żeber, szczerzyły się czaszki i sterczały rogi.

– To czerwone woły – wyjaśnił Szkarłat. – Byki kiedyś, przed nadejściem prorokini, wytrzebione na mięso. Teraz niepotrzebne, bo Podziemna nie pozwala spożywać ciał dzieci ziemi. Tylko to, co rośnie, a dla kobiet i dziewczynek także mleko i ser. Zostawili same krowy, ale

niewiele. Woły wypuścili, więc pozdychały z głodu i pragnienia. Wszędzie są takie cmentarzyska.

– Dziwne – odezwał się Benkej w zamyśleniu. – Sprawdziłem każdą kępę kalecznika. Ani jednego jabłka. Nawet zielonych.

– Dzieci chodzą w pustynię i zbierają wszystko, co da się zjeść, żeby odnieść do świątyni, tam, gdzie trafia wszelka żywność, którą rozdzielają kapłanki. W tej okolicy niewiele co rośnie. Kalecznik, porosty, piaskowe bulwy. A teraz jest głód. Za ugryzienie choćby kęsa podczas zbierania idzie się na stół ofiarny.

– Dla nas oznacza to jedno – powiedział Snop. – Wszędzie tu mogą się kręcić ludzie.

Szkarłat pokręcił głową.

– Nie tutaj. Tu jest wyzbierane wszystko, do ostatniego źdźbła. Ale im bliżej gór i szlaków, tym bardziej trzeba uważać.

Po jakimś czasie słońce opadło, a my jechaliśmy dalej, delektując się wieczornym chłodem. Robiliśmy jedynie krótkie popasy, by napoić konie.

A potem niebo pokryło się nagle czerwienią, a słońce zaczęło zapadać się pod ziemią, by wzejść nad podziemnym światem Pramatki. I wtedy poczułem, jak moje plecy obłażą mrówki, bowiem usłyszałem ponure zawodzenie konającego potwora. Rogi Czerwonej Wieży. Daleko, ale wyraźnie. Nie umiałbym zapomnieć tego dźwięku.

– Kiszłak Barakardym – powiedział Szkarłat. – Tak jak wam mówiłem. O dwie staje stąd, równo na zachodzie, wprost przed nami.

– Dobrze – powiedział Snop. – Nie jestem głuchy.

Wyjął „oko północy”, a potem wskazał dłonią na wprost swojego barku.

– Tam. Równym tempem, nie rozciągać szyku. N’Dele na szpicy.

Jechaliśmy więc w noc.

Nie widzieliśmy kiszłaku, poza tym, że gdzieś na horyzoncie migotało światełko, znikoma iskierka wśród nocy, po czym szybko zgasło.

– Oleju brakuje – wyjaśnił Szkarłat. – Więc lampę zapala się tylko tam, gdzie jest to niezbędne. Zresztą po zmroku wszyscy mają obowiązek spać. Trzeba mieć siły do pracy na polu. Tylko praca, modlitwa i sen. Mówią, że nie wolno pozwalać na bezczynność, bo wtedy ludzkie kowce natychmiast zaczynają knuć.

Świt zastał nas w kolejnym parowie, przykrytych siecią, a w oddali widzieliśmy jasną linię traktu. W powietrze wzbijała się ruda chmura pyłu, to szlakiem sunęły trzy rydwany. Jechały truchtem, niezbyt szybko, widziałem błyski słońca na zbrojach woźniców i kosach zatkniętych w gniazda na burtach niczym stalowe skrzydła. Strzelcy siedzieli z tyłu, ze zwieszonymi nad drogą nogami i podskakiwali na wybojach.

– Szlak idzie jeszcze staję na północ, a potem skręca w stronę gór – oznajmił Szkarłat. – Musimy cofnąć się w pustynię poza zasięg wzroku i obejść go od północy.

– Stracimy cały dzień – warknął Snop. – Lepiej odczekajmy, aż będzie pusty, i przetnijmy go w poprzek, a potem jedźmy prosto w góry. Tam będzie się łatwiej ukryć i skrócimy trochę drogę do doliny.

– Jeśli tak, to proszę, tohimonie, byś pozwolił mi założyć szatę istoty kapłańskiej, która jest w jukach. Wtedy nawet jeśli trafimy na wojsko, może przez chwilę uwierzą, że jesteście moją eskortą. A nawet jeśli nie, będą na tyle zaskoczeni, że zdążycie sięgnąć po broń. Wojsko teraz nie boi się niczego prócz świątyni i kapłanów.

– Ma rację – przyznałem niechętnie. – Co więcej, nie widzę, w jaki sposób mogłoby nam to zagrażać. Zróbmy, jak mówi, bo gdyby miał zdradzić, to i tak nie ma znaczenia, jak będzie wtedy ubrany.

Benkej sięgnął do juków na grzbiecie jednego z onagerów i wydobył zawiniątko z czerwoną szatą i maską. Szkarłat zsiadł z konia i ubierał się, a my patrzyliśmy na to w ponurym milczeniu.

Potem odczekaliśmy jeszcze trochę, by się upewnić, że na trakcie nie ma nikogo, odrzuciliśmy gałęzie i zwinęliśmy ostrożnie sieć. A potem Benkej poczołgał się na brzuchu, trzymając naładowaną i naciągniętą kuszę przed sobą, nakryty siecią. Zatrzymał się na szczycie kamienistej wydmy, wśród wyschłych kęp kalecznika, i obserwował szlak w obu kierunkach. Potem ukląkł i uniósł rękę, a my wystartowaliśmy z parowu, poganiając jadące w środku onagery. Trzymałem wierzchowca Benkeja za kantar i kiedy zbliżaliśmy się, tropiciel gwizdnął na konia, wskoczył w biegu, lekko i pewnie.

Przecięliśmy trakt najszybciej jak się dało, byle nie zgubić onagerów, a później pomknęliśmy w kierunku gór, które zaczynały wznosić się już na horyzoncie i wydawały się na wyciągnięcie ręki. Okolica stała się

pagórkowata, pokryta wzgórzami i skałami oraz powykręcanymi pniami suchych drzew.

Musieliśmy zwolnić i częściej sprawdzać drogę przed sobą. Sami byliśmy lepiej osłonięci niż na płaskim stepie, ale też nie bardzo widzieliśmy, co jest przed nami.

A potem trafiliśmy na kolejne trakty, właściwie oczyszczone byle jak z kamieni groble otaczające prostokątne połacie wyschniętego błota. Widocznie miała się w nich zbierać woda podczas zimowych i wiosennych deszczy, ale nie miałem pojęcia, co to miało dać, skoro potem wsiąkała w martwy i jałowy pył pustyni.

Kawałek dalej napotkaliśmy następne takie niecki i kiedy wiatr zawiał w naszą stronę, uderzył nas upiorny odór, a nasze konie wpadły w panikę. Gdy podjechaliśmy jeszcze bliżej, z błota uniosła się ogromna chmara much i stado kraczących przeraźliwie sępów.

A potem okazało się, że w błocie pomiędzy groblami znajduje się pełno ciał. Patrzyliśmy na kłębowisko powykręcanych kończyn, wzdęte brzuchy, zapadnięte w wyschłym błocie torsy, dłonie z zakrzywionymi palcami wygrażające niebu i głowy jak szare kamienie.

Na groblach łopotały szkarłatne proporce Pramatki z napisami: „Wszyscy są jednym, jeden jest wszystkimi”, „Matka rodzi wszystkim po równo” i podobnymi.

Wróciłem do domu.

– Ciemiężyciele – oznajmił Szkarłat. – To są Nowe Pola. Każdy kiszłak musi mieć takie. Pustynia zamieni się w kwitnący ogród, tylko trzeba ją nawieźć. Podziemna w swojej wieży pożera serca wrogów, a reszta ciała nawozi jej łono. Barakardym to mała osada, ale robią, co mogą.

Benkej splunął z siodła.

Przejechaliśmy tamtędy w ponurym milczeniu, lecz nawet kiedy zostawiliśmy Nowe Pola za sobą, wydawało się, że tłusty fetor padliny przylgnął do naszych ciał i przylepił się do odzienia.

Kawałek dalej znów trafiliśmy na pola, ale tym razem pracowali na nich ludzie. Widzieliśmy, jak brodzą w błocie, z pochylonymi plecami opiętymi burymi kurtami Karahimów, ustawieni w rzędy, i jak równocześnie wznoszą motyki, by kruszyć spękaną ziemię.

Tam, gdzie była już wzruszona, ciągnął długi korowód mężczyzn z nosidłami, którzy wylewali na pole wodę z drewnianych wiader. Jedyna

droga prowadziła przez groblę, a na domiar złego po drugiej stronie pola kręciło się kilku jeźdźców z długimi lancami i łukami w sajdakach przy siodle.

– Straż świątynna, sądząc po znakach – rzekł Benkej, gdy ześliznął się tyłem ze wzgórza.

– Możemy próbować to obejść, ale nie wiadomo, czy się da – powiedziałem.

– Jedziemy groblą – oznajmił Snop. – Do gór już niedaleko.

Ruszyliśmy więc, zacieśniając szyk, żeby zmieścić się na wąskim nasypie, a Szkarłat założył lśniącą maskę kapłana. Zawczasu naciągnęliśmy kusze i zawiesiliśmy przy siodle na specjalnym okuciu, zakrywając je połami pustynnych płaszczy.

Kiedy wjechaliśmy pomiędzy pola, pracujący tam zaczęli odkładać motyki i nosidła, a potem klękać i pochylać głowy do samej ziemi, z rękoma splecionymi na karku. Na drugim końcu pola, tam gdzie stali jeźdźcy, na grobli klęczał jeden bardzo chudy człowiek z ramionami przywiązanymi do założonego na kark koromysła, z szarym otoczakiem wepchniętym w szczęki i dygotał, jakby dopadła go bagienna gorączka.

Dwaj jeźdźcy zostali na swoich koniach, ale dwaj pozostali wjechali stępa na groblę i stanęli, przegradzając nam drogę.

Kiedy podjechaliśmy bliżej, zobaczyli maskę i płaszcz Szkarłata i cofnęli się parę kroków, ale nadal zagradzali nam przejazd.

– Droga winna być otwarta – rzekł władczo Szkarłat z blaszanym podźwiękiem, jaki dawała maska.

– Niech istota kapłańska wybaczy, lecz droga w góry jest zamknięta. Mogą się tam kryć groźni ciemiężyciele.

– Nie jest właściwe, by ocena należała do tych, którym nie jest dane wiedzieć. Droga obowiązku została ustalona i wiedzie tam, gdzie musi.

– Eskorta nie ma proporców – upierał się strażnik. – Ani przepisowych strojów. Muszę zobaczyć papiery podróżne albo glejt.

– Sprawy świątyni mają własny bieg. Utrudnianie wywoła gniew i kary.

– Wybacz, istoto kapłańska – powiedział jeździec i opuścił lancę. – Glejt.

– Trudno – westchnął Snop. – Skoro nie można po rozsądku...

Jedną ręką przechwycił nagle lancę strażnika i szarpnął go do przodu, po czym ciął płasko w gardło. Zanim jeszcze jeździec zwalił się z konia, odrzuciliśmy płaszcze i podnieśliśmy kusze. Brzęk cięciw rozbrzmiał

niemal równocześnie, jak bardzo szybki rytm bębenka. Tego, który jako drugi blokował nam przejazd, dwa bełty dosłownie zmiotły z siodła, ja strzeliłem do stojącego od mojej strony na grobli, a ciężki pocisk roztrzaskał mu czaszkę, która rozleciała się jak owoc, lecz Njorvin chybił do strażnika, którego wziął na cel. Żołnierz zerwał się do galopu, ale Snop uniósł swoją kuszę i trafił go w kark. Jeździec opadł gwałtownie na koński kark, po czym zwalił się na bok jak worek.

Adeptka w żółtej szacie i z ogoloną czaszką uciekała przez pole, wrzeszcząc przeraźliwie i rozchlapując sandałami płytką wodę. Snop gwizdnął ogłuszająco przez zęby, na co Benkej ruszył za nią galopem, doścignął i wychyliwszy się z siodła, ciął dziewczynę przez głowę. Przebiegła jeszcze kilka kroków, po czym runęła na twarz, dygocąc nogami, a w mętnej wodzie wokół jej ciała rozlała się brudnoczerwona plama.

Zeskoczyłem z siodła, podszedłem do klęczącego człowieka i rozciąłem rzemienie, którymi przywiązano jego nadgarstki do koromysła. Spróbowałem wyjąć mu kamień z ust, lecz nie zdołałem. Nadal dygotał i nawet nie spróbował wstać.

– Uciekaj – powiedziałem do niego. – Uciekaj w góry.

Odwrócił się ku mnie, po czym nagle chwycił mnie jedną ręką za nadgarstek, a drugą za pas i nadział się na mój miecz. Kamień stłumił jego krzyk, a wytrzeszczone oczy straciły wyraz. Odskoczyłem od niego, wyciągając ostrze, a nieszczęśnik stoczył się z grobli.

Wszyscy pozostali wciąż klęczeli z twarzami zwróconymi do ziemi, z dłońmi splecionymi z tyłu głowy i żaden się nie poruszył. Tylko wokół łopotały świątynne proporce. Poza tym panowała cisza.

Odjechaliśmy stamtąd i zanim ogarnęły nas góry, nie spotkaliśmy już nikogo.

Jedynym śladem człowieka był wbity w środek traktu wielki proporzec z napisem: ZAKAZANE.

Jechaliśmy doliną pomiędzy górskimi szczytami, wśród karłowatych iglastych drzew i skał. Zewsząd mieliśmy skały i osypiska, a nad głową niebo. Kilka razy oglądaliśmy mapę, na której Ulf zaznaczył nam, gdzie znajduje się dolina Kirenenów, ale on patrzył z góry, a my z dołu i nie umieliśmy niczego rozpoznać.

Kręciliśmy się wśród szczytów i skał już drugi dzień bez skutku.

Nie spotkaliśmy ani człowieka, ani zwierzęcia, czasem tylko krążyły nad nami orły. W pewnym momencie jednak usłyszeliśmy bębny sygnałowe. Daleko i zniekształcone echem, lecz wyraźnie.

– Wszystkie patrole zostają wezwane do Barakardym – przetłumaczył Szkarłat. – To może znaczyć, że znaleźli zabitych strażników. Jest nadzieja, że nie napotkacie nikogo w górach.

– „Nie napotkacie”? – spytałem.

– Tohimonie...

– Mów, co masz powiedzieć – odrzekłem.

– Czas, bym ruszył w swoją drogę. Mnie Ulf przeznaczył do czego innego. Jednak poradzę wam coś, bo mnie uczono inaczej czytać obrazy świata niż was.

– Słucham – przyzwoliłem.

Szkarłat popatrzył na rozłożony jedwab.

– Musicie objechać tę górę o spłaszczonym wierzchołku i dalej wędrować na zachód wzdłuż potoku, który tam powinien być, a potem na północ. Na pewno wasi ludzie chronią swoją dolinę i obserwują. Będą wiedzieli o was wcześniej niż wy o nich. Wystarczy, że znajdziecie się w okolicy. A to, o ile tu dobrze zaznaczono, znajdzie się o staję na północ.

– Możemy pojechać równie dobrze tam, jak gdzie indziej – rzucił gniewnie Snop.

– Nie wiem, czy się kiedyś zobaczymy – powiedziałem powoli – ale chcę, żebyś wiedział, że kilka razy nam pomogłeś. Nie wiem, czy zacząłem ci wierzyć, lecz ufam Ulfowi. Jedź więc w swoją stronę i zrób to, co ci nakazał. Dostaniesz jadło i bukłak.

– Poradzę sobie – oznajmił. – Bylebym tylko dotarł do jakiejkolwiek osady. Mam słowo, które zostanie wysłane mową bębnów do stolicy, a potem przyjdzie potwierdzenie. Wtedy zostanę wyprawiony wygodnie szybkim wozem z eskortą, bowiem prorokini czeka na wiadomość ode mnie. Żegnajcie, przyjaciele Nocnego Wędrowca. Wiedzcie, że jedyne, czego żałuję, to że może nie zobaczę go jeszcze raz przed śmiercią. Cieszę się jednak, że w ogóle było mi dane go spotkać.

Odjechał, a ja patrzyłem za Szkarłatem z dziwnym uczuciem. Kiedy jego sylwetka znikała wśród skał, mnie wydawało się, że nasze szanse maleją. Nie to, żebym go polubił, ale znał się na świecie Pramatki i jego rady jednak nam się przydawały.

Pojechaliśmy tak, jak nam radził, a potem przenocowaliśmy na półce skalnej opodal wodospadu, bo zrobiło się już tak ciemno, że szybko skończylibyśmy na dnie przepaści.

Rano jednak nadal nie wiedzieliśmy, co robić dalej.

– Może być i tak, jak powiedział – odezwał się Snop. – Nasi ludzie mogą nas już obserwować. Patrzą na nas, tylko nie wiedzą, kim jesteśmy.

– Benkeju? – Wpadłem na pomysł. – Czy masz piszczałkę?

Spojrzał, jakbym był niespełna rozumu.

– Mam – odrzekł. – Sparło cię na przyśpiewki?

Skinąłem głową i pociągnąłem łyk wody z morskim miodem.

– Zagrajmy. Zagrajmy jakąś pieśń, która będzie tak kireneńska, że każdy ją rozpozna.

Snop zmarszczył brwi i powoli pokiwał głową.

– „Kwitnące śliwy”? „Kochankowie-latawce”? To zna każdy Kirenen.

– Ale ja nie – powiedział Benkej.

– Bo nie jesteś Kirenenem. – Wyciągnąłem do niego rękę, a on wyjął z sakwy flet i podał mi.

– Nie zabrzmi dobrze – powiedział. – Do waszej muzyki powinien mieć inne brzmienie. Takie jękliwe i smętne.

– Sam jesteś jękliwy i smętny – odparłem. – To jest prawdziwa muzyka, a nie te twoje pustynne zawodzenia, jakbyś ciągnął szakala za ogon.

Usiadłem, dmuchnąłem na próbę kilka razy, a potem zacząłem grać skalnym turniom, osypiskom i pluskającemu wodospadowi. Na początku rzeczywiście brzmiało to dziwnie, ale po kilku próbach grałem na przemian „Kwitnące śliwy” i „Kochanków” tak, że każdy, kto znał te piosenki, musiał je przynajmniej rozpoznać.

Trwało to dość długo, lecz w końcu nie mieliśmy nic lepszego do roboty. Ja grałem, a N’Dele parzył napar, krzywiąc się i klnąc, bo orzechy przywiezione z Lodowego Ogrodu były stare i kiepskiej jakości.

Wreszcie rozbolały mnie szczęki i odłożyłem flet. Melodia opowiadająca o kwitnącej śliwie nadal rozbrzmiewała w powietrzu, kiedy powtarzały ją skalne ściany i zbocza.

– Warto było spróbować – oznajmił Snop.

– Moim zdaniem, tak pięknie grałeś, że po prostu uciekli – powiedział Benkej.

Piosenka nadal dzwoniła w powietrzu, trochę za długo, jak na echo.

Mężczyzna stał po drugiej stronie strumienia, cały spowity w kolczugę, która kryła też jego twarz, wsparty na partyzanie z lekko zakrzywionym brzeszczotem i z hakami do walki z jeźdźcem. Stał tam i gwizdał – chyba, bo nie miał w rękach żadnego instrumentu. Gwizdał w odpowiedzi na mój flet, a „Kwitnące śliwy” brzmiały dużo lepiej, niż kiedy ja grałem.

– Mrok!? – krzyknąłem, podrywając się na nogi.

– Nazywam się Cień – odkrzyknął. – Zejdźcie stamtąd. Czekałem na was. Od wielu dni o was śnię.

Prowadził nas do doliny jedną ze ścieżek, jak powiedział, „zapasowych”. Z trudem dało się tamtędy wieść konia, a szlak był ledwie widoczny, wydeptany przez jakieś górskie kozy. Mnich szedł szybko i pewnie, wspierając się na swojej partyzanie, i musieliśmy nieźle wyciągać nogi, żeby w ogóle za nim nadążyć. Droga prowadziła ostro pod górę, wśród kamiennych osypisk, przeciskała się pomiędzy skałami, potem przez ledwie widoczną przełęcz, potem po drugiej stronie po skalnej półce wiszącej nad przepaścią głęboką na dobre sto kroków, pod nawisem, z którego spadały strugi wody, zasłaniając nas delikatnym wodnym parawanem, wreszcie przez jaskinię na drugą stronę góry.

Kiedy przeszliśmy i naszym oczom ukazała się długa, kręta dolina na dnie wąwozu, stało się jasne, że nie trafilibyśmy tu sami, choćbyśmy włóczyli się po tych górach przez całe lata.

Mnich, który zwał się Cień, ruszył w dół zbocza wijącą się ścieżką, a my poszliśmy za nim.

W pewnym momencie Benkej klepnął mnie w ramię, wskazując skały nad nami, które wyglądały tak samo jak gdziekolwiek indziej.

– Tam, tam i tam – oznajmił. – Po drugiej stronie tak samo. Wszędzie zamaskowani łucznicy. Gdybyśmy nie szli z nim, już byśmy tutaj leżeli ze strzałami sterczącymi na wszystkie strony.

– Więc nie wskazuj ich palcem, skoro są tak świetnie schowani – odparłem. – Bo poczują się dotknięci.

Kiedy zeszliśmy na dół do strumienia i poszliśmy za Cieniem ścieżką biegnącą wzdłuż brzegu, zewsząd zaczęli schodzić się do nas ludzie. Mieli kurty z klanowymi obszyciami, noże i w jakiś sposób znajome twarze, mimo że nikogo z nich nie znałem. Rozpoznawałem tylko znaki na rękawach: klan Góry, Fali, Wilka, Wołu, Skały, Drzewa, Kamienia.

Nie mieli w rękach broni, nie krzyczeli niczego, tylko szli razem z nami, otaczając naszą grupkę coraz liczniejszą gromadą.

– Co się dzieje? – zapytałem Snopa.

Pokręcił głową.

– Nie wiem, ale to wygląda, jakby na nas czekali. Jakby sądzili, że ma się zdarzyć coś ważnego.

Rozglądałem się po otaczających nas twarzach, szukając Wody, ale nigdzie jej nie było. Tylko skupione pociągłe kireneńskie twarze, obce i znajome zarazem.

Doszliśmy do miejsca, w którym dolina rozszerzała się nieco, a zamykające ją ściany skalne oddaliły się od siebie i trudno było wypatrzyć, co się tam znajduje. Widziałem jednak, że w dolinie mieściły się łąki i jakieś poletka, rosły też kwitnące drzewa, na wietrze chwiały się wiechcie palm i w porównaniu z posępnym pustkowiem poza górami dolina przypominała ogród.

Skręciliśmy, pozostawiając strumień za plecami, i poszliśmy ku skalnemu klifowi po lewej, i był to długi, męczący marsz, trwający ze trzy małe wodne miary.

Namiot dowodzenia znajdował się pośrodku obozu otoczonego wałami usypanymi z kamieni. Bardziej przypominał szałas niż namiot, pokryto go strzechą palmowych liści, a wokół stały kręgami mniejsze szałasy oraz wozy z rozpiętymi po bokach płachtami. Przez obóz prowadziły dwie przecinające się drogi, które wysypano żwirem ze strumienia, łopotały tam klanowe proporce i wyglądało to jak malowidło na kireneńskiej wazie.

Knot syn Kowala siedział na swoim siodle wśród rozłożonych na podłodze derek, przy tym samym wysokim dzbanie palmowego wina, mając za plecami drewniany stojak ze zbroją ciężkiej jazdy i głębokim kireneńskim hełmem. Przed nim w żelaznej misie płonął oszczędny ogień i wszystko było urządzone identycznie jak w kopule na uroczysku, a ja poczułem się, jakbym nigdzie nie wyruszył.

– Upłynęło wiele czasu, kiedy wysłałem Nosiciela Losu – powiedział. – Zawziętego, przedwcześnie dojrzałego podrostka, któremu dałem czterech swoich bezcennych zwiadowców, by wszyscy przepadli w piaskach Nahel Zymu. Właściwie już o tobie zapomniałem, chłopcze, tylko że moi mnisi zaczęli mi ostatnio o tym przypominać. Teraz patrzę na ciebie, widzę męża poznaczonego bliznami i widzę też moich ludzi. Z wyjątkiem jednego:

Hacela syna Bednarza. Do tej pory Cień opowiadał mi swoje prorocze sny, wyglądające, jakby napalił się harhaszu, a ja krzyczałem na niego i wyśmiewałem. Krzyczałem, że świat nie jest bajką i że jedyna ścieżka losu, jaka nam pozostała, to wędrówka z jednego pustkowia w następne. Głód, poniewierka i przeklęty tymen-basaardej Aszygdej Hurtajgan, prowadzący „Ognisty” tymen piechoty naszym tropem. I że ta ścieżka kończy się w tej dolinie, bo dookoła mamy tylko pustkowie. Hurtajgan zagnał nas tu, obwąchuje góry, biega wokół nich jak pies wokół pnia, węszy na górskich traktach, ale jeszcze nas nie znalazł. My zaś nie mamy już dokąd pójść. Przedtem wydałem mu kilka pomniejszych bitew i pobiłem, to znaczy odparłem, i kupiłem nam czas na ucieczkę. Nie wiem już, ile razy wyprowadziłem go w pole i wmówiłem mu, że idziemy gdzie indziej, niż szliśmy, ale z tym także już koniec. Nawet najsprytniejszy lis może w końcu zostać zagnany w kąt, z którego nie ma ucieczki. Pozostało czekać na ostatnią bitwę. To jedyny sposób, byśmy wszyscy nie trafili do jednej z tych Wiosek Troski i Wychowania, by użyźnić świątynne pola. To będzie bitwa, kiedy rozdam miecze wszystkim, także małym dzieciom. Ostatnia. Taka jak w Dolinie Czarnych Łez. Tak myślałem do dziś. A teraz patrzę na ciebie i jest tak, jak mówili moi mnisi czytający prawdę z płynącej wody i dymu. Co mi możesz powiedzieć, Filarze synu Oszczepnika, tohimonie wybitego klanu Żurawia? Znalazłeś ścieżkę losu Kirenenów?

Usiadłem, nalałem sobie jego palmowego wina i wypiłem kilka łyków. Cień zachrzęścił kółkami swojej kolczugi i zdało mi się, że pokiwał lekko głową.

– To, że ludzie mojego klanu padli z ręki wrogów, w niczym go nie umniejsza, synu Kowala. Jestem kai-tohimonem tak samo jak ty i żaden z nas nie wie, czy ktokolwiek z nich przeżył. Klan był duży i nie wszyscy mieszkali w stolicy. Może nawet masz ich w obozie. I tak, twoi mnisi mieli rację. Jest inna droga niż śmierć w ostatniej bitwie. Jest na świecie wiele rzeczy, które zaważą na naszym losie, a należą do tego, czego nie chcesz widzieć i co nazywasz bajkami. Jest miasto za morzami, które zbudował potężny Czyniący i w którym mieszka niewielu ludzi. Domy tego miasta czekają na nas podobnie jak ziemia na wyspie i jest jej dość, by to miejsce stało się Nowym Kirenenem. Jest też sposób podróżowania, który pozostawili przedwieczni, a który pozwoli nam dotrzeć w jedną noc na wybrzeże, gdzie będą czekały już setki okrętów. Wszystko, co musimy

zrobić, to przebić się do uroczyska na skraju Nahel Zymu, trzy dni drogi stąd.

– Cieniu? – zapytał Knot niepewnie.

– Cały czas mówi prawdę – odparł mnich, obracając modlitewny cylinder i przesuwając na nim tokeny. – Nie skłamał ani słowem i co więcej, nie jest obłąkany, cokolwiek byś sobie myślał.

– Snopie synu Szkutnika?

– Miasta nie widziałem, tohimonie, bowiem nas rozdzielono. Ale wędrowałem długo u boku Filara i widziałem dość, by mu zawsze wierzyć. Natomiast podziemnego ogromnego węża, który wieczorem połyka człowieka bez żadnej szkody dla zdrowia i wypluwa rano tysiące staj dalej, widziałem na własne oczy, podróżowałem w jego pysku i tak właśnie przybyłem do Amitraju cztery dni temu.

– N’Dele Aligende?

– Jest miasto za morzem władane przez dwóch Czyniących, którzy są nam przyjaźni. Potężna twierdza z bazaltu, chroniąca za murami ogrody, targi, domy i ulice. Jest tam ciepło płynące z podłogi i źródło w każdym domu.

– Benkeju Hebzagał?

– Wszystko, co okunin Filar powiedział, jest samą prawdą. Czeka na nas wyspa i miasto. Żyłem w nim, chodziłem jego ulicami, piłem w jego tawernach i spałem z jego nierządnicami, pięknymi jak jarmakandzkie księżniczki. Zresztą niektóre były z Jarmakandy.

Knot westchnął i milczał, patrząc w ogień.

– Cieniu?

– Tak, tohimonie?

– Każ nam dać kilka dzbanów palmowego wina i ambrii, chleba, sera i bakhunu. Niech rozpalą też światło na trójnogach. A potem wezwij kai-tohimonów. I niech tym razem każdy przyniesie sobie coś do siedzenia. Czas na naradę.

– Tohimonie? – odezwałem się.

Knot spojrzał na mnie i uniósł brwi.

– Tak, Filarze?

– Zanim zaczniemy tu powtarzać wszystko po pięć razy, wykłócać się i dzielić każdy włos na czworo, chcę zapytać cię o los Wody córki Tkaczki.

– Nie ma jej w obozie – odparł, a moje serce zamarło. – I nie wiem, czy żyje, choć mam nadzieję, że tak. Byliśmy wtedy w północnej prowincji, w bagiennych pustkowiach w okolicy Czendżabadu. Zdobyliśmy trzy okręty. Za mało, ale jednak wsadziliśmy na nie, ilu się dało, w tym głównie kobiety i dzieci. Wypłynęli na morze, by szukać szczęścia na wschodzie. Potem musieliśmy znów uciekać na południe i nie wiadomo, co się z nimi stało. Popłynął też z nimi mój przyjaciel Mrok, którego znasz. Cień twierdzi, że gdyby zginęli, zginąłby też Mrok, a on wtedy natychmiast by o tym wiedział, dlatego sądzę, że nadal żyją gdzieś na dzikich wyspach dzielących nas od krajów Ludzi Niedźwiedzi i że żyje Woda córka Tkaczki.

Nazajutrz obudziło mnie słońce. Spałem na macie rzuconej pod nawisem skalnym, gdzie siedziałem długo w noc po naradzie, która przebiegła lepiej, niż się spodziewałem, ale tylko trochę.

Siedziałem, patrzyłem w noc i myślałem o Wodzie. Znałem ją krótko, choć prawda, że spędziliśmy ze sobą noc. Ale poza tym właściwie nic o niej nie wiedziałem. Prawie, bo przez krótką chwilę tamtej nocy na płaskowyżu nasze serca dotknęły się i przez moment byliśmy jedną duszą. To było wspomnienie, które niosłem potem przez świat i przywiązałem się do niego. Łatwiej mi było wierzyć, że robię to dla niej niż dla tysięcy nieznanych mi Kirenenów. Po to, żeby przeszła z kimś przez ten swój mostek.

Benkej przyniósł mi tykwę świeżego mleka, kawałek sera i chleb.

– Mają bydło – wyjaśnił. – A także kowce i czerwone woły. Połapali je, kiedy kapłani zaczęli uwalniać zniewolone zwierzęta. Nawet dreptaki, więc są i jaja. Znaleźli też mnóstwo bakhunu, palmowego wina i korzennego piwa. Wszystko, co kupcy wyrzucali, żeby nie trafić na stół ofiarny. Największa bieda jest z durrą. Kilka razy splądrowali świątynne spichrze, odkąd siedzą tutaj, obsiali pole i raz udało im się zebrać plon, ale na długo nie wystarczy.

Usiadł obok mnie, kiedy jadłem w milczeniu, patrząc na strumień w dole.

– Tak jest lepiej – powiedział.

Spojrzałem na niego.

– Żyje. A mogłaby już nie żyć i wtedy nic nie byłoby już możliwe. A tak, dopóki ty żyjesz i ona żyje, co więcej, popłynęła mniej więcej w dobrą

stronę, możesz ją znaleźć. Przynajmniej nie stanie na murach Lodowego Ogrodu, kiedy nadejdą Czyniący.

– Chciałem tylko ją zobaczyć – wyjaśniłem.

Poklepał mnie po ramieniu.

– I może zobaczysz.

Zjadłem posiłek i poczułem, że Benkej miał rację. Przecież była nadzieja. Przecież płynęła na okręcie pod opieką Mroka, z dala od Czerwonych Wież i kapłanów z kamiennymi nożami. Nie stanie na murach w deszczu strzał, nie będzie przebijać się przez pustynię pod kosami rydwanów „Ognistego” tymenu. A potem ją znajdę.

Wszędzie, gdziekolwiek spojrzałem, ktoś coś nosił albo pakował. Zwijano płachty namiotów, układano coś na wozach, koniowodni prowadzili tabun wierzchowców. Wszędzie panował pośpiech i rozgardiasz. Ryczały woły. A wśród tego wszystkiego usłyszałem znajomy dźwięk.

– Ornipanty?!

– Tak – potwierdził Benkej. – Szesnaście. Rozbita resztka jakiejś kebiryjskiej karawany. Mają iść na mięso. Chyba nie chcesz znowu na to wsiąść?

– Zwiniemy się do jutra – powiedział Knot. – To bardzo mało czasu.

– Myśmy wyszli w pustynię, po tym jak uczyli nas przez dwie długie wodne miary. Nas jest czterech, potrzeba jeszcze dwunastu powożących. Daj mi Kebiryjczyków, jakich tylko znajdziesz, potem jakichś dobrych jeźdźców i tych, którzy walczyli kiedykolwiek na rydwanach. Dwunastu do powożenia i po dwóch strzelców na ptaka. To nie jest takie trudne, zwłaszcza że masz uprzęże i palankiny.

– Leżą. – Machnął ręką. – Cała sterta. Mieliśmy przerobić je na co innego, ale nie zdążyliśmy. Kiedy na nie trafiliśmy, ptaki błąkały się osiodłane i w pełnym rynsztunku. Tylko jeźdźców nie było.

– Potrzebuję też szesnastu lanc, trzydziestu dwóch łuków i trochę mięsa. Ptaki są głodne. Potrzebuję też rymarza, na pewno trzeba będzie naprawiać rzędy.

W Amitraju każdą chwilę dnia wyznacza świątynny rytuał. Nie ma tam normalnego życia, które człowiek dzieli między pracę, rodzinę i wypoczynek według swoich możliwości i uznania. Są świątynne wodne

czasomierze, miarowe świece, które płoną w sanktuariach, i każdej godzinie przypisane są odpowiednie obowiązki, modły i czynności.

Dlatego łatwo przewidzieć, co się tam napotka o określonej porze, bowiem wszyscy robią wtedy to samo. Wiadomo, kiedy śpią, kiedy jedzą, kiedy pracują i kiedy oddają hołd Podziemnej, i wiadomo, że poza tym nie robią nic innego.

Kiedy więc usłyszeliśmy rogi zwiastujące wejście słońca pod ziemię, dudniące przeciągłym echem z Barakardym i wtórujące im, ledwie słyszalne głosy wież z innych osad, wiedzieliśmy już, że odtąd nie napotkamy nikogo.

Przemarsz kilku tysięcy ludzi wraz z wozami, stadami zwierząt, jucznych onagerów, do tego ciężkiej jazdy, konnych łuczników, piechoty i taborów to coś, co trudno ogarnąć umysłem. Gdyby ktoś usiadł przy drodze i patrzył, jak idą, to korowód ludzi i zwierząt mijałby go przez dwie wodne miary. Krok za krokiem, bez końca. Po ich przejściu pozostaje zdeptany pas ziemi, gdzie nie ma nawet źdźbła. Cokolwiek upadnie na trasie przemarszu, zostanie wdeptane tysiące razy, rozgniecione podeszwami i kopytami, wprasowane w ziemię.

Nocą wrażenie jest jeszcze bardziej przerażające. Słychać tylko szmer tysięcy kroków, niczym szum powodzi. W mroku majaczy bezkształtna masa, jak ludzka rzeka, najeżona łbami, głowami, lasem włóczni, proporców, wznosi się nad tym skłębiona para oddechów, słychać parskanie wierzchowców, ryk wołów, skrzypienie kół wozów i kroki. Jeden gruchot złożony z odgłosów tysięcy podeszew, a do tego łomot kopyt.

Ja jechałem na przedzie, a ludzki potop wylewał się na pustkowie za moimi plecami. Gdyby ktokolwiek stanął na drodze przemarszu, najpierw zobaczyłby wyłaniającą się z mroku ścianę wznoszących się pod niebo ornipantów. Wielkie czarne kształty kroczące na nogach jak pnie, kołyszące w tył i przód łbami wielkimi niczym głazy, z dźgającymi powietrze dziobami jak połowa rybackiej łodzi. Na co dzień ornipanty były w Amitraju rzadkością. Zdarzały się w kebiryjskich karawanach, ale te można było oglądać głównie na obrzeżach pustyni w Zewnętrznym Kręgu. Kebiryjczycy trzymali je w pustynnych gospodach i załatwiwszy interesy, znikali znowu w pustyni. Ja sam za panowania mojego ojca widziałem je ledwie parę razy, i to z daleka.

Szesnaście wydaje się niewiele, ale nie wtedy, kiedy stoi się nocą na drogowej blokadzie, za zasiekiem zbitym z powiązanych razem zaostrzonych pni drzewnej trzciny, w świetle kilku łopocących płomieni pochodni i jednego nędznego ogniska na trójnogu.

Wtedy szesnaście kroczących wież mięśni i piór, idących szerokim grotem na śmieszną barykadę z żerdzi, jest jak górska lawina. Nie wiadomo, jak postąpić. Chwytać łuk i strzelać w szerokie napierśniki ze skóry kamiennych wołów, których nie da się przebić żelazem, zastawiać się włócznią, która zmienia się w jakiś idiotyczny pręcik, chować za barykadą z powiązanych patyczków? Najlepiej byłoby rzucić włócznię i uciekać w ciemność, mając nadzieję, że upiorne stwory pójdą własną drogą, bo każdy ich krok to dziesięć ludzkich.

Blokadę ustawiono na szlaku u podnóża gór. Zupełnie jakby chodziło o nękającą okolicę bandę kilku zbójów. Barykada z zaostrzonych tyczek, ośmiu żołnierzy piechoty, jeden wóz taborowy przegradzający drogę, a przy nim sześciu łuczników. Konnych, ale na razie ich wierzchowce stały z boku, bezskutecznie obwąchując kamienie i żwir w poszukiwaniu paru źdźbeł albo jaszczurki.

Kiedy nadeszliśmy, dwóch żołnierzy wyszło przed barykadę, patrząc na wyłaniające się z ciemności szlaku jeden za drugim ogromne ptaki z głowami wznoszącymi się na trzy długości człowieka nad ziemią, na ogromne szponiaste łapy uderzające w ziemię. Obaj wyglądali, jakby nie wiedzieli, czy zdołali się obudzić.

Ten z naramiennikami hon-pahana uniósł pochodnię i zawołał: „Stój, kto idzie!” – myślę, że po prostu nic innego nie przyszło mu do głowy.

Nawet nie zwolniliśmy, a nasze ptaki nadeszły w kilka uderzeń serca.

Świsnąłem tylko przez zęby i z obu stron usłyszałem skrzypienie naciąganych łuczysk. W świetle płomieni widać było strzelców chwytających w pośpiechu strzały z kołczanów oraz że hon-pahan wypróżnił się bezwiednie, zanim wszystko utonęło w stalowym świergocie trzydziestu dwóch grotów i rozpaczliwym krzyku.

A zaraz później mój idący na przedzie ptak strzaskał kopnięciem barykadę, która rozleciała się z dźwięcznym grzechotem rozszczepianych tyczek, trójnóg runął na drogę, rozsypując żar i snop iskier, potężny dziób skoczył do przodu, przewracając wóz taborowy na bok. Kolejny ptak kopnął go, urywając oś razem z jarzmem dyszla, następny rozgniótł

skrzynię, jeszcze inny zamienił ją w stertę drzazg, Spalle wychylił się z palankinu, wyrwał z ziemi proporzec z symbolem dwóch księżyców, złamał i cisnął gdzieś w mrok.

A po chwili zdruzgotany posterunek został z tyłu. Nie upłynie wiele czasu, zanim ślad po nim zniknie pod wydeptanym w ziemi pasem wygniecionym przez tysiące stóp, kopyt i kutych kół.

Ludzie Knota przywykli już do marszów przez pustkowia, do tego, że ciągną w nieznane jak ogromna ludzka żmija i w każdej chwili nużąca wędrówka może zmienić się w bitwę. My jechaliśmy przodem, gotowi zmieść każdego, kto stałby na drodze, a za nami ciągnęły kobiety, dzieci i starcy, otoczeni dwoma szeregami jeźdźców kroczących równym rytmem z pieszymi. Z tyłu ciągnęły stada wołów i kowiec, po bokach maszerowała piechota, na koniec jeszcze setka jazdy stanowiąca tylną straż. Szliśmy przez pustkowia, pozostawiając pas gołej ziemi, bez postoju i odpoczynku. Najsłabsi jechali na wozach, pozostali odpoczywali na nich na zmianę. Wodę i jedzenie także rozdawano w marszu, jeźdźcy podrzemywali w siodłach. W ten sposób Kireneni szli pewnie szybciej, niż zwykle trwałby taki przemarsz paru tysięcy ludzi, ale i tak wydawało mi się, że idziemy bez końca.

Kiedy wstał szary, pochmurny dzień, wciąż jeszcze nie dotarliśmy do szlaku, który mieliśmy przeciąć, by wejść w pustkowie i dalej zmierzać do uroczyska będącego jaskinią Robaka.

Jednak nadal najwyraźniej nikt nie zdawał sobie sprawy, że ogromny korowód ludzi wije się po stepie i przemierza kraj Pramatki.

O sinym brzasku usłyszeliśmy rogi Czerwonej Wieży, a potem wśród mgły weszliśmy na teren świątynnych upraw, rozdeptując wyznaczające poletka groble i płytkie błoto pomiędzy nimi.

A na polach pracowali ludzie.

Po obu stronach niszczonego przez ornipanty szlaku po kostki w błotnistej ziemi tkwiły rzędy osłupiałych rolników, przed chwilą zajętych sadzeniem czegoś, obok rozdziawiało gęby kilku świątynnych strażników, gapiących się z zadartymi głowami na defilujące przed nimi wielkie ptaki i ludzi kiwających się ze zmęczenia w palankinach.

A z tyłu nadchodził pochód. Z szuraniem podeszew, klapaniem kopyt i skrzypieniem wozów. Z mgły wyłaniały się wielkie wierzchowce ciężkiej jazdy, lśniły blachy zbroi, łopotały naramienne proporce.

Trwało to kilka uderzeń serca.

Pracujący na roli osunęli się na kolana i pochylili głowy do ziemi, zaplatając dłonie na karku, strażnicy upuścili włócznie i pognali w step. Po kilkunastu krokach dosięgły ich pojedyncze, mierzone strzały. Ten runął w pół skoku przeszyty przez kark, tamten padł twarzą na groblę i zjechał po niej z dwoma brzechwami sterczącymi z pleców, kolejny zatrzymał się nagle wygięty w tył, obrócił w miejscu i padł pomiędzy zasadzone rzędami zielone kępki.

Jedyny ze strażników, który nie uciekł, tylko gapił się osłupiały na pochód, chudy, pomarszczony i właściwie już stary, zaczął nagle wrzeszczeć i rzucił się z nastawioną włócznią. Mijający go jeźdźcy patrzyli obojętnie, jak skacze na rozstawionych nogach, bezskutecznie usiłując dosięgnąć boku ptaka, w końcu ktoś smagnął go lancą niczym kijem, zwalając na ziemię.

Widziałem, jak gramoli się z oszalałymi oczami i znowu rzuca sam jeden na cały pochód, a jego włócznia dzwoni bezradnie o tarcze piechoty, a któryś z idących żołnierzy popycha go obojętnie, a kolejny kopniakiem wytrąca mu włócznię i łamie ją. Kiedy spojrzałem przez ramię, wciąż go widziałem, jak wstaje coraz bardziej chwiejnie i rzuca się na wojsko, najpierw z mieczem, potem z gołymi pięściami, coraz bardziej poraniony i pocięty, bo od czasu do czasu ktoś tracił cierpliwość, ale poza tym mijali go obojętnie, jak szczekającego psa.

Przeszliśmy trakt jeszcze tego samego dnia, nie niepokojeni przez nikogo i nikogo nie spotkaliśmy, wchodząc na coraz bardziej dzikie pustkowia i oddalając się od osady.

Kiedy pochód wdarł się już dość daleko w pustynię i zaczął zapadać zmrok, Knot zarządził postój.

Dopilnowałem, by moi jeźdźcy zadbali najpierw o ptaki, tak jak mnie uczono w karawanie przemytników soli. Wśród jeźdźców miałem aż pięciu Kebiryjczyków, którzy nieźle radzili sobie z ornipantami, a pozostali mieli za sobą służbę w oddziałach zaganiaczy albo tropicieli i nie narzekali, mimo że potem zwalili się na ziemię jak obici kijami.

Noc była czarna niczym atrament, gdzieś daleko od strony gór widać było na horyzoncie srebrne rozbłyski wiosennej burzy, ale tu nie spadła ani kropla deszczu i mimo nocy czuło się gorący oddech pustyni.

Ludzie spali przy swoich wozach i pod nimi; nie ustawiano ich w warowny pierścień, ale zachowano mniej więcej ustawienie szyku marszowego, tak by jak najszybciej można było ruszyć w dalszą drogę.

Przez całą noc gdzieś z daleka dochodził głuchy łomot.

– Bębny sygnałowe – powiedział Knot. – Przeklęty Hurtajgan. Już wie o nas. Już złapał wiatr.

– Jego trop doprowadzi go tylko do uroczyska – odparłem. – I ma do nas dwa dni straty.

– Umie maszerować szybko – rzucił Knot ponuro. – A bębny odpowiadają mu już z pustyni. Mam nadzieję, Nosicielu Losu, że wiesz, co robisz. Całe życie unikałem kości, gier i zakładów. Zawsze miarkowałem szanse. A teraz sięgam na ślepo.

– Lepiej grać z losem, niż zdać się na to, co ma być – odparłem. – Nie jesteś już lisem zagnanym do nory.

To się stało, kiedy od uroczyska dzielił nas niecały dzień drogi. Poznawałem okolicę, a przynajmniej tak mi się wydawało, bo przecież kępy kalecznika i skały wyglądały tu tak samo jak gdzie indziej i musiałem się powstrzymywać, by nie wypatrywać dziwacznych budynków porzuconych przez przedwiecznych, bo było na to o wiele za wcześnie.

Naprawdę myślałem, że nam się uda.

Wierzyłem, że wyrwiemy się z Amitraju i pozostanie po nas jedynie legenda o korowodzie duchów wymarłego plemienia, który przemierzył kraj i wsiąkł bez śladu w piach Nahel Zymu.

Dlatego kiedy zobaczyłem daleko na horyzoncie rozmytą rudą chmurę pustynnego pyłu, poczułem najpierw tylko bezsilną wściekłość.

Zawróciłem ptaka i podjechałem do człapiącego na czele pochodu Knota, który jechał pochylony, ciężko oparty o łęk siodła.

– Przed nami pył na niebie. O jakąś milę, może dwie stąd.

Wyprostował się, westchnął, a potem odpiął od siodła swój staroświecki hełm.

– Hurtajgan. To jego przednia straż – powiedział. – Im później go spotkamy, tym będzie silniejszy, bo cały czas ściąga posiłki. Jedyna nasza nadzieja, że rozproszył wojsko w górach i dopiero tu maszerują.

Syn Kowala wydał rozkazy i wkrótce wzdłuż całego pochodu rozległy się ściszone sygnały świstawek, szyk zaczął się zmieniać, trzech

zwiadowców pocwałowało gwałtownie w pustynię.

Wróciłem do mojej szpicy i kazałem wszystkim ornipantom podjechać do siebie, a potem wyjaśniłem, co mamy robić. Niektórzy pobledli, ale na koniec usłyszałem tylko: *Agiru kano, okunin!*

Sam czułem, jakby żołądek zwinął mi się w węzeł. Napiłem się wody, czując, jak krew wali mi w skroniach. A potem zacząłem oddychać głęboko, by zdławić strach.

Odchodziliśmy stąd. Odchodziliśmy do naszego nowego domu. Zostawialiśmy prorokini kraj, żeby się nim udławiła, i w niczym jej już nie zagrażaliśmy. Ale ona uważała, że miejsce nas wszystkich jest na ofiarnym stole, więc nie zamierzała nas wypuścić. Wysłała więc tego Hurtajgana, by nas zatrzymał. I teraz stał nam na drodze. Tak blisko końca.

To był mój gniew, niczym kupka żaru pozostała w palenisku, więc zacząłem rozdmuchiwać go w duszy, tak by urósł i stał się białym, huczącym ogniem zdolnym topić żelazo.

Kiedy wyszliśmy na wzgórze, już stali. To znaczy oddziały jeszcze się przemieszczały, widać było przebiegające rzędy żołnierzy, jeden za drugim, ustawiające czworoboki, dreptali wyćwiczonym „bojowym” truchtem pod łomot bębenków, z uniesionymi pikami, tarczownicy wbiegali przed czworoboki, ustawiając płot, po obu stronach na szczyt wzgórza wjeżdżały rydwany. Po dwadzieścia z każdej strony. Stały szeroko, żeby nie zaczepiać się kosami, rzędami po cztery.

– Wie, że blokuje nam drogę – powiedziałem.

– Myślisz, że od Szkarłata? – zapytał Benkej.

– Chyba wtedy dopadłby nas wcześniej – odparłem. – Zresztą co za różnica? Ustawia bycze rogi. Pewnie sądzi, że rozwiniemy trzy rzędy, żeby osłonić bezbronnych i schować ich za barykadą z wozów, a on nas wtedy przeskrzydli rydwanami i zrobi masakrę cywilów.

Podjechałem znów do Knota i uścisnęliśmy sobie ramiona.

– Zaufałem ci – powiedział. – Nie dlatego, że twój plan jest taki mądry, tylko dlatego, że już się znamy z Hurtajganem. Może domyśliłby się, co zrobię, a ty jesteś dla niego niepoczytalny. Poza tym jesteś Nosicielem Losu, więc może los będzie ci sprzyjał. Nawet w takim szaleństwie.

– Co mówią zwiadowcy? – zapytałem, zapinając hełm.

– Prawie trzy binliki. Zdążyli wypocząć i się napić. Jeszcze dwa binliki w drodze, ale daleko. Najważniejsze, że nie zdążył podciągnąć machin.

– Wypatruj gwiżdżącej strzały sygnałowej z czerwonym dymem – powiedziałem, słysząc własny głos jak z żelaznej kopuły. Uderzyłem dłonią w naramiennik i odjechałem.

Rozdzieliliśmy ornipanty na dwie grupy, stojące po obu stronach głównych sił, ale cofnięte, tak by nie było widać ptaków zza grzbietu wydmy.

– *Simanga... ta khaa... rahii...* – zasyczałem do mojego ptaka, by zatrzymał się i usiadł posłusznie. Strzelcy siedzący ponuro po bokach palankinu zakołysali się, przytrzymując się lin.

– Rozumiecie, co robić? – zapytałem.

– Tak, tohimonie, ale to szaleństwo – powiedział ten z prawej.

– W życiu się nie uda – dodał ten z lewej.

Pomiędzy nami a drugim oddziałem na ptakach na czoło szeregu wyjechała ciężka jazda. Na jucznych koniach, nieodpowiednich w pustyni, okryta plecionymi z rzędów lamelek pancerzami, które przechodziły w kireneńskich domach z ojca na syna, a czasem były kute i odnawiane przez obozowych zbrojmistrzów Knota. To była jazda kireneńskiego porządku, wskrzeszona przez Knota po upadku Tygrysiego Tronu. Amitrajska armia nie wierzyła w ciężkozbrojnych rycerzy biegłych w wymyślnej sztuce walki. Amitrajska armia wierzyła w ilość. W pochód mrówek, które zaleją wszystko na swojej drodze. Marna broń, tanie zbroje, za to mnóstwo.

Teraz piechota po obu stronach była podobna, bo w końcu nasi byli dezerterami z tymenów amitrajskich, to samo konni łucznicy. Jedyne, co nas różniło, to ciężka jazda. I niespodziewanie uzyskane ornipanty. Tamtych było jedynie ciut więcej niż u nas ludzi zdolnych do walki.

Tylko że nasze wojsko było wycieńczone tułaczką, wielu ciągle nosiło niezagojone rany z poprzednich potyczek, i zmęczone wędrówką.

Tamci byli wypoczęci i przygotowani. I mieli rydwany. Dużo rydwanów.

Jazda wjechała majestatycznie na grzbiet wydmy, łopocąc uczepionymi ramion proporcami z godłami klanów, unosząc włócznie i ustawiając potrójny grot.

Tamci na razie stali dość daleko, ich tarcze przypominały płot z żółto-czerwonych sztachet, wzdłuż szeregu galopował mąż w lśniącym hełmie tymen-basaardeja, ciągnąc ostrzem po nastawionych tarczach i wrzeszcząc przeraźliwie.

Benkej splótł z chrzęstem palce.

Njorvin przesunął w ustach źdźbło, które żuł. Raz w jedną, raz w drugą stronę.

Mój lewy strzelec otarł spoconą twarz grzbietem rękawicy i splunął na piasek.

Żółto-czerwony płot uniósł się i szeregi piechoty ruszyły na nas, opuszczając rzędy włóczni.

Rozległa się świstawka i kliny naszej jazdy też ruszyły naprzód z nisko trzymanymi drzewcami. Konie grzęzły i potykały się, ale szyk został zachowany. Jeźdźcy rozpędzali się w dół zbocza, jeden klin za drugim, lecz wiadomo było, że wkrótce będą musieli brnąć pod górę. Niezbyt stromo, jednak nie rozpędzą się wystarczająco.

Czworoboki Amitrajów maszerowały przed siebie, słyszałem, jak skandują rytmicznie, ich głosy układały się w powtarzający się dźwięk niczym grzmot albo pracujący młyn wodny. Jak hurgot kamiennych żaren, które zaraz zmielą wszystko na swojej drodze.

Nagle zamilkli, zatrzymując się gwałtownie, wbijając tarcze w piach i nastawiając las włóczni.

Pot ściekał mi po grzbiecie nosa, łaskocząc i drażniąc. Potrząsnąłem głową i strąciłem kroplę. Mój prawy strzelec wychylił się z grzbietu ptaka i przytrzymując się liny, wysikał na piasek.

Jeźdźcy zbliżali się do płotu tarcz jak taran, ale zbyt wolno.

A potem nad stojące przed nami szeregi z wizgiem przypominającym klangor stada ptaków wzbiła się chmura strzał, maleńkich i niepoważnych z tej odległości.

– Tarcze! – wrzasnąłem, chwytając metalową okrągłą osłonę uczepioną z boku siodła.

Na uderzenie serca strzały utworzyły na niebie chmurę, a potem runęły w dół.

Na naszych jeźdźców i na nas.

Głównie na jazdę.

Dobiegł stamtąd krzyk i przeraźliwy kwik kilku koni, zdążyłem zobaczyć, że paru jeźdźców wali się razem z wierzchowcami, wzbijając chmury pyłu, a potem sam kuliłem się pod tarczą, w którą dwa razy uderzył z przeraźliwym brzękiem grot, wgniatając blachę, kolejna strzała odskoczyła od opiętego ochronną skórą boku mojego ptaka, dwie łupnęły

głucho o płat skóry kamiennego wołu narzuconej na palankin, gdzie chronili się moi strzelcy.

Spojrzałem znowu naprzód, gdzie szeregi Amitrajów cofały się pod górę przed maszerującą jazdą, wciągając ją w głąb swojego szyku i nagle unosząc z ziemi długie, dwunastołokciowe piki.

W niebo zza ich pleców wzbiła się kolejna chmura strzał z brzękiem roju os, tym razem mierzona bardziej płasko, prosto w naszą karawanę, a równocześnie rozległy się ponure zawodzenia rogów zaganiaczy i z obu stron szyku ruszyły rydwany.

Od razu galopem, z wizgiem wirujących kos, ciągnąc za sobą warkocze pyłu, każda czwórka rozciągała się w długi szereg, chcąc rozpruć boki naszej pustynnej żmii, by dostać się do jej serca. Do stłoczonych przy wozach dzieci, kobiet i starców. Wyjeżdżały jedna czwórka za drugą, wydawało się, że bez końca.

Teraz nasza jazda uderzy niemrawym galopem w cofające się pośrodku szeregi amitrajskich tarczowników, ale nie będzie miała pędu, więc ugrzęźnie wśród włóczni, sterczących, jakby trzcinowisko pochyliło się na wietrze, i zostanie zamknięta w pierścieniu żelaza, pik, glewii i setek ostrzy. Tymczasem rydwany, a za nimi lekka jazda pomkną wzdłuż boków naszego pochodu, prując cienki pancerz złożony z rozpaczliwie kryjącej się za wozami i tarczami piechoty, aż ludzki wąż rozpadnie się na gromadę przerażonych, uciekających w popłochu przez pustynię ludzi. I wtedy rydwany naprawdę pokażą, co potrafią, robiąc to, co robią najlepiej. Ścigając, roznosząc na kosach i strzelając prosto w karki. Śmigłe, tańczące wśród przerażonych, wrzeszczących uciekinierów, kręcące wśród piachu krwawe piruety, zbryzgane świeżą, dymiącą krwią.

Tak powinno być.

Ale myśmy postanowili inaczej.

Ruszyliśmy na mój znak, kiedy tylko pierwsze dwie czwórki wozów runęły po zboczu wydmy. Ptaki wstawały jeden po drugim, zrywając się od razu do biegu. Ornipant szarpie, zanim się rozpędzi, więc zawczasu kazałem się przywiązać i wszystkim strzelcom, i niewprawnym powożącym, chociaż po paru dniach podróży radzili sobie już nieźle. Gdyby do tej bitwy doszło, zaraz kiedy zeszliśmy z gór, moi jeźdźcy pozabijaliby się w ciągu małej wodnej miary.

Wiedziałem, że na lewym skrzydle ptaki pod wodzą Snopa robią to samo. Osiem potworów wyskakujących niespodziewanie zza grzbietu wydm zaskoczyło i woźniców rydwanów, i strzelców, zwłaszcza że przecinaliśmy ukośnie ich drogę, pędząc wprost na nich. Biegnące baktriany, które nigdy nie widziały ornipantów, a zwłaszcza nie czuły ich smrodu, z rykiem skręcały na boki, woźnice szarpali lejcami, wrzeszcząc przeraźliwie, dwa wozy wjechały na siebie zbyt blisko, z przeraźliwym brzękiem rozpryskujących się kos. Po chwili pojazdy sczepiły się kołami, jeden z nich uderzył burtą o skałę, łamiąc oś. Pozostali zdołali zmusić zwierzęta do powrotu do szarży i natarli na nas. Natychmiast zaczęli strzelać, i moi ludzie też.

Przecięliśmy im drogę, miotając w siebie strzały, ale w pierwszej chwili nikt nie został trafiony. Potem zrobiliśmy zwrot i uderzyliśmy na nich z boku, by zagnać rydwany do środka. W tym czasie nasza jazda rozdzieliła się raptem w dwie strony i ruszyła z powrotem do głównych sił, nie wbijając się między piki i przerywając absurdalną szarżę pod górę.

Nie miałem już czasu patrzeć. Był tylko szalony pół lot, pół galop, kłęby piachu i obła skrzynia pojazdu, który ścigałem. Wirujące koła, kosy zamienione w srebrzystą poświatę po bokach.

Łucznik z rydwanu puścił mi strzałę prosto w twarz, ale chybił. Żelazo musnęło tylko mój hełm, drugi strzelił w głowę mojemu ornipantowi, trafiając tuż obok oka, przy bukranionie ze skóry kamiennego wołu. Ptak wydał z siebie piskliwy wrzask gniewu, rzucił łbem i chwycił woźnicę, przecinając go dziobem na pół, a potem uderzył z boku, wywracając pojazd z przeraźliwym trzaskiem pękającego drewna. Pęd był tak wielki, że zobaczyłem, jak z chmury pyłu, która wzbiła się w tamtym miejscu, wylatuje jeden ze strzelców, odbijając się wiele razy od ziemi i koziołkując. Urwane z koła ostrze przeleciało z wizgiem tuż obok mojej skroni i śmignęło w piach.

Z tyłu rozległ się huk ognia i wrzask, potem następny. Skręciłem, ścigając kolejny rydwan, mój prawy strzelec kręcił łańcuchem, gliniany pojemnik na jego końcu rozmazał się w powietrzu w krąg, po czym pomknął w stronę rozpędzonego wozu, minął go i trafił w skałę przed nim. Rozbryzg płomieni i czarnego dymu spowił na mgnienie oka pędzące baktriany, po czym cały zaprzęg wypadł z drugiej strony chmury, kwicząc przeraźliwie wśród huczących, jasnych płomieni, które kwitły im na

nogach, spowijały pancerne kropierze i tańczyły na burcie rydwanu. Woźnica, wyjąc wśród płomieni, odrąbał trzymające go rzemienie i skoczył w biegu, trafiając twarzą w skałę. Pojazd skręcił ostro z powrotem w stronę Amitrajów i ruszył wleczony przez spanikowane zwierzęta, świszcząc wirującymi, płonącymi kosami.

Z boku widziałem następne rydwany, ciągnące za sobą warkocze ognia i dymu, gnające prosto w amitrajską piechotę. Inne wracały na własne pozycje, pędząc wprost na nadjeżdżające kolejne pojazdy. Dwa zderzyły się z okropnym łomotem i trzaskiem, sczepione ostrzami i kołami budy potoczyły się, wzbijając tumany piachu i gubiąc wrzeszczących ludzi, następny pocisk poszybował w powietrzu ciśnięty przez strzelca z boku ornipanta i buchnął nagle wysokim jak dom słupem płomieni tuż przed nadjeżdżającym wozem.

Z obu skrzydeł amitrajskiego szyku prosto w linie rozpaczliwie zastawiającej się tarczami piechoty i skłębionej w tabun lekkiej jazdy jeden po drugim wpadały płonące rydwany, wleczone przez oszalałe z paniki zwierzęta, wirując na obu kołach stalową śmiercią, gruchocąc i siekając wszystko, w co wpadły. Jeden z takich rydwanów runął prosto w mur tarcz i zanim ugrzązł w tłumie, widziałem, jak wzbija fontanny krwi i wyrzuca w górę krwawe strzępy.

– Strzała – wychrypiałem przez wyschnięte gardło.

Nic się nie wydarzyło.

Odwróciłem się przez ramię i zobaczyłem, że mój lewy strzelec siedzi nieruchomo na boku ptaka i wpatruje się przed siebie z osłupieniem. Szarpnąłem go za ramię i wtedy przewalił się ciężko na mnie, a ja zrozumiałem, że nie siedzi, tylko wisi na linie uwiązanej do palankinu,

a z jego piersi sterczy długa stalowa drzazga ze strzaskanej rydwanowej kosy.

Spowolniłem ptaka, przeczołgałem się na tył, wyciągnąłem z kołczanu strzałę z czerwoną brzechwą i promieniem, potem skruszyłem glinianą osłonę na pękatym grocie, rozdmuchałem żar, a kiedy ze środka zaczął się wydobywać gęsty czerwony dym, posłałem ją prosto w niebo, słysząc, jak umocowana do niej świstawka wydaje przeraźliwy wizg.

Po chwili z drugiej strony wyprysnęła taka sama strzała, ciągnąc warkocz rudego dymu.

Nasz wyciągnięty, niemożliwy do obrony szyk zdążył rozpaść się wzdłuż na dwie części, a daleko z tyłu rozległ się chóralny ryk setek czerwonych wołów i przeraźliwy zgiełk. Ludzie wrzeszczeli, łomotali w tarcze, a potem zaczęli strzelać płonącymi strzałami w zady zwierząt stłoczonych z tyłu. Strzelali, lekko naciągając łuki, tak by grot ugrzązł w ciele, zadając ból, ale by nie powalił wołu. Nie minęło dziesięć uderzeń serca, gdy stado wpadło w panikę.

I runęło przed siebie tak, jak mają w zwyczaju czerwone woły, wielkie, garbate olbrzymy o obwisłych podgardlach i wielkich rogach, na co dzień łagodne i pokorne. Dopóki nie oszaleją ze strachu, bo wtedy zmiatają wszystko przed sobą, jeśli tylko mają drogę ucieczki. Wtedy potrafią stratować las i roznieść drzazgi na kopytach. Te miały przed sobą otwartą drogę, a niebezpieczeństwo wyczuwały z tyłu, gdzie pojawił się ból, ogień i straszny dźwięk.

A przed sobą trzy poharatane przez własne rydwany, stłoczone i zdziesiątkowane binliki „Ognistego” tymenu piechoty z Kebzegaru.

Nasza ciężka jazda, która wróciła na miejsce w szyku, rozjechała się ponownie na boki, przepuszczając oszalałe stado, które runęło przed siebie z przeraźliwym rykiem, wpadając w stłoczone czworoboki Amitrajów z trzaskiem gruchotanych tarcz, wyciem tratowanych ludzi i kwikiem spanikowanych koni. Czworoboki już wcześniej nie przypominały szyków wojska, tylko przypadkowe, usiłujące się przegrupować gromady, biegające wśród zasłanego ciałami zbocza, gdzie wciąż miotały się płonące baktriany, wlokące potrzaskane, ale wciąż kręcące kosami rydwany. Kiedy stado wołów runęło na to wszystko, wzgórze przed nami zamieniło się w piekło.

Nasza jazda – ledwie stu pięćdziesięciu ciężkozbrojnych – znów ruszyła w stronę Amitrajów, ale tym razem atak wyglądał inaczej niż poprzednio.

Wróciliśmy na swoje miejsce w szyku.

Benkej dostał strzałą w ramię, lecz grot ugrzązł w naramienniku i płytko wbił się w bark, ja straciłem strzelca, N’Dele też, Snop musiał zeskoczyć z ornipanta, któremu kosy obcięły obie nogi, i przy upadku zwichnął bark. Zginęło też jeszcze dwóch strzelców i jeden ze świeżo wyszkolonych powożących.

Ja czułem ostry ból pod pachą, o którym nie miałem pojęcia, skąd się bierze, dopóki N’Dele nie wyciągnął mi spod ramienia długiej na pół palca drzazgi ze strzaskanej kosy, która znalazła drogę między pancerzem a naramiennikiem.

To, co się działo na przeciwległym wzgórzu, trudno było już nazwać bitwą, odbywało się trochę niemrawych potyczek i pościgów, najwyraźniej „Ogniści” stracili zapał do ścigania „ciemiężycieli”.

Po chwili z obu skrzydeł ruszyła nasza lekka jazda, rozwijając szyk i ruszając w pościg za rozproszonymi „Ognistymi” brnącymi we wszystkich kierunkach w pustynię. Nie mieliśmy rydwanów, jednak lekka jazda też doskonale radzi sobie z pościgiem za spanikowanymi żołnierzami piechoty.

Siedziałem na ziemi z barkiem owiniętym szarpiami, popijając palmowe wino z bukłaka, dyszałem i wreszcie miałem wrażenie, że teraz już mamy blisko do domu.

Knot podszedł do mnie z własnym bukłakiem i fajką w zębach, po czym usiadł ciężko i podał mi napój.

– Naprawdę sprowadzasz dziwny los, synu Oszczepnika. To się nie mogło udać. Choć zaczynam wierzyć, że będzie możliwe. Przynieśli mi ciało Hurtajgana. Szkoda, marzyłem, że kiedyś zabiję go własnymi rękami, ale nie można mieć wszystkiego.

– Jakie mamy straty?

– Siedmiu. Siedmiu zginęło. I wielu, i niewielu w porównaniu z tym, co mogło się stać, a także tym, co by się stało, gdyby dopadł nas tam, w dolinie. Walczyły za nas woły i ptaki, i jeszcze własne baktriany wroga. Dziwne czasy. Moje woły rozdeptały tymen-basaardeja Hurtajgana. To dopiero. Musimy je połapać.

– Knocie – powiedziałem – zabierzcie jak najwięcej ciał „Ognistych”. Ile się tylko da.

– A to po co?

– Bo nie chcę poświęcać zbyt wielu wołów. Musimy nakarmić Górę, żeby smok nas zabrał.

– No tak – odrzekł. – Nakarmić Górę. No przecież...

Wędrowaliśmy krętym szlakiem przez ziemie, które niegdyś należały do Ludzi Kruków. Trwało to długo i marsz był mozolny, niektórzy byli też przerażeni podróżą w brzuchu Robaka, niektórzy chorowali jak na okręcie, a i załadunek oraz sama podróż trwały w nieskończoność. Co więcej, potrzebowaliśmy aż pięciu Robaków jednego po drugim, na szczęście Ulf to przewidział, a ciała zabitych żołnierzy „Ognistego” tymenu nakarmiły Górę wystarczająco, choć też trzeba było wozić je cały dzień. Na polu bitwy zostały tylko krew, potrzaskane rydwany, tarcze i miecze. Oraz głowa tymen-basaardeja Aszygdeja Hurtajgana nadziana na włócznię.

Tu nie było już Amitrajów i ta świadomość niektórych przyprawiała o szaleństwo z radości, aż musiałem im przypominać, że tu czają się inni wrogowie i życie na Wybrzeżu Żagli to nie jest trwające bez końca Święto Latawców.

Inni z kolei nie byli w stanie ogarnąć umysłem tego, co się stało, i wydawali się zupełnie otępiali. Narzekali tylko nieustannie, że marzną.

Niedobici czekali na nas pod Żarłoczną Górą, a potem wędrowali z nami dalej, nie mogąc nachwalić się palmowego wina oraz pieczonego mięsa czerwonych wołów.

I wszystko szło dobrze, aż dotarliśmy tam, gdzie już mogliśmy dostrzec Snagorinę.

Na wprost nas wznosiły się góry kryjące Dolinę Bolesnej Pani, nasz pochód schodził na wielką łąkę na drugim brzegu szerokiej rzeki, która toczyła zielone wody środkiem równiny obrzeżonej lasem, zmierzając do morza.

Nie było tylko statków.

Nie było w ogóle nikogo, cała okolica wydawała się zupełnie wyludniona i nawet Niedobitym zdało się to dziwne.

Snop zarządził postój, tym razem kazał ustawić na łące wielki krąg z wozów, które połączono, tworząc coś w rodzaju przenośnego fortu. Przyniesiono drewno, zapłonęły wielkie ogniska i kolejne parę wołów poszło pod nóż. Wszędzie wokół był tłum, zgiełk i rwetes, zupełnie jakby człowiek wędrował z przenośnym miastem. Odwykłem od czegoś takiego.

Byłem Nocnym Wędrowcem. My wsiąkamy w mrok, a rozmawiamy gestami dłoni.

Siedziałem nad rzeką, lecz mimo że wpatrywałem się w nurt aż do bólu oczu, nie widziałem nawet okrętu, którym przypłynąłem. Cała flota mogła jeszcze nie dopłynąć, ale Oset powiedział, że będzie czekał, a to oznaczało, że będzie czekał.

Tylko że to było Wybrzeże Żagli. Toczyła się tu wojna i wszystko było możliwe. Być może król Węży odciął nas od morza. Być może zastawił na nas pułapkę. A to oznaczało, że musimy się na to przygotować.

Węże nadeszli rankiem.

Widzieliśmy, jak cwałują na obleczonych chrzęszczącymi zbrojami koniach, w przyłbicach o kształcie smoczych pysków. Gnali tak, że aż z miejsca, gdzie staliśmy na wozach z łukami w dłoni, dobiegał nas tętent.

A im bardziej się zbliżali, tym bardziej stawało się to dziwne.

Widziałem, jak jeden z Węży strącił smoczy hełm z własnej głowy, inny porzucił płaszcz, i nagle zrozumiałem. Wprawdzie dopiero gdy zza zakrętu rzeki ukazała się smocza stewa i zalśniły obite miedzianą blachą burty.

Węże uciekali.

Zdjęci paniką, na gubiących płaty piany koniach, które zaczynały już ustawać.

Przegalopowali jeszcze kawałek, po czym zobaczyli przed sobą ścianę wozów stojących kręgiem, jak miejskie mury, ciągnących się, gdziekolwiek spojrzeć, i usłyszeli chór rogów.

Było ich najwyżej ze trzydziestu i nie mieli czego szukać w naszym obozie, ale wszystko wyglądało tak, jakby sprawy ostatnio nie toczyły się po ich myśli.

Zawrócili panicznie i pognali z powrotem raczej rozpaczliwie, bo stamtąd nadpływał nasz okręt i na ich widok odwrócił lśniący miedzią syfon, który spowił ich huczącym strumieniem ognia. Straszny wrzask i kwik zwierząt dobiegł nas aż za kręgiem z wozów, a po chwili z burt okrętu posypała się rzeka strzał.

Okręt sunął dalej, aż w końcu przybił na wprost łąki, na której obozowaliśmy. A zza zakrętu wypływały kolejne. Jeden za drugim, jeżąc ku niebu dziesiątki masztów, jakby Snagoriną płynął las.

– Zwijajmy obóz – powiedziałem do Knota. – Czas płynąć do domu. Za morze.

Rozdział 12

Ogień i mgła

Złamanemu łukowi, płonącemu płomieniowi,
dyszącemu wilkowi, kraczącej wronie,
chrząkającej świni, drzewu wyrwanemu z korzeniem,
przybierającej fali, kipiącemu kotłowi.

Przybierającej fali, odpływowi morza,
lodom jednej nocy, wężowi w kłębek zwiniętemu,
bajkom dziewki w łóżku, złamanemu mieczowi,
figlom niedźwiedzia, królewskiemu dziecku,

Choremu cielęciu, krnąbrnemu niewolnikowi.
Wróżbom obłędnej wróżki, śmierci świeżo pokonanego
(...)

Temu wszystkiemu niechaj nikt nie ufa.

(Pieśni Najwyższego – Hávamál)

W przeddzień wyruszenia wychodzę z uczty. To żadna ostentacja. Nie mam nic przeciwko minihipopotamom z rożna występującym w roli świń, małym, zębatym strusio-welociraptorom zastępującym kurczaki ani skarłowaciałym dodo w roli kaczek. Tradycyjna biesiada Ludzi Ognia przed niebezpieczną wyprawą w wydaniu Fjollsfinna i Lodowego Ogrodu to wręcz wykwintna wariacja na temat średniowiecznej uczty. Wielka sklepiona sala zalana jest światłem, zespół minstreli rzępoli na dziwacznych instrumentach, trunki leją się ze zdobionych srebrnych dzbanów, brzęczą puchary, są krzyki, opowieści, śmiechy i śpiewy.

Wymykam się na zewnątrz, a potem z dzbanem w ręku idę prawie pustymi ulicami Lodowego Ogrodu na drugi pierścień murów. Uliczne latarnie płoną gazowym światłem, zza otwieranych co rusz drzwi tawerny bucha światło i hałas, a potem znów słychać tylko moje kroki. Jutro wypływamy. To ostatnia chwila, by usiąść samotnie i zebrać myśli. Ostatni moment na spokojne wypalenie fajki z mieszanką Prince Alberta i bakhunu. Na kilka łyków z dzbana, spojrzenie na nocne morze.

Czasem muszę przestać pełnić swoje role, przestać być zwiadowcą, międzyplanetarnym cynglem, dowódcą Nocnych Wędrowców, strategiem, szpiegiem i generałem, magiem amatorem i Bóg wie kim jeszcze. Czasem muszę usiąść na bastei, zwiesić nogi z blanek i postawić obok dzban, spojrzeć przed siebie i przypomnieć sobie, kim tak naprawdę jestem.

Po prostu usiąść i zdjąć z siebie ciężar całego tego świata, jak przyciężki pancerz. Zastanowić się, po jakiemu myślę. Przypomnieć sobie własne imię.

– Vuko Drakkainen – mówię gwiazdom. – Polako-Fin. Obywatel Republiki Chorwackiej.

To nic nie znaczy. To tylko dźwięki.

Chodzi o to, że przede mną ostatni tytaniczny wysiłek, a potem wrócę do świata telnetu, wanien, żarówek, reklam i polityki. Hot dogów i świąt Bożego Narodzenia. Kłótni o to, czy elektrownie termojądrowe są bezpieczne albo czy szympansom laboratoryjnym przyznać prawa obywatelskie. Dobry Jezu...

Tego lata.

Nie zobaczę kolejnej zimy w Lodowym Ogrodzie.

I jakoś ciężko mi w to uwierzyć. To wszystko abstrakcje, takie same jak bajki o wyspach za Morzem Gwiazd.

Deirdre Mulligan... Deirdre Mulligan z Derry.

Sylfana Mówiąca Płomieniem.

Dźwięki.

Czasem muszę znaleźć miejsce na koronie muru i popatrzeć na nocny port daleko tam, w dole. Pokazać swój medalion strażnikowi i iść przed siebie. Nie myśleć o setkach okrętów kołyszących się na kotwicowisku poza zasięgiem wzroku. Nie myśleć.

Tylko napić się tego czegoś z dzbana. Płynąć wspomnieniami wraz z trzeszczącym żarem w główce fajki i pasmami wonnego dymu. Posiedzieć samemu.

W ciszy.

Gdzie tam.

Widzę go już z daleka. Powłóczy nogą, skryty pod szerokim, obwisłym rondem podróżnego kapelusza z główką w kształcie oklapniętego na bok wulkanu.

– Nawet nie pytam, skąd się tu wziąłeś – mówię.

Siada obok mnie na murze i wyciąga rękę po dzban. Niech tam.

– Przyszedłeś coś mi powiedzieć?

Wzrusza ramionami.

– Wtedy pewnie bym powiedział. Postawiłem na ciebie, więc jestem ciekaw, czy wiesz, co robisz.

– Mam nadzieję. Działam po omacku. Intuicyjnie.

– Co to „intufijsen”?

– Przeczucie. Przekonanie, że to, czego nie wiesz, wygląda tak, jak przypuszczasz. Jak podczas szukania czegoś w ciemnościach. Oddawaj dzban.

Kiwa głową.

– Tak powinno być. Intufijsen. To, co robisz, będzie bardzo ważne i wiele oczu będzie cię obserwować, a potem zdecydują. Dlatego nie możesz wiedzieć wszystkiego. Intufijsen. My mówimy „wiara”.

– Zwykle masz dla mnie jakąś mądrą radę, Kruczy Cieniu.

Znów potakuje w ciemnościach.

– To wszystko, co robisz, jest trochę jak ładowanie bagaży na sanie. Sanie stoją na lodzie, a ty przynosisz kolejne worki. Teraz lód trzeszczy, lecz się trzyma. Ale może przyjść taka chwila, gdy na wierzch rzucisz jedną markę srebra i lód pęknie.

– Czasami trzeba się wspinać po trzeszczącej linie albo jechać saniami po cienkim lodzie. Działam tak, jak mogę. Nie wybieram warunków. Pracuję z sytuacją zastaną.

Milczymy przez chwilę. Patrzymy na oświetlony port i wielką, lśniącą czeluść mroku za nim.

– Więc tu się to odbędzie – mówi. – Miejsce równie dobre jak każde inne. Tu chcesz ich zebrać. Wszystkich. Amistrandingowie, Węże, Ludzie Ognia, Kireneni, różni z Wybrzeża, mieszkańcy Ogrodu. I wszyscy Pieśniarze. I mnóstwo pieśni bogów, zwleczonych prawie z całego wybrzeża. Oni nie wiedzą, co chcesz zrobić, Śpiący w Drzewie.

– Wiedzą – odpowiadam. Rozmowa z tym męczącym typem to wieczny ciąg rebusów.

– Och, wiedzą, że chcesz zgładzić Pieśniarzy. Tylko niby jak? Każdy z nich jest silniejszy od ciebie. Nie wiedzą natomiast, co tu rozpętasz, żeby to osiągnąć. Czego ty chcesz tak naprawdę?

– Chcę tu posprzątać. Chcę, żeby świat stał się taki, jakim był, zanim oni się tu pojawili.

– Rozejrzyj się wokół siebie. Jak może stać się takim, jaki był? Chcesz, żeby Lodowy Ogród zamienił się na powrót w lawę? Chcesz może wskrzesić zabitych? Twoi wrogowie zamienili Węży w potwory i chcą, by wszyscy stali się jedną myślą i mogli wspólnie czynić. Ale sprowadza się to do krwi i krzyku. Za to twój przyjaciel dał ludziom suche domy, wodę i znachorów. Nauczył ich siedzieć w mieście i pozwalać pracować kołom wodnym. To też ma zniknąć? Także to, czego twoi Ludzie Ognia nauczyli się od ciebie? Mają o tym zapomnieć? To jest to, czego chcesz?

– Nie. Nie chcę martwego śniegu, nie chcę, by wszyscy moi ludzie stracili pamięć, i nie chcę zupełnie nowego świata. Chcę natomiast zabrać z niego tych, którzy go niszczą, chcąc zmieniać.

– Zabrać?

– Jednych zabrać, innych zabić. A co do reszty, niech ludzie żyją normalnie. Niech odbudują to, co zniszczono, i korzystają z tego, co zbudowano. Bez pieśni bogów, niewydarzonych magów i całego tego szajsu. Najwyżej niech gdzieniegdzie zostanie szczypta dla marzeń i tajemnicy. Niegroźna iskierka po to, żeby ten świat pozostał wyjątkowy. Miałem usunąć wszystkie ślady, ale wśród nich jest też przyjaźń, zaufanie, braterstwo broni i miłość. Zatem nie chcę usunąć wszystkich. Wielu

zwróciło się do mnie o pomoc, więc chcę im pomóc. Chcę, żeby przeżyli i byli szczęśliwi. To jest to, czego chcę i o co walczę. A ty?

– Ja? Ja tylko wędruję po świecie i sprzedaję czyniące przedmioty. Patrzę. Obserwuję. I postawiłem na ciebie. Pamiętasz?

– Gdzie jest mój ptak, Kruczy Cieniu?

– Prawie nie ruszałeś się z domu, więc na co ci tu był potrzebny?

– Jak to? Dwa razy byłem w Ziemi Kruków. Przydałby się.

– Ptak to ptak. Pewnie miał jakieś ptasie sprawy. A jeśli coś się nazywa Ziemią Kruków, to jeszcze nie znaczy, że to ziemia przyjazna dla kruków. Coś ci powiem, Siedzący w Drzewie. To, co się stanie, przypomina trochę partię króla. Kiedy się skończy, to o ile będziesz żył, odpowiem ci na kilka pytań. Wtedy to już nie będzie miało znaczenia, bo będzie po grze.

Jeszcze nikt nigdy nie widział tutaj tylu okrętów naraz. Odprawa, na którą przyszli sami styrsmani, a którą zrobiłem na wielkiej plaży, przypominała raczej wiec. Tłum, do którego krzyczałem, stojąc na beczce, za każdym razem czekając, aż powtórzą sobie nawzajem każdą istotną informację, aż obejdzie to morze głów, podawana z ust do ust.

Wieść o tym, że Lodowy Ogród wynajmuje okręty, obiegła wszystkie Wyspy Ostrogowe. I okręty przybywają. Jednostki handlowe, wilcze okręty, statki poławiaczy morskich stworów. Każdy chce zarobić sporo srebra za kurs do Wybrzeża Żagli i z powrotem do Ogrodu. Wiedzą, że miasto płaci i warto z nim robić interesy.

Jeżeli przeżyjemy i gród będzie nadal stał, kiedy to wszystko się skończy, a Fjollsfinn zostanie, będzie musiał znaleźć inną podstawę gospodarki niż eksploatowanie pokładu srebra i zbójeckie rajdy. Miasto przestanie być mroczną legendą i wszyscy będą znali do niego drogę. A skarbiec będzie w opłakanym stanie. Może zacznie sprzedawać wyroby swoich manufaktur? Zaleje Wybrzeże Żagli tanią masówką *made in* Lodowy Ogród? A może wystarczy sam zapas zimnej mgły? Sam Lodowy Ogród? W końcu ten, kto ma to świństwo, może mieć i pieniądze, i dopięty budżet, jednocześnie sypiąc srebrem na wszystkie strony.

Na razie nie ma to znaczenia. Na razie trzeba w ogóle przeżyć.

Dzielę armadę na eskadry, wyznaczam wszystkim kursy docelowe. Potrafią pływać po kilka okrętów w grupie, mają nawet prosty system sygnalizacji – znaki dawane proporcem albo kody oznaczane za pomocą

tarcz wywieszonych za burtę w dzień, a błyski światła w nocy. Mają też swoją wewnętrzną nawigację, wspomaganą obserwacją gwiazd, węchem i jakimś tajemniczym zmysłem, który sprawia, że czują, gdzie co jest.

Na morzu armada nie robi nawet takiego oszałamiającego wrażenia. Naraz widać tylko kilka okrętów po bokach i za rufą, a potem żagle i żagle, coraz mniejsze, aż do maleńkich plamek majaczących za horyzontem. Trochę to przypomina regaty.

Kilka razy robi się tłok podczas przejść przez cieśniny i wokół przylądków wysp. Wtedy morze wypełnia się manewrującymi statkami, jest krzyk i tupot na pokładzie, mimo że te statki są łatwe w obsłudze jak dżonki, żagle reguluje się z pokładu i nie trzeba do tego kabestanów obracanych przez pół załogi. Wystarczą bloki i kilku ledwie ludzi. Jednak ci, którzy muszą czekać, kręcą kółka, gdziekolwiek spojrzeć, widać dziób, wykładający odkosy dziobowe jak lemiesz pługa, łopocą żagle, sternicy wrzeszczą do siebie, kadłuby mijają się czasem o kilka metrów, dochodzi do paru niegroźnych zderzeń.

I w końcu mój statek odrywa się od konwoju wraz z dwoma eskortowcami oznakowanymi miedzianą blachą kryjącą burty. Wszystkie trzy niosą ciemne żagle bez żadnych znaków.

Zostawiamy armadę za rufą i rwiemy naprzód przez puste morze. Ani jednego żagla na horyzoncie. Nikt w tym roku nie popłynie na południe, nie uda się zorganizować ani jednej wyprawy w poszukiwaniu szczęścia.

Wiem już dlaczego.

Węże zdobywają statki. W portach, na wodzie, wzdłuż brzegów rzek. Już nie interesuje ich wyłącznie palenie lub wasalizowanie osad, nie zajmują polowania na dzieci, by przemienić je w pancerne kraby. Teraz chcą wszystkiego, co pływa. Znaleźli sobie nawet port, nad którym powiewa teraz proporzec przedstawiający Tańczące Węże. Na całe szczęście to nie jest Żmijowe Gardło. Mój zimowy występ w roli wieszczącego lodowego olbrzyma zaprocentował i w czas przygotowali się do obrony. Na tyle dobrze, że van Dykenowi szkoda czasu na obleganie Gardła. Spieszno mu na morze, niepokornymi zajmie się później. Jego chaotyczna manewrowa strategia zaowocowała tym, że praktycznie łazi po Wybrzeżu Żagli, gdzie chce, co więcej, dysponuje ze dwoma czynnymi stacjami Robaka w samym kraju. Dlatego nie musi się przejmować tym, gdzie ma dostęp do morza. Zagonił wszystkich za wały i częstokoły, zagnał

w lasy albo góry, a co najważniejsze, rozproszył. Zjednoczone klany Wybrzeża szybko zmusiłyby go do walnej bitwy, którą musiałby przegrać. A tak zajmuje się każdą osadą z osobna, jego oddziały znikają i pojawiają się w różnych miejscach, tam, gdzie ich się nie spodziewano. Tak to właśnie wygląda dzięki obserwacji z powietrza. Chaos. Wygląda na to, że doktor van Dyken ma wyjątkowo nieuporządkowany i niesystematyczny umysł i dobrze mu z tym. Najpewniej brzydzi się „logiką jednowymiarową", jak jemu podobni nazywają spójną pragmatykę. W normalnych warunkach natychmiast by się zaplątał i wyłożył o własne sznurówki, ale w tym świecie zawsze ma pod ręką magię, którą może szpachlować każde głupstwo.

Płyniemy szybko, co tutaj oznacza w najlepszym wypadku jakieś dziesięć węzłów. Rejs trwa, a ja nie mogę się uspokoić. Chodzę po pokładzie, wypatruję brzegów, mimo że mam do nich jakieś cztery dni. Przepatruję horyzont. Sprawdzam położenie eskortowców sunących spokojnie po obu stronach mojego kilwateru.

Nocami schodzę pod pokład, gdzie w osobnym pomieszczeniu stoi umocowana do podłogi skrzydlata maska. Wkładam w nią twarz i zamieniam się w latające widmo śmigające nad lasami i górami Wybrzeża Żagli, wśród chmur dymu wwiercających się w nocne niebo i żarzących się to tu, to tam plam pożogi. Sprawdzam.

Sprawdzam wszystko bez końca.

Dotąd przeprowadziłem trzy operacje i tylko jedna zakończyła się jakimś sukcesem. Dlatego tym razem nie chcę niczego zaniedbać.

Następnego dnia zaczynam rozumieć, że po prostu się miotam, więc siadam na pokładzie i zmuszam się do spokoju. Oddycham, staram się uspokoić umysł, a w końcu aktywuję Cyfral i to pomaga najbardziej.

Do Żmijowego Gardła weszli w dzień. Specjalnie po to, by okręty były widoczne z daleka, z zakrytą białym płótnem wilczą stewą na dziobie na znak pokojowych zamiarów i z białymi żaglami ze znakiem drzewa. Okręty stanęły na kotwicowisku u ujścia rzeki, po czym z pierwszego z nich spuszczono łódkę, która powiosłowała pomiędzy główki przystani. Na pomostach i dwóch częstokołach po obu stronach rzeki zgromadził się tłum. Kilku ludzi szykowało wielką balistę, ciągnąc za drągi wkładane w gniazda

na kole naciągu, stukotały zapadki, torsje skrzypiały, a ramiona odginały się do tyłu, magazynując energię do strzału.

Drakkainen siedział na rufie łodzi, okryty płaszczem, w wyczyszczonym pancerzu i najbardziej rozbudowanej wersji swojego hełmu na głowie, Spalle i Grunaldi wiosłowali, każdym pociągnięciem zbliżając łódkę do nabrzeża.

– Coście za jedni? – krzyknął ktoś z zebranych przy molo.

– Wrogowie Węży! – odkrzyknął Drakkainen. – Pozwólcie nam przybić, musimy pomówić z zacnym Kronalfem Kamiennym Żaglem.

– Dobijajcie!

Wpłynęli do przystani i skręcili w stronę najbliższego pomostu. Kiedy łódź zbliżyła się do molo, zewsząd wyciągnęły się dziesiątki rąk, by przytrzymać burtę, ktoś odebrał cumę.

Zwiadowca wstał godnie, pamiętając o wyniosłej minie, i raczył postąpić krok na deski, starając się nie zaplątać w płaszcz i nie wywrócić na rozchybotanej łódce. Miał świadomość, że wygląda jak pajac, ale tak musiało być. Szedł robić politykę.

– Prowadźcie.

Kronalf Kamienny Żagiel okazał się długowłosym mężczyzną w średnim wieku, atletycznej budowy i sprawiającym wrażenie znającego się na rzeczy bez względu na to, co by to miało być.

Przyjął Drakkainena w jednej z gospód na nabrzeżu, w zupełnie pustej sali, przy stole, przy którym siedziało kilku jego przybocznych. Na palenisku ledwo pełgał symboliczny ogień i w ogóle lokal sprawiał wrażenie nieczynnego.

Nienaturalne wrażenie pogłębiał jeszcze tłum stojący przed drzwiami gospody i zaglądający przez okna.

Drakkainen usiadł na drugim końcu stołu, na wprost Kronalfa, a Grunaldi i Spalle zasiedli po jego bokach.

– Zwę się Ulf Nocny Wędrowiec – zaczął Drakkainen, splatając palce i opierając nadgarstki o blat. – Przychodzę od tego, kto przysłał do was zimą lodowego olbrzyma, aby ostrzec przed szalonym królem Węży. Od tego, kto wysłał do ciebie, Kronalfie, skrzydlatego demona, by nawiedzał cię we śnie. A także od tego, kto obiecał wywieść całe to przeklęte plemię i jego wojnę za morza. A teraz spójrz!

Założył starannie wydobytą z kieszeni rękawicę pod sceptycznym spojrzeniem ludzi siedzących po przeciwnej stronie stołu, po czym wyciągnął rękę w stronę kominka i szepnął coś w dziwnej mowie. Fuknęło, z paleniska wzbił się płomyk, łopocąc jak rozjarzony motyl, po czym przeleciał przez izbę i osiadł na rękawicy. Przyboczni poderwali się z ławy, chwytając rękojeści mieczy, ale Kronalf siedział nadal spokojnie, po chwili uniósł dłoń. Zbrojni uspokoili się, na co Grunaldi i Spalle z trzaskiem schowali do połowy wysunięte ostrza. Vuko w bezruchu, z płonącą rękawicą na uniesionej dłoni wpatrywał się nadal w wojewodę strażników prawa, z uspokajającym uśmiechem tresera na twarzy. Uznał, że sytuacja została opanowana, więc dmuchnął na płomyk, który uniósł się w powietrze, a potem rozwinął w płonącą miniaturę maski z rozpostartymi skrzydłami.

– Czy poznajesz znak, Kronalfie? – zapytał spokojnie, lecz z naciskiem.

Tamten siedział, przygryzając wargę, a potem nagle wskazał palcem unoszący się w powietrzu ognisty kształt.

– Teraz mi wierzycie?! – zawołał. – Pomieszało mi się w głowie, Grundirze? Nie umiem już pić, Swidalfie? Chcę usłyszeć, czy widzicie to, co robi ten Pieśniarz? Widzicie skrzydlatą gębę, o której mówię wam od tygodni?!

Jeden z siedzących po bokach wojewody, rozłożywszy bezradnie ręce, odchylił się od stołu, a drugi pokiwał głową.

– Widzimy.

– Kiedy mówiłem, że mamy się obwarować, ponieważ wystąpiły dziwne znaki, drwiliście, ale okazało się, że mówiły prawdę, bo nadeszli Węże. Teraz jesteśmy może jedyną wolną sadybą na Wybrzeżu Żagli, ale wy i tak sarkaliście. Kiedy potem mówiłem, że nadpłynie Pieśniarz, który wywabi Węży, drwiliście. I co?

– Wybacz, Kronalfie, miałeś rację. Widocznie to rzeczywiście wojna bogów. Nikt, kto przywykł do posługiwania się rozsądkiem, tego nie ogarnie.

– Przybyłem prosić was o jedno – przypomniał o sobie Drakkainen. – Otwórzcie rzekę na kilka dni. Zdejmijcie blokady. Przepłynie nią wiele okrętów w jedną i drugą stronę, ale nie będą wam niczym zagrażały.

– Otworzyć rzekę? To szaleństwo! Wtedy Węże wpłyną pomiędzy częstokoły! W sam środek miasta. Jak ich zatrzymamy bez wałów?

– Popłynę w górę rzeki – przerwał Drakkainen. – Z dwoma okrętami o miedzianych burtach. Wiecie, co to oznacza. Jeśli zobaczę jakikolwiek okręt Węży, spalę go. A potem nadejdą moje okręty w takiej liczbie, jakiej jeszcze nie widzieliście, i będzie między nimi wiele miedzianych burt. Do waszego portu nie zbliży się żaden Wąż. Na ten czas świat spowije mgła. Będziecie widzieli rzeczy, których nie ma, będziecie słyszeli dziwne odgłosy. Nie patrzcie tam. Najlepiej odwróćcie się od rzeki.

Machnął ręką. Wisząca w powietrzu, utkana z płomieni maska płynnie zmieniła się w mały, płomienisty statek, który rozlał się plamą ognia i zniknął z fuknięciem.

– Nie stawajcie mi na drodze, przyjaciele. Nie róbcie tego. Węże nie zdobyli waszych wałów, bo są zajęci czym innym. Jeśli ja nie zrobię tego, co muszę, przyjdą tu i wyrżną was. A ja, jeśli nie będę miał innego wyjścia, sam wypalę sobie drogę. Tylko że to głupota, jeśli pozabijają się ci, którzy mają jednego wroga i którzy powinni sobie pomagać. Król Węży chce pożreć całe Wybrzeże Żagli. Jedyne, co może go od tego odciągnąć, to wielka bitwa Pieśniarzy o moc pieśni bogów i ja dam mu tę bitwę.

Zdjął rękawicę i położył na stole.

– Usłyszę jakąś odpowiedź?

– Zdejmijcie zapory – powiedział Kronalf Kamienny Żagiel. – I dajcie nam tymczasem jakieś piwo.

Wbrew wszelkim dobrym radom, kiedy trzy okręty przepływały przez Żmijowe Gardło, kto żyw stał na nabrzeżu, gapiąc się i wymieniając komentarze. Na co dzień otoczone lękiem i pogardą ogniste okręty, odpowiednie dla tchórzy i ludzi bez krzty honoru, teraz okazywały się zupełnie czymś innym, bo szły w górę rzeki na spotkanie tchórzliwych i pozbawionych honoru Węży, którzy tak chętnie bawili się w podpalanie innych. Teraz stanowiły narzędzie słusznej pomsty.

Vuko odczekał, aż ostatnie domostwa i najbardziej wysunięte na południe umocnienia znikną za zakrętem, po czym wydał rozkazy przekazane następnie przez wywijającego proporcem na rufie żeglarza. Eskortowce rozsunęły się pod brzegi, okryci azbestowymi strojami naffatuni Fjollsfinna zrzucili płócienne pokrowce z monitorów, a spod pokładu zaczął dobiegać monotonny łomot pomp. Smocza oliwa spływała do zbiorników, pojemnik ciśnieniowy wypełniał się powietrzem. Monitory

obróciły się i lufy zaczęły węszyć po brzegach, czekając na cel. Na każdym pokładzie strzelcy z kuszami zajęli swoje stanowiska za osłoną obitej miedzią wysokiej burty.

– Czas – powiedział Drakkainen.

Pierwszy masywny gliniany pitos o pojemności przynajmniej trzydziestu litrów przejechał wzdłuż pokładu na drewnianym wózku, po czym po przecięciu lin poleciał do wody jak bomba głębinowa. Po chwili wynurzył się i wylew został trafiony z kuszy.

W miejscu, gdzie zatonęło naczynie, woda zabulgotała i zagotowała się, produkując kłęby gęstej mgły. Zanim stracili je z oczu, opar podnosił się już na szerokości całego nurtu i długości stu metrów.

– Za godzinę następny – oznajmił Drakkainen, nalewając sobie piwa ze stojącej na krzyżakach beczki i stawiając na pokładzie forkasztelu klepsydrę. – Teraz my mu pokażemy, co to jest wojna bogów.

Do wieczora cały świat zatonął we mgle. Rzeka parowała, opar spowijał oba brzegi, wsiąkał w las i pożerał wszystko. Kolejne zbiorniki spadały za burtę, zamieniając wodę w bulgocącą ciecz buchającą gęstym, ciężkim dymem przypominającym parę suchego lodu. Za kluczem trzech sunących Dragoriną okrętów ciągnęła się wielka chmura spowijająca okolicę. Ptaki w koronach drzew wrzeszczały przeraźliwie i wszystko zatapiał biały półmrok.

Dozorowce sunęły wzdłuż brzegów i wodziły lufami monitorów, a stojący za nimi mężczyźni w białych strojach i garnczkowych hełmach wypatrywali przez nakryte szkłem wizury jakiegokolwiek celu.

We mgle, która spowiła brzegi i las za nimi, w zasadzie nic nie było widać. Nic prócz Węży i krabów. Spotkali ich raz, niewielki patrol, który usłyszał plusk wody o burty, skrzypienie desek i lin. Natychmiast położyli konie i zapadli w głębokie krzaki, sięgając po łuki, doskonale skryci wśród liści i kłębów oparu.

Tyle że z punktu widzenia załogi wszyscy jarzyli się bladą, ale doskonale widoczną zielonkawą poświatą, jakby wymalowano ich fosforem. Oni sami widzieli jedynie ciemny zarys tajemniczego okrętu sunącego bez wioseł wzdłuż brzegu, a za rufą wstającą z wody ścianę mgły.

Pokład wydawał się zupełnie pusty, dopiero kiedy dwa obite miedzią syfony obróciły się w ich stronę, zobaczyli, że za kwadratową tarczą czai się coś, co przypomina człowieka o ciele jak pień drzewa, a zamiast głowy

ma tępo zakończony walec i wpatruje się w nich martwo dwoma okrągłymi, połyskującymi ślepiami, jakby widział przez mgłę i ciemność.

To było ostatnie, co zobaczyli, zanim prosto w ich twarze trysnął strumień płynnego ognia.

Syfon eskortowca plunął krótkim, jednosekundowym strzałem, pod pokładem załomotały pompy, wyrównując ciśnienie.

I wystarczyło. Zarośla na brzegu okryły się natychmiast ścianą płomieni, z której zaczęły wytaczać się wyjące sylwetki, całe obrośnięte ognistymi piórami, rzucając się w wodę, co niewiele zmieniło, bo to była prawdziwa smocza oliwa, płonąca pod wodą i zmieniająca ją w bulgocącą zupę.

Zza burty wstał rząd strzelców z uniesionymi kuszami. Rozległ się łomot zwalnianych cięciw, zaraz potem terkot naciągów i krzyki ucichły. Słychać było tylko huk i trzask płomieni, pożerających krzewy i drzewa na brzegu, barwiących mgłę na pomarańczowo i rysujących się jaskrawą plamą na wodzie.

Okręty znikły w dole rzeki tak samo cicho i tajemniczo, jak się pojawiły.

– Jeszcze raz – powiedział Drakkainen cierpliwie. – Wszyscy wiedzą, co mają robić?

Siedzieli pod pokładem przy długim stole, w świetle fluorescencyjnej lampy. Grunaldi, Spalle, Warfnir, Głóg i Jesion mieli na sobie pełen rynsztunek Nocnych Wędrowców wraz z czernionymi półpancerzami z utwardzanej skóry i stalowych lamelek, zaś Drakkainen miał taką minę, jakby wysyłał przedszkolaków na pole minowe.

– Słowo daję! – rozzłościł się Grunaldi. – Skąd u ciebie taka pewność, żeśmy wszyscy niespełna rozumu? Mamy wysiąść, przejechać przez las i Spalone Wzgórza do miejsca, gdzie Trakerina zbliża się najbardziej do Dragoriny, tam utopić jeden duży dzbanek i wracać na skróty przez nasze ziemie, żeby dostać się w okolice Domu Ognia. Kryć się przed Wężami, nie rzucać się w pięciu na całą armię, wyjąc i wywijając toporami, nie dać się zabić, nie stłuc za wcześnie dzbanka. Czyś ty kiedy widział, jak któryś z nas skacze na setkę zbrojnych z udźcem w ręku? Przeżyliśmy w tych lasach od urodzenia, choć nie pojmuję, jak to się nam udało, skoro nie było w okolicy ciebie z wiechciem w ręku, gotowego podcierać nam zadki!

– Wolałbym iść z wami – powiedział Drakkainen.

– A ja bym wolał siedzieć w cebrze z wodą, trzema dzierlatkami i dzbanem – wyrwał się Spalle.

– A pewnie – warknął Grunaldi. – I kaczką.

– A na co mi kaczka?

– A na co ci dzierlatki?

– Dobra. Chcę być pewien, czy znajdziecie Trakerinę – przerwał Vuko.

– A jakim sposobem można nie znaleźć rzeki? Byłem tam kiedyś, to i trafię z powrotem. Ty się musisz od nowa uczyć drogi za każdym razem? Strach pomyśleć, jak znajdujesz wychodek.

– Teraz to. – Zwiadowca położył przed nimi pięć metalowych flakoników. – Co popas wylejcie trochę na rękę, natrzyjcie ubranie i końskie kropierze. To sprawi, że we mgle ciężko was będzie zobaczyć. Wystarczy, że przypadniecie w bezruchu, a staniecie się jak kłęby oparu. Ja będę co jakiś czas sprawdzał, jak wam idzie, ale wtedy będę mógł tylko patrzeć. Nie zdołam wam pomóc. Może się jednak zdarzyć, że usłyszycie mnie we śnie. Jeśli przyśnicie...

– ...skrzydlatą głowę, to będziesz ty. Nie należy piszczeć ani rzucać kamieniami.

– Wchodzimy na rozlewisko! – Sternik uchylił nieco klapę zejściówki i zaraz zatrzasnął ją z powrotem. Drakkainen nasunął osłonę na lampę i w kabinie zapanowała doskonała ciemność.

Nocni Wędrowcy założyli hełmy i zapięli maski, słychać było tylko ciche szczękanie oporządzenia.

Na pokładzie było odrobinę jaśniej, ale niewiele. Okręt sunął ku lewemu brzegowi, podnosząc boczne miecze, jeden z eskortowców przepłynął powoli wzdłuż żwirowej plaży, obracając monitory w ciemność lasu, a potem wykręcił szerokim łukiem na środek rozlewiska, drugi ognisty okręt sunął na tyłach.

– Trzymać się! – rzucił sternik zduszonym szeptem. Statek zbliżył się na dziesięć metrów do brzegu, chrzęszcząc obitym blachą kilem o żwirowate dno, a potem pochylił się i stanął. Słychać było, jak wewnątrz poprzesuwały się jakieś ciężkie pakunki, zarżał koń, ktoś zaklął cicho.

Z burty opuszczono szeroki trap, zastukotały kopyta, pojedynczy jeździec pokłusował w dół, rozchlapując płytką wodę, za nim dwóch niosących pomiędzy końmi wielki, zaczopowany dzban umieszczony w drewnianej kołysce, na koniec jeszcze dwóch. Na plaży ostatni z nich

odwrócił się i uniósł kuszę na pożegnanie, po czym cały oddział ruszył żwawym truchtem pomiędzy drzewa.

A potem nadpłynęła mgła, jakby wylała się z lasu kłębami i pasmami zatapiającymi okolicę. Kiedy ogarnęła jeźdźców, nagle wtopili się w nią i zamienili w niewyraźne kształty, nieco tylko gęstsze od samego oparu. Pozostał tętent, niezbyt donośny wśród piachu, mchu i mokrej ziemi.

Z prawej burty z chlupnięciem wyrzucono kotwicę, po czym lina napięła się, zaskrzypiał kabestan, wyciągając dziób z powrotem na wodę. Wypukłe cielsko burty zachrzęściło na żwirze, zabulgotała rzeka, wdzierając się między kil a dno, okręt odwrócił się ciężko, potem szybciej i wypłynął w nurt, podejmując swoją nocną podróż. Pozostała jedynie mgła i rzeka.

Na wielkie jezioro przy ruinach Domu Ognia okręty wpłynęły następnego dnia po południu. Opłynęły rozlewisko wzdłuż brzegów, płosząc stada kraczących ptaków wśród snującego się z czarnych pogorzelisk dymu, odoru spalenizny i padliny.

Prowadzący wilczy okręt zacumował w pobliżu dworu, pozostałe rozstawiły się na jeziorze z monitorami gotowymi do strzału.

A potem nadeszła mgła, zatapiając okręty, jezioro, brzegi i las.

Zaczęło się bezproduktywne czekanie.

Strzelcy zajęli stanowiska przy burtach, naffatuni nie oddalali się od swoich syfonów i wszyscy siedzieli, wypatrując oczy przez białe, spowijające świat opary.

Nawet ptaki przestały krakać i zapadła cisza. Czasem jedynie lekki wiatr zagwizdał na wantach, kapała woda skraplająca się na olinowaniu. Od czasu do czasu ktoś zakaszlał albo przeszedł się z tupotem po pokładzie.

Nic.

Mgła, czekanie i trzy okręty majaczące na spokojnej wodzie.

Drakkainen spuścił nogi za burtę i pykał z fajki. Sylfana usiadła tuż obok, opierając się o niego ramieniem, i patrzyła na poczerniałe belki swojej sadyby.

– Kiedy byłam mała, bawiłam się na tamtej wieży i na krużgankach. Albo na plaży przed bramą – szepnęła. – Całe życie... A teraz nie umiem rozpoznać tego brzegu bez Domu Ognia.

Wokół jeziora było zupełnie pusto. Nic się nie działo. Nie pojawiały się nawet zwierzęta, bo wszystko, co żyło w okolicy, dawno skończyło w wędzarni, na rożnie albo w garnkach, zalane własnym tłuszczem.

Prawie nie rozmawiali, a jeśli już, to ściszonymi głosami, zatopieni w wojennym czekaniu. Dotarli na miejsce, a teraz gdzie indziej miały nastąpić kolejne wydarzenia, niezbędne, by można było ruszyć dalej i przejść do następnego etapu. Wojna. Przemarsze, manewry oddziałów, kontrmarsze, ruchy wojsk i czekanie pomiędzy tym.

Więc należało czekać.

Wielki czarny kruk usiadł raptem na drewnianym relingu i zakrakał, kierując na Drakkainena paciorkowate oko.

– Nevermore, to ty? – ucieszył się zwiadowca.

– Braat! – powiedział kruk.

– Nie znikaj – poprosił Drakkainen. – Rano będę miał dla ciebie małe zadanie.

Ptak umościł się na poręczy i nastroszył pióra, najwyraźniej zamierzając czekać razem z nimi.

Dźwięk usłyszeli o zmroku. Posępne, przeciągłe zawodzenie, które dobiegało gdzieś z bardzo daleka, toczyło się po niebie jak skarga pokutującej duszy, ledwie słyszalne, a jednak wyraźne. Po chwili odpowiedziały mu takie same dźwięki z różnych miejsc, jedne bliżej, drugie dalej.

– Rogi Węży – powiedziała Sylfana.

Na wszystkich trzech pokładach rozległ się tupot strzelców biegnących na swoje stanowiska, oba ogniste okręty wciągnęły kotwice i zaczęły opływać brzegi, węsząc lufami monitorów.

– Zwołują się – stwierdził Vuko. – Teraz wszystko zależy od tego dokąd. Jeśli zobaczymy ich tutaj, to znaczy, że nie dali się nabrać i mamy problem. Jeśli nie, to może idą tam, gdzie chcę, żeby poszli.

Nie było innego wyjścia, tylko czekać.

Kiedy zapadła ciemność, Węże nie pokazali się w okolicy, ale rogi wciąż było słychać.

Vuko zszedł pod pokład i otworzył drzwi pomieszczenia, w którym czekała maska. Dopił, odstawił kubek, zaklął szpetnie, a potem westchnął i włożył twarz w srebrzysty odlew.

Wrażenie było takie, jakby natychmiast wystartował pionowo przez pokład i pomknął w górę, nad statek. W dziwnym, magicznym widzeniu mgła była właściwie niewidoczna, ledwie zaznaczona, jak leciutki opar, a nie gęste mleko, które zatapiało całą okolicę. Najpierw zawinął ciasną

pętlę wokół jeziora, a potem pomknął na północny wschód, bo to było teraz najpilniejsze.

Leciał na dość dużym pułapie, mając nadzieję, że zdarzający się w oddziałach Węży Pieśniarze nie wyczują go na nocnym niebie. Bo widział ich. Drobne, jarzące się pomarańczowo punkciki schodzące z gór, zbiegające się do traktów, gdzie grupowały się w płonące strumyki, jakby każdy niósł pochodnię.

Przez jakiś czas zataczał nad nimi wielkie koła, niczym polujący jastrząb, bo musiał mieć pewność.

Podążali na wschód.

W pośpiechu i dość chaotycznie, plącząc się i gubiąc ścieżki we mgle, ale jednak wyraźnie ciągnęli w stronę brzegów trzeciej z kolei rzeki Wybrzeża Żagli, spływającej z głównego górskiego masywu.

Szli ku Trakerinie.

Poleciał w tym samym kierunku, śmigając nad połacią lasu, potem skoczyły ku niemu wzgórza, jakaś skalista równina, znowu lasy, a wreszcie pasmo rzeki migocącej w ciemnościach jak polerowana stal.

Zrobił ciasny zwrot przez skrzydło i pomknął w górę Trakeriny wijącej się wśród lasu i równin. Po kilkunastu minutach szalonego pędu nad rzeką zobaczył mgłę spowijającą nurt oraz oba brzegi i pełznącą w głąb lądu. Dla niego był to delikatny opar, ale każdemu, kto zbliżał się w stronę Trakeriny, trudno byłoby zobaczyć cokolwiek wyraźnie choćby na dziesięć metrów.

A na rzece wśród kłębów mgły majaczyły okręty. Dziesiątki i setki okrętów przedzierających się przez gęsty niczym mleko opar, istny wędrujący pod prąd las masztów. Pojawiały się i znikały sterczące w górę wilcze stewy, zadarte rufowe kasztele, słychać było plusk wioseł, okrzyki załogi, tupot. Gigantyczna widmowa flota sunąca w górę trzeciej rzeki Wybrzeża, mijająca o kilkanaście kilometrów pasmo górskie, z którego dumnie wznosiła się w niebo góra kryjąca Spaloną Gawrę. Rzeki będącej zupełnie sensowną drogą ewakuacji, może nawet dogodniejszą niż Dragorina. Okręty pojawiały się i znikały, mieszały się z mgłą, czasem rozmywały albo przybierały dziwaczne kształty, ale nikt, kto obserwował je z brzegu, nie miałby wątpliwości, na co patrzy.

Nadal nie było wiadomo, jak potoczyły się losy grupy dywersyjnej, ale jedno stało się pewne – zawartość niesionego pomiędzy wierzchowcami pitosa znalazła się w wodzie.

Drakkainen tryumfalnie wykręcił dwie beczki, a potem pętlę, wyprysnął w górę i postawił jeszcze coś w rodzaju „kobry Pugaczowa”, ot, tak sobie. I zaraz pomknął w dalszą drogę.

Prawdziwe okręty ciągnące drugą rzeką Wybrzeża dla odmiany tonęły w oparze całkowicie, zmieniały się w trochę gęstsze kłęby, ledwie prześwitywały przez zasłonę mgły i trzeba było wiedzieć z całą pewnością, że flota sunie rzeką, żeby ją w ogóle wypatrzyć. Ostatnie jednostki wchodziły właśnie na redę zasnutego białą zasłoną Żmijowego Gardła, a pierwsze ciągnęły już parenaście kilometrów w górę Dragoriny.

Przeleciał wzdłuż konwoju, po czym pomknął prosto na północny wschód, ku górom, tym razem ignorując zupełnie rzekę, mgłę i oddziały Węży ciągnące w gwiaździstym marszu nad Trakerinę, co chwila przekazujące ten sam ponury sygnał rogiem, jak zwołujące się watahy wilków.

Mimo że szukał przeklętej góry po raz trzeci, po staremu zaplątał się wokół szczytów. Podejrzewał, że tak działa magiczny kamuflaż, którym szczyt z siebie emanował. Nie wiedział, co tam kiedyś było – jakieś miejsce kultu lub jeszcze coś innego, dość, że musiał zmienić sposób patrzenia, zamknąć oko widzące nadnaturalną stronę świata, żeby masyw wyłonił się spośród chmur i stał się znajomą bryłą.

Kiedy przeleciał nad obozem, przez chwilę znowu nie widział nic, ale za moment skoncentrował się i nagle przed jego oczami wyłonił się płaskowyż, a na nim rzędy wozów i mrowiące się wszędzie drobne ludzkie sylwetki. Ładowano wory, toczono beczki, broń noszono całymi naręczami, mało kto chodził normalnie, każdy przynajmniej truchtał. Na całym dziedzińcu płonęły lampy i nadal pracowano mimo głuchej nocy.

Vuko uznał to za dobry znak, a potem runął w kręte korytarze, szukając drogi do alkowy Atleifa.

Na szczęście młody styrsman spał posłusznie, mając najwyraźniej nadzieję, że we śnie dotrą do niego wieści.

– Atleifie synu Atlego, Krzemienny Koniu! Styrsmanie Ludzi Ognia!

Atleif mruknął coś nieokreślonego w poduszkę ze zrolowanej kapy. Przy drugim wołaniu przewrócił się na bok i wymamrotał jeszcze bardziej niewyraźnie, ale tym razem Vuko usłyszał już dziwaczny studzienny pogłos i słowa:

– Ulfie...? Nitj’sefni?

– Już czas, Atleifie. Kraj spowiła mgła, w której słychać rogi Węży. Słychać, jak zwołują się nad brzeg Trakeriny, bo tam widzą okręty. Będą więc łowić mgłę, strzelać do widziadeł i ścigać widma. Jutro kruk siądzie ci na ramieniu, by zamknąć usta niedowiarkom. Ruszajcie o świcie. Prosto przez Czarcią Sztolnię do Domu Ognia. Czas, Atleifie. Zapamiętaj, co powiedziałem. Zrozumiałeś?

– Tak, Ulfie... Czy Sylfana...?

– Czeka razem ze mną na jeziorze. Jutro ją zobaczysz. Bywaj!

– Znajdź drogę, Ulfie – wymamrotał Atleif i odwrócił się na bok, a potem zachrapał, jakby po raz pierwszy od miesięcy mógł zasnąć głęboko i spokojnie.

Skrzydlate widmo znów wzbiło się nad szczyt Spalonej Gawry i pomknęło w górę. Vuko spojrzał na obie rzeki migoczące po obu stronach horyzontu i wykoncypował powrotną trasę, którą mogli wybrać Nocni Wędrowcy. A potem opadł w dół, przemierzając szlak zygzakiem, ale nie spotkał nikogo.

Następny dzień znów wypełniało zwalające z nóg, bezproduktywne, spalające nerwy oczekiwanie. Trwanie we mgle, nasłuchiwanie, wypatrywanie, czy nie pojawią się w niej fosforyzujące sylwetki. Pętanie się po pokładzie, majtanie nogami z burty i patrzenie w kłęby białej nicości nad ołowianą wodą. Ale jednak wszystko z kuszą pod ręką i sakwą pełną bełtów przy pasie. Od czasu do czasu to na jednym ognistym statku, to drugim rozlegał się bełkotliwy dźwięk pomp dobijających ciśnienie w zbiorniku miotacza. Strzelcy grali w deseczki, siedząc przy burcie, z kuszami na kolanach.

Pierwsze, co zrobił jeszcze o świcie, kiedy tylko odkleił twarz od maski, to znalazł kruka drzemiącego na relingu i pogłaskał go delikatnie po okrytym lśniącą czernią grzbiecie.

– Leć do Spalonej Gawry, Nevermore. Na wschód stąd, na szczycie góry osłoniętym przed magicznym okiem, znajdź Atleifa i usiądź mu na ramieniu. A potem leć na północ i znajdź mi ich. Znajdź moich ludzi.

A potem poszedł odsypiać nocne loty, ale i tak budził się co chwila i wychodził na pokład.

Albo patrzył z rufy w mgłę od tej strony jeziora, gdzie wypływała z niego Dragorina, wypatrując rzędów stew, żagli i kadłubów swojej floty,

albo schodził na plażę i maszerował za częstokoły i wały Domu Ognia, by wpatrywać się bezproduktywnie w nieruchomy, zarzucony zwęglonymi deskami i zasypany popiołem dziedziniec, albo z kolei siedział na burcie, wgapiając się w las w nadziei, że zasłona utkana z mgły i gałęzi wypluje pięciu jeźdźców w strojach Nocnych Wędrowców.

A potem schodził na siłę pod pokład i usiłował spać.

Za którymś razem Sylfana, siedząca na forkasztelu i zajęta przygryzaniem skórek przy paznokciach, zeszła zaraz za Drakkainenem i starannie zamknęła za sobą drzwi.

Resztę dnia spędził, śpiąc i jedząc na przemian, bo trwający całą noc stan magicznej koncentracji wycieńczył mu organizm do tego stopnia, że instynkt zapędził Vuka do kambuza, każąc pożerać kiełbasy, rwać placki chleba, na zmianę gryźć wędzony ser i chrupać marynaty prosto ze słoja.

A czas ciekł monotonnie. Godzina za godziną.

A potem ruszył nagle z kopyta. Ni z tego, ni z owego, jakby ktoś go nagle odkorkował.

Najpierw pojawiły się okręty.

Usłyszeli jeden sygnał grany na rogu, brzmiący dziko i ponuro, ale zupełnie inaczej niż rogi Węży, a za minutę mgła wypluła okręty, jeden za drugim, całym rzędem. W mgnieniu oka jezioro zapełniło się kadłubami, łopocącymi żaglami, tupotem i okrzykami załogi. Mglista, dławiąca cisza znikła, wypełniona skrzypieniem desek, szumem wody rozcinanej dziobami, stukiem wioseł.

Statki wpływały szeregiem i sunęły wzdłuż lewego brzegu, opływając jezioro, by ustawiać długi wąż kadłubów aż pod zrujnowany pomost Domu Ognia.

Drakkainen wykrzykiwał komendy, a żeglarz stojący wysoko na rufowym forkasztelu przekazywał je pozostałym jednostkom, wywijając proporcem jak opętany. Jezioro było spore, w dobrą pogodę drugi brzeg stanowił tylko cienką linię, ale kiedy pierwsze statki zrównały się z Domem Ognia, kolejne wypływały z Dragoriny, zbijając się we mgle w manewrujące nerwowo gromady, i wydawało się, że panuje na nim piekielny tłok. Mgła, która skrywała flotę przed oczami wroga, teraz okazała się przekleństwem, wywołując pływający chaos i coś, co najbardziej kojarzyło się z godzinami szczytu. Brakowało jedynie klaksonów.

Opanowanie floty i uformowanie czegoś będącego jako tako sterowalnym szykiem za pomocą sygnałów proporcem i okrzyków, przekazywanych między pokładami tych statków, które w ogóle widziały się nawzajem, zabrało ponad trzy godziny. Co gorsza, nie mogli użyć rogów, bo ich dźwięk niósł się na kilometry. Drakkainen ochrypł w tym czasie i nabrał pewności, że udało mu się spowodować jakiś pływający węzeł gordyjski, który przetnie tylko nadejście Węży.

Kiedy raptem w bramie grodu pojawiło się kilku ludzi, z wysiłkiem odstawiających na bok resztki strzaskanych wrót, nawet tego nie zauważył, nadzorując cumowanie, manewry i kolejności. Na tym etapie konwój zbił się już w szeroką rzekę okrętów, istną tratwę z setek kadłubów, i można było ograniczyć się do wołania, a na pytanie skierowane do straży tylnej dostawało się odpowiedź zaledwie po pięciu minutach.

Kiedy wreszcie spojrzał, pogruchotane tramy zostały już odsunięte, a przez zasypaną fosę maszerował Atleif w otoczeniu przybocznych, z mieczem w dłoni i tarczą na ramieniu, a za nim szło dwunastu kapłanów Boga Kowala w swoich wyszywanych bluzach i idiotycznych skórzanych kołpakach.

A z tyłu nadciągała istna rzeka ludzi, wozów i zwierząt.

Sylfana zeskoczyła z burty prosto w płytką wodę i pognała do brata. Padli sobie w ramiona, lecz nie mieli czasu na długie powitania. Za ich plecami szli ludzie pochodem szerokim na dziesięć metrów, pierwsze statki opuszczały już z łoskotem trapy. Wszystko musiało się odbywać w biegu.

– Sternicy, odliczać po pięćdziesięciu na okręt! Pięćdziesięciu ludzi albo dziesięć zwierząt! Ruszać się, ludzie! Wynosimy się stąd! – wrzeszczał Drakkainen.

Atleif wraz z przybocznymi podszedł do niego, objęli się na krótką chwilę, ściskając sobie nawzajem bicepsy i karki, a wylewająca się z grodu rzeka ludzi maszerowała prosto na trapy.

– Dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć...

– Dalej, dalej, nie stawać!

– Wchodzić na koniec! Na sam tył! Tam jest jeszcze pełno miejsca!

– Ludzie przednim trapem! Ładunek tylnym! Szybciej!

– Odcumuj dziób! Trap góra! Na wodę! Następny! Rzucaj cumę! Następny!

– Szybciej, ludzie!

– Prawym brzegiem, płynąć pod brzegiem! Nie wychodzić na środek! Do wioseł!

– Do straży przedniej: ruszać! Trzy długości strzału do przodu! Podaj dalej!

Załadunek trwał dziewięć godzin.

Był to czas, który ciągnął się bez końca, ale wreszcie wszystkie okręty zostały zapełnione ludźmi i zwierzętami. Podniesiono ostatnie trapy, wtoczono ostatnie beczki. Od początku ku tyłowi konwoju z ust do ust pobiegły ostatnie rozkazy.

– Nie możemy dłużej na nich czekać – powiedział Atleif.

– Wsiadaj – odparł Drakkainen.

– Ulfie... Tam jest cały klan Ludzi Ognia. Trzeba ich stąd zabrać. Oni są jednymi z nas i zrobili to, żeby ocalić swój klan. Nie chcieliby, żeby wszystko przepadło, dlatego że na nich czekałeś.

– Wsiadajcie – powtórzył Drakkainen z uporem. – Na przedostatni statek. Dogonię was.

Atleif położył mu dłoń na ramieniu.

– Ulfie... Wiesz, że potrzebujemy cię potem. Tam, na murach Lodowego Ogrodu, a nie w górach Ziemi Ognia, szukającego pięciu ludzi. Potrzebujemy cię. Prowadzisz nas. Wszystkich, a na tym to właśnie polega. Musisz myśleć o tysiącach, a nie o pięciu, nawet jeśli są twoimi braćmi.

– Nie rozumiesz – powiedział Vuko zdławionym głosem. – To Nocni Wędrowcy. Nikt nie zostaje porzucony. Razem wyruszamy i razem wracamy, nawet martwi.

Odchrząknął.

– Tylko do rana. Potem ruszam za wami. Mam najszybszy statek pchany pieśniami bogów. Dogonię was, zanim wyjdziecie na morze. Atleifie, to Grunaldi... Spalle... Warfnir.

– Znałem ich od dziecka – rzekł Atleif. – Tak samo jak znałem wielu z tych, co padli w oblężeniu. Tak samo jak znałem mojego sternika, Grunfa Kolczaste Serce. Płakałem po każdym. Po każdym z osobna, aż zabrakło mi łez. Ale muszę myśleć jak styrsman: o tych, co wciąż żyją. O klanie. Ty też jesteś styrsmanem, Ulfie. Wiesz, że nie możesz ruszyć później niż o świcie, bo zawiedziesz nas wszystkich.

– Zostaję z Ulfem – oświadczyła Sylfana. – Jestem Nocnym Wędrowcem, tak jak oni.

Ledwie konwój wtopił się w mgłę i ciemność, Drakkainen zszedł pod pokład i mimo że kręciło mu się w głowie ze zmęczenia, natychmiast wetknął twarz w maskę i pomknął w noc jako skrzydlate widmo.

Ludzie żyjący w świecie za Morzem Gwiazd widzą wszystko w skrócie. W pomniejszeniu. Wydaje im się, że ocean jest mały, bo przelatują nad nim w ciągu paru godzin. Zawsze mogą włączyć sprzęg globnetu i zobaczyć dowolny skrawek Ziemi z orbity. Mają komputery zdolne segregować terabajty danych w ułamku sekundy.

Tymczasem w rzeczywistości kilkanaście kilometrów kwadratowych lasu, gąszczy, gór, skał, wąwozów i rozpadlin to ogromny teren. Przeszukanie go nawet z powietrza dla znalezienia śladów pięciu ludzi to losowanie. Nic więcej. Kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych to już nawet nie losowanie. To jakaś kosmiczna loteria, jakieś trafianie szans liczonych w setce miejsc po przecinku.

Ale i tak szukał.

Przeleciał wzdłuż tras, które mogli obrać, wracając od brzegów Trakeriny.

Zataczał kręgi na dużych wysokościach, wypatrując iskierek ludzkiej obecności.

Natrafił na dwie niezidentyfikowane grupki niebędące jego ludźmi.

Latał, przeczesując teren systematycznie, raz koło razu.

Miotał się tuż nad czubkami drzew albo patrzył z wysoka. Ani Wędrowców, ani kruka.

A w końcu nastał świt.

Drakkainen odkleił twarz od maski, a potem długo pił duszkiem wodę z miodem i dyszał ciężko. Gdy wyszedł na pokład, wrzucił do jeziora skórzane wiadro na lince, wyholował je pełne wody, po czym postawił na stopniach zejściówki forkasztelu, zanurzył głowę w zimnej wodzie i trzymał ją tak dobre pół minuty.

A później otrzepał się jak pies i z martwą, kamienną miną, głosem zdartym od wczorajszego wrzasku kazał rwać kotwicę.

Pokład na moment zapełnił się gorączkową krzątaniną, zaskrzypiał kabestan, kotwica, ociekając wodą, stuknęła o burtę, sternik – ponury drab

o przeciętej blizną twarzy, imieniem Pięciornik – naparł na rudel i już płynęli prosto w mgłę, znikając z plaży, jakby nigdy ich tam nie było.

Brzegi jeziora oraz pełne kraczących kruków ruiny utonęły we mgle. I żaden z tych kruków nie nazywał się Nevermore, a na oddalającym się brzegu nie pojawili się jeźdźcy.

Okręt sunął samotnie Dragoriną, rozganiając kłęby mgły, cała załoga prócz sternika siedziała przy burtach z kuszami w ręku, a on szedł naprzód bez wioseł, rozcinając wodę dziobem i ciągnąc za sobą bulgocący kilwater. Płynęli przynajmniej trzy razy szybciej niż orzący rzekę konwój przed nimi, ale mieli do tamtych całą noc straty i nie było czego wypatrywać przed dziobem prócz kolejnych meandrów rzeki.

Drakkainen stał w zamkniętej kajucie z twarzą wbitą w maskę i niestrudzenie przepatrywał okolicę. Robił tak od wielu godzin i zauważył, że co jakiś czas traci spójność, obraz ziemi mknącej tam, w dole, zaczyna mu się zamazywać, po czym rozpadał się z fuknięciem w kłąb czarnego dymu i lądował z powrotem na deskach pokładu, trzymając się kutych skrzydeł, na uginających się i drżących nogach. Gasił pospiesznie pragnienie, po czym znów wciskał twarz w śmierdzącą potem, przemoczoną irchę i rozwijał widmowe skrzydła.

Po prostu wyrwała mu twarz z maski. Szarpnęła Drakkainena za ramiona, a jego widmo w jednej chwili szybujące nad lasem rozpadło się w obłok. Zatoczył się i chwycił wręgi, żeby nie upaść.

– Co ty robisz...? – wybełkotał.

I wtedy zobaczył twarz Sylfany: bladą jak płótno, z oczami szklącymi się od łez.

– Na pokład... Zobacz... – wyjąkała.

Skoczył w górę, przeskakując po kilka stopni, z sercem zamienionym w lód. Widział to już oczyma duszy. Tak wyraźnie, jakby oglądał to już sto razy. Odrąbane głowy na włóczniach. Pięć – rzędem, na samym brzegu rzeki. Grunaldi. Spalle. Warfnir. Głóg. Jesion. Półprzymknięte powieki, zmętniałe oczy, uchylone usta, krwawe kikuty szyi nadziane na grot.

Wypadł na pokład i rzucił się do relingu.

Zobaczył ciemnoołowianą wodę, kłęby mgły, ledwo majaczące zarysy brzegu i wiszącą w tej mgle samotną skałę sterczącą nad rzeką.

A na szczycie sylwetkę siedzącego człowieka.

Człowieka z wędką.

Popłynęli bliżej, pojawiły się zarysy iglastych drzew rosnących na brzegu, skała zgęstniała i okazała się nachylonym kształtem wspinającym się trzy metry nad wodę, a mężczyzna zwinął linkę w ręku, zaklął na widok pustego haczyka, odciął go jednym ruchem i owinąwszy w szmatkę, schował do kieszeni, a potem wstał, poprawiając swoją skórzaną myckę z okutym brzegiem, i kiedy minęła go wilcza stewa, chwycił wantę i zeskoczył zwinnie na pokład.

– Chętnie zabrałbym się za morza, do miasta, gdzie wychodki są z kamienia – oznajmił Grunaldi. – Możecie stanąć kawałek dalej, przy zwalonym pniu, i wyłożyć trap na brzeg?

Drakkainen milczał osłupiały. Na głowie wilka z dziobu usiadł kruk i wydał tryumfalny odgłos, jakby sucha gałąź skrzypiała pod ciężarem sznura.

– Odcięli nam drogę – wyjaśnił Ostatnie Słowo. – Wyłazili zewsząd i gnali nad Trakerinę, jakby tam stanął darmowy zamtuz. Musieliśmy przeczekać, a jak przeleźli, sami zgubiliśmy się w tej zawszonej mgle, dopiero ten ptak nas wyprowadził. Wiedzieliśmy, że do Ziemi Ognia już nie zdążymy, więc poszliśmy na skróty. Przeczekaliśmy konwój, bo się baliśmy tych w białych kaftanach, co noszą cebry na głowach i palą wszystko, co tylko zobaczą.

– A skąd miałeś pewność, że ognisty okręt nie będzie szedł na końcu?

– Wiedziałem, że to ty będziesz ostatni.

Rufowa kotwica plusnęła w wodę, lina napięła się ze skrzypieniem, hamując okręt, opadł trap.

Czterech Nocnych Wędrowców wyjechało spomiędzy drzew prosto na pokład, dudniąc kopytami, ostatni prowadził luźnego wierzchowca.

Wciągnięto trap.

– Spiorę cię, jak to odeśpię – wycedził Drakkainen. – Pewnie dopiero w Ogrodzie.

W rzeczywistości spał tylko dwadzieścia jeden godzin.

Kiedy wyszedł na pokład, jego okręt minął już Żmijowe Gardło, potem ujście rzeki i zatokę, gdzie znienacka wypłynął z mgły wprost w oślepiające słońce, granatowe niebo Midgaardu i na pełne morze pokryte rzędami wydętych żagli z symbolem drzewa w kręgu. Kolejny ładunek ludzi i dobytku płynął na północ. Prosto na mury Lodowego Ogrodu.

Rozdział 13

Mury

Pijmy, choć wróg pod bramami,
pijmy, bo cisza jest krwawa,
pijmy, bo to, co przed nami,
nie radość to, nie sława.

Pijmy tę chwilę szkarłatną,
jak wino, jak świt, co już wschodzi.
Nim cień padnie na miasto
wojny, co skrycie nadchodzi.

(Śpiewka z karczmy, Lodowy Ogród)

Kiedy człowiek przybywa do nowego miejsca, najpierw musi się go nauczyć. Poznać. Nie tylko tego, gdzie jest gospoda, stacja karawan albo dom, w którym mieszka, albo jak trafić na targ czy gdzieś, gdzie można kupić posiłek. Musi nauczyć się też, jak wyglądają miejscowe obyczaje, poznać przynajmniej parę słów, którymi mówią mieszkańcy,

poznać zapachy, smaki, dźwięki i kolory miejsca, w które trafił. Musi pozwolić, by to miejsce go trochę zmieniło.

Kiedy podróżnych jest kilka tysięcy, jest trochę inaczej. Oprócz tego, że muszą nauczyć się nowego miejsca, to miejsce musi nauczyć się ich. Kiedy wędruje cały naród, to oni zmieniają miejsce, do którego przybywają. Także wtedy, gdy przybywają w pokoju, tam, gdzie ich oczekiwano i gdzie ofiarowano gościnę. Przynoszą własne obyczaje, dźwięki swojej mowy, swoją muzykę i swoje przyprawy, nawet swoje przekleństwa. Również tak zwykłe i codzienne rzeczy, jak piwo, chleb lub pieczone mięso, w każdym kraju smakują zupełnie inaczej.

Stałem na pokładzie obok Knota, kiedy po raz pierwszy zobaczył Lodowy Ogród. Dzień był piękny, więc dachy i wieże lśniły niczym szlifowane z kryształu, strzelając w niebo, a rzędy zębatych murów i umocnienia portów były jak dumnie założone na piersi ramiona.

W pierwszej chwili aż się cofnął, otwierając usta w osłupieniu. Potem pokręcił głową i rzekł tylko:

– Ależ to wysokie...

Z daleka widział głównie wieże wyrastające ze zbocza góry, a za nią kolejne pasmo oraz jasny klif na dole. W miarę jak podpływaliśmy bliżej, coraz bardziej zadzierał głowę do góry, wciąż nie zamykając ust. Wszyscy, którzy płynęli naszym statkiem i teraz tłoczyli się na pokładzie, mieli podobne miny. Ja zaś czułem się, jakbym wracał do domu. Po raz pierwszy od lat. A równocześnie rozpierała mnie duma, zupełnie jakby Ogród był moją własnością albo jakbym zbudował go własnoręcznie.

– Po co są te wieże? Mieszka się tam?

– Poniżej są domy. Inne niż u nas, stykają się ścianami, są węższe i wyższe, ale całkiem wygodne. Wieże są... no, do obserwacji. – Szczerze mówiąc, właściwie nie miałem pojęcia, po co są te wszystkie wieże. – Są tam też drzewa, gospody, ogrody i targowiska. Jak w mieście.

– I uroczysko – powiedział Cień zza swojej kolczugi. – Tego nam nie powiedziałeś. Aż tu je czuć.

– To miasto zrodził wulkan, którym władał Czyniący. I to wam powiedziałem. Czego się spodziewałeś w takim razie? To nie jest Amitraj ani też Kirenen i panują tu inne prawa. Byłem Nosicielem Losu, a nie jego twórcą. Także tego, żeby was tu sprowadzić, nie wymyśliłem sam, bo nawet

w głowie mi nie postało, że coś takiego może być możliwe. Wymyślił to jeszcze inny Czyniący.

– Ten, który chce zabić Nahel Ifriję?

– I ją, i króla Węży. Przybył na ten świat, żeby naprawić to, co zepsuto, podnosząc imiona bogów, oraz żeby usunąć Czyniących. Nie wiem do końca, co zamierza, i nie wiem, co się stanie. Zrobiłem to, co nakazał cesarz, by ratować Kirenenów. To, co okazało się z obrzędu Pytania. Lecz ja nie wiem, co to było za pytanie, ani tym bardziej nie znam odpowiedzi. Nie znam przyszłości.

– Będzie wojna – oznajmił Cień. – Wiedziesz nas na wojnę.

– Los wiedzie nas na wojnę, nie ja. Ja byłem tylko posłańcem.

– Wiem jedynie, że wojna nastąpi, ale nic więcej. To, co się stanie później, jeszcze się nie ustaliło i jest jak mgła. Nie wiadomo więc, czy ta wojna przyniesie nam coś dobrego, czy złego.

– A co wojna może przynieść dobrego? – zapytałem. – To tylko konieczność pokonania wrogów. Czasem jest to niezbędne.

– Choćby to, że jeśli obronimy to miasto, naprawdę stanie się naszym domem.

– Spójrzcie na te mury – powiedział Knot. – Na te wszystkie machiny. To miasto może być niezdobyte, o ile mieszkańcy będą mieli ducha. Jeśli nie, nic nie da najpotężniejszy mur ani największy trebusz. I tak czekała nas bitwa. Na tych murach będziemy w lepszej sytuacji niż zagnani do doliny, mając li i wyłącznie pustynię za plecami.

Dzielnica nazywała się po prostu Kirenohara – Nowy Kirenen. Znajdowała się za drugim pierścieniem murów, nad Kawernami. Mimo że domy, ulice i zaułki były takie same jak wszędzie w Lodowym Ogrodzie, już po paru dniach pojawiły się nieuchwytne znaki, że jest inna. Stanęły stragany i uliczne ruszty, a przy nich mężczyźni żonglujący nożami, siekający kawałki mięsa i ryb, które opiekali na rozgrzanych blachach; pomiędzy ścianami domów rozwieszono sznurki, na których kołysały się papierowe lampiony przynoszące pomyślność, a ulicami kroczyli przechodnie, dumnie noszący kurty z klanowymi znakami. Takie same znaki załopotały na proporcach przed domami. W tawernach i na ulicach zaczęła rozbrzmiewać kireneńska muzyka i pieśni.

Moi rodacy krążyli po targach, bezskutecznie szukając czegokolwiek znajomego, z czego dałoby się sporządzać ich potrawy, w ciągu jednego dnia wykupili rzadko tu spotykane orzechy na napar i nigdzie poza swoją dzielnicą nie mogli znaleźć palmowego wina ani durry.

Byli tacy, którzy wybierali się poza twierdzę i wędrowali po wyspie, szukając odpowiednich miejsc na pola, pastwiska i klanowe domy.

Inni uważali, że miasto jest dziwaczne i zbyt nowoczesne, a klimat zbyt zimny.

Byli tacy, którzy czuli się dotknięci tym, że nikt nie rozumie ani słowa po kireneńsku i niewiele co po amitrajsku.

Zdarzali się też tacy, którzy upierali się, by wszystkie napisy w mieście dodatkowo zapisywano koraganą.

I wszyscy przychodzili z tym do mnie.

Za radą Fjollsfinna spisałem koraganą proste zdania w mowie Wybrzeża – pozdrowienia, nazwy potraw i różnych codziennych rzeczy, to, co zwykle mówi się na co dzień, a obok to samo po kireneńsku. On zaś kazał wyrzeźbić ogromną pieczęć, na której znajdowały się te same znaki, które zapisałem, i odbić ją na wielu kawałkach papieru, które potem rozdano Kirenenom.

Poza tym nie miałem najmniejszej ochoty zajmować się takimi sprawami. Moja misja została wypełniona. Skończył się czas tułaczki w poszukiwaniu linii losu. Pozostało mi to samo zadanie, które mieli wszyscy w Lodowym Ogrodzie. W razie potrzeby stanąć na murach miasta.

Musiałem do tego przywyknąć. Wydawało mi się, że odkąd pamiętam, nie robię nic innego, tylko wędruję, uciekam i szukam poplątanych ścieżek, które mają mnie doprowadzić do celu. Wiedziałem, po co otwieram oczy. Teraz ten cel został osiągnięty – nazywał się Nowy Kirenen i mogłem w każdej chwili tam pójść i obejrzeć go na własne oczy. A jednak nie potrafiłem się tym cieszyć. Może dlatego, że nie mogła go zobaczyć Woda córka Tkaczki. A może nie wiedziałem, co miałbym robić dalej.

Od lat zmieniałem imiona, jedno po drugim, jak maski. Teraz mogłem je wszystkie odrzucić. Tahaldin Tendżaruk, władca Tygrysiego Tronu, Pan Świata i Pierwszy Jeździec, Nosiciel Losu, Agyren Kysaldym, Ardżuk Hatarmał. Wszystkie moje maski.

Jako Filar syn Oszczepnika z klanu Żurawia czułem się po prostu nagi. Byłem jednym z wielu Kirenenów w mieście i nie musiałem się już

zastanawiać, jak się właściwie dzisiaj nazywam.

Na szczęście byłem jeszcze Nocnym Wędrowcem. Mogłem zaufać Ulfowi i uwierzyć, że wie, co robi, chociaż czasami sprawiał wrażenie, że nie jest tego pewien. Najbardziej ze wszystkiego chciałem zabić przeklętą Nahel Ifriję, ale tego sam nie byłem w stanie dokonać, więc jedyne, co mogłem uczynić w tej sprawie, to zdać się na niego.

Zaś Tygrysiego Tronu nie chciałbym objąć, nawet gdyby dawano mi go za darmo.

Filar syn Oszczepnika, tohimon klanu Żurawia – to w zupełności wystarczyło.

Kiedy nasza flota dotarła do miasta, Ulfa wciąż nie było. Jego okręty zgromadziły się jakiś tydzień po naszym wypłynięciu, a od tamtej pory nikt nic o nich nie wiedział, tak samo jak o pozostałych Nocnych Wędrowcach, ponad trzech setkach okrętów i całym klanie Żeglarzy, którzy mieli na nich przybyć.

Co dzień o zmierzchu wychodziłem na miejskie mury, by patrzeć z nich na południe, w pustą taflę morza.

Potem siadaliśmy we czterech w tawernie przy murach Nowego Kirenenu, popijając palmowe wino, bo wiedzieliśmy, że jego zapasy nie wystarczą już na długo.

Wszyscy czuliśmy się puści i zmęczeni. Rozmawialiśmy o jakichś błahych sprawach, starając się nie spoglądać na majaczące wokół na murach wielkie arkabalisty i trebuszety. Przez tamte kilka dni nie mieliśmy nic lepszego do roboty, więc spędzaliśmy tak sporo czasu, udając, że możemy żyć w spokoju, ale wiedzieliśmy, że najgorsze dopiero nadejdzie.

Pewnego popołudnia, kiedy siedzieliśmy w tawernie, jedząc potrawkę z jakichś mięczaków, którą gospodarz rozpaczliwie usiłował doprawić po kireneńsku, usłyszeliśmy gwałtowne dzwonienie wszystkich dzwonów na wieżach. Dźwięk niósł się echem po całym mieście, zagłuszając nawet wszechobecny plusk wody w kanałach i korytach, a zaraz potem rozległo się głuche zawodzenie konchy Ogrodu.

Spojrzeliśmy tylko na siebie, a potem wstaliśmy i wypadliśmy na zewnątrz, N’Dele rzucił srebrną monetę na stół, kiedy my już gnaliśmy ulicami. Gdy dotarliśmy na mur, na parapetach tłoczyły się już setki ludzi.

Najpierw widać było jakieś drobne plamki na horyzoncie, ale po kilku chwilach patrzenia zaczęły rosnąć, a z tyłu wynurzały się wciąż kolejne,

poczynając od czubków masztów, jakby morze było wzgórzem. Staliśmy w ciszy, wypatrując znaków na żaglach, ale przez dłuższy czas były to tylko lśniące na tle nieba białe punkciki. Upłynęło trochę czasu, kiedy setki ludzi na murach trwały w zupełnym milczeniu, aż ktoś o bystrym wzroku powiedział: „Drzewo”.

Po nim następny i następny, a w końcu cały tłum na blankach zaczął skandować to słowo, aż utonęło w setce głosów i nie dało się go rozpoznać, brzmiało to jak szczekanie.

Okręty tymczasem ciągnęły w czterech długich rzędach, na żaglach rzeczywiście widniał symbol drzewa i nie był to raczej podstęp Węży, ponieważ okrąg wokół symbolu dodano w ostatniej chwili, przed wyruszeniem, przedtem okręty Ogrodu, o ile w ogóle nosiły własne znaki, miały jedynie wizerunek pnia z gałęziami.

Zeszliśmy z muru i powędrowali ulicami do głównego portu wojennego, przepychając się w ciżbie i trzymając w ręku nasze srebrne medaliony ze znakiem drzewa, bo co chwila trafialiśmy na szpalery miejskich strażników.

Do portu nie wpuszczano nikogo, kto nie miał takiego medalionu albo nie należał do załogi okrętu, więc na pirsach było już spokojniej.

Czekaliśmy ze dwie godziny, zanim pierwszy wilczy okręt w towarzystwie dwóch ognistych, o obitych miedzią burtach minęły wieże w wejściu do kanału i podpłynęły do kamiennego brzegu, by rzucić cumy. To Nocny Wędrowiec podał mi linę, a ja uwiązałem ją do kamiennego pachołka.

Oczywiście potem ściskaliśmy sobie na powitanie nadgarstki i ramiona, krzyczeliśmy i mówiliśmy jeden przez drugiego. Później szliśmy na Górny Zamek, by tam siedzieć w wielkiej jadalni na uczcie, opowiadać o tym, co przeżyliśmy, i wciąż przeliczać się nawzajem, bo nie mogliśmy uwierzyć, że żaden z nas nie zginął. Sprawy, które są oczywiste i dlatego nie warto o nich opowiadać, ale po stokroć warto je przeżyć. Tak to już jest, że dobre chwile i dobre rzeczy, takie jak smak mięsa, wino w pucharze, bracia broni u boku, światło igrające w kryształe, muzyka i śmiechy, rzadko trafiają do opowieści. Ale zapamiętałem tamten czas, bo to była chwila naszego tryumfu. Wiedzieliśmy, że cokolwiek wydarzy się dalej, to, co mieliśmy zrobić do tej pory, zrobiliśmy, choć wydawało się to niemożliwe. Wciąż widzę ich przed oczami. Zdrowych, śmiejących się, żywych.

Ludzie Ognia mieli przy sobie swoje kobiety, dzieci Grunaldiego biegały po komnacie, usiłując ślizgać się na butach po gładkich kamiennych posadzkach, siedział z nami brat Sylfany, będący kimś w rodzaju tohimona między nimi. Mąż niewiele starszy ode mnie, z długimi włosami ujętymi w srebrną opaskę i ze świeżą blizną na twarzy.

Wszyscy zdrowi i bezpieczni od czarno-czerwonych hord króla Węży. Od jeźdźców w smoczych hełmach i powstających z błota potworów, zdolnych kruszyć bramy.

Na razie.

Tymczasem otwarto kolejne dzielnice, w których ich ludzie zajmują domy, składają swój dobytek i kroczą ulicami. Zapewne większość nie zostanie w Ogrodzie. Jeśli zwyciężymy w wojnie, zapewne powrócą na swoje ziemie, by tam ciąć drzewa i na nowo stawiać swoje siedziby, obsiewać pola i odbudowywać stada. Ale na razie są bezpieczni.

Tymczasem.

Tuż obok była Kirenohara, dzielnica pełna moich ludzi. Zajęli już budynki, a w pomieszczeniach na poziomie ulicy już zaczęli urządzać warsztaty, by każdy mógł oddawać się swojemu świętemu rzemiosłu. Już rozwiesili lampiony i wystawili pierwsze stragany.

Daleko od amitrajskiego wojska, Czerwonych Wież, Pramatki i jej kapłanów. Daleko od kast, pól użyźnianych ludzkimi ciałami i stołów ofiarnych. Daleko od rydwanów i sierpów jazdy. Ukryci za murami, oddzieleni morzami i pustynią. Bezpieczni od Nahel Ifrii i jej szaleństwa każącego, by wszystko stało się jednym.

Póki co.

Na razie tryumfowaliśmy.

Więc chłonąłem cierpko-słodki smak wina i ambrii, delektowałem się chrupiącą skórką pieczonego prosięcia albo kiszonymi warzywami, maczałem gotowane bulwy rzepniaków w maśle, śmiałem się z innymi i gawędziłem. Chłonąłem w siebie smak i zapach, dźwięki muzyki.

Przez kolejne dni nic się nie działo poza tym, że gród gorączkowo przygotowywał się do obrony. Zewsząd dobiegał łoskot młotów bijących w belki i składano kolejne machiny, które pojawiły się wzdłuż pasma górskiego oddzielającego Lodowy Ogród od reszty wyspy i otaczającego ciepłe jezioro. Od strony równin góry wznosiły się skalną ścianą i na jej szczycie także znajdował się mur, były krenelaże i basteje, ale tak

wkomponowane w skałę, że z dołu nikt by ich nie zauważył. Jedyna droga do Ogrodu, którą kiedyś, jak sam twierdził, nadeszli ludzie Grunaldiego, wiodąca przez wąską przełęcz, została zasypana głazami, a wokół na bastejach zbudowanych wśród ukrytych półek skalnych ustawiono machiny mogące miotać zapalające pociski oraz takie, które wyrzucały po trzy oszczepy naraz, a z tyłu, pod osłoną skał i muru, stanęły wielkie, strzelające w górę balisty, które miały torsje na wysokości dachu domu, skręcone z lin grubości mojego nadgarstka, a toczono je na kołach wyższych od człowieka, zaprzęgiem dwunastu wołów.

Daleko w lasach słychać było bicie młotów, w nocy na całej wyspie płonęły ognie.

Węże nadeszli tydzień później.

Bicie dzwonów i ryk konchy rozległy się, kiedy tylko na wschodzie pojawił się pierwszy brzask i cokolwiek dało się wypatrzyć. Gdy niebo zaczęło robić się szare, zobaczyliśmy, że morze jest pełne okrętów. Maszty sięgały aż po horyzont i wydawało się, że ciągnie na nas każdy statek, jaki kiedykolwiek kołysał się na tych wodach. Gdziekolwiek się spojrzało, mrowiły się żagle, całymi ławicami, jak jesienne liście. Większość z tego to były wilcze okręty, jakie widywałem tu najczęściej, ale zdarzały się też jakieś wielkie i płaskie, trochę podobne do amitrajskich galer bojowych, podobnie jak one robiły trzema rzędami wioseł, ale niosły na górnym pokładzie aż cztery wielkie balisty.

Cała ta flota sunęła przed nami, a jej czoło minęło już port i podążało dalej. Dobiegł do nas zawodzący i ponury dźwięk wielu rogów, po chwili odpowiedziało im miasto grzmiącym głosem konchy, który wydawał się wydobywać z wież i z ziemi, a także jakby z nieba. Był to odgłos, od którego czuło się, jak brzuch człowieka drży gdzieś w środku, niczym skóra na bębnie, i lęk przenikał aż do kości.

Dźwięk dudnił chwilę w powietrzu, a potem nastała cisza.

I zaraz wszędzie zaczęły łomotać napędzane kołem wodnym sterczące z korony murów osie, ruszyły wielkie, okute żelazem ogniwa i rozległ się turkot napinanych machin. Skrzypiały torsje skręcone z lin grubych jak moje ramię, wielkie jak pnie drzew, których nie zdołałbym objąć rękoma. Jedno po drugim rzędem kładły się długie jak maszty ramiona trebuszetów,

unosiły się ogromne przeciwwagi, kołyszące się na zawiasach, wypełnione bazaltowymi płytami.

– No pokaż się, *molopää* – powiedział Ulf stojący obok mnie. Zrobił jakiś kolisty ruch lewą ręką, a prawą zwiesił w dół, otwierając i zaciskając kurczowo pięść. Zrozumiałem, że szykuje się, by czynić, i odsunąłem się odruchowo. Zauważyłem też, że pobladł i zmieniła mu się twarz, jak zdarzało się zawsze, kiedy szykowało się na walkę. Często wtedy mamrotał do siebie w dziwnym języku i wydawał się jakiś nieobecny.

Tam, na wodzie, coś się zaczęło dziać, żagle na wszystkich okrętach odwróciły się i załopotały i widać było, że kadłuby suną coraz wolniej i bardziej kołyszą się na fali.

– No chodź do wujka, *żopczino*, *pasi kurče*... – wycedził Nitj'sefni.

Okręty wciąż nadpływały, a potem nagle ich żagle zaczynały łopotać.

– Wszyscy na nas idą – powiedział niepewnie Grunaldi. – Widzę znaki Ludzi Koni, Gryfów, Niedźwiedzi, Orłów, Słonej Trawy, nawet Kruków.

– Nie – odrzekł mu Ulf – Węże zdobyli statki. Zgarnęli, co się tylko dało, na rzekach i wzdłuż wybrzeża. To nie było trudne, bo każdy tkwił w swojej siedzibie i wystarczyło, że wyciągnął na brzeg trzy okręty, już było po nim. Załatwili ich po jednym. Widzisz różne znaki, ale na pokładach jest tylko armia Aakena i otumanieni przez niego jeńcy. Wiem, bo to widziałem.

Okręty kołysały się na wodzie ogromnym półksiężycem i pewnie nie stały w miejscu, ale wiatr był słaby, więc ledwo mogłem dostrzec jakiś ruch.

Po jakimś czasie spomiędzy tłoczących się na wodzie okrętów wynurzył się jeden, ale niewielki, właściwie trochę większa łódka, popychana z każdej burty dziesięcioma wiosłami, i ruszyła wprost do portu. Z daleka widać było, że na rufie kiwa się leniwie wielki biały proporzec bez żadnych znaków.

Wiosła zanurzały się w wodzie i poruszały w tył, a łódź płynęła prosto na pirsy, zupełnie nie zwracając uwagi na rozciągnięty pomiędzy wieżami wielki łańcuch, którego każde ogniwo dorównywało długością ćwierci jej kadłuba.

Mały, jadowicie żółty ptaszek usiadł Ulfowi na ramieniu.

– Tak, wiem, mamy poselstwo. Do hali ceremonialnej.

W wielkiej hali bywałem wcześniej najwyżej ze dwa razy. Trochę przypominała miejski chram, z takimi samymi strzelistymi kolumnami i wysklepionym stropem, ale tu przez bardzo wysokie okna wpadało dużo światła, na końcu też stało srebrne drzewo, nieco mniejsze niż w chramie, a przed nim kilka wysokich krzeseł i stolik. Kiedy weszliśmy, znajdowało się tam już mnóstwo ludzi, a mistrz Fjollsfinn siedział pod drzewem na środkowym krześle.

Ulf usiadł obok niego, a nam wskazał siedziska pod ścianami, po obu bokach sali, lecz na tym samym podwyższeniu.

Siedzieliśmy tak przez chwilę, a hala wciąż zapełniała się ludźmi, widziałem, że jest wśród nich Snop i tohimoni naszych klanów, różni możni z miasta, styrsmani okrętów i dowódcy straży. Wchodzili i stawali gromadą pod ścianami, w końcu zostawiając tylko wąskie przejście na środku. Potem wielkie drzwi do hali otworzyły się na całą szerokość, wpuszczając dwa szeregi gwardzistów w pełnym rynsztunku, z włóczniami w ręku, którzy wmaszerowali przez całą długość komnaty, tupiąc podkutymi podeszwami, po czym stanęli twarzami do przejścia i równocześnie uderzyli w podłogę drzewcami.

Nitj’sefni nachylił się do Fjollsfinna i zapytał o coś, tamten pokręcił przecząco głową, następnie Ulf wskazał palcem misę z owocami stojącą przed nim na niskim stoliku i skinął w naszą stronę z niemym pytaniem. Nie pojąłem, o co mu chodzi, przejęty tym, co się działo, ale Benkej wzruszył ramionami i przytaknął, na co Ulf cisnął mu czerwony okrągły owoc, a potem jeszcze jeden Grunaldiemu, który uniósł rękę. Następnie wyciągnął obie nogi na stolik i zapalił fajkę.

Środkiem, pomiędzy szeregami gwardzistów, przemaszerowało trzech Węży. Wszyscy o tatuowanych ramionach, pokrytych czarno-czerwonymi zygzakami, jakie miały na grzbietach tutejsze żmije, i włosami zaplecionymi w nasmołowane cienkie warkoczyki, które sczesywali na tył głowy. Ten, który szedł pierwszy, nie nosił koszuli, a kłute wzory miał też na całej piersi i twarzy. Dodatkowo w uszach tkwiły kościane ozdoby podobne do kłów, po trzy w każdym. Tatuaż miał nawet na języku, który kilka razy wysunął na całą długość, pokazując go stojącym po bokach, wytrzeszczając przy tym oczy i sycząc jak wąż.

– Przychodzę od wielkiego Aakena, Pana Węży, życia i śmierci, stworzyciela nowego świata i nauczyciela mocy! – wrzasnął, stając przed

siedzącymi pod drzewem Ulfem i Fjollsfinnem. – Przypłynęliśmy tu po troje przybłędów, którzy rządzą tym miastem i wiodą je na śmierć! Niech wystąpią przed bramy i wracają ze mną, a wtedy odpłyniemy! Jeśli nie, wąż pożre to miasto. Wyłamiemy wasze bramy i zabijemy każdego, nawet kobiety i dzieci. Zabijemy psy! Spalimy wszystko, także lasy, bo na ziemi, która śmie sprzeciwić się wielkiemu Aakenowi, nic nie ma prawa żyć! Ty i ty! – Wskazał ich obu palcem. – I jeszcze niewiasta, którą ukrywacie. Taka jest cena za życie tego miasta! Tak będzie, bo taka jest wola mistrza Aakena, który jest wszechmogący, bowiem jego wola stoi nad wszystkimi!

Ulf odłożył na chwilę fajkę, wziął srebrny kielich i zanurzył w lśniącej misie pełnej zamrożonego na śnieg soku miodowych śliw.

– Sorbetu? – zapytał.

Wąż stał nieruchomo, nie poruszając nawet oczami, jak prawdziwy gad.

– To może jabłuszko? Nie? W takim razie wyjazd mi stąd. Zmiataj na przystań, wsiadaj na kajaczek i wiosłuj do swojego mistrza. Możesz mu przekazać, że swoją wyższą świadomość i wolę nadczłowieka może sobie wsadzić prosto w uroczysko. Nas jest troje, a on jeden i do tego pokręcony. Możemy się kąpać w pieśniach bogów. Ma jedną szansę. Jeśli się podda dobrowolnie, ewakuuję go na Ziemię. Jeśli nie, zostanie zlikwidowany. Daję mu czas do rana. Propozycja nie będzie ponawiana. W drogę, pokrako!

Oparł się wygodnie, popijając sok, po czym uniósł dłoń i wykonał gest palcami, jakby zmiatał coś ze stołu.

Wąż odwrócił się i ruszył wielkimi krokami do wyjścia.

Ledwo jego łódź doczołgała się na wiosłach do floty i wniknęła pomiędzy kołyszące się na wodzie kadłuby, zaczął się ruch. Żagle ustawiały się do wiatru, okręty przemieściły się i rozdzieliły, wydawało się, że niektóre odpływają, ale nie tam, skąd przybyły, lecz dalej tym samym kursem.

– To desant – powiedział Ulf. Nie zrozumiałem, o co mu chodziło. – Wiedzą, że oblężenie z wody to niezupełnie dobry pomysł, chcą uchwycić przyczółek na brzegu.

Staliśmy wtedy na szczycie jednej z wież przy Górnym Zamku. Mieliśmy stąd doskonały widok i pomyślałem, że wieże jednak się czasem

przydają. Ulf podszedł do blanek, gdzie ze ściany sterczała miedziana rura z zatyczką. Wyjął zatyczkę, po czym dmuchnął do rury i krzyknął tam:

– Semafor, do wszystkich fortów brzegowych. Szykować się! Nadchodzą Węże!

Po kilku chwilach zobaczyłem, że dziwna konstrukcja składająca się ze słupa, na którym umieszczono po bokach wielkie jakby wachlarze, zaczyna się poruszać ze skrzypieniem, a potem kolejne stojące na następnych wieżach powtarzają jej ruchy. Usłyszałem jeszcze znajome dudnienie bębnów sygnałowych i zrozumiałem, że między Kirenenami Snopa musiało być kilku bębniarzy, którzy teraz rozstawieni po całej twierdzy przekazywali rozkazy. Słyszałem znajomą mowę bębnów z czasów mojego ojca, jeszcze sprzed przewrotu.

Wszystkie porty, szykuj się! Na sygnał konchy rzucaj! – wołały bębny.

Pierwszy mur, napinaj!

Kawerny, kto nie na murze, kryj się!

Łasztownia, szykuj się! Kto nie na murze, kryj się!

Nad rozpościerającą się przed nami flotę wzbiły się nagle cienkie jak łodygi strugi dymu, krzyżując się wysoko nad nami, a potem rysując na niebie kopułę z zakrzywiających się ku nam szarych smug oraz deszcz spadających słońc.

Na swój sposób wyglądało to pięknie. Słyszałem, jak nadlatują, bo wydawały z siebie przeraźliwy zawodzący ryk, przypominający skargę rannego baktriana.

Zagrzmiała koncha i ze wszystkich umocnień, bastei oraz donżonów w portach wystrzeliły wstęgi dymu i skrzyżowały się z tamtymi wysoko w powietrzu, a potem pomknęły w stronę floty. Tym razem widziałem, jak odlatują pociski. Oszczepy grubości ramienia, stąd maleńkie jak żądła, i gliniane kule smoczej oliwy, jak iskierki. Nasze też wyły, ale miały inny dźwięk, jakby ktoś ciągnął ostrzem stalowej szabli po brzegu tarczy.

A w uderzenie serca potem spadły pociski Węży. Głównie w morze przed portem, kilka dosięgło pustego kotwicowiska, wyrzucając w górę strugi piany i dymu, kilka zapalających pocisków spadło z hukiem na plac za murem, rozlewając plamy huczącego pomarańczowego ognia. Nad miastem uniosły się pierwsze chmury tłustego dymu. W całym porcie ramiona trebuszetów kiwały się po strzale, jakby pogardliwie kłaniały się wrogom.

– Daleko – powiedział Drakkainen. – Trochę fajdają w gacie albo usiłują nas wymacać. Po co mają wiedzieć, że mamy większy zasięg. Njorvin, dawaj do bębniarza: Porty napinaj, reszta baterii czekać. Powtarzam, nie strzelać.

Njorvin stał przy drugiej rurze z miną godną arcykapłana.

– Człowiek bęben! Port naciąga wszystka machina! Ani jedna człowiek potem nie popuszcza. Nie marnuje dzida ani ogień garnek! Jeszcze raz powiedziała, żadna człowiek machina nie strzela!

– Nie dodawaj od siebie komentarzy – skarcił go Vuko. – Nawet ja słyszę, że coś rzeźbisz. Ten sygnalista coś pokręci i będziemy w rzyci.

– Dobrze przetłumaczył – powiedziałem, słuchając bębna w dole.

Część floty Węży ciągnęła dookoła wyspy, ale to, co zostało, nadal zapełniało zatokę przed nami, jakby ktoś wysypał do wody worek zboża. Mrowie.

Zabrzmiały rogi, po czym kilkanaście okrętów ruszyło na wprost wejścia do portu, płynąc w trzech długich rzędach. Widać było rozbijające fale dzioby i wydęte rzędy żagli. A potem znów struny dymu wzbijające się w niebo, kreślące kolejne linie pośród tych, które tam wisiały, układając się w tłustą chmurę.

Kawerny, kryć się! Nadchodzą! Kamienny Targ, kryć się! Łasztownia, kryć się! – przekrzykiwały się bębny.

Pociski spadły z hukiem pomiędzy domy, a potem z dachów tam, w dole, buchnęły podświetlone ogniem warkocze czarnego dymu, wwiercając się w niebo. Ze szczytu wieży było daleko, ale i tak słyszałem chór przeraźliwych wrzasków płonących ludzi. Inne posypały się do wody w porcie albo roztrzaskały na pustym targowisku, gdzie ogień pożerał teraz z hukiem porzucone stragany.

– Wszystkie baterie, czekać – warknął Ulf. – Kawerny, naciąg do czwartej karby! Pierwszy mur, piąta karba! Czekać!

Okręty sunęły naprzód, widziałem, jak załogi krzątają się gorączkowo, szarpiąc za drągi naciągu, ramiona łuków odchylały się w tył.

– Czekać!

Dostrzegałem już wyraźnie znaki na żaglach i ludzi ciągnących za dźwignie. Za chwilę pociski trafią na koryta.

– Port, rzucaj! Kawerny, rzucaj! Łasztownia, rzucaj! Dolne Młyny, rzucaj! Pierwszy mur, rzucaj!

Pociski wyprysnęły w niebo chórem świstów dziesiątek ostrzy ślizgających się po stali.

A potem spadły deszczem pomiędzy okręty.

Głównie do wody. Pod kadłubami kipiel wystrzeliła lasem białych słupów, ale niektóre pociski trafiły. Rozległ się trzask i łomot, który usłyszałem nawet na wieży. Kilka żagli zachwiało się, po czym maszty zwaliły się na boki jak podcięte drzewa, jedna z kamiennych kul wbiła się w sam środek pokładu, wyrzucając na wszystkie strony potrzaskane deski, a okręt złamał się na pół i zapadł w wodę. Kolejny stanął w ogniu, który zatopił dziób i błyskawicznie rozlał się po żaglu, okręt skręcił nagle i wpadł na następny, podpalając mu burtę, szyk załamał się, wyraźnie usłyszałem wrzask Węży, kadłuby rozjechały się na boki, kołysząc na fali, a wszędzie unosiły się strzaskane kawałki desek i mnóstwo małych kropek, jak garść drobnego czarnego piasku. Zrozumiałem, że to głowy tonących ludzi, kiedy zaczęły znikać jedna po drugiej.

Od portów po pierwszy mur, napinaj!

Nad miastem wznosiły się słupy czarnego dymu sięgające linii chmur, wszędzie rozlegało się dudnienie dziesiątek ukrytych w ścianach kół wodnych i wrzaski ludzi mieszające się z łomotem bębnów. Ramiona biff zaczęły się kłaść, by przyjąć kolejne pociski.

Okręty, które płynęły na nas, złamały szyk, kierując się na boki, lawirując rozpaczliwie wśród płonących wraków i kołyszących się na falach potrzaskanych desek. Z tyłu ruszyła jednak kolejna falanga ustawionych w cztery rzędy okrętów. Widziałem wydęte żagle oraz szerokie kadłuby galer, które szły czołem szyku, zagarniając wodę rzędami wioseł, jak ogromne stonogi, z arkabalistami naciągniętymi i gotowymi do strzału.

Rozległo się piekielne zawodzenie konchy i rzędy pocisków pomknęły z grodu w niebo, by zwalić się z góry na skłębione przed portem okręty. Z wody wstały białe kolumny piany, jakby morze porosło naraz kolcami. Zaledwie kilka pocisków trafiło okręty z łomotem gruchotanego drewna, ostrym trzaskiem łamanych masztów, kolejny kadłub zamienił się w kilka uderzeń serca w huczący stos ofiarny, posyłając w niebo następny wirujący warkocz przetykanego płomieniami dymu.

– Mają łatwiej – oznajmił spokojnie Ulf. – W wielkie miasto idzie trafić nawet z kołyszącego się pokładu. Sięgnięcie ruchomego celu z balisty,

którą ledwo można obrócić, graniczy z cudem. Mamy szansę coś osiągnąć, tylko jak są w kupie.

Okręty rozpierzchły się na boki, zawracając do swojej floty, a z przodu nadciągała kolejna fala galer.

– Wszystkie baterie, napinać! – wrzeszczał Nitj’sefni, a w odpowiedzi dudnił bęben z dołu wieży.

Niebo znowu wypełniło się pociskami. Wydawało się, że na moment utworzyły nad miastem ruchomy dach płonących oszczepów, kamiennych kul i wyjących płonących dzbanów wlokących warkocze dymu i iskier, zanim to wszystko zwaliło się z potwornym hukiem na dachy, ulice i place, jak niekończący się huk gromu, który przetaczał się jeszcze długą chwilę po tym, jak wszystkie pociski runęły na nas.

Kilka mknęło prosto na naszą wieżę, przynajmniej tak mi się wydawało, zanim runęły w dół. Machiny na galerach miały większy zasięg niż te na mniejszych statkach, ale i tak były w stanie donieść najwyżej tuż za drugi pierścień murów. Lecz i tak trafiali.

Kamienne kule, które zlatywały z gwizdem na dachy, wybijały poszarpane otwory i wpadały do wnętrza, wyrzucając obłoki pyłu. Dachy domów w Lodowym Ogrodzie nie były normalnymi dachami. Nie składały się z belek, krokwi, ani nawet wypalanych dachówek czy płytek łupka. Zostały stworzone z płynnej skały, która zastygła w kształt dachu. Kule robiły mniej szkód, niż spowodowałyby w normalnym grodzie, ale i tak czasem potrafiły zgruchotać dach, wbijając do środka kawałki skalnych płyt. Czasem odbijały się, pozostawiając po sobie okrągły ślad, i potem mknęły zygzakiem pomiędzy ścianami, skacząc ulicami i zmiatając wszystko na swojej drodze.

Pociski zapalające rozbijały się na szczytach domów, pokrywając je huczącym ogniem, a potem ognisty płyn lał się na ulice, zamieniając je w rzeki ognia, podpalając, cokolwiek napotkał. Strugi ciekłego ognia płynęły rynsztokami, a wszystkie place powyżej portów płonęły.

Przed nami stała ściana czarnego dymu, przesłaniająca już morze i niebo. Nasze machiny ciskały w nią kolejne pociski zupełnie na ślepo, jeden za drugim, tak szybko, jak pozwalały na to koła wodne napinające naciągi i wytaczające kule na koryta.

Widziałem, jak pocisk Węży trafił prosto w trebuszet na bastei drugiego muru, nad Kawernami, rozbijając się o blanki i parapet, a w chwilę potem

w tym miejscu wyrósł słup huczącego ognia, wspinając się po wciąż kiwającym się po strzale ramieniu, które z przeraźliwym skrzypieniem runęło w bok i zwaliło się na ulicę. Słyszałem straszny krzyk ludzi obsługujących machinę, gdy rzucali się z murów, płonąc jak krople smoły, by roztrzaskać się na bruku. Potem leżeli bez ruchu, a ich ciała nadal płonęły.

– Fjollsfinn, widzisz cokolwiek?! – krzyczał Ulf do miedzianej tuby. – Pytam, czy widzisz flotę bandytów?! Co?! Zrozumiałem! Przestawiaj śluzy! Dam ci sygnał bębnem, jak będę miał gotowe baterie! Co?! Tak! Zrozumiałem! Bez odbioru!

A potem do Njorvina:

– Wszystkie baterie, nie napinać! Wstrzymać ostrzał! Odpiąć koła i czekać na sygnał. Jak zagra koncha, napinaj!

Stojąc tak obok niego, czułem się okropnie. W środku aż mnie rozrywało, chciałem gdzieś biec, chciałem walczyć albo zrobić cokolwiek. Tymczasem na razie jedynymi walczącymi byli ci, których w Lodowym Ogrodzie nazywano „balistarami”. Ci, którzy obsługiwali wielkie machiny. Zakładali przesuwane przekładnie na tryby napędów i puszczali wodę na koła, by naciągać ramiona balist i podnosić przeciwwagi trebuszetów, pchali wózki z pociskami, staczali je na sieci, które windowali w górę żurawiami, i przenosili na prowadnice albo proce machin. Pilnowali nastaw wypisywanych na miedzianych tablicach i słuchali okrzyków tego, kto rozumiał słowa odczytywane z mowy bębnów. Była to mozolna krzątanina, bardziej podobna do pracy we młynie niż do walki. Widzieli, jak pocisk śmiga w niebo, ale już nie mieli czasu patrzeć, gdzie trafi.

Ja nie miałem nic do roboty, jak tylko stać obok Nocnego Wędrowca i czekać na rozkazy. Wróg był zbyt daleko, by dosięgnąć go strzałą z łuku albo bełtem z kuszy. Teraz walczyły tylko machiny. Czułem, że w środku mnie płonie ogień. Chciałem być przynajmniej pociskiem wyrzuconym z katapulty.

Dlatego kiedy nagle Ulf wydał mi rozkaz, poczułem ulgę i pognałem do ruchomej klatki na linach, która miała przewieźć mnie na dół wieży.

Na dziedzińcu urządzono stanicę dla tych, którzy przekazywali sygnały. Ze ściany sterczały takie same kielichy miedzianych rur jak ta, do której Ulf wykrzykiwał polecenia, i stali przy nich ludzie nasłuchujący i powtarzający je trzem doboszom czekającym przy wielkich jak beczki bębnach

sygnałowych. Mieli na czołach opaski ze znakami klanów, nagie, spocone torsy i pałki w dłoniach. Przez drzwi co chwila wybiegali kurierzy, którym podawano gotowe do jazdy konie, bezpiecznie osłonięte pod krużgankiem. Kolejni wpadali galopem przez bramę i zeskakiwali w biegu, by dopaść przeznaczonych dla nich rur w ścianie, gdzie wykrzykiwali meldunki. Pociski na razie nie spadały na Górny Zamek, ale i tak na dziedzińcu stały wielkie kadzie z wodą oraz skrzynie pełne luźnego piachu do gaszenia.

– Konia! – wrzasnąłem, by przekrzyczeć nieustanny łomot bębnów i wrzask gońców. Natychmiast ktoś podprowadził mi zdenerwowanego, tańczącego wierzchowca i pognałem pustymi ulicami do dolnych dzielnic.

Miasto trwało w półmroku, spowite gęsto cuchnącym dymem, oświetlane głównie czerwonym blaskiem pożarów. Słyszałem nad głową zawodzenie przelatujących pocisków, co chwila to bliżej, to dalej przeraźliwy łoskot, z jakim uderzały w dachy i ulice, a potem gwałtowny huk wzbijających się płomieni.

Co jakiś czas tuż na głową słyszałem wizg spadającego pocisku, usiłowałem wtedy przytulić się wraz z koniem do ściany, skryć za przyporą, wykuszem czy pod kolumnadą. Kilka razy trafiło tak blisko, że poczułem, jak pod moimi nogami drgnęła skała. Raz i drugi drogę przegrodziła mi ściana ognia, więc skręciłem w jakieś zaułki, prawie bez zastanowienia, mój koń kwiczał w przerażeniu i tańczył pode mną, spowijały nas kłęby dymu, a jednak wciąż wiedziałem, jak znaleźć drogę. Gdzieś wtedy przemknęło mi przez myśl, że żadnego miejsca na świecie nie znam tak jak Lodowego Ogrodu. Nawet w moim rodzinnym Maranaharze, nie licząc pałacu, umiałbym się jako tako znaleźć najwyżej w paru dzielnicach.

Kiedyś.

A teraz moje miasto płonęło, ja zaś gnałem do dolnych dzielnic pustymi ulicami, mijając od czasu do czasu płonące, skurczone ciała, domy, które paliły się od środka, buchając z okien płomieniami, rozgrzane jak kamienne piece.

Widziałem pogruchotane, zapadnięte dachy, wszędzie poniewierały się zetlałe resztki szmat czyjegoś dobytku, szkło z potłuczonych kryształowych okien skrzypiało i trzeszczało pod kopytami. Gdzieniegdzie napotykałem straszliwie zmasakrowane trupy, rozszarpane i zmiażdżone, leżące w dziwacznych poskręcanych pozach, co chwila rozlegał się kolejny wizg nadlatującego pocisku, a nasze machiny milczały.

Do Kawern wpadłem przez bramę i od razu pogalopowałem pod mur, w kierunku posterunku straży.

W dzielnicy kręciło się więcej ludzi, ale wszystko to byli gwardziści i strażnicy. Zmieniano obsady przy machinach, jedni gnali schodami na parapet muru, inni zbiegali na ulicę, prowadząc rannych, mijałem strażników sypiących piachem w huczący pomiędzy budynkami i na dachach ogień, kolejni w pośpiechu nieśli na płaszczach wrzeszczących, zalanych krwią ludzi albo takich, którzy skręcali się, skowycząc z bólu, o skórze pokrytej czarnymi, czerwonymi i białymi plamami oparzeń. Wszędzie panował ruch, biegano gdzieś z wiadrami, jakiś dowódca ustawiał w dwa rzędy hon piechoty w głębokich hełmach. Mieszkańcy wyglądali trwożnie zza drzwi i z piwnic.

– Dowódcę! Prowadźcie do dowódcy! Rozkazy z wieży! – wrzeszczałem, kłusując pomiędzy tym wszystkim, usiłując nie roztrącać ciżby koniem.

– Żarnowiec! Gdzie jest centurion Żarnowiec!? Biegiem!

Ktoś pobiegł prosto do donżonu straży, zobaczyłem tylko czarne drzewo na okopconej tunice i błysk hełmu.

Dowódca miał poplamiony krwią opatrunek na głowie i pod pachą hełm o dziwacznym kształcie, a poza tym wyglądał jak byk. Prawie.

Miał masywne czoło, szeroki byczy nos i pysk oraz przycięte do połowy rogi, do których pasowały wycięcia jego hełmu. Zaskoczyło mnie to, ale zaraz fakt, że obroną Kawern dowodzi odmieniony i zarazem Brat Drzewa, wydał mi się jakoś krzepiący. To było nasze miasto.

– Jakie rozkazy?! Dlaczego nie mam wody na napędach!? Koła nie działają!

– Wieża mówi: spłukujemy ulicę! Woda idzie na śluzy pożarowe! Za małą wodną miarę masz zabrać wszystkich z ulic i piwnic! Zamknąć wszystkie drzwi! Ludzi na górne piętra! Każ bębnić, jak będzie gotowe!

– Mój Kirenen jest ranny! Ledwo go rozumiem, ale chyba nie może bębnić jedną ręką.

– Zbieraj ludzi! Ja stanę przy bębnie.

Wydał rozkazy, które natychmiast zaczęto powtarzać i okrzykiwać kolejne ulice. Piechota rzuciła się truchtem, powarkując na cywilów, zamykając bramy, inni przenosili rannych do budynków.

A co chwila rozlegał się gwizd i na miasto spadał grad pocisków. Dym z płonących targowisk stał czarną ruchomą ścianą, zasłaniając pełne wrogich okrętów morze, i spowijał niebo, wciskając się do płuc, dławiąc i szczypiąc w oczy. A z tej ściany nieustannie wylatywały nowe pociski.

– Nie widzimy ich i nie strzelamy – powiedział Żarnowiec. – A oni idą naprzód. Zaraz wedrą się do portu i będziemy ich mieli na murze. Dlatego obsadzam parapet piechotą.

– Po drodze jest mur oporowy i forty portów. Nie przejdą tak łatwo – odparłem, czując jednak nadciągający jak wielka fala strach.

– Przekaż wieży, że potrzebuję medyków i drętwej wody. Tu jest wielu poparzonych.

– Zrobię to, ale najpierw wykonaj rozkaz.

Ludzie Żarnowca zdążyli w ciągu mniej więcej małej wodnej miary, a kiedy ulice były zupełnie puste, stanąłem na donżonie przy położonym na stojaku bębnie z wymalowanym na skórze znakiem klanu Wilka i wziąłem pałki do ręki.

Pierwszy sygnał, jaki wysłałem, brzmiał: *Kawerny gotowe!* – i poczułem się dziwnie. Powinienem za swój dom uważać Kirenoharę, a tymczasem miałem wrażenie, że moje miejsce jest na murze Kawern.

Wtem usłyszałem narastający szum.

Siła, która sprawiała, że pewne rzeczy w Lodowym Ogrodzie mogły być robione bez udziału człowieka lub zwierząt, kryła się w ujarzmionym wodospadzie rozpoczynającym się na szczycie góry, która zrodziła gród. Część lała się kaskadą przy północnej ścianie miasta i potem wypełniała nurtem spienionej wody wąwóz dzielący mury od uroczyska i prawdziwego lodowego ogrodu, a część spadała do morza, wędrując własnymi korytarzami w ścianach i murach grodu, pod ulicami i przez kanały.

Teraz dolne dzielnice płonęły, więc mistrz Fjollsfinn nakazał zamknięcie jednych śluz i przepustów, a otwarcie innych. Spadająca z samego szczytu twierdzy woda przestała napinać za nas machiny, a popłynęła zwężającymi się kanałami, które zaczynały się jako szerokie koryta, mogące zmieścić łódź rybacką, a na koniec miały szerokość owocu śliwy i otwierały się w wielu miejscach w ścianach budynków.

Za to kiedy woda popłynęła tamtędy, buchała strumieniem, który zmiótłby kamiennego wołu. Cały ten potop trysnął teraz ze ścian i murów, zamieniając wszystkie ulice poniżej drugiego pierścienia w rzeczne koryta

i zwalając się kaskadami na Kawerny, a potem Łasztownię, Kamienny Targ i pozostałe portowe dzielnice, gdzie place zmieniły się w ścianę płomieni. Woda z otworów w drugim murze trysnęła strugami na dachy kawern.

To prawda, że płonącej smoczej oliwy nie da się zgasić wodą. Jest w niej coś takiego, co zaczyna się palić jeszcze bardziej, kiedy znajdzie wokół siebie wodę. Prawdziwej smoczej oliwy nie da się nawet spłukać. Jest w niej imię bogów sprawiające, że kiedy buchnie płomieniem, pali wszystko, nawet kamień i żelazo. Jej ogień może ścigać człowieka, a oliwa przywiera do wszystkiego, czego dotknie.

Ale to, co wypełniało pociski króla Węży, było mieszaniną różnych rzeczy, tak samo jak paliwo używane przez armię amitrajską. I ten płyn da się spłukać, a jeśli strumień wody jest mocny, można nawet sprawić, że przestaje się lepić, tak jak kiedyś doświadczyłem tego podczas ulewy tu, niedaleko.

Woda nadciągnęła z hukiem i szumem, jak rozpędzona ciężka jazda. Od razu wystrzeliła z bocznych ulic i bramy do Kawern, zatapiając wszystko na wysokość okien, płynęła z taką samą siłą jak wodospad obok zamku, wlokąc ze sobą resztki, połamane belki, trupy, beczki, nawet kilka kwiczących koni, a wszystko to przelatywało wokół nas wśród wzburzonej, pieniącej się wody, kłębów pary i płomieni.

Rzeka płonęła.

To, co najmocniej pali się w mieszaninie spadającej na nas w pociskach, to różne rodzaje olejów, które pływają po wodzie, podobnie jak zwykła oliwa. Spuszczone ze szczytu góry potoki wody nie tylko spłukały płomienie z ulic, ale poniosły je dalej, najpierw przez przepusty w pierwszym murze oporowym, potem cała woda runęła wezbraną falą na płonące portowe targowiska, prosto w ścianę dymu i płomieni. Przez ten cały czas rzeka waliła przepustami i ulicami z ogłuszającym hukiem, ale teraz rozległ się tak przeraźliwy dźwięk, jakiego jeszcze nie słyszałem. Był to huk wody, grzmot płomieni i przeraźliwe wycie, przypominające skargę jakiegoś monstrualnego stwora. Ściana czarnego dymu, która wyrosła nad portem, zmieszała się z gęstymi kłębami pary, a potem rozproszyła, kiedy cała fala płonącej wody runęła do portu, wzdłuż pirsów i dalej w morze, na spotkanie płynącej na nas floty.

Przeraźliwy hałas ucichł, szumiały jeszcze strumienie płynące w dół kanałami burzowymi, ulicami i lejące się przepustami kanałów burzowych.

Wciąż płynęły, ale ich poziom opadał z każdą chwilą.

Woda na napędach! – usłyszałem dudnienie bębnów sygnałowych. *Wszystkie porty, napinaj! Kawerny, napinaj! Łasztownia, napinaj! Kamienny Targ, napinaj!*

– Koła gotowe! – krzyknąłem. – Napinaj!

Rozległ się tupot i żołnierze, dotąd gapiący się z murów na płynący morzem ogień, który właśnie wylał się pomarańczową plamą poza główki portu i wypychany przez wodospad sunął na spotkanie wrogiej floty, obsiedli natychmiast swój trebuszet.

Patrzyłem, jak krzątają się w pośpiechu, jak jeden pociąga za dźwignię, wysuwając z głębi muru oś zakończoną kołem zębatym, i nasuwa je na podobne sterczące z boku machiny, potem następny przekłada kolejną żerdź, słuchać plusk wody i koła zaczynają się obracać, kładąc sterczące wysoko ramię, przeciwwagi na drugim końcu wędrują do góry, a żołnierze podwożą na zbitym z grubych belek wózku okrągły dzban pełen smoczej oliwy, wtedy ramię leży już pomiędzy przęsłami, a podobne do ogromnej pasterskiej procy zakończenie spoczywa na kamieniach. Dzban zostaje przeniesiony blokiem na uprząż z grubych pasów, a luźny koniec zostaje zapięty na haku wieńczącym koniec ramienia. Co chwila rozlegały się okrzyki: „Napinaj!”, „Czwarta karba!”, „Stój!”, „Koło zatrzymaj!”, „Odsuwaj!”, „Pocisk zapięty!”, „Gotów!”.

– Co teraz? – spytał mnie Żarnowiec.

– Zostanę przy bębnie – wyjaśniłem. – Nie wrócę do wieży, ale muszę im o tym powiedzieć.

Uniosłem obszyte skórą pałki i zacząłem bębnić:

Filar do wieży. Muszę zostać przy bębnie, sygnalista ranny.

Usłyszałem, jak moją wiadomość powtarzają inne bębny, po czym dobiegło mnie:

Wieża do Filara. Powodzenia. Zostań, aż znajdziemy kogoś na zamianę.

W miarę jak wielka plama płonącej wody wypływała od portu, dym rozchodził się trochę i rozwiewał, więc wreszcie zobaczyliśmy okręty wrogiej floty. Do tej chwili najwyraźniej ciągnęły na nasze porty, prowadzone przez kilka rzędów galer, z uniesionymi mostami oblężniczymi i załadowanymi katapultami na pełnych wojska pokładach. Teraz jednak ściana dymu znikła, a oni zobaczyli płynący na nich ogień, migocący na

łagodnych falach. Tam bowiem, gdzie woda płonęła, fale stawały się bardziej płaskie, mimo że morze wokół było dość rozkołysane.

Flota przestała napierać na port oraz strzelać, za to szyk pomieszał się, pierzchając na różne strony.

Stałem przy bębnie.

Z bastei miałem widok na port i wrogie okręty, rozpaczliwie manewrujące w ciasnocie i przy bocznym wietrze, chcące uniknąć płynącego ku nim ognia.

Usłyszałem bębny, więc uniosłem pałki i podchwyciłem rytm wraz z innymi, równocześnie krzycząc do Żarnowca:

– Kawerny, rzucaj!

– Rzucaj! – wrzasnął Żarnowiec i natychmiast inni podchwycili okrzyk, który pobiegł wzdłuż muru. Jeden z balistarów szarpnął linę, wyrywając z belki stalową szpilę, koniec ramienia strzelił w górę i szarpnąwszy siecią z pociskiem, miotnął nim wysoko w powietrze. Pocisk pociągnął za sobą warkocz dymu, a za chwilę ognia i dołączył do innych, które pomknęły po niebie.

Gdzieś z boku wypłynęły nagle nasze statki, pewnie z jednego z kanałów ciągnących się w głąb góry. Pięć ognistych okrętów, lśniących miedzią na burtach i wydymających żagle ze znakiem drzewa. Płynęły linią, po czym zaczęły ustawiać się skosem do pomieszanej floty wroga, niczym atakujące rydwany. Ciągnęły z wiatrem, tnąc fale, prosto na manewrujących Węży, którzy zaczęli pierzchać na boki jeszcze bardziej panicznie.

Wrzeszczałem wraz z innymi na ich widok i tańczyłem dziko na bastei, owładnięty jakimś dziwacznym szałem, jakbyśmy przez chwilę na murach Lodowego Ogrodu mieli jedną duszę i takie same uczucia.

Ogniste korabie dogoniły flotę Węży i z ich syfonów strzeliły strugi ognia, omiatając pierwszą burtę, a potem następne. Wrogie jednostki zapalały się jak stogi siana, jakby były ukręcone z trzciny i słomy. Okręt o miedzianych burtach ział płomieniem przez jedno, dwa uderzenia serca, a potem płynął dalej, w stronę kolejnej uciekającej galery, straszny, spowity dymem, z małymi płomieniami tańczącymi na końcach syfonów. Widziałem, jak z niektórych okrętów Węże skaczą do wody w pancerzach i hełmach, mimo że jeszcze nie został trafiony.

Trwało to tylko mgnienie oka, ale już z dziesięć wrogich galer stało w ogniu i zaczynało pogrążać się w wodzie. Pomyślałem, że zaraz spłonie

cała wielka flota, kiedy nagle rozległ się przeraźliwy huk jakby gromu i pierwszy z naszych ognistych okrętów nagle zniknął, a w miejscu, w którym był przed chwilą, wznosił się ku niebu obłok płomieni, jak ogniste drzewo z pniem ukręconym z dymu.

Patrzyłem osłupiały, jak z góry spadają w wodę jakieś gorejące szczątki, a zamiast okrętu pozostaje tylko plama płonąca wysokim płomieniem.

Jeszcze nie wyszedłem ze zdumienia, gdy taki sam los spotkał kolejny ognisty korab, który zniknął wśród huku w słupie ognia.

A potem rozdudniły się bębny, więc podjąłem rytm, mokry od potu i łez, wywijając pałkami i tłukąc w membrany, jakby to bęben był czemuś winien.

Okręty, zawracać, powtarzam: zawracać, przerwać atak! Wracajcie do portu! – huczały bębny w całym mieście i to samo wybijałem na swoim.

Miasto wołało do swoich okrętów mową amitrajskich bębnów sygnałowych, co oznaczało, że na każdym był kireneński oficer. I dwóch właśnie zginęło.

Nasze machiny napinały ramiona i miotały pociski. Kolejne nadlatywały z morza, trafiając w mur albo zwalając się na ulice i gruchocąc skałę lub odbijając się od ścian. Wśród łoskotu uderzeń wstrząsających twierdzą, wycia nadlatujących i odlatujących ognistych kul, krzyku i hałasu trzeba było wyłowić rytm bębnów, zrozumieć kody i wybić go jak najgłośniej na membranach.

Czasem sygnał brzmiał: *Kawerny, kryć się, nadchodzą!* – a wtedy ledwie skończyłem powtarzać sygnał, okrzykując go na całe gardło, musiałem wtulić się w krenelaż, gdzie każda blanka miała wgłębienie, w którym można było się schować, kryjąc głowę pod nawisem parapetu, i czekać, gdzie z potwornym łoskotem trafi pocisk. Potem rozlegał się przeraźliwy krzyk rannych, czasami zmieszany z hukiem płomieni.

Po południu przyniesiono nam stągiew z wodą, którą wydawano wielką drewnianą chochlą, a myśmy pili najczęściej z hełmów, wyciągnąwszy z nich przepocone pikowane czepce.

Wtedy okręty zaczęły strzelać jakby rzadziej, a część floty odpłynęła. Te, które zostały, wyrzucały pociski od czasu do czasu, niekiedy przez całą długą wodną miarę raz czy dwa razy, a potem kilka jeden po drugim. To jednak nie był już atak, lecz nękanie. Tyle, żebyśmy nie poczuli się

bezpiecznie. Okręty Węży stały jednak tak rzadko, że nie zdołalibyśmy ich trafić.

Pod wieczór przyniesiono nam w dzbanach jakąś kaszę z mięsem, piwo i trochę chleba.

Kiedy zapadła noc, nie nastały prawdziwe ciemności, wszędzie płonął jakiś ogień. Albo od pocisków Węży, albo od lamp tlących się na murach, do tego na wschodnim krańcu wyspy widać było odległą łunę. Czasem przelatywał pocisk, ciągnąc za sobą huczącą strugę ognia jak kometa.

Zasnąłem przy bębnie z tułowiem wciśniętym we wnękę na blankach, mając pod głową własną pięść, zdjąłem jedynie hełm. Gdzieś nad ranem nadszedł nowy sygnalista dla Żarnowca, a mnie kazano wracać na Górny Zamek, do wieży.

Zapamiętałem tylko ten pierwszy dzień tak dokładnie, że umiałbym powiedzieć, co i kiedy się wtedy działo. Wszystkie następne były do siebie podobne i mieszały się ze sobą. Nie umiem powiedzieć, co było wcześniej, a co później.

Pociski spadały na miasto, rozbryzgując ogień albo odbijając się z wizgiem wśród murów i zygzakując po ulicach.

Wybuchały pożary, a myśmy spłukiwali ulice i zmywali ogień do morza.

Silny atak przygotowanych do szturmu i pełnych wojowników galer w asyście innych okrętów następował co kilka dni i trwał, dopóki było jasno, a potem większość floty odpływała, a zostawało tylko kilkanaście statków, które krążyły po zatoce, ostrzeliwując miasto.

Od czasu do czasu udawało nam się zatopić jakiś okręt.

Oni trafiali w miasto zawsze.

Za którymś razem nadpłynęły nasze ogniste okręty i podpaliły większość tamtych, i wtedy żaden z nich nie buchnął ogniem, ale kiedy Węże znów nadciągnęli po kilku dniach, na ich pokładach byli już Czyniący, którzy sprawili, że smocza oliwa w machinach zapaliła się w jednej chwili z wielkim hukiem. Wtedy straciliśmy kolejne ogniste korabie.

Najcięższe walki toczyły się jednak nie na murach grodu, lecz wokół trzech mniejszych fortów i umocnień, które broniły plaży na wschodnim brzegu wyspy.

Na razie wszystkie forty trzymały się i za każdym razem, kiedy Węże usiłowali dopłynąć do plaży, zasypywały ich pociski, piasek płonął od smoczej oliwy, a na biegnących mozolnie w płytkiej wodzie wojów spadał

grad kamieni wielkości dużych owoców, wyrzucanych z katapult w sieciach, które rozwijały się w powietrzu jak kwiaty, gubiąc ładunek.

Miasto nieustannie zasnute było tłustym dymem i wszyscyśmy kaszleli, a niektórzy chorowali, wymiotowali samą wodą i czasem od tego umierali. Ulf mówił, że dym wszedł im w krew i odebrał oddech.

Pewnego dnia po długim i ciężkim ataku galer do naszego portu dopłynęło kilku rozbitków z okrętów floty Aakena. Strażnicy pojmali ich i poprowadzili na Górny Zamek, ale mieszkańcy wybiegli z piwnic, wyrwali Węży strażnikom, a potem, wiążąc im ręce i nogi do lin i ciągnąc w wielu za te liny, rozdarli ich na strzępy.

Wiem to, bo byłem wtedy na Kamiennym Targu z rozkazami i widziałem to na własne oczy.

Czasem stawałem przy bębnie, cały dzień nasłuchując rozkazów i zmieniając je w mowę z trzech podstawowych dźwięków oraz rytmu. Kiedy schodziłem potem z posterunku, do rana huczało mi w głowie oraz piszczało w uszach i wydawało mi się, że coraz gorzej słyszę.

Jednak miasto było dobrze przygotowane i nigdy nie brakowało nam wody, regularnie też na mury przynoszono polewkę albo mięso, każdego wieczora dostawaliśmy po dzbanie piwa. Wozy taborowe jeździły po ulicach i wydawały strawę mieszkańcom, którzy musieli tkwić w piwnicach i czekać na swój los. Inne wozy zabierały rannych na Górny Zamek, gdzie opatrywano ich i leczono w specjalnych domach, gdzie nie było nic prócz łóżek oraz zebranych z całej twierdzy medyków, znachorów i lekarzy.

Węże nadpływali i odpływali, a Ulf twierdził, że flota odpoczywa na wyspie, która znajdowała się o jakieś dwadzieścia staj od nas, gdzie najechali łowców morskich stworów, pozabijali ich i zajęli ich domy. Zawsze część Węży atakowała gród i forty wschodniego wybrzeża, a część w tym czasie zbierała siły na wyspie, naprawiając okręty, łowiąc ryby i gromadząc wodę. Widział to w jednym ze swoich proroczych snów, kiedy to zamieniał się w skrzydlate widmo, jednak mógł obserwować tylko z daleka, by nie wyczuł go król Węży.

– Zaczynają się niecierpliwić – powiedział pewnego dnia. – Wiedzą, że możemy się bronić latami. To im bieda zacznie zaglądać w oczy. Na razie oszczędzają pociski i smoczą oliwę i dlatego sądzę, że wkrótce spróbują wykręcić coś dużego. Musimy być przygotowani.

Jednak następne dni upływały wśród gwizdu pocisków, łomotu machin, ognia i dymu. Monotonnie, jeden za drugim. Statki ogarniał płomień i tonęły, pożary huczały w kamiennych domach i rozlewały się na dachach, krzyczeli i jęczeli ranni. Kaszleliśmy na murach, jedząc z dzbanów polewkę, koła wodne obracały się z łoskotem, pociski toczyły się po korytach prosto do machin, dym przesłaniał niebo. Gnałem na koniu pustymi ulicami, wśród tlących się śmieci i unoszącego się ulicami popiołu.

Był to czas, który ciągnął się bez końca, lecz dotąd trwało najzwyklejsze oblężenie. Kilka razy widziałem, jak nasze ogniste okręty rozleciały się w huku gromu – Ulf twierdził, że albo król Węży, albo któryś z jego Czyniących zdołał zakląć je imieniem bogów, które zapaliło całą smoczą oliwę naraz.

Poza tym czasami, kiedy stałem obok niego na wieży przy bębnie, widziałem, jak wyciąga ręce przed siebie, jakby wskazywał kierunek ataku z obu skrzydeł, i jednocześnie mamrocze uparcie coś w swoim terkoczącym i hurgoczącym języku. Wyglądało na to, że potrzeba do tego wiele siły, bowiem zamykał oczy, mamrocząc zaklęcia, żyły wychodziły mu na skronie, a po całej twarzy spływał pot. Później zaczynał wykrzykiwać słowa, powtarzając je raz za razem z coraz większym naciskiem. Nie wiedziałem, co ma to spowodować, ale kiedyś zobaczyłem, jak wszystkie nasze pociski, które akurat poszły w powietrze, zaczynają zbaczać, skupiają się niczym stado ptaków, tworząc jedną wyjącą wiązkę ognia, kamieni i żelaza, a potem spadają wszystkie naraz na jedną galerę, roznosząc ją w drzazgi.

Innym razem krzyczał na okręt ciągnący na port, powtarzając: *Temmata perkele naula!*, aż w końcu zauważyłem, że wielki skorpion na dziobie jakoś tak dziwnie podskakuje przy każdym strzale i nagle, wyrzuciwszy kolejny pocisk, wyrywa się tylną częścią z pokładu, łamiąc deski w drzazgi i miażdżąc dziób. Galera zaczęła nabierać wody i zawróciła na pełne morze, a za nią kolejne, zostawiając na pastwę losu krzyczących w wodzie wśród pogruchotanych desek, tonących żeglarzy.

Innym zaś razem bez wyraźnego powodu nasz wielki trebusz z muru oporowego rozleciał się przy strzale, miażdżąc wielu ludzi i rozbijając zapalający pocisk o ścianę pod sobą.

To były te nieliczne przypadki, kiedy widziałem coś niecodziennego, związanego z mocą imion bogów, ale poza tym trwało zwykłe, krwawe, acz

najzupełniej naturalne oblężenie. Wojna, w której zabijały miotane z machin pociski i ogień.

Kiedyś wśród zwykłych pocisków miotanych na nas przez flotę Węży znalazły się wielkie garnce, które rozprysły się na placach i ulicach w drobne kawałki, rozrzucając na wszystkie strony wydzielające przeraźliwy fetor szczątki ludzkie i zwierzęce. Uważałem, że to raczej uciążliwe niż niebezpieczne, ale i Ulf, i Fjollsfinn wydawali się tym poruszeni bardziej niż pociskami zapalającymi i natychmiast posłali naffatunów, by oblali wszystkie te miejsca smoczą oliwą, a po jakimś czasie kazali otworzyć przepusty i spłukali płonące resztki do morza. Zresztą pokłócili się o to, wykrzykując słowa, które brzmiały: „invajranmen”, „ajkologhi” oraz „foken łor”.

Dopiero po jakimś czasie Ulf wyjaśnił, że w takich gnijących szczątkach mogą mieszkać niewidoczne okiem robaczki, które są duchami choroby, a zaraza w oblężonej twierdzy to „faken koniec”.

Poza tym wychodziliśmy na służbę, wracaliśmy na Górny Zamek, gdzie jedliśmy, myliśmy się i usiłowaliśmy spać. Rzadko robiliśmy coś razem – mam na myśli Nocnych Wędrowców. Kiedy zaczynało się oblężenie, mieliśmy nadzieję, że będziemy wymykali się za mury, by zabijać dowódców Węży albo niszczyć ich machiny. Jednak oni znajdowali się na morzu i mimo częstych ataków nie zdołali wylądować na plażach wschodniego wybrzeża, a my siedzieliśmy za murami. Dlatego każdy miał służbę gdzie indziej i rzadko się widywaliśmy. Kiedyś Grunaldi powiedział nawet, że chciałby, aby Węże wylądowali na wyspie, bo przynajmniej wtedy działoby się coś innego niż dotąd.

A potem wszystko się zmieniło.

Nadszedł dziwny czas, który pamiętam tak, jak pamięta się majaki w ciężkiej gorączce. Czas grozy i ciemności. Opowiem teraz o tym, jak umiem, choć wolałbym zapomnieć. Jednak to, co się zdarzyło w Lodowym Ogrodzie, musi zostać powiedziane.

Pewnego dnia podczas niezbyt zawziętego szturmu, takiego codziennego, kiedy flota pluła w nas pociskami, a my strzelaliśmy do nich, zobaczyliśmy żagle na południu. Stałem wtedy przy bębnie i zupełnie odruchowo zacząłem wybijać wraz z innymi sygnał: *Żagle z południa, żagle z południa!*, zanim dotarło do mnie, co to znaczy. Całe mrowie znikomych plamek porosło horyzont, wciąż pojawiały się kolejne, ale

upłynęła co najmniej duża wodna miara, zanim zobaczyliśmy flotę w całej okazałości. Były to wielkie okręty, idące w kilku szeregach, równocześnie na wiosłach i na żaglach. Znałem je. Znałem dźwięk rogów, którym rozmawiały, i znałem znaki na czerwonych proporcach łopocących na szczytach masztów. Podziemne Łono.

Nadciągał Amitraj.

Z równym ruchem rzędów wioseł, z głuchym łomotem bębnów podających rytm wioślarzom przykutym do drzewc płynęła flota Pramatki. Okręty o szerokich burtach, tnące wodę sterczącymi okutymi taranami przed dziobem, o wydętych kwadratowych żaglach, z pokładami pełnymi wojska. Jeden za drugim.

Patrzyłem wraz z innymi z muru oporowego w milczeniu i osłupieniu, a okręty nadchodziły, ustawiając długie rzędy i zrzucając żagle. Flota Węży odpowiedziała chórem swoich posępnych rogów, wilcze okręty zaczęły skręcać w stronę szyku amitrajskich galer, również ustawiając się w kilka rzędów. Przez parę uderzeń serca gapiłem się tępo na okręty, maleńkie stąd jak ziarna zboża, aż dotarło do mnie, że jako jeden z niewielu wiem, na co patrzę.

Podszedłem do bębna i podniosłem pałki.

To Amitraj! To Amitraj! Dwie flotylle Floty Północnej! Tymeny z Nahdilii i z Ujgarabadu! – wybiłem, a w chwilę potem bębny w całej twierdzy odpowiedziały:

Filar na wieżę!

Gnałem ulicami jeszcze bardziej pustymi niż do tej pory, cały gród stał w przerażającej ciszy, której nie doświadczyłem od wielu tygodni. Słyszałem tylko stukot kopyt mojego wierzchowca na kamiennych ulicach, a nawet krzyki morskich ptaków i plusk wody w kanałach. Zupełnie jakbym był sam w Lodowym Ogrodzie i tak się wtedy czułem, jakby wszyscy prócz mnie umarli. Widok okrętów Pramatki zdjął mnie strachem gdzieś w środku. Oczywiście strach podczas wlokącego się tygodniami oblężenia był czymś, z czym budziłem się i zasypiałem, jadłem go i piłem. Strach przed kamienną kulą nadlatującą z taką siłą, że była w stanie zgruchotać blanki muru albo rozerwać człowieka na strzępy, strach przed wirującym pomarańczowym ogniem smoczej oliwy przepalającej na wylot wszystko, czego dotknęła. Ale to był strach powszedni. To, co poczułem na widok żagli Floty Północnej, było inne. Jak strach przed klątwą albo

demonem. Czułem, że na którymś z tych statków stoi Nahel Ifrija, skryta w swoim czerwonym pustynnym płaszczu, z dziwaczną białą twarzą schowaną w kapturze, i wydawało mi się, że przybyła właśnie po mnie. Równocześnie czułem gniew i chciałem ją zabić, ale nie wiedziałem, jak miałbym tego dokonać.

Kiedy dotarłem na wieżę, zastałem tam obu – Ulf i Fjollsfinn, oparci o krenelaż, stali obok siebie, patrząc na flotę rozwijającą szyki.

– ...byłoby cudownie, ale na to bym nie liczył – mówił Ulf. – Twoi koledzy nie są aż tacy głupi. W każdym razie dodawać chyba umieją. Jakie mieli stosunki?

– Najlepsze w stacji. Ci dwoje i Callo trzymali się razem. Może nie to, żeby przepadali za sobą, ale kiedy wybuchały kłótnie, zawsze stali po jednej stronie. Jasne, że teraz gramy o inną stawkę i w końcu skoczą sobie do gardeł, ale to nie nastąpi, dopóki my żyjemy.

– Królestwo za lunetę – powiedział Nitj’sefni.

– Ja widzę na tę odległość – zauważył mistrz Fjollsfinn. – Mogę ci opowiadać. Na razie nic się nie dzieje. Rozwinęli szyki naprzeciw i gapią się na siebie. Jedni i drudzy mają gotowe katapulty, więc nie ma tam zamieszania. Czekają. Aczkolwiek w gotowości. Na tych wielkich trierach jest pełno łuczników, którzy obsiedli wszystkie burty.

– Tak dla porządku: nie zmacamy nikogo z tej odległości?

– Nie. Są o dwie długości strzału naszych największych trebuszetów. O, Węże spuszczają łódź.

Staliśmy na blankach, a na zatoce majaczyły rzędy kadłubów kołyszących się na fali. Gdzieś pomiędzy nimi sunęła maleńka plamka łodzi. Wiał wiatr, szumiąc na semaforze sygnałowym i łopocąc proporcem ze znakiem drzewa na szczycie wieży. Twierdza trwała w napiętej ciszy.

Po dłuższym czasie łódź Węży znowu wypłynęła spomiędzy amitrajskich okrętów i powiosłowała do swojej floty. Na wszystkich okrętach rozbrzmiały rogi i bębny, rozwinęły się łopocące żagle, po czym jedne i drugie wzięły kurs na zachód, na wyspę, którą Węże wzięli w posiadanie. Staliśmy, aż wszystkie odwróciły się rufami w stronę naszego portu i zaczęły znikać za horyzontem.

– Filar, nadawaj: Do trzeciego muru, napinaj i czekaj. Porty, obsadzić wszystkie mury. Obserwować i czekać – powiedział Nocny Wędrowiec.

– Nie zaatakują?

– Na razie muszą się naradzić. Ale wkrótce się zacznie. I to z takim przytupem, jakiego tu jeszcze nie widzieliśmy.

Rozdział 14

Wieże Czyniących

Krwią krzyczą mury
I ściany krzyczą krwią
Ciągnąć za sznury
I mocno trzymać broń!

Napiąć cięciwy!
Trebuszety w pion!
Martwi czy żywi
Nie damy miasta wziąć!

Choć pękną bramy
I pęknie wiele serc
Wrót nie oddamy!
Nie pozwolimy przejść!

Posłuchaj, wrogu!
Każdy, kto ujmie broń
Umrze na progu
A nie da domu wziąć!

Lodowy Ogród, pieśń Braci Drzewa

To był ostatni raz, kiedy tak siedzieliśmy. Ostatnia kolacja Nocnych Wędrowców, Fjollsfinna i Ulfa. Ostatni raz, kiedy patrzyliśmy w spokojny ogień na palenisku, mięso leżało na srebrnych półmiskach, pachnąc pieczenią i ziołami, łamaliśmy placki świeżego chleba, a wino piliśmy z kryształowych pucharów.

Obaj, i Ulf, i mistrz Fjollsfinn, byli poważni i skupieni. Rozmawiali ściszonymi głosami. Mówili w języku Wybrzeża, ale i tak niewiele mogłem z tego zrozumieć. Fjollsfinn skubał mięso i odrywał małe kawałeczki chleba, za to Nitj’sefni odcinał pospiesznie kawały pieczeni, popijał długimi łykami i mówił, żując z pełnymi ustami, gestykulując przy tym nożem.

– Sprawa jest prosta: jesteś w stanie to zrobić? Zakładając, że nie będzie innego wyjścia, że w powietrzu będzie i tak tyle czynnika, że czajniki zaczną recytować Szekspira i tak dalej. Potrafisz w razie czego rozładować Ogród?

– Z oczywistych względów nigdy nie próbowałem – odpowiadał mu Fjollsfinn. – Jeśli dobrze rozumiem, chcesz wywołać coś w rodzaju reakcji łańcuchowej. Teoretycznie jest to możliwe. Teoretycznie. Tylko nikt nie wie, co wtedy nastąpi. Na logikę będzie to efektowne samobójstwo z jedną korzyścią: nie zostawimy im po sobie nic.

Umiem zapamiętywać także rzeczy, w których nie widzę sensu. Nauczono mnie, dlatego potrafię powtórzyć to, co mówili, mimo że nie rozumiem tych słów. Zawsze tak się działo, kiedy chodziło o sprawy związane z imionami bogów i Czyniącymi. Tyle że tym razem to, o czym rozmawiali, przejmowało mnie zgrozą, choć nie bardzo wiedziałem dlaczego.

– A forty? – zapytał Fjollsfinn.

– Na pewno nie do końca i do ostatniego człowieka. Zależy, co się będzie działo. Dopóki będą używali środków konwencjonalnych, trzymamy umocnienia. Jesteśmy w stanie.

– Trzeba przygotować drogi ewakuacji dla załóg. Na wszelki wypadek.

– To już jest robione. – Ulf popukał palcem w nadgarstek, zaś Fjollsfinn pokiwał głową, najwyraźniej rozumiejąc doskonale, o co tamtemu chodzi.

– A co potem? Jeśli zaczniemy tracić umocnienia?

– Słynny numer „dwóch magów na wieżach”, klasyka gatunku. Słuchaj, zróbmy sobie obaj takie stożkowate kapelusze.

Fjollsfinn parsknął. Rozmawiali jak obłąkani. Ani jedno słowo, które wypowiadali, nie miało sensu.

Przez chwilę milczeli.

– Gdyby co... – zaczął Fjollsfinn.

– Wiem. Ale nie dojdzie do tego – odpowiedział Ulf.

– Chciałbym mieć twoją wiarę.

– Powinieneś. Jesteś w tym lepszy ode mnie. Poza tym pomyśl o nich. O nich wszystkich.

Nie miałem pojęcia, o czym mówią. A rozmawiali długo.

Nadeszli na trzeci dzień w południe po przybyciu floty Amitraju.

Niebo nad horyzontem ciemniało, nadciągały chmury czarne jak dym płonącej smoczej oliwy, choć nad nami wciąż płynęły zwyczajne obłoki, tylko że czuło się coś dziwnego w powietrzu, które zrobiło się jakby ciężkie i gwizdało w uszach.

– Będzie burza? – zapytałem Ulfa, który wpatrywał się w horyzont.

– Będzie coś znacznie gorszego – odpowiedział. – To znaczy burza pewnie też, to wystarczająco operetkowe. Tym razem rzecz nie skończy się na oszczepach i pociskach. Musimy być gotowi na te, *perkele*, pieśni bogów, czy jak to cholerstwo zwać.

Zawiał wiatr, ale nie przynosił ulgi. Podobnie czułem się kiedyś w pustyni, gdy nadeszła burza piaskowa. Trwoga, zmęczenie i takie uczucie, jakbym miał zemdleć. Ulf pykał ze swojej fajki, a zapach bakhunu wydał mi się mdląco słodki.

– Fjollsfinn, zaczyna się! – zawołał Ulf do miedzianej rury.

Z oddali od zachodu coś nadciągało. Jakby wielka ciemna chmura, ale była jakaś dziwna i płynęła pod wiatr. Po jakimś czasie wydało mi się, że składa się z drobniutkich miotających się punkcików.

– To ptaki – powiedział Ulf. – Tysiące ptaków.

Było lato i nikt nie spodziewałby się na niebie chmary ptaków lecących na południe. Nigdy nie robiły tego o tej porze i nigdy w takim pośpiechu. Leciały zbite w ogromną, zasłaniającą pół nieba ławicę, wymieszane ze sobą, duże i małe, najróżniejsze. Kiedy dotarły do nas, dosłownie obsiadły miasto, oblepiając dachy, hełmy wież i parapety murów. Spojrzałem na Ulfa, ale wzruszył jedynie ramionami.

Po dłuższym czasie znowu coś zaczęło się dziać, tylko że teraz na wodzie. Gdziekolwiek spojrzałem, tam toń migotała, jakby ktoś cisnął w nią garść nowych szelągów. Na powierzchni pojawiały się nagle wąskie paski piany, a potem płetwy jak ostrza szabel i ostre fale podobne do szyku klina, a od czasu do czasu z wody wynurzały się długie szyje morskich stworów, a czasem ich płaskie, większe od łodzi grzbiety. Wszystkie płynęły w naszą stronę z wielką prędkością, a potem zaczęły skręcać, opływając miasto i wyspę. Było ich mnóstwo. A także ryby. Wielkie, ogromne i całkiem małe, wszystkie wymieszane ze sobą. Migotały i rwały przed siebie.

– Ryby?! – spytałem niepewny, czy rzeczywiście to widzę.

– Ryby, ptaki, płaskudy – odparł Nitj’sefni. – Ucieka przed nimi wszystko, co żyje. Sam bym wiał, gdybym był rybą.

Chmura nadciągała znad horyzontu, przetykana migotaniem błyskawic, a pod nią rozciągała się zasłaniająca pół widnokręgu plama mroku.

Pełna żagli.

– Semafor, do wszystkich fortów wybrzeża: Gotuj się, nadchodzą! – zawołał Ulf. – Bęben do wszystkich murów: Gotuj się, nadchodzą! Domy zamykać, wszyscy z ulic! Wszystkie dzielnice: Kto nie na murze, kryj się! Wszystkie załogi na mury! Nadchodzą!

Tłukłem w bęben, powtarzając sygnały:

Nadchodzą!

Nadchodzą!

Nadchodzą!

Nadchodzili.

Spowici w mrok, z wydętymi żaglami, tnąc ciemne niczym ołów morze. W całym grodzie kładły się ramiona trebuszetów, odchylały łuczyska balist, skrzypiały torsje skręcone ze ścięgien kamiennych wołów i żył morskich

potworów, terkotały zapadki i łomotały koła. Balistarzy uwijali się wokół machin, zakładając pociski, blokując spusty i zapinając uchwyty.

Ulf naciągnął swoje pozbawione palców rękawice z pancernymi karwaszami, uderzył pięścią w dłoń, a potem przetoczył głową na karku i poruszył barkami, aż coś zachrupotało mu w kościach.

– No dawać, *vittumainenen*! Skończmy to dzisiaj!

Odgłos gromu przewalił się po całym horyzoncie. Blaszane chorągiewki na szczytach miejskich wież zaczęły nagle wirować z dziwnym furkotem. Nie zwracały się z wiatrem, ale kręciły w kółko. Powietrze zrobiło się jakieś jakby kłujące, czułem, że jeżą mi się wszystkie włosy na ciele.

Flota nadciągała. Po staremu rozdzieliła się i część popłynęła wokół północnego brzegu, by zaatakować forty na drugim końcu, tam, gdzie nie było skał i wysokich klifów i dałoby się wylądować. Tylko że teraz były to i okręty Węży, ściągnięte z całego Wybrzeża Żagli, i galery Floty Północnej.

Wędrowiec otworzył stojący obok wielki dzban i wsunął do środka ręce, a kiedy je wyjął, były całe pokryte migotliwym pyłem, niczym ze zmielonego kryształu, który po chwili zniknął.

Po ciemnym niebie nadciągającym razem z wrogą flotą sunęły dwa czarne, ogromne kształty o trójkątnych skrzydłach i długich ogonach. Nie miałem pojęcia, co to jest, ale było wielkie.

Wszystkie ptaki wzbiły się w powietrze z ogłuszającym skrzeczeniem i trzepotem skrzydeł.

Na szczytach wież pojawiły się tańczące niebieskawe płomyki, wszystko, co było żelazne, zaczęło lekko brzęczeć.

Ulf splunął.

– Wywerny – powiedział takim tonem, jakby wymawiał przekleństwo, a ja zrozumiałem, że tak się nazywa to, co widzę na niebie.

– Do Fjollsfinna: Obsadzić hydronetki od portów po czwarty mur, woda na przepusty, czekać.

Bębniłem.

Okręty i galery zaczęły strzelać od ostatnich rzędów po te, które stały najbliżej. Krople ognia wzbiły się z rykiem w niebo i skrzyżowały ze strumieniem naszych pocisków.

Ulf odrzucił pięści na boki i wygiął się w tył.

– *Perkele osua!* – zawył przeraźliwie.

Pociski wroga posypały się na porty, na Kawerny i inne nadmorskie dzielnice, wbijając się pomiędzy dachy i pozostawiając wiszące w powietrzu warkocze dymu. Huk trafień zmieszał się z uderzeniem gromu, który przetoczył się po niebie.

Nasze pociski zaczęły nagle pierzchać na boki, ale Ulf wydał z siebie przeraźliwy ryk furii i złożył razem ręce, oszczepy i płonące ceramiczne kule znów skręciły na cel i runęły na flotę. Wśród sunącej na nas ściany okrętów gdzieniegdzie pojawił się pomarańczowy płomień strzelający od razu huczącym słupem, wyższym od drzewa, kilka żagli zapadło się w dół pod ciężarem strzaskanych masztów.

W sąsiednią wieżę z przeraźliwym trzaskiem trafił piorun, wydawało mi się, że czuję ten dźwięk nawet w zębach.

– Pudło – oznajmił Ulf. – Lepiej się schowaj, zaczynają na mnie polować.

Pokręciłem jedynie głową, stojąc przy bębnie.

Nie mogłem oderwać wzroku od wielkich czarnych kształtów na niebie, podobnych do utkanych z nocy latawców. Widziałem, że wokół nich biją pioruny, a one nic sobie z tego nie robią, tylko krążą nad miastem. Potwory...

Co mogliśmy zrobić?

To wszystko trwało jakieś trzy, cztery dni. Dni pełne chaosu, krwi i ognia. Wtedy noce stały się jasne od pożarów, a poranki ciemne od dymu i burzowych chmur. Nie wiem, co działo się nocą, a co we dnie, bo wiecznie zdawało się ani jasno, ani ciemno. Był to jeden czas mroku, kiedy nie istniało słońce ani niebo.

Stałem przy bębnie i tłukłem w membrany, przyjmując oraz przekazując rozkazy.

Pamiętam te przeklęte wywerny, jak spadały na miasto z przeraźliwym wrzaskiem, od którego cierpły zęby.

Były większe od okrętów i sunęły, nakrywając skrzydłami niebo, z paszczami pełnymi trzeszczących piorunów. Kiedy przelatywały, wydawało się, że są wiotkie niczym muślin. Najpierw jedna przefrunęła wzdłuż muru Kawern, a potem druga nad murem oporowym, oplatając mur błyskawicami z przeraźliwym łomotem, w którym utonął krzyk ginących ludzi.

Nitj’sefni wrzeszczał coś o jakiejś wodzie i jakichś syfonach, a ja tłukłem w bęben, zamieniając jego słowa na rytm uderzeń, które grzęzły w hałasie i nikt ich nie słyszał.

Ktoś na murze oporowym zdołał obrócić na kołach jedną z tych wielkich, strzelających pod górę balist i jakimś cudem trafił przelatującego nad nim potwora, ale to nic nie dało, oszczep śmignął tylko w niebo, jakby ciało stwora było kłębem dymu. Po jednym ataku nie miały jednak więcej piorunów i wzbiły się w nakrywającą wyspę burzową chmurę po więcej.

Pociski odlatywały i nadlatywały.

Basteje portu krzyczały głosem bębnów o pomoc, lecz nie można było ich zrozumieć.

Zwęgleni... Demony... Obróceni w popiół...

Z nadmorskich dzielnic dobiegały przeraźliwe wrzaski ludzi i od czasu do czasu dudniący, niski ryk, od którego trzęsły się mury i pękały uszy, mimo że prawie nie było go słychać. Nie umiałbym tego mądrzej wytłumaczyć. Kiedy się rozlegał, pomiędzy budynkami migotał blask ognia, który zaraz przygasał. Ulicami snuły się obłoki gęstej, świetlistej mgły, zachowywały się, jakby były żywe, wpuszczały macki do okien i piwnic, a potem słyszałem tylko krzyk konających.

Pędziliśmy konno przez opustoszałe ulice, Ulf, ja i reszta Nocnych Wędrowców. W przeciwną stronę biegli ludzie w tunikach ze znakiem drzewa, gnając w przerażeniu pod górę, w stronę położonych wyżej dzielnic.

Widziałem, jak spada jeden z pocisków, po czym ani nie miażdży tego, co napotyka na drodze, ani nie rozlewa się ogniem, tylko rozsypuje w kałużę lśniących czarnych kształtów, nie większych od pięści, które z metalicznym chrzęstem i chrobotem rozpełzają się nagle na wszystkie strony, znikając pomiędzy budynkami. To chyba było gdzieś w Kawernach.

Znaleźliśmy ludzi stojących jak posągi w wejściu do tawerny, ludzi z otwartymi ustami i bronią w rękach. Mieli tarcze i miecze, ktoś mierzył przed sobą włócznią, stojąc w postawie wiatru, dwóch celowało przed siebie z kusz, ale stali nieruchomo i byli zupełnie szarzy. Mieli szare twarze, ubrania i zbroje. Kiedy podeszliśmy do nich, rozsypali się przy najlżejszym dotknięciu. Dosłownie rozsypali się, przewracając na bruk, w popiół tak delikatny, że nie wydał najmniejszego szelestu. Wszystko znikło, i hełmy, i tarcze, i broń, i ich ciała. Zamieniło się w kopczyki tak

drobnego popiołu, że gdy powiał wiatr, porwał go i zmienił w obłok podobny do dymu.

Gdzie indziej napotkaliśmy ścianę całą pokrytą sadzą, z jasnymi plamami podobnymi do cieni uciekających ludzi. Po tych nie został nawet popiół, tylko ślady na opalonej ścianie.

Natomiast nie było pozostałości smoczej oliwy ani pożarów.

Krzyczały wywerny, spadając na nas z pyskami pełnymi piorunów, a myśmy biegli po koronie muru oporowego. Ulf wywrzaskiwał rozkazy, a my rozwijaliśmy długi, uszyty z nasmołowanego żaglowego płótna rękaw, który należało założyć na jakieś wystające ze ściany żelazne rury, potem coś robiliśmy przy ustawionej na murze machinie, też złożonej z lśniących miedzianych walców, podobnej do syfonu na ognistym okręcie.

Wrzask wywerny dosłownie zdzierał skórę, miałem wrażenie, że spada mi prosto na kark, że uderza mnie piorun z trzaskiem gniecionego szkła, tymczasem musiałem czymś kręcić i coś trzymać, więc robiłem to, jęcząc z przerażenia, a potem Ulf kazał nam uciekać. Staczaliśmy się z muru po kamiennych schodach, gdy nadleciała z szumem, Ulf biegł na końcu z rzemieniem w dłoni, szarpnął go i usłyszeliśmy huk wody i tysiąc gromów naraz, kiedy potwór przeleciał przez potężny słup wody, który trysnął w górę z syfonu. Machina strzeliła we wszystkie strony snopem oślepiających iskier.

Strzępy potwora wirowały w powietrzu niczym resztki zwęglonego płaszcza, płócienny rękaw płonął na końcu i miotał się po ulicy, rzygając wodą jak bezgłowy wąż.

Biegliśmy ulicami w dół, do portu, z mieczami w ręku i kuszami na plecach, a w przeciwną stronę gnali przerażeni mieszkańcy, potrącając nas, wrzeszcząc i przewracając się.

Część murów była pusta, a na pozostałych tkwili obrońcy, strzelając w ciemność, pociski wylatywały w morze, ciągnąc za sobą strugi wyjącego ognia, a następne wracały stamtąd, gruchocąc kamienne ściany.

Waliłem w bęben na tarasie przysadzistego portowego donżonu, wzywając wsparcie dla przystani.

Widzieliśmy te lśniące metalicznie kształty, które okazały się stworzeniami podobnymi do krabów, lecz wielkości pięści, z hakowatymi szczękami z przodu, jak gnały niczym lśniąca rzeka ulicą, i widzieliśmy, jak obłażą uciekającego, wspinają się po nim ruchomym, kąsającym i żądlącym

pancerzem. Byliśmy za daleko, Warfnir strzelił człowiekowi w głowę z kuszy, a potem N’Dele cisnął garnek na linie pełen smoczej oliwy, taki sam, jakich używaliśmy przeciw rydwanom. Ogień buchnął pod niebo, kraby zamieniły się w tysiące rozpierzchających się płomieni pełznących po ścianach.

Znów rozległ się ten potworny dźwięk, ni to grzmot, ni to wycie, który przetoczył się gdzieś ulicami.

Przy Kamiennym Targu zobaczyliśmy, skąd się bierze.

Nadleciał kulisty czarny pocisk, który uderzył o bruk na placu, po czym potoczył się jakoś tak miękko, jak dziecięca piłka, nie wyglądało na to, aby był w stanie cokolwiek zniszczyć. Jednak kiedy tak się toczył, wydało mi się, że rozdziela się z boków, że pojawiają się w nim ręce i nogi i że przypomina sylwetkę skulonego człowieka z twarzą wciśniętą między kolana objęte ramionami. Przeturlał się jeszcze kilka razy, a potem zatrzymał i wstał. Skórę miał zupełnie czarną i wyglądał jak zwęglony trup, z tym że spalony człowiek jest mały i skurczony, a ten sięgnąłby głową do wyciągniętego ramienia największego Kebiryjczyka, do tego był bardzo chudy, z długimi ramionami i nogami. Spod jego zwęglonej, spalonej skóry wychodziło czerwone mięso. Patrzyliśmy na niego ukryci w zaułku, nie wiedząc, co uczynić.

Kiedy stwór dźwignął się na nogi, na plac wbiegło nagle kilku ludzi z bronią w ręku, zatrzymali się na jego widok osłupiali, a on otworzył nagle oczy pełne żaru, a potem paszczę i wydał z siebie ten przerażający, niesłyszalny ryk, ukazując wnętrze ust rozżarzone jak wnętrze pieca i prychając snopem iskier. A wtedy wszyscy tamci ludzie w jednym rozbłysku zamienili się w popiół. Potwór odwrócił się i poczłapał w górę ulicy, zostawiając za sobą wypalone w kamieniu ślady.

Uciekaliśmy zaułkami, potem po murze, a nad naszymi głowami przelatywały kolejne takie czarne kule, ledwo widoczne na tle ciemnoszarego nieba.

Potem znowu biłem w bęben, chyba na tym samym donżonie co poprzednio, a później siedzieliśmy skuleni na murze, patrząc, jak potoki wody omywają ulice, wlokąc ze sobą śmieci, trupy, jadowite kraby i miotające się wśród wizgu topionego żaru oraz kłębów pary ogniste potwory.

Pierwsze wrogie okręty wdzierały się do portu, ostrzeliwując z bliska baszty chroniące wielki łańcuch. Nasze pociski spadały na nie gradem ze wszystkich machin w grodzie. Strzelaliśmy z kusz w tonące, spowite ogniem galery, kryjąc się za pogruchotanym brzegiem muru oporowego, aż nadeszli ustawieni w czworobok kusznicy Bracia Drzewa i nas zmienili.

Odparliśmy tamten atak, pamiętam.

Na jakiś czas.

Spałem gdzieś wprost na kamieniach, osłonięty załomem muru, tuląc do siebie kuszę jak ciało kochanki.

Potem chyba znowu był dzień, choć nie jestem tego pewien, bo wszystko spowite było w półmroku.

Stałem przy bębnach na wieży, kiedy z nabrzeżnych fortów zaczęli docierać pierwsi żołnierze. W porąbanych zbrojach i poobijanych hełmach, wlokący kuśtykających rannych, wspierający się na mieczach i włóczniach niczym na kulach, owinięci w przekrwione szarpie.

Potem, pamiętam, zrobiło się trochę jaśniej, a ja stałem na szczycie góry, powyżej Lodowego Ogrodu, na wschodnim murze wybudowanym na grani. Pomagaliśmy rozbitym załogom fortów przechodzić wąską, pozostawioną dla nich ścieżką, niektórzy padali na schodach z wyczerpania i ran. Nosiliśmy ich na płaszczach na wozy i w sinym świetle widać było, że nad wschodnim wybrzeżem wzbijają się w niebo słupy ciężkiego dymu nachylone od wiatru.

Pomagałem nosić jakieś beczki i układać je przy wielkich katapultach. Ze środka dobiegał dziwny buczący dźwięk, ale balistarzy śmiali się tylko, kiedy pytałem, co jest w środku.

– Coś lepszego od smoczej oliwy – powiedział jeden z nich. – Ale nie radzę ci zaglądać.

Potem znów stałem przy Ulfie, tym razem nie na wieży, lecz na jednym z donżonów wpasowanych w grań nad urwiskiem. Wokół kręcili się gońcy, a Nitj’sefni wydawał jeden rozkaz za drugim.

Daleko na równinie widać było, jak nadchodzą Węże. Maszerowali szerokimi kolumnami, przypominającymi pochód mrównic. Z tej odległości były to tylko ciemne smugi, ledwie widoczne na wzgórzach, a potem zniknęli przesłonięci przez lasy, wyglądające stąd jak poszarpany kobierzec.

Gdzieś daleko w dole rozległo się zawodzenie pocisków i z morza nadciągnęły kolejne szyki okrętów idących prosto na port. Wszystkie

machiny Lodowego Ogrodu znów zaczęły strzelać i z tej odległości strugi dymu za pociskami wydawały się cienkie niczym nitki.

Ja jednak czekałem po drugiej stronie na murze za jeziorem i bardziej obchodziło mnie to, co działo się na równinie. Tam bowiem widać już było Węży wychodzących z lasu, tak daleko, że pojedynczy woje wydawali się mało dostrzegalni. Zauważyłem jednak, że sprawnie ustawiają czworoboki i maszerują przed siebie.

Po dwóch długich wodnych miarach zbliżyli się tak, że z trudem można było wypatrzyć pojedynczych ludzi i bardziej domyślić się, niż zobaczyć, gdzie stoją jeźdźcy w swoich smoczych zbrojach, gdzie piechota, a gdzie ustawione w długi szyk te okryte pancerzem przysadziste potwory. Stali tak przez jakiś czas, a potem zobaczyliśmy, jak w lesie zaczynają padać drzewa. Jedno za drugim, całymi rzędami, jakby coś czołgało się przez puszczę, wygniatając sobie drogę. Trzask i huk padających pni dobiegł do nas po jakimś czasie, ale całkiem wyraźnie.

Balistarzy siedzieli po drugiej stronie muru bez hełmów, korzystając z chwili spokoju. Przemywali twarz wodą, pili, ale nikt niczego nie jadł. Rzędem stały tam na trójnogach płaskie metalowe misy, pod którymi płonął ogień, lecz wypełniono je piachem z worków.

Dalej na dole, przy portach, trwała walka i wznosił się dym. Jeszcze więcej dymu. Byliśmy zbyt daleko, by słyszeć krzyk albo widzieć, co tam się dzieje. Był tylko dym spowijający nadmorskie dzielnice.

Grunaldi wychylił się za blanki i splunął na dół. Do równiny był najpierw mur, potem skalna ściana, a potem jeszcze nachylone zbocze. Dobre paręset kroków.

– Nie mam pojęcia, jak chcą tu wleźć – powiedział.

– Nie tędy. – Ulf pokręcił głową. – Tu będą nas tylko wiązać walką. Szturm odbędzie się przez usypisko, tam, gdzie była twoja ścieżka.

– Przecież tam jest teraz za stromo. Zwaliliśmy na ścieżkę lawinę.

Nitj’sefni wzruszył ramionami.

– Ale to najsłabsze miejsce.

Wychwyciłem mowę bębnów i poczułem, że serce staje mi w piersi.

– Porty upadły – powiedziałem. – Wycofują się za mur oporowy i zamykają wszystkie bramy. Amitraje lądują na brzegu.

Zapadła cisza, tylko drzewa padały w lesie z łoskotem.

– To tylko pierwszy mur – powiedział ktoś.

– Zawsze najpierw jest pierwszy. Potem oporowy, potem Kawerny i Kamienny Targ...

– Spokój! – warknął Ulf. – Jeszcze mamy coś do powiedzenia.

Gdzieś wysoko rozległ się przeciągły wrzask wywerny.

Drzewa wciąż padały z szumem koron, widać już było wyraźnie zbliżający się do nas pas gołej, zawalonej pniami ziemi, a w górze chmurę liści i chmary wrzeszczących ptaków. Nie dostrzegaliśmy tylko, co nadchodzi.

Patrzyliśmy na czworoboki wojowników Węży stojących spokojnie na równinie. Czekali na coś. Wzdłuż naszego muru nadbiegali ludzie w tunikach ze znakiem drzewa i głębokich hełmach, taszcząc kusze, łuki brzuszne i wszelką broń.

Ostatnie szeregi drzew runęły z trzaskiem i wreszcie zobaczyliśmy, co je zwaliło. Cztery wozy jadące jeden za drugim, na monstrualnych, jakby zębatych kołach i bez zaprzęgu. Sądziłem, że woły, czy co to tam było, musiały kryć się wewnątrz wozów, jak czasami robi się z zaprzęgami taranów. To jednak, co wyjechało, okazało się tak wielkie, że w środku zmieściłoby się całe stado wołów. Wozy były ogromne jak domy, i to nie byle jakie. Wydawało się, że zrobiono je z kutego żelaza, choć zupełnie bezkształtnie. Właściwie przypominały sterty przypadkowego żelastwa zwalone na kupę, niczym pozbierane wokół kuźni, tyle tylko, że monstrualne.

Wozy stanęły z tyłu, za czworobokami piechoty, w centrum szyku, i też ustawiły się w kwadrat. A potem wszystkie te piętrzące się na wysokość miejskiego muru rupiecie zaczęły się same poruszać, przesuwać i łączyć. Trzask, zgrzyt i łomot słychać było aż na murze.

– Oho! – powiedział Ulf. – Czyżby?

Nikt nie wiedział, o co mu chodzi. Kawały żelaza poruszały się jak żywe, podnosiły i z ogłuszającym szczękiem łączyły ze sobą pomiędzy wozami. Powalone pnie zaczęły się toczyć, łamiąc boczne gałęzie, po chwili cała zawalona drzewami przecinka wyglądała jak rzeka, którą ktoś spławia drewno.

– Taka wojna jest do rzyci – powiedział Ulf zmęczonym głosem. – Kombinujesz, człowieku, starasz się, a tu drzewa łażą i tyle.

Nadleciała druga wywerna. Zaczęła krążyć nad miastem z wrzaskiem wśród chmur, spowita w trzaskające błyskawice.

– Filar, nadawaj do wszystkich: puszczać latawce.

Pomyślałem, że źle usłyszałem. Ulf zobaczył mój wzrok i powtórzył. Teraz nabrałem pewności, że zwariował.

Byłem jednak sygnalistą i do mnie należało przekazywanie rozkazów, więc podniosłem pałki i zacząłem grać.

Okazało się, że przynajmniej dla innych było to zrozumiałe, bo nad miasto wzniosły się ciemne punkciki, coraz wyżej i wyżej, aż w końcu zawisły. W różnych punktach nieba nad murami. Sporo, lecz nie tyle, co u nas w wiosenne święto. Poza tym wszystkie wyglądały tak samo, miały kształt plastra miodu i ciemną, burą barwę, tak że właściwie nie było ich widać na tle burzowego nieba.

Na równinie pnie przypełzły do czworoboków piechoty i wsunęły się między szeregi, widać było, że Węże krzątają się wokół nich jak mrównice.

Wywerna znowu wydała z siebie upiorny pisk i migocząc skaczącymi w jej w paszczy piorunami, runęła na miasto. Widziałem, jak pikuje w dół, a potem wyrównuje lot wzdłuż muru oporowego.

I nagle zobaczyłem, jak zamienia się w kulę trzaskających błyskawic i znika, pozostawiając obłok ciężkiego, czarnego dymu. Wiatr przyniósł znad miasta echo zwycięskiego ryku z setek gardeł.

– Latawce puszczono na miedzianych drutach uwiązanych do żelaznych kołków wbitych w ziemię, a pomiędzy nimi rozpięte były sieci z cienkiej miedzi – oznajmił Nitj’sefni. – Najnowszy pomysł Fjollsfinna. Najpierw zewrzeć, potem uziemić. Udało się, bo była na wpół niematerialna. To taki raczej aspekt burzy. Ale teraz nie ma już wywern. Jedna rzecz odfajkowana.

A potem nadeszli Węże i znowu żyłem jak w gorączce.

To nie była jakaś nieprzeliczona armia. Kiedy stali w rozwiniętym szyku, uznałem, że patrzę na jakieś trzy binliki piechoty. Ale nieśli pnie drzew z kikutami gałęzi zmienione w drabiny, a gdy rzucali je na zbocze, przysiągłbym, że się wspinały po kamieniach, a potem zrastały ze sobą.

Żywe drabiny – co mogliśmy zrobić?

Nasze machiny zaczęły strzelać. Kamienne pociski spadały na dach z tarcz, które Węże nieśli nad głowami, i wybijały w nim wielkie dziury pełne krwawych ciał oraz pogruchotanego metalu.

Z tyłu cztery wozy połączyły się już kawałami żelaza i blachami o dziwnych kształtach i powstawał nad nimi szeroki stożek, który wciąż rósł, przemieniając się w jakby donżon pełen wystających krawędzi

i kolców. Wciąż coś się tam ruszało, trafiało na siebie i obracało, wznosząc się coraz wyżej. Kilka naszych pocisków trafiło w tę żywą budowlę, lecz bez większego efektu. Jeden bok obrósł huczącymi, ziejącymi czarnym dymem płomieniami, a wieża nadal ogromniała.

Okryte tarczami czworoboki podchodziły kolejno pod zbocze, rzucając pnie, które wspinały się po skałach, łącząc się gałęziami, ale Ulf sprawiał wrażenie, że wcale mu to nie przeszkadza.

Nasze machiny strzelały gdzieś z tyłu; pociski, głownie, pakunki z sieci pełne kamieni przelatywały nad naszymi głowami i rozwijały się, a złomki spadały gradem na czworoboki Węży, wgniatając i dziurawiąc tarcze, roztrzaskując hełmy i kości. Kiedy powracali po kolejne pnie, zostawiali za sobą całe połacie trupów i wijących się niemrawo rannych.

Dziwaczne drabiny splatających się ze sobą pni podeszły już na skalny klif i wydawało się, że wkrótce dosięgną muru, lecz Ulf nadal się tym nie przejmował. Oddziały Węży tam, w dole, nadchodziły i odchodziły, a wokół spadały pociski, zamieniając się w słupy ognia albo wybijając dziury w ziemi i miażdżąc wszystko na drodze. Jedna z kamiennych kul, odbijając się od ziemi jak piłka, uderzyła wprost w idący czworobok i wybiła w nim korytarz, wyrzucając w górę strzępy ludzkiego mięsa oraz chmurę rozpylonej krwi.

Kiedy patrzyłem na nich z góry, wydawało mi się, że jest w Wężach coś dziwnego. Usiłowali się uchylać na widok nadlatującego pocisku, ale poza tym krzątali się zupełnie bezmyślnie, całkiem jak owady, nie zwracając najmniejszej uwagi na ginących wokół towarzyszy. Przychodzili, rzucali pnie i odchodzili po następne.

Po jakimś czasie ich dziwaczne drabiny wzniosły się ponad klif i zaczęły sięgać podstawy muru, a oni ciskali u podnóża kolejne.

Żelazna wieża wciąż rosła, ze szczytem, na którym jakieś elementy pojawiały się, obracały, przechylały i łączyły ze sobą. Było w tych ruchach coś takiego jak u morskiego stwora przebierającego okrytymi pancerzem mackami. Stawała się coraz wyższa i wydawało mi się, że za małą wodną miarę sięgnie wysokością korony muru.

Czekaliśmy, siedząc za blankami, z naciągniętymi kuszami w rękach, ale rozkaz nie padał. Grunaldi ruszał szczękami jak koń, żując pasek suszonego mięsa. Spalle ciągnął osełką po ostrzu miecza, które wydawało z siebie przeciągły zgrzyt. Warfnir czyścił szmatką buty i wciąż cmokał

z niezadowoleniem. N’Dele nucił coś pod nosem. Benkej siedział oparty o mur, z kuszą pomiędzy kolanami i wyglądał, jakby drzemał. Sylfana stała oparta o ścianę i kręciła młynki mieczem. Ulf patrzył na równinę, jakby na coś czekał, i pykał z fajki.

Drabiny urosły i wspierały się już o mur w połowie wysokości, brakowało może dwóch długości średniego pnia, żeby sięgnąć blanek.

Węże ruszyli. Mniej więcej połowa puściła się biegiem, ustawiając bardzo wyciągnięte szyki na wprost każdej drabiny, jakby morski potwór wypuścił macki.

– No dobra, szykować się – oznajmił Ulf.

Wstaliśmy, a wraz z nami wszyscy inni na murze. Głównie ze znakami drzewa na tunikach, ale widziałem też Kirenenów oraz zwykłych żeglarzy w codziennych kaftanach i swoich własnych pancerzach. Wszyscyśmy mieli jednak kusze oraz te drewniane gastra-coś-tam, napinane o mur, które Fjollsfinn wymyślił jako broń dla mieszkańców.

Węże ruszyli z wrzaskiem, okrywając się od góry tarczami, i zaczęli pełznąć pod górę, w zawody z pniami, które sunęły obok.

– Czekamy – powiedział Ulf.

– Dopóki są tak nisko na dole, wystarczy, że spluniesz, a przedziurawisz tarczę – zauważył Grunaldi.

– Nie po to pozwoliłem im zbudować te kretyńskie drabiny, żeby mieli z tego pożytek – odparł Ulf zagadkowo. – Goniec do mnie. Szykować prażnicę.

Goniec wskoczył na kuca i popędził na drugi koniec muru. Ulf patrzył na wspinających się Węży i zaczął poświstywać.

Najpierw były to maleńkie sylwetki pełznące na końcu traktu ze sczepionych ze sobą pni. Malutkie jak mrównice. Ale wkrótce widzieliśmy już znak Tańczących Węży na tarczach, zacięte twarze pod hełmami, a w końcu słyszeliśmy sapanie, kiedy chwytali się kurczowo gałęzi, skrzypienie pasów i szczęk pancerzy.

– Czekać – powiedział znowu Ulf, więc czekaliśmy.

Na drabinie, która była pode mną, jeden ze wspinających się stracił nagle równowagę i poleciał w dół w zupełnej ciszy. Nie krzyczał, słyszałem szum powietrza, kiedy spadał, a leciał dobre pięć uderzeń serca, zanim trafił głową w zbocze i zaczął koziołkować, a w końcu roztrzaskał się na piargu z łupnięciem, które usłyszałem aż na górze.

A w końcu znaleźli się tak blisko, że widziałem oczy tego, który wspinał się pierwszy, a potem ciągnące się na dół kolumny z pni oblepione ludźmi. Może nie to, że mógłbym mu podać koniec włóczni, ale długiej piki piechoty na pewno.

– No dobra – zdecydował się Ulf. – Trąb.

Grunaldi wzruszył ramionami i zadął w róg.

Z lewej strony muru na bastei dwóch ludzi przecięło sznury i wielka kamienna przeciwwaga runęła w sztolnię w głąb góry, ciągnąc za linę przełożoną przez wielki blok. Ta napięła się i szarpnęła łańcuch ciągnący się wzdłuż muru, uczepiony prażnicy – okutego, wielkiego tarana wyciosanego z grubego pnia ze sterczącą w bok kosą, który wisiał na jeszcze jednej linie przełożonej przez ucha na jego grzbiecie. Prażnica pomknęła wzdłuż muru z przeraźliwych wizgiem i grzechotem, z liny podniósł się dym, a taran zaczepił po kolei wszystkie drabiny, przewracając je na bok, łamiąc i strącając w dół z trzaskiem gruchotanego drewna i łomotem belek. W dół zbocza leciała lawina grubych drzazg, kamieni i obijających się o ściany ciał.

A potem zapadła cisza, tylko u stóp stoku wzbił się pył, przesłaniając sterty zmasakrowanych szczątków. Przed nimi stali kolejni, którzy czekali na dostęp do drabin i patrzyli w górę, zadarłszy głowy, a po chwili wydali z siebie wrzask wściekłości.

– Walić w nich – nakazał Ulf. – Ze wszystkiego.

Strzelaliśmy prosto w tych stojących i ryczących, w trupy stłoczone u stóp góry gdzie popadnie. Nad naszymi głowami przelatywały pociski i rozpadały się w chmury kamieni.

Tamci padali, rozpierzchali się i usiłowali uciekać z drogi nadlatujących kul. To był jeden chaos, a wrzosowisko u stóp góry zaścielały leżące sylwetki. Z pochylni sypały się odłamki skalne, jak wodospady. Podniósł się łoskot i chmury pyłu.

Ulf świsnął przeraźliwie przez zęby i skinął do jednego z balistarów. We dwóch przełożyli żelazny kół przez ucho pod naszymi nogami i odsunęli kamienną płytę, odsłaniając dziurę prowadzącą w dół, coś jakby studnię. Wlali tam dwie beczki smoczej oliwy, a potem szarpnęli dźwignię. Kamienna kula wielkości melona potoczyła się po korycie i wpadła do studni, po czym zniknęła. Wyjrzałem za parapet muru, ciekaw, co ma z tego wyniknąć, kiedy u stóp góry rozległ się huk, wystrzelił stamtąd płasko

najpierw kłąb piachu, który zasłaniał wylot, a chwilkę później długi na strzał z łuku płomień smoczej oliwy, trafiając prosto w gromadę Węży. Rozbiegli się na wszystkie strony, okryci płomieniami, ale zdumiało mnie to, że nie krzyczą.

– Jeszcze dwie, na sucho – powiedział Ulf. Balistar dwukrotnie przełożył dźwignię i dwie następne kule znikły w otworze, jedna po drugiej, a po kilku uderzeniach serca wystrzeliły z dolnego otworu, mknąc z gwizdem płasko nad wrzosowiskiem i roznosząc wszystko na drodze.

Kiedy opadł pył, wrzosowiska płonęły, a wszędzie leżały nieruchome ciała.

Wieża nadal rosła ze szczękiem i zgrzytem, teraz na jej szczycie kawałki żelaza układały się w coś kulistego, co wypuszczało z siebie kolejne części wysuwające się w naszą stronę. Wyglądało na to, że to jakaś wieża oblężnicza albo coś podobnego, tylko stworzona imionami bogów.

Z tyłu, poza zasięgiem naszych machin, stały czworoboki Węży, które dotąd nie brały udziału w ataku. Teraz jednak zaczęły się przemieszczać, a w końcu naprzód ruszyła jazda, która otoczyła te przysadziste blaszane potwory, które Ulf nazywał krabami, i poprowadziła je do ataku.

Tym razem nie na mur, ale na usypisko, którym zablokowaliśmy ścieżkę. Widać było, jak idą, kołyszą się na boki, chrzęszcząc płytami pancerzy, niczym prawdziwe kraby.

– Sygnał do baterii, niech ładują beczki – rozkazał Ulf. – Naciąg do pierwszej karby.

Odegrałem sygnał, a potem znowu czekaliśmy, a kraby nadchodziły. Jeźdźcy podprowadzili je do usypiska, ale potem trzymali się z tyłu w bezpiecznej odległości.

– Puszczaj! – rzucił Nitj’sefni.

Pociski wyleciały znad zbocza, przeleciały nam nad głowami i roztrzaskały się jeden po drugim pomiędzy wspinającymi się na kamienie, zbitymi w gromadę krabami, wyrzucając z siebie tylko słabo widoczne chmury jakby jakiegoś pyłu. Poza tym, że niektóre kraby poprzewracały się i być może, trafione bezpośrednio beczką albo strzaskanymi klepkami, odniosły jakieś rany, przez kilka chwil nic się nie działo.

A potem nagle wszystkie zaczęły miotać się jak oszalałe, wydając upiorne wycie, staczać ze zbocza i siekać wokół siebie krzywymi ostrzami, które miały zamiast rąk.

– Nie znam nazwy – powiedział Ulf. – Ale to owady wielkości palca, które bardzo żądlą. Obecnie naprawdę wkurzone.

Na dole wybuchł chaos, jeźdźcy puścili się galopem do swoich linii, kilku zwaliło się w pędzie z siodła, ich konie rozbiegły się z dzikim rżeniem, a kraby zamieniły się w miotające się na oślep stado. A potem stało się coś dziwnego. Kraby zaczęły się przewracać i wyglądało na to, że umierają. Zwalały się jeden po drugim z chrzęstem blach, podwijały pod siebie nogi i nieruchomiały. Zaraz też zaczęły się otwierać jak wrzucone do wrzątku muszle, odsłaniając lśniące od śluzu niebieskawe wnętrza. Te zaś pękały, uwalniając chude i blade drobne ciała. Które pełznąc niezdarnie, poczołgały się w różnych kierunkach.

W środku były dzieci.

Miałem tego dosyć. Miałem dosyć Czyniących i świata, w którym wojny toczy się w taki sposób. Przeżyłem po prostu zbyt wiele okropności i zbyt wiele szaleństwa naraz. Dlatego mój dziad otoczył uroczyska strażą i dlatego zabijał za używanie imion bogów.

Dzieci zakute w stal i zamienione w potwory...

Co mogliśmy zrobić?

Tak czy owak, zasłaliśmy równinę ciałami, ale Węży została mniej niż połowa. Jeśli zaatakują, znów zaczniemy strzelać i pozabijamy ich wszystkich. Lodowy Ogród musi się obronić.

Tak wtedy myślałem.

Wieża przestała się już składać i teraz wznosiła się na wysokość naszego muru, a wieńczyła ją żelazna głowa potwora, taka sama jak przyłbice, które nosiła jazda Węży. Łeb podobny do gadziej czaszki, z wysuniętą zębatą szczęką z lśniącej stali.

Głowa poruszyła się na boki, a potem wydobył się z niej dudniący, grzmiący okrzyk, który brzmiał: „Łazarzu, wstań!” i przetoczył się nad równiną, a potem wrócił odbity echem od lasu.

– Patrzcie! – zawołał N’Dele, wskazując w dół.

Wszędzie, na całej równinie, ciała Węży zaczęły się poruszać. Najpierw niemrawo, a potem żwawiej podpierać ramionami i wstawać na nogi. Nie wszyscy. Ci, którzy mieli strzaskane ciała, oderwane głowy albo zostali zmiażdżeni lub rozerwani na strzępy, nadal leżeli nieruchomo, ale wstawali przeszyci strzałami, tacy, którym z tułowi sterczały oszczepy albo mieli

oderwane kończyny. Wstawali też tacy, których ciała nadal płonęły. Wielu. Zbyt wielu.

Milczeliśmy.

Wstawali i macali ziemię wokół siebie w poszukiwaniu broni. Widać było, że nie robią tego na ślepo, lecz starają się znaleźć coś, co nie jest połamane ani pogięte i nadaje się do użytku.

– Co to znowu ma być?! – zapytał Ulf z irytacją w głosie.

– *Maiti suenda* – odpowiedział N’Dele. – Martwi, którzy chodzą.

Nocny Wędrowiec z wściekłością uderzył dłońmi o uda.

– Tak się nie bawię! No przecież to, *perkele*, szlag może trafić. Ukręcił sobie żywe trupy? No żeż, jak tak można! Jak je można zatrzymać? Tylko uważaj, jeśli powiesz, że nijak, bo już i tak nie żyją, zrzucę cię na dół.

N’Dele wzruszył ramionami.

– Odcinając głowę albo przecinając mlecz w plecach. Po jakimś czasie i tak umrą, ale kiedy, to już zależy, jak dobry jest *nchavo*, a ten chyba nieźle sobie radzi. Wydaje mi się, że to ci wszyscy, których zabiliśmy już wcześniej, dlatego posłał ich na pierwszą linię. *Maiti suenda* nie czują bólu i pamiętają tylko o rozkazie, jaki im wydano. Mają też nadludzką siłę, ale zużywając ją, przyspieszają drugą śmierć. Jeśli będą walczyć i wspinać się po tym zboczu, pożyją tylko do jutra, a jeśli są we władzy silnego czarownika, mogą przeżyć nawet trzy dni.

Martwi wstający do walki. Chodzące trupy.

Co mogliśmy zrobić?

– Ogień? – zapytał Ulf rzeczowo.

– Tylko bardzo wielki ogień. Oblany smoczą oliwą może chodzić z godzinę.

– Dobra, graj: napinać machiny! A potem w stronę osypiska. Strzelać w głowę.

Maszerowali niepowstrzymanie i wspinali się na zbocze. Ludzi byśmy zatrzymali z łatwością, ale ich nie. Nie szli na oślep ani niezdarnie. Widziałem takiego, który złamał nogę, a potem wbił kości w siebie, by móc iść dalej. Spadały na nich kamienie i strzały, omiataliśmy ich strumieniami ognia. A oni płonęli, pełzli w górę i odgarniali głazy, staczając je na dół, by odsłonić przełęcz.

Skały spadały z hurkotem, wzbijając chmury pyłu, a oni szli wciąż naprzód, pod górę.

Strzelaliśmy z kusz, a oni wyrywali bełty z piersi i rzucali w nas. Czasem udawało się trafić w głowę i wtedy spadali na dół, ale to musiało być trafienie w czoło. Jednemu mój bełt wyrwał całą twarz od nosa w dół, razem ze szczęką, a on wciąż szedł na górę. Naciągałem, ładowałem i strzelałem, lecz nie mogłem trafić. Przeszyłem mu trzy razy pierś, szyję i bark, wyrywając żelazny naramiennik, a on wciąż szedł. A przy tym byli zwinni jak Kebiryjczycy, z łatwością wspinali się pod górę, jednym podskokiem przesadzali głazy wysokości człowieka.

A potem walczyliśmy w wielkim tłoku, spychając żywe trupy włóczniami z powrotem w dół, rąbiąc z bliska i strzelając prosto w twarze.

Widziałem, jak jeden został przeszyty włócznią, wydał wtedy z siebie wężowy syk, chwycił włócznię jedną ręką i szarpnął, porywając gwardzistę w powietrze, i cisnął go nad sobą w przepaść.

Walczyłem mieczem, zasłaniając się okrągłą tarczą Nocnych Wędrowców, i jednemu zdołałem obciąć głowę, ale taka sztuka udała mi się tylko raz. Ulf sunął jak tornado, co chwila wznosił swój dziwny miecz nad głowę, zastawiał się i przysiadał tak szybko, że nie dawało się nadążyć za nim wzrokiem, ale ich było wielu. N’Dele walczył plecami do Ulfa, wywijając dwoma szablami, doskakując i uchylając się, przypadając do ziemi albo tnąc z wyskoku.

Ja, Spalle, Benkej, Snop, Warfnir i Sylfana staliśmy tyłem do siebie w półkolu, tnąc uparcie po szyjach i rąbiąc po rękach. Znaleźliśmy dobre miejsce, zaparci o skalną ścianę, i nie mieli jak się dostać między skały, więc atakowaliśmy po trzech naraz, najpierw dwóch uderzało w ręce i nogi, a jeśli Wąż padał, trzeci odrąbywał mu głowę. A potem zrzucaliśmy ciała na następnych.

Tylko że oni wciąż nadchodzili, a my opadaliśmy z sił.

W końcu kilku przedarło się na drugą stronę przełęczy, nad jezioro, i rzucili się na balistarów. Tamci ledwo zdążyli dobyć mieczy, kiedy zostali dosłownie oblezieni przez Węży, biegliśmy im na pomoc, widziałem z daleka, jak wielki żywy trup o całym ciele pokrytym tatuażami chwyta człowieka, uchyliwszy się jednym ruchem przed cięciem, po czym unosi go nad głowę i ciska na łoże katapulty, a potem kopnięciem wyrzuca ramię,

posyłając nieszczęśnika razem z pociskiem na drugą stronę góry i muru, wprost na własne pozycje.

A potem zagnali nas plecami do jeziora, staliśmy po kolana w wodzie, chroniąc między sobą Sylfanę, i biegło na nas co najmniej dwudziestu.

Nic nie mówiliśmy, mimo iż wiedzieliśmy, że to już koniec, wszyscy ledwie łapaliśmy oddech. Kiedy jednak umarli dobiegli do jeziora, nagle rozległ się głuchy wizg i tamci dosłownie zwalili się pod gradem bełtów. Było ich tyle, że przynajmniej niektóre rozłupały czaszki albo przebiły środek pleców.

Zobaczyłem na szczycie rzędy kuszników, którzy z muru wspięli się aż na grań, kolejni maszerowali parapetem muru na przełęcz, strzelając z trzech rzędów i podając od tyłu naciągnięte kusze, tak że co kilka uderzeń serca ich czworobok pluł gradem bełtów.

Potem znów pamiętam Ulfa i N’Dele, cofający się mur pleców gwardzistów, krzyk i ogień. Zebraliśmy się wokół Nitj’sefniego, opierając

się mieczami o ziemię, dysząc ze zmęczenia i nie mogąc mówić, cali obryzgani krwią i okopceni dymem.

– Przełęcz padnie – ledwie co wyzipiał Ulf. – Załoga może cofać się wzdłuż muru, do umocnień Wschodniej Czatowni, ale my musimy do miasta. Muszę wejść na wieżę i zacząć czynić. Nie ma innego wyjścia. Kusznicy odeprą ich na moment, ale nie zatrzymają. Muszę zrobić z tym porządek.

Potem biegliśmy ulicami oświetlonymi pożarem. Co jakiś czas na niebie pojawiała się sycząca gałąź utkana z błyskawic i zawsze uderzała gdzieś w miasto. Wydawało się, że ktoś kieruje nimi celowo.

Czyniący władający błyskawicami...

Co mogliśmy zrobić?

Hałas bitwy i łoskot gromu przetaczały się pustymi zaułkami, aż wpadliśmy na jakiś plac, gdzie stało wielu mieszkańców w różnym wieku, w tym kobiety i dzieci. Na placu znajdowały się też wozy taborowe, a strażnicy miejscy rozdawali mieszkańcom miecze i hełmy. Stanęliśmy tam, a strażnicy dali nam chochlę i beczkę wody, byśmy mogli się napić.

Opodal jakiś chłopak, może dwunastoletni, szarpał się z zatrzaskiem miecza. Wyjąłem mu ostrze i podałem.

– Pochwę zostaw – powiedziałem. – Nie przyda ci się, ale weź koniecznie hełm.

Posłaliśmy dzieci na mury.

Co mogliśmy zrobić?

Biegliśmy dalej, a N’Dele oglądał się co chwila za siebie.

– O co chodzi? – zapytał Ulf.

– Ktoś za nami biegnie.

Rzeczywiście, słyszeliśmy tupot, a potem u wylotu uliczki pojawiło się trzech ludzi. Bardzo wysokich ludzi, o miedzianej skórze pokrytej tatuażem jak u Węży, z czego jeden nie miał ramienia, drugi miał ślady trzech pchnięć w pierś, a trzeci bełt sterczący z samego środka tułowia.

– Nie powstrzymacie ich – powiedział N’Dele. – Nie dlatego, że to Kebiryjczycy, ale dlatego, że są narzędziem Sudżu Kadomle. Nie wiem, skąd się wzięli u króla Węży, ale teraz mają inny rozkaz niż reszta. Idą za nami od przełęczy, wszędzie, gdzie ja pójdę, tam podążą. I nie umrą, dopóki ja żyję.

Upiory na widok Aligende wyszczerzyły zęby spiłowane ostro jak u leoparda, a nad mętnymi, martwymi oczami otworzyły im się drugie, mniejsze, płonące upiornym światłem.

– Co chcesz zrobić, askaro?! – zapytałem ostrym tonem, bo poczułem, jakby moje płuca wypełnił ołów.

– Zatrzymam je – odparł spokojnie, wyjmując swoje szable. Przesunąwszy dłonią po zakrwawionych głowniach, zaczął kreślić na piersi rzędy znaczków. – A potem do was przyjdę.

– Nie! – wrzasnąłem równocześnie ze Snopem i Ulfem, ale N’Dele już biegł.

– *N’duna, agana!* – krzyknął i uchylił się przed pierwszym cięciem, przetoczył po bruku i skoczył na przeciwnika.

Rzuciliśmy się za nim, lecz wtedy jeden z *maiti suenda* wydał z siebie przeraźliwy dźwięk i pomiędzy nami wyrosła nagle ściana huczącego ognia.

Ciągnęli mnie za krawędź pancerza na karku, a ja wyrywałem się i wykrzykiwałem imię N’Dele. Gdzieś z tyłu słyszałem szloch Sylfany.

N’duna, agana.

Żegnaj, przyjacielu.

Co mogłem zrobić?

Nie wiem, jak dotarłem do Wieży Szeptów. Pamiętam jakieś ulice, krzyki, ktoś biegł, błyskawice syczały nad miastem.

– Będę na górze – powiedział Ulf. – Pójdzie ze mną tylko Filar i tylko na chwilę, bo będę tam czynił, a to może być niebezpieczne. Nie wiem, co się stanie, ale muszę ich powstrzymać. Nie będę wtedy wiedział, co się dzieje pod wieżą, więc wy musicie dopilnować, żeby nikt tu nie wszedł. Nikt, rozumiecie? Rozstawcie się na dziedzińcu i pilnujcie wejścia.

Zamilkł i wziął głęboki oddech.

– To... może być wasze ostatnie zadanie jako Nocnych Wędrowców. Ale jest najważniejsze. Potem albo wojna bogów się skończy i zaczniecie normalnie żyć, albo to, co dziś widzieliście, to będzie nowe oblicze świata.

Sylfana otarła oczy pięścią, rozmazując sadzę po policzkach, a potem wyjęła miecz.

Ulf zawahał się w drzwiach, odwrócił do niej i ujął jej twarz w dłonie.

– Żadnych pożegnań – szepnął. – Spotkamy się. Wszyscy.

Na szczycie Wieży Szeptów wiał wiatr. Widzieliśmy stąd morze i całe miasto, które rozciągało się pod nami mrowiem dachów, lasem wież i pierścieniami murów. Wszędzie wznosiły się słupy dymu i panował półmrok podświetlony ogniem pożarów i ciągłym migotaniem błyskawic.

Kiedy byłem mały i nadchodziła burza, mój ojciec opowiadał mi bajki o smokach żyjących wśród chmur, które walczą ze sobą, ziejąc piorunami. O smoku, który chciał chronić ludzi, i takim, który chciał ich zniszczyć.

Teraz byłem już dorosły i wiedziałem, że smoki ziejące piorunami istnieją. Dwa zabiliśmy.

– Co chcesz zrobić? – zapytałem Ulfa, bo nie chciałem, żeby umierał.

Machnął rękami, jakby chciał objąć miasto. Mury, porty i pożary.

– To wszystko moja wina. Sprowadziłem tu twój naród i sprowadziłem Ludzi Ognia, którym obiecałem pomoc. Naprawdę myślałem, że za murami Ogrodu będą bezpieczniejsi, ale jest też prawdą, że chciałem zwabić tutaj Czyniących, by zabrać ich z twojego świata. I patrz, co się dzieje: teraz twoi ludzie giną od żaru, od jadowitych stworzeń nie z tego świata, od żywych trupów i żywego żrącego gazu. Od rzeczy, których nie pokonasz mieczem. Muszę teraz stawić im czoła. Pokazali się wreszcie, więc muszę ich dosięgnąć. Muszę to skończyć. Chłopcze, wiesz, że jeżeli ja i Fjollsfinn zginiemy, musisz zostać Panem Lodowego Ogrodu. Musisz zrobić z niego to, czym miał być. Ogród.

Ulf wyszedł na środek wieży, gdzie wokół nas wznosiły się jej dziwne zakończenia, jakby szpony. Przetoczył głową na karku, a potem podszedł do stojącego z boku stolika i wziął glinianą butelkę, odkorkował, a potem pił długo. Następnie wylał trochę płynu na ręce i roztarł go w dłoniach. Na koniec rozsznurował jeszcze skórzany woreczek i wyjął stamtąd zwykłą suszoną śliwę, którą wrzucił do ust.

Też sięgnąłem po jedną, lecz chwycił wylot worka i ścisnął gwałtownie w dłoni.

– Zostaw! – zawołał. – Piętro niżej jest mnóstwo jedzenia, możesz wziąć, co chcesz, jeśli jesteś głodny, ale do tego nawet się nie zbliżaj. To wszystko jest aż gorące od pieśni bogów. Sam widok może cię zabić. Najlepiej stań przy drzwiach, tam gdzie bęben. Kiedy powiem, nadasz sygnał do Fjollsfinna, a potem uciekaj z wieży. W niczym mi nie pomożesz, a tamtym na dole jeszcze możesz.

Stanąłem więc, gdzie mi kazał, a on wyszedł na środek wieży, pomiędzy dwa słupy, które tam stały.

Ciemne, jakby brudne niebo znowu popękało od błyskawic.

Teraz wielu ludzi pyta, jak się właściwie czyniło. Czy trzeba było znać odpowiednie słowa albo gesty? Czy trzeba było je wypowiedzieć, czy zaśpiewać?

Nie wiem.

To wyglądało tak...

Każdy z tych, których widziałem, czynił inaczej. Mistrz Fjollsfinn zamierał na jakiś czas w bezruchu, patrząc przed siebie, a potem robił tylko mały gest ku przodowi swoją pasterską laską zakończoną srebrnym drzewem, a ona rozjarzała się na moment i to, co chciał, stawało się. Kiedyś widziałem, jak Nahel Ifrija tańczyła wśród pożogi, którą wywołała, ale nie wiem, czy tak robiła zawsze.

Ulf mamrotał do siebie i wykonywał dziwne gesty, jakby coś przesuwał w powietrzu albo pisał jednym palcem wokół siebie. A potem, kiedy już zabierał się do czynienia, wyglądało to tak, jakby chwytał niewidoczne rzeczy albo nimi ciskał czy odpychał. Ugniatał i rozciągał powietrze po to, by za chwilę odgarnąć je niczym niewidzialną zasłonę. I cały czas przy tym mówił w dziwnym turkocącym języku, a nawet krzyczał.

Zawsze wymagało to ogromnego wysiłku.

Mistrz Fjollsfinn prawie się nie ruszał, ale po wszystkim wiotczał, garbił się i sprawiał wrażenie, że nagle stał się niedołężnym starcem. Przysiadał, stękał, utykał i często musiał się potem położyć.

Ulf czerwieniał na twarzy, pocił się i w ogóle wyglądał, jakby pchał wóz wyładowany kamieniami.

Ale na czym to właściwie polegało, nie mam pojęcia.

Wtedy, na szczycie Wieży Szeptów, też najpierw stał w dziwnej pozycji, ze złączonymi nogami, zwieszoną głową oraz pięściami uniesionymi na wysokość bioder i oddychał głęboko, wciągając powietrze nosem, a wypuszczając przez usta. Trwało to krótką chwilę, potem zaczął wykonywać te dziwne gesty, jakby bił stojących po bokach przeciwników, później porozsuwał wokół siebie niewidzialne przedmioty, dźgnął wiele razy palcem przed swoją twarzą, jakby dziurawił powietrze, a na koniec uniósł rękę ku niebu, jakby chciał sięgnąć po pęki piorunów tnących niebo nad miastem.

I nagle zobaczyłem, że jego dłoń ogarnia migotliwy, delikatny błękitny płomyk. Zwisające ze słupów łańcuchy zaczęły bzyczeć i strzelać iskrami, podobne płomyki wykwitły na sterczących nad wieżą rogach.

Ulf nadal stał tak, powtarzając coś coraz głośniej, a na jego dłoń z nieba spadały kolejne płomyki, jak krople, płomienie na szponach nad wieżą zaczęły rosnąć, aż połączyły się i rozlały po obrzeżu, i wnet cały taras otaczała kopuła z potrzaskujących błękitnych smug.

– Do Fjollsfinna: gotów? – rzucił Ulf, stojąc z dłońmi spowitymi w błękitny płomień, jakby schował je w rękawicach z ognia.

Uniosłem pałki. Odpowiedź przyszła szybko i była krótka.

Gotów.

Jesteś na Wieży Kruków, żebym cię przypadkiem nie zmacał?

Na Wieży Kruków.

Zaczynamy?

Zaczynamy!

Ulf wyrzucił nagle rękę w górę i zgarnął coś z nieba, a potem drugą wskazał przełęcz i wykrzyknął coś gwałtownie.

Nic się nie wydarzyło.

Znowu zakreślił rękami wokół siebie i nagle piorun uderzył z nieba prosto w przełęcz z takim hukiem, że aż przysiadłem. Zamigotał błękitny, upiorny poblask, na chwilę zrobiło się jasno jak w dzień, zresztą być może to był dzień, nie umiałem powiedzieć.

Ulf wrzeszczał raz po raz i wyglądało to, jakby ciskał piorunami, które tańczyły pomiędzy chmurami a przełęczą, a łomot toczył się nad Lodowym Ogrodem bez końca. Rzecz jasna, nie miał błyskawic w dłoniach. Biły normalnie z nieba, ale on jakby wskazywał im drogę i krzyczał na chmury. Potem odwrócił się tym samym zwinnym ruchem jak wtedy, kiedy walczył, i wyrzucił rękę w stronę portów, jakby posyłał tam binhon ciężkiej jazdy. Pęk błyskawic uderzył w port, widziałem, jak jedna z amitrajskich galer stojąca pośrodku basenu wybucha ogniem, a coraz większe fale walą w stłoczone wokół awanportu okręty.

W następnej chwili siedziałem na ziemi i nie wiedziałem, co się stało. Huk i błysk, które spadły na Wieżę Szeptów, dosłownie wypaliły ze mnie kawałek życia. Dopiero potem przypomniałem sobie, że widziałem, jak piorun rozlewa się po błękitnej siatce kopuły utkanej z płomieni nad

tarasem, a może wcale nie widziałem, tylko wypaliło mi się to pod powiekami.

– Tak! *Perkele molopää!* Dawaj tu, *smrdljiva kurvetino*!

Zgarnął nic z powietrza, a potem cisnął gdzieś za przełęcz i grań, gdzie widać było górną połowę żywej żelaznej wieży, gapiącej się na nas płonącym łbem gada. Wijące się wokół świetlistej kopuły błyskawice zadrgały i w stronę wieży króla Węży poleciała kula ognia, która rozprysnęła się w powietrzu, siejąc wokół iskrami, ale Ulf zaraz posłał kolejne, które tak samo spłonęły.

Z tyłu rozległy się przeciągły szum i grzmot i nad portem wstał biały, wijący się wodny wir, miotający wokół parą oraz pianą, który wznosił się coraz wyżej, a na samym szczycie trwał lekko, chwiejąc się na boki, kamienny dysk. Stała na nim maleńka sylwetka, ledwie widoczna z tej odległości. Całe niebo pokryły błyskawice i zobaczyłem tę sylwetkę jako czerwoną iskierkę. Wiedziałem, co to.

Nahel Ifrija stworzyła własną wieżę. Nie mogła jej tu zbudować, więc ukręciła z wody i wiatru, a potem dźwignęła wysoko nad port.

A potem cisnęła w Wieżę Szeptów strugę błyskawic, a król Węży zrobił to samo.

Szczyt wieży otoczyła trzaskająca kopuła ognia, ja wiłem się po ziemi, zaciskając uszy, ale łoskot i tak rozsadzał mi czaszkę. Miałem wrażenie, że moje włosy płoną.

Ulf ryczał z wysiłku i wydawało się, że odpycha od siebie dwie zgniatające go ściany. Z Wieży Kruków poniżej nas w północnej części miasta trysnęły strugi błękitnych płomieni prosto w wieżę z wiatru w porcie, a za chwilę w żelaznego gada unoszącego głowę nad wschodnią grań.

Ulf wydał wrzask w swoim języku i odepchnął od siebie obie ściany, a potem zrobił gest, jakby przerzucał coś nad głową, strugi błyskawic uniosły się niczym zaklinowane miecze, uwalniając naszą wieżę, i wsparły się o siebie. Teraz wszystkie wieże łączyły wijące się strumienie błękitnego ognia, które wznosiły się nad Lodowym Ogrodem pośrodku, splatając się z przeraźliwym łoskotem w jeden węzeł, w trzaskającą i miotającą błyskawicami kulę oślepiającego blasku, jakby nad grodem wstawało nowe, piorunowe słońce, a oni przepychali je ku sobie.

Nitj’sefni naprawdę wyglądał tak, jakby coś pchał, z rękoma wbitymi w powietrze, a wokół jego dłoni wiły się i skakały płomienie.

Krzyczał do mnie, a ja dopiero po chwili zrozumiałem, że krzyczy w mowie Wybrzeża Żagli.

– Bębnij! Do Fjollsfinna: odpalaj, kiedy będziesz gotów! Odpalaj lód! Nie wytrzymam dłużej niż dziesięć minut!

– Dziesięć czego?!

– Pół małej wodnej miary! Pół cala świecy, *perkele*! – wrzeszczał.

Wątpiłem, że rytm sygnałowego bębna przebije się przez upiorny zgiełk, jaki czyniło niebo, na którym płonęło małe, jadowite słońce utkane z piorunów, więc tłukłem w membrany raz po raz, wysyłając komunikat mową bębnów.

Wszystkie cztery wieże przepychały na siebie wodospady ognia, miasto trzęsło się w posadach, a ja tłukłem w bęben.

Czyniący walczyli na wieżach i miotali pioruny...

Co mogliśmy zrobić?

To nie był ciągły grzmot. Niebo pękało po kawałku seriami trzasków, a potem toczył się po nim głuchy pomruk i wtedy usłyszałem z daleka odgrywane szybko:

Zrozumiałem, zrozumiałem, zrozumiałem... – prosty, krótki rytm.

– Zrozumiał! – krzyknąłem na całe gardło.

– Uciekaj stąd! Powiedz im, że ze wszystkich stron na wieżę ciągną umarli! Wytrzymajcie za wszelką cenę! Tylko trochę! Zaraz się skończy! Chroń Sylfanę, zamknij ją w wieży, jeśli będzie trzeba! Uciekaj, i pamiętajcie o mnie! Już! Wynocha! Wykonać!

Cały czas pchał niebo, ślizgając się podeszwami po tarasie, a ja poczułem coś jakby potężny podmuch wiatru, który wepchnął mnie do środka i zatrzasnął za mną drzwi.

Uderzyłem w nie całym ciałem i zaparłem się o podłogę, lecz nic to nie dało. Zresztą tam Czyniący miotali piorunami.

Co mogłem zrobić?

Stałem w klatce opadającej studnią, której bałem się i nie znosiłem, ale nawet nie wiedziałem, gdzie tu są schody. I tak pewnie schodziłbym nimi cały dzień.

Trwało to dość długo, ja jednak byłem z tego zadowolony, bo mogłem dojść do siebie. Zanim dojechałem na dół, przestałem się trząść aż tak

bardzo, choć nie miałem pewności, czy zdołam mówić.

Na dolnym podeście wyjąłem od razu miecz i wypadłem na dziedziniec. Natychmiast opadli mnie, szarpiąc za kurtę i zadając mnóstwo pytań.

– Jest... tam... na wieży... walczą... Czyniący... – bełkotałem. – Idą umarli! Musimy zatrzymać! Diament przy drzwiach! Nie przejdą... Do broni!

To ostatnie wywrzeszczałem szczekliwym głosem dowódcy. Natychmiast odwrócili się na wszystkie strony, zdzierając tarcze z pleców i wystawiając miecze.

Byliśmy Nocnymi Wędrowcami. Potrafiliśmy robić rzeczy, których nie umieją inni. Znikać w ciemności, śniegu i listowiu. Wchodzić po gładkich skalnych ścianach, otwierać zamknięte drzwi. Zabijać skrycie, bezgłośnie i szybko jak żmije. Umieliśmy uderzać znienacka i znikać.

Ale w starciu z nieznającymi bólu, nadludzko silnymi wojownikami, którzy całą siłę życia mieli zużyć do następnego dnia, a jedynym sposobem na ich zabicie było odrąbanie im głów, znaczyliśmy tyle, co niecały hon lekkiej piechoty.

Właśnie tyle. Nawet nie hon – zostało nas siedmioro, bo Njorvin stał przy Fjollsfinnie, by tłumaczyć mu, co mówi kireneński sygnalista. Podobnie Bracia Drzewa, którzy byli też Nocnymi Wędrowcami. Walczyli pod Wieżą Kruków, chroniąc Fjollsfinna.

Nad nami grzmiało i trzaskało niebo i jarzyło się paskudne piorunowe słońce Czyniących.

A potem zamknięta brama na dziedziniec nagle rozleciała się w drzazgi.

Nie szukali niczego ani nie musieli pytać o drogę, doskonale wiedzieli, która to wieża.

Tylko troje z nas miało jeszcze kusze i bełty.

Pozostali mogli ich jedynie osłaniać półdiamentem z zaklinowanych o siebie niewielkich tarcz zwiadowców.

Czasu wystarczyło na jedną salwę. Celną. Trzech umarłych runęło w biegu na bruk z roztrzaskanymi czaszkami, przypominającymi rozdeptane melony na targu.

– Za N’Dele! – ryczeliśmy, dobywając mieczy. – Ogień i Drzewo!

Tam, w górze, Ulf samotnie odpychał pioruny i potrzebował trochę czasu.

Byliśmy jedynie garstką lekkiej piechoty broniącą wejścia do Wieży Szeptów.

Co mogliśmy zrobić?

Zastawiliśmy się tarczami, a ci z tyłu cięli jak tylko się dało w tłoku.

Grunaldi przerąbał z góry toporem głowę martwego Węża wraz z hełmem, ale ostrze utkwiło między szczękami i nie dało się wyrwać.

Zepchnęliśmy ich ze schodów, jeden upadł i Spalle ciął go w szyję, lecz udało mu się przerąbać kręgosłup dopiero drugim cięciem. Było ich wielu, nie cierpieli bólu ani zmęczenia, nie musieli pić ani chwytać powietrza.

Cięliśmy, rąbali, kopali i walili tarczami. Były ich dziesiątki, ale na kamiennych, osłoniętych wysokimi balustradami schodach rzucało się na nas ledwie po kilku, a my byliśmy Nocnymi Wędrowcami, więc wkrótce przed wrotami leżała sterta bezgłowych ciał.

W górze toczyła się bitwa Czyniących i płonęło niebo.

Tu, na dole, żywi walczyli z umarłymi.

Ulf potrzebował czasu.

My potrzebowaliśmy sił.

Najpierw zginął Warfnir. Umarły skoczył z boku na balustradę, a mój brat Nocny Wędrowiec pchnął go mieczem i to był błąd, bo tamten chwycił za ostrze i ramię Warfnira, a potem wyciągnął go zza balustrady z taką siłą, że wyrzucił go w powietrze. Kiedy Warfnir upadł, zaczęli go rąbać, a ja ryczałem z wściekłości i bólu, ktoś trzymał mnie za pancerz, chciałem biec mu na pomoc, choć było za późno. Na wszystko za późno.

Miałem czerwoną mgłę przed oczami i chciałem tylko krwi i śmierci, rzuciłem płasko tarczą tak, że wbiła się jednemu w szyję, choć nie ścięła mu głowy, a ja ciąłem, trzymając miecz oburącz, i powaliłem dwóch, odrąbując im najpierw ręce, a potem głowy, zanim pozostali Nocni Wędrowcy wciągnęli mnie do tyłu i zasłonili tarczami.

Nagle umarli coś poczuli, bo wydali z siebie przeraźliwy wrzask i natarli do przodu z furią, rąbiąc na odlew, i wtedy widziałem, jak Grunaldi przeleciał przez balustradę cięty przez bok, a Snop na drugą stronę, z twarzą całą zalaną krwią. I zostałem na nogach jeszcze tylko ja, Sylfana, którą pchałem plecami do tyłu, żeby zamknąć ją w wieży, a po bokach Benkej i Spalle.

Ledwie hon piechoty, a teraz nawet nie to. Czworo.

I wtedy to się stało.

Do trzasku i grzmotu płonącej na niebie kuli już przywykliśmy, lecz nagle rozległ się potworny łomot, od którego Lodowy Ogród zaczął drżeć w posadach. Dosłownie trzęsła się ziemia. Od północnej strony strzeliły w górę następne rzeki ognia i blasku, jak zorza polarna, mieniące się różnymi barwami rozedrgane pasma, które połączyły się trzeszczącą przeraźliwie błyskawicą z kulą na niebie, a za chwilę w potwornym łomocie słońce Czyniących rozpadło się po całym niebie i nad miastem stanęło gigantyczne, utkane z oślepiającego blasku drzewo, które zaraz znikło.

W trakcie kiedy to się działo, wszyscy stali nieruchomo i patrzyli w niebo. Pamiętam, że pomyślałem o nadchodzącym końcu i że włożyłem rękę do kieszeni, gdzie namacałem ostatni raz kulę życzeń. Pomyślałem, że chciałbym, abyśmy wszyscy usiedli razem przy stole, tak jak wtedy, gdy przybyli Ludzie Ognia, i żeby było jak dawniej. I w tym całym huku, blasku i łomocie wydało mi się, że moja kula życzeń staje się miękka jak wosk.

Tak mi się wydawało.

Zapadła wszechobecna cisza, w której słychać było, jak z okien sypie się kryształ, a martwi znieruchomieli, po czym zaczęli walić się bezwładnie na ziemię. Padali na ulicach z brzękiem zbroi i hełmów, sypali się z murów.

Siedliśmy na schodach, wsparci o siebie nawzajem, upuszczając z brzękiem miecze, które wypadły z bezwładnych dłoni, i siedzieliśmy tak długo.

A wokół trwała cisza. Sylfana spojrzała na mnie i krzyknęła: „Ulf!”, więc popędziliśmy do klatki i puściliśmy wodę na koło.

Tylko że ja już wiedziałem.

Na górze drzwi nie były zamknięte. Wystarczyło je pchnąć.

Na wielkim tarasie wiał wiatr, gwiżdżąc w rogach wieży, i widać było stąd całe miasto. Poza tym nie było tu nikogo.

Tylko plama sadzy pomiędzy słupami. Plama sadzy.

Nic więcej.

Zostawiłem Sylfanę klęczącą w popiele i podszedłem do parapetu.

Patrzyłem na potrzaskane dachy i słupy dymu sunące w niebo.

Wieża po północnej stronie straciła hełm i wydawała się martwa.

Łeb gada patrzył nieruchomo przed siebie, a z pyska sączył mu się dym.

W porcie zniknął wir wody i wiatru podtrzymujący kamienny dysk, tylko amitrajskie galery kołysały się leniwie, lecz nikt nie napinał na nich katapult. Wojsko stało na placach targowych, niektórzy siadali na ziemi i nikt nie szturmował muru oporowego. Trwała straszna cisza, słyszałem, jak dzwoni mi w uszach od huku, w którym żyłem tak długo.

Czarne chmury zaczęły się rozchodzić i odpływać gdzieś na północ, a potem wyszło zwykłe słońce i pokazało się błękitne niebo.

A oni odeszli. Nie było już Nahel Ifrii ani króla Węży, nie było mistrza Fjollsfinna, robiącego cuda z lodu, ani po stokroć nie było Ulfa Nitj'sefniego, Nocnego Wędrowca.

A potem z błękitnego nieba zaczął sypać śnieg. Dziwny, nienormalny śnieg w środku lata, który nie topniał i miał niebieskawy kolor. Widziałem przedtem śnieg, ale wtedy wyglądał zupełnie inaczej. Zrozumiałem wówczas, że to jest taki śnieg, po którym rodzi się nowy świat, a stary ulega zapomnieniu.

– Kiedy odchodziłem – powiedziałem Sylfanie klęczącej w popiele z pochyloną głową – powiedział: „Pamiętajcie o mnie".

– Ja nigdy nie zapomnę – odparła głucho.

– Spójrz – rzuciłem miękko. – Martwy śnieg.

Uniosła oczy pełne łez.

– Więc nawet to stracę? Nawet nie będę pamiętać?

– Nie wiem – rzekłem wtedy. – Tak mówią, ale skąd można wiedzieć?

– Zostaw mnie samą – poprosiła.

Na dole znalazłem Grunaldiego leżącego obok schodów, a także Snopa. Był przytomny, choć pod hełmem miał ranę długą na kciuk i opuchniętą twarz.

Grunaldiego położyłem obok Warfnira i usiadłem przy nich. Warfnir był pocięty tak, że nie dawało się go rozpoznać, a wspaniały strój, o który zawsze tak dbał, cały przesiąknął krwią.

Grunaldi jęknął.

Skoczyłem do niego i zacząłem rozpinać przecięty pancerz. Pod spodem miał pełno krwi, ale rana zaczynała się na boku i wychodziła plecami, tylko że nie wypuściło mu kiszek ani nie dostrzegłem w niej przerąbanych żeber.

Przekręcił się na bok i wypluł sporo krwi na kamienie.

– Plujesz z płuc? – zapytałem przerażony.

– Oddycham normalnie, to chyba nie. Ale wybili mi ząb. Tamto... się zaszyje, ale ząb nie odrośnie.

Martwy śnieg osiadał wokół nas i przykrywał wszystko, a ja traciłem to, co przeżyłem do tej pory. Nie był zimny i sprawiał, że chciało się spać.

Rozdział 15

Pojedynek na Wyspie Śmierci

W początkach świata za czasów Ymira
ni piasku, ni morza, ni chłodnych bałwanów,
nie było ziemi i nie było niebios,
ni traw nie było – lecz czeluść otchłani.

Aż Bura synowie wydźwignęli ziemię
i Midgard sławny pobudowali,
słońce południa ogrzało głazy
a bujnym kwieciem okryły się pola.

(Wieszczba Wölwy – Völuspá)

Twarz w zimnych, mokrych kamykach.
Słonych.

Szum morza w uszach, chłodne liźnięcia piany i wody, która cofa się, grzechocąc kamykami, i próbuje zabrać ze sobą moją prawą nogę.

W porządku.

Reasumując: leżę twarzą do dołu na plaży z otoczaków w samym przyboju i myślę.

To już coś.

Nic mnie nie boli. Mam wszystkie zęby. Poruszam palcami, a potem nogami i wiem też, że mam władzę w ciele. Mam też na sobie ubranie – mokre, lecz to jest zjawisko odwracalne.

Mam też coś w ustach. Owoc. Suszona śliwka. Trochę dziwna w smaku, upchnięta w kieszeni policzka. Jakby musująca, trochę kwaśnawa i słodka, z wędzonym posmakiem. Przynajmniej natychmiast nie umrę z głodu.

Teraz zobaczmy, czy potrafię wstać.

Wstaję, nad głową szare niebo, pod stopami szeroka czarna plaża z miliardów owalnych kamyków, ciągnąca się płaskim zboczem z lewej, za mną i przede mną. Z prawej morze, takie jak wszędzie, trochę ponure i ołowiane w barwie, ale, powiedzmy, nawet Jadran nie zawsze jest turkusowy, Morze Karaibskie też nie.

Teraz hipotezy robocze obejmujące zagadnienia: „Gdzie jestem?” oraz „Co się dzieje?”.

Umarłem.

To na później, bo ta teoria jest nieweryfikowalna. Co ja zresztą wiem o umieraniu.

Gdzieś mnie teleportowało.

Ponieważ nie wiadomo, gdzie i dlaczego, również zajmiemy się tym później.

To jakaś wysepka w archipelagu Kanarów albo Karaibów, a ja jestem wariatem, któremu się to wszystko przyśniło.

Zresztą czarny piasek występuje też... pomyślmy.

Na Bali?

To stanowczo nie jest Bali.

Czy mam amnezję?

Nazywam się Vuko Drakkainen. Skoro pamiętam nazwisko...

Midgaard.

Ludzie Ognia.

Lodowy Ogród.

Kireneni. Moi ludzie. Wojna. Wieża Szeptów, kopuła piorunów. Tak.

Moja wina.

Znajduję się więc na jakiejś wyspie w związku z rozładowaniem zasobów czynnika magicznego Lodowego Ogrodu, a także osobistych zapasów naszej pary uczonych, co zaowocowało nie wiadomo czym. A to cofa nas do punktu wyjścia.

Przy takiej ilości magicznej energii to równie dobrze może być Bali.

Wchodzę w głąb wyspy, żeby zorientować się w rozmiarach lądu. Podręczniki surwiwalu zalecają wspiąć się na najwyższe wzgórze, ale tu nie ma najwyższego wzgórza. Środek wyspy jest lekko wysklepiony, jednak nie zasługuje na aż tak dumną nazwę. Wzgórze to jest coś. Wzgórza umieszcza się na mapach, a cała ta wyspa byłaby zaledwie kropką.

To tylko hałda czarnych otoczaków pośrodku posępnego morza.

Oprócz tego nie ma tu nawet patyka. Żadnych plastikowych butelek na brzegu, więc to prawdopodobnie nie jest Ziemia.

Stąpam po kamykach, chlupie mi w butach, ale im jestem wyżej, tym większy fragment lądu obserwuję. Okrągła wyspa w kształcie soczewki, średnicy około półtora kilometra, obramowana na biało pianą przyboju.

Żadnych mew, żadnych krabów, w ogóle nic.

Najbardziej przypomina mi to tutejsze wierzenia. Na Wybrzeżu Żagli ludzie sądzą, że po śmierci żeglują w swoich pogrzebowych łodziach przez morze płomieni na taką właśnie wyspę. Wysiadają na brzegu, a potem przypływa drugi taki sam, bowiem morze płomieni rozdziela duszę na dwa aspekty. Dobry, serdeczny, honorowy, uczynny, mężny i tak dalej oraz na aspekt zły: zawistny, egoistyczny, chciwy, fałszywy, okrutny. To ten sam człowiek w dwóch postaciach, które muszą stoczyć ze sobą walkę. Kruczek polega na tym, że każda postać zależy od tego, ile takich aspektów czcigodny zmarły w sobie mieścił. Jeśli za życia był zdeklarowanym sukinsynem, to jego dobra strona wystąpi jako chuderlawy karzełek bez większych szans w konfrontacji. A od tego pojedynku zależy dalszy los delikwenta. Niebiańskie łąki lub dziedzina demonów.

Tamta wyspa tak właśnie miała wyglądać. Nic, tylko morze i czarny piasek.

Staję pośrodku i może nie widzę dokładnie całego brzegu dookoła wyspy, ale wszędzie majaczy mi morze, przynajmniej granatową obwódką nad czarną połacią wysypaną otoczakami.

Rozglądam się długo, choć tu naprawdę nie ma na co patrzeć. W życiu nie widziałem bardziej przygnębiającego krajobrazu. Dosłownie nic.

Nic pośrodku niczego.

Nic na niebie, nic na morzu, nic na wyspie.

Nic.

Po jakimś czasie dostrzegam jednak na brzegu jakiś znikomy punkcik, który nie jest usypiskiem otoczaków ani falą. Taki przecinek niewiadomej wielkości, bo tu nie ma żadnych punktów odniesienia. Równie dobrze to może być pingwin albo półmetrowy słupek.

Przecinek zaczyna jednak rosnąć i wtedy dochodzę do wniosku, że to sylwetka człowieka. A zatem to mój zły aspekt, z którym mam stoczyć mistyczny pojedynek. Albo dobry aspekt, skąd mam wiedzieć. Dość, że będziemy się bić.

Na pięści, jak sądzę, bo nigdzie tu nie widać pistoletów. Ewentualnie możemy rzucać w siebie kamyczkami. Niewiele to da, bo są wielkości skąpego hotelowego mydełka, więc pojedynek może się przeciągnąć.

Nie chce mi się.

Przez ostatnie tygodnie nic innego nie robiłem. A na koniec jeszcze rzucałem błyskawice gołymi rękami i jestem wykończony. I właściwie nie rozumiem, dlaczego miałbym iść do tutejszego raju albo piekła? Ja jestem przyjezdny. Powinienem zażądać przekazania pod właściwą jurysdykcję.

Przecinek nabiera coraz wyraźniej ludzkich kształtów i widzę, że wspiera się na jakimś kiju czy tyczce. Niedobrze, co to za sąd boży, kiedy tamten idzie z tyczką? Ja też chcę tyczkę.

Po chwili dostrzegam jeszcze jedną sylwetkę, nadchodzącą z drugiej strony, a potem jeszcze jedną z czwartej strony świata. Nic mi nie jest wiadomo, żebym miał aż tak skomplikowaną osobowość. Cztery aspekty? Dobry, zły... i co? Brzydki? I jeszcze średni? Co to jest?

Nawet nie wiem, czy stworzymy drużyny, czy wszyscy na jednego? Czy każdy z każdym?

Po chwili widzę jeszcze jedną postać, nawet całkiem niedaleko. Klęczącą postać kobiety, która przesypuje w dłoni kamyki. A pewnie, co tu można robić innego.

Idę w jej stronę, brnąc w otoczakach, bo do niej mam najbliżej. Tamci też nadchodzą, ale są jeszcze daleko.

Gdy słyszy chrzęst żwiru pod moimi stopami, podnosi głowę i wszystko staje się jasne.

– Dzień dobry – decyduję się na angielski, bo po hiszpańsku umiem wydukać ledwie parę łamanych zdań. Patrzy na mnie z osłupieniem.

– Gdzie ja jestem?

– Nie mam pojęcia. – Rozkładam bezradnie ręce. – Chyba na Midgaardzie.

– Kim pan jest?!

– Przyleciałem po panią.

– Proszę nie podchodzić! To pan mnie uwięził! Podał mi pan narkotyki! Robił pan na mnie eksperymenty! Zabił pan moje dzieci!

– Powoli, proszę pani. To była kwarantanna. Konieczna, bo robiła pani niekontrolowane cuda. Mogła pani skrzywdzić siebie albo innych.

Wlepia we mnie wzrok i nagle ma szklane, nieprzytomne oczy z jakimiś sztywnymi, zwężonymi źrenicami i już widzę, że z nią niedobrze.

– Odejdź, świnio! Co ty możesz wiedzieć o krzywdzie! Wszyscy jesteście tacy sami!

Chyba nici ze wspólnych połowów małży.

Tamci są coraz bliżej. Widzę drobne sylwetki. Dwie skryte w płaszczach z kapturami, wyższa i niższa, oraz ten z tyczką, która okazuje się mieć u góry rozszerzenie i wszystko wskazuje na to, że to włócznia. Włócznia Głupców.

Zrobił sobie kolejną.

Wywołuję Cyfral.

Nic z tego. Zupełnie nic. Usiłuję przejść w tryb bojowy, tak jak to robiłem, kiedy jeszcze go miałem, i też nic.

A tamci nadchodzą.

Jeden z dzidą, co oznacza, że każdy ma coś przy sobie. Skoro van Dyken niesie włócznię, to znaczy, że chyba wszyscy wraz ze mną nie trzeszczą od czynnika M. Jedna z sylwetek przyspiesza i zmierza do mnie truchtem. Ta większa, w kapturze.

Fjollsfinn.

Dobiega zasapany, bo grzęźnie w kamykach, i staje o kilka metrów.

– Co... co się...?

– Później, Olaf. Zdaje się, że to dalszy ciąg. Na neutralnym terenie. Najważniejsze: czy masz cokolwiek przy sobie? Coś ci zostawili?

Wkłada rękę do kieszeni płaszcza i wyjmuje coś szklistego w kształcie rekordowej marchwi.

– Mam sopel.

– Sopel... To świetnie. Ja mam śliwkę.

– Proszę?

– Suszoną – mówię i przesuwam śliwkę z jednego policzka do drugiego. – Natomiast van Dyken ma Włócznię Głupców. Opowiadałem ci. Samonaprowadzająca i tropiąca magów. Freihoff diabli wiedzą co, pewnie pepeszę. Callo też coś ma, ale pewnie nie wie co. Nie da się z nią dogadać.

– To chyba nie jest zwykła śliwka, co?

– Nie, jasne, że nie, ale ile czynnika może być w śliwce? Pomyśl. Twój sopel waży przynajmniej z pół kilograma.

– Włócznia Głupców jest jednorazowa, prawda? Zabija jednego maga? Myślę, że tu jest klucz. Zostawili nam coś, co pozwala na jednorazowe działanie.

– Mam w ustach śliwkę – cedzę z rozpaczą. – Jednorazowe działanie? Przeczyszczające?!

Staję do boju zbrojny w śliwkę. Tego jeszcze nie było.

Podchodzą i już nie ma czasu na nic.

Van Dyken patrzy na mnie z politowaniem, obracając lekko grot w moją stronę.

– Drakow. Niezniszczalny Fin.

– To ten?! – pyta Freihoff.

Jest wysoką, chudą blondyną, ostrzyżoną niemal na łyso tak, że włosy przypominają szczecinę, o jakiejś zaciętej, nieprzyjemnej twarzy, z krótkim nosem, tak zadartym, że przez dziurki widać jej potylicę.

– To przecież jakiś męski prymityw. Co to za problem? Przysłali jakiegoś tępego mięśniaka, nikt nie będzie po nim płakał.

– Przepraszam, ale przysłano mnie, żeby wam pomóc. Mam was ewakuować.

– Co?! Jak śmiesz! Jakiś durny macho z ogolonym łbem?! Na kilometr śmierdzący faszystowskim trepem?!

– Przestańcie! – Callo zaczyna dygotać i przyciska pięści do skroni.

– Zamknij się, histeryczko!

Cały czas patrzę im na ręce, ale przede wszystkim van Dykenowi. On mnie lekceważy. Muszę się zachowywać głupio. Bezmyślnie. Uśmiecham się szeroko.

– Proszę się nie denerwować. Mogę państwa zabrać do domu. Mogę wezwać prom. Po to mnie przysłano.

– Więc trzeba było na niego poczekać i wsiąść grzecznie, zamiast wtrącać się do tego, co robią mądrzejsi od ciebie. Mogłam tu zbudować społeczeństwo oparte na prawdziwej równości! Mogłam wszystko, ty durna świnio! To jedyna planeta w kosmosie, która pozwala świadomej jednostce kształtować rzeczywistość! Tu lepszy świat jest na wyciągnięcie ręki, a ty chcesz mnie stąd zabierać?

– Jeszcze chcesz edukować tubylców? – wtrąca się Fjollsfinn. – Ciągle ci mało? Chłepcesz tę krew czy jak? Wiesz, że masz nie po kolei w głowie?

– Zamknij się! – drze się Freihoff. – Zamknij się, ty oślizły moralisto z gębą pełną spleśniałych frazesów! Zamknij się albo cię zabiję, tym razem na dobre.

– Nie trać czasu – cedzi van Dyken, oblizując nerwowo wargi. – To teraz jest właściwa konfrontacja. Szansa, którą dają nam nadświadome byty! To się jeszcze nie skończyło.

– Tylko nie znowu przemoc! – wyje Passionaria. – Przestańcie! Przestańcie wreszcie zabijać! Tam były dzieci! W tamtej wiosce!

– Niech ona się zamknie – warczy van Dyken, unosząc włócznię. – Zamknij jej pysk!

– To jest dziejowa konieczność – krzyczy Freihoff. – Całe życie się mażesz! Nie zmienisz świata, głaszcząc ludzi po główkach. Jeśli chcesz nauczyć ich żyć prawidłowo, musisz ich zmusić, musisz mieć bat! Oni są głupi! Potrzebują, żeby bardziej świadomi trzymali ich za pysk! Gdybyś widziała tyle niesprawiedliwości i nierówności co ja, tobyś zrozumiała. Tylko to zatrzyma wyzysk! Tylko to zatrzyma przemoc! Tylko to może ich zmusić do szanowania mniejszości, słabszych i upośledzonych! Tylko bat! Są źli i głupi, ty szkodliwa kretynko! Jeśli chcesz, żeby się dzielili, tylko bat! Inaczej zagarną wszystko pod siebie! Wszystko zeżrą! Są nieświadomi i tylko tak możesz ich nauczyć!

Passionaria zatyka uszy.

– Przestań! Przestań! Przestań!

– Nie potrzebuję przemówień do byle kogo. I nie potrzebuję mocy piorunów. – Van Dyken unosi drzewce na wysokość barku i lekko odchyla ramię. – Ty, Drakow. Wyciągaj wszystko z kieszeni i kładź na ziemi.

– Co ty robisz? – Freihoff chowa dłoń pod swój pustynny płaszcz.

– Wyrównuję szanse – odpowiada van Dyken i jeszcze bardziej odchyla rękę, biorąc lekki zamach. – On też na pewno coś ma.

– Nic nie mam – wyjaśniam ze szczerym uśmiechem. – Tylko śliwkę. Akurat miałem ją w ustach, kiedy mnie porwało.

– Nie podchodź do niego – woła Freihoff. – To pieprzony Rambo.

– Nie potrzebuję podchodzić. Mam włócznię. Widziałeś, jak działa, co? Rambo? Nawet nie kwiknąłeś. Na nic twoje karate. Trzymaj ręce na wierzchu. A co ty masz, Fjollsfinn? Oprócz makietki na głowie?

– Mam sopel. – Norweg wyjmuje z kieszeni sopel.

– Teraz widzisz, po czyjej stronie są nadświadome byty? – krzyczy tryumfująco van Dyken. – Sopel i śliwka! To żart! Skończmy to!

Freihoff, znana też jako Nahel Ifrija, wyciąga coś, co wygląda jak krótka metalowa pałka albo okrętowy nagiel. Znajomy kształt. Zdejmuje lśniącą pochwę i macka żagiewnicy zaczyna się rozciągać do ziemi, pulsując jadem i neonowymi kolorami.

– Któryś z nich, pewnie ten zasrany pastor, bo trepa nie podejrzewam, przysłał mi skrytobójcę – syczy. – Przeprowadził moją flotę przez te zasmarkane wyspy śmierdzących dzikusów, ale potem próbował mnie zabić. Od tamtej pory się z tym nie rozstaję. Ta męska świnia próbowała mnie pchnąć szklanym sztyletem.

Passionaria Callo przygląda nam się rozszerzonymi oczami, a potem odpełza tyłem, patrząc to na bicz, to na włócznię. Ciekawe, czy wie, że będzie w razie czego następna?

– Szkoda, że można jej użyć tylko raz – żałuje van Dyken, jakby słyszał moje myśli.

Passionaria zaczyna wrzeszczeć. Wpija palce we włosy i krzyczy jak opętana, a wokół niej kamienie zaczynają się poruszać, kręcić, w końcu wznosić jak małe, grzechoczące czarne tornado, które osłania Callo wirującym walcem otoczaków.

Efektowne, pomysłowe, bez przyszłości.

Pejcz z macki toksycznego morskiego stwora oraz samonaprowadzająca wybuchowa włócznia kontra suszona śliwka i sopel lodu. Koniec zakładów!

Nahel Ifrija strzepuje nadgarstkiem, macka rozwija się na półtora metra i spada z mokrym plaśnięciem na kamyki, a potem zostaje poderwana w powietrze. Prorokini drobi tanecznym krokiem, wywijając macką nad głową. Parzydełko rozciąga się prawie na trzy metry, wiruje z miarowym

wizgiem, ale ten ciągły obrót jest niepotrzebny. Nie dodaje energii, a męczy. Poza tym kręci nad głową prawą ręką, musi utrzymać stałą prędkość, żeby samej się nie chlasnąć, a to znaczy, że uderzy od prawego ucha do lewego biodra albo znad głowy pionowo w dół. W każdym razie trzeba wykonać unik w moje lewo i pod macką, możliwie skracając dystans. Równocześnie z prawej czai się van Dyken z uniesioną włócznią, na idiotycznie ugiętych nogach, z napiętymi mięśniami, Fjollsfinn trzyma się mojego boku, z soplem w dłoni, w odwróconym chwycie na wysokości ucha. Zamierza dziabać z góry na dół klasycznym Hitchcockiem? Lód topi się i spływa mu po przedramieniu. Chyba nie będzie z niego pożytku.

Freihoff nie jest aż tak bardzo głupia, bo zachodzi mnie z lewej, oddalając się od van Dykena z włócznią. Unosi górną wargę, jakby czuła smród, i szczerzy wielkie, łopatowate zęby.

– Nie rzucaj – syczy. Chyba dobrze oceniła zdolności van Dykena. Może chciało jej się spojrzeć, jak takie rzeczy robi jej własna armia. – Powalę go biczem i wtedy przybij go do ziemi. Później weźmiemy się za pastora.

To jest ten moment, kiedy jej źrenice się zwężają, a potem macka strzela skosem ze świstem. Robię pół kroku, ale wpadam na Fjollsfinna, który rzuca się na spotkanie Freihoff, odskakuję, żeby się nie przewrócić, parzydełko oplata Norwegowi przedramię i grzęźnie w zaciśniętej pięści. Cała dłoń i przedramię są zakute w członowaną lodową rękawicę, sięgającą aż po łokieć.

– Szybciej, Vuko... – rzęzi, a lodowy pancerz zaczyna gwałtownie parować. Freihoff skrzeczy z wysiłku i wściekłości, bezskutecznie szarpiąc pejczem.

Zwracam się do van Dykena, ten bierze gwałtowny zamach i rzuca. Włócznia frunie w moją stronę, lśniąc liściowatym grotem.

To nie jest takie znowu trudne. Kwestia techniki i treningu oraz odrobiny refleksu. Przede wszystkim trzeba się nauczyć odwrotnego chwytu. Drzewce łapiemy z kciukiem zwróconym do przeciwnika i wykrokiem prawą nogą, którą trzeba równocześnie skręcić piętą do przodu. Potem ruch bioder, piruet i rzut. Wystarczy kolega z kijem, parę wolnych popołudni i trochę motywacji. Ja mam motywację. Kiedyś jeden idiota rzucił we mnie z bliska włócznią i właściwie mnie zabił. Bo go zlekceważyłem. Dlatego ćwiczyłem długo i rzetelnie.

Trwa to mgnienie oka. Przechwytuję włócznię i odrzucam z obrotem, nawet o tym nie myśląc. A potem stoimy jak żywy obraz. Osłupiała Freihoff coraz rozpaczliwiej szarpiąca biczem, Fjollsfinn z ręką, na której pancerz topi się, sycząc i wzbijając kłęby białego dymu, i cofnięty o kilka kroków van Dyken przebity na wylot, z osłupieniem ściskający drewniane drzewce. Bondswif Oba Niedźwiedzie trafiony poprzednią włócznią zamienił się w ogniwo spawalnicze, ta zaczyna dopiero dymić. Zmodyfikował ją, chciał, żebym cierpiał. Widzę to w jego oczach, zanim zaczyna krzyczeć.

– Vuko... – rzęzi Fjollsfinn, a potem wrzeszczy, kiedy warstwa lodu robi się zbyt cienka i puszcza. Freihoff szarpie mackę, wywija nią nad głową. Uwalniam wszystkie etapy wizualizacji, które obracałem w głowie, żując swoją bezcenną, pełną czynnika M śliwkę, i spluwam w kobietę pestką.

Słyszę huk, ale nie jest to jakiś ogłuszający łomot.

Po prostu pestka od śliwki przekracza barierę dźwięku. Freihoff zatacza się, nadal obracając pejczem nad głową, odrzuciło ją o kilka kroków, ale trzyma się na nogach. Wciąż stoi z wyciągniętą w górę ręką, pejcz wypada jej na żwir. Patrzy w dół, niemrawo dłubiąc przy swojej pustynnej kapocie na piersi, gdzie zrobiła się ciemniejsza plama, bo płaszcz i tak był czerwony. Rozgarnia go z przodu i widzi mały owalny otworek w tunice. Czarną dziurkę, przez którą wypływa pulsujący strumień krwi. Patrzy na mnie z niedowierzaniem, a potem zanosi się kaszlem, a struga krwi cieknie jej po brodzie. Unosi nieprzytomne oczy, chwieje się, a potem schyla po swój bicz, właściwie próbuje, bo widzi, jak jej palce wydłużają się, rozdwajają, jak pojawiają się na nich liście, i rusza do ucieczki, stawiając koślawe kroki i zataczając się, ale nie daje rady zrobić nawet dziesięciu metrów, kiedy wrasta w jałowy czarny żwir, rozwijając zupełnie pokaźną, szumiącą koronę.

Wirująca osłona otoczaków rozsypuje się nagle z grzechotem, a Passionaria Callo pada na wznak i mdleje.

Fjollsfinn klęczy, kiwając się w przód i w tył, gryząc wargi, blady jak ściana, i wydaje się, że zaraz pójdzie w ślady Callo.

– Wybacz, przyjacielu – mówię, rozpinając spodnie. – Ale nie ma innego wyjścia. Tak trzeba.

A potem Fjollsfinn zasypia. Nagle, jakby dostał zastrzyk. Zostaję sam z dwojgiem pogrążonych w letargu i dwoma trupami. Siadam na brzegu

morza, patrząc na fale, i obmacuję bezskutecznie kieszenie w poszukiwaniu fajki, kapciucha i krzesiwka. Nic. To sugeruje, że nawet gdyby nie odłożył miecza na Wieży Szeptów, to i tak obudziłbym się na wyspie bez niego, więc nie mam co robić sobie wyrzutów.

A potem słyszę skrzypienie wózka zaprzężonego w osła. Najpierw widzę go jako ogromną, świetlistą sylwetkę wznoszącą się na tle nieba, ale z każdym krokiem, kiedy się do mnie zbliża, gigant kroczący po niebie zmienia się w cień rzucany na niebo przez małą figurkę na koźle wózka.

Oto nadjeżdża jednooki karzeł.

– Podobno na mnie postawiłeś – mówię.

Zeskakuje na żwir. Tajemnicza poświata znika bez śladu.

– Postawiłem.

– To daj mi coś do picia. I coś na ząb też nie byłoby głupie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio cokolwiek jadłem.

Rozwija czystą szmatkę, ukazując suchą, bezkształtną kiełbasę podobną do bolońskiej, wędzony ser, parę placków chleba posypanych grubą solą i jeszcze jakieś kłącza, które traktuję jako miejscowy odpowiednik cebuli. Obok znajduje się pękaty, opleciony sitowiem gąsiorek.

– Szkoda, że nie masz jeszcze nabitej fajki – zauważam z pełnymi ustami, kiedy stoi przy wózku i grzebie w koszu. Rzuca mi cygaro Cohiba zapakowane w metalową tulejkę oraz pudełko zapałek. Patrzę z niedowierzaniem.

– Nie rób takiej miny, jesteśmy poza światem, nie mam tu za wielu ograniczeń i nikt nie widzi. Technicznie rzecz biorąc, jestem jakimś jakby bogiem.

Przez jakiś czas jem i nie odzywam się, bo wydaje mi się, że to niekulturalnie mówić z pełnymi ustami. A potem zapalam cygaro i przez chwilę usiłuję sobie przypomnieć, czy smakuje, jak powinno.

– Obiecałeś mi parę wyjaśnień – przypominam.

– Obiecałem, ale wątpię, czy uczynią cię szczęśliwszym.

– To, czego nie wiem, nie daje mi spokoju.

– A to, co będziesz wiedział, nie da ci spać po nocach.

– Dobra: dlaczego jesteśmy tak podobni? Przecież to niemożliwe. Dzieli nas cały kosmos.

– To oczywiste. Jesteśmy podobni, ponieważ jesteśmy spokrewnieni. Pochodzimy z tego samego pnia. Tyle że my jesteśmy o wiele starsi. Kiedyś

większość z nas zagubiła własne ciała, a one zaczęły się zużywać, starzeć, więc musieliśmy sięgnąć po odrobinę młodszej krwi. Ci tam, na dole, są odmłodzeni, są krzyżówką nas i was. Dostali waszą młodą krew, dostali pierwociny waszych różnych kultur i świat.

– Wysłano mnie między innymi po to, żebym sprawdził, czym jest magia.

– A czym jest magia? Umiesz to w ogóle nazwać? Czym? Czymś, czego nie ma? Czy tylko czymś, czego nie rozumiesz? Dla twoich przyjaciół tam, na dole, w Lodowym Ogrodzie, wszystko, co robisz u siebie w domu, to jeden cud za drugim.

– Dobra, to było proste pytanie. Chodziło mi o to, czym jest to coś na uroczyskach?

– To resztki. Trochę zdziczałe, a trochę oszalałe resztki.

– Jakie resztki?

– Resztki dawnego świata. Tym żył i z tego się składał. I to go zniszczyło. Jeśli możesz zrobić, cokolwiek chcesz, praktycznie z niczego, to po co się rozwijać? Po co robić cokolwiek? Zwykłe rzeczy możesz mieć bez wysiłku, a niezwykłe możesz robić na taką skalę i mogą być tak szalone, że stwarzają niebezpieczeństwo.

– Ale czym to jest?

– Masz w głowie słowo wytrych. Zaklęcie. Masz wiele takich słów, które są jak skrzynki. Wrzucasz do nich różne rzeczy, zamykasz i masz to rozwiązane. Więcej o tym nie myślisz. Teraz je wypowiem, a ty zamkniesz sobie coś w skrzynce i dasz mi z tym spokój. To, co zwiemy pieśniami bogów, to mnemosterowalne nanowektory. Zadowolony?

Milczę. Mam w głowie skrzynkę. Zamkniętą.

– Sterowane myślą...? Czyli cokolwiek strzeli mi do głowy...

– Już nie. Kiedyś tak było i doprowadziło do katastrofy. Dlatego jest blokada. Martwy śnieg. I warunki brzegowe zwane Pieśnią Ludzi. Dopóki umiesz się w nich zmieścić, dopóki umiesz myśleć tak precyzyjnie, żeby zostać zrozumianym, tak. Cokolwiek wymyślisz w tych warunkach, może się stać. O ile masz te nanowektory. A właśnie je wypaliłeś prawie z całego Wybrzeża Żagli. Co to miało być?

– Przede wszystkim próba zniszczenia Czyniących. Za wszelką cenę.

– Dopiero tu ich zniszczyłeś. Na Wyspie Śmierci. Ale jeśli to jest to, co chciałeś uzyskać, to uzyskałeś.

– Nanotechnologia sterowana umysłem. Jezu... Jeśli to wpadnie im w ręce...

– Logiczny wynik rozwoju technologii. Ciągłego rozwoju. Daj mu trochę czasu, a da podobny efekt. Coś z niczego. Cokolwiek z czegokolwiek. To nieuniknione. Magia? Każda technologia to magia. Wszystko zależy od punktu odniesienia.

– Właśnie o tym myślę. O ludziach, którzy nigdy nie chcą się zatrzymać. O Czyniących z Ziemi. Tu było tylko czworo. Tam jest dwanaście miliardów.

– Myśleli w sposób, który sprawił, że nikt nie umiał im dorównać.

– To dlatego trzymacie cały świat w średniowieczu? Żeby nie umieli sformułować rozkazu?

– Nie tylko. Żeby nie uruchomili z czasem własnego rozwoju. Wynik może być tylko jeden. Raz się tak stało i wystarczy.

– A kim wy jesteście? Kim ty jesteś, Kruczy Cieniu?

– Ja? Ja jestem głupcem. Niedorozwiniętym umysłowo i emocjonalnie. Nudzą mnie normalne sprawy dojrzałych osób. Jestem na to za głupi. Dlatego tęsknię do świata materialnego, w którym ma się ciało, są tylko dwie płcie, żeby żyć, trzeba jeść, a żeby jeść, trzeba zdobyć i przyrządzić. Gdzie ludzie mają proste potrzeby i radości. Fizyczne. To są sprawy imbecylne, ale tylko takie mnie cieszą. Więc schodzę między ludzi i bawię się. Gram. U was też są tacy, którzy nie dosięgają intelektualnie do pozostałych. I też daje im się proste zajęcia, które dla reszty nie mają znaczenia. Tu są dwa światy. Ten, w którym przechowujemy pamiątki po swojej fizycznej prezencji. Oraz ten prawdziwy, którego nie zobaczysz, bo jest informacją unoszącą się w atmosferze i przenikającą planetę.

– Jesteś informacją?

– Ty też jesteś informacją. Kwestia nośnika. To może być białko, ale może i chmura odpowiednio spolaryzowanych atomów unoszących się w atmosferze w asyście nanowektorów. Ja wolę białko, bo jestem głupkiem. Życie oparte na białku wydaje mi się prawdziwsze niż oparte na zapisie informacji. Bardziej autentyczne.

– Skoro twoi pobratymcy nie interesują się białkiem, to po co jest ta kultura tam, na dole?

– Akurat kultura została kiedyś opracowana jako bazowa na podstawie waszych kultur. Mogłaby być jakaś inna, ale ta się sprawdza i podobała się

takim jak ja. Bawi nas. A istoty, nośniki, są utrzymywane na wszelki wypadek. Dlatego że kiedyś uległy częściowemu zniszczeniu i zaczęły się zużywać. Z sentymentu. Albo na zapas. No i dla zabawy takich jak ja głupków.

– Ludzie tam cierpią, walczą, umierają, kochają...

– Dlatego mi się to podoba. Jest autentyczne. Żarliwe. Też tak chcę.

– A jak wydostałem się z drzewa?

– Nie chcesz tego wiedzieć. Naprawdę. Daj sobie spokój.

– Muszę.

– Nie wydostałeś się. Umarłeś tam. Trzeba było zrobić nowy nośnik.

Milczę prawie pięć minut. Dobrze byłoby powiedzieć, że zbieram myśli albo coś porządkuję, ale tak naprawdę patrzę na morze, a w głowie mam pustkę. *Blue screen*. Obraz kontrolny.

– Jestem kopią?

– Jesteś, czym jesteś. Istota jestestwa to jest coś wyżej niż nośnik i informacja.

– Ile będę jeszcze żył? – Sam nie wiem, dlaczego o to pytam. Chyba z szoku.

– Tyle, ile będzie żył nośnik. Białko, nanowektory. Lepiej stąd nie odlatuj.

– Dlaczego?

– Normalnie nanowektory nie mogą żyć poza atmosferą Midgaardu. Z drugiej strony czegoś takiego jak ty dotąd nie robiono. Jesteś krzyżówką i nigdy nic nie wiadomo. Najprawdopodobniej nastąpi rozpad.

– Uchroniłem ich przed martwym śniegiem przynajmniej?

– Nie. Ale działanie zostało zmodyfikowane. Pewne postulaty wzięto pod uwagę. Pewne wysiłki należało docenić. Dość już pytań. Śpij.

Zasypiam natychmiast, na siedząco.

Budzę się na Wieży Szeptów obok leżącego nieopodal Fjollsfinna i Callo.

Jakiś czas siedzimy na wieży i patrzymy na miasto. Passionaria kołysze się tylko, obejmując własne kolana, i milczy.

Schodzimy na dół, potem jedziemy windą, ale nie zamykamy Passionarii w celi. Tam nie ma już światła, systemy, które były oparte na magii, nie działają. Trzęsie się apatycznie i cały czas powtarza, że jest jej zimno.

Odprowadzamy ją do zwykłej komnaty na Górnym Zamku, jedynie zamykamy na klucz.

Potem idę na miasto poszukać moich ludzi. Jest dziwnie. Niczym w gorączkowym śnie. Spotykam Węży i amitrajskie wojsko, pętają się gdzie popadnie, jak zombie. Zaczepieni powtarzają, że tu nie jest ich miejsce i że muszą wracać do domu. Recytują coś, co chyba jest tą Pieśnią Ludzi. Równocześnie wszędzie mieszkańcy usuwają zniszczenia. Słychać młoty, gruz i zniszczone rupiecie są ładowane na wozy, niektóre gospody zostają otwarte. Nie mogę nikogo znaleźć, plączę się w tłumie wśród Amitrajów, Węży, Kirenenów, także Ludzi Ognia. Ci też bredzą o powrocie do domu i szukają swoich statków. Nikt mnie nie rozpoznaje. Czuję się jak jedyny obudzony wśród lunatyków. W gospodach ludzie pamiętają walki, wiedzą, że przed chwilą skończyła się wojna, ale jakoś tak wybiórczo. Jakby nie bardzo pamiętali, z kim i o co. W końcu docieram do portu, gdzie na targowiskach sprzątane są szczątki i resztki, a równocześnie mieszkańcy zbijają pośpiesznie nowe stragany, używając do tego elementów z drabin oblężniczych, a pomiędzy nimi snują się byli napastnicy brnący na swoje okręty. To jakiś dom wariatów.

Dziewczyna siedzi na samym końcu pirsu, przy zburzonym częściowo przysadzistym donżonie, który chronił mechanizmy łańcucha blokującego dostęp. Siedzi i kiwa się, patrząc w morze, okryta moją zapasową kurtą, o wiele na nią za dużą. Widzę pochyloną głowę i długie czarnogranatowe włosy spadające jej na plecy. Milczy i kołysze się, patrząc w horyzont.

– Wróciłem – mówię.

Zrywa się na równe nogi, a potem osuwa na pogruchotaną skałę ściany donżonu i zaczyna rozpaczliwie szlochać. Łka tak strasznie, że czuję, że zaraz serce mi pęknie. Na zmianę wczepia się we mnie i okłada pięściami, żeby po chwili obejmować mnie z całej siły. Długo tak siedzimy, zanim się uspokoi.

Potem prowadzę ją ostrożnie, jakby była z kryształu i miała się w każdej chwili potłuc, na Górny Zamek, do kwatery Nocnych Wędrowców, by tam trafić na stypę. Moją, Warfnira i N’Dele. Niektórzy mnie pamiętają.

Dobrze czasem wiedzieć coś takiego.

Gród staje na nogi szybciej, niż można by przypuszczać. Budynki odlane z bazaltu niemal półmetrowej grubości to właściwie bunkry, więc

zniszczenia są mniejsze, niż się z początku wydawało. Ale tam, gdzie budowle ucierpiały najbardziej, stukają młoty kamieniarzy, miesi się zaprawę w stągwiach, a cieśle wznoszą krokwie. Koniec z cudami i temu podobnymi rzeczami. Fjollsfinn sarka na to, ale ja jestem zadowolony.

– Tak jest znacznie zdrowiej – mówię mu. – Jesteśmy ludźmi i postępujmy jak ludzie. Jak wszędzie będziesz miał na skróty, to w końcu w ogóle przestaniesz chodzić.

On jednak najbardziej cierpi z powodu okien. Nie wszystkie w twierdzy wyleciały, ale żal mu tych kryształowych. Widok napiętych na listewkach rybich pęcherzy w jego własnym mieście jest dla niego jak policzek. Cierpi też z powodu zgruchotanych witraży w miejskich chramach i w końcu w podziemnych fabrykach powstaje huta szkła.

Czas, w którym mamy takie idiotyczne problemy, jak brak kolorowego szkła, jednak wydaje się rozkoszny i jakiś jedwabisty, że wszyscy żyjemy jak w półśnie. Oszołomieni i ogłupiali.

Niby nie używaliśmy magii na co dzień, ale jakoś jej brakuje.

Świadomości, że gdzieś tam jest.

Jadran nie mówi. Poznaje mnie, parska przyjaźnie, ale teraz to zwykły koń. Zwierzę. Jeżdżę na nim, karmię go, czyszczę sierść, ale kiedy przytulam czoło do rezonatora, nie słyszę ani słowa.

Nadchodzi jednak czas, w którym trzeba podjąć jakieś decyzje. Lato się wypełnia.

Długo obaj dusimy to w sobie. I ja, i on wychodzimy na wieże popatrzeć na miasto. Myślimy.

Podczas wieczornych spotkań są takie chwile, kiedy obaj milczymy, patrząc w szkło albo płomienie na palenisku, albo na rzędy figur szachowych, i właśnie wtedy o tym nie rozmawiamy. Ja nie pytam, a on nie odpowiada.

Jemu najbardziej brakuje lodowego ogrodu za murami, eksperymentów ze stabilnym lodem, dziwnych laboratoriów, gdzie posługując się nanowektorami, usiłował wyhodować coś podobnego do ziemskich roślin. Tchnienia tajemnicy, która kryła się w mocach uroczyska. Czegoś z pogranicza alchemii.

Potem nadchodzi dzień, kiedy odwiedzam go w jego przeszklonej komnacie, do której wstawił świeżutkie sześciokątne okna, prosto z nowej

huty, na razie nie idealnie przezroczyste, zielonkawe i pełne bąbelków, ale zawsze lepsze od rybich pęcherzy, i zastaję tam puste palenisko.

Pusty fotel i złożone do puzdra szachy.

Pierwsze, co widzę już po chwili, to kartka trzcinowego papieru na okrągłym stoliku pod biblioteką, tam gdzie stało ziarno. Migotliwy karbunkuł urągający grawitacji i stojący na sztorc na węższym końcu.

Teraz kryształu nie ma, a zamiast tego jest czarny otoczak przyciskający kartkę.

Dogadałem się z Jednookim. Lodowy Ogród jest teraz Twój.

F.

Nie wiem, dlaczego to zrobił. Może żeby mnie nie kusiło? Przecież mu obiecałem. Może chciał znaleźć miejsce, gdzie magia ocalała? A może nie chciał mnie zatrzymywać, gdybym postanowił wracać? Nie wiem.

Potem bardzo często mi go brakowało.

A po jakimś czasie nie można już dłużej zwlekać. To nie przypomina wyprawy wojennej, chociaż zabieramy broń. Tu się broń po prostu nosi. Na wszelki wypadek.

Biorę Nocnych Wędrowców, ale nie mamy naszych maskujących strojów ani wymyślnych pancerzy.

Passionaria Callo, mimo że puszczaliśmy ją już pod dyskretną obserwacją do miasta, najczęściej siedziała w swojej kwaterze i patrzyła apatycznie w ogień. Kiedy władała magią i była Bolesną Panią, budziła zgrozę. Teraz to tylko zgaszona neurotyczka, aktualnie w fazie depresyjnej. Chuda, niełądna Hiszpanka o kędzierzawych włosach i zaciśniętych wąskich ustach. Jakoś jest mi jej żal. Któregoś dnia poszliśmy z Sylfaną na Kamienny Targ i nakupowaliśmy Callo pamiątek z Midgaardu. Trudno było dostać coś na jej rozmiar, ale wreszcie zdobyliśmy jakieś wyszywane koszule, kiecki, trochę ozdób i biżuterii, a w końcu skórzaną torbę podróżną wypalaną w oplotowe wzory. Efekt był tylko taki, że się nad tym rozpłakała.

Jedynie Filar i Benkej nie mogą znieść Callo i mimo że się nie boją, trzymają się od niej z daleka, a w czasie rejsu starali się przebywać na drugim końcu pokładu.

Mimo to podróż przypomina raczej rejs turystyczny. Przebywamy morze. Mijamy Żmijowe Gardło, gdzie zdemontowano już machiny i port

wygląda jak zwykle, szykując się na jesienny jarmark, ale znacznie skromniejszy niż zwykle. Płyniemy niespiesznie w górę rzeki, pieczemy na pokładzie mięso, gramy w deseczki.

Szumią liście, w sadach dojrzewają owoce, na brzegach rzeki nasz drakkar płoszy o świcie pijące wodę sarny czy inne daniele.

Potem cumujemy statek i wsiadamy na konie, by tak przemierzyć resztę drogi. Jedziemy bez pośpiechu, wieczorem rozpalamy ogniska, a ja coraz częściej rozpoznaję szlak i usiłuję sobie przypomnieć, jak przemierzałem go w drugą stronę, pieszo, obwieszony bronią, taszcząc siodło na ramieniu, kiedy byłem przekonany, że szukam kilkorga zagubionych naukowców. Wtedy tropiłem, czaiłem się i ani przez chwilę nie zauważyłem, jak tu jest pięknie.

Z Dworu Szalonego Krzyku nie zostało nic prócz palisady, a jego mieszkańcy zniknęli. W ogóle okolica jest niemal bezludna, mimo że po uroczyskach też nie ma ani śladu.

Kiedy docieramy w końcu w okolice dawnej stacji Midgaard II, też nie za wiele tam jest. Nawet pogorzelisko zarosło już młodymi drzewkami i krzakami. Nie mam zamiaru pokazywać go Passionarii, a ona nawet nie zauważa, że to jest to samo miejsce. Następnego dnia docieramy na wrzosowiska, gdzie znajduje się punkt spotkaniowy. Wyglądają tak samo jak wtedy, kiedy tam wylądowałem, i mam dziwaczne uczucie déjà vu, zupełnie jakby rzeczy zapinały się i zapętlały. Jakby wszystko wokół dobiegało końca.

Następnego dnia idę samotnie na wrzosowiska, wyjmuję puszkę z radiolarią, otwieram i koduję meldunek. A potem stawiam ją w odpowiednim miejscu, patrząc, jak bionik budzi się w tanku, jak świetlne wzory i wyładowania przebiegają po jej ciele, aż w końcu wybucha jednym impulsem elektromagnetycznym, wystarczająco silnym, by odebrały go anteny jedynego satelity Midgaardu i przekazały dalej, do statku. Jednak wydaje mi się, że nikt tam nie czeka na sygnał.

Mylę się.

Pulsujący dźwięk pracujących pędników grawitacyjnych słyszę o świcie, leżąc na derce przy ognisku, z mieczem złożonym tuż obok głowy. Podnoszę się, patrząc z osłupieniem na obozowisko, na własny strój, na resztki królika zwisające z rożna jako obgryziony i obrany z mięsa szkielet. Wokół poniewierają się zdobione cynowe kubki, parskają i rżą nasze konie,

zaniepokojone nieznanym dźwiękiem dudniącym gdzieś niezbyt głośno w niebie. Odgłos pędników jest jakiś dziwny; najwyraźniej naruszający zbyt wyraźnie Pieśń Ludzi statek zdążył się już narazić miejscowym zaklęciom. Wędrowcy budzą się w jednej chwili, sięgając po broń.

– Zostańcie – mówię. – Im mniej ludzi, tym mniejsze ryzyko. To przybył okręt zza Morza Gwiazd. Podprowadzę ją na tyle blisko, żeby ją zobaczyli, a potem wymknę się z powrotem. Nie mogą nikogo z was zobaczyć.

Idziemy sami. Passionaria i ja. Ona taszczy swoją torbę, a ja tylko miecz. Właściwie z przyzwyczajenia. Bez niego czuję się niekompletnie ubrany i jakiś nie na miejscu.

Kiedy docieramy na wrzosowisko, prom desantowy właśnie siada, rozwiewając wokół trawę i gałęzie. Cztery pędniki obrócone są w dół i zniżają ton do jałowego biegu.

– Co masz powiedzieć? – pytam Passionarii.

– To wszyscy. Tylko ja ocalałam – odpowiada mechanicznie.

– A reszta?

– Wszyscy zginęli.

– Grzeczna dziewczynka.

Prom obraca się jeszcze raz wokół osi nosem w dół, a potem wypuszcza podpory i siada, składając stabilizatory. Na kadłubie leniwie poruszają się pikselowate wzory, odzwierciedlające mniej więcej to, co znajduje się za nim. Boczne drzwi otwierają się w górę i w dół i bardziej domyślam się, niż widzę, jak niewyraźne sylwetki w kameleonich kombinezonach wyskakują na wrzosowisko niczym istoty ze szkła albo słupy powietrza drgającego od upału.

Passionaria idzie przez wrzosowisko noga za nogą, z torbą pełną pozyskanych niezgodnie z procedurami artefaktów na ramieniu.

Odwracam się i wsiąkam głębiej w zarośla, ostrożnie przemykając do obozowiska. Skradam się wśród krzaków i ogromnych pierzastych paproci, na wszelki wypadek okrężną drogą, co chwila przypadając w gęstszych zaroślach, by być pewnym, że nikt za mną nie idzie.

Załatwiają mnie jak słonia.

W pewnym momencie słyszę trzask gałązki, a potem jakiś szelest i rzucam się biegiem. Nie ubiegam nawet pięćdziesięciu metrów, kiedy słyszę ten dźwięk. Gwałtowne fuknięcie i świst naraz, a potem coś uderza mnie boleśnie pod łopatką. Stękam, a potem czuję, że zostały porażone

nerwy w nogach, które przeszywają bolesne ciarki, i zwalam się z chrzęstem w jakieś krzaki. Już leżąc, sięgam wykręconą ręką za plecy i palcami sztywnymi jak mrożone parówki wyrywam przeklętą ampułkę.

A potem niosą mnie między sobą na jakiejś nylonowej płachcie, wrzosowisko przesuwa mi się przed oczami, bo wiszę twarzą w dół jak zastrzelony jeleń. Słyszę ich kroki, słyszę cichy szelest ubrania, ale nie bardzo widzę nogi, bo przelewają się na nich kształty, jakby nieostre zdjęcie wrzosowiska, i ja sam widzę nieostro.

Wrzucają mnie z blaszanym łomotem na gumowany greting w ładowni i wskakują jeden za drugim z łomotem ciężkich butów, ktoś niechcący przydusza mnie kolanem, wszędzie ostre, syntetyczne zapachy, obce i znajome zarazem, i mnóstwo bezsensownych dźwięków. Jakieś pikania, brzęczyki, narastające pulsowanie pędników, beczenie sygnału awaryjnego, wszystko się trzęsie, a ja usiłuję odzyskać władzę w nogach, bo stąd jeszcze mogę wyskoczyć. Nic z tego, mam tylko zdolność ruszania jednym ramieniem. Nadęty damski głos powtarza z tępym uporem: „Właz zewnętrzny otwarty. Właz zewnętrzny otwarty”. Prom kręci się wokół osi, rozkładając stabilizatory, ale wciąż coś jest nie tak, porykuje brzęczyk awaryjny, miga pomarańczowe światło.

Właz zewnętrzny ciągle jest otwarty, prom sunie przechylony nisko nad wrzosowiskiem i widzę Sylfanę, jak goni go, cwałując na Jadranie. Dziewczyna zeskakuje w końcu tuż przed klifem i wyciąga do mnie rękę, a ja wyciągam rękę do niej. I tak bardzo chcę jej dosięgnąć, ale pomiędzy naszymi dłońmi wciąż pozostaje sto metrów wypełnionej huraganem pustki.

Epilog 1

Wszystkie rzeczy mają swój kres
Noc nastaje po świetle poranka
Zniknie uśmiech i zniknie ślad łez
Zestarzeje się piękna kochanka

Rdza pokryje zwycięski miecz
Okuleje też rumak bojowy
Twój przyjaciel i wróg pójdą precz
Czas oszroni twych synów głowy

Tylko pieśń będzie trwać niczym cień
Tamtych dziejów, co dawno przebrzmiały
Wielkich bitew czy wielkich klęsk
Wiernych serc, które kiedyś kochały

Lodowy Ogród, „Saga o wojnie bogów” (fragment)

Martwy śnieg, który nadszedł tamtego lata, był inny, niż opowiadano. Zwykle twierdzono, że świat wtedy zaczyna się na nowo, pojawiają się nowe narody, a stare znikają, a ludzie pamiętają tylko swoją mowę i to, jak należy robić różne rzeczy. Jak siać, jak stawiać domy i kuć broń. Tym razem jednak ludzie pamiętali, ale jakby nie wszystko. Wiedzieli, że była jakaś wojna bogów, ale o co i dlaczego, to już im umykało. W każdym razie Amitraje zostali Amitrajami, Ludzie Ognia Ludźmi Ognia, a Kireneni zaczęli rzeczywiście życie na nowo i tylko o Wężach jakoś się nie słyszało. Albo zapadli w swoje góry, albo zapomnieli, kim są, i rozpełzli się po Wybrzeżu Żagli.

Są jednak dwie rzeczy, które trzeba jeszcze opowiedzieć, żeby historia wojny Czyniących, zwanej też wojną bogów, która omal nie zniszczyła świata, została opowiedziana do samego końca.

Kiedy odeszli i Ulf, i mistrz Fjollsfinn, wybrano mnie nowym władcą miasta. Od tamtej pory wiecznie miałem pełne ręce roboty. Wciąż leczono w lazarecie na Górnym Zamku wielu rannych z wojny, coś też trzeba było zrobić z dziećmi wyplutymi przez kraby, które były na wpół obłąkane, cały też czas trwała odbudowa i remonty zniszczonych części miasta. Zostało nam sporo statków porzuconych przez Węże i Amitrajów, więc je sprzedaliśmy, zaczęliśmy też handlować szkłem i żelaznymi narzędziami, które nasze manufaktury produkowały w dużych ilościach. Wysyłałem też okręty, by przeszukiwały Wyspy Ostrogowe, zwłaszcza od wschodniej strony.

Nocni Wędrowcy rozdzielili się. Ci, którzy byli z Braci Drzewa, oczywiście zostali w Ogrodzie, podobnie Kireneni, a Ludzie Ognia wrócili do siebie. Jednak wszyscy dokładnie pamiętaliśmy, co się wydarzyło, i wciąż łączyła nas więź. Wciąż byliśmy Nitj’sefnaar. Dlatego i Grunaldi, i Spalle, a także Sylfana co roku latem przypływają do Ogrodu. Czas mija, a każdy z nas nocą wychodzi, by patrzeć na Morze Gwiazd. Wszyscy wierzymy, że pewnego dnia znów spadnie z niego gwiazda.

Na całej wyspie to tu, to tam powstawały kireneńskie osady i rodowe siedziby dla tych, którzy nie mogli znieść mieszkania za murami miasta. Wiele z nich zbudowano z pni drzew, które kiedyś wspinały się na nasze mury, tworząc żywe drabiny. Teraz były to zwykłe pnie.

Rok po wojnie Czyniących wilcze okręty znów wyruszyły przez Wyspy Ostrogowe i dlatego szybko doszły mnie wieści o tym, co działo się

w Amitraju.

Kiedy flota powróciła spod Lodowego Ogrodu, wybuchła wojna domowa. Panował głód i tyrania Czerwonych Wież. Dopóki żyła prorokini, mająca na każde skinienie moc imion bogów, rządził strach. Ale Czyniąca zginęła, a wraz z nią odeszła większość mocy uroczysk. Część kapłanów miała własne zapasy, lecz brakowało im umiejętności Nahel Ifrii i szybko moc obróciła się przeciwko nim, tak jak bywało wcześniej. Wieść o śmierci prorokini obiegła cały kraj. Najpierw zbuntowały się tymeny wojska z północnych prowincji, a wkrótce cały kraj ogarnęła pożoga. Jak donieśli mi moi szpiedzy, wojsko po kilku miesiącach walk zdobyło Maranahar, a potem ustanowiło własnego cesarza, który zasiadł na Tygrysim Tronie. Ponoć rozkazał stracić wszystkich kapłanów Podziemnej, a potem zaczął przywracać te same prawa, które ustanawiał mój ojciec. Ja jednak patrzyłem na to z daleka, zadowalając się raportami moich szpiegów. Żyłem tu, w swoim mieście, wśród mojego ludu i tak miało pozostać.

Wszystkie te zajęcia sprawiały, że nawet nie zauważyłem, jak zleciał czas. A upłynął ponad rok, kiedy Benkej przyszedł do mnie i powiedział, że do zewnętrznej przystani wpłynął okręt spoza Wybrzeża Żagli, z dziwnymi znakami na żaglu. Wtedy siedziałem w tawernie w Nowym Kirenenie, ubrany w zwykłą kurtę i nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Kiedy przyszedłem do portu, tamten statek podawał właśnie cumy, a na pokładzie kręciło się sporo dziwnie ubranych ludzi. Zobaczyłem między nimi kireneńskie kurtki i serce stanęło mi w piersi. A potem rzucono na nabrzeże trap z desek i pierwszym, który zszedł na ląd, był maleńki rudy chłopiec w kireneńskiej kurcie i z malutkim nożem u pasa.

Zszedł na pirs z wielkim trudem i bardzo uważnie, a potem obdzielił mnie przedziwnie poważnym spojrzeniem. Pochyliłem się i spytałem, kim jest, a on rzekł:

– Jestem Brus syn Snycerza z klanu Żurawia. A kim ty jesteś?

– Jestem władcą tego miejsca i chcę cię przywitać w Lodowym Ogrodzie.

– Bez matki nigdzie nie idę – powiedział stanowczo.

– Słusznie – odrzekłem. – Bo i ja nie chcę nigdzie iść bez twojej matki.

Potem wiele rzeczy zdarzyło się w moim życiu, ale żadna nie należała już do tej opowieści, poza jedną. Przyszedł taki czas, kiedy coraz rzadziej

spotykałem ludzi innych niż Nocni Wędrowcy, którzy cokolwiek wiedzieli o tych sprawach, a zwłaszcza o człowieku zza Morza Gwiazd, który zwał się Ulf Nitj’sefni. Przypomniałem sobie wtedy o historii mojego życia, którą zacząłem spisywać podczas mojego samotnego życia w Kawernach. Wziąłem więc zwoje i trzcinki i postanowiłem dopisać resztę, żeby przetrwała w opowieści.

Imię Ulfa czasami spotykało się w różnych bajędach. Zwłaszcza opowiadano różne bzdury o tym, jak zginął. Mówiono, że spłonął na wieży podczas wojny Czyniących. Mówiono, że odszedł w lasy i żyje gdzieś w Ziemi Ognia wśród wilków. Mówiono, że popłynął na morza.

Prawda zaś jest taka, że pożarły go gwiazdy.

Wiem to, bo to widziałem. Ja, Filar syn Oszczepnika, ostatni władca Tygrysiego Tronu dynastii Tendżaruk, tohimon klanu Żurawia, Pan Lodowego Ogrodu.

Epilog 2

4°39’57”N
8°34’55”E
Gdzieś w delcie Douala,
Kamerun Północny

Bar był blaszanym barakiem niegdyś wymalowanym białą farbą. Przy kontuarze siedziało się na beczkach po żelowanym wodorze, ale obok na piasku znajdował się stół zbity z desek, zaopatrzony w dwie ławy i nakryty strzechą palmowych liści. Wszędzie kręcili się Afrykanie, jedni w koszulkach i szortach, drudzy w białych dżelabach i zawojach. Wszyscy handlowali, krzyczeli i słuchali muzyki, wśród mangrowców wznoszących się na splątanych korzeniach barwy błota. Za barakiem sunęła brązowa woda jednej z niezliczonych odnóg rzeki, piwo marki „33” było ciepłe i zalatywało jakby zaskrońcem, słońce prażyło przez wysokie chmury, a barman po raz dziesiąty pytał, czy jest geologiem. Niechętnie odpowiadał

twierdząco, bo taką miał legendę. W odpowiedzi słyszał tyradę w łamanej miejscowej francuszczyźnie o tym, jakim przekleństwem dla Afryki są poszukiwania geologiczne.

Piwo kosztowało tysiąc franków i nie dało rady płacić czipem.

W takich chwilach przypominał sobie, dlaczego jest za stary na pracę w terenie.

– Pan jest geologiem? *Monsieur?* – tym razem zapytał duży Murzyn w białym T-shircie, z łysą głową i wianuszkiem siwego zarostu wokół ust. – Bo dziesięć kilometrów stąd zakopała się w błocie cała toyota pańskich kolegów.

Westchnął i skinął głową, a potem napił się ciepłego „33” z butelki.

– Tak, jestem geologiem.

Murzyn podszedł do baru i kupił sobie Castela, po czym wrócił do stołu z oszronioną butelką, co było już zdecydowanie irytujące.

– Przepraszam, czekam na kogoś – powiedział geolog.

Murzyn jakby nie usłyszał, napił się piwa i odstawił butelkę na stolik, po czym wyjął paczkę sudanów i zapalił.

– Najbardziej brakowało mi normalnego piwa – powiedział. – I kawy. Wie pan, komandorze, do wszystkiego innego się przywyka, ale takie drobiazgi, jak kawa, herbata, tytoń, czekolada, dręczą nie do wytrzymania. Mają tam takie orzechy, podobne do gałki muszkatołowej. Smakuje to... jak piwo imbirowe na ciepło z colą. Okropność. No i zniechęciłem się do niepasteryzowanych piw.

Komandor przez chwilę patrzył z osłupieniem.

– To nie do wiary, to naprawdę pan!

– Mamy dziesięć minut do przelotu terrawatch i piętnaście do NOAA. To nie będzie długa rozmowa, Lodowiec. Prosił pan o spotkanie. Słucham.

– Jak pan to zrobił? To charakteryzacja czy...

– W tej chwili oczyma duszy widzę salę kontrolną, na ekranie zbliżenie mojej czarnej gęby i komunikaty do agentów na całym świecie, żeby rzucali się na czarne kliniki plastyczne i wyłamywali drzwi charakteryzatorom. Niech pan nie traci czasu, komandorze.

– Jak pan uciekł?

– Przecież to pan mnie wyszkolił. Miałem pozwolić, żebyście pokroili mnie na plasterki, a resztki rzucili studentom? Już na statku wysmażyliście mi mózg.

– Zdezaktywowaliśmy cyfrala zgodnie z zasadami. A pan powinien przejść kwarantannę.

– Wie pan, że to samo mówiłem Callo? A dwa miesiące na statku to wystarczająca kwarantanna. Czas mija, komandorze.

– Dobrze. Chodzi o tę drugą część misji. Nie przekazał mi pan raportu.

– Przekazałem. A z odczytu...

– Jakiego odczytu?

– Cyfral to urządzenie rejestrujące. Dobrze pan o tym wie, komandorze, niech pan ze mną nie pogrywa. Macie zapis.

– Tak, ale on jest momentami zupełnie niezrozumiały. No i działał tylko wtedy, kiedy pan go aktywował. Poza tym są dziury. Nie wiemy, czym to jest, Drakkainen. Jak to działa? Czy pan nie rozumie, jakie to ma znaczenie?

– Błagam, tylko niech mi pan oszczędzi tych kawałków o zwalczaniu głodu na świecie. Nie wiem, co to jest. Widziałem te zjawiska, nawet je wykorzystywałem, ale zupełnie jak małpa. Choć wiem jedno. Nie żyją poza atmosferą Midgaardu.

– Jak mam pana nakłonić do współpracy?

– Naprawdę nie mogę panu pomóc. Napisałem wszystko, co wiedziałem. Nic nie poradzę.

– Pisał pan o jakichś symbiotycznych bakteriach. Może je pan mieć we krwi.

– Nie poza Midgaardem. Mówiłem, jestem sterylny. Badaliście mnie, macie próbki. Komandorze, przecież pan jest rozsądny. Naprawdę by pan tu chciał magii? „Czary-mary, głosujcie na mnie”? Zaklętych pracowników w dużych firmach?

– Dobrze pan wie, że nie pracuję w próżni. Są naciski. Nie może pan całe życie uciekać.

– Mogę i robię to. Za chwilę przewrócicie do góry nogami cały Kamerun i nic to nie da. Ale niechże pan zrozumie, że nie wydusi pan ze mnie nic nadnaturalnego. Nic. Uciekam dla własnego komfortu i dlatego, że chcecie zrobić ze mnie kozła ofiarnego. Ale jeśli ktoś ujawni operację „Nocny Wędrowiec”, to pan też poleci, Lodowiec. Kiedy tylko zjedzą mnie. Uciekam, bo jestem wypalonym weteranem i chcę trochę spokoju. To wszystko.

– To pańska ostatnia szansa.

– Szansa na co? Nic pan nie ma do zaoferowania. Nawet jeśli mnie złapiecie, to nic wam to nie da. Trzy minuty do terrawatch i osiem do NOAA. Chce pan coś dodać?

– A jeśli zaproponuję panu powrót? W zamian za informację?

– To panu nie uwierzę. Nie mieszkam w buszu i znam sytuację. Trzymam rękę na pulsie. Wiem nawet o lotniskowcu Durendall, który dziś rano naruszył wody terytorialne Kamerunu. Nikt nie poleci na Midgaard i dobrze pan o tym wie. A ja nie mam niczego, co mogłoby panu pomóc. Żadnych zaklęć, żadnej różdżki. A pańscy mocodawcy nie odpuszczą, dopóki nie przepuszczą mnie przez blender i nie zajrzą do każdej komórki z osobna. Znam pana nie od dziś, komandorze. Nie przyszedłby pan do mnie z taką imbecylną propozycją, boby się pan wstydził. To pan mnie wszystkiego nauczył. Co pan chciał powiedzieć tak naprawdę?

Lodowiec milczał przez chwilę.

– Chciałem tylko pana przeprosić. Osobiście. Pójdę już.

Podali sobie ręce.

„Geolog” wstał, założył na głowę swoją białą panamę i odszedł, nie oglądając się.

Drakkainen posiedział jeszcze przez chwilę, a potem zapalił kolejnego sudana i szepnął coś po fińsku. Jego butelka wypełniła się piwem i pokryła szronem.

– Zostało nam parę minut spokoju, *pimppi* – mruknął. – A potem znikamy. Na jakiś czas musimy wynieść się z Afryki. Szkoda. Nigdzie tak pięknie nie widać gwiazd.

– Cyklop jeden... Masz kontakt?

– Cyklop jeden, odmowa, brak kontaktu.

– Jak to, przecież siedziałem z nim przy stole.

– Odmowa, sir. Siedział pan sam.

– Cyklop jeden, on był ucharakteryzowany na Afroafrykanina w białej koszulce.

– Odmowa, sir. Z mojej perspektywy siedział pan przy pustym stole.

– On tam wróci, skurwiel. Nie wiem, jak ani kiedy, ale dopnie swego.

– Nie rozumiem, sir?

– Nieważne. Po prostu posiedziałem chwilę sam.

Koniec

Dodatek 1

Dolina Czarnych Łez

Trzciny chylą głowy,
wiatr trwożnie zawodzi,
płomień w zgliszczach śpiewa.

Płoną nasze domy,
serca nasze płoną,
pełne łez i gniewu.

Mrok ciągnie doliną,
ogień biegnie rżyskiem,
całun zakrył niebo.

W dali żuraw krzyczy
naszą pieśń ostatnią,
dzisiaj zginąć trzeba.

Wróg jest ścianą mroku,
wróg jest łanem czarnym,
lęk nas nie pokona.

Droga biegnie w górę,
droga wiedzie granią,
lecz czemu tak stroma?

Cień ogarnia myśli,
smutek skuwa duszę,
choć trwamy w szeregu.

Lecz cóż może ramię
przeciw setkom ramion?

Ustajemy w biegu.

Skrzepła krew jest czarna,
martwe łzy są czarne,
barwią mrokiem oko.

Świat nicość zatapia,
już czas poszybować
z ptakami wysoko.

Płacze miecz czerwienią,
płacze nóż klanowy
w konającej dłoni.

Chociaż wróg odparty,
ziemi ocalonej
martwy nie obroni.

Oczy ojców patrzą
już na inne słońca
w krainie przedświtu.

Dusze braci płyną
nad przełęczy siodłem
po morzu błękitu.

Pięści zaciśnięte,
serca zaciśnięte
mamy w czarne głazy.

Łzy o barwie sadzy
spływają spod powiek
po żelaznej twarzy.

Kto ocali pieśni?
Kto pocieszy wdowy?
Synów kto uchowa?

My nie mamy skrzydeł,
by się wzbić do góry.
Stoimy bez słowa.

(pieśń pogrzebowa, Kirenen)

Dodatek 2

Krótki słowniczek języków Midgaardu wraz z rozmówkami

Liczebniki amitrajskie:

bina – 0
atal – 1
nat – 2
ten – 3
tera – 4
hano – 5
rai – 6
rani – 7
rane – 8
nan – 9
hon – 10
binhon – 100
binlik – 1000
tymen – 10.000 (także: mnóstwo)

honatal – 11
honanat – 12
honaten – 13

honater – 14
honahan – 15
honarai – 16
honarani – 17
honarane – 18
honananо – 19
nathon – 20

urkaj – szeregowy
urk pahan – starszy szeregowy, kapral
pahan – dowódca na poziomie podoficera
pahandej – oficer młodszy
basaar – oficer starszy
dej – dodatek do tytułu wyższej rangi, podnoszący ją o „oczko” w górę
(Rangi wojskowe stanowią złożenia: np. *hon-pahan*, *binhon-pahan-dej*, *binlik-basaar*, *tymen-basaar*, *tymen-basaar-dej*)
urkahan – urzędnik cywilnej administracji, gubernator
fadira – tytuł przysługujący kobiecie stojącej wysoko w hierarchii. W wojsku oznacza kobietę z otoczenia cesarza mającą prawo przekazywać i wydawać rozkazy, jest to tytuł cywilny, ale w armii stanowi odpowiednik rangi *binlik-basaar-deja*. Kobiety służące w wojsku noszą normalne stopnie
nai – dosł. „starsza siostra”, tytuł grzeczn. przysługujący kobietom o wyższym statusie pałacowym, stosowany też jako wyraz szacunku

Słowniczek amitrajski:

bakhun – tytoń
durra – podstawowe zboże, przypomina kukurydzę
dym – chata
habzagał – chleb
hafram akydył – powiedziałeś prawdę
hara! – milczeć!

hyszmysz – rodzaj gulaszu, często warzywnego, w ostrym sosie. Dosłownie: mieszanina
ifrin – ogień (*ifrija* – „ta ognia” w odniesieniu do istoty żeńskiej)
jasargan – miecz
kibryz – mięso
kysa – sól
malla – woda
nahel – pustynia
salakh akydylla – zostało powiedziane
zym – kraniec

Niektóre tymeny armii cesarskiej:

(*Tymen* cesarski to całkowicie samowystarczalna jednostka, posiadająca własną jazdę, łuczników, tabory, sztab, machiny bojowe i zaplecze logistyczne. Jest dowodzony przez *tymen-basaar-deja*. W pełni skadrowany *tymen* teoretycznie powinien liczyć 10.000 ludzi i składać się z dziesięciu *binlików*. W praktyce i w czasach pokoju rzadko jest liczniejszy niż trzy do pięciu tysięcy)
XIII Słoneczny – Kamirsar
XIV Piorunowy – Maranahar
XVII Kamienny – Sałgabad
XVIII Morski – Kangabad
XIX Kanadirski – Kanadir
XX Gniewny – Hargadir
XXI Ognisty – Kebzegar
XXX Żmijowy – Sauragar

Kasty amitrajskie (od najniższej):

Hirukowie
Karahimowie
Sindarowie
Afraimowie

Arazymowie
(Nazwy pochodzą od legendarnych świętych sióstr, matek-założycielek poszczególnych plemion: Hirukai, Karahai, Sindarany, Afrai, Arasiny)

Słowniczek kireneński:

agiru – rozkaz, honorowa powinność, dobrowolny obowiązek
askaro – żołnierz
go hanmi – dziedziczna klątwa, sprowadzona haniebnym postępowaniem, „zła karma”
gorai ka man – ten, kto się spowiada
goro daru – przyjmujący spowiedź, zaufany przyjaciel
goro haku – spowiedź, oczyszczająca rozmowa, dosł. „rozcięcie duszy”
ino – tak
iszida tarai no – z wozu
kai – najwyższy
kano – słucham; wojsk. „rozkaz!”
kodai massa – proszę o wybaczenie
nae – nie
noharu – nowy
okunin – dowódca polowy
tohimon – „najwyższy wśród równych”; głowa klanu
tsugan – miecz

Klany kireneńskie:

Strumienia, Żurawia, Lodu, Góry, Fali, Skały, Drzewa, Wilka, Kamienia, Ryby, Psa, Wołu, Gęsi (fikcyjny)

Słowniczek kebiryjski:

ahima – szybciej
endo – iść

endungu – włóczęga
haja – naprzód
hatara – niebezpieczeństwo, także: uwaga!
hazima – musieć
hume – prawo (w sensie kierunku)
indo – wejść
kana – zobaczyć
kuna – moje
kusita – lewo
mata – ogień
matufu – śmierć
mbajo – biec
mpenezi – przemytnik
ngenu – rydwan pustynny, dosł. „skorpion”
njambe – wujek
nyumaya – z tyłu
n’hana – panie
n’tu – człowiek
n’wenzi – przyjacielu
n’wenzu – przyjaciel
olimwenga usuri – dosł. „świat jest kiepski” (przykro mi)
olimwengu – świat
rahii – spokój
simanga – stój
smiii... – prr...
suri – dobry
ta khaa – siadać
tenzanga – odłożyć (*tenzangu* – odłóż)
tepanga – miecz
tilaha – broń
tupana – pustkowie
usinga – sen
usuri – niedobry, podłej jakości, kiepski, niesmaczny

Jarosław Grzędowicz

Chciał być leśnikiem, podróżnikiem i operatorem śmieciarki. Został pisarzem.

Jarosław Grzędowicz w wieku czterech lat chciał zostać operatorem śmieciarki. Później, po niezapomnianych wakacjach w leśniczówce – leśnikiem piszącym fantastykę. W międzyczasie chciał być jak Tony Halik, Tomek Wilmowski, Jacques Custeau oraz Simon Templar, z tym że równocześnie chciał być pisarzem fantastyki. W kolejnej dekadzie rozwoju chciał zostać biologiem oraz pisarzem fantastyki. Ze wszystkich młodzieńczych zamiarów udało mu się zrealizować tylko jeden. A może aż jeden?

Grzędowicz nie lubi przymusu. Zapewne dlatego „Pan Lodowego Ogrodu” powstawał na przestrzeni niemal dziesięciu lat. Jak sam mówi, pisanie powieści trwa tyle, ile musi trwać. Żaden przymus tu nie pomoże.

W trakcie pisania powieść rozrastała się, ewoluowała, przypominając proces konstruowania urządzenia. Autor często korzystał z opracowań historycznych, ale nie tylko. Czerpał inspirację i wiedzę zarówno z opisów średniowiecznych machin wojennych, jak i z życia codziennego i sztuki wojny w starożytności, podręczników sztuk walk wschodnich i europejskich, książek beletrystycznych oraz dawnych eposów, takich jak „Edda Poetycka”.

Cennym wsparciem dla Grzędowicza jest jego żona – Maja Lidia Kossakowska. Jak sam twierdzi, to błogosławieństwo móc zapytać innego pisarza o zdanie albo radę dotyczącą

skonstruowania jakiejś sceny. Grzędowicz stara się rewanżować tym samym.

Pisarz za swoją twórczość otrzymał już niezliczoną ilość nagród, za każdym razem cieszył się z uznania czytelników. Z drugiej strony odczuwał też silną presję. To wielka odpowiedzialność, bo nikt oprócz niego nie wiedział, w jaki sposób zakończy się „Pan Lodowego Ogrodu”. Takiej pracy podołają tylko najlepsi. Grzędowicz po raz kolejny dowodzi, że wciąż idzie do przodu, nie spoczywa na laurach.

COPYRIGHT © BY Jarosław Grzędowicz
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2012

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-822-2

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana
ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie,
zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez
pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

GRAFIKA ORAZ PROJEKT OKŁADKI Piotr Cieśliński

ILUSTRACJE Dominik Broniek

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Magdalena Byrska

SKŁAD ORAZ OPRACOWANIE OKŁADKI
Dariusz Nowakowski

SPRZEDAŻ INTERNETOWA

ZAMÓWIENIA HURTOWE
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

Jarosław
GRZĘDOWICZ

Nafaszerowany magią, naszpikowany akcją.
Nie spoczniesz, póki nie skończysz.

Powieść, którą zna już pół miliona Polaków. Na kolejne tomy oczekiwano w ogromnym napięciu, czasem złości, że jeszcze nie teraz, że dopiero za rok. Oto przed Wami ostatni tom fantastycznej torpedy, która przejdzie przez Wasze umysły i na długie lata pozostawi w pamięci ślad, może znamię, a z całą pewnością niezapomniane wrażenia. Lodowy Ogród po raz czwarty otwiera swoje podwoje, wbija w ziemię i miażdży jak „Ogród rozkoszy ziemskich" Hieronima Boscha.

• • •

Pan Lodowego Ogrodu *to cykl, który będzie oddziaływał na polską fantastykę przez całe dekady. Pisarzom podpowie drogę. Czytelnikom wskaże standardy, których mają prawo oczekiwać. Lektura obowiązkowa dla każdego miłośnika fantastyki.*

Andrzej Pilipiuk

Ostatnia dekada poprzedniego tysiąclecia należała do Wiedźmina, początek nowego milenium to czas Vuka. I z przyjemnością stwierdzam, że to kolejny dowód na to, iż świat poszedł naprzód.

Jakub Ćwiek

Mnożąc realizm przez fantastykę, Grzędowicz osiąga efekt jeszcze większego autentyzmu.

Jacek Dukaj

fabrykaslow.com.pl

fabryka słów

Wyłączny dystrybutor

Patroni medialni

CZWÓRKA POLSKIE RADIO

WP.PL książki.wp.pl

Xięgarnia.pl

gavran

lubimyczytać.pl

students.pl